

Najnowszy thriller współautorki bestsellerów Roberta Ludluma

# L G A Y L E L Y N D S



# OSTAŃNI SUPERSZPIEG

Najnowszy thriller współautorki bestsellerów Roberta Ludluma

# GAYLE LYNDS



# OSTATNI SUPERSZPIEG



**GAYLE LYNDS**

# OSTATNI SUPERSZPIEG

*The Last Spymaster*

*Przekład*

*RADOSŁAW JANUSZEWSKI*

*Mojej pasierbicy Katie Lynds,*

*promieniującej życiem, latarni rozświetlającej najciemniejszą noc* **Prolog**

**16 listopada 1985**

**Most Glienicke między Berlinem Zachodnim**

# a Niemcami Wschodnimi.

W ciemności robiło się coraz zimniej. Na moście Glienicke miała się zacząć wymiana.

Jay Tice wsunął ręce głęboko do kieszeni płaszcza, usiłując je ogrzać. Patrzył na zalesione wzgórza i ponury, stalowo-żelazny most oświetlony pierwszymi promieniami świtu.

Dwa obsypane śniegiem kamienne centaury oskrzydlały długą przestrzeń, górując nad opancerzonym sedanem Tice'a i dwoma poobijanymi amerykańskimi ciężarówkami wojskowymi. Dwunastu gotowych do walki żołnierzy z karabinami i pistoletami przy pasach noszonych na płaszcach poruszało się jak cienie po drodze i między nagimi drzewami. Nocą słabo padało, ale śnieg i tak tłumiał odgłosy odległego ruchu ulicznego.

Tice dostrzegł wszystko: i napięcie na twarzach swoich ludzi, i wschodnioniemieckich żołnierzy z kałasznikowami po drugiej stronie mostu. Pilnowali Pavla Abendrotha, znanego dysydenta, Żyda, któremu odmawiano prawa do emigracji ze Związku Radzieckiego, i jego nadzorcy - oficera Stasi, Rainy Manhardt.

Tice odwrócił wzrok. Był wysokim, trzydziestoczteroletnim mężczyzną z wymiętą twarzą. Miał prosty nos, brązowe krótkie włosy i szerokie zacięte usta. Jego oczy, w zależności od oświetlenia, stawały się niebieskie albo piwne. Jedynym charakterystycznym rysem był głęboki dołek w podbródku. Ale Tice opanował do perfekcji sztukę kamuflażu.

Potrafił sprawiać wrażenie nudnego, bezbarwnego faceta. Rzadko zdarzało się, żeby ktoś zapamiętywał jego albo dołek w brodzie - chyba że Tice sam tego chciał.

- *Issa 'a kaem?* - zapytał człowiek stojący obok niego.

Tice szybko odwrócił głowę i spojrzał na swój towar do wymiany o świcie - Faisala al-Hadiego, dwudziestoletniego muzułmańskiego bojówkarza, schwytanego podczas udaremnionego przez Tice'a zakupu broni. Muzułmanin stał bez ruchu, prosty jak drut. Był

wzrostu Tice'a, ale szczuplejszy, z haczykowanym nosem i kościstą twarzą. Miał na sobie dzinsy i panterkę. Według akt mówił po angielsku, ale nikt w wydziale tego nie słyszał.

Dziwne, ale jeszcze nie spojrzał na most. W czasie czekania na wymianę ludzie patrzyli przed siebie głodnym wzrokiem.

Tice zerknął na zegarek.

- *Issa Da'ayi'hidashar*. Piąta dwanaście. - Wymiana musi się zacząć za jedenaście minut, żeby skończyć przed piątą czterdzieści dwie, o wschodzie słońca.

Glienicke, „most szpiegów”, świadek wielu ważnych zimnowojennych wymian.

Prowadził donikąd, używany był tylko przez pojazdy misji wojskowych krążące między wolnym

Zachodem a komunistycznym Wschodem i przy rzadkich wymianach ważnych szpiegów. Niektóre były powszechnie znane obsługiwane przez media. Inne - tajne. Jak ta.

Zanim al-Hadi zdążył odpowiedzieć, ciszę rozdarł warkot silnika samochodu. Tice odwrócił się, żołnierze wycelowali karabiny. Silnik głęboko mrucał - był wielki i drogi, bezbłędnie zsynchronizowany. Mercedes. Tice, gdy tylko odczytał numery rejestracyjne, zamachał szeroko ręką, żeby zobaczyli go wszyscy po obu stronach mostu i nie ruszali się z miejsc.

Z luksusowego samochodu wysiadł Palmer Westwood w płaszczu z wielbłądziej wełny.

Włosy miał gęste, przyprószone siwizną. Pięćdziesięciodwuletni Westwood był nowym zastępcą dyrektora Wydziału Operacyjnego CIA, przyjechał prosto z Langley. Spóźnił się.

Idąc szybko w ich stronę, wyciągnął mały złoty zegarek kieszonkowy w kształcie trójkąta - płaski, z dwoma postrzępionymi krawędziami. Sprawdził godzinę, zerknął na terrorystę.

- Jakież kłopoty?

- Na razie spokój - odparł Tice. - Powinniśmy już iść.

Westwood kiwnął głową, a Tice dał sygnał. Żołnierze zbliżyli się w grupie. Minęli znak ze

złowieszczym

napisem

w

czterech

językach:

OPUSZCZACIE

STREFĘ

AMERYKAŃSKĄ. Stary, stalowy most płonął od światła lamp łukowych. Łuna biła na przeszło sto pięćdziesiąt metrów.

Al-Hadi po raz pierwszy spojrzał przed siebie. Potem gapił się, jakby nie mógł odwrócić wzroku. Jego czarne oczy pałały gniewem, którego nie potrafił dłużej ukrywać. Tice poszedł

za jego wzrokiem. Zaczął rozumieć milczenie terrorysty i jego udawaną obojętność.

- Podejdź tutaj - rozkazał, kiedy zatrzymali się na krawędzi. - Zostań po mojej lewej stronie. - Terrorysta był praworęczny.

Tice odwrócił się, żeby zasłonić widok al-Hadiemu. Odpiął płaszcz, wyciągnął pistolet z kabury i wsunął go za pasek. Włożył jeszcze coś do lewej kieszeni. Kiedy znów się odwrócił, al-Hadi stał na swoim miejscu. Las po obu stronach był cichy, nieruchomy jak zacząjony drapieźnik.

Tice raz jeszcze spojrzął na zegarek i podniósł wzrok w chwili, kiedy Raina Manhardt zerknęła znad swojego zegarka. Skinęli do siebie głowami i sami wystąpili naprzód, dwoje wrogich oficerów wywiadu wykonujących obowiązki. Al-Hadi dołączył do Tice'a, a Raina Manhardt zwolniła, żeby Abendroth za nią nadażył. Po dziewięciu latach w gułagu żydowski lekarz mocno schudł na głodowych racjach i od chorób. Ubranie na nim wisiało. Przyciskał

nauszniki i uśmiechał się, idąc krok w krok obok Manhardt.

Zaczął się spacer. Lodowaty wiatr zawiewał od rzeki. Tice zbliżył się do al-Hadiego i powiedział po angielsku:

- Masz cholerne szczęście. Gdyby doktor Abendroth nie był tak wybitną postacią, nie wróciłbyś do domu.

Al-Hadi przymrużył oczy. Wzrok miał utkwiony w małym człowieku w oddali. Nic nie mówił.

- Taka prawda - powiedział cicho Tice. - Żyd ratuje ci życie. Gorzej, żydowski obrońca praw człowieka, którego szanuje Zachód.

- *Mahahibish khanzeereen* - zadrwił al-Hadi. Prawa ręka mu drgnęła. Tice natychmiast założył mu kajdanki i ścisnął tak, żeby przerwać krążenie.

- Idź dalej. Wycelowałem w ciebie pistolet, mam go pod płaszczem. Cholera, nie odwracaj się. Nikt ma tego nie widzieć. *Ala tool. Ala ikobri.*

- *Kufr.* Niewierni! Żydzi są wrogami islamu. Źródłem wszystkich konfliktów. To kłamcy. Mordercy. Ja bronię swojego domu, nikt nie ma prawa nazywać mnie terrorystą.

Wszyscy niewierni muszą zginąć!

- Gdybyś nie zachowywał się dobrze w więzieniu, nie udałoby mi się przekonać Langley, żeby cię wymienili - nawet za kogoś tak ważnego jak Abendroth. Do tej pory postępowałeś mądrze. Ale nigdy nie wrócisz do domu, jeśli nie wyrzucisz tego, co trzymasz w prawej dłoni.

Al-Hadi gwałtownie odwrócił głowę.

- Co? Skąd wiesz? - Widać było, że bołą go ręce od mocno zaciśniętych kajdanek.

Przez ostatni miesiąc, odkąd złapano al-Hadiego po strzelaninie w Berlinie Zachodnim, starał się ukrywać inteligencję pod maską obojętności. Ale Tice dostrzegł jego zdolność wnikliwej obserwacji, umiejętność zdobywania dla siebie maleńkich przywilejów, znajdowania ukrytego sensu pytań w trakcie przesłuchań. Wrodzona inteligencja powinna go uchronić przed samozniszczeniem.



- Z doświadczenia. Idź dalej. - Tice jeszcze bardziej zacisnął kajdanki. - Wyrzuć broń, bo już nigdy nie zobaczysz Damaszku.

Na twarzy młodego człowieka po raz pierwszy pojawiła się wątpliwość.

- Wyrzuć to, synu - powiedział Tice. - Nie bądź szalony. To twoja jedyna szansa. Wywal to.

Ogień, który płonął dziko w oczach al-Hadiego, przygasł. Muzułmanin wyprostował palce i naostrzony pilnik, broń do zabijania z bliska, upadł cicho w śnieg. Al-Hadi odwrócił wzrok, ale Tice zdążył jeszcze zobaczyć upokorzenie na jego twarzy. Przegrał.

Al-Hadi zacisnął usta. Jakby zbierał się w sobie.

- Uwolnij mnie! - rozkazał.

Tice zastanowił się, potem zdjął kajdanki.

Al-Hadi buntowniczo podniósł podbródek. W milczeniu szli na środek mostu. Tice poczuł na twarzy szpilki zimnego wiatru. Zgodnie z protokołem zatrzymał się na metr przed szeroką na półtora metra białą linią znaczącą granicę między Zachodem a Wschodem. Ale jego więzień rzucił się ku niej.

- Stać! - Tice udął, że chce go złapać za ramię.

- *La'a* - Al-Hadi przemknął obok doktora Abendrotha, nawet na niego nie patrząc.

Zmarznięty śnieg strzelał spod obcasów młodego człowieka. Tice skupił się na Rainie Manhardt. O pół głowy wyższa od drobniutkiego lekarza nosiła futrzaną czapkę; twarz miała surową.

- Żałuję, nie mogę powiedzieć, że była to przyjemność - odezwał się po niemiecku.

Oczy oficer Stasi rozbłysły. Odpowiedziała po angielsku z doskonałym amerykańskim akcentem.

- Więc znów się spotykamy, towarzyszu Tice. - Odwróciła się na wysokich obcasach i poszła za swoim człowiekiem.

Tice patrzył za nią przez kilka sekund, potem przywitał doktora Abendrotha.

- To dla mnie zaszczyt, sir.

- Spasiba! - Abendroth był podekscytowany. Zrobił dwa duże kroki w stronę Zachodu i uścisnął dłoń Tice'a. - Bolał mnie kolana, bo inaczej ukląkłbym i ucałował ten stary most.

Odwrócili się razem i odeszli. Zimno przenikało Tice'a do kości. Nabrał głęboko powietrza.

- Martwiliście się? - zapytał z ciekawością Abendroth. Mimo swoich czterdziestu kilku lat, skórę miał pomarszczoną jak siedemdziesięcioletek.

- Oczywiście. A pan?

- Już dawno przestałem. - Dysydent uśmiechnął się szerzej. - Wolę myśleć o miłych sprawach.

Droga powrotna dłużyła się Tice'owi. Przed nimi, nad ciemnymi wzgórzami powoli, jakby niechętnie, wstawał świt. Oczekujący ich uzbrojeni Amerykanie wyglądali jak martwa natura z wojskowego albumu. Tylko Palmer Westwood wydawał się rzeczywisty. Chodził tam i z powrotem w wielbłądzim płaszczu i łąpczywie palił papierosa.

Zeszli z mostu. Tice przedstawił ich sobie.

Mały, wynędzniały pediatra podał rękę wysokiemu, nobliwemu funkcjonariuszowi CIA.

- Przybył pan tylko po to, żeby mnie powitać, panie Westwood? Jest pan bardzo uprzejmy. Od lat nikomu nie podawałem ręki, nie licząc współwięźniów. A teraz zrobiłem to dwa razy w ciągu kilku minut. - Wskazał luksusowego mercedesa, gdzie przy otwartych tylnych drzwiach czekał kierowca. - Mój wóz?

Tice spojrzał w tamtym kierunku.

- Tak.

Doktor Abendroth rażno skinął głową i ruszył, rozglądając się na wszystkie strony, jakby chciał zapamiętać świat. Za nim szedł Palmer Westwood. Tice zatrzymał się i spojrzał

przez ramię. Po drugiej stronie mostu Raina Manhardt i al-Hadi podchodzili do limuzyny ziął.

Kiedy Tice znów się odwrócił, Westwood przystanął, żeby zgasić papierosa. Tice przeniósł wzrok na Abendrotha. Przyglądał się, jak chudy mężczyzna podchodzi do otwartych drzwi sedana. Nadszedł czas. Cofając się o krok, Tice wyprostował ramiona i nieznacznie skinął głową.

Ciszę rozdarł strzał z karabinu. Krew i kawałki kości poleciały w powietrze, a Pavel Abendroth runął do przodu z roztrzaskaną potylicą. Jego prawe ramię rąbnęło o drzwi i ciężko wpadło do środka samochodu.

Eskorta na moment zamarła. Potem żołnierze unieśli karabiny i gorączkowo zaczęli szukać celu.

Raina Manhardt puściła uśmiechniętego Faisala al-Hadiego przodem i wsiadła za nim do limuzyny.

Tice podbiegł do Abendrotha, rycząc do swoich ludzi, żeby zaalarmowali dowództwo i odszukali snajpera. Przykucnął, odór świeżej krwi wypełniał mu nozdrza. Pediatra leżał

skulony na plamie brudnego śniegu. Tice podniósł jego rękę, która wpadła do samochodu.

Dłoń pokrywały grube odciski i poszarpane blizny - świadectwo tortur, które wycierpiał

Abendroth.

Tice odszukał ledwie wyczuwalny, słabnący puls w wiotkim nadgarstku. Kiedy tętno ustało, zamknął oczy zastrzelonego i podniósł głowę, żeby popatrzeć na most. Ślizgając się po śniegu, komunistyczna limuzyna ruszyła w stronę Berlina Wschodniego.

## Część I

*Przyzwyczailem się do chodzenia po ostrzu noża*

*i nie potrafię sobie wyobrazić innego życia.*

Dimitrij Poliakov, radziecki generał.

Przez osiemnaście lat był amerykańskim szpiegiem o kryptonimie Tophat; zdradził go radziecki szpieg Robert Hanssen.

# 1.

## **Kwiecień 2005**

### **Chaux de Mont, Szwajcaria**

Wszystkie dni powinny być takie. Wszystkie chwile. Gerhard Shoutens śmigał po mistrzowsku na nartach równoległe do ostrego jak brzytwa skalistego grzbietu. Podążał za przyjacielem Kristophem Maasem. Słońce oświetlało zaśnieżone Alpy, a bezkresne niebo miało głęboki, szafirowy odcień. Gerhard napawał się radością zjazdu po skrzypiącym śnieżnym pyle.

- *Das ist Wahnsinn!* - krzyknął przez wiatr.

- *Super! Toll!* - odkrzyknął Kristoph.

Zjeżdżali przez ciche zagajniki jodeł na otwarty teren. Mknęli coraz szybciej, narty szumiały na trasie wijącej się wzdłuż skalistego zbocza. Po jednej stronie rozpościerał się stok pokryty dziewiczym śniegiem. Gerhard spojrzał w drugą stronę - w niesamowitą przepaść, tak głęboką, że głązy wielkości domu leżące na dnie wyglądały jak kamyczki. Widok zapierał

dech w piersiach.

- *Sieh dir das mal an!* - zawołał.

Ale zanim przyjaciel zdołał zobaczyć tę wspaniałą perspektywę, Kristoph odbił się do tyłu, jakby trafił na przeszkodę ukrytą w śniegu. Ryknął wściekle, zбочzył ze szlaku i śmignął

w powietrze. Gerhard pochylił się nisko, rozpaczliwie próbując go złapać. Ale Kristoph wypadł za krawędź przepaści i runął w dół.

### **Dwa dni później**

#### **Więzienie federalne Allenwood, Pensylwania.**

O szóstej czterdzieści rano, dziesięć minut po pobudce, w zatłoczonym więzieniu federalnym w Susquehanna Valley obcy w cywilnym ubraniu szedł wzdłuż szarych bloków z celami, patrząc przed siebie. Prowadził go porucznik z biura naczelnika, a za nim szło dwóch strażników. Wszyscy wyglądali na zażenowanych.

Mężczyzna zatrzymał się przed celą. Ledwie otworzyły się drzwi, wszedł i spojrzał na pojedynczą prycę. Koc został odrzucony na bok, żeby można było zobaczyć niebieskie, więzienne spodnie i koszulę wypchane pogniecionymi gazetami i tak ułożone, jakby człowiek leżał na boku. Sztuczne, drewniane ramię pokryte cielistą wykładziną wziętą z więziennej fabryki. Poduszka była ułożona wysoko, jakby przykrywała czyjąś głowę, koc odsłaniał

kawałek ramienia - wszystko wyglądało bardzo naturalnie. Nawet regulaminowy nocny obchód z

latarką nie pozwalał stwierdzić, że na przyczy nikogo nie ma.

- Cwany sukinsyn. - Obcy wyciągnął komórkę z kieszeni. Wystukał numer i powiedział

cicho: - Uciekł. Jestem w celi. Ja...

- Zamknijcie ją - rozkazał głos po drugiej stronie. - Nikomu nie wolno jej przeszukiwać, jasne? I na litość boską, niech nikt nie mówi prasie, że Jay Tice uciekł!

## **Langley, Wirginia.**

O dziewiątej zero sześć Laurence Litchfield, zastępca dyrektora Wydziału Operacyjnego CIA, trzymał białą, zapieczętowaną kopertę. Niósł ją z siódmego piętra do centrali sztabowej operacji odpowiedzialnej za wsparcie dla kolegów działających w terenie. Litchfield, mężczyzna ponad czterdziestoletni, był szczupły, miał muskularne ciało biegacza i tyczkowaty chód. Nad osadzonymi głęboko oczami biegły brwi czarną jak atrament linią.

Szef centrali sztabowej operacji spojrzała na niego znad biurka.

- Dzień dobry panu. Przez noc otrzymaliśmy kilka wezwań od naszych ludzi w Jemenie i Katarze. Miałam właśnie przesłać panu informację o naszych działaniach na szczycie wywiadów, ale mogę to zrobić teraz osobiście.

- Najpierw muszę porozmawiać z jedną z pani współpracownic, Elaine Cunningham.

Zwróciła uwagę na kopertę, którą trzymał w ręku.

- Cunningham? Wie pan, że została odsunięta.

- Wiem. Proszę mnie do niej zaprowadzić.

Kiwnęła głową i wyprowadziła go za drzwi, dwoma długimi korytarzami, do pokoju z szarymi boksami. Ktoś, dawno temu, cynicznie nazwał to pomieszczenie parkingiem. Tutaj, jak nieużywane, zakurzone samochody, czekali na swój niepewny los zmieniający się co jakiś czas oficerowie terenowi. Zostali zdemaskowani albo okazali się mało zdolni, albo rozbili się o politykierstwo w Langley. Dla wielu z tej kilkudziesięciosobowej grupy następnym przystankiem była nuda biurokratycznej pracy w dziale personalnym - albo, co najgorsze -

dymisja.

Szef centrali wskazała boks Cunningham. Litchfield podziękował.

- Proszę pójść do mojego biura. Tam się spotkamy.

Litchfield przeszedł wąskim korytarzem i zobaczył Elaine Cunningham - chodziła w tę i z powrotem przed biurkiem, trzymając telefon przy uchu. Mówiła coś po cichu. Była niedużą, dwudziestodwuletnią blondynką. Miała na sobie czarną, rozpiętą marynarkę, biały T-shirt i

czarne spodnie z paskiem.

Kiedy nachylił się nad ścianką boksu, podniosła wzrok. Mrugnęła na dzień dobry wielkim, niebieskim okiem.

I dalej rozmawiała przez telefon.

- Więc pańskim zaginionym źródłem jest broker z Brukseli. Posępny Duńczyk, nie ma żony, lubi piłkę nożną. Nie przyszedł wczoraj na randkę w ciemno ani na dzisiejsze awaryjne spotkanie. Teraz doszły pana wieści, że wyjechał i cała Kopenhaga nie może go znaleźć. -

Ściągnęła usta. Przyspieszyła kroku. - Skandynawów zwykle opisuje się jako ponuraków, ale są duże różnice narodowościowe. Posępni najczęściej bywają Szwedzi, a Duńczycy są niefrasobliwi. Więc pański posępny Duńczyk może okazać się Szwedem, a jeśli jedzie do domu, to prawdopodobnie nie wybierze się przez Kopenhagę, ale promem przez cieśninę do Malmö. Kiedy amatorzy zmieniają tożsamość, zazwyczaj tworzą legendy oparte na tym, co już wcześniej wiedzieli. Jeśli jest Szwedem, szczególnie z okolic Malmö, to pewnie na tyle dobrze zna Kopenhagę, żeby udawać, że to jego rodzinne miasto. A więc raczej też mówi po duńsku jak miejscowy.

Cunningham stała i słuchała.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Nie, już opuszczam Langley. Z tobą też miło się pracowało. Zawsze zadawałeś mi ciekawe pytania. - Kiedy odwiesiła słuchawkę, chwyciła kartkę z podajnika drukarki. - Dzień dobry, panie Litchfield. To mój szczęśliwy dzień. Kto by pomyślał, że rezygnację złożę na ręce samego zastępcy. Proszę, moje podanie.

Litchfield się nie zdziwił.

- Pani psycholog byłby zadowolony. - Wziął pismo, złożył je i wsadził do kieszeni.

Usiadł na krześle.

- Po to tu jestem... żeby uszczęśliwiać terapeutów CIA. - Uśmiechała się, ale oczy miała poważne.

- Wydaje mi się, że tak naprawdę nie chce pani odchodzić. Rzadko opuszczają nas ludzie, którzy się wyróżniają.

Kobieta zamrugnęła i usiadła przy biurku. Ubrana była prosto, na biało i czarno, włosy miała gładko zaczesane i ściągnięte nad karkiem w kucyk, makijaż oszczędny. Mogła uchodzić za glinę albo szefa gangu. Była na tyle ładna, żeby móc wykorzystywać swój wygląd. Miała szczupłą twarz, wyraźnie zarysowane kości policzkowe, trochę nieregularne, ale klasyczne rysy i świetliste, złote włosy. Litchfield dokładnie przeczytał akta Elaine. Teraz ją zobaczył. Jak na razie wydawała się perfekcyjna.

- Jest w tym trochę prawdy - odezwała się po chwili. - Ale z drugiej strony koleina jest jak grób, tyle że dłuższa. Ja wpadłam w koleinę. Nie robię niczego dobrego ani dla Langley, ani dla siebie. Czas, żeby zająć się własnym życiem. - Spojrzała na białą kopertę, którą trzymał w ręku, potem z

zaciekawieniem podniosła wzrok. - Ale pan chyba myśli inaczej.

Nachylił głowę.

- Mam zadanie na miarę pani talentów... i ograniczeń. Żeby je wykonać, wyruszy pani w teren samotnie, co chyba i tak odpowiadałoby pani najbardziej.

- Niekoniecznie. Typy, jakie Langley przysyłało mi w charakterze partnerów, nie okazały się gwiazdami wywiadu.

- Nikomu pani nie ufa, prawda?

- Poza matką. Uwielbiam ją. Niestety, mieszka daleko stąd, w Kalifornii.

- Mężowi też pani ufała. Ale on nie żyje. Afganistan, zgadza się?

Na chwilę odebrało jej mowę. Skurczyła się, zbielała jak wapienny nagrobek. Znow ją przycisnął.

- Ma pani problem w relacjach z ludźmi, odkąd zmarł. Psycholog zalecił, żeby Langley pozwoliło pani odejść.

Pokiwała głową. Miała ponurą minę.

- Była pani jednym z najlepszych łowców - ciągnął Litchfield. - Właśnie teraz potrzebni mi są najlepsi.

Specjalizowała się w lokalizowaniu zaginionych szpiegów, aktywów, które stracono z oczu, „zgubionych” zagranicznych agentów, wszystkich w konspiracyjnym świecie Langley, którzy znikli - i robiła to tak, że opinia publiczna nigdy się o tym nie dowiadywała.

Zamyśliła się. Litchfield uważnie obserwował jej twarz. Nadszedł czas, żeby zmienić temat.

- Jak pani sądzi, dlaczego odniosła pani tyle sukcesów?

- Pewnie dlatego, że mam smykałkę do poszukiwań - powiedziała. - Koncentruję się na psychice obiektu. To wszystko.

Po raz pierwszy się uśmiechnął.

- Nie, jest wiele innych powodów. - Była skromna, opanowana. Tak, stanowiła najlepszy wybór. Popatrzyła na niego w zamyśleniu.

- Kiedy zastępca dyrektora wpada z wizytą, musi mieć ważny powód - stwierdziła po chwili. - A kiedy jestem tuż przed zwolnieniem z pracy, a on jednak do mnie zagląda, domyślam się, że to coś naprawdę istotnego. Pomogę panu. Jeśli myśli pan, że potrafię wykonać to zadanie, niech pan powie, o co chodzi, a ja ocenię, czy chcę i mogę się tego podjąć.

Rozejrzał się.

- Nie tutaj. Zadanie dotyczy jednej z naszych jednostek specjalnych. I zostało zaklasyfikowane jako „M”. - Niezwykle delikatna tajna operacja. Jednoliterowe sygnatury tajności używane przez Stany Zjednoczone oznaczały, że o operacji można mówić tylko przy użyciu inicjałów.

W jej niebieskich oczach pojawił się błysk. Już dawno nie miała takiego zadania.

- Niech mi pan odda podanie. Będę działać dalej, o ile nie zmusicie mnie do matkowania idiotom.

Wręczył jej kartkę razem z kopertą.

- Tu jest adres i nazwisko pani kontaktu oraz mój numer telefonu. Procedura jak zwykle: pani namierza, nasi funkcjonariusze łapią. Powodzenia.

## **Góry Catocin, Maryland.**

Gęste, ciemne, pradawne lasy spływały po stromych stokach gór Marylandu aż do miejsca, gdzie zbudowano przydrożny parking, w zielonej dolinie, przy zatłoczonej autostradzie numer 15. Chłodny wiatr, typowy dla wczesnych godzin rannych o tej porze roku, wiał nad stacją benzynową z dwoma dystrybutorami, parkingiem i kawiarenką.

Jay Tice stał w cieniu, nie ruszał się. Miał pokrwawione ubranie, co znaczyło, że jest niebezpieczny. Ale było w nim coś jeszcze, znacznie bardziej złowrogiego: wyraz postarzałej twarzy zdradzającej inteligencję i brutalną siłę.

Przemknął między drzewami. Za kawiarnią ukucnął. Na tylnej ścianie były cztery okna -

jedno z nieprzezroczystego szkła, dwa ukazywały jedzących klientów, a za czwartym, przy wejściu, widać było biurko i szafkę na akta. Kantorek nic się nie zmienił. Przez otwarte tylne drzwi wypływały tłuste zapachy smażonych kiełbas i bekonu. Tice rozejrzał się i sprintem podbiegł do wejścia. Zajrzał ostrożnie.

- Dwa jaja na miękko! - ryknął ktoś z końca zatłoczonej sali. - Pół porcji!

Tice wślizgnął się niepostrzeżenie do biura. Zamknął drzwi, włączył komputer i otworzył okno. Z kawiarni dochodził głos spikera opisującego zamach bombowy dokonany przez terrorystów związanych z al-Kaidą. Usiadł przy komputerze i założył nowe konto pocztowe w Yahoo! Wpisał adres odbiorcy i wiadomość:

*Pies uciekł. Zadzwoń do domu.*

Nacisnął „wyślij” i napisał kolejnego maila na inny adres: *Niespodziewana burza wymusiła ewakuację. Kontakt wkrótce.*

Usunął zachowane kopie i wyłączył komputer. Wyślizgnął się przez okno, tłumiąc jęk, kiedy biodrem otarł się o futrynę. Kilka sekund później biegł już przez las.





# Waszyngton

Elaine Cunningham prowadziła swojego sportowego jaguara, starając się opanować podniecenie. Wóz był smukły, czerwony i wypasiony. Przejechała przez Potomac do śródmieścia. Z głośników dobiegał rytm *Walking Tapestry*. Cieszyła ją moc silnika, eleganckie wyposażenie: kierownica ze stopu, klonowa deska rozdzielcza i miękka, skórzana tapicerka. Wiedziała, że jej miłość do luksusowego auta jest płytka, ale co z tego? Wóz szeptał, gdy jechał; nisko ryczał, kiedy się go popędzało. Kto by się oparł takiemu urokowi?

Obwodnica Duponta biegła zaledwie półtora kilometra na północny zachód od Białego Domu. Jadąc tamtędy, jak zwykle nastawiła się na alarm drugiego stopnia. Przyglądała się uważnie budynkom, sznurom samochodów, tłumom przechodniów. Wielka fontanna lśniła pośrodku okrągłego skweru, po którym biegali ludzie. Niektórzy siedzieli i pili caffè latté albo grali w szachy. Świat wyglądał bezpiecznie i niewinnie. Ale nie był taki. Dlatego od śmierci Rafe'a zawsze nosiła broń.

Skręciła w prowadzącą pod górę ulicę, płynnie zmieniając biegi. Znalazła siedzibę jednostki specjalnej - stary, piętrowy budynek w stylu wiktoriańskim z szerokim gankiem. Na tabliczce z brązu było napisane:

INSTYTUT SPRAW MIĘDZYNARODOWYCH

ZESPÓŁ DORADCÓW DO SPRAW NOWEGO TYSIĄCLECIA

Okolica była zatłoczona. Na chodnikach pełno ludzi, wzdłuż krawężników sznury samochodów. Zaparkowanie w tej dzielnicy granoczyło z cudem, tylko w Georgetown było gorzej. Krążyła po ulicach, aż znalazła lukę, w którą mogła wcisnąć jaguara. Założyła torebkę na ramię i poszła z powrotem, zastanawiając się, dlaczego zlecenie jest aż takie ważne, że zastępca szefa operacji rozmawiał z nią osobiście. Szybko przeszła po wiktoriańskim, ceglany podjeździe. Otworzyły się frontowe drzwi. Stała w nich starsza kobieta, zgarbiona i pomarszczona. Srebrne włosy okalały wieńcem jej pobrużdżoną twarz. Nosiła czarną sukienkę, nieprzezroczyste rajstopy przeciwzylakowe i bambosze.

- Witam. Spodziewaliśmy się pani. - Głos miała wyraźny, trochę drżący, ale stanowczy.

- Dziękuję. Miło panią widzieć. Chciałabym rozpocząć pracę w instytucie.

Cunningham ruszyła po schodkach na ganek. Zauważyła, że włosy kobiety są sztuczne, a sieć zmarszczek to makijaż tak doskonały, że tylko specjalista by go rozpoznał. Minęła staruszkę, weszła do środka i obrzuciła pomieszczenie fachowym spojrzeniem. Od razu znalazła kamery wmontowane prawie niedostrzegalnie w sufit i miniaturowe wykrywacze ruchu wbite w tapetę z wypukłym wzorkiem. Można było się spodziewać doskonałych zabezpieczeń. Odprężyła się, ale zarazem wzmożła czujność.

Odwróciła się.

- Pani jest Hannah Barculo? - Według zlecenia, które dał jej Litchfield, kontaktem miała być Barculo,

szeftowa jednostki o kryptonimie Chart.

- Zgadza się. To gniazdo szerszeni należy do mnie od pięciu lat. - Kobieta zamknęła drzwi. Rozległa się seria ostrych trzasków elektronicznych zasuw. - Odźwierny jest na zleceniu. Przepraszam za to przebranie, ale właśnie pracowałam. Proszę dalej. Chodźmy do mojego biura.

Kiedy szły długim korytarzem, ozdobionym fałszywymi antykami, Barculo wyprostowała się, a jej ruchy stały się płynne i energiczne. W rzeczywistości miała pewnie ze czterdzieści lat.

- Litchfield mówił, że jest pani dobra - zagadnęła Barculo. - Zgadza się?

Cunningham poczuła, że sztywnieje, ale się otrząsnęła.

- Absolutnie.

- Będę szczerą. Nie chciałam tu pani. - Barculo miała zatroskany wyraz twarzy.

Cunningham nie spodziewała się, że przyjmą ją z otwartymi ramionami.

- Szczerść za szczerść. Obie wiemy, że najlepsi łowcy są na robocie za granicą. Ale teraz mamy tutaj duży alarm. To znaczy, że jestem najlepsza z gorszych. Gdyby znalazł się ktoś inny, bez tak poplątanej przeszłości jak moja, szef wybrałby właśnie jego.

Barculo skinęła głową.

- Litchfield stwierdził, że potrzebujemy kogoś, kto myśli niestereotypowo. Jak nasza zwierzyna.

Skręciły do holu. Wszystkie drzwi były pozamykane, wokół nikogo. Podłoga starego domu skrzypiała pod krokami, ale poza tym panowała niesamowita cisza. Bezpieczne domy były czasami całkowicie dźwiękochłonne.

Barculo otworzyła jedno z drzwi. Weszła, westchnęła, zdjęła perukę i potrząsnęła krótko przyciętymi kasztanowymi włosami. Usiadła za wielkim biurkiem, gdzie czekały dwa parujące ceramiczne kubki. Bogaty aromat świeżo zaparzonej kawy wypełniał gabinet -

przestronny, z eleganckim, kasetonowym sufitem. Stały tam krzesła, stoliki, półki z książkami i telewizor. W innej epoce nazwano by to salonikiem.

Kiedy Cunningham zamknęła drzwi, Barculo powiedziała:

- Łap kofeinę i coś do siedzenia.

Cunningham wzięła kubek i wybrała wytarty fotel. Zdjęła z ramienia torebkę.

- Chciałabym wiedzieć, co się dzieje.

Barculo zamieszała kawę, gapiąc się w kubek. Kiedy podniosła wzrok, wyglądała, jakby podjęła

decyzję.

- Czy kiedykolwiek spotkałaś Charlesa Jaya Tice'a?

- Słyszałam o nim, ale nigdy nas sobie nie przedstawiono. Czy to ma związek z którąś z jego dawnych operacji?

- Może. Co zapamiętałaś?

- Oczywiście to, że był idolem zimnej wojny, legendą Spółdzielni. Genialnie prowadził ludzi i zespoły.

- Zgadza się. Brał udział w większości naszych najważniejszych akcji w Europie. Na pewno uczyłaś się o niektórych na Fermie.

- Nie wiedzieliśmy, które operacje on przeprowadzał. Ale podobno był tak podstępny, że potrafił wyprowadzić w pole nawet Markusa Wolfa. To prawda? - zapytała z zainteresowaniem.

- Nie mam wiedzy bezpośredniej, ale wcale bym się nie zdziwiła.

- Słyszałam też, że jedna z wtyk, stracona na rozkaz Moskwy, miała informację, która zapobiegłaby zamachowi z jedenastego września, ale nie zdążyła jej przekazać, bo Tice zdradził. - Same słowa ją przerażały.

- Zgadza się. Cunningham się zamyśliła.

- Czytałam o jego milionowym koncercie numerycznym w Szwajcarii i testach na wykrywaczu kłamstw, których nie przeszedł. Ale doświadczenie mi mówi, że musiało być coś więcej. Jak naprawdę go zdemaskowano?

- Po tym, jak złapaliśmy Ricka Amesa w 1994 roku, a w 2001 FBI aresztowało Boba Hanssena, zapanowało poczucie, że uwolniliśmy się od zdrajców, bo wyeliminowaliśmy dwóch najważniejszych. Ale Langley chciało mieć pewność. Poprosiliśmy więc FBI, żeby pomogło nam stworzyć skomputeryzowany model znanych i podejrzewanych przecieków, począwszy od wczesnych lat osiemdziesiątych. To, oczywiście, ściśle tajne.

- I program ujawnił Tice'a? - Cunningham napiła się kawy.

- Tak. Niektóre z najgorszych spraw nie mogły być przypisane ani Amesowi, ani Hanssenowi, ani żadnemu z pomniejszych zdrajców, których wykryliśmy. Wprowadziliśmy więc nazwiska funkcjonariuszy, zadania i terminy operacji. Nazwisko Tice'a wyszło wyraźnie.

Pamiętasz tę pustkę między 1991 a 1999 rokiem, kiedy rosyjski wywiad nie miał żadnych zapisów, że Hanssen dla nich szpieguje? Od tego czasu Tice wyprzedawał sklepik.

Mimo że po zimnej wojnie intensywna rywalizacja ideologiczna zakończyła się, priorytetowym

celem szpiegostwa ze strony Kremla pozostały Stany Zjednoczone.

Cunningham popijała kawę i myślała o Jayu. Kiedy aresztowano go w 2002 roku, był zastępcą dyrektora do spraw operacyjnych - drugim po dyrektorze generalnym centrali wywiadu. Miał

dostęp do najściślejszych tajemnic państwowych. Jego aresztowanie stało się międzynarodowym skandalem szpiegowskim. Przez rok krzyczały o tym tytuły gazet na całym świecie.

Poczuła przyływ adrenaliny.

- Chwileczkę. Potrzebujecie łowcy. Jest alarm. Chodzi o Tice'a?

Barculo westchnęła ze smutkiem i rozparła się w krzesło.

- Dziś rano uciekł z więzienia razem z towarzyszem z celi Frankiem Theosopholismem.

Ponieważ chodzi o bezpieczeństwo państwa, szeryfowie federalni nie mogą się tym zająć.

Dyrektor centrali wywiadu zawarł układ z FBI, które nadal będzie prowadzić śledztwo w więzieniu, ale w kompetencjach CIA leży zatrzymanie zbiega. Dyrektor centrali wywiadu powierzył zadanie Laurence'owi Litchfieldowi, a on przydzielił je nam - Chartowi. Odnosimy duże sukcesy w tajnych misjach. Poza tym jesteśmy doskonale zakonspirowani. Rzecz w tym, że mamy tylko dwa dni. Jeśli nie uda się nam, FBI przejmuje sprawę. Musimy wsadzić Tice'a i Theosopholisa za kratki szybko i po cichu.

- Tylko dwa dni!?

- Bóg wie, jakich szkód może narobić Tice na wolności. A Langley nie chce pokazywać podbitego oka opinii publicznej ani Kongresowi.

- Zgoda - odezwała się Cunningham z nutką pewności w głosie. - Musimy wykonać terminową robotę. Im wcześniej, tym lepiej. Co działaliście do tej pory?

- Wysłałam ludzi, żeby obserwowali ambasadę rosyjską i stare, ulubione miejsca spotkań Tice'a. Sprawdzamy lotniska, stacje kolejowe i agencje wynajmu samochodów.

Przeszukaliśmy szafkę, którą wynajął na przechowanie rzeczy pozostałych po sprzedaży domu, i monitorujemy jego najnowsze konto bankowe. Te same procedury stosujemy wobec Theosopholisa.

- Nie znam. To ktoś, kogo Tice zwerbował za granicą?

- Nie mamy go w żadnej z naszych obecnych baz danych. Wysłałam prośbę o kopie starych dysków. Theosopholis odsiaduje wyrok za zabicie agenta DEA. Jak tylko dostaniemy akta, dam ci odpis. A to dane Tice'a. - Przesunęła grubą teczkę po blacie.

- Jak uciekli z Allenwood?

- Jeszcze nie wiemy. Po prostu ich cele były puste. Prześlizgnęli się obok strażników, kamer, przeszli przez bramy, nie wywołując najmniejszego alarmu.

Teczka była gruba na pięć centymetrów. W środku znajdowały się wydruki i fotografie.

Była też płyta kompaktowa podpisana nazwiskiem Tice'a.

- Obaj będą korzystali z telefonów. Co z naszymi satelitami Ferret i Rhyolite? Co z Keyhole?

Orbitujące kilka tysięcy kilometrów nad ziemią, wielkie jak boiska anteny satelitów Ferret i Rhyolite wychwytywały rozmowy z naziemnych linii telekomunikacyjnych na całym świecie. Satelity Keyhole były w stanie odczytać z kosmosu nagłówki gazet, charakterystyki termiczne samochodów, czołgów, budynków i ludzi. Niektóre miały lasery odwzorowujące i mogły tworzyć trójwymiarowe repliki obiektów znajdujących się na ziemi, łącznie z zegarkiem na rękę albo biletem lotniczym.

- Jeszcze dziś dostaniemy te raporty - zapewniła Barculo.

- Jeśli któryś z satelitów Keyhole orbitował nad Allenwood, możemy dostać zdjęcia, jak uciekali.

- Szkoda czasu na czekanie. Kazałam podstawić dla ciebie samolot na Andrews, żeby cię tam zawiózł.

- Dobrze. Macie ForeTell? - Oparty na oprogramowaniu PROMIS stworzonym w końcu lat siedemdziesiątych ForeTell uchodził za najbardziej rewolucyjny i wyrafinowany program śledzący i analityczny na ziemi. Był ściśle tajny, wykorzystywany przez amerykański wywiad i armię Stanów Zjednoczonych. Potrafił zestawiać dane z szybkością wymykającą się ludzkim standardom, eliminować zbędne kierunki śledztwa i grupować informacje we wzory podlegające analizie.

- Mamy.

- Muszę zerknąć na kilka analiz, zanim wyjadę.

- Nie. Leć najpierw do Allenwood. - Barculo się nachmurzyła. - Już dość czasu zmarnowaliśmy.

Łowcy byli niezależnymi ludźmi, co z trudem docierało do świadomości osób przyzwyczajonych do wydawania rozkazów. Cunningham, hamując złość, wstała i powiedziała łagodnie:

- Rozumiem i dziękuję za radę. Ale najpierw zapoznam się z analizą danych.

Hannah Barculo tkwiła nieruchomo za biurkiem przez całe dziesięć sekund. Potem trzasnęła otwartymi dłońmi o blat i wstała.

- Dobra. Chodź.

Korytarz nadal był pusty, a w domu panowała cisza. Cunningham spojrzała na pozamykane drzwi.

- Cały oddział wybrał się na poszukiwania Tice'a i Theosopholisa czy budynek jest

dźwiękoszczelny?

- I jedno, i drugie. - Barculo wskazała szeroką klatkę schodową. - Twoje biuro jest na piętrze. Ostatnie drzwi. Domyślam się, że chciałabyś zostać tam sama.

Zignorowała tę uwagę.

- Znałaś Tice'a?

Szefowa Charta popatrzyła na nią zaskoczona.

- Owszem. Poznałam go dawno temu, w połowie lat osiemdziesiątych, w Berlinie Zachodnim. Wykonywałam swoją pierwszą akcję zagraniczną.

- Co o nim sądzisz?

- Twardy orzech do zgryzienia. Chyba nikt nie mógłby powiedzieć, że naprawdę go poznał. Oczywiście, wielu naszych go uwielbiało. Miał w sobie czar. Ale inni go nienawidzili.

- Zawahała się. - Jest bardzo wymagający. Uważa, że wie wszystko najlepiej. Nie wiem, jak jego biedna żona dawała sobie z nim radę. - Otworzyła drzwi. - To tutaj.

Pokój był równie duży jak gabinet Barculo. Długie, podobne do półki biurko ciągnęło się wzdłuż trzech ścian. Stały na nim telefony, klawiatury i płaskie monitory. Pracowała tam tylko jedna osoba, mężczyzna po trzydziestce w okularach z drucianą oprawką, ubrany w koszulę i sportowe spodnie. Zdjął słuchawki i podniósł wzrok z przyjacielskim uśmiechem.

Barculo dokonała prezentacji.

- Elaine Cunningham, to Mark Silliphant.

- Pani jest łowcą? - zapytał.

- Jasne. I potrzebuję pańskiej pomocy. Mógłby pan wejść w bazy danych personalnych Jaya Tice'a? - Położyła torebkę i dossier na biurku obok mężczyzny.

Kiedy zaczął kręcić głową, odezwała się Barculo:

- Zezwalam. - Nachyliła się nad jego ramieniem i wyszeptała instrukcje. Palce Silliphanta bębniły po klawiaturze. Cunningham przechadzała się po pokoju z założonymi rękami. Myślała.

- Okay, wszedłem w bazę - zakomunikował w końcu Silliphant.

Uśmiechnęła się.

- Dobrze. - Na ekranie pojawiło się nazwisko Tice'a, fotografia, numer ubezpieczenia społecznego i numer rejestracyjny biura więziennictwa. - Proszę wyciągnąć wszelkie rzeczowniki: nazwiska,

miasta, kraje, budynki, spółki, ich deskryptory i odnośniki. Proszę to ułożyć według dat, potem według lokalizacji. Szukam powiązań. Może Tice ma ulubioną kawiarnię w Rzymie, znaną z określonego dania albo przyprawy, ale kawiarnia przeniosła się do Richmond w Wirginii, albo znalazł w Richmond kawiarnię z takim daniem albo przyprawą.

Dalej, należy wyłuskać ludzi żyjących i zmarłych. Chcę wiedzieć, kto był w pobliżu Tice'a, ale niekoniecznie z nim w kontakcie. I jeśli to możliwe, co robili ci ludzie. Szczególnie mi zależy, żeby dowiedzieć się, gdzie są teraz. I znów odnośniki.

Silliphant nie podniósł wzroku.

- Mogę posortować też ich własne sprawy niezwiązane z Tice'em. Oczywiście, jeśli takie informacje są osiągalne.

- Proszę to zrobić. Powinna tam się znaleźć także lista różnych rządowych i publicznych baz danych, w których pojawia się on albo jego misja. Proszę je zintegrować.

ForeTell

mógł

zestawiać

niezliczone

bazy

danych

bez

konieczności

przeprogramowywania na inny język kodu, w którym baza została stworzona. Popatrzyła na Barculo.

- Chciałabym, żeby Mark zrobił to samo z wszystkimi danymi, które macie na temat Theosopholisa. - Barculo skinęła głową, a Cunningham kontynuowała. - Pożyczycie mi laptopa? Mark przesyłałby mi wyniki poszukiwań i mogłabym przejrzeć płytę kompaktową z teczki Tice'a.

Barculo wyjęła z szafki notebooka i tytanową walizkę. Włożyła do środka komputer.

- Coś jeszcze?

- Dziękuję. To wszystko. - Cunningham położyła teczkę z aktami na wierzchu, zatrzasnęła wieko, wbiła kod i zamknęła walizkę na klucz. - Żałuję, że nie mogę tu zostać, żeby popracować z Markiem, ale rzeczywiście powinnam być w Allenwood.



Ponure spojrzenie Barculo złagodniało.

- Zaprowadzę cię do wyjścia.

W korytarzu Cunningham wróciła do wcześniejszej rozmowy.

- Dlaczego ludzie nie lubili Tice'a?

Barculo się zamyśliła.

- Opowiem ci o sprawie z 1983 roku. Tamtego lata Tice prowadził tajną grupę, w której pracowałam. Jeden z nowych dostał informację, że Johannes Weinrich ma zacząć działania.

Przypominam, że Weinrich był jednym z najważniejszych pomocników Carlosa, czyli Szakala, wtedy najbardziej poszukiwanego terrorysty na świecie. Taki europejski Osama bin Laden.

- Więc szykowała się krwawa łaźnia?

- Właśnie. - Barculo otworzyła na pozór zwyczajne drzwi biurowe, ale za nimi był

schowek z odkurzaczem i półkami zastawionymi środkami czystości. - Chodź za mną. - Po drugiej stronie otworzyła następne drzwi i wyszła na klatkę schodową oświetloną jedną żarówką. W powietrzu śmierdziało pleśnią i kurzem.

- I co się stało? - dopytywała Cunningham.

- Nasz nowy człowiek przekradł się do Berlina Wschodniego, żeby śledzić Weinricha.

Ale Tice dowiedział się o tym i go stamtąd zgarnął. Nie wierzył facetowi. Zagroził, że go wyrzuci za oddalenie się bez zezwolenia. Potem zabrał nowego z powrotem do Berlina Zachodniego i nikt już nie pilnował Weinricha. Dzień później Weinrich odebrał z centrali ładunki nitropenty i przekazał dwóm innym terrorystom. Podłożyli je w Maison de France, w Berlinie Zachodnim. Wybuch zburzył wszystko. Cudem zginęła tylko jedna osoba. Finał

tragedii był taki, że przekłęci terroryści uszli bezkarnie. Uciekli do Berlina Wschodniego, gdzie chroniło ich Stasi.

Cunningham patrzyła ze zdumieniem.

- Dobry Boże. To koszmar.

- Tak. Barbarzyński atak na cywilów. A ten nowy facet mógł temu zapobiec, gdyby nie Jay Tice. - Barculo zeszała po drewnianych schodach do wilgotnej, ceglanej piwnicy.

Cunningham poszła za nią.

- Kto to był, ten nowy?

Na dole schodów Barculo się odwróciła. Jej pomarszczona twarz nie wyrażała żadnego uczucia.

- Larry Litchfield.

- Laurence Litchfield? Nasz zastępca szefa operacji? - Człowiek, który kazał jej ścigać Jaya Tice'a.

- Dawne dzieje. - Barculo wzruszyła ramionami. - Larry był wściekły i wstrząśnięty. Ale jak widać, tanto wydarzenie nie zaszkodziło jego karierze. Był cholernie dobrym agentem. -

Uchyliła drzwi, zza których wsączyło się światło słoneczne. - To nasze zapasowe wejście.

Korzystaj z niego. Zaprogramowałam dla ciebie kod. Będziesz musiała przycisnąć lewy kciuk do ukrytej blaszki. Dam ci też numer mojego telefonu komórkowego. Ja twój mam, oczywiście. - Podała kod i wyjaśniła, jak obsługiwać system zabezpieczeń.

Cunningham zapamiętała wszystko.

- Jak sądzisz, dlaczego Tice zdradził? - spytała.

- Próżność - odpowiedziała krótko Barculo. Otworzyła drzwi szerzej i się wychyliła. -

Chyba nikogo nie ma. - Odsunęła się na bok.

Cunningham spojrzała na brukowaną uliczkę zatłoczoną parkującymi samochodami.

Poranne słońce zalewało pojazdy i domy różową poświatą.

- Do widzenia wkrótce, Hannah.

Barculo zdobyła się na cień uśmiechu.

- Wolalabym raczej zobaczyć Tice'a. Z powrotem w więzieniu. Nie zrób niczego głupiego, Elaine. Pamiętaj, ty namierzasz, my łapiemy. Nie chcemy, żeby stała ci się krzywda.

Znajdź go szybko, potem zadzwoń do mnie.

Ściskając rączkę walizki z komputerem, z torebką przewieszoną przez ramię, Elaine Cunningham skinęła głową i rozejrzała się ostrożnie. Puls jej przyspieszył, wyslizgnęła się za drzwi i ruszyła pewnym krokiem.

### 3.

#### Wirginia, droga na południe

Jay Tice zgarbił się nisko za kierownicą geo pryzm w gęstym ruchu na międzystanowej drodze numer 95. Czapkę Redskinsów naciągnął nisko, aż opierała się o okulary przeciwsłoneczne. Zmienił twarz, pogrubiał rysy. Teraz jego twarz wydawała się niemal kwadratowa. Niecierpliwie przeskakiwał z jednej stacji z wiadomościami na drugą, aż wreszcie zatrzymał się na WTOP z Waszyngtonu nadającą tylko najnowsze informacje. Nie usłyszał ani słowa o swojej ucieczce - Langley mocno dokręciło wieczka tajemnicy.

W hrabstwie Stafford pola rozpościerały się aż po horyzont. Tice dostrzegł asfaltową drogę, której szukał, skręcił i jakiś czas jechał prosto. Potem zбочzył na wiejski trakt prowadzący w gęsty las. Wreszcie dostrzegł wysoki stos głazów. Przejechał obok i zaparkował w pobliżu dwumetrowego pomnika wojny domowej. Wykonany z szarego granitu monument upamiętniał jakąś potyczkę bez militarnego ani politycznego znaczenia. Tice anonimowo ofiarował ten pomnik hrabstwu cztery lata temu, używając funduszu dobroczynnego jako przykrywkę. Była to jedna z jego prywatnych „polis ubezpieczeniowych”, które sobie założył.

Nasłuchując i obserwując, wysiadł i ostrożnie podszedł do pomnika. Powietrze przesycone było zapachem sosen. Owady brzęczały. Niebieska sójka zaczęła głośno narzekać, broniąc przed innymi ptakami resztek martwej myszy. Granitowy pomnik był zwykłą kolumną wznoszącą się z ozdobnej podstawy. Tice ukucnął z tyłu i obmacywał podstawę, aż jego palce wykryły owalną, chropowatą łatę. Była ledwie zauważalna dla oka, zwykły fragment naturalnej tekstury kamienia. Nacisnął na przeciwległą krawędź. Z cokołu wysunęła się głęboka szuflada zarośnięta trawą i chwastami.

Kiedy wrywał rośliny, usłyszał warkot silnika. Motor zbliżał się szybko. Tice zatrzasnął szufladę i rzucił się w stronę drzew. Kiedy hałas się oddalił, Tice przypomniał sobie trasę, którą nadjechał: trzy przecinające się drogi i dwa długie podjazdy prowadzące do wiejskich domów. Możliwe, że motocyklista skręcił w któryś z nich. Albo nie. Hałas silnika zamarł w oddali.

Tice podbiegł z powrotem do pomnika i oburącz zaczął wrywać chwasty. Ziemia leciała na wszystkie strony. Metalowa szuflada znów się wysunęła, tym razem dalej, ale zablokował ją kawałek darni. Tice wbił w niego obcas i wyrzucił kopnięciem. Odzyskał

równowagę i mocno szarpnął szufladę. Kiedy upadła na ziemię, raczej wyczuł, niż usłyszał

kroki na zwirowanej drodze.

Wyjął z szuflady duże, hermetycznie zamknięte pudło i znów wsunął ją na miejsce. Z

pudłem pod pachą wbiegł między drzewa, wymijając topole i dęby. Jego stopy szurały po mchu. Z nagłą jasnością wróciły wspomnienia uliczek Berlina Wschodniego, Rzymu i Wiednia. Zatrzymał się za dużym jaworem, wyjął okulary do czytania z kieszeni koszuli i zdjął okulary przeciwsłoneczne.

Zakręcił zamkiem szyfrowym pudła w lewo, w prawo i jeszcze raz w lewo. Ale kiedy szarpnął,

wieko się nie otworzyło. Trzasnęła gałązka. Blisko. Zerknął ostrożnie zza pnia.

Ubrany na czarno motocyklista w nieprzezroczystym, baniastym hełmie, skrywającym twarz, zatrzymał się niecałe piętnaście metrów dalej. Umiejętnie obrócił się, trzymając oburącz pistolet z tłumikiem. Szukał celu.

Tice nie musiał długo się przyglądać, żeby wiedzieć, kim był motocyklista -

zawodowym sprzętaczem, dobrze wyszkolonym zabójcą, wysłanym, żeby usunąć zagrożenie.

Tice poczuł, że znów wszedł w swoją starą rolę. Z chłodnym uśmiechem schował się za drzewo i przysunął pudło, żeby lepiej przyjrzeć się zamkowi. Ale promień słońca odbił się od metalu i śmignął między gałęzie.

Odpowiedź była natychmiastowa. Trach. Stłumiony strzał, kula przeleciała obok głowy Tice'a. Liście jaworu posypały się we wszystkie strony, barwiąc powietrze na zielono. Trach.

Kolejny strzał rozerwał korę, zasypując ostrymi kawałkami czapkę Redskinsów.

Kiedy Tice usłyszał, że napastnik zrywa się do biegu, ruszył sprintem, klnąc bezgłośnie.

Usłyszał jęk kolejnych, wyciszonych strzałów, i zanurkował w cień. Okrążał jodły, biegł

ślalomem między klonami i dębami. Wreszcie schował się za głazem wielkości małego domu, ukucnął i nasłuchiwał.

Ptaki nie śpiewały. Nie słychać było odgłosów ucieczki żadnego zwierzęcia. Las stał

cichy, wstrząśnięty nagłym wtargnięciem intruzów. Tice skupił się i znów obrócił zamek pudła. Spieszył się. Pociągnął. Zamek puścił, Tice uniósł wieko. Szybko sięgnął po leżącego na wierzchu dziewięćmilimetrowego browninga. Odwinął irchę. Włożył magazynek i wprowadził nabój do komory. Wprawnym ruchem dołożył jeszcze jeden nabój. I zatrzasnął

magazynek.

Teraz sam był łowcą. Wstał, przywierając plecami do skały, gotowy do akcji. Włożył

okulary do kieszeni i zaczął nasłuchiwać. Cierpliwość to podstawa. Niewielu jego wrogów potrafiło czekać tak długo jak on. Las powie mu to, co chciał wiedzieć.

Ale wokół panowała cisza. W końcu przebiegło kilka zwierząt. Ptaki podleciały gwałtownie, żeby sprawdzić, czy już jest bezpiecznie. Kiedy zagrzechotały kamyki, Tice zmarszczył czoło. Wyteżał słuch, starając się ustalić, z której strony dochodzi dźwięk. Kolejny odgłos, stłumiony, jakby gumowej podeszwy na kamieniu. I znowu. Tice poczuł przyływ adrenaliny - sprzętacz był po drugiej stronie głazu.

Tice wsadził pistolet za pasek, chwycił skalną półkę i podciągnął się na wierzch głazu.

Leżąc na brzuchu, spojrział w dół - dokładnie na czubek czarnego hełmu sprzątacza. Oddychał powoli.

Mężczyzna stał na zakurzonej płycie piaskowca dobre cztery metry niżej.

Dziewięćmilimetrowego sig sauera trzymał oburącz, z palcem na spuście. Obracał się, gdy podchodził krok za krokiem.

Tice zaklął w głębi duszy. Browning nadal tkwił mu za paskiem ściśnięty między brzuchem a głazem. Nie było miejsca, żeby przewrócić się na bok. Myślał, a pot spływał mu po twarzy. Wreszcie nabrał powietrza, wypuścił i uniósł się na jednej ręce, drugą wyciągając pistolet. Koniec lufy zawadził o skałę. Rozległo się brzęknięcie.

Sprzątacza zareagował natychmiast. Jak lobujący piłkarz, podskoczył, rzucił się na plecy i przywarł do podłoża. Błyskawicznie wycelował sig sauera w przeciwnika.

Tice miał ułamek sekundy. Oba pistolety wystrzeliły razem. Broń z tłumikiem sprzątacza nie narobiła wiele hałasu, ale strzał z browninga zagrzmiał jak piorun.

Kula przemknęła przy twarzy Tice'a i zerwała mu z głowy czapkę. Z roztrzaskanego hełmu sprzątacza trysnęła fontanna krwi. Echo strzału nikło między drzewami.

Zabójca nadal trzymał pistolet, ale się nie poruszał. Leśna cisza zaczęła się ciągnąć w nieskończoność, więc Tice ześlizgnął się z głazu i kopnięciem odrzucił broń prześladowcy.

Znów czekał. Wreszcie przykucnął i przyłożył palce do wilgotnego, gorącego gardła.

Nie było pulsu. Marszcząc czoło, ściągnął hełm i przyjrzał się pospolitym rysom twarzy, cienkim ustom, szerokiemu nosowi. Nie znał tego człowieka. Znalazł przy nim tylko kluczyki do motocykla, dodatkową amunicję i płaski portfel z gotówką, ale bez kart kredytowych ani prawa jazdy. Faceta wysłano zupełnie anonimowo. Jasne.

Rzucił portfel daleko między drzewa, resztę schował do kieszeni. Trup już nic mu nie powie. Przykrył zwłoki ściółką i liśćmi. Pracując, próbował domyślić się, jak go namierzono.

Nikt nie znał tej kryjówki i na pewno nikt za nim nie jechał.

Sprawdził, czy nie ma na sobie pluskwy tropiącej. Nic. Podniósł sig sauera, zdjął ze sprzątacza koszulę, pobiegł wokół głazu do metalowego pudła, zrosił koszulę w trawie i się wytarł. W pudle miał jeszcze kaburę i resztę „kieszonkowego” - gotówkę, dowody tożsamości, wizytówki, karty kredytowe, poza tym spodnie marynarskie i brązową koszulę. Przypiął

kaburę pod ramieniem, wsunął do niej sig sauera i przebrał się w nowe ubranie. Koszula opinała mu się na piersi, ukazując mięśnie wyćwiczone w więzieniu.

Działał szybko, włożył dowód i karty do kieszeni. Zamknął zakrwawione więzienne ubranie w pudle.

Z browningiem w ręce i pudłem pod pachą poszedł w stronę drogi, chowając się za drzewami. Nasłoneczniony widok był taki sam, jak przed niecałą godziną: samochód nadal stał obok pomnika wojny domowej. Niebieska sójka posilała się myszą. Najwyraźniej napastnik był sam.

Włożył pudło do skrytki w pomniku i zaczął sprawdzać drogę wokół samochodu.

Słyszał tylko wiatr między gałęziami. W końcu otworzył bagażnik. Poczł odór krwi i śmierci. Frank Theosopholis leżał na lewym boku; kolana miał podciągnięte, ramiona skrzyżowane na piersi, nosem wciskał się w starą wykładzinę. Był dwadzieścia lat młodszy od Tice'a, miał marchewkowe włosy i budowę zapaśnika. Tice zdążył tylko pobieżnie go przeszukać. Znalazł gotówkę i identyfikator więzienny. Może coś pominął. Przyglądał się...

zegarek.

Chwycił trupa za rękę. *Rigor mortis* usztywnił już mięśnie, barki i twarz. Tice zerwał

zegarek - cyfrowego timeksa. Potrząsnął nim i otworzył wieczko.

W otworze na baterię znajdował się zminiaturyzowany nadajnik GPS, nie grubszy niż paznokieć. Więc tak go namierzyli. Wściekły chciał już zmiażdżyć mechanizm obcasem.

Ale w końcu położył nadajnik na dłoni, przyjrzał mu się uważnie i rozejrzał wokół. Jego wzrok zatrzymał się na głodnej, niebieskiej sójce. Nadal jadła. Z zimnym uśmiechem podszedł do ptaka. Sójka odfrunęła. Przyklęknął. Mięso, które dziobała, wyglądało jak hamburger.

Wcisnął w nie nadajnik.

- Masz deser - mruknął.

Kiedy się cofnął, ptak znów nadleciał, przekrzywił głowę i przyskoczył do jedzenia.

Tice podbiegł truchtem do wozu. Przed nim ciągnęła się pobrużdżona koleinami przecinka przeciwpożarowa. Schowa tam samochód i wróci pieszo do motocykla. Wsiadł i zaczął analizować sytuację. Skoro Theosopholis miał nadajnik, to znaczy, że właśnie on stanowił cel. Ale sprzątac, jak tylko zobaczył Tice'a, powinien wiedzieć, że to nie ten człowiek, i wycofać się albo spróbować schwytać go żywcem, żeby wypytać o Theosopholisa.

Ale sprzątac od razu zabrał się do mokrej roboty. Miał więc zlecenie na Tice'a i chyba nikogo innego.

Pogrążony w myślach odjechał. Ktoś, kto przysłał tego drania, dysponował środkami, z którymi Tice musiał się liczyć.

## **Hrabstwo Maricopa, Arizona.**

Z kabiny wielkiego osiemnastokółowca Jerry Angelides przyglądał się pustyni Sonora.

Rozciągała się dookoła jak morze przyprószonych prochem kości. Poranek był zimny, a słońce mdłe. Angelides próbował otrząsnąć się ze złych przeczuć. Coś musi się wydarzyć.

Zgrzytając hamulcami, ciężarówka zawróciła i podjechała tyłem pod magazyn. W okolicy nie stały żadne inne budynki, ale przecież wokół międzystanowej drogi numer 10 zawsze więcej było heloderm meksykańskich i grzechotników niż ludzi. Oto część planu pana G.

Angelides wygramolił się z kabiny i zwrócił do szofera:

- Wszyscy kierowcy zostają na miejscach. Reszta wychodzi, ale czeka, aż sprawdzę okolicę. Przekaż to przez radio.

- Dobra, Jerry.

Angelides, krępy, krótko ostrzyżony mężczyzna ze stalowymi, pustymi oczami, nosił jak zwykle sportową kurtkę i ciemne spodnie. Skierował się do magazynu, a dwaj inni, którzy jechali na tylnych siedzeniach, wyskoczyli za nim. Nieśli naładowane strzelby remington,

„pompki”. Zajechały kolejne osiemnastokółowce i zaczęli z nich wysiadać ludzie z

„pompkami”. Na burtach ciężarówek widniały wielkie, niebieskie globy i słowa TRANSPORT GLOBALNY wypisane niebieskimi i złotymi literami.

Angelides obszedł róg magazynu, rozglądając się na wszystkie strony. Szukał czegoś, co nie pasowałoby do otoczenia. Szedł po twardo ubitym pustynnym piasku, mijając kaktusy i spieczone słońcem skały. Okrążał budynek. Na tyłach zobaczył eleganckiego, białego cadillaca. Właściciel limuzyny, pan Lockyear, wychodził z bocznych drzwi magazynu. Miało go tutaj nie być, chyba że zostałby poproszony o przybycie. Tak się umawiali.

- Wcześniej jak na was, co? - Pan Lockyear był gruby i spocony.

- Mówiłem, żeby trzymał się pan z daleka. Dostaje pan miesięczną zapłatę, prawda? - Za pośrednictwem Federal Express wysyłał czynsz każdego pierwszego, tysiąc dolarów w gotówce. Federal Express nie byłby zadowolony, gdyby wiedział, o co chodzi.

- Ludziska w okolicy nie zajmują się cudzymi sprawami, ale są pewne granice.

Poważnie traktuję swoją własność. - Lockyear nosił słomkowy kapelusz. Okulary słoneczne w metalowej oprawce siedziały mocno na jego bulwiastym nosie. - Myślę, że robicie tu śliskie interesy i dlatego płacicie więcej, niż się należy. Cholera, Jerry, to nie wygląda dobrze.

- Otwierał pan skrzynie? - Angelides sięgnął pod kurtkę.

- Hm, cóż, tylko jedną. Musiałem, rozumiesz... - Zamarł, kiedy zobaczył broń w ręku Angelidesa. - Chwileczkę. Właśnie chciałem poprosić o więcej pieniędzy za najem. Może jeszcze pięćset. Okay, trzysta. Nikomu nie powiem ani słowa...

- Jasne, że nie powiesz. - Angelides odstąpił o krok i pociągnął za spust.

Odgłos wystrzału był ogłuszający. Wielka, dziesięciomilimetrowa kula wywierciła czerwoną dziurę w mostku okularów słonecznych. Twarz Lockyera obwisała, w gardle zablokowało. Mężczyzna runął na ziemię jak marionetka.

Angelides westchnął. Przypomniawszy sobie, że dziś miał złe przeczucia. Nie znośił, kiedy ludzie łamali umowy. Pochylił się i wytarł krew z ręki, w której trzymał broń, o białą koszulę Lockyera. Potem schował kolta do kabury pod pachą. To był jego ulubiony - trochę ponad kilogram wagi, tylko dwadzieścia centymetrów długości; mały, łatwy do schowania.

Ładowało się go śmiertelnymi dziesięciomilimetrowymi nabojami. Ludzie, którzy choć trochę się na tym znali, wiedzieli, że ma dobrą broń.

Jego chłopcy wypadli z rąk ze strzelbami gotowymi do strzału. Przyglądali mu się.

- W porządku? - zapytał któryś, zerkając na Angelidesa.

- Jasne. To był pan Lockyear - wyjaśnił Angelides.

Ktoś zachichotał.

- Ostry jesteś, Jerry. Naprawdę ostry.

- Musiałem. Trudno. Przez kilka minut nie zaśmierdnie, bo leży w cieniu. Jak skończycie ładowanie, wsadźcie go do cadillaca i zawieźcie do jaru. No, chodźmy przed magazyn.

Otworzył boczne drzwi i podszedł do tablicy rozdzielczej. Nacisnął kilka guzików.

Ogromne wrota rozjechały się na rolkach. Wszedł natychmiast, żeby nadzorować pracę chłopaków. Stali w szeregu, gapiąc się wielkimi oczami na coś, co wyglądało na małe, lekkie samochody plażowe, upakowane ciasno aż po kraniec hali. Przywykli do przewożenia kradzionych towarów, szczególnie broni i narkotyków. To było coś nowego. Dwóch aż gwizdnęło z zachwytu.

- Landflyer - wyjaśnił z uśmiechem Angelides. Pojazdy miały ażurową ramę przymocowaną do czterech wielkich kół, siedzenia i platformę towarową ze stojakiem na broń.

- Jezu - wymamrotał któryś.

- Kurczę, Jerry. Jesteśmy za daleko od morza, żeby spędzić dzionek na plaży!

Wszyscy ryknęli śmiechem.

- To na pewno pojazdy wojskowe - ocenił jeden.

- Zgadza się - potwierdził Angelides. - Ale Wuj Sam ma na razie tylko prototypy. To była pierwsza dostawa dla wojska.



- Hej, one mają stojak na działko! - zakomunikował czwarty. - Z czego strzelają, Jerry?

- Kaliber pięćdziesiąt. - To naprawdę robiło wrażenie.

Mężczyzna stojący obok Angelidesa pokręcił głową.

- Za dużo towaru. Nie pomieścimy w ciężarówkach.

- Landflyery wstawia się jeden w drugi - odparł Angelides. - Jak klocki lego. Po to są tutaj dźwigi. Widzisz? Popatrzcie w bok, na drewniane skrzynie. Tam są działka. Wszystko ładujemy na ciężarówki razem z dźwigami. Nie zostawiamy niczego. Kapujecie? Niczego.

- Nie licząc trupa.

Angelides gwałtownie odwrócił głowę.

- Który to powiedział?

Mężczyźni się roześmieli.

- Ładujcie, migiem. Macie długą drogę do przejechania i musicie trzymać się planu.

Kluczyki są w stacyjkach.

Włączyło się kilka dieslowskich silników landflyerów. Angelides patrzył, jak maszyny jadą w stronę ramp prowadzących do ciężarówek. Landflyery potrafiły śmigać po pustyni z szybkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, pięćdziesiątką gramolić się na skały, nie wywracając się do góry kołami, i brać ostre wiraże, z których wypadłyby wszelkie inne pojazdy. Jechałyby nawet na trzech kołach, gdyby czwarte zostało odstrzelone. Ważyły połowę tego, co wielkie humveesy, były od nich znacznie krótsze i węższe, ale mogły przewieźć równie ciężki ładunek. Wojskowi nazywają takie wozy lekkimi. Angelides kochał

amerykańskich inżynierów.

Odszedł w spokojniejsze miejsce i wystukał numer na komórce. Pan G., człowiek ciągle zajęty, nie odebrał od razu.

- Halo, panie Ghranditti - powiedział z szacunkiem Angelides po dłuższej chwili. -

Pojazdy i broń będą wkrótce na trasie. Łatwa operacja, prosta jak drut. - Nie było sensu denerwować szefa takim szczegółem, jak śmierć Lockyera. Sprawa załatwiona.

- Dobra robota, panie Angelides - powiedział Ghranditti. - Miło jest pracować z zawodowcem. Wybierze się pan na wschód, żeby mi tutaj pomóc?

- Jasne. Odrzutowiec już czeka w Phoenix. Nie spóźnię się za skarby świata.



# Nowy Jork

Martin Ghranditti pożegnał się z Angelidesem i zaczął chodzić po berberyjskim dywanie. Był wielkim, zdrowym, wysokim mężczyzną. Miał czterdzieści dziewięć lat.

Kosmopolita z urodzenia i wyboru, ubierał się w szyte na miarę garnitury po dziesięć tysięcy dolarów - dziś nosił ciemnoszary, w wąskie prążki z dwudziestodwukaratowego złota. Z

wieczną opalenizną i srebrnymi nitkami w jasnoblond włosach wyglądał na wyrafinowanego światowca i łatwo mógł uchodzić za potężnego inwestora i filantropa, za jakiego się podawał.

W rzeczywistości miał znacznie silniejszą pozycję: przemieszczał się gładko z podziemia świata handlu bronią do salonów błyszczącej polityki państwowej, od interesów z zachodnimi miliardami do umów biznesowych z wściekłymi terrorystami szkolonymi w Oregonie i Sudanie. Ostatnio gościł na szczycie działaczy islamskich w Bejrucie, w którym uczestniczyła również al-Kaida i tajna, nowa organizacja patronacka, która zrewolucjonizowała działania fanatyków religijnych. Wkrótce wybierał się na śniadanie i modlitwę za naród w Waszyngtonie wraz z lobbystami, senatorami i prezydentem.

Od godziny rozmawiał przez telefon komórkowy, dobijając targu na wyspę położoną na południowym Pacyfiku. Międzynarodowa biurokracja przyprawiała go o ból głowy, ale transakcja nareszcie została sfinalizowana. Żona się ucieszy. Uszczęśliwianie jej było dla Ghrandittiego wszystkim. Zadzwoił znowu.

- Wysłaliście człowieka za Theosopholisem?

- Tak, ale on też przepadł - odparł ktoś z wyraźnym niepokojem. - Zorganizowałem zespół, żeby odnalazł ich obu. Okazało się, że sygnał GPS dobiega z drzewa. Potem odfrunął

jakiś ptaszek, a sygnał poleciał razem z nim.

Ghranditti zmarszczył czoło.

- Co ptak ma wspólnego z Theosopholisem i Tice'em?

Rozmówca się zawahał.

- Uważamy, że Tice znalazł nadajnik i przymocował go do ptaka. Theosopholis jest na to za głupi.

- Co?!

- Sądzymy, że Tice...

- Nie, nie! Zaczekaj. - Ghranditti skrzywił się, ledwie hamując zajadłą nienawiść do Tice'a. - Więcej mówisz, że nie tylko Tice i Theosopholis wyparowali, ale znikł też człowiek, którego za nimi wysłaliście? A wy straciliście kupę czasu na pościg za jakimś cholernym ptaszkiem?

- To nie tak...

- Właśnie, że tak! Tice z was kpi. Rzuca wam wyzwanie. Wiecie, co się stało z tropicielem? Jest już martwy. Tice go zlikwidował. Inaczej dostalibyście wiadomość.

Ostrzegałem, ale wam się wydawało, że pójdzie łatwo ze względu na Theosopholisa. Nic z tego! Nie interesują mnie koszty ani straty w ludziach. Znajdźcie Tice'a!

### **W samolocie nad Pensylwanią.**

W wysłużonym gulfstreamie II powietrze było suche i chłodne. Wentylacja lekko zgrzytała. Elaine Cunningham siedziała przy oknie. Była jedyną pasażerką w dwunastoosobowym samolocie turbodrutowym. Czekwała z niecierpliwością. Tuż po starcie włączyła komputer i sprawdziła pocztę elektroniczną. Była jedna wiadomość. Od Marka Silliphanta.

*Pracuję szybko, ale zajmie to trochę czasu.*

Niczego innego się nie spodziewała. Odłożyła komputer i wzięła teczkę Jaya Tice'a. Nie był pijakiem albo rozrzutnikiem jak Rick Ames ani nawiedzonym malkontentem jak Bob Hanssen. Stanowił ich przeciwieństwo. Znowu przeczytała leżącą na wierzchu analizę.

Jay Tice zajmował się wszystkim. Był genialnym strategiem, taktykiem i superszpiegiem. Miał jedne z najlepszych podczas zimnej wojny wyniki w rekrutowaniu agentury, prowadzeniu siatek szpiegowskich oraz przenikaniu szeregów wroga. CIA odznaczyła go sześcioma medalami, a trzech prezydentów uhonorowało czterema tajnymi pochwałami...

Pamiętała, jak jego aresztowanie wstrząsnęło środowiskiem wywiadowczym. Jeśli najlepszy z najlepszych był zdrajcą, to komu można zaufać? Może nawet szef jest podejrzany.

Albo partner. Morale upadło, a politycy, eksperci i dziennikarze rzucili się na CIA, wyzywając agentów od kulawych, beznadziejnie nieudolnych mastodontów. Nie było gdzie się schować.

Znikąd pomocy.

To, co Tice zrobił krajowi, nadal ją wkurzało, ale dobry łowca nie zaczyna od uprzedzeń i osądów. Żeby dostrzec szczegóły, nawet najmniejsze, należy pozbyć się emocji. Samolot płynął po szafirowym niebie. Wyciszyła się. Moskwa zapłaciła Tice'owi około dwóch milionów dolarów za zdradę, ale doświadczenie mówiło Elaine, że próżność albo chciwość to zbyt proste wytłumaczenie, żeby mogło okazać się pomocne.

Kartkowała wydruki, czytała. Znalazła stary raport spisany, kiedy Tice wstąpił do CIA, i podkreśliła fragment, który uznała za istotny.

...urodzony szóstego sierpnia 1951 roku. Ojciec, George, właściciel sklepu z fordami w Denver. Matka, Ruth, gospodyni domowa. Młodszy brat, Aaron. Rodzina mieszkała w Cherry Creek, bogatym przedmieściu Denver. Chłopcy uczęszczali do prywatnych szkół.

Poczynając od szkoły podstawowej, Tice miał coraz gorsze oceny, aż w pierwszej klasie szkoły średniej musiał powtarzać klasę. Potem jednak dostawał same piątki. W tym roku, po raz pierwszy zaczął uczęszczać na zajęcia ponadprogramowe. W następnej klasie znów miał

same piątki i poprowadził drużynę szkolną na zawodach stanowych.

Służył w Wietnamie, w korpusie marines. Został odznaczony Srebrną Gwiazdą i trzema Purpurowymi Sercami. Potem dostał się na Uniwersytet Stanforda, ale warunkowo, ze względu na wcześniejsze niskie oceny, i znów wypadł znakomicie, uzyskując na zakończenie studiów *summa cum laude* 1. Poza tym chętnie uczestniczył w dyskusjach, grał w sztukach i biegał na przełaj.

Jego brat zaciągnął się do wojska i został zabity w strefie zdemilitaryzowanej pomiędzy Koreą Północną a Południową. Rodzice umarli później, z przyczyn naturalnych.

Tice został zwerbowany w Yale, kiedy studiował stosunki międzynarodowe.

Zainteresowały ją niskie oceny Tice'a na początku kariery uczniowskiej. Przeczytała kartę zdrowia z jego dzieciństwa. Była tam lista złamań i wyjazdów pogotowiem do lekarzy i szpitali w całym Denver. Rzadko odwiedzał dwa razy tego samego lekarza. Zastanawiała się, czy był maltretowany, co pomogłoby zrozumieć jego problemy w szkole. Jak się okazało, przyjmujący go funkcjonariusz CIA zadał to samo pytanie: Tice: mój ojciec miał napady złego humoru i pił. To pospolita, nudna sprawa. O ile pamiętam, Sofokles napisał w Edypie: »Niech Bóg ustrzeże cię, abyś dowiedział się, kim jesteś« [notatka funkcjonariusza: cytat jest dokładny]. Taki był mój ojciec. Marny, mały 1 *Summa cum laude* (łac.) - z najwyższą pochwałą; forma wyróżniającej oceny na świadectwie lub dyplomie (przyp. red.).

człowieczek, który zarabiał mnóstwo pieniędzy, bo tak się złożyło. Ale to nie przyniosło mu szczęścia. Odbijał to sobie na matce, moim bracie i na mnie. Matka uważała, że Aaron i ja do czegoś dojdziemy. Ciągle powtarzała, że jesteśmy nadzieją rodziny. Brat i ja opuściliśmy dom tak szybko, jak tylko mogliśmy. Matka umarła niedługo po śmierci Aarona.

Elaine stłumiła współczucie dla Tice'a z powodu ciężkiego dzieciństwa. Maltretowanie musiało być wzięte pod uwagę przy sporządzaniu jego profilu. Rekruci CIA, którzy mówili, że w dzieciństwie bali się o życie ze względu na złe traktowanie albo ciężką chorobę, często mieli kłopoty ze zwyczajnymi testami wytrzymałościowymi na Farmie. Z drugiej strony, jeśli stawką była śmierć albo groziły im tortury, przyjmowali postawę: „jeśli to przetrwam, nic mnie nie pokona”. W rezultacie okazywali się bardziej odporni i osiągali lepsze wyniki niż inni rekruci, a potem zostawali doskonałymi tajnymi agentami.

Położyła wydruki na kolanach i zamyślona wygodnie się oparła. Problemy w dzieciństwie wywołały u Tice'a pęd ku doskonałości. Była w nim więc cecha wspólna dla wszystkich, którymi taki pęd kierował: kiedy przegrywają w sprawie, którą uważają za istotną, następnym razem wyżej ustawiają poprzeczkę z nadzieją, że sukces wymaże porażkę z przeszłości. W sytuacjach kryzysowych cechował ich realizm, a nie ślepy optymizm.

Analizowali swoje klęski i wprowadzali zmiany. Szukali sensu w tym, co zrobili. I zazwyczaj

rodzina widziała w nich nadzieję na przyszłość. Przeczytała jeszcze raz: „Jesteśmy nadzieją rodziny”. Takie osoby szukały też mentorów.

Wyjęła komórkę i zadzwoniła do Hannah Barculo.

- Jakies postępy, Hannah?

- Niewiele tropów. Idziemy po nich. A co u ciebie?

- Pracuję nad teczką Tice'a, układam sobie w głowie jego profil. Właśnie wpadłam na coś, co może się przydać. Czy Tice miał mentora?

- Palmera Westwooda - odparła natychmiast. - Prowadził z Tice'em ćwiczenia polowe, byli zaprzyjaźnieni. Nie znam nikogo innego. Już nakazałam obserwację domu Westwooda.

Mieszka w Chevy Chase, ale nie pokazywał się tam. Tice też. Westwood dużo podróżuje.

Wezmę więcej ludzi, żeby go odszukali.

- Dobrze.

- Jak idzie Markowi?

- Nadal siedzi nad klawiaturą. Dałaś mu mnóstwo pracy.

Pozegnali się. Cunningham zaczęła się zastanawiać, kiedy Tice zdradził.

Wróciła do pierwszego wypisu, który przedstawiał działalność Tice'a jako wtyki.

16 listopada 1985 rok. Wymiana doktora Pavla Abendrotha za Faisala al-Hadiego na moście Glienicke. Niemcy.

Wymiana została zorganizowana przez funkcjonariusza CIA Jaya Tice'a i funkcjonariuszkę Stasi Rainę Manhardt...

Raina Manhardt? Interesujące. W mrocznych, zimnowojennych latach osiemdziesiątych Manhardt była wtyka w budzącej strach Stasi. Szpiegowała dla BND -

Bundesnachrichtendienst, czyli Federalnej Agencji Wywiadu - odpowiednika CIA w Niemczech Zachodnich. Miniaturowym aparatem fotograficznym, ukrytym w szmince do ust, sfotografowała tyle tajnych dokumentów sporządzonych przez komunistów, że wypełniły dziesięć segregatorów. Praca wywiadowcza Rainy zapobiegła zabójstwom i inwazjom. Gdyby Stasi przyłapała agentkę, strzeliliby jej w potylicę, tak jak zrobili kilkunastu innym zachodnim szpiegom. Śmiałe czyny Manhardt zostały ujawnione po upadku muru berlińskiego.

Podeksycytowane media ochrzciły ją Kleopatrami.

Elaine myślała o tym, jak trudno musiało być jednocześnie szpiegiem Stasi i BND. Jay Tice, rzecz jasna, robił to samo, ale nie dla demokracji. Zmarszczyła czoło i znów zaczęła czytać.

Stany Zjednoczone i Niemcy Zachodnie poparły pomysł jako sposób na uwolnienie doktora Abendrotha. Pozwoliły, żeby wymienić al-Hadiego, który w więzieniu zachowywał się dobrze.

Niemcy Wschodnie też chciały tej wymiany, bo były mocno zadłużone, a rodzina al-Hadiego zaproponowała półtora miliona dolarów za jego bezpieczny powrót.

Związek Radziecki chciał wyeliminować doktora Abendrotha. Tice ułożył plan realizacji tego zadania.

Tło: W tamtych czasach najważniejszym z priorytetów politbiura było powstrzymanie erozji ideologicznej i udowodnienie wyższości komunizmu. Dlatego gdy jakiś dysydent z bloku wschodniego był przedstawiany jako najważniejszy kandydat do pokojowej Nagrody Nobla, z reguły oskarżano go o szpiegostwo. To przytrafiło się Abendrothowi. Po kilku latach spędzonych w gułagu Perm 35, pod naciskiem społeczności międzynarodowej, w 1985 roku został przeniesiony do aresztu domowego w Berlinie Wschodnim. Ale jednocześnie Moskwa tajnym kanałem nakazała Stasi wyeliminowanie Abendrotha.

Tice zorganizował wymianę tak, żeby nie tylko zabić doktora, ale też, żeby wina za to spadła na Stany Zjednoczone. Kiedy to się udało, Moskwa otworzyła dla Tice'a konto numeryczne w Szwajcarii i zdeponowała na nim pięćdziesiąt tysięcy dolarów. To była pierwsza akcja Tice'a skierowana przeciwko Ameryce.

Elaine ścisnęło w gardle. Poczwała gniew. Cholerny Tice.

Z głośników odrzutowca rozległ się mechaniczny głos.

- Prosiła pani, żeby poinformować, kiedy będziemy zbliżać się do lądowania. Zostało nam jeszcze dziesięć minut.

Chwyciła dokumenty, nabrała głęboko powietrza i spojrzała w dół, na rolniczą Dolinę Susquehanna. Nawet z lotu ptaka federalne więzienie w Allenwood wyglądało jak ponura forteca. W półotwartym obozie, budynkach i ściśle strzeżonym więzieniu przebywało cztery tysiące więźniów. Mury patrolowali uzbrojeni strażnicy. Podwójne płoty z drutu, zwieńczone spiralami ostrego jak brzytwa drutu kolczastego, otaczały cały kompleks. A jednak, Jayowi Tice'owi udało się stąd uciec.

## 5.

### North River, Karolina Północna.

Czarne, dzikie przestrzenie Wielkich Posepnych Bagien rozpościerały się po obu stronach biegnącej po nasypie drogi. Powietrze było wilgotne, pełne roślinnych zapachów.

Wyłożone kamieniami podjazdy przecinały bagno, kończąc się przy nowoczesnych domach, na bujnych trawnikach. Jay Tice tylko pobieżnie na nie zerkał. Pędził motocyklem, który zabrał swojemu niedoszłemu zabójcy.

Przy motocyklu nie było żadnej wskazówki. Ale yamaha FJ 1200 przynajmniej nadawała się do użytku jako nowy środek transportu. Przy pierwszym centrum handlowym Tice zatrzymał się, żeby zmienić tablice rejestracyjne. W drugim kupił kask z przyłbicą i wiatrówkę na zamek błyskawiczny ciasno przylegającą do talii, ale luźną w klatce piersiowej, żeby schować browninga i zig sauera. Z bronią, której dawno nie nosił, poczuł się pewniej.

Przy znaku z nazwą Glimmerwoods skręcił na asfaltowy podjazd i ruszył w półmrok ogarniający bagna. Korony drzew splatały się nad jego głową. Glimmer było to imię matki Palmera Westwooda, który za odziedziczony po niej spadek kupił około dwudziestu hektarów doskonałej ziemi w tej drogiej okolicy. Tutaj mieszkańcy cenili sobie życie na świeżym powietrzu i samotność, podobnie jak drwale, złodzieje, zbiegli niewolnicy i bimbrownicy, którzy przez trzysta lat uważali bagna za swoje królestwo.

Tice wyłączył silnik i gdy tylko zobaczył przedwojenną plebanię, zatrzymał maszynę na skraju bagna. Zdjął kask. Biały dom, z portykiem podpartym greckimi kolumnami, skąpany w słońcu Karoliny, stał na zielonym wzgórku jak obrazek wyjęty z przeszłości starego Południa.

Otwarte drzwi garażu ukazywały wielkiego mercedesa, ulubiony samochód starego szpiega. O

ścianę oparte były wędki - smukłe, na połowy w strumykach wpadających do North River i grubsze na oceaniczną cieśninę Currituck. Zabudowania stały frontem do rzeki, gdzie do góry dnem leżał kajak. Bagienny las otaczał wszystko jak muskularne macki meduzy.

Coś było nie tak. To nie instynkt ostrzegł Tice'a, ale wyrobiona przez życie ostrożność.

Rozejrzał się po bagnie i wreszcie spostrzegł rower oparty o klon rosnący na wyniesionym kawałku ziemi. Był przykryty pnączami, prawie niewidoczny, ale Tice zauważył czarny błotnik. Ani śladu kurzu - rower postawiono tam niedawno. Tice uniósł głowę, nasłuchiwał.

Ptaki śpiewały. Żaba kumkała, jakby ktoś grał na banjo. Ale dobiegał też ledwie słyszalny chłopot. Ktoś szedł wodą.

Tice wyjął browninga i pobiegł na trawnik przy bagnie. Przed nim stała wysoka tyka z białą flagą powiewającą na szczycie. Wyciągnął kij. Drewno, ledwo wilgotne, wbito tutaj najwyżej przed godziną. Tyka znaczyła miejsce, w którym ktoś wszedł na bagna. Tice włożył



ją z powrotem i pobiegł na moczary. Woda po łydki dała uczucie chłodu. Szedł przed siebie.

Gdziekolwiek spojrzał, roślinność była taka sama, niby ciągle inna, ale układała się w jeden przewidywalny wzór. Bez kompasu albo widoku słońca niedoświadczeni wędrowcy, którzy zapuścili się za daleko na Posępne Bagna, często nie mogli wrócić.

Trzymał pistolet oburącz, na wysokości piersi, lufą do góry, i brnął dalej, zapamiętując znaki szczególne terenu - zdeformowane drzewa, wielkie głązy i kępki wiotkich, młodych podrostów. Światło słońca docierało tutaj skąpymi promykami. Minuty się dłużyły. W chwili, gdy pomyślał, że zapuścił się za daleko, z lewej zobaczył zmarszczki na wodzie. Poszedł w tamtą stronę, aż dotarł do jałowca. Z zaciśniętym gardłem obrócił się, szukając czegoś charakterystycznego, ale wszystko wyglądało tak samo - walcząca o miejsce, wygłodniała, oszałamiająca wegetacja. Nie miał zielonego pojęcia, gdzie się znajduje.

Wytarł rękawem spoconą twarz i znów poszedł w stronę zmarszczek na wodzie, między jałowiec a głąz. Kiedy tam dotarł, krzak zagroził mu drogę. Sięgnął do gałęzi i poczuł lufę wciskającą mu się w szyję.

Zamarł, potem zaczął się odwracać, ale lufa nacisnęła mocniej. Temu, kto wywołał zmarszczki na wodzie, udało się go podejść.

- Odwróć się powoli - dobiegł go z tyłu rozkazujący szept. Odwrócił się. Lufa celowała w jego czoło. Broń trzymał Palmer Westwood. Spoza kurtyny hiszpańskiego mchu widać było jego zmrużone oczy. Siedział na niskiej gałęzi jałowca. Przycisnął palec do ust, cofnął pistolet i zniknął.

Tice westchnął. Patrzył, jak stary ześlizguje się po pniu i opuszcza do wody nogi w wysokich butach. Siedemdziesięciodwuletni Westwood trzymał się prosto, był szczupły i dobrze umięśniony. Mieszkaniec bagien od dzieciństwa nosił koszulę zapiętą pod brodą i bawełniane spodnie wetknięte w wysokie buty. Miał białe jak śnieg włosy i pokrytą zmarszczkami, opaloną na głęboki brąz twarz z ostrymi rysami. Czuć było od niego lekki zapach tytoniu. Wciąż palił.

- Co tu robisz, Jay? - wyszeptał. - Wypuścili cię?

- Niezupełnie. Nie denerwuj się, chciałem ci tylko zadać kilka pytań. Na twarzy Westwooda pojawiła się wściekłość, ale głosu nie podniósł.

- Uciekłeś! I chcesz, żebym ci pomógł. Mowy nie ma!

- Wygląda na to, że raczej ty potrzebujesz pomocy. Widziałem rower. Ścigasz intruza?

Westwood przez chwilę patrzył gniewnie na Tice'a i powoli przytaknął. Gestykulując i szepcząc, objaśnił plan, jak schwytać rowerzystę. Tice kiwnął głową i Westwood natychmiast ruszył przed siebie, nie unosząc nóg, żeby nie chlupotać.

Tice poszedł za nim, rozglądając się uważnie. Westwood pochylił się nisko, przycisnął

do siebie karabin M16 i przelazł pod obalonym pniem.

Kiedy Tice do niego dotarł, Westwood pokazał, gdzie dalej iść i wspiał się na wzgórek obok cyprysu.

Tice poszedł na prawo - w odległości dziesięciu metrów widać było niski spłacheć ziemi porośnięty trzciną. Dostrzegł szeroką tamę zbudowaną przez bobry, którą opisał mu Westwood. Wspiał się po pochyłości, rozgarniając trzcinę wolną ręką. Na szczycie wyprostował się i zobaczył, że kanał za tamą biegnie daleko w bagna. Wody było tutaj cholernie dużo. Z browningiem przy piersi zaczął się wpatrywać w półmrok. Westwood, który stał przy cyprysie jak wartownik, energicznie skinął głową, dając znak, żeby Tice poszedł do przodu, potem cofnął się i znów schował w mchach.

Tice strzelił w tamę. Błoto i gałęzie poleciały na wszystkie strony. Batalion ptaków wyfrunął z liściastych kryjówek.

- Gdzie jesteś, dupku? - ryknął Tice.

Głos niósł się przez kilka sekund, zanim umilkł. Nie było odpowiedzi. Tice zatknął

pistolet za pasek, uklęknął na tamie i oburącz zaczął rozszarpywać gałęzie. Błoto bryzgało dookoła, górą zaczęła przelewać się woda.

Wstał znowu i wrzasnął.

- Tutaj, tchórze! - Zamachał rękami.

Intruz prawdopodobnie nie był prawdziwym człowiekiem z bagien, bo spróbowałby natychmiast zastrzelić Tice'a. Z drugiej strony, gdyby Tice sam był człowiekiem z bagien, Westwood przystąpiłby do bardziej bezpośrednich działań.

Tice spojrział w dół. Ciemna woda płynęła coraz szybciej.

- No, chodź! - sztydził, machając rękami. - Zgubiłeś się? No, dalej! Kula trafiła w ziemię obok butów Tice'a. Druga świsnęła na wysokości bioder. Tice uklęknął i strzelił w coś, co przypominało postać klęczącą obok krzaka. Plan się sprawdzał: człowiek znajdował się teraz między nim a Westwoodem.

Tice pochylił się nisko i mocno uderzył obcasem w kłodę na szczycie tamy - nie ruszyła się nawet o milimetr. Stękając, znów napał. Grad kul zasypywał trzcinę, rozrzucając ostre kawałki na wszystkie strony. Tice pochylił się niżej.

Westwood powinien już zareagować. Miał sprawić, żeby intruz się poddał. Chcieli go wziąć żywcem.

Tice, marszcząc czoło, ostrożnie się podniósł. W jego kierunku szedł uzbrojony mężczyzna. Każdym krokiem wznosił czarne fale, które rozplływały się w mroku. Tice znów się schylił, kiedy tamten oddał serię, która poszarpała kolejne kępy trzcin. W powietrzu świszczą ostre jak igła kawałki roślin.

Tice krzyknął do Westwooda.

- Pomóż mi wreszcie, do cholery!

Woda spływająca z wierzchu tamy zaczęła się sączyć za ledwie małym strumykiem. Nie było czasu do stracenia. Kule przelatywały nad głową Tice'a, który dalej wbijał obcas w kłodę. W końcu potężnie kopnął ją obiema nogami. Ledwie się poruszyła. Chłupot powodowany przez zbliżającego się strzelca był coraz głośniejszy.

Tice poderwał się gwałtownie. Dzieliły ich tylko ze trzy metry. Intruz był młody, miał długą, wąską głowę, na twarzy malowała się determinacja.

Dobrze widział Tice'a. Wycelowwał. Tice też. Na tę odległość żaden z nich nie mógł chybić.

Nagle rozbłysnęło jaskrawe światło. Rozległ się odgłos małej detonacji. Z nocy zrobił się dzień. Drzewa i krzaki zapłonęły zieloną poświatą. Głębiej, na bagnach, szare cienie zrobiły się czarne jak smoła. Zabójca błyskawicznie odwrócił głowę. Tice też się obejrzał.

Obok wielkiego cyprysu, gdzie ukrywał się Westwood, wydobywał się z ziemi płomień wysoki na pięć metrów. Zdawało się to nieprawdopodobne, ale buchał wprost z bagiennej jeziora. Widok był urzekający.

Tice zmobilizował wszystkie siły, żeby kopniakami usunąć kłodę. Kątem oka zobaczył, jak przeciwnik odwraca się w jego stronę, unosząc broń. Tice ostatni raz kopnął z całej siły. W końcu kłoda z jękiem ustąpiła i runęła w spienioną wodę. Rozległ się głośny ryk. Tama znikła.

Lodowata mgiełka kasała twarz Tice'a. Kolumny brązowej wody strzelały jak gejzery. Prąd przypominał potężne ręce - łamał, przepychał, usuwał wszystko, co stało mu na drodze.

Obcy nie miał szans wobec takiej potęgi. Jego krzyk uleciał w powietrze. Szalona powódź zmiotła go z drogi. Ośmielił się wtargnąć na ziemię Westwooda, ale prawdopodobnie nie wiedział, komu rzucił wyzwanie. Na Westwooda niewielu ośmieliło się podnieść rękę.

Tice, okrążony niesamowitą poświatą, gwałtownie łykał powietrze. Mokre spodnie kleiły mu się do nóg. W tym zamieszaniu były tylko dwie dobre rzeczy - chłód działał jak środek przeciwbólowy na jego obolałe mięśnie, a wodoodporna kurtka dobrze ochraniała broń, identyfikatory i przybory. Wreszcie wstał.

Kiedy poziom wody się obniżył, Westwood zamachał do niego ręką. Przyciskał do piersi M16 jak ukochane dziecko.

- Palmer, jesteś cholernym estradowcem - warknął Tice.

- Podobał ci się mój lisi ogień, co?

- Tak to nazywasz?

- Tam jest gnijący pień, wierzch wystaje nad wodę. Trudno go nie zauważyć. Gromadzi się w nim metan, który wycieka. Czasem, kiedy tu przychodzę, sam się pali. Tym razem ja mu pomogłem.

- Niech się domyśle. Wrzuciłeś zapalną do pnia.

- Właśnie. Lisi ogień to interesujący fenomen. Generalnie nazywa się tak wszelkie zwodnicze światła i ognie na bagnach. Czasem okazuje się, że to fluorescencyjny grzyb albo tłące się torfowisko. Innym razem może to być rój świetlików.

Tice stał bez ruchu na wzniesieniu. Milczał, spoglądając na starego szpiega.

Westwood zatrzymał się o trzy metry od niego. W butach sięgających bioder bez trudu poruszał się w wodzie.

- Oczywiście, niektórzy uważają, że lisie ognie są wzniecane przez demony albo duchy.

Wiele osób często zrzuca winę na innych. Ale nie ty, prawda, Jay? Dla ciebie liczy się odpowiedzialność. Honor. Przyzwoitość.

Teraz Tice zrozumiał.

- Powinieneś wspomóc mnie ogniem bocznym, jak tylko tamten zaczął strzelać. Może już nie żyje. Ja też mogłem zginąć.

Westwood skinął głową.

- Ale teraz to nie byłaby taka tragiczna strata. - Podrzucił karabin i wymierzył go w Tice'a. - Ty przekłety zdrajco!

## 6.

### Więzienie federalne Allenwood, Pensylwania.

Wiejskie powietrze Pensylwanii wisiało ciężko i nieruchomo wokół cichego więzienia.

Budynek z celami, biurowce administracji i zabudowania gospodarcze stały równo, po wojskowemu na wypielęgnowanej ziemi. Na podwórku do ćwiczeń strażnicy w mundurach pilnowali więźniów wyrównujących grabiami żwirową nawierzchnię. Większość osadzonych znajdowała się w celach albo zajmowała się swoimi więziennymi obowiązkami -

przygotowywaniem posiłków, praniem, pracą w tapicerni.

Elaine szła w stronę porucznika Davida Oxleya ze służby więziennej. Był szczupły, wysoki, miał wydatny nos i zmęczone czarne oczy. Wyglądał jak piękny, ale zniszczony upływem lat mebel. Dobiegał sześćdziesiątki.

Wyciągnął dłoń.

- Przybyła CIA.

- A służba więzienna czeka. - Elaine uśmiechnęła się i uściśnęła mu dłoń. - Miło mi pana widzieć. - Kiedy szli dalej razem, zapytała. - Czy FBI wykryło, jak Tice i Theosopholis zdołali uciec?

- Nie. A CIA już ich znalazła?

- Jeszcze nie. Ale znajdziemy.

- Widzi pani reflektory na masztach? - Ponad dwadzieścia lamp górowało nad budynkami. - Na pewno domyśla się pani, że dają dużo światła, bo bezpieczeństwo jest tu podstawą. Są tak mocne, że miejscowi na nie narzekają. Jeden z moich strażników mówi, że w środku nocy może nawet zobaczyć swojego czarnego spaniela z odległości ponad stu metrów.

A jednak nikt nie spostrzegł ucieczki dwóch więźniów.

- Myśli pan, że nie mieli pomocy?

- To zawsze jest pierwsze pytanie. FBI kończy przesłuchiwać sześciu funkcjonariuszy bezpieczeństwa, którzy pracowali w tej części budynku. Są tak samo zdziwieni, jak FBI.

Kazałem im tu zostać ze względu na panią. Ale padają ze zmęczenia. Byli na nogach przez całą noc.

- Najpierw spotkam się z nimi. Jeśli Tice i Theosopholis mieli pomoc z zewnątrz, to może nie był to ktoś wyznaczony na tę zmianę. Mógł wrócić, niekoniecznie sam, żeby umożliwić ucieczkę.

- Wątpię. Nowy budżet prezydencki znowu mocno uderzył służbę więzienną, a to znaczy, że pewne rzeczy nie są robione. Ale może pani liczyć na nasze raporty, które odnotowują, kto się meldował i

odmeldowywał ze służby. Ostatniej nocy wrócił tylko jeden pracownik. Po książki, bo chodzi na kursy. Wyszedł przed północą.

- Może z parkingu ukradziono prywatny samochód. Są jakieś zgłoszenia?

Porucznik Oxley popatrzył na nią ponuro.

- Żałuję, ale nie.

Pokiwała głową. W ten sposób do niczego nie dojdzie, a odgadywanie, jak więźniom udało się uciec, to nie jej zadanie. Ale kim byli, co ich łączyło, a przede wszystkim, jakie mieli kontakty ze światem zewnętrznym?

- A co z pocztą elektroniczną, listami, telefonami? - zapytała.

- Więźniowie nie mają dostępu do komputerów - odparł. - A prawo zabrania nam wtrącać się w sprawy między nimi a ich prawnikami. Theosopholis ma rodzinę w Atlancie, z którą koresponduje. Czasem, choć rzadko, odwiedzali go krewni. Z Atlanty jedzie się bardzo długo autobusem. Przekazaliśmy te informacje pani ludziom, żeby sprawdzili.

- A Tice?

- Dostawał listy z wyrazami nienawiści i propozycje małżeństwa. Wyrzucał je. Media ciągle prosiły o pozwolenie na wywiad, ale odmawiał. Nigdy nie telefonował i nie otrzymywał

poczty, o której warto by wspominać. Na liście odwiedzających znalazł się tylko adwokat. Ale sprawa Tice'a jest właściwie zamknięta, więc prawnik nie odwiedzał go już od wielu miesięcy.

- Czy ostatnio ktoś prosił o wizytę albo możliwość przeprowadzenia rozmowy telefonicznej z Tice'em?

Porucznik pokręcił głową. Szli obok grządek z równymi szeregami kwiatów.

- Tice był izolowany. Nic nadzwyczajnego. Niektórzy więźniowie utrzymują kontakt ze światem zewnętrznym tylko przez gazety. Od innych wszyscy się odwrócili. A jeszcze inni po prostu chcą, żeby zostawiono ich w spokoju.

W stołówce porucznik Oxley wyciągnął rękę, żeby otworzyć przed Elaine drzwi.

Zauważyła długą bliznę na jego nadgarstku - starą i słabo widoczną, ale obrzydliwą.

- Musiało boleć. - Wskazała bliznę.

Popatrzył zaskoczony na szramę, jakby o niej zapomniał.

- Przecinałem rurę. - Uśmiechnął się lekko. - Proszę przyjąć moją radę: nie należy być hydraulikiem.

Stółówka była kwadratowa, z linoleum na podłodze. Smrodu tłuszczu nie tłumiał nawet ciężki odór przemysłowego środka dezynfekcyjnego.

Agent specjalny FBI Gary Mayhew czekał na nią przy drzwiach. Miał wąskie oczy i kwadratowo zakończone palce, którymi pocierał po sportowej marynarce, jakby szukał

papierosów. Spojrzał na sześciu strażników rozpartych na krzesłach po drugiej stronie wielkiego pomieszczenia i odezwał się do Elaine cicho:

- Dołączam do pani pościgu. Na razie wiemy na pewno, że kamery w sektorze, gdzie trzymano obu uciekinierów, były uszkodzone przez jedenaście minut, licząc od trzeciej trzydzieści jeden nad ranem. Myślimy, że właśnie wtedy wydostali się z więzienia. Kamery zaczęły pracować wkrótce potem, więc strażnicy pomyśleli, że to tylko chwilowa awaria, ale nasi technicy mówią, że przerwa została zaprogramowana w głównym komputerze kompleksu. Wykorzystano kod kontrolny pracowniczki, która kilka dni temu wyjechała na wakacje na Florydę.

- Więc Theosopholis, Tice albo ktoś inny ukradli kod albo kupili, zanim wyjechała. A może sama przeprogramowała system, a potem się ulotniła.

Mayhew z ponurą miną pokiwał głową.

- Mnóstwo możliwości. Powiadomiliśmy pani ludzi, jak ją znaleźć. - Poprowadził do stołu, na którym wyłożono plany kondygnacji. - Tutaj trzymano Theosopholisa i Tice'a.

Wszystkie bramy otwierają się elektronicznie. Żeby przemieścić się z sektora do sektora, z piętra na piętro, trzeba przejść przez bramy. Kody zmieniają się według statystycznego wzorca ustalanego przez komputer, a niektóre bramy mają więcej niż jeden kod. W ciągu jedenastu minut, kiedy wideo było wyłączone, Theosopholis i Tice musieliby przejść co najmniej obok czterech strażników i pokonać pięć bram, w zależności od trasy. - Pokazał dwie możliwości: jedna droga prowadziła do głównego wejścia, druga na tyły budynku.

- Strażnicy widzieli się nawzajem? - zapytała.

- Przez te jedenaście minut bez kamer... nie. Byłoby znacznie łatwiej zorientować się w sytuacji, gdyby Tice i Theosopholis po prostu użyli dynamitu.

- Ten, kto obmyślił plan, wiedział, co robi.

- Na to wygląda. - Wręczył jej rozkład patroli i listę osób, które w nocy wchodziły i wychodziły.

Elaine podeszła wzdłuż pustych stołów do strażników siedzących na identycznych, plastikowych krzesłach. Dwaj założyli ramiona na piersiach i kiwali głowami. Kiedy usłyszeli, że się zatrzymała, podnieśli wzrok. Wszyscy przyglądali się jej uważnie.

- Dziękuję, że panowie zostaliście - powiedziała.

Porucznik Oxley oparł się o ścianę, a agent specjalny Mayhew usiadł na skraju stołu.

Przyciągnęła krzesło i uśmiechnęła się.

- Pracujecie tutaj, więc pewnie sporo wiecie o uciekinierach. Moje zadanie polega na tym, żeby ich znaleźć, a nie winić kogokolwiek za ucieczkę. Powiedzcie, jacy oni są. W jakich byli ze sobą stosunkach?

Strażnicy popatrzyli po sobie. Odezwał się agent FBI.

- Theosopholis chyba miał tu przyjaciół, ale nikt nie wiedział o planie ucieczki.

Znowu popatrzyła na wszystkich strażników.

- Łatwo nawiązywał znajomości?

Mężczyzna po prawej przekrzywił głowę.

- Lubił gadać i oglądać telewizję. Była taka grupka, która oglądała telewizję od dziewiątej do jedenastej i przez cały czas rozmawiała. Przypominali sektę.

- Ciągłe mówił, że stąd wyjdzie - dodał drugi. - Przekwalifikowano mu czyn karalny na nieumyślne zabójstwo, więc w przyszłym roku miał szansę na zwolnienie warunkowe. Głupio zrobił, że teraz uciekł, ale więźniowie nie są geniuszami.

- Nigdy nie sądziłem, że Tice i on się przyjaźnią - wtrącił się trzeci.

- Zgadza się, „przyjaźń” to w ich przypadku za dużo powiedziane - skomentował drugi strażnik. - Ale i tak Theosopholis był jednym z nielicznych więźniów, którzy rozmawiali z Tice'em.

- Nie musieli być przyjaciółmi - stwierdził logicznie pierwszy. - Obaj są więźniami i obaj znaleźli się właśnie tutaj. Poza tym ich cele sąsiadują ze sobą. Jest wiele powodów, żeby poszukać sobie partnera do ucieczki.

Cała szóstka pokiwała głowami jak jeden mąż.

- A Tice? - zapytała. - Jacy byli jego przyjaciele?

Strażnik po lewej parsknął lekceważąco.

- Do diabła. Tice nie miałby szans na znalezienie przyjaciela gdziekolwiek. Inni więźniowie nienawidzą zdrajców. Co do jednego uważają się za lojalnych Amerykanów.

Dokuczają każdemu, kto zadaje się z takimi, jak Tice, Ames czy Walker. - Rick Ames i John A. Walker też odbywali karę dożywocia w Allenwood. Walker był osławionym oficerem komunikacyjnym Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, który zwerbował swoją rodzinę, żeby szpiegowała dla Związku Radzieckiego.

Inny wyjaśnił.



- Powód, dla którego Theosopholisowi się upiekło, jest prosty: był zabijaką. W pudle lubią muskularnych. Czują przed nim respekt.

- A jaki jest wasz stosunek do Tice'a?

Porucznik Oxley oderwał się od ściany. Przez chwilę wyglądał na wyczerpanego. Potem oczy mu zabłyśły.

- Takiego drania powinno się zastrzelić, tak jak Rosjanie zrobili to z ludźmi, których im wydał.

Strażnicy popatrzyli po sobie i pokiwali głowami na zgodę.

- Aż dziw, że jeszcze stoisz, Oxley - zauważył jeden z nich. - Ostatniej nocy też miałem służbę - wyjaśnił porucznik. - Ale w ich budynku byłem tylko kilka minut, na długo zanim uciekli.

Agent FBI odebrał telefon komórkowy. Z napięciem wsłuchiwał się w to, co do niego mówiono.

Elaine zwróciła się do strażników.

- Co robił Tice, żeby zabić czas?

Odpowiedział strażnik po prawej.

- Przez siedem i pół godziny dziennie pracował w bibliotece prawniczej, przez pięć dni w tygodniu. To jedno z najlepszych zajęć dla więźniów. Prawie codziennie ćwiczył na sali i na podwórku. Uprawiał też jogging.

Popatrzyła na porucznika Oxleya.

- Chciałabym porozmawiać z innymi więźniami i personelem. Potem zobaczę cele Tice'a i Theosopholisa.

- Oczywiście - odparł.

- Są nowe wiadomości. - Podszedł do nich agent FBI. Miał zdeterminowany wyraz twarzy. Kiedy wszyscy spojrzeli na niego, oznajmił. - Mamy Theosopholisa!

- O cholera! - mruknął jeden ze strażników.

- Dzięki Bogu - wtrącił inny. - Jak go znaleźliście?

- Nie tak, jak chcieliśmy. Jacyś rowerzyści natknęli się na porzucony samochód na drodze pożarowej w Wirginii i wezwali policję stanową. Okazało się, że to geo prizm skradziony z parkingu przy Wal-Mart w Lewisburgu wcześniej rano tego samego dnia. Policja znalazła martwego Theosopholisa w bagażniku.

- Zamordowany? - zapytała natychmiast Elaine

Szybko kiwnął głową.

- Zadźgany ostrzem zrobionym z drewnianej linijki. Zostało na niej wystarczająco dużo liter, żeby mogli odczytać: Więzienie Federalne Allenwood.

- Biblioteka - powiedziała. - Jay Tice.

7.

## **North River, Karolina Północna.**

Jay Tice był wyższy od Westwooda. Stał na bagnistym brzegu ze spuszczonej rękoma w rozkroku, z obojętnym wyrazem twarzy. W widmowym świetle patrzył na starego szpiega, celującego z M16. Tice się nie ruszał.

- A więc, to tak. Naprawdę chcesz mnie zastrzelić?

- Zgadłeś, do cholery.

Tice pokiwał głową. Spojrzał za Westwooda, analizując kształty i kolory.

- Widzę tego intruza. Leży na kłodzie. Albo jest nieprzytomny, albo nie żyje.

Nie dając Westwoodowi czasu na reakcję, Tice zeskoczył, ochlapując brudną wodą twarz i koszulę starego. Ten zaklął, cofnął się i starł wodę z karabinu. Tice poszedł w głąb bagna. Woda była pełna roślinnych szczątków. Trudno było się w niej poruszać. Wokół unosił

się zapach gnicia.

- Cholera jasna, Jay. - Westwood brnął za nim. - Wracaj. Podдай się. Na pewno cię szukają.

- Też tak myślę.

- Ty draniu. Tyle lat razem przepracowaliśmy... Tyle razy ci zaufałem, że będziesz chronił mój tyłek... Tyle osób ci wierzyło... jak mogłeś to zrobić? Zdradziłeś nas wszystkich!

Langley, Amerykę!

- Zawsze cię chroniłem.

- Nigdy bym nie podejrzewał... Mam chyba cholerne szczęście, że żyję.

- Wszyscy mamy szczęście, że żyjemy. Byli tu jeszcze jacyś goście, nie licząc tego?

Westwood się nachmurzył.

- A jeśli tak, to co?

- Ten facet mnie rozpoznał. Dopiero wtedy chciał mnie naprawdę wykończyć. Kilka godzin wcześniej próbował tego inny.

Westwood popatrzył na Jaya.

- Co się z nim stało?

- Ja żyję - odparł ponuro Tice.

Intruz leżał na plecach, na wyrwanym z korzeniami drzewie, oczy miał zamknięte, ręce i nogi bezwładne. Tice dopiero teraz, z bliska, zobaczył, że to bardzo młody człowiek -

najwyżej dwadzieścia pięć lat. Kwadratową twarz miał szarą jak popiół, skórę pod czarnym zarostem niebieskawą. Muł pokrywał jego ubranie. Nigdzie nie było widać broni.

- Rozpoznajesz go? - zapytał Tice.

- Nie. A ty?

- Też nie. - Sprawdził puls. - Nie żyje.

- Niedobrze. Ale czego mógł się spodziewać? Przyszedł tu po kryjomu, chciał nas sprzątnąć. - Z karabinem w jednej ręce Westwood przeszukał kieszenie zmarłego. Wyciągnął

portfel, nieodpieczętowaną paczkę papierosów i telefon.

Tice wziął komórkę. Spływała z niej woda. Nacisnął guzik. Martwa cisza. Westwood otworzył portfel.

- Trochę gotówki, nic więcej. - Włożył pieniądze do kieszeni.

- Skąd wiedziałeś, że jest tutaj?

- Mam kamery nadzoru - odparł Westwood. - Kiedy szwendał się tutaj już kilka godzin, wyszedłem, żeby z nim pogawędzić. Oczywiście wziąłem M16 i tykę z białą flagą...

- Tę wetkniętą w trawę?

Westwood kiwnął głową.

- Ja jej nie potrzebuję, ale on mógł być turystą, którego ciekawość przeważała nad zdrowym rozsądkiem. Kiedy zniknął na bagnie, poszedłem za nim. Wyciągnął broń i to zmieniło wszystko. Potem trochę sobie potańczyliśmy.

- Co z nim chciałeś zrobić? - zapytał Tice.

- Mogłem go po prostu zostawić. Zajęłyby się nim rysie albo niedźwiedź.

### **Więzienie w Allenwood, Pensylwania.**

FBI i CIA zgodnie postanowiły przez jakiś czas zachować śmierć Franka Theosopholisa w tajemnicy, więc Elaine kontynuowała poszukiwania, jakby żyli obaj zbiegowie. Wypytała z pięćdziesięciu więźniów i członków personelu z osobna i w grupach. Z zebranych informacji wynikało, że Theosopholis był hobbystą. Brał udział w spotkaniach telewizyjnych, robił

zakłady pieniężne i wymyślał plany szybkiego wzbogacenia się, które prowadziły donikąd.

Jego towarzysz z celi powiedział:

- Cholera, wszystko przespałem. Nie wiedziałem, że uciekł, dopóki strażnik nie skopał mnie z wyrka. Mam nadzieję, że Theo się udało!

Przebywali w standardowej celi trzy na dwa metry. Stalowa, piętrowa prycza tkwiła przykręcona do podłogi. Do ściany przymocowane było stalowe biurko czterdzieści na osiemdziesiąt centymetrów ze stołkiem. Poza tym: metalowy zlew, otwarta, metalowa toaleta i mały prześwit, wysoko na ścianie, przez który mogli zobaczyć niebo, jeśli dobrze wyciągnęli szyje. Cella była czysta i zaplanowana funkcjonalnie dla zaspokajania minimalnych potrzeb ludzkich.

Szukając wskazówek, przeczytała korespondencję Theosopholisa z rodziną i kopie listów do prawnika, w których błagał o pomoc przy zorganizowaniu nowego procesu. Miał też pudełko na papeterię, gdzie trzymał notatki o grach i zakładach. Wkrótce skontaktowałby się z rodziną, prosząc o pieniądze... gdyby pożył dłużej.

Tice był więźniem samotnym, ale też wzorowym. Niewolniczo trzymał się przepisów i nie próbował zrehabilitować się w oczach współwięźniów.

- Cholera, ten dupek nawet nie patrzył człowiekowi w oczy - powiedział jeden z osadzonych.

Ten sam komentarz Elaine usłyszała od innych więźniów i od strażników. Cella Tice'a była trochę większa. Zamiast pryczy miał szeroką leżankę. Koce zostały odrzucone, żeby pokazać kukłę zrobioną z więziennych ubrań i kawałek wymodelowanego drewna pokrytego materiałem w cielistym kolorze. Obok toalety i zlewu Tice miał telewizor, półkę z książkami, krzesło, lampkę i podpórkę na nogi.

Zmarszczyła czoło.

- Dlaczego dostał pojedynczą celę z udogodnieniami?

Porucznik Oxley wzruszył ramionami.

- Słyszałem, że współpracował w czasie przesłuchań. Wie, jak o siebie zadbać.

Książki Tice'a - historyczne i biograficzne - ułożone były według nazwisk autorów. W

szufladzie biurka znajdowały się ołówki, papeteria, słownik i kilka innych przedmiotów. Na blacie stało radio. Wszystko było czyste, boleśnie równo poukładane.

Porucznik cierpliwie patrzył, jak Elaine przegląda szufladę. Znalazła tam dwie kolorowe fotografie. Na jednej był Tice i starszy mężczyzna - Palmer Westwood - przed fontanną di Trevi w Rzymie. Sądząc po ubraniach, zdjęcie pochodziło z połowy lat osiemdziesiątych.

Przyjrzała się dokładnie ich sylwetkom. Stali w odległości pół metra od siebie, wzrok mieli

skierowany na soczewkę aparatu, a ramionami skłaniali się trochę ku sobie, co dawało poczucie bliskości. Język ciała był uczciwszy i trudniejszy do zakłamania niż słowa.

- Kim jest facet obok Tice'a? - zapytał Oxley, spoglądając jej przez ramię.

- Przyjacielem. - Pokazała drugą fotografię. - A to rodzina.

Portret, taki sam jak w teczce Tice'a. Pochodził też z połowy lat osiemdziesiątych. Żona była oszalałą platynową blondynką. Oczy miała w niezwykłym kolorze zielonych klejnotów. Siedzieli na krzesłach. Ich synek stał pośrodku, trochę z tyłu, wyglądał na dumnego dzieciaka. Córka, trochę starsza od chłopca, położyła ręce na kolanach matki i patrzyła z uwielbieniem na Tice'a. Ale on i jego żona nie siedzieli blisko siebie, co sygnalizowało rozłam między nimi. Elaine przypomniła sobie komentarz Hannah. Nie zazdrościła jego żonie. Kobieta miała pusty wzrok, jakby zbyt wiele lat spędzała w podróży albo na sprawdzaniu makijażu, albo słuchaniu nudnych komplementów.

- Nie wiedziałem, że miał rodzinę - powiedział Oxley.

- Dziwne, że nigdy go nie odwiedzali. - Zastanawiała się, gdzie są teraz żona z dziećmi.

Jeszcze nie przeczytała tej części biografii. Znów zabrała się za przeszukiwanie szuflady. Z

tyłu, w rogu znalazła złoty łańcuszek. Porównała go z tym na fotografii, gdzie Tice miał na sobie koszulę z rozpiętym kołnierzykiem.

- Raczej nie tu - zauważył Oxley.

- Mhm - mruknęła na potwierdzenie. Szukała złotej bransoletki. Nic. Wrzuciła łańcuszek do kieszeni, włożyła fotografie do torebki i podeszła do zlewu. Kiedy przeglądała przybory toaletowe, ogarnął ją smutek. Widok męskiego mydła i płyn po goleniu zawsze na nią działał.

Pomyślała, że to chyba wspomnienia o Rafie. Odwróciła się.

Dwie gazety sprzed dwóch dni - „USA Today” i „International Herald Tribune” - leżały na podłodze obok biurka. Brakowało pierwszej strony „Herald Tribune”. Oxley pomógł Elaine wyciągnąć zmięte papiery z kukły, ale nie było tam brakującego fragmentu.

Podeszła do drzwi, odwróciła się i popatrzyła na klaustrofobiczne pomieszczenie. Było denerwująco sterylne. Wyobraziła sobie, że jest Tice'em, i nagle ogarnęła ją beznadzieja. On nigdy naprawdę tutaj nie był, pomyślała. Mało po sobie zostawił, mimo że siedział od trzech lat i odbywał dożywocie.

- Gotowa? - zapytał Oxley.

Kiwnęła głową. Wracali tą samą drogą przez szary, więzienny krajobraz cel, krat, elektronicznych bram i instytucjonalnej ciszy. Na zewnątrz długie cienie popołudnia kładły się na budynkach i zadbanych terenach. W oddali wznosiły się stoki Allegheny Mountains; wyglądały zwodniczo łagodnie w krwistoczerwonych promieniach zachodzącego słońca.

- I co pani o tym myśli? - zapytał Oxley, prowadząc do wynajętego samochodu.

- Tice nie zdaje się na łut szczęścia - powiedziała w zamyśleniu. - Ale zaczynam go rozumieć. Tak czy inaczej, znajdę go.

## **Omaha, Nebraska.**

Przez ostatni rok brygadzysta ładowaczy stracił tyle na maszynach grających w Council Bluffs, że jego żona zażądała rozwodu. Kiedy więc przysłała anonimowa propozycja osłodzona zaliczką w wysokości pięciu tysięcy dolarów w gotówce, szybko powiedział „tak”, żeby anonimowy dobroczyńca nie zdążył zmienić zdania. Chodziło o dostawę najnowszych telefonów satelitarnych wynalezionych na użytek Wuja Sama. Odporne na wstrząsy i wodę łączyły akcesoria, które wcześniej nigdy razem nie występowały: bezprzewodową pocztę elektroniczną, dostęp do Internetu i wyrafinowane czytniki GPS. Wszystko na szyfrowanych sygnałach, które uniemożliwiały namierzenie urządzenia. Poza tym z tych telefonów można było robić zdjęcia albo kręcić wideo o rozdzielczości ponad miliona pikseli - czterokrotnie większej niż w przypadku typowych telefonów z kamerami. Oficerowie mogli zobaczyć to, co widzą ich żołnierze, i natychmiast doradzać. Miały jeszcze łączność wielopasmową, która umożliwiała działanie w dowolnym punkcie na świecie. Użytkownicy - wojskowi i urzędnicy rządowi - mogliby latać z Europy do Stanów Zjednoczonych, Japonii, Chin i Rosji bez postojów, konieczności zmiany telefonów ani bez obawy o utratę danych.

Kiedy skończono ładowanie wielkiej ciężarówki, brygadzysta zostawił drzwi otwarte i pozwolił ludziom odpocząć. Weszli do środka, gdzie stał automat z kawą. Brygadzysta podszedł do kierowcy i dał mu cygaro. Stali i rozmawiali przez kwadrans.

Kiedy wrócił, skrzynie były poprzestawiane, ale nie wyglądało na to, żeby coś zginęło.

Najważniejsze, że jego torba na kule do kręgli leżała na progu. Przyniósł ją, bo planował zagrać sobie kilka partii. Rozejrzał się po opustoszałym placu przeładunkowym, potem popatrzył przed siebie na budkę strażnika - kolegę od kręgli - który właśnie przepuszczał półciężarówkę.

Otworzył torbę. Uśmiechnął się, patrząc na widok równo poukładanych studolarówek. Z

lekkim sercem zamknął na klucz drzwi do hali, potem stanął w miejscu, w którym kierowca mógł go zobaczyć w bocznym lusterku. Machnął ręką i ciężarówka pojechała. Stał, patrząc.

Uśmiechał się i mocno ścisnął torbę. Postanowił, że tego wieczoru nie pójdzie na kręgle. Zrobi sobie ostatnią wycieczkę do salonu z maszynami grającymi, żeby wspomnieć dawne dni.

Potem z tym skończy. Po tym wieczorze już tam nie wróci.

## **Seattle, stan Waszyngton.**

Kierownik ruchu w montowni, siedząc za komputerem, codziennie rozsyłał ładunki po całym świecie.

Kilkoma uderzeniami palców rozdzielał rządowi i spółkom wyposażenie warte miliony dolarów. Kiedy więc przyszła oferta opiewająca na więcej dolarów, niż zarabiał

rocznie, pomyślał tak: po prostu zamiast tych klawiszy, co zwykle, nacisnę kilka innych.

Wtedy towar pojedzie do Kansas City. To też było ważne. Kansas City leżało daleko od niebezpiecznych reżimów Iranu, Korei Północnej, Syrii albo innych krajów, na które Departament Handlu nałożył embargo.

Z czystym sumieniem przyjrzał się pierwszemu zamówieniu na tuff-bossy -

najnowocześniejsze notebooki opancerzone stopem magnezu, który był w stanie zatrzymać kulę. Ważyły tylko dwa kilogramy, miały kuloodporną klawiaturę, dysk twardy zamontowany w kasecie ze stali nierdzewnej i otoczony żelazem ochronnym. Można było przejechać po nich ciężarówką i nadal nadawały się do użytku. Posiadały tyle pamięci, że łatwo dawały sobie radę z bardzo zaawansowanymi programami. Dlatego były przeznaczone dla zespołów szybkiego reagowania, żołnierzy w polu, saperów FBI.

Nacisnął klawisze i skierował ładunek do Kansas City. Oddział antyterrorystyczny policji nowojorskiej będzie musiał poczekać.

## **Santa Barbara, Kalifornia**

Dzień był mglisty i zimny. Mewy szybowały nad wysokimi palmami, rosnącymi w kępach na terenach instytutu badawczego w sercu Krzemowego Wybrzeża. Mężczyzna ubrany w kombinezon UPS zatrzymał się przed wejściem dla dostawców w stylowym, nowoczesnym budynku. Tak, jak się spodziewał, czekały na niego trzy drewniane pudła.

Wokół nie było nikogo, chociaż gorąca muzyka *Flashlight* w wykonaniu Parliamentsów dochodziła z oszklonego gabinetu po drugiej stronie pomieszczenia wielkiego jak magazyn.

Słyszał ją mimo dokładnie zamkniętych drzwi.

Zaniósł pudło do półciężarówki UPS, którą przed chwilą zamówił. Kierowca leżał z tyłu oszołomiony narkotykiem. Kiedy się obudzi z piekielnym bólem głowy, nie będzie miał

pojęcia, że jego wóz i kombinezon zostały wykorzystane do szybkiego i bardzo dochodowego rabunku.

Złodziej włożył pudło do samochodu i szybko poszedł po następne, bo kierowcy UPS

zawsze się spieszyli. Był zawodowcem. Wiele lat temu zabrał niewłaściwą rzecz, przez co znalazł się w niebezpiecznej sytuacji: musiał wrócić i świsnąć właściwą. Od tamtej pory zawsze wiedział, co wziąć. Te pudła powinny zawierać tysiące stardustów, miniaturowych komputerów, które od dziesięciu lat były na etapie prób. Maksymalnie zmniejszone urządzenia przypominały ziarenka piasku. Każdy stardust z osobna, zasilany maleńką baterią słoneczną, mógł wykonać dwa, trzy elementarne zadania. Ale razem mogły stworzyć między sobą bezprzewodowe połączenia i zamienić się w



potężną sieć zdolną ogarnąć wszystko, co się porusza, rośnie, wydaje dźwięki, ciepło albo zapach.

Ustawił pudło obok pierwszego i poszedł po trzecie. Stardusty można rozsypać jak nasiona kwiatów po polach i miastach albo włożyć do ciężarówek, samolotów lub pociągów wiozących towary i ludzi. Ich sieć była w stanie przesłać dokładne dane o zwyczajnych ludziach, oddziałach wojska albo grupach naukowców w tajnych laboratoriach zbrojeniowych.

W centrum dowodzenia komputery o wysokiej wydajności przerabiałyby te informacje i przekazywały zainteresowanym. Miniaturowe komputery wyprodukowano dla rządu i przez lata miały pozostać poza rynkiem cywilnym.

Kiedy był już w wozie ze wszystkimi skrzynkami, zatrzymał się na chwilę, żeby je otworzyć. W małych węzełkach otulonych folią bąbelkową leżały dziesiątki prostych komputerów, każdy we własnym pakieciku z tworzywa sztucznego. Potrząsnął z podziwem głową na widok ich niesamowicie małych rozmiarów, zamknął skrzynie i pojechał w kierunku budki. Strażnik popatrzył na jego kombinezon, a nie na twarz, i machnięciem ręki pozwolił

wyjechać.

# 8.

## North River, Karolina Północna.

Centrala bezpieczeństwa Palmera Westwooda znajdowała się w piwnicy jego domu sprzed czasów wojny secesyjnej. Ociekając błotem, zeszli z Tice'em po schodach. Tice obejrzał rząd monitorów, które nadzorowały teren wokół domu. Wszystko wyglądało spokojnie. Skoncentrował się na pomieszczeniu. Zauważył drugie schody. Na jednej ścianie był zamocowany telewizor. Przy drugiej stały meble: szafki, barek, lodówka i szklana gablota z bronią, wstawiono też krzesła, leżankę i stolik. W powietrzu nie było czuć żadnych zapachów, wentylacja pracowała bezgłośnie. Jeśli to miejsce było zaopatrzone w żywność i wodę, a bez wątplenia było, to Westwood przetrwałby tu małe oblężenie. Typowe dla niego środki ostrożności.

Westwood usiadł za biurkiem z bezprzewodowym komputerem, telefonem i krótkofalówką. Zdjął buty rybackie. Tice, na stojąco, ściągnął z siebie mokre ubranie.

Westwood wskazał mu łazienkę i szafę. Spoglądając co rusz na monitory, szybko się osuszyli i ubrali. Tice włożył dzinsy i płócienną koszulę, buty do tenisa i lekką kurtkę.

Westwood przebrał się w niebieską, kraciatą koszulę, dzinsy i płócienne buty. Potem chwycił karabin i wrócił na schody prowadzące do drzwi wyjściowych.

Uniósł karabin; twarz mu pociemniała.

- Wynoś się stąd, Jay. Dostałeś czyste ubranie. To twoja ostatnia szansa. Dam ci trochę czasu, zanim zgłoszę, że tu byłeś. Robię to tylko w imię dawnej przyjaźni.

Tice przyjrzał się staremu wojownikowi zimnej wojny i sięgnął do kieszeni.

- Uważaj - przestrzegł go Westwood.

Tice kiwnął głową i cofnął rękę, otworzył dłoń. Westwood się przygarbił.

- Trzymałeś to przez tyle lat?

Tice spojrział na złoty trójkąt poszarpany z dwóch stron. Upuścił go na blat biurka. Złoto zaśniło.

- Dla nas to nie takie dawne czasy. Popatrzmy na twój zegarek. I nie udawaj, że nie masz tej cebuli. Tak jak ja, nie możesz odwrócić się od przeszłości.

Westwood westchnął i lekko skinął głową. Podszedł do Tice'a, wydając zegarek na łańcuszku. Położył cebulę obok złotego wisiora. Tice połączył trójkąty. Oba miały wycięcia, które świetnie do siebie pasowały.

Westwood opadł ciężko na krzesło za biurkiem. Pogłębiły się zmarszczki na jego twarzy. Nagle zaczął wyglądać na swoje siedemdziesiąt lat.

Spojrzeni sobie w oczy, potem szybko odwrócili wzrok.

- Czego chcesz? - zapytał Westwood.

- Miałeś wieści od Rainy Manhardt?

- Od lat o niej nie słyszałem.

Tice wyjął z kieszeni koszuli kawałek gazety, który dwa dni temu wydarł z

„International Herald Tribune”, i w milczeniu podał go Westwoodowi. Stary mężczyzna położył kartkę na biurku i nachylił się nad nią ze zgarbionymi ramionami. Tice też się przyglądał: Syn Rainy Manhardt zginął w Alpach podczas wypadku na nartach.

Przy tekście zamieszczono dwie fotografie. Na jednej był Kristoph ze spłowiałymi od słońca włosami i promiennym uśmiechem. Tak właśnie zapamiętał go Tice - bystrego, pełnego energii. Był jedynym dzieckiem Rainy. Na drugim zdjęciu widniało zbliżenie ich piętrowego domu w Poczdamie. Czarny, pogrzebowy wieniec wisiał na drzwiach. W artykule przytoczono informację dla prasy sporządzoną przez BND, w której Frau Manhardt wyrażała wdzięczność za powszechnie wyrażane jej współczucie i oznajmiała, że bierze urlop. Proszono o uszanowanie jej prywatności i żałoby. Tekst kończył się stwierdzeniem, że śmierć młodego człowieka była tragicznym wypadkiem niezwiązanym z pracą jego matki.

- Więc miał dziewiętnaście lat - mruknął Westwood. - Jak ten czas szybko leci. Ostatnio widziałem ich z dziesięć lat temu. W Berlinie, oczywiście. Często się z nimi widywałeś?

- Nie.

- Wiedział, że byłeś jego ojcem?

- Nie.

- Rozumiem, dlaczego nie nosił nazwiska Tice. W końcu nigdy się z nią nie ożeniłeś.

Ale dlaczego nie nosił jej nazwiska? Powinien się nazywać Manhardt.

- Pięć lat temu stwierdził, że ma dość bycia dzieckiem kobiety legendy. Powiedział, że póki jest synem Rainy Manhardt, nigdy nie wie, czy dobre stopnie, nagrody, przywileje, przyjaciele są naprawdę, czy tylko ze względu na jego matkę. Raina w końcu kazała zmienić mu nazwisko we wszystkich dokumentach na Maas. Potem przeniosła go do nowej szkoły.

- Została Frau Maas?

- We wszystkim, co dotyczyło syna. Potem zimna wojna przeszła do historii i BND nie potrzebował już wizerunku Rainy w mediach. Mogła spokojnie żyć. Kiedy poszedł na studia, zrobili z niego sierotę. Mówiła mi, że śmiali się z tego, ale chyba ją to zabolalo.

Westwood nagle zapytał:

- Co o tym myślisz?

- Nie mam zdania.

Westwood się zastanawiał. Przymrużył oczy.

- Musiał to być dla niej wstrząs jak diabli, kiedy dowiedziała się, że szpiegowałaś dla Wschodu podczas zimnej wojny, gdy ona ryzykowała życie, szpiegując dla Zachodu.

Tice odwrócił wzrok.

- Miała po prostu jeszcze jeden powód, żeby mnie znienawidzić.

Westwood rozdzielił złote trójkąty. Jednym palcem zakręcił swoim na biurku.

- Jay, przykro mi z powodu chłopca. Teraz rozumiem, dlaczego pytałeś, czy się ze mną kontaktowała. W artykule nie ma mowy, gdzie przebywa. Chciałbyś pewnie z nią porozmawiać.

- Chodzi o coś więcej. Widzisz zdjęcie jej domu? W oknie stoi posązek Ikara. To sygnał dla mnie, uzgodniliśmy go przed laty. Coś się stało i ona potrzebuje pomocy.

Westwood zmarszczył czoło.

- To bez sensu. Skąd mogła wiedzieć, że którakolwiek gazeta opublikuje właśnie to zdjęcie? A ty je zobaczysz? Może wystawiła posązek przypadkiem, a zdjęcie zrobiono i opublikowano bez głębszego powodu.

- Nie. Redaktorem jest były obywatel Niemiec Wschodnich. Raina pomogła mu uciec przed Stasi. Bez niej już dawno by nie żył, i on wie o tym. Przez lata były też inne sygnały, ale w Allenwood więźniowie nie mają dostępu do poczty elektronicznej, a zwykła poczta z Europy dociera po wielu dniach. Poza tym czytano listy do mnie, zanim je dostałem.

Powiedziałem Rainie, że zachowam prenumeratę „Herald Tribune”, więc wystarczy, żeby poprosiła redaktora o wydrukowanie zdjęcia. Wiedziała, że je zobaczą. Tak czy inaczej, stało się coś bardzo złego, skoro prosi mnie o pomoc. Fotografia poszła razem z artykułem o śmierci Kristopha, więc chyba to się łączy.

- Może jego śmierć nie była przypadkowa. - Westwood zwrócił wycinek.

Tice pokiwał głową. Złożył kartkę, włożył ją do kieszeni i zmienił temat rozmowy.

- Co porabia Moses?

- Dobry Boże, ten potwór? Od lat nie słyszałem jego nazwiska. Pewnie nie żyje albo siedzi w lochu,

albo wydaje swoje miliony na luksusowe życie. Myślisz, że maczał w tym palce? - Zanim Tice zdołał odpowiedzieć, Westwood zaklął. - Cholera! Mamy towarzystwo! -

Patrzył na monitor nad ramieniem Tice'a.

Tice szybko się odwrócił. Dwie furgonetki zaparkowały na podjeździe. Wskakiwało z nich kilkanaścioro ludzi - mężczyzn i kobiet. Przykucali z pistoletami w dłoniach. Ubrani byli sportowo. Rozproszyli się, okrążyli dom, wpadli do garażu.

- Jest stąd inne wyjście? - Tice chwycił swój złoty trójkąt.

- No pewnie! - Westwood złapał swój kawałek złota i pobiegł do regału z książkami.

Wyszarpnął jeden tom i coś nacisnął. - Chodź tutaj i pomóż mi!

Tice chwycił za bok regału i pociągnął - zapach zgnilizny wypełnił pokój. Zajrzał za regał do ciemnego tunelu.

- Tuż za progiem jest włącznik światła. - Westwood złapał karabin. - Ty pierwszy.

Tice wyjął browninga i włączył światło. Nad głowami zapaliła się linia żarówek, oświetlając wykopany w ziemi tunel, który skręcał w dalszej części. Był wąski i niski, bardzo stary, ale podparty nowymi belkami. Tice wszedł do środka. Podeszwy mlaskały w błotnistym podłożu. Westwood wszedł drugi. Regał zamknął się za nimi.

- Ten dom stał na trasie podziemnej kolei? - zapytał Tice.

- Setki niewolników tędy uciekły. Zawsze trzeba mieć odwrot, no nie? Pobiegli jeden za drugim, zgięci, żeby nie uderzyć głową o żarówki.

Wkrótce bagnisty fetor stał się nie do wytrzymania, jakby znaleźli się w zamkniętym grobie. Nadstawiali uszu, czy ktoś ich nie ściga, ale słyszeli tylko młaskające odgłosy własnych kroków. Potem w tunelu pojawiła się wykładzina z grubego betonu powstrzymująca napływ bagiennej wody.

- Szukaj białego X po prawej stronie - wydyszał Westwood.

Tice nie odpowiedział. Oszczędzał energię. Bóg jeden wiedział, co na nich czekało na górze. Rozbolały go plecy, zwolnił kroku. Westwood nie narzekał. Tice podniósł głowę, szukając znaku. Tunel, zdawało się, biegnie w nieskończoność.

Przeszli pod kolejną żarówką. Tice słyszał rżenie Westwooda. Odwrócił się, żeby sprawdzić, ale Westwood skinął ze znużeniem głową, że muszą iść dalej. Dwie żarówki dalej.

Wreszcie zobaczył w oddali biały znak.

- Już niedaleko - powiedział.

- Dzięki Bogu. To jest ponad kilometr.

Przy znaku Tice oparł się o chropawą ścianę. Westwood dobrnął do niego, twarz ociekała mu potem.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Tice.

Westwood uniósł głowę i znów ją opuścił. Zgiął się niemal wpół. Karabin zwisał mu z opuszczonej dłoni, drugą podparł się o biodro. Jego opalenizna poszarzała.

- Poczekajmy chwilę - zaproponował Tice.

Po minucie Westwood powiedział:

- Nad tobą jest kłapa.

Tice wsadził pistolet za pasek i popchnął drewniany panel. Kłapa ustąpiła troszeczkę.

Wyprostował plecy i napiął mięśnie nóg, żeby znów naprzeć. Drzwiczki się otworzyły. Do środka wpadły kawałki ziemi, odgłosy i zapachy bagna. Tice odrzucił kłapę na zewnątrz i ostrożnie zaczął wysuwać głowę.

Znajdowali się na skraju leśnej przecinki. Nachylały się nad nią wyłysiałe cyprysy, ich korzenie wbijały się głęboko w brunatno-brązowe moczary, a wielkie gałęzie tworzyły baldachim nad drogą.

Tice podskoczył i wygramolił się z tunelu. Rozejrzał się dokoła.

- Teren czysty. - Pochylił się i podał Westwoodowi rękę.

Stary przyjął pomoc, ale kiedy już się wygramolił, wyraz wdzięczności zniknął mu z twarzy. Tice uśmiechnął się do niego i nisko pochylony odszedł. Wydawało mu się, że coś usłyszał. Westwood usiadł na skraju dziury z nogami spuszczoneymi do środka. Przechylił

głowę i nasłuchiwał. Owady, żaby i ptaki nieustannie jazgotały.

Kiedy nagle z pohukiwaniem odleciała sowa, Westwood skoczył na równe nogi.

- Oni są tutaj.

Tice przeklął. Teraz usłyszał odgłos ludzi biegnących lekkim krokiem po miękkiej ziemi. Popatrzył w stronę domu.

- Zeszli też na bagna. Próbują nas okrążyć! - Westwood podniósł karabin i zaczął się gęsto ostrzeliwać.

- Jeszcze nie! - Tice chwycił starego szpiega za ramię. - Nawet ich nie widzimy!

Ale jego głos zagłuszyły wystrzały przeciwników. Upadli, szukając osłony. Westwood znów

otworzył ogień. Tice zauważył postać poruszającą się za pnąciami. Wystrzelił szybko dwa razy. Odpowiedział mu zduszony krzyk. To powinno ich spowolnić.

Kiedy ogień zamarł, Tice wyszeptał:

- Musimy się stąd wydostać. Westwood pokiwał głową.

- Tędy.

Wpadli w splątane zarośla. Potężne drzewa i tropikalna roślinność zamknęły się za nimi.

Z tyłu słyszeli głosy. Zaczęli rytmicznie iść w wodzie, omijając przeszkody. W dziczy zapadła podejrzana cisza. Wspięli się na porośniętą trawą wał i pobiegli. Było coraz ciemniej. Ciężko oddychając, dotarli nad skąpaną w słońcu North River.

Teraz Tice zrozumiał cel Westwooda. Po lewej, na rzece stał pomost, który dalej skręcał równoległe do brzegu. Do pomostu przycumowany był górnopłatowiec, cessa caravan. Łódź latająca unosiła się i opadała na falach. Samolot błyszczał bielą, wzdłuż całego kadłuba biegł rdzawoczerwony pas. Obok maszyny, ze stromego brzegu zwisały gałęzie.

- Miły widok, co? - zapytał Westwood.

Tice wbiegł susami na pomost.

- Szybko. Są już niedaleko. - Odwiązał liny.

Westwood wyciągnął kluczyki, otworzył drzwi kokpitu i usiadł na fotelu pilota. Gdy włączał silnik, Tice wskoczył na miejsce drugiego pilota i zamknął drzwi. Westwood dotykał

przełączników i tarczek. Tice odwrócił się i ułożył browninga na przedramieniu. Celował w ścieżkę, którą przyszli.

- Cholera, nie mamy czasu, żeby dobrze ją rozgrzać. - Westwood zwiększył obroty silnika.

- Zabierajmy się stąd!

Westwood znów zwiększył obroty, dostosował przyrządy. Śmigło zaczęło się obracać.

Silnik zakasłał i podjął pracę. Samolot podskoczył gorliwie, kiedy śmigło zaczęło szybciej wirować. Westwood przesunął dźwignię przepustnicy i maszyna odbiła od pomostu, zmierzając na środek rzeki. Kilwater błyszczał jak rtęć.

Kiedy Westwood odwrócił cessa pod wiatr, na brzegu pojawił się uzbrojony mężczyzna. Zawahał się najwyraźniej zaskoczony otwartą przestrzenią i oślepiającym słońcem.

- Nadciągają - powiedział Tice.

- Wierzę ci na słowo.

Westwood nadal operował przyrządami i dociskał przepustnicę, kiedy pojawiły się jeszcze dwie osoby. Śmigło zakreśliło się szybciej, łopaty przestały być widoczne. Ale kiedy samolot wlatywał, w ogon z hukiem uderzyła kula. Westwood głośno zaklął, spojrzął na odczyty i przesunął dźwignię przepustnicy na pozycję startową. Kolejne kule wbiły się w ogon. Samolot trząsnął się od gwałtownej strzelaniny, Westwood mocno popchnął przepustnicę.

Nos cudem uniósł się w powietrze, pontony zaczęły plaskać o fale i nagle śmignęli nad wodą, zostawiając strzelców za sobą. Kiedy maszyna wspinała się w lazurowe niebo, Tice rozejrzał się wokół i popatrzył w dół. Lecieli gładko. Słyszał tylko zbawienny warkot silnika. Tice rozłożył się na fotelu i głęboko zaczerpnął tchu.

- Stary, ale jary, co? - powiedział Westwood zadowolony z siebie.

Tice spojrzął na niego.

- Teraz uznają, że jesteś ze mną, albo się domyślą, dokąd lecimy. Znasz jakieś bezpieczne miejsce?

- Tak. Lecimy do domu przyjaciela nad zatoką Chesapeake. Kumpel jest za granicą, ale mam klucz. Będzie dobrze. - Przerwał i podjął rozmowę ponurym tonem. - Więc tyle, jeśli chodzi o Rainę i chłopca. Wiesz, Jay, ja jeszcze nie wypadłem z gry. Pomogę ci.

- I dasz się zabić? Dziękuję.

- Przynajmniej powiedz, co planujesz. Ktoś powinien to wiedzieć na wypadek, gdyby stało się najgorsze. Jeśli Raina potrzebuje pomocy, mogę się włączyć.

Tice milczał zapatrzony przed siebie; twarz miał bez wyrazu. W końcu potrząsnął głową.

- Zły plan. Podaj numer komórki. Jak tylko będę mógł, zgłoszę się.

Palmer ze złości zacisnął usta, ale podał numer.

Tice zapamiętał cyfry.

- Nadal tęsknisz do roboty, co?

- Jak cholera. Przyjmij moją radę, Jay. Gdy tylko ty i Raina skończycie z tą sprawą, oddaj się na łaskę rządu. Wróć do więzienia. W ten sposób uda ci się przeżyć.

Tice nie odpowiedział.



Westwood przyglądał mu się, jakby czegoś szukał. W końcu kiwnął głową i odwrócił wzrok.

- Masz rację, Jay. Nigdy nie zrozumiałem, co się z tobą stało.

Tice był myślami gdzie indziej. Odwrócił się i przyjrzał pomostowi - już małemu, ale nadal widocznemu na skraju bagna. Jeden z mężczyzn rozmawiał przez komórkę.

- Zawróć - powiedział.

- Co? Zwariowałeś?

- Chcę się im przyjrzeć.

- Aha. - Westwood odbił i położył samolot w elegancki zakręt.

Nad rzeką, na prywatnych pomostach, pojawiły się gromadki ciekawskich i przestraszonych ludzi. Patrzyli na grupę mężczyzn i kobiet stojących z bronią w ręku. Czarne szkła okularów przeciwsłonecznych skierowane były na samolot.

Tice przyjrzał się rozgniewanym twarzom, wyteżając wzrok osłabiony latami spędzonymi w więzieniu.

- Rozpoznajesz kogoś? - zapytał Westwood.

Tice popatrzył na Westwooda. Nie zdradzając emocji, skłamał:

- Nie. Sami obcy.

**9.**

# Waszyngton.

Martin Ghranditti szedł w stronę holu swojego apartamentu przy Lincoln Park. Odgłos kroków pochłaniały cenne dywany. Pociągnął nosem, wdychając drogi zapach stylowych mebli. Choć miał pracowity dzień, nadal ubrany był nieskazitelnie w ciemny garnitur.

Między palcami obracał nie zapalone cygaro Cohiba i myślał o swoim nowym rajku na południowym Pacyfiku. Podniecenie z powodu tego zakupu i nowego kontraktu na broń dodawało mu wigoru. Niecierpliwie czekał, żeby dowiedzieć się, jak daleko zaszły sprawy.

Przed nim otworzyły się drzwi do windy. Tak, jak można było się spodziewać, w środku czekał Jerry Angelides.

- Dzień dobry, panie Ghranditti.

- Panie Angelides, jest pan punktualny jak zwykle.

Ghranditti wszedł do windy i się odwrócił. Lampy w westybulu już przygasaly. Jego luksusowe mieszkanie na najwyższym piętrze było „inteligentne”, wyposażone w najnowsze osiągnięcia elektroniki służącej luksusowi. Kiedy drzwi zamknęły się i prywatna winda zaczęła bezgłośnie zjeżdżać, Ghranditti przyjrzał się Angelidesowi. Był to człowiek średniego wzrostu i budowy, ale od czubka głowy, przez szerokie bary, po okazałe stopy biła od niego siła dzikiego byka. Angelides jak zwykle nosił sportowe ubranie. Ghranditti nigdy nie widział

swojego pracownika w dżinsach albo w garniturze i z pewnością nigdy nie zobaczy go tak ubranego.

- Pozwoli pan, że przypalę? - Angelides wyjął zapalniczkę.

- Nie. Zameldował się pan w hotelu?

- Tak, proszę pana. Ładne miejsce. Rozciąga się stamtąd wspaniały widok na pomnik Jeffersona. W telewizji jest kanał historyczny i HBO. Bardzo panu dziękuję. Właśnie odebrałem informację o ładunku. Prawie wszystko jest już w drodze albo w powietrzu, zgodnie z planem. Wygląda na to, że zostało panu tylko wyrazić zgodę.

Ghranditti się uśmiechnął.

- Doskonale. Co z poszukiwaniami Tice'a?

- Hm, w tej sprawie nie ma tak dobrych nowin. Zgubili go w Karolinie Północnej.

Uciekł łodzią latającą razem z Palmerem Westwoodem, więc nie mogli ich ściagać.

Zmarnowali okazję, ale mają dobry opis wodnosamolotu i szukają go zawzięcie. Przecież gdzieś musi wylądować.

- Cholerny Tice! - Wetknął niezapalone cygaro do ust i przygryzł końcówkę.

- Tak, proszę pana. Zgadzam się.

- A co z tą nową kobietą, zawodowym łowcą, Elaine Cunningham?

- Dziś odleciała do Allenwood. Mówi się, że kilka lat temu była prawdziwym pistoletem. Potrafiła znaleźć każdego. Potem jej odbiło i nikt nie chciał z nią pracować.

- Co pan o tym myśli?

Angelides wzruszył ramionami.

- Nie wiadomo. Może ktoś taki jak ona jest potrzebny, żeby przyszpilić Tice'a. Nie działa szampowem jak reszta tych krawaciarzy z Langley.

Drzwi windy otworzyły się na hol pełen wypolerowanego brązu, rzeźbionego drewna i czarnych emaliowanych filarów. Ghranditti wyszedł i skierował się ku wielkiemu oszklonemu wyjściu. Jego pojawienie się wywołało zamieszanie. Spod ziemi wyrósł służący ze złotą zapalniczką. Ghranditti odprawił go machnięciem ręki. Odźwierny otworzył drzwi. Limuzyna Ghrandittiego, cadillac, zmaterializowała się przy krawężniku. Szofer wysiadł, obiegł wóz i otworzył tylne drzwi.

Ale Ghranditti zrobił krok na chodnik i zawrócił. Wszyscy się cofnęli. Wyciągnął cygaro z ust i spojrzał na Angelidesa.

- Powiedział pan, że Cunningham odleciała? - zagadnął spokojnie. - Niech pan się dowie, z którego lotniska, i każe ją śledzić. Ona jest jedynym tropem, którym jeszcze nie poszliśmy. Poza tym nie chcemy, żeby pogmatwała nam plany.

- Oczywiście, panie Ghranditti. Może pan na mnie liczyć. - Angelides się uśmiechnął.

Ghranditti skinął ostro głową i wszedł do limuzyny. Kilka sekund potem czarny luksusowy samochód odjechał.

### **Lot na południe do bazy lotnictwa wojskowego Andrews, Maryland.**

Elaine zdjęła kurtkę i rzuciła ją w przejściu. Martwiła się, myśląc, co zamierza Tice, komu następnemu zrobi krzywdę. Opadła na fotel i popatrzyła przez okno na strzęp chmury sunącej po niebie. Nagle zobaczyła siebie jako nastolatkę siedzącą z matką w przednim rzędzie w sądzie federalnym w Los Angeles.

Jej ojciec stał za stołem dla obrony. Po lewej i prawej stronie miał drogiego adwokata.

W garniturze na miarę, koszuli w paski, czerwonym krawacie wyglądał jak wypolerowany posąg. Spoglądał władczo. Wiedziała, że miał sto milionów dolarów na tajnym koncie w Liechtensteinie i kochankę, która czekała na niego w Paryżu. Potem sędzia odstukał młotkiem zaledwie cztery lata do odsiedzenia w Lompoc, więzieniu federalnym dla białych kołnierzyków.

Dlaczego o nim myślała? Czuła się dobrze. Tęskniła za powrotem do pracy, chciała znów być

pożyteczna, dawać coś z siebie. Langley było dla niej ważne. Niesienie pomocy krajowi jeszcze ważniejsze, szczególnie teraz. Poza tym już dobrze radziła sobie z ludźmi. No i zlecono jej super polowanie. Tice przerażał ją, ale i zafascynował - stanowił najtrudniejsze Wyzwanie.

Podeksycytowaniu towarzyszyło głębokie poczucie odpowiedzialności. Musi znaleźć Tice'a. Znajdzie go. A teraz, po zapoznaniu się z jego aktami i po wizycie w Allenwood, zaczęła czuć jakąś więź. Każde zadanie przypominało wpełzanie w cudzą skórę.

Przypomniał się jej fragment z teczek Tice'a, w którym analizowano jego sukcesy jako wybitnego szpiega. Otworzyła dokument i rozsiadła się wygodnie. Tice manipulował ludźmi i wykorzystywał to jako tajną broń. Kod POR - Przyjaźń, Oszacowanie, Rekrutacja.

Przewracała kartki, aż znalazła właściwy fragment:

...Tice był bardzo przekonujący, miał niezwykły talent do okazywania ciepła i współczucia. Kiedy rekrutujący raportował potencjalną wtykę albo kiedy agent był oporny, Tice aranżował osobiste spotkanie. Zanim do niego doszło, Tice zapoznawał się z każdym szczegółem z życia potencjalnego współpracownika. Zadawał pytania, słuchał uważnie, okazywał głębokie zainteresowanie sprawami danej osoby, jej obawami co do przyszłości.

Wkrótce potencjalny współpracownik zaczął myśleć, że Tice się o niego troszczy.

Tice spotykał się z nimi tyle razy, ile było trzeba, żeby zgodzili się wykonać zadanie.

Kiedy je wypełnili, byli skompromitowani, a ich dusze należały do niego.

Jego osobiste podejście było szczególnie zwodnicze: kiedy tylko pokazali się w drzwiach na pierwszym spotkaniu, natychmiast wychodził im naprzeciw, z wyciągniętą ręką i uśmiechem. Przedstawiał się, relaksował ich i mówił:

- Darujmy sobie formalności, przyjaciele mówią do mnie Jay... Opis mroził krew w żyłach. Wielcy mistrzowie szpiegostwa, tacy jak Tice, nauczyli się udawać lojalność. Niektóre autorytety uważały, że wszyscy ci superszpiegowie byli egocentryczni, nawet narcystyczni. Tice, bardzo inteligentny człowiek, zdawał sobie sprawę, co robił - manipulował ludźmi jak marionetkami. Ten wzór podwójnej lojalności utorował drogę jego upadku po śliskim zboczach, aż ku zdradzie.

Samolot odbijał się o poduchy powietrza. Wyjęła komórkę i wystukała numer.

- Hannah, już wracam. Satelity coś dały?

- Były nad zakładem, ale do tej pory żadnej pomocy. FBI ma rozkład patroli straży i przydziałów personelu w Allenwood. Sprawdzamy rozpiski w oparciu o cyfrowe raporty z satelitów. Nie zarejestrowały jednak ani Theosopholisa, ani Tice'a, a zliczano każdego, kto znalazł się na otwartej przestrzeni między pierwszą a piątą nad ranem. Było kilka dostaw.

Wszystkie planowe, więc ich nie sprawdzano - mówiła wyraźnie zmartwionym głosem. -

Poprosiłam o powiększenia zdjęć satelitarnych. Chcę je sama obejrzeć. Może ta najnowsza technologia coś przepuściła.

- Dobry pomysł. Są jakieś postępy?

- Owszem. Nie myliłaś się co do Palmera Westwooda. Ma kryjówkę na Wielkim Poępnym Bagnie. Problem w tym, że zanim dotarli tam moi ludzie, Tice i Westwood byli już daleko.

- Są teraz razem? - Poczula, że serce jej przyspiesza. - Co się stało?!

- Świadkowie twierdzą, że Westwood odlatywał z Tice'em łodzią latającą, kiedy jakaś gromada wyszła z bagien i otworzyła do cessań ogień. Wyglądało to nie najlepiej.

Wielokrotnie trafili samolot, a może też Westwooda i Tice'a. Nie ma sposobu, żeby się upewnić. Wszędzie szukamy tego samolotu. Powiadomiłam Straż Przybrzeżną. Kiedy dotarliśmy na miejsce, po strzelcach nie zostało śladu.

- Kim są świadkowie?

- Sąsiedzi znad rzeki. Nasi ludzie ich przesłuchali. Relacje pokrywają się w dostatecznym stopniu, żeby je uznać za prawdziwe. Niektórzy z nich znają Westwooda, a opisy drugiego mężczyzny pasują do Tice'a. Ponadto zidentyfikowaliśmy odciski palców Tice'a w piwnicy domu i na motocyklu zostawionym na podjeździe.

- A więc jeszcze ktoś go szuka i najwyraźniej nie chce go wziąć żywcem. - Zamilkła i nagle się uśmiechnęła. - Skąd wiedzieli, że uciekł z więzienia?

- Też jestem ciekawa - mruknęła z irytacją Hannah. - Choćbyśmy nie wiem jak uważali na przecieki, istnieje jeszcze więzienna poczta pantoflowa. Uwierz mi, trzymamy rękę na pulsie. - Przerwała. - To był cholernie dobry pomysł, żeby zająć się Westwoodem. Masz jeszcze jakieś sugestie?

- Muszę najpierw przemyśleć to, czego się dowiedziałam.

- Przyjedziesz tutaj prosto z Andrews?

- Z jednym przystankiem. - Opisała brakującą stronę „Herald Tribune”. - Pomyślałam o sprawdzeniu internetowego wydania gazety, ale w obu wersjach, drukowanej i elektronicznej, mogą się pojawiać różne wersje tekstów. Poza tym lepiej zapoznać się z tym, co widział Tice.

- Gdzie znajdziesz gazetę?

- W księgarni i kawiarni na Czternastej. Trzymają tam stare gazety i periodyki dla stałych bywalców.

- Uważaj, Elaine. Zabójcy, którzy ścigają Tice'a, stanowią dodatkową komplikację.

Kiedy się do niego zbliżysz, oni też tam mogą być. Wtedy znajdziesz się na linii strzału.

Już o tym pomyślała. Mimo to, nagle poczuła się nieswojo.

- Dzięki za ostrzeżenie.

Silniki samolotu buczały. Pożegnały się i wróciła do komputera. Miała pocztę od Marka Siliphanta.

*Skończyłem. ForeTell odnalazł, posortował, sprawdził i przeanalizował. Ale rezultaty za dużo ważą, żeby przesać jako załącznik. Mogę je mailować w kawałkach albo zgrać na CD i dać ci, kiedy wrócisz do Charta.*

Odpowiedziała:

*Dziękuję. Nadal mam mnóstwo innych zajęć. Zapisz to na CD. Znalazłam fotografię Tice'a z połowy lat osiemdziesiątych, na której nosi na łańcuszku złoty wisiołek w kształcie trójkąta. Przeszukaj dane raz jeszcze. Może uda ci się go zlokalizować.*

Czekając na odpowiedź, zapisała sobie dla pamięci, żeby zajrzeć do szafki z rzeczami Tice'a. Potem załadowała CD z napisem Jay Tice. Były tam zarejestrowane klipy wideo z przemówień wygłoszonych w Langley, poczynając od 1994 roku. Wyłączyła głos, żeby skoncentrować się na jego wyglądzie. Przyjrzała się owalnej twarzy i wytwornym rysom sprzed dekady, zmarszczkom, kościom policzkowym, podbródkowi. Patrzyła, jak Tice się starzeje. Ale nawet w ostatnich swoich mowach kołysał się na piętach jak atleta. Włączyła dźwięk i wróciła do początku. Dwie jego rady ją zastanowiły:

„Zawsze trzeba mieć dobry plan awaryjny”.

„Czyńcie to, co niespodziewane. Jak pisał Goethe: Jest w tym: śmiałość i geniusz, siła i magia. Śmiałość daje bezpieczeństwo i zapewnia lepsze wyniki”.

Tice był frapującym celem. Kiedy przemawiał do kolegów, był praktyczny i swojski, choć emanował wiedzą i zdolnościami przywódczymi. Kiedy słuchali go politycy i wyżsi urzędnicy, skóra napinała mu się na twarzy, wyostrowając rysy. Głos robił się Tice'owi głębszy, a on stawał się wyniosłym, niepodważalnym autorytetem. Od agenta uczestniczącego w tajnych operacjach po mistrza szpiegostwa i szefa wywiadu - był jak kameleon. Zawsze dostosowywał się do otoczenia.

Pamiętała jednak, jak zwracał się do grupy rekrutów: „Dać się zapamiętać w niewłaściwym czasie może być równoznaczne z wyrokiem śmierci”.

Odwróciła wzrok i próbowała go opisać, ale przychodziło jej to z trudem. Był

człowiekiem z krwi, kości i rtęci.

Postawiła komputer na fotelu obok. Patrzyła na ekran i chłoneła Jaya Tice'a. Kiedy wzięła do ręki jego dossier, przyszła poczta od Silliphanta: *Zrobi się. Jeśli znajdę coś na temat trójkątnej przywieszki, zapiszę na CD.*

Otworzyła teczkę Tice'a i zatrzymała wzrok na streszczeniu z przebiegu jego służby w CIA. W

czasach zimnej wojny pracował w całej Europie, miesiąc tu, pół roku gdzie indziej -

w Paryżu, Wiedniu, Berlinie Zachodnim, Madrycie i innych dużych i małych miejscowościach. Lista ułożona była chronologicznie, zapełniała dwie kartki. Większość szpiegów za granicą operuje z baz w ambasadach, udając dyplomatów, ale Tice był

nieurzędowym tajnym agentem - NTA. To najbardziej ryzykowna praca, jaką oferowało Langley: najniebezpieczniejsze zadania i brak immunitetów dyplomatycznych. NTA przyłapani na szpiegostwie zazwyczaj lądowali w więzieniu, a w niektórych krajach wykonywano na nich egzekucje. Tice'a nie złapano nigdy.

Wreszcie, w październiku 1985 roku, Tice wrócił z zimna, żeby stanąć na czele stacji w Berlinie Zachodnim. Kiedy zobaczyła tę datę, uświadomiła sobie, że jego pierwszy akt zdrady

- zabójstwo doktora Abendrotha - zdarzył się kilka tygodni później. Czy coś w nowym etacie - szefa stacji - sprawiło, że sprzedał się Sowietom?

Znalazła fotografię Tice'a i jego rodziny. Przekartkowała biografię - ślub z Marie Dillon w 1975 roku, narodziny dwojga dzieci, w 1976 i 1978 roku. A potem: 15 grudnia 1985

Tego ranka Jay Tice późno wyszedł do ambasady. Bmw zaparkował na końcu podjazdu, blokując samochód Marie Tice, który był jej potrzebny, żeby zabrać do szkoły Mariette i Aarona. Kiedy dzieci czekały, Marie wsiadła do bmw, żeby je przesunąć. Przekręciła kluczyk w stacyjce, co odpaliło bombę podłożoną pod wozem i zabiło ją na miejscu. Dzieci nie odzyskały przytomności i kilka godzin później zmarły w szpitalu od ran.

Uważano, że celem był sam Tice. Zaproponowano mu przejście w stan spoczynku, ale odmówił. Tydzień później poprosił o urlop okolicznościowy, który otrzymał. Nie było go cztery dni. Zamachowców nigdy nie znaleziono, ale krążyły plotki, że Tice wiedział, kim są, i ich zlikwidował. Nie popuszczał nikomu, kogo zaatakował.

Uwaga: Trzy tygodnie wcześniej, dwudziestego trzeciego listopada, Pani Tice zgłosiła lekarzowi rządowemu uzależnienie od lekarstw i wypełniła podanie o leczenie odwykowe w warunkach hospitalizacji. Podanie zostało pozytywnie rozpatrzone w dniu jej śmierci.

Elaine opuściła kartkę, próbując wchłonąć w siebie tę tragedię. Żona i dwoje dzieci Tice'a. Wszyscy. Znikli. Umarli.

Skupiła się na imieniu syna - Aaron, Mógł je dostać po bracie Tice'a, który został zabity w strefie zdemilitaryzowanej pomiędzy Koreą Północną a Południową. Możliwe, że Mariette było wariantem Marie. Mimo nieporozumień między Tice'em a Marie okrutny mord na niej i dzieciach musiał go mocno zranić.

Przejrzała resztę, ale nie znalazła odnośników do zamachu bombowego. Wróciła do raportu: „Tydzień później poprosił o urlop okolicznościowy... Tice wiedział, kim byli i ich zlikwidował”. Teraz w to mogła uwierzyć, po tym, co o nim przeczytała i usłyszała. Tice wydał się jej typem, który

nie zapomina uraz. Zrobiliby wszystko, żeby powstrzymać pościg -

nie wyłączając zabójstwa.

Ale wpadły jej w oko też inne zdania: „Tego ranka Jay Tice późno wyszedł do ambasady... Zaproponowano mu przejście w stan spoczynku, ale odmówił... Zamachowców nigdy nie znaleziono...”

Czy Marie wiedziała, że Tice był wtyką KGB? Jeśli tak, mógł się bać, że żona zdemaskuje jego zdradę, albo już mu tym groziła. Po śmierci rodziny Tice wydał co najmniej kilkanaście amerykańskich wtyk. Niemożliwe, żeby nie wiedział, jaki będzie ich los.

Praktycznie to on ich zamordował, w tym kontekście wydaje się prawdopodobne, że poprosił

KGB o zlikwidowanie także Marie. Dłużej został w domu, żeby musiała przesunąć jego samochód. Śmierć dzieci mogła być dla niego drugorzędną szkodą.

Zmarszczyła czoło i zapisała sobie w pamięci, żeby sprawdzić rodzinę Marie. Odwróciła stronę:

...Tice pracował dalej, jak zwykle wydajnie. W roku 1987 przeniósł się do Waszyngtonu, potem wrócił do Europy, żeby objąć stację w Berlinie Zachodnim, w Rzymie, Londynie i znów w Berlinie Zachodnim. Po aresztowaniu Amesa w 1994 roku wrócił do Langley, żeby objąć kierownictwo wydziału operacyjnego.

Do jego obowiązków należało wykopywanie wtyk, które mogły się zalegnać w amerykańskim systemie bezpieczeństwa. Ironia była w tym, że kierował poszukiwaniem siebie samego.

Nie ożenił się powtórnie. Uważano go za szpiega dżentelmena starej szkoły. Wśród kolegów i urzędników cieszył się popularnością i szacunkiem. Chętnie go zapraszano.

Mimo że „cieszył się popularnością i szacunkiem” i „chętnie go zapraszano”, najwyraźniej nie miał prawdziwych przyjaciół, bo nikt się za nim nie ujął po aresztowaniu, chociaż, na przykład Rickowi Amesowi i Bobowi Hanssenowi kilku przyjaciół dało moralne wsparcie. Izolacja była jednym z czynników, który sprawił, że zwrócił się przeciwko swoim.

Niesławny sprzedawczyk z MI-6, Kim Philby, powiedział kiedyś: „Żeby zdradzić, musisz najpierw przynależeć. Ja nigdy nie przynależałem”.

A Tice chciał górować nad innymi, przekraczać wymagania, które mu stawiano. Robił

tak w szkole średniej, w college'u i w CIA. Ale kiedy osiągnie się szczyt, co jeszcze można osiągnąć, dokąd pójść? Tice odpowiedział na to pytanie, podejmując się jeszcze trudniejszego zadania, przy którym koszt porażki był wyższy - pracy najpierw dla radzieckiego, potem dla rosyjskiego wywiadu przeciwko Stanom Zjednoczonym.

Zrozumienie siły wewnętrznej, która nim kierowała, pomogłoby odgadnąć, dokąd się udał, czego chciał się dowiedzieć. Może znów działał na rzecz kogoś lub w jakiejś sprawie.



Ale dla kogo, dla jakiej sprawy? Kiedy Elaine odpowie na to pytanie, będzie wiedziała, jak go znaleźć.

**10.**

# Waszyngton.

Ostatnie złote promienie słońca padały na wrzącą stolicę, ukazując ją z najlepszej strony tuż przed codzienną śmiercią - zapadnięciem nocy. W kawiarnianej czytelnicy klienci chodzili wzdłuż regałów z książkami i siedzieli wokół stolików. Bogaty aromat kawy wypełniał

powietrze. Właściciel w niecałą minutę wyciągnął egzemplarz „Herald Tribune”, o który prosiła Elaine.

Z filiżanką parującego espresso Elaine znalazła stolik. Była zbyt niecierpliwa, żeby czekać z lekturą, aż dotrze do Charta. Przełknęła kawę i rzuciła okiem na tytuły -

kontrowersyjne głosowanie Unii Europejskiej w Brukseli, więcej ataków terrorystycznych w Europie i Afryce, więcej zamieszek na Bliskim Wschodzie...

Przejrzała gazetę do końca i powoli wróciła do pierwszej strony, aż znalazła: Syn Rainy Manhardt zginął w Alpach podczas wypadku na nartach.

Zmarszczyła czoło. Znów słynna Raina Manhardt. Jeszcze raz przejrzała gazetę, ale nie zauważyła, żeby cokolwiek innego miało związek z Tice'em. Przeczytała informację: Berlin, Niemcy - Kristoph Maas, dziewiętnastoletni syn bohaterki zimnej wojny, Rainy Manhardt, zginął wczoraj w wyniku wypadku narciarskiego w okolicach Chaux de Mont w Szwajcarii.

Według rzecznika prasowego BND Maas był programistą komputerowym, mieszkał i pracował w Genewie. Na nartach towarzyszył mu przyjaciel z dzieciństwa, Gerhardt Shoutens, także programista pochodzący z Berlina. Shoutens powiedział, że widział, jak Maas uderza o coś w śniegu blisko krawędzi przepaści. Maas stracił równowagę i spadł ze dwadzieścia metrów, ponosząc śmierć na miejscu.

BND oświadczyło, że sekcja zwłok wykazała jako przyczynę śmierci rozległe obrażenia mózgu i narządów wewnętrznych wywołane upadkiem z wysokości...

Jazda na nartach to sport wysokiego ryzyka, w którym wypadki i śmierć zdarzały się znacznie częściej niż większość ludzi sobie wyobrażała. Elaine podejrzewała, że podstawowym powodem, dla którego „Herald Tribune” zamieścił tę informację, była sława Manhardt. Dziwne, że jej syn nosił inne nazwisko.

Dokończyła espresso, wyjęła wyciągi z misji Tice'a, szukając nazwiska Rainy Manhardt

- jako funkcjonariusz nieprzyjaciela brała udział w zaaranżowanej przez CIA wymianie, podczas której zamordowano doktora Pavla Abendrotha. Tice i Manhardt pomieszkiwali w Berlinie co najmniej przez dekadę, pracując na obie strony, ale ze względu na bezpieczeństwo prawdopodobnie jedno nie wiedziało o drugim. Po upadku muru berlińskiego było oczywiste, że oboje - jako wysocy rangą oficerowie zaprzyjaźnionych agencji - spotykają się na oficjalnych biznesowo-towarzyskich przyjęciach w ambasadach. Wtedy Manhardt służyła już tylko jednemu panu, BND, podczas gdy Tice pracował zarówno dla CIA, jak i wywiadu rosyjskiego.

Czy ta informacja skłoniła Tice'a do ucieczki, czy też był to tylko zbieg okoliczności?

Zwróciła uwagę na wiek Kristopha. Urodził się po wymianie Abendrotha, po śmierci rodziny Tice'a, po tym, jak Raina Manhardt została wtyką BND, po zdradzie Tice'a na rzecz KGB.

Elaine postanowiła, że jak tylko wróci do Charta, poprosi Marka, żeby wyodrębnił

wszystkie informacje na temat Rainy Manhardt w bazie danych CIA. Zwinęła wycinek z gazety i wetknęła go do torby. Myślami była już w Chartcie, intrygowało ją, co też Mark znalazł na temat Tice'a.

\*

Ruch był gęsty, piesi tłoczyli się na chodnikach, pozdejmowali marynarki, szli szybkim krokiem. Wilgotne powietrze śmierdziało spalinami i chłodnym betonem. Elaine szła Czternastą do miejsca, gdzie zaparkowała jaguara. Myślała o tym, czego dowiedziała się na temat Jaya Tice'a. Przeszła przez skrzyżowanie z ulicą H i poczuła ciarki na karku. Otrząsnęła się. Bardziej czuła, niż wiedziała, że jest śledzona. Jako myśliwy rzadko bywała zwierzyną łowną. Kto to mógł być?

Przycisnęła torbę do boku i lekko przechyliła głowę, żeby kątem oka zobaczyć, co dzieje się z tyłu. Tłum przechodniów zrzędł, ale nie rozpoznała nikogo.

Poszła rażno dalej. Kiedy znów zerknęła przez ramię, wydawało się jej, że widzi wysokiego mężczyznę chowającego się pospiesznie w bramie. Potem była prawie pewna, że jakaś kobieta nagle odwróciła się, żeby zagapić się w okno wystawowe. Pot spływał jej po plecach. Martwiła się nie tylko o własne bezpieczeństwo. Ważniejsze, żeby nikt nie śledził jej po drodze do tajnej, wiktoriańskiej siedziby Charta.

Z drugiej strony, jeśli zapanuje nad sytuacją, może zdoła przyjrzeć się ogonowi i rozpoznać kogoś.

Przy ulicy Eye skręciła na Franklin Square, miejsce częstych protestów i wieców. Miała nadzieję, że zastanie tam mnóstwo ludzi. Jedną z zalet jej niewielkiego wzrostu było to, że potrafiła wtopić się w tłum łatwiej niż większość kolegów. Park był duży i otwarty, z niskimi schodami i pochyłymi chodnikami. Tym razem nie było tu większych zgromadzeń. Starsze małżeństwo prowadziło parę jamników na smyczach. Kobieta ubrana w muzułmański hidżab -

zasłone, chustę i długi płaszcz - trzymała za rękę chłopczyka i szła w stronę Trzynastej.

Nastolatek w workowatych szortach i mycce przemknął obok na rolkach. Bezdumni siedzieli na ławkach.

Elaine zatrzymała się koło fontanny, przy staroświeckiej latarni. Nerwy miała napięte jak postronki, bo przypomniała sobie groźne słowa Hannah na temat grupy, która zaatakowała Jaya Tice'a i Palmera Westwooda.

Nagle oświetlone miejsce opustoszało. Została tylko kobieta w garsonce z grubą aktówką w ręku, która zatrzymała się przy fontannie najwyraźniej po to, żeby nacieszyć się widokiem strumieni wody.

I jeszcze jedna kobieta z obszernym kaftanem, który leżał obok niej na ławce. Obejmowała sfatygowaną torbę na książki, a powieki opadały jej, jakby miała zasnąć. W parku publicznym rzadko dochodziło do porwań albo zabójstw, chociaż to się zdarzało, szczególnie jeśli sprawcy byli typami spod ciemnej gwiazdy albo amatorami.

Serce jej stanęło. Rozległ się dźwięk, słaby, ale ostry, jakby dziecko klepnęło rączką w skórzaną poduszkę. Bez namysłu rzuciła się na trawę. Coś musnęło jej włosy. Bezgłośnie.

Przeleciało i znikło. Natychmiast znów rozległ się ten stłumiony dźwięk. Jakby za przyczyną czarów, z tabliczki „nie deptać trawników” wyrosła strzałka.

Elaine przeturlała się na lewo, wyciągając z torby walthera PPK i tłumik. Odrzuciła torbę. Znów się przeturlała, przykręcając tłumik. Przykucnęła za drzewem i omiotła park spojrzeniem. Naprzeciwko niej spała kobieta z kaftanem. Bizneswoman z aktówką nadal stała odwrócona profilem i podziwiała fontannę. Wokół nikogo innego. Jedna z nich musiała być zabójczynią.

I znów ten straszny dźwięk. Strzałka wbiła się w korę. Elaine uchylła się w lewo, a kawałki drewna ukłuły ją w policzek. Ale zdołała zauważyć, że torba na książki się poruszyła.

Strzelcem była kobieta z kaftanem. Znów głucho plaśnięcie i strzałka świsnęła jej koło skroni.

Torba na książki leżała wysoko, na piersi kobiety.

Z łomoczącym sercem Elaine padła na brzuch za krzakiem i starannie wycelowwała pistolet. Kiedy torba na książki znów zmieniła pozycję, Elaine nacisnęła spust. Puk! Niemal równocześnie strzałka wbiła się w trawę obok jej łokcia.

W stronę fontanny szli jacyś ludzie. Mężczyzna z marynarką przewieszoną przez ramię dołączył do kobiety w kostiumie. Objęli się. Kobieta z kaftanem leżała bez ruchu na boku.

Elaine wstrzymała oddech. Wreszcie ramię, którym tamta obejmowała torbę, zsunęło się i zwisło bezwładnie. Dłoń dotknęła trotuaru.

Elaine rozejrzała się i chwyciła torebkę. Wyrwała trzy kartki z jednego z wydruków i zrobiła z nich rulon. Ostrożnie podniosła jedną strzałkę i wrzuciła ją do środka. Potem schowała wszystkie. Zabicie strzałkami było raczej niemożliwe, chyba zatrutymi. Zagięła brzegi rulonu i włożyła go do zapinanej na suwak kieszonki w torebce. Nie zdradzając emocji, z niedbałym uśmiechem, podeszła do łowcy.

Przewróciła kobietę na plecy. Krew zabarwiła na szkarłatnie róg torby na książki. Kula wbiła się pod kąt w brzuch i najprawdopodobniej przeszła serce. Tętno na szyi nie pulsowało. W przyćmionym świetle Elaine przyjrzała się prostemu nosowi, okrągłym policzkom i podbródkowi oraz szerokim ustom zabitej. Kobieta miała brązowe włosy przycięte prosto i krótko. Żadnych znaków charakterystycznych, pierścionków ani dokumentów. Elaine jej nie знаła.

Rozejrzała się wokół i chwyciła torbę, pod którą leżał pistolet pneumatyczny. Schowała go i założyła ramiona zmarłej na obfitej piersi, jakby kobieta naprawdę spała. Elaine zrobiło się niedobrze. To nie jej robota. Ona była myśliwym. Uratowało ją tylko to, że dobrze widziała zabójczynię, a tamta nie

miała pełnego widoku niedoszej ofiary. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zdaje się na taki łut szczęścia.

Odeszła i otworzyła torbę. W środku znalazła też berettę kaliber 9 milimetrów z tłumikiem - broń zapasowa. Ponadto książka telefoniczna dodająca torbie wagi - stara sztuczka w tej profesji. Kobieta była zawodowcem.

Elaine nabrała tchu. Zrobiła wydech. Znow nabrała tchu. Poszła przed siebie. Rozejrzała się po okolicy. Zabójczyni weszła do parku za nią, więc prawdopodobnie to ją Elaine wcześniej wyczuła. Ale bardzo prawdopodobne, że byli też inni. Oby ich zadanie polegało tylko na śledzeniu.

Na Czternastej reflektory i tylne światła wozów tworzyły jaskrawe smugi w zapadającym zmierzchu. Zobaczyła swojego jaguara. Poszła szybko w stronę auta, dzwoniąc jednocześnie do Hannah. Chciała, żeby jak najszybciej uprzątnięto trupa z parku. Jeśli będą mieli szczęście, może uda się zidentyfikować kobietę.

Ale Hannah okazała się „niedostępna”. Elaine pomyślała chwilę, potem zostawiła wiadomość. Hannah powiedziała, że będzie na nią czekać w kwaterze głównej Charta. Elaine jeszcze raz się rozejrzała i wsiadła do jaguara.

\*

Martin Ghranditti rozparty na tylnym siedzeniu limuzyny palił cygaro. Samochód jechał

ulicą U. Ghranditti rozkoszował się łagodnym aromatem doskonałego tytoniu, przyglądał się roześmianym, gadatliwym, na wpół ubranym hordom, które nocne atrakcje wielkiego miasta przyciągały jak płomień ćmy. Palił i myślał, czego oni chcą. W co wierzą? Ostatnie supermocarstwo było na drodze ku zagładzie. Pokiwał głową, on znał ten kierunek i ścieżkę zniszczenia. Nieźle na tym zarobi. Miał talent do interesów.

Kierowca podjechał do krawężnika i mężczyzna w bermudach i hawajskiej koszuli, pozornie rozbawiony i napity, nagle wytrzeźwiał i wskoczył na miejsce obok Ghrandittiego.

Wielka limuzyna natychmiast ponownie włączyła się do ruchu.

Mężczyzna nawet nie pofatygował się, żeby powiedzieć dobry wieczór. Od razu przeszedł do rzeczy:

- Ma pan? - Z twarzą łasicy i niespokojnym spojrzeniem wyglądał nieprzyjemnie.

Ghranditti westchnął i podniósł z podłogi plecak.

- Pańskie pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Mówił pan sto tysięcy! - Mężczyzna otworzył plecak i zobaczył paczuszki banknotów.

- Te komórki satelitarne warte są w detalu siedem i pół miliona!

Ghranditti uśmiechnął się zimno.

- Zamierzał pan sprzedać je na Mali?

- Nigdy więcej. To wystarczy! - Mężczyzna sięgnął głęboko do plecaka, żeby sprawdzić, że do samego dna są baksy.

- Dla pana zawsze jest następny raz - powiedział porozumiewawczo Ghranditti. Postukał

w szybę, która oddzielała go od kierowcy i limuzyna znów podjechała do krawężnika. Głupi człowiek, pomyślał. Pracuje tylko dla pieniędzy.

- Po co komu dziesięć tysięcy komórek? - paplał facet w hawajskiej koszuli. - Mało mnie nie złapali, kiedy zorganizowałem...

Ghranditti przerwał mu bezceremonialnie.

- Byłoby fatalnie, gdyby pana złapali. Wysiadać.

Mężczyzna zobaczył w twarzy Ghrandittiego coś, co sprawiło, że szybko się odwrócił, chwycił łup, wyskoczył z limuzyny, zatrzasnął drzwi i uciekł.

Ghranditti skrzywił się i zaciągnął dymem. Kiedy myślał o małości gatunku Homo sapiens, zadzwonił telefon. Na szczęście był to Jerry Angelides, Miał dwie zalety, które cenił

Ghranditti - pogodną naturę i konsekwencję. Angelidesowi tak rzadko się nie udawały przedsięwzięcia, że Ghranditti uważał go za wybitnego członka swojego zespołu. W

przeciwieństwie do nieroba, który właśnie wziął pięćdziesiąt tysięcy za robotę wartą sto tysięcy, Angelides był dumny ze swojego zawodowstwa.

- Cóż, muszę przyznać, panie Ghranditti, że miał pan rację, jak zwykle. Dobrze, że poradził mi pan wysłać kogoś za łowcą Elaine Cunningham. Mało jej nie sprzątnął agent organizacji, na którą kazał mi pan mieć oko.

Ghranditti zaklął na głos.

- Opowiadaj pan.

- Strzelec używał pistoletu na strzałki. Niby nic, chyba że są zatrute. Ale Cunningham dobrze się sprawiła. Miała splotkę i tłumik. Sprzątnęła strzelca tak cicho, że nikt się nie zorientował.

Ghranditti, wściekły, wyprostował się. Oszukano go. Nie okłamuje się Martina Ghrandittiego. Zgarbił się. I powiedział bez wahania:

- Oto, co ma pan zrobić...

# 11.

Elaine jechała bulwarami w gęstym, waszyngtońskim ruchu ulicznym, sześć razy okrążyła Logan Circle, przejechała tam i z powrotem mostem za stacją Amtraku. Kilka razy udało się jej wykonać gwałtowne skręty o sto osiemdziesiąt stopni. Kiedy uznała, że nikt za nią nie jedzie, znów spróbowała połączyć się z Hannah. Bez skutku.

Pojechała szybko w okolice Dupont i znalazła miejsce parkingowe. Zaniepokojona, że Hannah nie oddzwoniła, pobiegła ulicą i zatrzymała się przy tylnym wejściu do budynku Charta. Wstukała kod i przycisnęła kciuk do skanera. Drzwi otworzyły się na oścież. Weszła, zamknęła je za sobą i zaczęła nasłuchiwać. Potem podbiegła po schodach i przeszła przez schowek na miotły.

Uchyliła trochę drzwi do holu i znów zaczęła nasłuchiwać. Wokół panowała głęboka cisza, jakby bardziej głucha niż rano. Coś było nie tak. Wyjęła pistolet i otworzyła drzwi szerzej. Przetoczył się ciężki powiew surowego, metalicznego odoru. Rozpoznała ten zapach natychmiast - świeża krew.

Ostrożnie wyslizgnęła się zza drzwi i głośno wciągnęła powietrze. Sześcioro mężczyzn i kobiet leżało rozpostartych w korytarzu o kilka metrów od niej. Martwe oczy mieli otwarte, w ciałach widniały czerwone rany. Krew ciurkała do kałuż na podłodze, ściekała ze ścian.

Gorący smród nagłej śmierci przesycił cały dom.

Stała wstrząśnięta. Szukała jakiegoś dźwięku, ruchu, znaku życia. Czy zabójcy nadal tutaj byli? Nic nie mąciło martwego spokoju. Wyciągnęła komórkę i wystukała numer alarmowy Langley.

Ledwie usłyszała głos, powiedziała cicho:

- Tu Elaine Cunningham. Jestem w jednym z naszych tajnych oddziałów. Został zaatakowany. - Dodała szczegóły i opisała, co zobaczyła.

Funkcjonariusz CIA zapytał spokojnym, melodyjnym tonem.

- Czy może pani bezpiecznie wyjść?

- Chyba tak.

- Więc niech się pani stamtąd wynosi. Za niecałe dziesięć minut pojawi się tam nasza ekipa.

- Bądźcie szybciej.

Wyłączyła telefon i znów skupiła się na scenie jatki w korytarzu. Zrobiła trzy szybkie kroki, ukucnęła przy najbliższym leżącym mężczyźnie i sprawdziła puls. Tętna nie było. Nic dziwnego. Leżał na boku, w klatce miał ranę wylotową. Strzelono do niego z tyłu, prawdopodobnie kiedy próbował uciekać. Kula wystrzelona z bliska roztrzaskała mu skroń -

po tym, jak powaliła go pierwsza kula.

Uklękła obok następnego mężczyzny z nadzieją, że znajdzie tętno. Znow nic. Znała go z zadania w Paryżu. Spotkali się cztery lata temu - Harry Brillie, wtedy etatowy agent, a przynajmniej tak się przedstawiał. Na jego szczupłej twarzy malował się wyraz wściekłości i zdziwienia. Krew z ran oblała mu nogi i gardło. Plamy na ścianie świadczyły, że udało mu się przebiec dwa metry, zanim upadł. Krwawe ślady zaczynały się tam, gdzie leżał jego pistolet.

Elaine uniosła głowę, analizując ciszę. Dom był jak sarkofag. Mimo rozkazu nie mogła wyjść. Może w kimś tliło się jeszcze życie. Poza tym chciała wiedzieć, kto, do diabła, to zrobił. Przechodziła od jednego ciała do drugiego, sprawdzając, szukając kasztanowych włosów Hannah, okularów Marka w drucianej oprawie. Ubrudziła sobie palce krwią, szukając pulsu. Nie myśl, powtarzała sobie. Nie myśl.

Ze ściśniętym gardłem pobiegła korytarzem do dwóch mężczyzn i kobiety. Krew splamiła boazerię nad nimi. Elaine ukucnęła. Umarli tam, gdzie padli. Cofnęła się i otworzyła drzwi do gabinetu. Na podłodze leżały dwa ciała. Wyglądały tak, jakby tych ludzi zastrzelono, kiedy unosili się z krzesel i odwracali w stronę drzwi. Obaj mężczyźni nadal mieli pistolety w dłoniach.

Sprawdziła kolejne gabinety - wszystkie puste. Za wyjątkiem pokoju Marka Siliphanta.

Zabito go, kiedy siedział na krześle. Kula weszła w potylicę. Runął czołem na klawiaturę. Na chłopięcej twarzy miał strzaskane szkła.

Wróciła na korytarz i znow pobiegła, nasłuchując, żeby otworzyć kolejne drzwi.

Znajdowała coraz więcej ciał. Atak nastąpił z bliska, okrutny i szybki. Prawdziwa jatka.

Gabinet Hannah znajdował się po drugiej stronie korytarza. Drzwi stały otworem, Elaine wpadła do środka, ale pokój był pusty. Odwróciła się, żeby wyjść, kiedy zauważyła, że gazeta na biurku leżała tak złożona, że na wierzchu znalazł się reportaż ze zdjęciem na temat śmierci Kristopha. Hannah najwyraźniej nie chciała czekać; posłała kogoś po „Herald Tribune” i zainteresował ją ten sam artykuł, który według Elaine był intrygujący także dla Jaya Tice’a.

Elaine ruszyła szybko korytarzem. Otworzyła ostatnie drzwi i... zamarła ze zdziwienia.

Na biurku leżała kobieta z kaftanem, ta z parku, która strzelała strzałkami.

Elaine nie wierzyła własnym oczom. Ale nie było wątpliwości - prosty nos, krągłe policzki i łagodny podbródek, brązowe włosy i krwawa rana w brzuchu. Co ten trup tu robił?

Nachyliła się nad stosem przedmiotów. Ktoś zgarnął wszystko z biurka, żeby zrobić miejsce dla trupa. Elaine sięgnęła natychmiast do fotografii w ramce. Mężczyzna z dziewczynką. Nie rozpoznała ich. Było też zdjęcie kobiety z tym samym mężczyzną i dziewczynką. Tym razem aż wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

Podskoczyła i chwyciła trupa za włosy, zdarła perukę. Kobieta zabójca to mężczyzna z fotografii. Agent Charta. Ta świadomość była dla Elaine jak cios. Przełknęła wściekłość.



Słumiła strach. Chart chciał ją sprzątnąć. Teraz przypomniała sobie na pozór niewinne pytanie Hannah: „Przyjedziesz tutaj prosto z Andrews?” To dlatego nie mogła dodzwonić się do Hannah. Co tu, u diabła, się dzieje?!

I gdzie jest Hannah? Elaine znów wypadła na korytarz. Poruszała się szybko, ale skupiała się, żeby zachować ciszę. Nagle, jakby z dużej odległości, dobiegł cichy trzask zamykanych drzwi.

Zmusiła się do oddychania i chwyciła oburącz pistolet. Ostrożnie zaczęła iść dalej. Jeśli ktoś właśnie przybył, miał wybór - albo zostanie w foyer, albo wejdzie do domu. Popatrzyła na korytarz, czekała, aż ktoś się pokaże. Stara wiktoriańska podłoga zatrzeszczała pod jej ciężarem. Elaine ugryzła się w język, żeby nie zakląć.

Na rogu uniosła walthera. Zrobiła wydech i wyjrzała. Sięgnęła wzrokiem za podróbki antyków, za ukryty system bezpieczeństwa - zobaczyła ciało rozciągnięte tuż przy drzwiach frontowych. Wreszcie znalazła Hannah Barculo.

I odpowiedź przynajmniej na jedno pytanie - ten, kto zamknął drzwi, wychodził. Elaine podeszła do szefowej Charta leżącej na plecach z ustami otwartymi ze zdziwienia, z pistoletem w zaciśniętej dłoni. Lufa była jeszcze ciepła. Na przeciwległej ścianie widniała dziura od kuli. Hannah dostała trzy razy w klatkę piersiową, czarny materiał sukienki zapalił

się od strzałów z bliska. Zginęła, ale nie dała się łatwo zabić.

Elaine przyjrzała się drzwiom. Nie było śladów włamania. Szybko się rozejrzała. Ktoś wysłał zespół z Charta, żeby ją sprzątnął w parku. Teraz zmierzało tutaj jeszcze więcej żołnierzy Langley. Oni też mogli mieć rozkazy, żeby ją zlikwidować. Pot wystąpił jej na czoło. Jedynym ratunkiem była ucieczka. Musi dowiedzieć się, o co tu, do diabła, chodzi.

Z mocno bijącym sercem wyłączyła światło i lekko uchyliła drzwi frontowe. Lampa na zewnątrz była strzaskana, szkło leżało na ganku. Wślizgnęła się w ciemność, rozglądając się, czy ktoś nie obserwuje. Zapięła ciemną kurtkę na T-shircie, który nagle zrobił się rażąco biały.

Przed nią rozpościerała się noc, gęsta i groźna, chociaż samochody jeździły po ulicach, jakby nic się nie stało. Ludzie chodzili po chodnikach obok oświetlonych domów.

Przeszła przez ganek i ruszyła chodnikiem, bacznie przyglądając się przechodniom. Jej uwagę przyciągnęła rodzina po drugiej stronie jezdni. Z przodu szło młode małżeństwo, mężczyzna pchał dziecięcy wózek. Chodnik był wąski, więc starszy mężczyzna musiał iść za młodymi. Uśmiechał się z zadowoleniem. Wuj? Dziadek? Nosił wymiętą czapkę i grube okulary. Miał czuły wyraz twarzy. Większość ludzi nie poświęciłaby mu uwagi. Ale ona znów na niego spojrzała.

Ukryła się za krzakami. Kiedy stwierdziła, że nie jest obserwowana, włączyła się do ruchu. Szła równoległe do staruszka. Było w nim - nie w małżeństwie, ale właśnie w nim - coś dziwnego. Potem się zorientowała. On grał rolę.

Ręce miał wzdłuż tułowia, co dawało wrażenie, że jest rozluźniony, ale nadgarstki trzymał sztywno.

Oczy, zdawałoby się łagodne, co jakiś czas omiatały okolicę wzrokiem polującego sokoła. Szedł powolnym, ale nie starczym krokiem - przesuwał stopy jak zawodowy biegacz. Kiedy przechodził pod lampą, zobaczyła, że spod czapki wystają mu przycięte, siwe włosy. Zauważyła bruzdy biegnące od nosa do kącików ust. Przyjrzała się dołkowi w brodzie.

Aż nią wstrząsnęło. Łatwo mogła go przegapić. Uśmiechnęła się ponuro. Znalazła cel.

To był Jay Tice.

**12.**

# Georgetown

Żółtawy obrus lśnił, srebro rzucało blaski. Drinki były mocne, a wino doskonałe.

Dyplomaci z ambasad, politycy i gwiazdy mediów otaczały długi stół obiadowy w domu byłego sekretarza stanu. Przyjęcie stanowiło jedną z tych eleganckich okazji, których Laurence Litchfield starał się nie przegapić. Jako zastępca szefa operacji nawiązywał

korzystne znajomości, kiedy tylko mógł, a ważne osobistości siedzące w blasku świec należały do elity kraju.

Ambasador Francji, znany z wyostrzonego intelektu, był atletycznym mężczyzną z cofniętą linią czoła.

- Nasza ludność muzułmańska pochodzi głównie z Maroka i Algierii - wyjaśnił. -

Ekstremistyczna sekta Takfir-wal-hidzra od lat prowadzi w tych krajach szkoły religijne.

Doktrynersko wychowują dzieciaki i zapraszają weteranów al-Kaidy, żeby uczyli je zabijać.

To genialny plan, bo mnóstwo biednych rodziców posyła dzieci do tych szkół po prostu dla darmowych posiłków. Potem, kiedy początkujący terroryści dorastają, Takfir eksportuje ich do mojego kraju.

- To tragiczne - wtrąciła żona ambasadora brytyjskiego. - Jeśli nawet ci młodzi ludzie znali kiedyś prawdziwe wartości, to o nich zapomnieli. Nie da się z nimi dyskutować. Plują wyuczoną retoryką.

Do rozmowy wtrąciła się jedna z muzułmanek siedzących przy stole. Była profesorem ekonomii w Georgetown, a także właścicielką popularnej restauracji z kuchnią bliskowschodnią.

- Współcześnie dżihad i imigracja na Zachód idą równolegle. Uważa się, że dżihad bez tego drugiego nie może zostać spełniony.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Prawa imigracyjne na całym świecie od dawna używane były jako wehikuł inwazji, ale obecnie wspomnienie o tym mroziło krew w żyłach.

Temat terroryzmu przykuwał uwagę dyskutantów, a Litchfield wysłuchiwał spokojnie zwyczajnych żalów, że CIA się objaja. Ubolewał nad tym, że ludzie zbyt łatwo i zbyt często pocieszają się wspólną niedolą. Tego wieczoru, zanim opuścił Langley, udał się do centrum globalnego reagowania na siódmym piętrze. W ciągu minionych dwunastu godzin przybyło kolejnych dwieście gróźb. Prawdopodobnie wszystkie okażą się próżne - ale każdą trzeba szczegółowo sprawdzić.

Zmieniono temat rozmowy.

- CIA robi to, czego nie robi nikt inny. Wchodzi na cudzy teren, włamuje się, przekupuje pracowników zagranicznych placówek, żeby pojąć tajemnice. - Głos zabrał młody reporter z fotogeniczną twarzą, wynajęty niedawno przez wielką stację za milion dolarów rocznie. Dla jego

grupy ta wiadomość o działaniach CIA nie była nową, ale miał za mało doświadczenia, żeby o tym wiedzieć. - Albo wpychają się do gabinetu prezydenta, o ile naprawdę są dobrzy.

Gospodyni z uprzejmości podjęła temat.

- Albo podsłuchują rozmowy telefoniczne niektórych dyplomatów, żeby się dowiedzieć, czy nikt nie spiskuje przeciwko Białemu Domowi. Prawda, Laurence?

Znana z prowadzenia salonu dla wielkich tego świata gospodyni była mistrzynią w relaksowaniu gości, żeby potem wyciągnąć z nich informacje. Już dawno temu Litchfield uznał, że byłby z niej cholernie dobry szpieg.

- To wszystko jest przydatne. - Uśmiechnął się kpiarsko, zadowolony z lżejszego tematu. - George Washington osobiście wystawił czek prawie na dwadzieścia tysięcy dolarów, żeby opłacić szpiegów wojskowych. Zarówno Aleksander Wielki, jak i Hannibal prowadzili potajemne działania. Historia szpiegostwa jest długa, choć nie zawsze szlachetna. Prezydent Nixon, na przykład, tak poważnie podchodził do kwestii bezpieczeństwa narodowego, że utajnił niektóre jadłospisy z Białego Domu.

Wokół stołu rozległy się śmiechy. Litchfield poczuł wibrację swojej komórki. Z ulgą przeprosił obecnych i wyszedł z eleganckiego salonu. Tuż za drzwiami wetknął fajkę w zęby i lekkim krokiem wyszedł z domu. Miał ponad czterdzieści lat i szczupłe, umięśnione ciało sportowca. Jego smoking był nieskazitelny, jakby uszyto go na miarę na Savile Row.

Litchfield stanął za żywoplotem i spojrzął na ogród. Miał orli nos, kwadratową szczękę i brwi, które przecinały czoło czarną linią. Zadowolony, że nikogo nie ma w pobliżu, odsłuchał

pocztę głosową. Wiadomość z centrali.

Wybrał numer.

- Bobbye? Co się stało?

Zazwyczaj słodki głos z centrali teraz wrzał od wściekłości.

- Chodzi o Charta. Ktoś ich sprzątnął.

- Co! Całą jednostkę? Jesteś pewna?

- Większość z tych, którzy byli w Waszyngtonie. Czterech żyje tylko dlatego, że przebywali poza domem, na zadaniu. Jedną z nich jest Elaine Cunningham. To ona zadzwoniła z raportem. Kto, do diabła, jest na tyle bezczelny i głupi, żeby zrobić coś takiego?

Litchfield znieruchomiał. Myślał.

- Tice mógł się dowiedzieć, że Charta ma go wyśledzić. - Przeklął na głos. - Adres jednostki jest ten sam, jak wtedy, kiedy Tice zajmował stanowisko szefa operacji. Jeszcze w tym roku planowaliśmy zmianę nazwy i adresu.

- Najwyższa pora, żebyś skrócił czas przenosin naszych jednostek specjalnych -

mruknęła Bobbye Johnson z wyraźnym niezadowoleniem.

Ale Litchfield myślał już o czymś innym, robił plany. Kiedyś był asystentem Tice'a, jego numerem dwa. Kiedy Tice został aresztowany, Litchfielda awansowano na stanowisko szefa wszystkich tajnych operacji. Trudno było iść śladami człowieka legendy, nawet jeśli zbrukanej. Ale Litchfield odniósł wiele sukcesów. Bobbye też, ale niezbyt ją za to kochano.

Jako szefowa centrali była gromem bożym na wszystko, co złe w Langley. Waszyngton huczał od plotek, a ostatnia z nich głosiła, że Johnson zostanie zdymisjonowana. Litchfield cieszył

się, że jego nazwisko wymieniano na czele listy tych, którzy prawdopodobnie zastąpią Bobbye, ale ta sprawa Charta i Tice'a może mu zaszkodzić.

- Nie zamartwiaj się, Bobbye - powiedział lekko współczującym tonem.

- Masz za dużo obowiązków. Osobiście odszukam Tice'a i tego, kto wykończył naszych ludzi. Jeśli to nie był sam Tice.

- Masz cholernie mało czasu, zanim przekażemy pościg FBI. Chartem sama się zajmę. -

Te słowa były wystarczającym ostrzeżeniem, żeby zrozumiał, że Bobbye nadal jest u władzy.

- Uruchomiłam procedury osłaniające tożsamość jednostki. Zmarli zostaną pochowani pod przybranymi nazwiskami. Dom Charta zostanie wyczyszczony w ciągu niecałej godziny.

Rozmawiałam z policją, będą współpracowali. Mediom powie się, że instytut jest ciałem doradczym składającym się z niezależnych naukowców, którzy analizują akty przemocy.

- Musimy wysłać ludzi, żeby poszukali świadków.

- Wydałam już polecenie. Poza tym kamery powinny zarejestrować atak. Kazałam przysłać kopie wideo na nasze biurka. Powiedzieć asystentowi, żeby powiadomił zespół o twoim przybyciu?

- Już jadę.

- Informuj mnie na bieżąco - poleciała.

Litchfield przerwał połączenie i splótł dłonie za plecami. Stawka jest wysoka, trzeba podjąć właściwe decyzje. Napaść na Charta wskazywała, że sprawca był nie tylko śmiały; dysponował informacją i władzą. Tak przeprowadzał operacje Jay Tice. Zaniepokojony stał

bez ruchu w świetle księżyca - tajemnicza sylwetka w czerni i bieli.

# Waszyngton

Jay Tice nie zmieniał niedbałego kroku, kiedy Elaine szła za nim przecznica za przecznica. Jedną z notatek wracała do niej w myślach: Znany był z tego, że nie popuszczał

nikomu. Ten drań jakoś dowiedział się o Charcie i zmasakrował agentów.

Zwolniła, pozwalając, żeby trzech mężczyzn w średnim wieku weszło między nią a Tice'a. Myślała o tajemniczej grupie, która próbowała zlikwidować Tice'a i Palmera Westwooda. Potem o tym, że Chart próbował ją wykończyć, a Tice zdziesiątkował Charta. Nie tylko ona polowała na Jaya. Odgrywał kluczową rolę we wszystkim, co tutaj się działo.

Gwar uliczny się wzmógł. Dotarli do Dupont Circle. Był zwykły, kwietniowy wieczór w niezwykłym, nawet jak na Waszyngton, otoczeniu. Dupont stanowił zatłoczone siedlisko miejskiej kultury i kontrkultury.

Tice krążył w tłumie, a ona przepychała się łokciami za nim. Kolory skóry oscyływały między śnieżną bielą a czernią. Błyszczały kolczyki w nosach. Migwały tatuaże. Świeciły nagie ramiona. Gubiła Tice'a.

Przepychała się przez ruchomą rozgadaną roześmianą spoconą masę ludzką starając się nie stracić go z oczu. Aromaty kawy Starbucks, pączków Krispy Kreme i piwa mieszały się w wilgotnym powietrzu. Tice przeszedł obok klinowatego Washington Club i zatrzymał się na skrzyżowaniu. Spieszyła się, żeby go dogonić. Dla niepoznaki zrównała krok z dwoma młodymi mężczyznami.

- No, siema - powiedział ten, który szedł bliżej Elaine.

- Siema. - Rzuciła mu uśmiech i odeszła.

Tice przeszedł przez ulicę i skierował się do hotelu Jurys Washington - dobrego miejsca na spotkania. Poszła za nim, dołączając do grupy turystów. Śledziła Tice'a do obszernego, wykładanego kamieniem holu i dalej, w tłumie kłębiącym się wewnątrz. Zniknął za rogiem w towarzystwie kilku gości.

Zaczęła biec. Też skręciła i się zatrzymała. Rząd wind. Ślepa uliczka. Sześć osób wchodziło do jedynej otwartej kabiny. Doskoczyła i zajrzała do środka. Zmarszczyli czoła i spojrzeli na nią dziwnie. Tice'a nie było w środku.

Serce zabiło jej mocno. Drzwi zamknęły się, odwróciła się na pięcie, sprawdzając inne windy. Wszystkie zjeżdżały z wyższych pięter. Jak mogła go zgubić? Pobiegła z powrotem do korytarza, ale Tice'a nigdzie nie było widać. Popędziła do holu i przeszła przez bar, gdzie toczyły się przyciszone rozmowy i brzękało szkło. Tice'a ani śladu. Znów wpadła do holu, przeszła przez wszystkie korytarze, restaurację, kawiarnię. Szukała wszędzie.

Zdziwiona, wściekła na siebie zatrzymała się, wspominając radę z nagrania jednego z jego wystąpień: „Zawsze trzeba mieć plan awaryjny”. Jeśli celowo zaprowadził ją do tego hotelu, to

musiał ją zauważyć.

Długo klęła pod nosem. Gdy wróciła do wind, otworzyła się jedna z kabin. Wsiadły dwie osoby. Mężczyzna nie był Tice'em. Szła powoli, przyglądając się ścianom ozdobionym odlewami i panelami. Nie było zawiasów ani klamek. Wtedy zobaczyła mały kwadrat otoczony ramą, tak wtopiony w ogólny wzór, że prawie niewidoczny. Nacisnęła. Rozległo się skrzypienie i otworzyły się niskie drzwiczki. Rozniósł się zatęchły zapach piwnicy, towarzyszyło mu zawodzenie trybów wind i wielokrążków.

Ogarnął ją niesmak, że dała się oszukać. Nachyliła się i wstąpiła na podłogę z kratownic.

Zamknęła drzwi i zeszła po długich schodach do maszynowni hotelu, wielkiego, pełnego ech pomieszczenia z betonową podłogą i metalowymi obudowami na armaturę. Rury i kable tworzyły nad głową kolorową sieć. Jarzyły się świetlówki. Zaglądała za każdą obudowę, za każdy słup, nasłuchując tak intensywnie, że rozboleły ją uszy. Rzadko zdarzało się jej kogoś zgubić, ale właśnie tego wieczoru straciła z oczu swój najważniejszy cel.

Dysząc wściekłością, Elaine wróciła przez pomieszczenie do pochylni prowadzącej na ulicę. Kiedy usłyszała odgłosy miasta, wyjęła telefon służbowy i wystukała numer do Laurence'a Litchfielda. Zajęty.

Zostawiła wiadomość: Znalazłam i zgubiłam Tice'a. Chart próbował mnie zlikwidować.

Zadzwoń!

Weszła po pochylni. Pracownicy hotelu stali na chodniku, palili i rozmawiali. Szła otoczona barwnym nocnym życiem Dupont, szukając Tice'a, sprawdzając, czy nie wlecze się za nią ogon, nawiedzana myślą, że Chart, a może i inni, chcą ją zlikwidować. Drzwi do barów otwierały się na oścież, ze środka buchał na ulicę wesoły śmiech.

Znów spróbowała dodzwonić się do Litchfielda. Bez skutku. Bóg wie, gdzie był, ale w końcu odbierze jej wiadomość. Zastanawiała się, co robić do tego czasu.

Założyła, że zabójcy z Charta nie chcieli, żeby Langley dowiedziało się, że ją dopadli.

Zarazem jednak ktoś z Langley mógł z nimi spiskować. Jej dom był w miarę bezpiecznym miejscem. Znała go lepiej niż ewentualny napastnik. Ponadto miał system zabezpieczeń. Było tam też więcej broni. Może powinna pójść do domu.

Kiedy dotarła do jaguara, na przedniej szybie czekał na nią mandat za parkowanie.

Wyrwała go spod wycieraczki i dokładnie obejrzała samochód, szukając ładunków wybuchowych i pułapek minerskich. W końcu zatrzasnęła drzwi od środka. Rzuciła komórkę na miejsce dla pasażera, żeby w razie połączenia natychmiast odebrać. Postawiła torebkę na podłodze. Włączyła silnik i nacisnęła guzik odtwarzacza CD, nastawiając go na rytmiczne uderzenia Soundgardensów w *Let me drown*. Kiedy rozbrzmiała muzyka, Elaine odjechała od krawężnika.

Mieszkała w Silver Spring. Pędząc jaguarem w stronę Marylandu, uważnie sprawdzała, czy ktoś za nią nie jedzie. Może jakaś solidna poszlaka co do miejsca pobytu Tice'a znajdowała się wśród danych, które skompilował Mark Siliphant, i Chart już jej dłużej nie potrzebował. Ale to nadal nie był powód, żeby ją zlikwidować.

Rąbnęła pięścią o kierownicę. Zapomniała poszukać płyty kompaktowej przygotowanej przez Marka! Odtworzyła w myślach widok biur, martwego chłopaka rozwalonego na biurku.

Biedak. Na blacie nie było dysku, a już na pewno nie z nazwiskiem Tice'a na wierzchu.

Kiedy dojechała w okolice swojego domu, trzy razy okrążyła kwartał bloków i zaparkowała. Wrzuciła komórkę do torby, chwyciła walthera i wysiadła. Ukucnęła za samochodem i przyjrzała się ulicy. Na małych podwóreczkach przed domami leżały rozrzucone zabawki, czekając na zabawę następnego dnia. Gdzieś radośnie zaszczekał pies.

W końcu poszła do domu, przez cały czas myśląc o tym, co się stało. Dlaczego Tice miałby zostawać w siedzibie Charta, kiedy inni z jego zespołu już poszli? Może czegoś szukał.

Ale czego? Z drugiej strony, idąc do hotelu Jurys, gdzie miał wyjście awaryjne, potraktował ją jak zwykły ogon. Może rozpoznał ją gdzieś na ulicy i nie skojarzył jej z Chartem. Ale i tak wszelką obserwację uznaliby za niebezpieczną. Więc dlaczego nie próbował wykończyć tropiciela?

Skręciła na chodnik. Przyglądając się cieniom, weszła na boczne podwórko. We wszystkich oknach ciemno, w porządku. Nie było śladów włamania. Z tyłu domu też.

Wróciła na schodki od frontu i otworzyła drzwi z klucza. Natychmiast uderzył ją piżmowy zapach palącego się cygara. Poczowała przypływ adrenaliny. Nachyliła się nisko w ciemności i po cichu zamknęła za sobą drzwi. Pomarańczowy koniuszek cygara jarzył się w salonie. W głębokim cieniu, na krześle siedziała jakaś postać z pistoletem wycelowanym w jej stronę.

- Nie włączaj światła. - To był głos mężczyzny.

Bezszelестnie położyła torebkę na dywanie. Z waltherem w dłoni poczołgała się szybko za kanapę. Mięśnie miała spięte z oczekiwania. Uniosła się i wycelowwała. Broń trzymana przez intruza nadal skierowana była na wejście. Nie domyślił się.

Dym z cygara uniósł się wysoko w powietrze.

- Połóż broń na stole - rozkazała ponurym głosem. - Jeśli tego nie zrobisz, strzełę.

Jestem blisko. Trafię.

Za sobą usłyszała cichy odgłos odbezpieczanego pistoletu. Zanim zdołała się poruszyć, odezwał się męski głos.

- Pomyślałem, że mogłabyś zrobić się podejrzliwa.



Zaschło jej w gardle. Obróciła się napięcie.

Odsłonił podwójne żaluzje. Do środka wpadł blask księżyca, oświetlając lufę lśniącego pistoletu wycelowanego w jej pierś. Miała wrażenie, że serce jej zamiera. Zobaczyła twarz napastnika.

- Cześć, Elaine - powiedział ciepłym głosem. - Przyjaciele mówią mi Jay.

## **Część 2**

*Kiedy oficer wywiadu czuje zapach kwiatów,  
rozgląda się za trumną.*

Robert Gates, były dyrektor CIA

# 13.

## Genewa, Szwajcaria.

W starej kamienicy przy rue Madeleine Raina Manhardt stanęła przy oknie ciemnego mieszkania syna i odciągnęła zasłony. Srebrna błyskawica zaświeciła nad odległymi Alpami.

Grom zagrział na ciemnym, nocnym niebie. Zapach ozonu był wyraźny.

Pokój Kristopha znajdował się na piątym piętrze, okno wyglądało na labirynt krętych uliczek i stromych dachów genewskiego Starego Miasta, Vieille Ville, ale Raina skoncentrowała się na śpiącej ulicy pod domem. Ktoś krył się w niszy z drzwiami do sklepu serowarskiego. Kiedy zrobił krok do przodu, żeby zmienić pozycję, w świetle latarni zobaczyła czubki jego butów.

Spojrzała na zegarek. Prawie trzecia nad ranem. Nie zostało jej wiele czasu. Może do tej pory zrezygnował. Ale kiedy grzmot, który nastąpił po błyskawicy, wstrząsnął powietrzem, z niszy wyłoniła się ręka wnętrzem dłoni do góry. Sprawdzał, czy pada deszcz. Patrzyła, płytko oddychając. Potem wyłoniła się głowa i człowiek spojrzał do góry, na groźne niebo. Ale stał

za daleko, a światło było za słabe, żeby mogła go rozpoznać.

Marszcząc czoło, naciągnęła na siebie czerwony pled i zerknęła na swoje odbicie w lustrze. Miała tępy, pusty wzrok zagubionej kobiety. Przez lata nie wiedziała, jak się odnaleźć, ale dopóki był Kristoph, którego chroniła, nic ją to nie obchodziło. Teraz musiało. W

ciemnym szkle, w starych dzinsach, brązowym wełnianym swetrze i pledzie, wyglądała na kobietę akcji, nastawioną na działanie fizyczne, nie introspekcję. Dbała o taki wizerunek, aż stał się niewygodną rzeczywistością. Niebieskie oczy były znajome, podobnie czarne jak smoła włosy, ale rysy były za młode, zbyt gładkie - wynik emulsji i płytkości charakteru. Nie dość, że już nie rozumiała siebie, to jeszcze nie była w stanie się rozpoznać.

Znów zaczęła chodzić po ciemnym pokoju. Powiedziała sobie, że musi wyjść, ale zwolniła kroku. Przez chwilę wydawało się jej, że w ciszy słyszy głos Kristopha, żywy, roześmiany. Wyobraziła sobie, że syn wychodzi z cienia, uśmiecha się, gęste włosy ma rozczochrane. Prawie czuła, jak ją obejmuje na powitanie.

Wczoraj spakowała jego rzeczy. Nad każdą zatrzymywała się przez chwilę, żeby ją potrzymać, poczuć, wywołać wspomnienia.

Wszystko przypominało jego - słońce, przygodę, wspaniałą młodość chłopca. A teraz odszedł na zawsze. Nigdy nie będzie się starzał i odkrywał siebie. Nie stanie się tym, kim chciał być. Śmierć Kristopha odczuła tak, jakby wydarło jej serce.

Z gniewem podniosła torbę podróżną i ruszyła do drzwi. Łapiąc za klamkę, odwróciła się i spojrzała po raz ostatni w mrok, jakby mogła znaleźć inną przeszłość. Ale tam były tylko ledwie widoczne kąty, okno z zasłonami, dźwięcząca pustka. Ostro zaczerpnęła tchu, zamknęła drzwi i po raz ostatni

przekreśliła klucz. Miała zadanie do wykonania, najważniejsze w życiu - dla Kristopha.

Szybko zeszła po schodach, trzymając się blisko ściany, gdzie stare, drewniane stopnie nie trzeszczały. W holu nadal było włączone światło. Gdyby je zgasiła, zaalarmowałyby tego, kto ją obserwował. Ukucnęła za stolikiem i zerknęła przez pionową szybę obok drzwi frontowych. Przyglądała się wejściu do sklepu serowarskiego odległemu o dziesięć metrów.

Buty było widać doskonale, resztę skrywał cień. Odstawiła torbę i wyjęła walthera. Nie patrząc, sprawdziła magazynek.

Nagle pojawił się widmowy kundel. Truchtał po bruku. Dokładnie nad głową błysnęło i natychmiast rozległ się przeszywający huk gromu. Pies zawył i uciekł z podwiniętym ogonem.

Rozległy się kolejne grzmoty. Czekwała z nadzieją. Miała szczęście: wysunęła się ręka spodem dłoni do góry. Pojawiła się twarz mężczyzny.

Rainę ogarnęła wściekłość. Znała go. Wetknęła pistolet za pasek, szarpnięciem otworzyła drzwi i chyłkiem przeszła przez ulicę. Zimne krople deszczu padały jej na twarz.

- *Was ist denn in dich gefahren, Volker!* - wyszeptała po niemiecku, wrząc ze złości. -

Jak śmiesz mnie śledzić!?

- Hallo, Raina. - Volker Rehwaldt zgarbił się z poczuciem winy, potem wyprostował i zszedł z kamiennych stopni. Nie próbował przeproszać ani się tłumaczyć. Był jej wzrostu, metr siedemdziesiąt dwa, miał surową, dziobatą twarz. Ubrany był w tweedową kurtkę i spodnie, nosił parasol. Był szczupły, ale miał silną budowę. Bardziej wyglądał na miejskiego opryszka niż na szpiega.

- Erich cię przysłał? - zapytała - Czy to twoja własna inicjatywa?

Z Erichem Eisnerem, potężnym prezesem BND, łączyła ją długa historia. Podczas zimnej wojny był agentem wywiadu zachodnioniemieckiego, chronił ją, prosił o informacje, odbierał mikrofilmy, które ukrywała pod panelami pociągów kursujących między Wschodem a Zachodem.

- Rozmawialiśmy z Erichem - przyznał Volker. - Trochę się niepokoiiliśmy. Wiemy, jak ważny był dla ciebie Kristoph.

Milczała, opanowując gniew.

- Doceniam to. Naprawdę. - Nie dopuści, żeby Volker dalej ją śledził. - Przekaż Erichowi, że ze mną wszystko w porządku, uwzględniając okoliczności. Powiedz mu, że właśnie wędruję po życiu Kristopha, odwiedzam jego przyjaciół i ulubione miejsca.

Skontaktuję się, kiedy będę gotowa wrócić do pracy.

Podniósł wzrok. Zobaczyła w jego oczach podziw. Poczwała się skrępowana.

- Ty też wolałbyś zachować prywatność w żałobie i odbywać ją na swój sposób.

Volkerze, idź, proszę. Naprawdę potrzebuję samotności.

Jego ostre spojrzenie zmiało. Chwycił ją, przyciągnął i poklepał po plecach.

- Bardzo mi przykro ze względu na Kristopha, Raino. - Głos miał przytłumiony smutkiem.

Puścił ją gwałtownie i odszedł w oświetloną latarniami mgłą, zgarbiony, jakby uważnie przyglądał się brukowi. Nigdy jeszcze nie widziała, żeby okazywał takie uczucia. Przez chwilę kusiło ją, żeby za nim zawołać, wyjawic mu podejrzenia i poprosic o pomoc. Tęskniła za starymi towarzyszami.

Ale logika zwyciężyła: jeszcze za mało wie. Sądziła, że spółka, która wynajęła Kristopha - Milieu Software Technology - robiła przekręty i ktoś kazał zabić jej syna. Kristoph sądził, że pracuje dla niemieckiego Ministerstwa Sprawiedliwości przy supertajnym projekcie komputerowym. Dyskretnie sprawdziła, że ministerstwo nie miało z tym nic wspólnego. Ale mogła to być jakaś inna agencja rządowa. A jeśli Kristopha rzeczywiście zlikwidowano, to i ona mogła się okazać zbędna z czyjegoś punktu widzenia. Jej życie nie miało znaczenia -

liczyła się tylko prawda o synu.

Znów zagrzmiało. Wracała biegiem, kryjąc się pod dachami domów. Z nieba padał

zimny, szary deszcz. Szukała Volkera. Zatrzymał się na chodniku i odwrócił. Trzymał nad sobą rozpięty parasol, z którego strumieniami spływała deszczówka. Ulicą płynęła woda.

Sięgała wywiadowcy niemal po kostki. Był dzielny, trzymał się po niemiecku, stał z pogardą dla zdrowego rozsądku i bogów przyrody po to, żeby upewnić się, że bezpiecznie dotarła do domu.

Mimo wszystko się nachmurzyła. Wzruszył ramionami i podniósł komórkę do ucha.

Zadzwoniła.

- Powiedz Erichowi, że wracasz.

- *Ja. Tak zrobię. Gute Nacht.*

Zdawało się, że pociemniałe od deszczu budynki pochłaniają jego słowa i oddają samotność. Ale przecież był szpiegiem i taką miał pracę.

Weszła do domu i spojrzała na zegarek. Miała mało czasu. Otworzyła torbę i szybko wyjęła z niej dwa identyczne pudełka ze szwajcarskimi czekoladkami Avelines, popularnymi zarówno wśród miejscowych, jak i turystów. Wybrała właściwe, kierując się dotykiem - w plastikowej folii było maleńkie nakłucie - drugie schowała z powrotem. Złapała torbę i parasol. Pudełko ze słodyczami włożyła pod pachę, gdzie łatwo można było je zobaczyć, i szybko wyszła.

Volker już zniknął, chmury się rozprasały. Zapięła się pod szyję i rozłożyła parasol. Z

bijącym sercem poszła pod górę, przeskakując przez kałuże. Szła labiryntem uliczek.

Zaczynało świtać, deszcz i grzmoty ustawały.

Kiedy wreszcie dotarła do dostojnej katedry Świętego Piotra, zaczęła niedbale spacerować po rue Saint-Leger, w dół tarasów, do Bourg-de-Four, gdzie wokół

średniowiecznego ryneczku stały ciasno wielusetletnie domy. Zimna mgła otulała wszystko.

Rozgrzani drinkami turyści i miejscowi włączyli się wokół fontanny, zielonych ławek i bezlistnych drzew. Od strony starych uliczek docierały zmęczone dźwięki amerykańskiego bluesa. Kilka drogich klubów nocnych nadal było otwartych, ale o tej godzinie większość lokali pozostawała zamknięta.

Przed nią, w zagłębionym wejściu do galerii sztuki, pojawił się mężczyzna w wełnianej czapce. To był Raoul Harmont. Rozglądał się nerwowo, szeroko otwartymi oczami, wreszcie ją zobaczył. Utkwił wzrok w pudełku z czekoladkami. Jednym ruchem zdjął czapkę i nauszники. Potem znów naciągnął czapkę, dając znak, że ma przy sobie taśmy z kamer dozoru, o które prosiła. Zniknął z pola widzenia. Zachowywał się dokładnie tak, jak zaplanowali. -

Mimo to był amatorem. Najniebezpieczniejszą częścią każdej operacji jest moment wymiany informacji lub materiału. To dlatego tak ważne są skrzynki kontaktowe. Harmont odmówił

skorzystania ze skrzynki. Chciał na miejscu wymienić taśmy za obiecane tysiąc franków szwajcarskich.

Nie okazując niepokoju, rozejrzała się po rynku, czy ktoś się nią nie zainteresował.

Kiedy zrównała się z kryjówką Harmonta, zeszła po schodkach.

Oczy mężczyzny połyskiwały w ciemności. Wziął pudełko, rozerwał folię i popatrzył na gotówkę.

- *Bon...*

- Szybciej! - powiedziała.

Wręczył jej identyczne pudełko. Zważyła je w dłoni, poczuła ciężar taśm, potrząsnęła i usłyszała, jak grzechoczą. Wrzuciła pudełko do torby, wyjęła drugie z czekoladkami i włożyła je pod pachę.

- Oczekaj dwadzieścia minut, zanim pójdziesz. - Rzuciła mu ostre spojrzenie. - Uważaj, żeby nikt nie dowiedział się o kasetach.

Pokiwał głową.

- Straciłbym pracę - powiedział, o dziwo, dziarskim tonem.

- Albo życie - ostrzegła. - Właściciele Milieu mogą być handlarzami narkotyków, mafią, międzynarodowymi przestępcami, terrorystami. Jeśli dowiedzą się, co zrobiłeś...

Otworzył szeroko oczy, szczęka mu opadła.

Pięć szybkich kroków i znów była na chodniku. Ryneczek robił się pustawy. Poszła do samochodu. Skręciła w rue Etienne-Dumont, minęła bar, do którego schodziło się po schodkach i Demi-Lune Café. Oba lokale były zamknięte. Przy ulicy stały sześćo-siedmiopiętrowe domy. Ich gładkie ściany jakby nachylały się ku sobie nad wąską alejką. Już zaczęła się czuć bezpiecznie, kiedy wychodząc zza rogu, usłyszała z tyłu dziwne stukanie.

Wyciągnęła walthera zza paska, podbiegła po schodkach do bramy i spojrzała za siebie.

W gęstej mgłę przemykała się czarna sylwetka mężczyzny w długim płaszczu. Stukanie wydawała gruba laska. Unosił ją i dźgał bruk, znów unosił i znów dźgał, w jednym rytmie z krokami. Odtworzyła w pamięci drogę od mieszkania Kristopha, przypominając sobie ludzi, których mijała. Większość ubrana była w znoszone płaszcze przeciwdeszczowe. Niektórzy nieśli złożone parasole. Uważnie przyjrzała się zbliżającej postaci.

Szedł przez mgłę, jakby należała do niego. Raina cofnęła się, żeby zniknąć z pola widzenia. Teraz miała przed oczami jego sylwetkę. Był mniej więcej w jej wieku, ze czterdzieści cztery lata, bardzo wysoki i barczysty. Twarz miał kwadratową, rysy wyraziste, rzadkie włosy zaczesane przedziałkiem. Nosił płaszcz przeciwdeszczowy w kolorze khaki, ciemne flanelowe spodnie, golf i skórzane buty. Wydawał się uosobieniem Europejczyka.

Jego swoboda wskazywała, że był przyzwyczajony do elitarnych pensjonatów, prywatnych klubów i weekendów spędzanych na uprawianiu sportu.

Po cichu wsunęła czekoladki do torby, którą potem postawiła przy nogach. Nagle stukanie ustało. Uliczka niemal drżała od pustki. Raina zmarszczyła czoło. Rozpoznała stary fortel zawodowca: przyzwyczał ją do hałasu, żeby skoncentrowała się na jego braku i nie nasłuchiwała cichych kroków. Laska mogła być bronią - podczas zimnej wojny KGB, wywiad bułgarski i inne agencje bloku wschodniego słynęły z używania „karabinów parasolowych” załadowanych truciznami takimi jak rycyna.

Wycelowwała walthera, kiedy zatrzymał się naprzeciwko niej, nadal patrząc przed siebie.

Przyjrzała się jego profilowi, kiedy wyciągał z kieszeni zapalniczkę i długiego, brązowego papierosa. Pojawił się płomyk, otoczył go dłonią i zaciągnął się dymem. Miał około dwóch metrów wzrostu i był wielki jak wół. Trzema palcami wsunął zapalniczkę z powrotem do kieszeni.

- A, tutaj jesteś - powiedział po niemiecku, nadal na nią nie patrząc. Mówił basem, kulturalnym tonem. - Pozwoliłaś się kawałek gonić.

- Czego chcesz? - Czowała strużkę potu na plecach. Nikomu nie mówiła, dokąd się udaje.

Była pewna, że jej nie śledzono.

- Pytanie brzmi, czego ty chcesz. Twój syn zginął w nieszczęśliwym wypadku. Wyraży współczucia. Wysłałaś jego ciało i rzeczy do domu, ale sama zostałaś w Genewie. A teraz, przed świtem, jesteś na

ulicy. Dziwne.

- A mnie dziwisz ty. Kim jesteś? I czego chcesz?

Rozejrzał się. Kiedy zobaczył jej pistolet, wydawał się zaskoczony. Znow skierował wzrok na ulicę i mówił dalej, po angielsku z amerykańskim akcentem.

- No cóż, zdaje się, że nie da się tego uniknąć. Moje hasło brzmi: „W żarówce nigdy nie pada”. Możesz mówić mi Alec. Oficjalnie zostajesz reaktywowana, Glindo. Myślę, że jesteś zachwycona. Po tylu latach znow odezwała się do ciebie twoja stara Spółdzielnia.

**Gravelly Point, Wirginia.**

Była dwudziesta pierwsza czternaście, kiedy Martin Ghranditti zajechał limuzyną na

„treff” - tajne spotkanie - w Gravelly Point, na terenie ciemnego trawnika i podmokłej ziemi nad brzegiem Potomacu. Opuścił szybę i do środka wleciał zapach świeżo skoszonej trawy.

Jak można się było spodziewać o tej porze dnia, w połowie kwietnia, gęsto zadrzewiony park był pusty. Ghranditti wysiadł, zapiął marynarkę na wypukłej piersi i rozejrzał się po parkingu.

Stał tam tylko jeden samochód - Laurence’a Litchfielda. Dobrze. Kazał draniowi czekać.

Poszedł zadowolony, że może dyrygować rządami, prywatnymi nabywcami i agencjami szpiegowskimi. Szczególnie tymi ostatnimi. Mała rzecz, ale cieszyła i potwierdzała prosty fakt: narody, podobnie jak i ludzie, były głupie. Podczas zimnej wojny zrobił majątek, ponieważ zwyczajni Amerykanie i Rosjanie tak martwili się nuklearną zagładą, że niewielką wagę przywiązywali do wojen regionalnych, w których dwa supermocarstwa walczyły o polityczną supremację. Nikaragua. Angola. Afganistan. Inne miejsca. Żeby uniknąć rozgłosu i rozjuszenia opinii publicznej, Ameryka po cichu płaciła kilku najważniejszym handlarzom bronią takim, jak on, żeby dostarczali broń i amunicję. Zaśmiał się pod nosem. Jaki wspaniały był rok 1984. Szalało czterdzieści wojen. Ameryka zbroiła bezpośrednio albo pośrednio sto trzydzieści ze stu sześćdziesięciu państw na świecie. Jego zyski były astronomiczne. Ale wtedy ratował sytuację. To dlatego agencje szpiegowskie czekały na niego. A teraz znowu panował nad CIA.

Litchfield stał na trawiastym brzegu Potomacu, z rękami założonymi z tyłu, obłany światłem odbitym od połyskliwych, białych pomników i budynków Waszyngtonu na drugim brzegu. Kiedy Ghranditti podszedł do niego, pasażerski odrzutowiec, z rykiem silników przemknął po niebie w ich stronę. Gorący wiatr spiekł im twarze. Nie mogli rozmawiać, więc stali i patrzyli, jak z hukiem przelatuje zaledwie trzydzieści metrów nad ich głowami.

Kiedy samolot zniknął im z oczu nad lotniskiem Reagana, Ghranditti powiedział:

- Niesamowite, prawda? Przejdźmy się.

Poszli na zachód, w stronę zatoki. Ciemna woda chlupała o podmiękły brzeg. Litchfield odezwał się szorstko, nie wyjmując fajki z ust.

- Spóźniłeś się. Muszę jechać do Langley. O co chodzi? - Ubrany był w smoking. Jego szczupła sylwetka wyglądała w ciemności jak czarna igła.

Ghranditti nie odpowiedział. Pokazał ręką w górę, gdzie latało więcej samolotów, mrugając światłkami.

- Teraz lądują co osiem, dziesięć minut. W okresie szczytu zdarza się, że co dwie, trzy minuty. Chyba



się ze mną zgodzisz, że nam, Amerykanom, takie rzeczy dobrze się udają.

Precyzja planowania. Brutalna siła. Podobne widowiska dają nam zastrzyk energii. - W jego słowach pojawiła się ostrzegawcza nuta. - Ale zaś alternatywa jest znacznie mniej atrakcyjna: nagła śmierć.

Litchfield patrzył na zegarek. Podniósł wzrok na Ghrandittięgo.

- Może tak do rzeczy?

Wściekłość ścisnęła Ghrandittięmu gardło. Ale zdołał się opanować.

- Ludzie Hannah Barculo nie złapali jeszcze Jaya Tice'a, a ona nie przekazywała mi informacji. Teraz wiem, dlaczego. Kazałem Hannah mówić mi, co zechce, żebym tylko cicho siedział, bo chciałem go sprzątnąć. Pewnie myślałem, że uwinie się z tym szybko i będzie to wyglądało tak, jakby stawiał opór przy aresztowaniu. Żeby nikt, nie wyłączając mnie, nie mógł tego kwestionować.

Litchfield wyciągnął fajkę z ust.

- Nie wiesz, co mówisz.

- Jasne, nie wiem! Kazałem swoim ludziom śledzić Elaine Cunningham. Jeden z nich miał lornetkę. Agentka Charta chciała zlikwidować Cunningham. To wtedy się dowiedziałem.

Nie zabija się myśliwego, jeśli chce się, żeby łowy się udały, a zwierzyna wpadła w sieci żywcem. - Wykrył odrobinę szacunku w nieprzeniknionej postawie Litchfielda. - Co planowałeś? Przypisać mokrą robotę Tice'owi? Wbić jeszcze jeden gwóźdź do jego trumny?

Funkcjonariusz CIA przyglądał się Ghrandittięmu. Potem się najeżył.

- Tak, do cholery! Pomogłem ci, robiąc z Theosopholisa naszego szpicla, a teraz ten biedny drań jest martwy, bo Tice go sprzątnął. Trzeba wykończyć Tice'a i już! - Złączył

dłonie za plecami i przyspieszył kroku.

Ghranditti zwolnił.

- Nie. Tice musi zostać złapany żywcem!

Litchfield odwrócił się, marszcząc czoło. Zmrużył oczy pod czarną linią brwi.

- Myślisz, że nie mówiłem poważnie? - Ghranditti się zatrzymał. - Chcę, żeby Tice wrócił do więzienia! W każdej chwili będzie tam świadom, że nie tylko stracił wszystko, ale że niczego już nie odbuduje. Jego honory i medale rozpadły się w proch! Starzy przyjaciele odeszli! Zdajesz sobie sprawę, co to znaczy dla człowieka takiego jak Tice? To go zniszczy.

Pożre! - Rumieniec pojawił mu się na twarzy. - Zabić go? Nie! To zakończyłoby jego nieszczęścia. Chcę, żeby żył bardzo długo. W więzieniu!

- Tice jest zdrajcą. Wrzodem na dupie. Żywy stanowi zagrożenie.

- Nie dla mnie.

- Mylisz się. - Litchfield znów zaczął się przechadzać.

Ghranditti patrzył przez kilka sekund, potem przyspieszył, żeby dogonić Litchfielda.

Kiedy się z nim zrównał, zapytał:

- Czego mi nie powiedziałeś?

- Nadal chcesz to oprogramowanie? - odparł Litchfield, patrząc na Ghrandittiego.

- Oczywiście. Tylko wariat odrzuciłby trzy miliony dolarów. - Odkrył, że pieniądze są kluczem do Litchfielda. Co za głupota ze strony rządów, żeby tak mało płacić swoim najlepszym ludziom.

Litchfield nerwowo zaczął pykać z fajki.

- Program już jest gotowy. Ale wymagał sporo nakładu pracy. Potrzebowaliśmy kogoś z wiedzą, ale bez doświadczenia, które pomogłoby mu zrozumieć implikacje. Znaleźliśmy młodego Niemca, geniusza komputerowego, znanego w kręgach specjalistów. Według rejestrów uniwersyteckich był sierotą. To się nam spodobało. Gdyby coś poszło nie tak, a jemu zdarzyłby się „wypadek”, nikt z rodziny nie zacząłby węszyć. Więc wynajęliśmy go i odizolowaliśmy w Genewie.

- I?

- Zaczął coś podejrzewać. Okazało się, że nie był sierotą, a nazwisko miał zmienione.

Naprawdę nazywał się Kristoph Manhardt.

Ghranditti otworzył usta.

- Manhardt? Syn Rainy Manhardt? - Zaczęła go boleć głowa za oczami. Teraz zrozumiał

sens ucieczki Tice'a. Podczas zimnej wojny Tice i Raina mieli gorący, choć skrywany romans.

Tak wtedy się żyło. Kiedy między Wschodem a Zachodem wybuchały zabronione namiętności, żądza i miłość, miały siłę wulkanu. Dla bezpieczeństwa utrzymywano je w warunkach głębokiej konspiracji. Romans Tice'a i Rainy był tak utajniony, że Ghranditti dowiedział się o nim dopiero znacznie później. Żeby się chronić, skłamał.

- Nie rozumiem, jaki to ma związek z Tice'em.

- Raina i Jay sypiali ze sobą. Kristoph mógł być ich synem. Cunningham znalazła brakującą stronę z „Herald Tribune” Jaya. Był tam artykuł o śmierci chłopaka. Złóż to do kupy. Cunningham musiała powiązać Jaya i Rainę.

Ghranditti masował sobie skronie, żeby zwalczyć ból.

- Mów dalej.

- Nie wiedzieliśmy, kim jest chłopak, aż wydarzyła się ta historia. Wyjechaliśmy z Genewy. Kiedy sprawdziliśmy billingi jego telefonu komórkowego, odkryliśmy, że tamtego ranka dzwonił do Rainy. Moi ludzie wrócili do Genewy, ale ona była tam już od jego śmierci.

Dwa dni. I prawdopodobnie przez cały czas węszyła. Nie wiemy, co usłyszała od syna i czego sama się dowiedziała. Jeśli ona albo Tice znajdą coś na temat oprogramowania, może to doprowadzić do mnie, a potem do ciebie. A wtedy wyślą cały ładunek do kibla.

Ghranditti spojrzął na park, ale oczami duszy widział Jaya Tice'a sprzed dwudziestu lat -

nieubłagana energia, osobowość kameleona. Poczł ściskanie w żołądku. Tice zasługiwał na gotowanie żywcem w oleju albo chłostanie na śmierć. Ghranditti popatrzył na Litchfielda, pragmatyka, który chciał tylko pieniędzy. Świat musiał dla niego wyglądać prosto jak dla większości ludzi; tak rzadko oddawali się marzeniom.

Ale teraz Litchfield zmienił reguły gry. Ghranditti wściekły porzucił myśl o sprawiedliwej karze dla Tice'a. Przyszłość żony, rodziny, była znacznie ważniejsza.

Ciężko westchnął.

- No dobrze, ale Hannah dość się naszukała. Moi ludzie znajdą i sprzątną Tice'a. Tobie to też na rękę. Ty i Chart pozostaniecie czyści.

- Za późno. Większość osób z Charta została zlikwidowana. Co gorsza, w ich własnym budynku. Przeżyli tylko ci, którzy byli na zleceniach tutaj albo za granicą.

- Hannah też? - Nie dał po sobie poznać, że zna odpowiedź.

Litchfield bez słowa kiwnął głową.

Ghranditti wypuścił powietrze z płuc i niedbale zapytał.

- Kto to zrobił?

- Jeśli Tice zdał sobie sprawę, że Chart na niego poluje, to idę o zakład, że właśnie on.

Jest dobrze ustosunkowany i prawdopodobnie ma odłożone więcej pieniędzy niż trzeba, żeby za to zapłacić. - Zwolnił, przyjrzał się analitycznym okiem Ghrandittiemu. - Gwarantujesz, że twoi ludzie są wystarczająco dobrzy, żeby go wykończyć?

- Działają bezbłędnie. - Ghranditti uśmiechnął się w duszy. - A co z twoim myśliwym?

Czy Tice ją też załatwił?

- Nie, przybyła na miejsce później. To ona powiadomiła centralę o masakrze.

- Nie chcę, żeby ją zabito. Może nas doprowadzić do Tice'a.

- Na razie wyrażam zgodę. Każę przeszukać teczki i komputery Charta. Sprawdzę, czego dowiedziała się Cunningham.

- Potrzebuję jej informacji teraz. - Ghranditti już je miał, ale Litchfield nie musiał o tym wiedzieć.

Z oddali dobiegał huk ruchu ulicznego na George Washington Parkway. Obaj zatrzymali się, Litchfield wyciągnął telefon komórkowy, wieczne pióro i notesik. Odwrócił się i zaczął po cichu mówić. Kiedy skończył, wydarł kartkę i wręczył ją Ghrandittiemu. Odeszli w stronę parkingu.

Ghranditti o czymś myślał.

- Gdzie jest program?

- W drodze do mnie.

- Mam nadzieję, że to całkowicie bezpieczna droga.

Kącki ust Litchfielda uniosły się w lekkim uśmiechu.

- Zapomnij, Ghranditti. Wiesz, że nie podam ci szczegółów.

Kolejny odrzutowiec przemknął z hukiem. Wydawało się, że wisi w powietrzu. Potem śmignął im nad głowami, wyjąc jak demon. Na parkingu wymienili szybkie ukłony i się rozeszli. Szofer Ghrandittiego już otwierał tylne drzwi limuzyny.

Ghranditti rozsiadł się na skórzanym fotelu. Kiedy drzwi się zamknęły, zaczął oceniać przebieg spotkania z Litchfieldem: stracił i zyskał. Ale uznał, że ogólnie zyskał, ponieważ Litchfield nadal nie miał pojęcia, co Ghranditti wiedział. Potrzebował Litchfielda - jego oprogramowanie było najważniejsze w dobie targu. A Litchfield potrzebował jego - jako pośrednik Ghranditti miał wyłączność na początkowy kontakt z nabywcą. Jedyne potencjalne problemy stanowili Jay Tice i Raina Manhardt. Ale jeśli ludzie Litchfielda zajmą się Manhardt w Genewie, a Jerry Angelides zajmie się Tice'em tutaj, wszystko skończy się dobrze.

Limuzyna sunęła w stronę autostrady. Ghranditti wystukał numer Jerry'ego Angelidesa i oznajmił:

- Zmieniam pańskie rozkazy. - Opisał nowe wydarzenia dotyczące Jaya Tice'a, Rainy Manhardt i Kristopha Maasa. - Jak pan widzi, Tice stał się nagle znacznie większym zagrożeniem, niż sądziliśmy. Dlatego nie należy brać go żywcem. Musi zostać starty z powierzchni ziemi. Zrób pan tak, żeby czuł nadchodzącą śmierć. Bardzo mi na tym zależy.

**Langley, Wirginia.**

W oknach kwatery CIA płonęły światła, rozjaśniając ciemną wirgińską noc. Laurence Litchfield,

nadal ubrany w smoking, szedł korytarzem ósmego piętra z rękami złożonymi za plecami. Zza zamkniętych drzwi od czasu do czasu dobiegały go głosy. Na tym piętrze znajdowały się gabinety dyrektorów - był tu też jego gabinet - oraz różnych innych urzędników i personelu pomocniczego.

To była dusza amerykańskiego wywiadu z systemem zabezpieczeń tak zintegrowanym jak krwiobieg. Rzadko komu - nawet jemu - udawało się znaleźć dziurę w całym. Korzystając z najnowszego sprzętu, tak ustawiono okna, żeby uniemożliwić podsłuchiwanie za pomocą promieni lasera. Drzwi gabinetów zamykały się na zamki cyfrowe rejestrujące wszystkich Wchodzących. Jeśli udałoby się wejść komuś nieupoważnionemu, czujniki ciepła i wykrywacze ruchu uruchomiłyby alarm, po którym nadbiegłaby straż z bronią gotową do strzału.

Kiedy wszedł za drzwi i zaciągnął się panującą tu atmosferą, wspomniawszy wielkich, którzy chodzili tymi korytarzami - polityków, prezydentów, królów i, rzecz jasna, samego Allena Dullesa, choć dopiero po przejściu na emeryturę. Sprawiało to, że czuł się jakby wyższy, wart długiej linii Litchfieldów, która poprowadziła Massachusetts od dzikości ku rewolucji. Szpiegostwo też było zajęciem dla tytanów, przynajmniej kiedyś.

Teraz CIA straciła swoją moc, naciskana z wszystkich stron - przez Kongres, prezydenta, opinię publiczną. Po zimnej wojnie budżet został okrojony i kilku dyrektorów zakochało się w Pentagonie, przekazując mu niektóre operacje, środki budżetowe oraz innowacje techniczne, jak wielką sondę latającą Predator. W tej powojennej atmosferze wywiad oparty na ludziach - HUMINT (human intelligence) - uznany został za zbędny i niewiarygodny, a społeczności wywiadu nakazano wydawać pieniądze na zwiad lotniczy, satelity i błyszczące wihajstry używane w szpiegostwie „technicznym”. Ten błąd był równie szokujący jak niebezpieczny.

Śmiałość i inicjatywa, cechy szczególne CIA, stawały się coraz rzadsze. Unikano ryzyka w zawodzie, który właśnie tego wymagał. W minionym roku Litchfield o mały włos nie złożył

rezygnacji, bo stało się oczywiste, że Biały Dom potrzebuje bardziej uległej CIA, której konspiracyjna działalność byłaby kontrolowana przez Pentagon. Gdyby tak się stało, oznaczałoby to śmierć niezależnego myślenia, zbierania informacji i białej analizy. Wiedział, że odpowiedź na to może być tylko jedna - musi uderzać na własną rękę. Nie wystarczyło mieć racji. Czasami, choćby dla sprawdzenia własnej woli, należało udowodnić, że potrafi się jeszcze wygrywać.

Gdy Litchfield wystukiwał kod w zamku do swoich drzwi, w korytarzu pojawiła się dyrektor Bobbye Johnson. Szła w jego kierunku ze zmartwionym wyrazem twarzy. Miała podwinięte rękawy bluzki wpuszczonej w szare spodnie od garsonki. Grzywa miedzianych włosów była w nieładzie. Głębokie bruzdy na szerokiej twarzy podkreślały zmęczenie.

Udał miły uśmiech.

- Cześć, Bobbye. Jeszcze nie poszłaś do domu?

- Za dużo się dzieje. Dopiero wróciłeś? - Mówiła umiarkowanym tonem dobrze wychowanej i wyedukowanej mieszkanki Środkowego Zachodu. Jej ojcem był Robert „Red” Sunday, zaprawiony w bojach agent OSS, który służył podczas II wojny światowej w Birmie.

Odziedziczyła po nim umysł i odwagę, ale nie jego szczęście. Sytuacja polityczna była dla niej niekorzystna. Ale Bobbye miała dar ignorowania takich spraw.

- Utknęliśmy w korku - powiedział. - Wiesz, jak to jest. Wejdiesz? - Otworzył drzwi do biura i zapalił światło.

- Nie dziś. Przekażę ci najnowsze informacje i spadam. - Mimo to zajrzała do środka. -

Ciągle muszę sobie przypominać, że to twój gabinet, a nie Jaya.

Oparł się o framugę, ukrywając irytację, że musi marnować dla niej czas.

- Jak sprawy trochę zwolnią bieg, przeprowadzę tutaj kilka radykalnych zmian.

Zobaczysz.

Zerknął na biurko, kiedyś należące do Tice'a, i na fotel z wysokim oparciem, też poprzednika. Wszystkie meble były Tice'a - krzesła, stoły, lampy, kredens i fotele wokół

stolika na kawę przy oknie. Tice złożył książki w magazynie, ale wielkie półki zostały.

Litchfield zapamiętał tytuły i zastąpił je nowymi egzemplarzami, dodając inne, bardziej odpowiadające jego gustom. Podobała mu się praca w kojcu Tice'a, który oznaczył swoim zapachem. Niczego tutaj już nie zmieni.

Johnson patrzyła na niego.

- Wszystkie teczki Charta, komputery z zabezpieczeniami i papiery są teraz u nas.

Rozkazałam przeprowadzić śledztwo i poszukać wszelkich wskazówek, które dawałyby pojęcie o tym, kto i dlaczego zaatakował Charta. Czy Hannah wspominała kiedyś, że martwi się, bo któraś z jej operacji wywołała burzę?

Nie przeprosiła, że wchodzi na jego podwórko. Robiła tak czasami, jak wtedy, kiedy sama była agentką i czynnym szpiegiem.

- Ani słowem. Czy odrzuciłaś moją teorię, że to sprawka Tice'a?

- Interesuje mnie prawda, bez względu na to, jaka jest.

- Oczywiście. - Nie obawiał się, żeby to sondowanie ujawniło, iż Hannah próbowała wyeliminować Tice'a, bo nigdy nie powierzyłaby tej informacji papierowi ani poczcie elektronicznej.

- Przejęliśmy badania kryminalistyczne w domu Charta - kontynuowała Bobbye. -

Policja pracuje na zewnątrz. Nie znaleźliśmy nieznanymi odcisków palców. Żadnych włosów, rachunków, zapalek z nazwami barów albo moteli. Jaka szkoda, że w życiu nie jest tak jak w filmie,

kiedy przestępca zostawia doskonały ślad. Mamy setki próbek przelanej krwi.

Wszystko jest badane. Wysłałam ludzi, żeby poszukali w okolicy ewentualnych świadków.

Sprawdzamy każdy szczegół. Jak do tej pory dowiedzieliśmy się, że słyszano jeden strzał.

Ludzie myśleli, że to z gaźnika samochodu. Pięćdziesięcioletnia kobieta widziała, jak z domu Charta wychodzi mężczyzna: starszy, w czapce. Szedł szybko. Według podanego przez nią czasu opuścił dom po masakrze.

- Starszy? Szedł szybko? Na pewno?

- Mówiła, że było za ciemno, żeby zobaczyć coś więcej. Ale zwróciła uwagę, że wyglądał na jej lata, a poruszał się jak młodzieniec.

- Tice! Mógł wrócić, żeby coś sprawdzić. Nie obawiał się, że trupy wezwą na niego policję.

Pokiwała głową.

- Gdyby Cunningham nie zawiadomiła nas o ataku, nie dowiedzielibyśmy się o nim przez wiele godzin. Okay, muszę wracać do pracy. Miałam już trzy telefony z Gabinetu Ovalnego. Tuż przed dziewiątą rano będziemy musieli odpowiedzieć na mnóstwo pytań.

Połączona komisja do spraw wywiadu ostrzy na nas noże.

Litchfield zauważył to „nas”.

- Cóż, opanuj sytuację, Bobbye.

Już miała odejść z założonymi na piersi rękami i pochyloną głową, ale się odwróciła.

- Słyszałeś coś o Mosesie? Czy on znowu pracuje?

- Niczego się nie dowiedziałem, odkąd ostatni raz o to pytałaś... z pół roku temu? -

Wzruszyła ramionami. Mówił dalej. - Według mnie jego złoty okres dawno już minął. Facet jest w stanie spoczynku albo nie żyje. Większość nawet nie wie o jego istnieniu. A co?

- Ta paskudna sprawa z Jayem Tice'em przypomniła mi Mosesa. Nie podoba mi się, kiedy wybitne postacie z naszego środowiska znikają, nie pozostawiając nawet plotek, co się z nimi dzieje albo gdzie są. Sprawa Jaya jest podobna. Tylko że on znów się pojawił, a my nie wiemy na pewno, jak i po co. - Kręcąc ze zmartwieniem głową, odeszła do swojego gabinetu.

**Silver Spring, Maryland.**

W salonie panowała gęsta ciemność, Elaine patrzyła na Jaya Tice'a. Stał w świetle księżyca otoczony ostrym zapachem płonącego cygara. Nie nosił już wymiętej czapki i nie garbił się jak starzec. Stał pozornie rozluźniony, ale kolana miał ugięte, a stopy rozstawione na szerokość ramion, żeby uzyskać maksymalną równowagę. Był gotów do sprintu albo ataku.

Kiedy opuszczał żaluzje, w jej myślach dzwoniły jego słowa: Przyjaciele mówią mi Jay. To ciepło i urok były jak zatruty miód. Już próbował nią manipulować, mimo że w ręku trzymał

pistolet wycelowany w jej serce.

- Cześć, Jay. - Powoli wstała, dobierała słowa, zachowywała się spokojnie. Stał w odległości trzech i pół metra. - Cieszę się, że wreszcie się z tobą spotkałam. Jak cię przekonać do powrotu do Allenwood? - Spojrzała w dół, na swój pistolet nadal skierowany na krzesło.

Żeby wycelować w Tice'a, musiałaby zatoczyć szeroki łuk, co najmniej dziewięćdziesiąt stopni...

To był szybki ruch, jej walther zniknął, pozostawiając pieczenie palców. Serce Elaine mocno zabiło, kiedy jego pistolet wbił się w jej brzuch, a Tice stanął, górując nad nią tak blisko, że mogła wyczuć od niego zapach starej krwi. Walther zwisał mu w drugiej ręce. Czuła zagrożenie. Patrzyła na prawdziwego Jaya Tice'a, był o całą głowę wyższy od niej. Patrzyła na wyraziste rysy, pobrużdżoną twarz i przenikliwe oczy. Emanowała od niego siła i wrząca wściekłość zdolna zmiażdżyć każdego, kto stanąłby mu na drodze.

Potem zagrożenie ulotniło się wraz z uśmiechem.

- Nie wrócę do Allenwood. Przynajmniej nie teraz. - Mówił tonem zapraszającym do rozmowy, koleżeńskim, jakby doceniał jej obecność. Elegancko przechylał głowę, a jego rozbijająca szczerłość świadczyła o nieskazitelnej uczciwości. Człowiek kameleon.

I zniknął - przemknął przez pokój, cichy i szybki. Tym razem stanął przy oknie od frontu. Wyglądał przez szczelinę w żaluzjach na ulicę, jednocześnie celując do Elaine z browninga.

„Rozluźnij się, nie dawaj mu pretekstu do wzmożenia ostrożności”.

- Nie teraz? - zapytała. - To daje mi nadzieję. Miło, że zrobiłeś sobie drinka. Sama bym się napiła. - „Mów. I niech on mówi”. - Co zamierzasz? - Podeszła do barku z alkoholem. Jego pistolet przesunął się za nią gładko.

Kiedy otworzyła barek, wewnętrzna lampka oświetliła szklanki i butelki. W lekkiej poświacie ukazała się postać na fotelu - kukła podobna do tej, którą Tice zostawił w więziennej celi, zrobiona z jej dżinsów i koszuli wypchanych zmietymi gazetami wyłożącymi na wierzch z rękawów. Na czubku tkwił odwrócony do góry nogami pękaty wazonik rozmiarów ludzkiej głowy. Do poręczy fotela



przymocowany był czarną taśmą izolacyjną sig sauer wymierzony w drzwi. Na stoliku, obok kopącego cygara, leżał miniaturowy dyktafon.

To wyjaśniało, skąd wziął się głos, kiedy stanęła w drzwiach. Tice musiał wcześniej nagrać:

„Nie zapalaj światła”, i użyć aparatu do zdalnego sterowania, żeby włączyć dyktafon. Ale dopiero cygaro wskazywało, że jest mistrzem w zawodzie. Rozżarzona pomarańczowo końcówka przyciągała oko i dawała złudzenie, że mroczna postać na fotelu Jest żywa, oddycha.

- Dlaczego Chart chciał mnie sprzątnąć? - Każde słowo wymawiał powoli i wyraźnie.

Otworzyła butelkę wódki Ketel One.

- Nie wiedziałam o tym.

- Próbowali przynajmniej raz. Może dwa razy. Rozpoznałem dwóch agentów, którzy przyszli tutaj za mną i moim przyjacielem. Byli z Charta i najwyraźniej mieli zlecenie na mokrą robotę.

- Ten przyjaciel to Palmer Westwood?

Skinął głową.

- Skąd wiesz?

Nagle w torbie, którą miała na ramieniu, zadzwoniła służbowa komórka. Laurence Litchfield. Sygnał różnił się od dzwonka jej prywatnego telefonu. Popatrzyła na torebkę.

Kolejny dzwonek.

- Twoja komórka? - zapytał Tice.

Kiedy skinęła głową, zrobił trzy kroki, podniósł torebkę i wyjął aparat, przez cały czas nie spuszczając jej z oka. Położył komórkę na podłodze. Potem się podniósł. Kiedy telefon znów zadzwonił, gwałtownie roztrzaskał go piętą. Zapadła cisza. Plastik popękał na kawałki.

Resztki Tice wrzucił z powrotem do torebki.

Zwilżyła suche wargi i nic nie powiedziała. Mogła myśleć tylko o ucieczce. Musi się stąd wydostać i zaalarmować Litchfielda. Tice'a należy zatrzymać.

Wrócił pod okno.

- Więc skąd wiedziałaś, że to Palmer?

Ręce jej drżały. Przesunęła je w cień, żeby nalać sobie wódki.

- Domyśliłam się. Był kiedyś twoim mentorem, przyjaźniliście się. Nic dziwnego, że pojechałeś

właśnie do niego. - Napiła się alkoholu. Poczowała palenie od przełyku aż po żołądek, ale nastrój poprawił się o włos.

- W Chartcie pewnie też tak uważali. Próbowali nas sprzątnąć. - Opisał uzbrojonego mężczyznę zaczajonego na bagnach i kilkanaścioro myśliwych. Ścigali go do rzeki, skąd ledwie zdołał uciec samolotem Palmera. To właśnie tam rozpoznał dwóch agentów.

Cunningham nic nie mówiła. Hannah powiedziała, że ludzie Charta przybyli po ataku.

Albo ona kłamała, albo Tice. Jeśli wziąć wszystko pod uwagę, kłamali oboje.

- Nie mam powodu, żeby ci wierzyć. Jeśli Langley chciało śmierci zdrajcy, mogli cię sprzątnąć po cichu w Allenwood. Zwyczajna więzienna bijatyka z błahego powodu. To się zdarza dość często, nikt by nie nabrał podejrzeń.

- Prawda. Dlatego sądzę, że moja ucieczka zapoczątkowała jakiś proces, przeszkodziła komuś w planach. Co się stało w kwaterze Charta? Kto ich dopadł?

Szybko uniosła głowę.

- Ty. To ty zorganizowałeś!

- A niby dlaczego? Nie, nie, Elaine. Nie miałem powodu.

- Owszem, miałeś! Właśnie przyznałeś, że wiesz, kto cię ścigał. Dopadłeś ich, zanim oni dopadli ciebie!

- Nie chciałem jatki, tylko informacji.

Przypomniała sobie, jak usłyszała, że ktoś zamyka drzwi frontowe kwatery.

- Skoro wiesz, że dostali, to znaczy, że byłeś w środku. Wzruszył ramionami.

- Wymknąłem się ostrożnie. Szukałem potwierdzenia, czy dwóch mężczyzn, których widziałem w Karolinie Północnej, nadal pracuje dla Charta. Owszem, pracowali. Znalazłem ich martwych.

- A gdyby nadjechała policja?

- Ostrzegłyby mnie syreny radiowozów. Z Chartem wiązałem największe nadzieje. To był jedyny trop, żeby się dowiedzieć, o co chodzi. Warto było podjąć ryzyko.

Zastanowiła się nad tym wszystkim - i pomyślała, jak szybko zdołał ją rozbroić, jak błyskawicznie znalazł się przy oknie. Poruszał się cicho, prawie niezauważalnie. W kwaterze Charta też go nie słyszała - dopóki nie wyszedł.

- Ukrywałem się po drugiej stronie ulicy przez dziesięć minut - wyjaśnił przekonującym tonem. - Chciałem wyizolować któregoś z agentów i uzyskać kilka odpowiedzi. Ale kiedy otworzyły się drzwi

frontowe, wymknęło się kilkunastu mężczyzn. Z początku myślałem, że należą do jednostki. Ale światło na ganku było wyłączone, szli szybko, zwartą grupą.

Zauważyłem na ich rękach ciemne plamy. Nawet w świetle księżyca wyglądały na krew. Poza tym mieli ten straszny wyraz twarzy - jak oszołomieni ciosami bokserzy, którzy chcą wytluc z kogoś życie. Kiedy to zobaczyłem, zrozumiałem, że tam stało się coś złego.

- To była jatka - przyznała mimowolnie.

- Nie zamknęli drzwi, więc chcieli, żeby ich dzieło zostało odkryte. Pewnie po to, żeby do kogoś jak najszybciej dotarło przesłanie. Nie znalazłem nikogo żywego. - Westchnął. -

Przypominało to La Belle Discotheque po zamachu bombowym. Pewnie jesteś za młoda, żeby to pamiętać. Rok 1986, Berlin Zachodni. Bywali tam nasi żołnierze i dlatego libijscy terroryści namierzili obiekt jako cel. Kilka osób zginęło, a ponad dwieście zostało rannych, wiele ciężko. W obu miejscach była ta sama aura zniszczenia.

- Opuściłeś kluczowy element... mnie. Ja żyłam. I słyszałam, jak wychodziłeś. Nie powiesz, że mnie nie widziałeś ani nie słyszałeś, bo jesteś w tym lepszy ode mnie.

Zniżył ton.

- Widziałem cię. - Jego pistolet celował w jej serce. - Powtarzam, ktoś tak bardzo się niepokoił, że posłał ludzi Charta, żeby mnie wyeliminowali. A ty jesteś z Charta. Pozwalam ci żyć tylko dlatego, żebyś mi wyjaśniła, co się tu, u diabła, dzieje!

\*

Z fotela pasażera granatowego bmw 530i Jerry Angelides obserwował wąskie uliczki Silver Springs. Wiły się jak betonowe węże. Księżyc świecił jasno, w powietrzu nadal utrzymywało się ciepło. To długo nie potrwa. Noc będzie chłodna. Wzdłuż ulicy ciągnęły się drzewa, samochody, oświetlone okna. Za ciemnymi ceglami miejskich domów kryły się nudne przedmieścia. Domy stały parami. Łączyła je wspólna ściana. Między bliźniakami znajdowały się cienkie jak ołówek podwóreczka.

Angelides był znawcą domów. A szczególnie wiedział, jak do nich wejść - i jak z nich wyjść. Rozglądając się, poczuł zaniepokojenie. Coś miało się zdarzyć.

Kiedy koła bmw zaszurały na chodniku, zwrócił się do kierowcy:

- Dobra, Rink. To dom Cunningham. Zatrzymaj tutaj, potem znajdź miejsce do parkowania. Zgodnie z przepisami. Nie potrzebuję glin.

Rink nacisnął hamulec. Angelides i Billy wysiedli, przeszli za ciemną hondę i przykucnęli. Znad maski przyglądali się domowi Cunningham. Bmw odjechało.

- Nie świeci się - szepnął Billy. - Za wcześnie na pójście do łóżka. Idę o zakład, że nie ma jej w

domu.

Billy był miłym facetem, ładnie wyglądał w sportowej kurtce i spodniach. Krótkie, brązowe włosy miał przycięte po wojskowemu, podobnie jak Angelides. W uszach nosił

kolczyki z czarnymi perłami, ale przecież miał dopiero dwadzieścia dwa lata.

- Może tak, może nie - mruknął Angelides. - Widzisz czerwonego jaguara dalej, przy ulicy? Numery rejestracyjne się zgadzają, więc należy do niej. Niezły sprzęt.

- Może odwiedziła sąsiadów - zasugerował Billy. Wyciągnął półautomatycznego kolta, duplikat tego, który miał Angelides.

- No, no. - Angelides też wyjął kolta i odbiornik GPS. - Nie wychodź przed orkiestrę. To zawsze błąd. Najpierw pomyśl, potem działaj. Okay, idź od tyłu. Jeśli nadal nie będzie światła, włamuj się, ale ostrożnie. Gdyby coś wyglądało podejrzanie, daj znać przez komórkę. Nawet jeśli nie będziesz mógł mówić. Zobaczę twój numer i przyjdę z pomocą. Albo dam ci sygnał, że wchodzę od frontu. Musimy dowiedzieć się wszystkiego o tej damulce. Przede wszystkim poszukamy jej samej. Potem zabierzemy materiały dotyczące Tice'a.

\*

Elaine patrzyła na pistolet Tice'a, tłumiąc strach. Myśl.

- Jakoś udało ci się odkryć, że na ciebie polują. Skoro tutaj jesteś, to pewnie słyszałeś, jak w siedzibie Charta dzwoniłam do Langley. Bałeś się, że nie starczy ci czasu, żeby mnie wypytać tam, więc postanowiłeś poczekać tutaj. Jak się o mnie dowiedziałeś?

- Mam swoje źródła. - Wyjrzał na dwór i zeszywniał. Szybko wyrzucał z siebie słowa. -

No, proszę. Goście. Podejdz i zobacz.

Jego niepokój wydawał się prawdziwy. Odstawiła szklankę w głąb barku, zamknęła drzwiczki i przebiegła przez pokój. Złapała za parapet i wyjrzała.

- Jest ich dwóch - powiedział. - Widzisz?

Starszy szedł chodnikiem, drugi obserwował ulicę. Obaj trzymali broń nisko, przy boku, żeby trudniej było ją zauważyć.

- Nikt nie obserwował domu, kiedy przyjechałem - oznajmił. - I nikt mnie nie śledził. -

Pobiegł przez pokój, chwycił plecak, wepchnął do niego walthera, a zapalone cygaro zgasił w resztkę whisky, która została w szklance. - To znaczy, że szukają ciebie.

Nie zdradzając nadziei, powiedziała neutralnym głosem.

- Mogą być z Langley.

- Wtedy ja byłbym już za drzwiami.

- A może to twoi ludzie. A ty odstawiasz szopkę, żeby mnie otumanić.

- A niby po co miałbym się tak starać? Zostawiłbym cię z nimi, a sam bym się wyniósł. -

Oderwał sig sauera od poręczy fotela.

Znów wyjrzała. Pierwszy z mężczyzn zatrzymał się przy jaguarze. Spięła się.

- Jeden wygląda tak, jakby coś podkładał do mojego wozu. Tuż za tylny błotnik.

- To nie Langley, prawda? - Kiedy nie odpowiadała, zapytał: - Duży czy mały?

- Nie wiem. Ten drugi chyba zamierza dostać się na moje tylne podwórko. - Zwilżyła wargi. - Kim oni są?

- Byli z bandą, która zmasakrowała pracowników Charta. - Włożył sig sauera do plecaka. - Przyjechali, żeby dokończyć robotę.

# 16.

Cunningham podbiegła w ciemności do kukły i zaczęła wyszarpywać zmięte gazety.

Tymczasem Tice przymocował bezprzewodowy odbiornik do magnetofonu. Potem pomógł

Elaine upchnąć papiery w kominku. Pokój wyglądał tak, jakby nikt ostatnio w nim nie przebywał - nie licząc zapachu cygara. Ale na to nic nie można było poradzić. Wetknął jej szklaneczkę po whisky do ręki.

- Wyrzuć to do śmieci w kuchni.

Przewiesiła torbę przez pierś. Podbiegli do holu. On prowadził, z browningiem i plecakiem w ręku. Założył okulary do czytania, z plecaka wyjął pudełeczko i wyciągnął z niego coś, co przypominało trójkątne nasienie kukurydzy, tyle że miało matowy, czarny kolor.

- To transmiter audio - wyjaśnił. - Z jednej strony ma warstwę przylepną. Wystarczy polizać i przyłożyć do czegokolwiek. Przymocowanie uaktywnia urządzenie. Jeśli nam się poszczęści, może to im podłożymy.

- Masz plan? - zapytała przez ściśnięte gardło.

- Tak. Weź ręcznik z łazienki. Jakiś ciemny. - Wrzucił pudełko do plecaka, a ziarenko wsunął do kieszeni spodni. Okulary włożył do kieszeni koszuli.

Chwyciła granatowy ręcznik frotte z łazienki dla gości.

- Pomogłabym, gdybym miała swojego walthera.

Pokręcił głową, ledwie przyjmując do wiadomości jej słowa. W kuchni chwycił stołek barowy i położył go na boku z półtora metra od drzwi na ulicę. Częściowo blokował drogę do środka domu.

- Zawsze trzeba podsunąć jakiś obiekt, żeby skoncentrowali się na nim, a nie na tobie.

- Wiem. - Wrzuciła szklanekę do pojemnika pod zlewem.

Rozejrzał się po pokoju. Drzwi były tak blisko ściany, że żadne z nich nie mogłoby się za nimi schować. Białe światło księżyca wpadało przez wielkie okno nad zlewem, pogłębiając ciemność w dalszej części kuchni. Czarny kontur liściastego drzewa poruszał się wraz z wiatrem.

Tice rzucił się w ciemny róg w chwili, gdy za oknem pojawiła się twarz. Jakiś człowiek ostrożnie zajrzał do środka - młodzieniec, którego Tice zobaczył przed domem. Klnąc po cichu, Elaine zapięła czarną kurtkę na białym T-shircie i poprawiła torbę. W małej kuchni już nie można było cofnąć się dalej w ciemność.

Przytknął usta do jej ucha.

- Przesuwaj się razem z cieniem. Stojąc, jesteśmy bardziej widoczni.

Jedno obok drugiego zmienili pozycję. Jej napięcie było wyczuwalne. Mężczyzna w oknie ciągle rozglądał się po wnętrzu. Miał zuchwałą twarz, młodą, ale czujną. Wreszcie głowa znikła. Tice się odprężył. Spojrzał na Cunningham. Wyczuwał, że ona się boi, ale nie pokazywała po sobie strachu.

Rozległo się skrobanie wytrycha i drzwi otworzyły się ostrożnie. Zawiasy skrzypnęły.

Intruz, z okazałym koltem w ręku, przekroczył próg i stanął w kwadracie światła księżyca oświetlającego przewrócony stołek. Zamknął za sobą drzwi. Zgodnie z przewidywaniami mężczyzna nachylił się, żeby usunąć przeszkodę z drogi. Tice dotknął ramienia Cunningham, dał ręką znak.

Kiwnęła głową i oboje ruszyli sprintem. Intruz odwrócił się z bronią w jednym ręku, stołkiem w drugim. Narzuciła mu ręcznik na głowę. Stęknął i zachwiał się. Był oślepiiony i bezbronny. Tice rąbnął go mocno kantem dłoni w szyję. Stołek upadł z łoskotem na ziemię, a intruz osunął się na kolana.

Cunningham wyrwała mu kolta, Tice kopnął intruza kolaniem w podbródek. Głowa mocno odskoczyła do tyłu. Ręcznik ześlizgnął się z twarzy. Mężczyzna oczy miał otwarte, ale bez wyrazu. Z niskim jękiem upadł na twarz. Powieki się zamknęły.

Tice uklęknął i opróżnił mu kieszenie.

- Przez jakiś czas będzie nieprzytomny. Daj mi plecak. Masz klucz do spiżarni?

- Chyba tak. Sprawdzę. - Podbiegła do plecaka i rzuciła go Tice'owi. Potem trzema szybkimi krokami dopadła do szuflady w kuchni. Zaczęła w niej grzebać.

- Nie ma niczego przydatnego poza komórką. - Tice wrzucił aparat do plecaka.

Wyjął transmiter audio, polizał go i przykleił do wewnętrznej strony kołnierza intruza.

Sprawdził, co robi Cunningham. Nadal szperała w szufladzie. Kolt leżał na blacie. Później się nim zajmie. Wyciągnęła krótki skórzany rzemyk. Rozdarty. Bez klucza. Zamruczała gniewnie i wróciła do poszukiwań.

Tice podniósł się sztywno i otworzył drzwi do spiżarni. Wciągnął nieprzytomnego do środka i rzucił go obok pudła z proszkiem do prania.

- Co z tym kluczem? - Zamknął drzwi.

- Mam. - Podbiegła z kluczem w jednej ręce, coltem w drugiej i wyrazem determinacji na twarzy. Nie będzie łatwo odebrać jej broni.

Patrzył nieufnie na kolta, ale dopóki na zewnątrz czekał drugi zabójca, postanowił nie robić nic, żeby odebrać broń.

- Zamknij spiżarnię i zabierz klucz - rozkazał.

Okrążyła go, gdy odstawiał stołek na miejsce przy stole. Potem przerzucił plecak przez ramię. Kiedy usłyszał, jak klucz obraca się w zamku, po raz ostatni rozejrzał się po kuchni.

Wszystko wydawało się w porządku. Otworzył tylne drzwi w chwili, gdy skrzypnęły drzwi frontowe. Wstrzymał oddech.

Pochyliła głowę, nasłuchiwała.

- Ten drugi facet jest tutaj - wyszeptała. Oczy jej zabłyśły; była wściekła, miała poczucie pogwałcenia własnej przestrzeni. To jej dom, a tej nocy wdarło się tu trzech obcych.

- Znikamy.

Skinęła głową i wyślizgnęli się na zewnątrz. Kiedy zamykała drzwi, przyjrzała się swojemu małemu trawnikowi i innym podwórkom. Owiał ją czarny wiatr.

- Reszta zabójców może być gdzieś tutaj - ostrzegł. - Rozejm? W przeciwnym wypadku zabieram kolta.

Mocniej ścisnęła broń.

- Akurat. - Otworzyła szerzej oczy, a potem je przymrużyła. - Tymczasowy rozejm.

- Jeśli strzelisz, ściągniesz tutaj faceta z domu i wszystkich innych. - Przez chwilę przyglądał się jej, wreszcie uznał, że jest dość mądra, żeby go posłuchać. - Tędy.

Pobiegli, trzymając się cienia. Z przodu domu Tice przywarł do ściany. Była tuż za nim.

Jej mała twarz wyrażała napięcie i ostrożność. Granatowe bmw parkowało właśnie na podjeździe po drugiej stronie ulicy. Tice zmarszczył brwi i spojrzał na Elaine.

- Nie należy do żadnego z sąsiadów - wyszeptała.

Z wozu wysiadł mężczyzna, rozejrzał się i poszedł w stronę jej domu.

- On też wychodził z kwatery Charta - powiedział cicho Tice. - Jak do tej pory jest ich razem trzech. Mój samochód stoi dwie przecznice dalej. Weźmiemy twój.

- Będę prowadzić.

- Jasne. - To pozwalało mu swobodnie władać bronią. Wyjrzał za róg. Pusto.

Znów pobiegli, po cichu przecięli trawnik przed domem i pomknęli chodnikiem, rozglądając się na wszystkie strony. Nacisnęła pilota do samochodu. Rozbłyśły światła jaguara.



- Trzymaj się z daleka, aż sprawdzę, co zostawili ci w wozie.

Już chciała zaprotestować, ale kiwnęła głową. Uznawała jego wyższość tylko dlatego, że miał jedyny sprawny pistolet. Chwyliła nadajnik.

Zostawiła włączony silnik. Wyszli szybko, rozglądając się po ulicy. Założył osłonę spustu kolta na antenę bmw i wyciągnął ją wysoko. Włożyła nadajnik pod błotnik. Pobiegli z powrotem do jaguara. Gdy już wsiedli, Tice odwrócił się i patrzył przez tylną szybę. Elaine nacisnęła gaz do dechy. Samochód skoczył do przodu, wydając niski ryk. Tice'a aż wcisnęło głęboko w skórzany fotel.

- Chryste. Jesteś pewna, że potrafisz to prowadzić?

Odpowiedziała zdecydowanym głosem:

- Od zera do setki rozpędza się w mniej niż osiem sekund. To tylko silnik w układzie V sześć. V osiem jest szybszy, tylko sześć i sześć dziesiątych sekundy.

- V sześć też robi wrażenie. - Mknęli ulicą, pędem mijając drzewa i samochody. Napiął się. - Wychodzą. Jest ich dwóch. Widzieli, jak jaguar odjeżdża. Biegają do bmw.

Obaj zabójcy poruszali się jak dobrze naoliwione mechanizmy, wykazując się tą samą wyuczoną sprawnością, którą widział, kiedy banda wymykała się z siedziby Charta.

Z piskiem opon skręciła za róg.

- Dokąd?

- Wywieź nas stąd jak najdalej. - Odetchnął i znów spojrzał przed siebie. - Mam nadzieję, że posłuchamy sobie rozmów z pluskwy, którą założyłem facetowi za kołnierz.

Osobiście chciałbym wiedzieć, kim są ci dranie i o co w tym wszystkim naprawdę chodzi. Na pewno ty też jesteś ciekawa. Zaczynamy.

Wyjął bezprzewodowy odbiornik i nacisnął guzik.

# 17.

Jadąc nocą przez miasto, czekali na głosy z odbiornika, ale niczego nie było - żadnych przekleństw, że zgubili jaguara, żadnych narzekań, że znaleźli rewolwer zawieszony na antenie. Nawet odgłosów z ulicy. Tylko cisza.

- Zepsuty? - zapytała.

Jay Tice się nachmurzył.

- Sprawdziłem. Wiem, że działa. Okay, spróbuję z dyktafonem. Może wcześniej coś się nagrało. - Wyciągnął magnetofon i nacisnął najpierw przewijanie, potem odtwarzanie.

Zatrzeszczały szумы statyczne. Ktoś cicho jęknął - to intruz uwięziony w spiżarce.

Popatrzyli na siebie z ulgą. Tice podgłośnił. Kroki. Przewinał dalsze odgłosy stóp i jęki.

Wreszcie usłyszeli skrzypnięcie otwieranych drzwi. Tych z tyłu domu.

Jakiś głos zapytał.

- *Billy?* - Przerwa. Potem głośniej. - *Billy, gdzie jesteś, do diabła?*

Drzwi się zamknęły. Męski głos znów się odezwał:

- *Rink, już zaparkowałeś? Przyjeżdżaj tutaj szybko.* - Odgłosy przeszukiwania, otwieranie i zamykanie drzwi, i krzyki. - *Billy!* - Klamka głośno zagrzecotała, znów jęki. -

*Jesteś tam, Billy? Odpowiadaj, do cholery!* - Rozległ się głośny trzask.

- I po drzwiach do spiżarni. - Skręciła gwałtownie na skrzyżowaniu.

Zatrzymał magnetofon, kiedy włączała się do ruchu. Byli już ze trzy kilometry od jej domu. Gdzieś w Bethesda.

- Jakież ślady pościgu?

Spojrzała w lusterko wsteczne.

- Jak do tej pory nic.

- Dobrze. Zatrzymaj przy Rite Aid. Mam sposób, żeby ich zgubić. Będziemy mogli spokojnie tego wysłuchać. - Wrzucił magnetofon do plecaka, wyjął dwie tablice rejestracyjne z Wirginii i taśmę klejącą.

Skręciła na podjazd do sklepu.

- Skąd to masz? - spytała.

- Tablice ukradłem, a taśmę kupiłem.

Skończył przyklejać kawałki taśmy do tablic, kiedy wjechali na parking za kilkunastoma galeriami handlowymi. Lampy na wysokich słupach zalewały wszystko nierealnym niebiesko-białym światłem. Zatrzymała samochód obok wysokich krzaków. Parking był wypełniony do połowy.

- Wyłącz reflektory - powiedział. - Wrzuć luz i nie wyłączaj silnika. Opuść szybę, żebyśmy mogli rozmawiać, jeśli to będzie konieczne.

Wykonała polecenia, nakazując sobie spokój. To mogła być jej szansa na ucieczkę. Jak tylko oddaliłaby się od niego, mogłaby zadzwonić do Litchfielda, żeby przysłał zespół

łapaczy.

Tice chwycił plecak, broń i tablice rejestracyjne. Wsiadł i zamknął drzwi za sobą.

Rozejrzała się po parkingu. Odwróciła lekko głowę, żeby widzieć, co Tice robi, kiedy przeszedł

na tył samochodu. Do przyczepienia tablic potrzebował obu rąk, a to znaczy, że zanim zdoła złapać za browninga i oddać strzał, minie kilka sekund. Klatkę piersiową miała spiętą, jakby obwiązano ją opaską uciskową. Patrzyła w lusterko. Wreszcie schylił się i wziął do roboty.

Uśmiechając się ponuro do siebie, spojrzała w dół i po cichu wrzuciła bieg.

- Zły plan.

Głos był przyciszony, ale słowa zostały wypowiedziane tak wyraźnie, a groźba w nich zawarta brzmiała przekonująco, że Elaine aż przeszedł dreszcz. Gwałtownie odwróciła głowę w lewo. Spojrzała w lufę browninga Tice'a.

- Nie wiem, o czym mówisz - wycedziła.

Tice uśmiechnął się, ale mało przyjaźnie.

- Nieźle kłamiesz - powiedział. - Ale mnie nie nabierzesz. Będiesz martwa, zanim te wielkie opony przesuną się o centymetr.

Serce mocno jej zabiło.

- Ściągniesz na nas uwagę, jeśli szybko nie zamienisz tych tablic. - Nie ruszał się, więc przesunęła dźwignię na luz.

Zniknął. Z tyłu wozu dochodziły ją ciche dźwięki. Potem pojawił się przed maską i znów zniknął. Znów trochę hałasów i wrócił na siedzenie dla pasażera.

Włączyła reflektory.

- Pewnie myślałaś, że włączę się wokół samochodu, żeby znowu zobaczyć twoją śliczną buźkę. - Kiedy zamknął drzwi, wóz już toczył się w stronę wyjazdu z parkingu. - Włącz odtwarzacz. - Wyciągnął go z plecaka. - Wjedź na Beltway i kieruj się na zachód. Postaraj się wtopić w otoczenie. Dobra. Wracamy do spiżarni i twoich gości. - Nacisnął odtwarzanie. Z

dyktafonu rozległ się odgłos trzech szybkich kroków.

- *Jezu* - powiedział ten sam mężczyzna, co poprzednio.

- *Hej, Jerry* - powitał go słaby głos. Rozległo się szuranie

- *Do diabła, Billy, co się stało?* - Słowa najeżone były wściekłością. Wypowiedział je mężczyzna o imieniu Jerry. - *Kto ci to zrobił?*

- Nie wiem. Poczulem dym z cygara. Nie wiem.

- *Powiedziałem, żebyś dzwonił, jeśli będą kłopoty. Dlaczego nie zadzwoniłeś? Jasny gwint, nie masz komórki. Gdzie colt? Znikła twoja komórka i spluwa, Billy. Do cholery, Billy, coś ty narobił!*

- *Jerry, proszę. Jerry, daj spokój. Nie jest tak źle. To mogło się zdarzyć...*

- *Mów po kolei* - zażądał Jerry. Billy był spięty, wystraszony i młody.

- *Nie schrzałem. On... oni... ktoś mnie przerobił. Pamiętam, coś mi zarzucili na głowę, potem przestałem kontaktować. Chyba dostałem dwa razy. Po drodze był stółek, nachyliłem się... i tak, to stało się wtedy. Chciałem go odsunąć, ktoś zarzucił mi jakąś szmatę na głowę i mocno dostałem kilka razy.*

- *Nawet nie wiesz, ilu ich było? Nie widziałeś twarzy? Nie znasz choćby jednego nazwiska? Czy to mogła być Cunningham?*

- *Kurczę, Jerry* - błagał głos. - *Tak, pewnie, myślę, że to była Cunningham. To musiała być ona.*

- *Dym cygara, Billy. Czy damulki palą cygara? Oczywiście, nie wiesz. Za krótko byłeś przytomny, żeby się dowiedzieć. Więc, że ci powiem. W śmieciach jest niedopałek cygara nasączony whisky. Ktoś go szybko musiał zgasić. W barku jest mokra szklanka. Po wódce. Stoi od rana? Nie sądzę. Dwa różne alkohole, więc były dwie osoby. Na żaluzjach w salonie z dwóch stron jest starty kurz, jakby dwoje wyglądało na zewnątrz. Billy, muszę wyciągnąć z tego wniosek: spieprzyłeś sprawę. Przykro mi to mówić, ale spieprzyłeś dokumentnie. Uczyłem cię czego innego. Wystawiłeś się po całości, bo myślałeś, że damulka śpi albo jej tu nie ma, skoro jest ciemno. Dlatego pospieszyłeś się, zamiast się rozejrzeć. Ja też mogłem wleźć w pułapkę, bo ty spieprzyłeś. I co by się stało z panem G.? Ma wielki kontrakt i na pewno nie będzie tolerował partactwa. On mi ufa, a ja zaufałem tobie, a teraz jestem zaniepokojony, bo dałeś dupy po całości.*

Młody mężczyzna stęknął.

- Proszę, Jerry... Rozległ się cichy głos trzeciego.

- Gdzie jesteś? Hej, Jerry. Gdzie jesteś?

Jerry ryknął.

- W spiżarni przy kuchni, do cholery! Jest duży problem, Rink. Miałem złe przeczucie, że coś się wydarzy. I tak się stało. Okay, Billy, więc tak to sobie wyobrażam. Dałeś się wciągnąć w pułapkę przez dwie osoby. Nie ma śladów włamania, więc myślę, że jedna z nich to Cunningham. Możliwe, że drugą był Tice. Mamy dym z cygara i fakt, że dałeś się wykołować.

Tak, to prawdopodobnie robota Tice'a. Specjalnie zostawił przewrócony stół, żeby cię rozproszyć. A ty się wystawiłeś. Potem Tice prysnął. Dlaczego cię nie sprzątnął? Albo raczej, dlaczego nie zabrał ze sobą, na przypiekanie?

- Nie wiem, Jerry - wymamrotał z niepokojem Billy.

- Co się dzieje? - zapytał trzeci mężczyzna.

- Zamknij się, Rink - parsknął Jerry. - Zamknij się, to czegoś się nauczysz. Powód jest taki, Billy, że chciał, żebym rozglądał się tutaj jak dupek, a potem nie mógł cię znaleźć i poczuł

się jak prawdziwy palant. Tracę przy okazji mnóstwo czasu, a on może spokojnie odjechać. Na szczęście, w jaguarze jest nadajnik, więc nie zajadą daleko. Ale ja sobie myślę: czy to wszystko? Pamiętaj, facet jest cholernie cwany. Pewnie uważa się za największego cwaniaka na świecie.

- Jerry, on cię nie zna - powiedział Rink.

- Jasne, że nie zna, do cholery. Więc zrobił z ciebie durnia, Billy. A teraz próbuje zrobić idiotę ze mnie.

- Ale ja...

- Zamknij się! Daj mi pomyśleć!

Rozległo się tupanie. Potem odgłos ustał.

- Co robisz? - zapytał Billy. - Daj spokój, Jerry. Przestań! Co ty robisz?

- Ja nic nie robię. Myślę. I wiesz co? Naprawdę cwany gość mógł cię zaminować, Billy.

Może nosisz na sobie bombę?

- Jerry! - Głos był przerażony.

- Ale przecież zauważyłbym bombę, prawda? Więc co zrobiłby cwany gość...? Cholera! -

*To słowo było długim, niskim rykiem nagłego zrozumienia. - To musi być gdzieś na tobie.*

*Stawiam całe pieniądze świata. Ten facet... ten facet! - Szeleszczące odgłosy i ruch. - Tutaj jest! Popatrz. Patrzcie obaj, widzicie? Pluskwa. Dałeś sobie założyć pluskwę, Billy, prezencik od tego dupka, zdrajcy. Więc mógł słyszeć każde nasze słowo... Cholera! Cholera! Cholera!*

*Jeśli słucha, to wie, że założyłem pluskwę w jaguarze!*

*- Jerry! - błagał Billy. - Proszę!*

*- No, daj spokój, Jerry, nie jest tak źle. - Rink próbował załagodzić sytuację. - Idę o zakład, że Tice nie słucha. Idę...*

*- Zamknij się, psia mać. - Głos Jerry'ego był chłodny i przerażająco łagodny. -*

*Traktowałem cię naprawdę dobrze, Billy, próbowałem cię uczyć. Myślę, że nie rozumiałeś tego, bo jestem miłym facetem. Ale nie frajerem ani durniem. Miły nie znaczy głupi. Znaczy miły. Uprzejmy. Mam maniery. Musimy jakoś żyć na tym świecie, a dobre maniery są ważne.*

*Rozumiesz? Nadal próbuję cię czegoś nauczyć. Jestem uprzejmy. To jest pistolet Cunningham.*

*Prawdopodobnie drugi egzemplarz. Naprawdę dobry, beretta kaliber 9 milimetrów. Trzymała go w schowku na dnie szafy. Był tam też magazynek. Przyniosłem wszystko z myślą, że mogą się przydać. Tak, jak mówiłem: najpierw pomyśl, potem działaj.*

*- Jerry? - zakwilił Billy.*

*- Daj spokój, Jerry - wtrącił się Rink. - Daj spokój...*

*Rozległ się szcęk wsuwanego magazynka.*

*- A to jest jej tłumik. - Lekkie zawrozczenie metalu wkręcane na metal. - Nie sądziłem, że tak szybko będę tego potrzebował. Nie znoszę, kiedy ludzie chrzanią wszystko, a naprawdę mieli szansę, żeby załatwić sprawy, jak trzeba. I nie cierpię, kiedy mnie okłamują albo łamią umowy. Billy, ty zrobiłeś tylko jedną z tych trzech rzeczy i dlatego zawsze będę cię lubił. Ale widzisz, takie życie. Nie mogę pozwolić, żeby Tice'owi uszło na sucho. Przestałby mnie szanować. Musi zrozumieć, że miesza się w moje sprawy. Mam nadzieję, że słuchasz tego, Tice.*

*- Jerry! - To był wrzask. - Niiieeee! Nie schrzaniłem! Oni...*

*- Nie masz chyba zamiaru... - odezwał się Rink. Rozległ się głośny trzask.*

*- Widzisz, jak to zrobiłem, Rink? Prosto między oczy. Ani plamki krwi na nas obu. Tice, naprawdę liczę na to, że słuchasz. Teraz masz jeszcze jeden wielki problem... uciekasz z zabójczynią. O, tak. Niewiele trzeba, żeby zrobić Cunningham. W końcu to jej beretta, zgadza się? Jej odciski palców, prawda? Nawet jeśli to nagrywasz, nie będziesz mógł przekazać taśmy glinom. Oczywiście, ona mogłaby to zrobić, ale wtedy wpadniesz w jeszcze większe gówno, a to znaczy, że nie pozwolisz jej*

*zbliżyć się do glin. Nie możesz wypuścić Cunningham, a jeśli będzie z tobą, to wkrótce jej nazwisko i fotografia znajdą się we wszystkich gazetach i programach informacyjnych. Obaj wiemy, że to jeszcze bardziej wystawi cię na ciosy. Myślę, Tice, że lepiej, jeśli ją zabijesz.*

Nagranie się skończyło.

# 18.

## Genewa, Szwajcaria.

Błyskawice przecinały czarne niebo, wąska, staromiejska uliczka jakby podkreślała ogrom mężczyzny z Langley - Aleca. Mgła kłębiła się wokół jego tydek, nieśmiało dotykając krawędzi zielonego płaszcza przeciwdeszczowego. Poruszył tylko jedną wielką ręką, wkładając między wargi cienki, brązowy papieros.

Kwaśny dym doleciał przez wilgotne powietrze do niszy z drzwiami, gdzie kryła się Raina Manhardt. Przyswajała jego obecność, słowa i przesłanie, które miało uczynić z niej narzędzie: „Jesteś oficjalnie reaktywowana, Glindo”.

Kontynuował po angielsku, niskim, hipnotycznym basem.

- Co? Żadnych komentarzy? Wyrazów podniecenia? Musisz być bardzo pewna siebie, bo ja mógłbym ci pomóc. Jeśli chcesz wysłuchać tego, co wiem, przespaceruj się ze mną. -

Nie spoglądając na nią, podjął przechadzkę przez pełzającą mgłę, wymachując parasolem. -

Ach i wyświadczyć mi uprzejmość, dobrze? - Ściszył głos. - Odłóż ten cholerny pistolet. Nie podejmuję przyjacielskiej pogawędki, kiedy się do mnie celuje.

Rozejrzała się ostrożnie. Nie rozumiała, jak udało mu się - czy w ogóle komukolwiek -

ją odnaleźć. Czy przyszedł sam? Nie zauważyła wsparcia z CIA ani - uchowaj Boże - Volkera czy kogoś innego z BND. Gdyby BND zobaczyło Aleca razem z nią i poprawnie zinterpretowało ich relacje, aresztowałyby ją jako zdrajcę, chociaż nigdy nie szpiegowała przeciwko nowym Niemcom. Co gorsza, nie zdołałaby wykryć zabójcy syna.

Na hak założył doskonałą przynętę - informację. Rzeczywiście, chciała usłyszeć to, co on wie. Jednocześnie groził jej zdemaskowaniem albo czymś gorszym. Musiała podjąć ryzyko, co robiła przecież już tyle razy. Kiedy zdecydowała się na to, poluzniła pasek i z tyłu wsunęła za niego walthera, a z przodu pudełko po czekoladkach z taśmami wideo. Zapięła dwa dolne guziki kurtki i rozłożyła kluczyki, paszport i inne przedmioty po kieszeniach.

Dawno temu Jay Tice nauczył ją, że powinna być przygotowana, jeśli będzie musiała biec.

Niosąc torbę, poszła za Alekiem. Kiedy zrównała się z nim, spojrzał na nią, uśmiechnął się.

- Och, jak mi miło.

Bez wysiłku zrewanżowała mu się równie sztucznym uśmiechem. Ale chociaż przeszedł

na angielski, mówiła po niemiecku, żeby pamiętać, że nie jest panem sytuacji.



- Słucham uprzejmie - powiedziała.

Alec przeszedł na niemiecki.

- Pozwól, że zapytam. Zaczęłaś pracować dla Tice'a w 1983 roku jako jego wtyka.

Dziwi cię, że o tym wiem?

Milczała, przeszłość owionęła ją jak zimny wiatr.

- Odmówiłaś przyjmowania zapłaty - kontynuował. - Ciekawi mnie dlaczego. - Podał jej papierosa.

Pokręciła głową.

- Krótka odpowiedź brzmi: rozczarowanie. Rok wcześniej wysłano mnie na pierwsze zadanie na Zachód, do Hanoweru. - Markus Wolf uznał ją za oficera, który nadaje się do awansu: mówiła po angielsku zarówno z akcentem amerykańskim, jak i oksfordzkim, znała też rosyjski. Ponadto miała dar obserwacji analitycznej i śledczej. - Spodziewałam się, że zastanę tam gangi, przestępstwa, narkotyki i straszliwą nędzę. Tymczasem było cudownie.

Spokój. Ludzie mieli mnóstwo jedzenia. Nosili ciepłe ubrania, mieszkali we własnych domach albo w porządnym blokach. Większość mogła sobie kupić samochód.

- Byłaś zaskoczona?

- Zaszokowana. Wszystkim, którzy dorastali w Niemczech Wschodnich, mówili zupełnie co innego.

- Ujawniłaś swoje odkrycie Wolfowi?

- Byłam młoda, ale nie głupia. I z pewnością nie pragnęłam śmierci. Skontaktowałam się z podziemnym źródłem i zaczęłam czytać zachodnie gazety i książki, słuchać waszych debat politycznych i oglądać w telewizji demonstracje. Wolność słowa. Wolność zgromadzeń. Wy mieliście prawa. To spowodowało we mnie przemianę. Potem Jay zauważył mnie w Lubece, jak kupowałam zakazane czasopismo. Poszedł za mną, ale ja go wykryłam. Jedno prowadziło do drugiego. Zaproponował mi pracę na rzecz czegoś, w co wierzyłam: na rzecz demokracji.

Dlatego nie chciałam pieniędzy.

- Wtyka Spółdzielni. Kod „Glinda”. *Z Czarodzieja z krainy Oz?*

- Tak. - Jay wybrał dla niej ten pseudonim, imię dobrej czarownicy z Północy.

- To był twój pomysł, żeby zaciągnąć się też do BND?

Ściągnęła brwi.

- Wystarczy. Mówiłeś, że masz dla mnie informacje.

- Dojdę do tego. Powiedz, proszę.

Kroczyli dalej pod górę.

- To było dwa lata później - podjęła temat. - Jay zasugerował, żebym zgłosiła się na ochotnika. - Pamiętała niepokój w jego głosie. „Zrobisz to? To będzie spacer po linie.

Przekazując informacje mnie i pośrednikowi z BND, podwajasz niebezpieczeństwo, że Stasi cię rozpracuje”. Jego troska okazała się równie wielkim kłamstwem, jak to, co Stasi mówiła o wolnym świecie. Ale ostrzeżenie było prawdziwe: w brutalnych wojnach szpiegów sojusze państwowe nie zawsze przekładały się na to, co działo się na ulicy. Nie tylko członek Stasi mógł nerwowo zacisnąć palec na spuście, ale i człowiek z BND. I już po niej.

- Więc gdyby BND odkryło, że szpiegujesz też dla Langley - wtrącił Alec, zmierzając do sedna - niewiele by dla nich znaczyło, że jesteśmy sojusznikami.

- To była dla mnie szansa pracy bezpośrednio dla wolnych Niemiec, dla demokracji. Dla przyszłości. Teraz mów, co wiesz o śmierci Kristopha.

Dochodzili do ruchliwego skrzyżowania. Popatrzyła z niepokojem. Jej samochód stał

przecznicę dalej. Alec zignorował żądanie i dalej leniwie palił papierosa

- Cofnijmy się trochę. Z tego, co mi właśnie powiedziałaś, wynika, że jesteś idealistką.

Ryzykowałaś życie dla tego, o co walczyła Ameryka i Niemcy Zachodnie. Teraz Spółdzielnia znowu potrzebuje twojej pomocy. Obawiamy się, że Kristoph mógł być zamieszany w coś złego. Czego się dowiedziałaś?

Spojrzała na niego.

- Nie wiesz niczego.

- Twoja historia mówi mi, że nie jesteś typem człowieka, który zostałby w Genewie z byle powodu. Przesłuchałaś lekarza, który robił sekcję zwłok. Poszłaś do Milieu Software.

Czy Kristoph był zaangażowany w jakieś nielegalne interesy? Spółka komputerowa może być przykrywką dla terrorystów. A może prali pieniądze. Co mogę zrobić, żeby pomóc ci oczyścić imię chłopaka?

Zacisnęła wargi, ale po chwili odezwała się neutralnym tonem.

- Sugerujesz, że Kristoph osobiście brał udział w przestępstwie?

Wzruszył ramionami.

- Jest takie powiedzenie: niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Rumieniec wściekłości pojawił się na jej policzkach. Wiedziała, co miał na myśli: była śpiochem zagrzebanym w najwyższych kręgach BND, na pozór gotowym szpiegować przeciwko Niemcom. A więc, podążając tropem rozumowania Aleca, jej syn mógł bez większych oporów łamać prawo. Ale Kristoph nic nie wiedział o Langley i... był innym człowiekiem.

- Ty draniu. Czego naprawdę chcesz? - zapytała.

- Czy Kristoph miał jakieś podejrzenia w związku z Milieu Software? Ich oddechy wyglądały jak białe obłoki w chłodnym powietrzu. Szary świt pojawił się na niebie, oświetlając chmury pozostałe po nocnej burzy. Rozejrzała się i próbowała odejść, ale chwycił

ją za ramię. Spojrzała z wściekłością na jego rękę, potem podniosła wzrok na niego. Puścił ją i odchrząknął.

Weszła na chodnik i ruszyła w stronę skrzyżowania, do samochodu, którym mogłaby uciec od Aleca.

- Powiedz, co wiesz o Milieu.

- Dostaliśmy informację, że opracowują jakiś wielki program. Czy Kristoph go opisał?

Żaden czynny zawodowo szpieg nie wyjawia informacji bez istotnej przyczyny.

Zmarszczyła czoło i skłamała.

- Kristoph nie opowiadał o swojej pracy. Wyglądało to tak, jakby przysiągł zachować tajemnicę.

- Więc z kim jeszcze rozmawiałaś na ten temat?

- Alec, przestań mnie przesłuchiwać. Szukasz dziury w całym. Jestem nadal w Genewie, bo opłakuję syna. Nie mogłam zasnąć, więc postanowiłam przejść się po Starym Mieście. Jeśli nigdy nie cierpiałeś na bezsenność, to nie jesteś człowiekiem. Coś przyciągnęło uwagę Langley do mojej osoby - coś ważnego, bo nie byłoby cię tutaj. Chodzi o Milieu. Nie możesz nie wiedzieć, że przenieśli się przed śmiercią Kristopha. Jak miałabym przeprowadzić śledztwo? Podstęp, że chcesz mi pomóc, tylko mnie rozżłościł. Marnujesz czas swój i mój.

Oczy zrobiły mu się mętne, jakby pozbawione życia. Wrzucił papierosa do mokrego rynsztoka..

- A dlaczego miałabyś zainteresować się ewentualną pomocą, gdyby śmierć twojego syna była rzeczywiście przypadkowa? Wiesz więcej, niż powiedziałaś. A skoro czaiłaś się tam w drzwiach z pistoletem, to musiałaś wyjść na miasto przygotowana na kłopoty. - Niedbale wsunął prawą rękę do kieszeni. - Pamiętaj, Glindo, zostałaś reaktywowana. Rozkazuję ci ujawnić to, co wiesz o Milieu Software, z kim rozmawiałaś i co usłyszałaś.

Zobaczyła, że Alec zgina palce, jakby coś ścisnął. Może to sygnał? Przyspieszyła.

- Powiedziałam ci wszystko.

Natychmiast zastąpił jej drogę.

- Gdzie pudełko z czekoladkami?

Raina zeszywniała, jakby ktoś wskoczył jej na plecy.

- O czym ty mówisz? - Za żadne skarby nie chciała mu wydać taśm wideo.

- Poszłaś do Bourg-de-Four z pudełkiem pod pachą. Bez wyraźnego powodu weszłaś do ciemnej klatki schodowej. Byłaś tam całe dwie minuty. Potem ruszyłaś ulicą. To nielogiczne, żeby o tej godzinie nieść czekoladki na spotkanie towarzyskie. Dlatego wnioskuję, że dokonałaś zamiany albo włożyłaś coś do środka. Tak czy inaczej, w pudełku nie ma czekoladek. Daj mi je.

Raina, z bijącym sercem, patrzyła na niego i gorączkowo analizowała sytuację. Udając, że trzęsą się jej ręce, otworzyła torbę i tchórzliwie uśmiechnęła się do Aleca.

- O to ci chodzi? - Szeroko rozłożyła metalowy zamek i podniosła torbę tak, żeby było widać prawdziwe pudełko Avelines leżące obok parasolki.

W tej samej chwili wielki citroen wyjechał na wysokich obrotach zza rogu i z piskiem zahamował pośrodku uliczki. W powietrzu uniósł się smród spalonej gumy. Reflektory zgasły.

Alec z zadowoleniem sięgnął do torby. Nawet nie spojrzał na samochód; ten brak zainteresowania podpowiedział jej, że Alec wezwał wóz. Wszystko stało się w ciągu kilku sekund. Zatrzasnęła szczęki zamka na jego rękę, tak mocno, aż jęknął. Uderzyła go ramieniem w klatkę - jakby trafiła w ścianę, ale szybka napaść zaskoczyła przeciwnika.

Stracił równowagę. Próbował oprzeć się o ścianę domu. Ciosem yoko hiji-ate wbiła mu łokieć głęboko w bok, jeszcze bardziej wytrącając go z równowagi. Znów jęknął i się zamachnął. Zrobiła unik. Zachwiał się. Robią się coraz więksi, pomyślała z zaciekleścią.

Kiedy się potykał, otworzyły się drzwi samochodu i wypadło z nich dwóch mężczyzn z pistoletami w dłoniach. Odwróciła się na pięcie i pobiegła w dół ulicy. Rozległ się stłumiony strzał - kula zarysowała bruk koło jej stopy. Poleciały kawałki kamienia.

- Nie strzelać! - krzyknął Alec za jej plecami. - Potrzebujemy jej żywej!

Dzięki Bogu, pomyślała. Przyspieszyła w nisko leżącej mgłę, przebiegła przez klatkę, w której niedawno się schowała. Jej kroki odbijały się echem od ścian starych budynków.

Pędziła ku zakrętowi, gdzie po raz pierwszy zobaczyła Aleca. Pokonała zakręt i cała spocona, forsując mięśnie, gnała dalej. Biegła, mijając kamienne progi i lampy uliczne. Gnała, jakby goniła ją piekielna sfora.

Kiedy wreszcie minęła kolejny róg i zobaczyła fragment placu du Bourg-de-Four, nabrała powietrza i zaryzykowała spojrzenie za siebie. Jeszcze nie było ich widać. Czyżby dołożyła Alecowi mocniej, niż myślała? Zwolniła. Żadnych odgłosów pogoni, tylko słaby szum ruchu ulicznego.

Podjęła szaleńczy bieg, minęła Demi-Lune Café. Kiedy rynek z fontanną odsłonił się przed Rainą szerzej, dotarł do niej bogaty aromat kawy. Ciężko oddychając, minęła bar i wpadła na plac. Rozejrzała się. Kluby nocne były pozamykane, klienci już sobie poszli.

Skręciła w prawo, w stronę innej uliczki prowadzącej pod górę, którą dojdzie...

- *Stopp*, Raina. - Ostra komenda po niemiecku była jak cios sztyletem w plecy.

Wystraszona, z falującą klatką piersiową, zatoczyła się i odwróciła, sięgając jednocześnie po pistolet. Głos mówił dalej, po niemiecku:

- Nie radzę. - Poprzedzony matowoszarą lufą walthera, z cienia rzucanego przez narożny budynek wyłonił się Volker Rehwaldt. Jego surowa twarz była blada, jakby coś w nim uszło.

Nie miał już z sobą parasola, ale nadal ubrany był w tweedową kurtkę i ciemne spodnie.

Zmrużyła oczy. Zaskoczona opuściła rękę.

- Już się nie obejmiemy, Volkerze? O co chodzi? - Spojrzała na pistolet, potem szybko się rozejrzała. W niewielu oknach paliło się światło.

- Musisz z nimi pójść - rozkazał Volker.

- Z nimi? O czym mówisz?

W uliczce rozległ się wreszcie tupot. Ci ludzie spieszyli się, ale nie biegli. Volker uniósł głowę, nasłuchując. Potem spojrzał na Rainę.

- Odejdź z nimi spokojnie. Tak będzie najlepiej.

Ściągnęła brwi, próbując to zrozumieć.

- Powiedziałaś Erichowi, co masz zamiar zrobić?

- Ja? To nie o to chodzi, co ja robię. - Wykrzywił usta z niesmakiem. - Erich wysłał mnie, żebym im pomógł, Raino. Glindo!

Gapiała się na niego, oniemiała. On wiedział i Erich wiedział - ale znali tylko część historii. Ogarnęło ją wściekłe oburzenie. Potem przyszedł strach.

- Mylisz się, Volkerze. Nie rozumiesz. Ja nigdy nie pracowałam przeciwko...! -

przerwała. Zrozumiała, dlaczego Alec i jego ludzie nie śpieszą się z pościgiem. Wiedzieli, że Volker tutaj czeka. Alec rozpoznał ją dzięki temu, że Volker wtedy ją objął. To było nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe: CIA i BND współpracowały przeciwko niej.

- Jak mogłaś nas szpiegować? Zwrócić się przeciwko nam! - rzucił oskarżycielsko Volker.

- To kłamstwo! Byliśmy razem przez lata. Posłuchaj. Wysłuchaj mnie! - Ciągłe mówiąc, zrobiła krok do przodu z rękami przed sobą, dłońmi odwróconymi do góry w geście wyrażającym prośbę o zrozumienie. - Znasz mnie na tyle, żeby nie uwierzyć w ich kłamstwa.

Musiałam kupić czas, żeby wychować Kristopha. Gdyby Langley zwróciło się do mnie przed tym wszystkim, odmówiłabym i przyjęła na siebie konsekwencje. Dziś powiedziałam im

„nie”!

Zesztywniał. Stracił pewność siebie. Jego dziobata twarz wyrażała sprzeczne uczucia, ale było nieprawdopodobne, żeby przyjął jej stronę, przeciwko Erichowi.

- Przynajmniej daj mi szansę wytłumaczyć, jak Spółdzielnia... - próbowała mimo wszystko.

- *Nein!*

Zanim zdążył do końca gniewnie pokręcić głową, odchyliła się oparta na lewej stopie i brutalnym kopnięciem kekomi rąbnęła go prawą prosto w splot słoneczny. Przy jego doświadczeniu nie miałyby drugiej szansy. Zaskoczony, zgiął się wpół, robiąc wydech.

Poprawiła potężnym mawashigeri, kopnięciem bocznym, skierowanym w czubek szczęki.

Głowa mu odskoczyła, walther wypadł z ręki. Volker runął na ziemię. Uderzył czaszką w bruk z głuchym stuknięciem. Powieki mu opadły, nawet nie drgnęły.

Podniosła jego walthera i pobiegła. Hałas zbliżających się kroków był coraz głośniejszy.

Otrząsnęła się z szoku wywołanego tymi wydarzeniami i oburącz rozdarła kurtkę, biegnąc między dwiema metalowymi barierami. Uderzyła w jedną biodrem.

Ledwie zanotowała ból, zerwała koszulę, skoczyła na chodnik i zwołniła pod lampą.

Podniosła kurtkę i sprawdziła plecy, w miejscu gdzie Volker ją poklepał przy współczującym objęciu.

Przeklinając pod nosem, znalazła przezroczysty kawałek taśmy przyklepnej. A przy nim coś, co przypominało metalowy guzik. Natychmiast rozpoznała miniaturowy nadajnik.

Oderwała taśmę, wyjęła nadajnik i pobiegła dalej. Przeskoczyła betonową zardynierę i pognęła na środek placu. Wykorzystując rozpęd, zamachnęła się mocno i rzuciła urządzenie w stronę odległych sklepów. Musi zmylić Aleca i pozostałych, to jej największa szansa.

Zanim nadajnik upadł, odwróciła się gwałtownie i pobiegła, mało nie zderzając się ze skuterem pozostawionym przed galerią. Skręciła w wąską rue des Chaudronniers, zawiązując rękawy kurtki wokół pasa, żeby ukryć pudełko z taśmami wideo. Uliczka była prawie równoległa do rue Etienne-

Dumont. Nasłuchując z zaniepokojeniem gniewnych męskich głosów z placu za nią, rozpoczęła wyczerpujący sprint pod górę, modląc się, żeby zdołała zniknąć. Okrążyła pierwszy róg. W pośpiechu poślizgnęła się na mokrym bruku. Mijała kolejne kamienne progi i latarnie. Kiedy w końcu dotarła do skrzyżowania z promenadą de Saint-Antoine, szybko spojrzała za siebie.

Uliczka była pusta. Pozwoliła sobie na chwilę triumfu, ale nie zwolniła. Oblana potem, zdyszana jak pies, biegła ulicą do podziemnego garażu, a potem po schodach w dół, do słabo oświetlonego wnętrza. Śmierdziało tam paliwem dieslowskim i mokrym betonem. Nigdy nie widziała bardziej uroczego miejsca.

Gwałtownie chwytając powietrze, z trzęsącymi się nogami, wyjęła kluczyki i poszła do wynajętego opla. W bagażniku leżała walizeczka - teraz bezcenna. Jak tylko zaświtało jej w głowie podejrzenie, że Kristoph został zamordowany, zebrała narzędzia swojego rzemiosła.

Na szczęście cztery paszporty, które trzymała w domowym sejfie, były aktualne. Szybko też dobrała przebrania i przedmioty do odpowiedniej charakterystyki. Wszystko było w walizeczce.

Jej kroki odbijały się echem. Zatrzymała się przy samochodzie i jeszcze raz ostrożnie się rozejrzała. Uśmiechnęła się powoli. Ze złośliwą satysfakcją. Ona tu była, a oni nie.

Zapomniała o bolących mięśniach i łomoczącym sercu. Otworzyła drzwi. Szybko rzuciła kurtkę na przednie siedzenie i wsiadła. Silnik zaskoczył natychmiast.

Podjechała rampą do wyjazdu i zatrzymała się, żeby sprawdzić chodniki i jezdnię. Ale kiedy włączyła się do ruchu, poczuła lęk. To było ostrzeżenie, stare uczucie z dni, kiedy była podwójnym agentem. Myślała intensywnie, aż wszystkie wydarzenia z nocy zaczęły się układać z przerażającą perfekcją: CIA chciało ją znaleźć, zanim zdoła odkryć, co rozpracowują albo... ukrywają. Tu ważną rolę odegrał Erich Eisner. Niewiele trzeba było, żeby go zaszantażować - telefon z Langley, a potem tajny e-mail z zaszyfrowanym załącznikiem, dokumentującym jej lata szpiegowania na rzecz CIA podczas zimnej wojny, i stwierdzenie, że teraz jest śpiochem. Była legendą, którą stworzył Erich i dzięki której nie tylko obronił BND, ale też zbudował swoją karierę. Gdyby prawda została opublikowana, ucierpiałby wizerunek BND, a Erich stałby się pośmiewiskiem - jeśli nie spotkałby go gorszy los. Chcąc kupić milczenie Amerykanów, musiał wysłać Volkera Rehwaldta, żeby ją odszukał.

Potem, jako śpioch nie miałyby dla CIA żadnego znaczenia, a dla Ericha byłaby jak tykająca bomba. Obie agencje musiałyby współpracować, żeby po sobie posprzątać. Ale gdyby ją zastrzelili, wywołałoby to pytania i oficjalne śledztwo.

Volker powiedział, żeby poszła „z nimi” - z CIA. Planowali, że zabiorą ją citroenem w miejsce, gdzie będzie można zainscenizować samobójstwo. To miałyby sens - była tak przybita po śmierci jedyne dziecko, że nie mogła dalej żyć. Spreparowany list samobójczy wszystko by tłumaczył. Nie wszczęto by żadnego oficjalnego śledztwa.

Oddychała płytko. Groziło jej ogromne niebezpieczeństwo. Obie agencje będą jej teraz szukać. Najwyraźniej to CIA przewodziła w tej operacji, więc powinna pojechać do Waszyngtonu. Odebrała

informację od Jaya, że uciekł z więzienia. Teraz wysła zakodowaną odpowiedź.

Nacisnęła pedał gazu i przyspieszyła na czerwonym świetle. Od tak dawna nie cierpiała Jaya, że wspólna z nim praca wydawała się niemożliwa. Sprzedał ją tak jak swój kraj.

Kiedy skręciła na lotnisko, wróciła do analizy. CIA trzymało ją w rezerwie prawie przez piętnaście lat, chociaż dysponowała wspaniałymi kontaktami, włączając w to kanclerza. Była doskonałym atutem z potencjałem dostarczania najskrytszych tajemnic państwa niemieckiego, a także państwowego i międzynarodowego wywiadu. Mimo to Langley nie kontaktowało się z nią - aż do tej pory. I tylko po to, żeby ją zdemaskować, a w zamian uzyskać jedynie współpracę Niemiec w odszukaniu i zlikwidowaniu swojej agentki.

CIA było gotowe poświęcić wszystko, żeby tylko powstrzymać ją przed prowadzeniem śledztwa w sprawie śmierci syna. Mocniej ścisnęła kierownicę. Czymkolwiek zajmowało się Milieu Software Technology, CIA zapłaciłoby za tę wiedzę cenę nadzwyczajną - albo za powstrzymanie Rainy przed dotarciem do tej wiedzy.



# 19.

## Bethesda, Maryland.

Jerry Angelides był wściekły. Jego bmw pędziło po oświetlonych podmiejskich ulicach, a on siedział sztywno na fotelu dla pasażera z koltem Billy'ego na kolanach. Palcami lewej ręki bębnił o lufę. Nie podobało mu się, że znalazł rewolwer zawieszony na antenie jak czyjeś pranie.

Był jeszcze kłopot z nadajnikiem podłożonym w jaguarze. Kiedy włączył odbiornik, stwierdził, że Jay Tice znów go wrobił - podłożył nadajnik gdzieś w bmw. Zdegustowany wyłączył urządzenie. Rink odchrząknął.

- Ten jej wymyślny wozik nie powinien być trudny do odszukania - zagaił towarzyskim tonem.

Angelides nic nie powiedział.

Rink spojrzał na niego z niepokojem w wodnistych oczach.

Angelides to dostrzegł.

- Ja nigdy nie schrzaniłem, Jerry - wymamrotał Rink. - Nigdy nie zламаłem umowy ani cię nie okłamałem.

Angelides westchnął. Musi się odprężyć. Złość nie pomoże, a Jay Tice właśnie na to liczy. Jeśli człowiek się wkurzy, to robi mu się w mózgu krótkie spięcie. Hm, Tice nie wygra tej bitwy ani żadnej innej. Zadzwoił anonimowo na policję, powiadomił o trupie w domu Cunningham i wysłał na miasto tuzin samochodów, żeby szukały jaguara. Jeśli się poszczęści, to któryś z jego ludzi namierzy auto. To będzie prawdziwa przyjemność - rozwalić Tice'a jak psa.

Opanował gniew.

- Wiem. Różnisz się od Billy'ego. Jesteś moim człowiekiem.

- Zgadza się, Jerry. Jestem twoim człowiekiem.

- Załatwimy sprawę i Tice zawisnie na rzeźnickim haku w jakiejś chłodni.

- Jasne. - Rink energicznie pokiwał głową.

Rink miał prawie czterdziestkę, był wysoki, chudy, włosy miał przycięte jak szczotka i złamany nos, który zakręcał w jedną, a potem w drugą stronę. Nadawało mu to lekko intrygujący wygląd, jakby był kimś ważnym w sporcie - w baseballu albo futbolu amerykańskim. Kłopot polegał jednak na tym, że Rink nigdy niczego nie spaapał. Po prostu nie podejmował ryzyka, a więc nie miał szans na zwycięstwo z kimś tak cholernie dobrym jak Tice.

Z drugiej strony Rink świetnie strzelał i potrafił być bezwzględny. Poza tym dobrze prowadził wóz i był lojalny.

Angelides spostrzegł, że Rink znów na niego patrzy.

- Prowadź. Jest w porządku. Teraz myślę.

Rink lekko się uśmiechnął i skręcił bmw w inną ruchliwą ulicę. Angelides uznał, że Rink wyglądał ładnie w sportowej kurtce i spodniach. Miło i sympatycznie. To nastroiło go pozytywnie. Nadszedł więc czas próby. Wyciągnął komórkę.

- Chcesz zadzwonić do pana G.? - zapytał Rink.

- Mówiłem ci, że myślę.

Rink zamknął usta i kiwnął głową.

Angelides odwrócił telefon bokiem i w świetle padającym z ulicy zobaczył

wydrukowane białymi literami na czarnej obudowie E911. Uśmiechnął się. Ten kod mówił, że w komórce był chip GPS. Billy miał, rzecz jasna, identyczny telefon.

Wystukał numer. Tym razem pan G. odebrał szybko.

- Mam pewną sprawę do przedyskutowania, proszę pana - powiedział Angelides poważnym tonem. - Znalazłem Tice'a, ale uciekł. Jest z nim ta Cunningham. Osaczyliśmy ich w jej domu. Było trochę szamotaniny, zanim odjechali. Kwestia zasadnicza: Cunningham została wrobiona w zabójstwo jednego z moich ludzi. Zostawiłem trochę jej śladów, więc nikt nie powiąże sprawy z nami. Potem zadzwoniłem na policję. Gliny prawdopodobnie już tam są.

Wkrótce twarz Cunningham będzie znana wszędzie. - Nie miało sensu niepokoić pana G.

informacjami o nadajniku i rewolwerze Billy'ego zostawionym na antenie, co było symboliczną obelgą.

- A po co to wszystko? - Ghranditti nie tryskał radością.

- Presja - odparł szybko Angelides. - Zagnałem Tice'a w kozzi róg. Ona jest jak kotwica i go spowalnia. A Tice pomógł nam, zabierając komórkę mojego człowieka, która ma wbudowany GPS. Ludzie najczęściej sądzą, że ona przydaje się tylko w nagłych wypadkach, kiedy wystukuje się numery alarmowe i czeka na karetkę albo na policję, żeby znalazła dzwoniącego. Ale to nieprawda. Chip wysyła sygnał przez cały czas, kiedy telefon jest włączony. Myślę, że ta gruba ryba z CIA, z którą pan robi interesy, zna kogoś, kto potrafiłby zlokalizować komórkę przez satelitę. W ten sposób namierzemy Tice'a. - Przekazał numer telefonu Billy'ego. - Jeśli komórka teraz jest wyłączona, to Tice i tak w końcu ją włączy. Nie oprze się pokusie.

Po głosie słyhać było, że pan G. się uśmiecha.

- Bardzo mądrze, panie Angelides. Gratuluję. Tak, zajmę się tym.

Angelides z uśmiechem powiedział do widzenia i się rozłączył. Ten to miał klasę. Nie wrzeszczał i nie przeklinał. Ale też był ciągle zajęty. Nie marnował czasu. Z drugiej strony, jak się coś schrzani, to każe człowieka sprzątnąć. Taki układ był z Hannah Barculo -

spieprzyła naprawdę wszystko, co się dało. Pan G. nie mógł jej już dłużej ufać.

Angelides poczuł coś dziwnego. Może strach. Ale przecież Jerry Angelides spraw nie chrzani - ani teraz, ani w ogóle.

### **Autostrada międzystanowa, Wirginia.**

Zapadła noc, Elaine jechała na południe w dręczącym milczeniu. Błaganie Billy'ego o darowanie mu życia dźwięczało jej w uszach. Samochody mijały ją z oszałamiającą szybkością. Czerwone światła tylne układały się przed nimi w krwawą rzekę. Jechała za wolno. Nacisnęła pedał gazu i mocno chwyciła kierownicę, jakby od tego zależało jej życie.

Jaguar zrównał się z innymi wozami, ale nie opuszczał zewnętrznego pasa wolniejszego ruchu. Rozglądała się za wozem patrolowym wirgińskiej policji.

Patrzyła, jak Tice wrzuca magnetofon do plecaka. Zatrzymała wzrok na urządzeniu.

Licznik wskazywał, że słowa Billy'ego nie zostały wymazane.

- Ciężko było tego słuchać. - Patrzyła na autostradę, kontrolowała swój głos. - Jakbyśmy siedzieli w tym pokoju, w którym Jerry zamordował Billy'ego. Nie mogłam powstrzymać uczucia, że powinnam coś zrobić, żeby temu zapobiec. Musiałam sobie przypominać, że już za późno.

Tice przyglądał się jej profilowi. Usta miała zaciśnięte, skórę bladą.

- Na pistolecie są twoje odciski palców?

Energicznie skinęła głową.

- Wpakowali mnie. Więc co teraz ze mną zrobisz?

- Jestem całkowicie przekonany, że nie wytniesz mi brzydkiego numeru.

Milczała. Musiała znaleźć sposób, żeby uciec albo skontaktować się z Litchfieldem.

- Teraz jesteś w jeszcze gorszych tarapatach - zauważyła. - Twoje odciski są na szklankach. Na żaluzjach, klamkach, na stołku kuchennym i Bóg wie, na czym jeszcze.

- Do czego zmierzasz?

- Można założyć, że Jerry albo któryś z jego ludzi zadzwonili na komisariat. Policja przeszuka mój dom. Odkryją, że tam byłeś. Langley trzyma twoją ucieczkę w tajemnicy i pewnie zdołają zapanować nad lokalnymi glinami, ale tylko na jakiś czas. Lepiej byłoby dla ciebie, gdybyś teraz się poddał.

- Wątpię. Rozpoznałaś któryś z głosów albo jakieś imię?

- Nie. A ty?

Pokręcił głową.

- Kimkolwiek jest Jerry, nie można go lekceważyć. Powiedział, że zawiadomi pana G. i że zawierana jest duża transakcja. Rozumiesz coś z tego?

- Nic. - A gdyby nawet, i tak by mu nie powiedziała. - Myślę, że chodzi o narkotyki albo kradziony towar. A może o coś całkowicie zgodnego z prawem. „Pan G.” to nęcała, ale nic niewarta informacja. - Spojrzała na niego. Miał zamyśloną minę. - Dokąd jechać?

- Później o tym porozmawiamy. Założmy, że mówię prawdę, i moim celem przez cały czas była informacja. Od Charta niczego już nie dostanę. Jednocześnie założę, że rzeczywiście nie wiesz, o co w tym wszystkim chodzi. To znaczy, że trzeba szukać gdzie indziej, a najlepszym kandydatem wydaje się Jerry z ferajną. Nie dość, że wiedzieli o ściśle tajnej jednostce Langley, to jeszcze potrafili ją zlikwidować i uciec. Ponadto orientowali się, że polujesz na mnie, bo inaczej nie przyjeżdżaliby do twojego domu. Wygląda na to, że mają bardzo dobrze poinformowane źródło w kręgach rządowych, może nawet w samym Langley.

Spięła się, potem skinęła głową. To był kolejny powód, żeby kontaktować się tylko z Litchfieldem.

Tice wyglądał, jakby podjął jakąś decyzję. Sięgnął do plecaka i wyjął timeksa. Wręczył jej zegarek.

- Po lewej stronie są dwa guziki. Naciśnij górny.

Oparła zegarek o kierownicę, żeby móc jednocześnie obserwować tarczę i trasę.

Nacisnęła guzik. Cyferblat się zmienił. - Wyskoczyła długa seria liczb. - Dobrze. Naciśnij jeszcze.

Zrobiła to. Kolejne liczby. Zmieniły się osiemnaście razy, zanim dioda elektroluminescencyjna znów zaczęła wyświetlać godzinę i minuty.

- Okay, teraz naciśnij drugi guzik - powiedział.

Tym razem pojawiły się słowa „otwarte” i „zamknięte”.

- Co to jest?

- Zegarek Franka Theosopholisa.

- Sprzątnąłeś go. Znaleziono ciało.

- Szedł za mną przez elektroniczne bramki więzienia. Zaatakował, zanim zdążyłem wyjść z budynku.

Byłem bez broni. W takich wypadkach liczy się trening. Miał ze sobą zaostrzoną linijkę, ale to ja jej użyłem przeciwko niemu. Nie rozumiałem, jak zdołał za mną pójść, dopóki nie przyjrzałem się dokładniej zegarkowi. Każda z serii liczb kontroluje inną bramę; otwiera ją i zamyka. W zegarku znajduje się zminiaturyzowany odbiornik bezprzewodowy. Kody resetują się automatycznie, kiedy komputer więzienny otwiera zamki.

Tam, w środku jest jeszcze jedna rzecz, nadajnik. Dzięki niemu odszukał mnie pierwszy z zabójców. I wreszcie, Theosopholis siedział w celi sąsiadującej z moją.

- Dlaczego rzucił się na ciebie? Nie chciał uciekać razem z tobą?

- Próbował mnie zatrzymać. Myślę, że go podstawiono, żeby miał na mnie oko. -

Poszperał w plecaku i tym razem wyjął z niego telefon komórkowy Billy'ego. Włożył okulary i włączył go. Zaświeciła się dioda. Naciskał guziki ze zmarszczonym czołem. - Długo mnie nie było. Powinienem znaleźć tutaj książkę telefoniczną, prawda?

Wyciągnęła rękę.

- Daj, bo zaraz wszystko skasujesz.

Położył telefon na jej dłoni i mruknął z ironią:

- Cudownie. Luksusowe życie w czasie ucieczki z więzienia.

- Tak. Prawie tak cudowne, jak depilacja.

Kąciki ust uniosły mu się, jakby chciał się uśmiechnąć. Oparła komórkę o kierownicę.

Patrząc na drogę, nacisnęła „menu” i przejrzała opcje. W końcu pokręciła głową i oddała telefon.

- Billy chyba był za głupi, żeby przeżyć, ale na tyle mądry, żeby ochronić listę hasłem.

Gdy brał komórkę, spojrzała na niego. Światła samochodów przesuwały się po jego surowej twarzy. Dołek w brodzie wydawał się większy, rysy twarzy ostrzejsze. Jego frapująca osobowość, ciepła i brutalna zarazem, dziwnie podszyta była szczerością. Elaine zastanawiała się, dlaczego tyle jej powiedział... nagle zrozumiała. On „werbuję”, to psychiczne uwodzenie.

Chciał ją mieć po swojej stronie jako zabezpieczenie. Ale oboje mogli zagrać w tę samą grę.

- Naciśnij ponowne wybieranie - zasugerowała. - Dodzwonisz się do osoby, z którą kontaktował się ostatnio.

- Dobry pomysł.

Nacisnął guzik i patrząc na Elaine, podniósł komórkę do ucha. Jego wzrok ją otulał, ale nie wierzyła mu ani przez chwilę. Przybrała łagodną minę i uśmiechnęła się zachęcająco. On miał broń, a ona nie.

- Dzwoni - poinformował.

- Dobrze. - Znow spójrzała w lusterko wsteczne z nadzieją, że zauważy radiowóz policji stanowej.

- Tak? - odezwał się jakiś mężczyzna.

Tice'owi skoczyło tętno. Rozpoznał ten głos. Uniósł brwi, patrząc na Elaine.

- Cześć, Jerry. Tu twój nowy przyjaciel, Jay Tice.

- Tice? - zapytał Jerry. - Co, do jasnej cholery? Jak ci się udało...!?

- Wiem, że już późno - ciągnął spokojnie Tice - ale mam nadzieję, że nie jesteś zbyt zmęczony na rozmowę. - Po drugiej stronie zapadła głucha cisza wywołana zdumieniem.

Głos zrobił się nagle serdeczny.

- Jasne, koleś. Doskonały pomysł. Gdzie jesteś? Może wpadniesz na drinka? Możemy porozmawiać w cztery oczy. Ostatnio sporo o tobie myślałem.

- I nawzajem. Myślałem też o panu G. To przykre, że się na mnie tak wkurzył.

Znow przerwa, jakby Jerry próbował domyślić się, skąd Tice zna ksywkę szefa.

- Cóż, Jay... nie pogniewasz się, jeśli będę ci mówił Jay, prawda? Zdaje się, że na tyle dobrze cię znam, że mogę tak do ciebie mówić. Właśnie tak... Jay i Jerry. Otóż, Jay, wcale nie mówię, że pan G. jest wkurzony. Nie, on po prostu ma dużo spraw na głowie, więc musiał mi przekazać pewne obowiązki. Teraz ty jesteś takim moim obowiązkiem. A najważniejsze, że to, czym zajmuje się pan G., to twój zafajdany interes. Ale, co tam, cieszę się, że zadzwoniłeś.

Jak się czuje Cunningham? Już ją posłałeś do parku sztywnych?

- Musiałem, Jerry - skłamał. - To bardzo smutne. Wiem, że mnie zrozumiesz. Ale jak zauważyłeś, każdy z nas ma swoje obowiązki. Nie mógłbym pozwolić Cunningham żyć. Poza tym znasz ten typ. Żadnego szacunku.

Rzuciła mu spojrzenie.

- Proszę, proszę! - Jerry był pod wrażeniem. - Czy ja znam ten typ? A więc jesteś teraz sam?

- Zgadza się.

Przypomniał sobie słowa Jerry'ego: „I co by się stało z panem G.? Ma ten wielki kontrakt i na pewno nie będzie tolerował partactwa”. W negocjacjach podstawową regułą jest wykorzystywanie tego, co się wie, i sondowanie słabości.

Jerry miał opiekuńczy stosunek do swojego szefa, więc Tice zarzucił odpowiednią przynętę.

- A ja słyszę, że pan G. jest w poważnych tarapatach finansowych - powiedział

współczująco. - Człowiek jak ty, z twoją głową i zdolnościami może zechce pomyśleć o zmianie zatrudnienia? Nowa transakcja pana G., jak donosi poczta pantoflowa, się rozpada.

Idzie na wysypisko. On razem z nią, a ty pójdiesz za nim.

- Co za bzdury! - odparł urażonym tonem Jerry. - Pan G. ma się świetnie. Cokolwiek byś o tym myślał...

Tice uderzył we właściwą strunę.

- Obaj wiemy, jak trudno sfinalizować taką transakcję. Mówią, że jest amatorem.

- Nie pan G.! Kto tak mówi? On zajmuje się tym od lat. Jest na szczycie. Najlepszy w branży. - Ale w głosie pojawiła się nutka niepewności.

- Jak mówiłem, poczta pantoflowa działa, Jerry, masz w ręku parszywe karty. Pan G. to nieudacznik. Twoja reputacja mocno na tym ucierpi. Pomyśl o pracy dla któregoś z jego konkurentów. A właściwie... pomyśl o pracy dla mnie - dokończył niedbałym tonem.

Jerry ryknął, przechodząc do ofensywy.

- Słyszałem, że robiłeś mnóstwo ciemnych interesów. Podobno wyprzedaleś mnóstwo rzeczy. Zarobiłeś dużo forsy, Jay? I nic z tego nie masz, bo nie jesteś na tyle dobry, żeby uniknąć kicia. Wlazłeś na szczyt i spadłeś. Wyobrażam sobie, jak to było. No to pozwól, że ci powiem: transakcja pana G. zostanie zawarta jutro zgodnie z planem, więc jesteś niedoinformowany. Domyślam się, że chciałbyś wiedzieć, gdzie jestem i skąd wiem, że właśnie jedziesz międzystanową w pobliżu Falls Church. Powinieneś uważać na siebie, bo moi chłopcy zaraz tam będą. Hej, nie zamierzałem cię zmartwić. Właśnie mam na linii mojego kierowcę. Jedzie z facetem, który dostał zlecenie na ciebie. Nienawidzę nieudaczników, Jay.

Naprawdę. To wyrodky, które marnują tylko powietrze. To tacy jak ty. Pomachaj moim chłopakom na powitanie. Dzięki za telefon. Przekażę panu G., że dzwoniłeś. Sayonara, Jay.

Arrivederci. Idź do diabła, facet.

W uchu Tice'a rozbrzmiała cisza. Powtarzał sobie fragmenty rozmowy: „Transakcja pana G. zostanie zawarta jutro zgodnie z planem” i „on zajmuje się tym od lat... najlepszy w branży”. Kimkolwiek był pan G., mogło nie starczyć czasu, żeby powstrzymać przeprowadzenie transakcji. Tice Wyłączył komórkę.

- Co powiedział? - zapytała natychmiast Elaine.

- Wygląda na to, że interes jest nielegalny, a transakcja zostanie zawarta jutro. Nie podał

żadnych szczegółów. - Z pistoletem w ręku odwrócił się do Elaine. - Możemy mieć kłopoty.

Jerry twierdzi, że ktoś zna naszą lokalizację. Jest z ludźmi w drodze. Jeśli to prawda, jak, u diabła, zdołał nas namierzyć?

- Chyba blefował. - Na wszelki wypadek spojrzęła jednak w lusterka i nacisnęła mocniej na gaz. Jaguar wystrzelił do przodu jak pocisk, wcisnęło ich w fotele. Rozglądała się rozpaczliwie za wozem policji stanowej.

- Nie do wiary. Mamy towarzystwo. - Odwrócił się, żeby lepiej przyjrzeć się czarnemu sedanowi, potężnemu lincolnowi, który odłączył się od sznura samochodów i zjechał na ich pas. Zbliżał się szybko.

Natychmiast skręciła na równoległy pas ruchu. Maskę lincolną wykonała gwałtowny ruch i wóz znów znalazł się za nimi. Zakląła głośno i zahamowała. W ostatniej sekundzie lincoln skręcił z piskiem opon. O włos minął ich zderzak.

Po chwili lincoln znów ich doganiał. Tice obniżył szybę po swojej stronie. To samo zrobił kierowca w drugim samochodzie. Do jaguara wpadł podmuch świeżego powietrza.

Nagły warkot silnika i szum kół były jak eksplozja.

Tice podniósł głos, żeby go usłyszała.

- Ten facet jest uzbrojony. Był z ludźmi, którzy zdjęli personel Charta. Wywieź nas stąd!



Elaine dokładnie przyjrzała się zatłoczonej autostradzie. Wozów było tyle, że strzał

mógł spowodować katastrofalny karambol. Kiedy z lincolna wysunęła się lufa pistoletu, zakręciła gwałtownie kierownicą i przejechała na sąsiedni pas, potem na następny, zwiększając szybkość.

- Kolejny ogon! - ostrzegł ją Tice.

Z mocno bijącym sercem Elaine zmieniała pasy, a w ślad za nią zaciekle sunęły dwa samochody zabójców. Drugim wozem był zielony oldsmobile, sześćioletni, ale z potężnym silnikiem. W lusterku wstecznym dostrzegła trzeci samochód.

Serce jej zamarło.

- Tam jedzie bmw. W środku siedzi Jerry. Są za nami.

- Widzę. Teraz dowie się, że kłamałem. Powiedziałem, że cię sprzątnąłem. - Uśmiechał

się lodowato. - Chyba już mi nie zaufa. Jedzie tylko on i facet, który przywiózł go do twojego domu.

- Bmw to dobre samochody. Szybkie jak jaguary.

Dodała gazu. Skomputeryzowane zawieszenie jaguara zareagowało jak zwykle elastycznie, a silnik szedł gładko i cicho, wydając lekki pomruk. Można było go popędzać, ostro i bez obaw, do fabrycznej szybkości dwustu kilometrów na godzinę, co znaczyło, że automatyką i liczbą koni mechanicznych górował nad tamtymi dwoma samochodami. Miała nadzieję, że zniknie im z pola widzenia, potem trafi na wolny kawałek autostrady i zostawi ich daleko w tyle.

Zerkając w lusterka, podjechała za forda SUV, potem wyprzedziła dodge'a furgonetkę, przyspieszając do stu dwudziestu na godzinę. Odgłos pracy silnika podniósł się do poziomu radosnego warkotu.

Nie widziała żadnego ze ścigających ich samochodów.

Tice uważnie się rozglądał. Wjechała na sąsiedni pas, gdzie potężny hummer uciekał

przed luksusowym lexusem. Przyjrzała się obu wozom. Ledwie wślizgnęła się pomiędzy dwa samochody, gdy lexus przyspieszył i zbliżył się do jaguara, chroniąc ich od tyłu, na co Elaine miała nadzieję. Furgonetka dodge złapała sportowego ducha i przyspieszyła, siadając na tylnym zderzaku nowego chevroleta jadącego na prawo od jaguara. Drugi bok chroniły im volvo, mustang i mercedes. Prowadził hummer, tępym nosem tnąc powietrze.

Osiem samochodów gnało przez noc z szybkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę, tworząc śmiertcionośną kawalkadę rozpędzonej stali i szkła. Jaguar ukrył się w środku. Kierownica w rękach Elaine była jak żywe stworzenie.

- Jerry znówu nas znalazł - powiedział ostro Tice.

Poczuła skurcz w klatce piersiowej. Jak za sprawą magii, pojawiło się bmw.

- Nie mogę go zgubić - odparła z niepokojem. - Rink jakby wiedział, gdzie jesteśmy, bez względu na to, co robię.

- Podłożyli nam pluskwę. Ale jak? - Z plecaka wyjął komórkę zmarłego. - To jedyna rzecz, jaką zabrałem Billy'emu. Może Jerry włożył nadajniki do komórek wszystkich swoich ludzi, żeby wiedzieć, gdzie są?

- I tak jej nie potrzebujemy. Wyrzuć ją! - I wtedy zrozumiała. - Chwileczkę! Czy ma wybity kod E911? Jest włączona? Sprawdź szybko!

- Tak, jest włączona. - Odwrócił aparat, zobaczył biały napis i przeczytał na głos - E911.

Co to znaczy?

- Że jesteśmy wrobieni. Wywal to! - Opuścił szybę i cisnął komórkę na autostradę.

Elaine wyjaśniła mu, że w środku znajdował się chip umożliwiający śledzenie ich z satelity. -

Umiem dezaktywować tę funkcję, ale do tego potrzeba czasu. I masz rację, w środku mógł być też nadajnik. Tak, czy inaczej, przez to nas znaleźli.

- Zdołałabyś znów ich zgubić?

- Taki mam zamiar.

Hummer zjechał w bok, przed nimi był cadillac. Mrugnęła długimi światłami. Cadillac, jak smagnięty biczem, wystrzelił do przodu. Nacisnęła gaz, dotrzymując tempa. Teraz, kiedy jechali szybciej, znów mieli przed sobą wolną drogę. Zmieniała pasy, mrugała długimi światłami, przyspieszała do stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

- Jak się oderwiemy - powiedziała - zjadę z autostrady na wysokości Little River. Nie widzę już żadnego z naszych ogonów, a ty?

Wykręcił szyję.

- Może ich zgubiliśmy.

- Cholera, bmw wróciło. - Spojrzała w lusterko boczne od strony Tice'a. Szybkie i aerodynamiczne bmw jechało sąsiednim pasem, z dziesięć metrów z tyłu. Za blisko.

- Zbliżamy się do zjazdu z autostrady - ostrzegł Tice.

Pognała jaguara, znów skacząc po pasach. Modliła się, żeby inni kierowcy umieli dobrze prowadzić.

Ale cokolwiek robiła, bmw trzymało się ich wozu. Przeklinając, przemknęła obok zjazdu.

Wpadł jej do głowy pewien pomysł. Był ryzykowny, ale mógł poskutkować.

- Następny zjazd to Braddock Road. Coś wymyśliłam.

- Co?

- To zbyt skomplikowane, żeby wyjaśniać. - Szybko manewrowała, tak żeby między jaguarem a zjazdem były tylko dwa pasy. Odetchnęła z nadzieją... nie, do diabła, bmw nadal jechało za nimi. Musi czekać, być cierpliwa. Nacisnęła gaz, potem zwalniała i przyspieszała.

Obserwowała ruch na zewnętrznych pasach.

- Elaine!

Ostrzeżenie przyszło za późno. Przyglądała się znakom na drodze i zignorowała bmw.

Kula przebiła słupek między bocznymi szybami, poleciały odłamki metalu, zrobiła unik.

Nie myśl o tym, nakazała sobie w duchu. Oto zjazd.

- Trzymaj się - rzuciła.

Tice złapał rączkę nad głową.

Kiedy uderzyła druga kula, Elaine spojrzała w prawo, ostro zakręciła i przytrzymała kierownicę. Samochód śmignął w poprzek pasów jak strzała, o centymetry mijając inne wozy.

Pozostawił po sobie kilwatter trąbiących klaksonów i piszczących opon. W ostatniej sekundzie nacisnęła na hamulec i elegancko, bokiem, z piskiem opon, wprowadziła jaguara na rampę Braddock Road.

Tice rozejrzał się szybko.

- Widzę bmw. Wymanewrowałaś go.

Adrenalina pulsowała w niej jak lawa. Obejrzała się. Bmw jechało bezradnie naprzód zablokowane na wewnętrznym pasie.

- Jeszcze nie jesteśmy bezpieczni - oznajmił ponuro. - Jerry powie swoim ludziom, gdzie odskoczyliśmy.

Zwolniła na pierwszym skrzyżowaniu. Mimo czerwonego światła rozejrzała się na boki i skręciła w lewo. Samochód mijał wielkie drzewa i kwitnące krzaki. Kilometr dalej, w mieszkalno-przemysłowej dzielnicy, wjechała na tył parkingu przy McDonalddie, trzymając się z dala od głównej drogi.

Spojrzała na Tice'a. Szeroko otworzyła oczy.

- Krwawisz. - Czerwona strużka płynęła mu po prawym policzku, prawdopodobnie z ranki po metalowym odłamku.

- Ty też. Masz zakrwawione włosy. - Popatrzył w boczną uliczkę. - Tam stoi samochód na kalifornijskich numerach. Podjedź za domy i zaparkuj. Jerry każe swoim ludziom szukać wozu z miejscową rejestracją, a nie z Zachodniego Wybrzeża. Dobrze się czujesz?

- Najzupełniej. - Okrążyła blok, uważając na znaki i elegancko zaparkowała równolegle do chodnika. Obmyślała plan.

- Nie ruszaj się. - Spojrzał jej w oczy. - Źrenice są w normie. Nie ma wstrząsu. Odwróć głowę. - Rozsunął jej włosy. - Wygląda na powierzchowne zadrapanie.

Znów werbowanie, do tego element współczucia. Jego torba z narzędziami do prowadzenia wojny psychologicznej zdawała się bez dna.

- Mówiłam przecież. Pozwól, że ja obejrzę ciebie. - Miał tylko nacięcie na policzku. - To zadrapanie. Obojgu nam uszło na sucho. - Miała nadzieję, że Tice zostawi jej torbę, kiedy wyjdzie z samochodu. Najpierw będzie musiał zdjąć tablice z tamtego wozu, więc będzie miała czas na krótki telefon.

- Wyłącz silnik i daj mi kluczyki. - Złapał swój plecak. - Zaraz wracam.

Nachmurzyła się. Chciała, żeby myślał, że zrozumiał jej plan ucieczki przed Jerrym, ale jednocześnie usiłowała nie wzbudzić podejrzeń, że zamierza się go pozbyć. Patrzył na nią bez mrugnięcia. Po chwili odwróciła oczy, wyłączyła silnik i wręczyła mu kluczyki, udając, że niechętnie.

Chwycił je i poszedł.

Z ciemnego wnętrza wozu obserwowała, jak Tice biegnie przez ulicę z plecakiem i wkłada kluczyki do kieszeni. Zanurzyła rękę w torbie. Ten zniszczony telefon był służbowy, z Langley, ale nadal miała prywatny, zamknięty na suwak w wewnętrznej kieszeni. Kiedy Tice kucnął przy przedniej tablicy rejestracyjnej tamtego wozu, wyjęła komórkę, a ze schowka na tablicy rozdzielczej wyciągnęła mapę drogową północnej Wirginii. Nachyliła się nad mapą, udając, że czyta, i jednocześnie wystukała numer, który podał jej Laurence Litchfield podczas pierwszej rozmowy.

Telefon zadzwonił trzy razy, zanim Litchfield odebrał. Jaguar był dźwiękoszczelny, ale osłoniła mikrofon dłonią.

- Panie Litchfield, tu Elaine Cunningham.

- Cunningham! - W jego głosie był wstrząs i podniecenie. - Próbowałem dodzwonić się wcześniej, ale nie mogłem się połączyć. Gdzie jesteś? Dobrze się czujesz?

- Nie mam wiele czasu. Jestem z Jayem Tice'em. Rozbił mi komórkę. Ale do rzeczy. Po pierwsze, to

nie ja zabiłam tego człowieka w moim domu.

- Nie miałem cienia wątpliwości, że to nie ty. Wyjaśnimy to później. Wyślę ludzi po Tice'a. Gdzie jesteś?

Podawała mu nazwy krzyżujących się w pobliżu ulic.

- Jest uzbrojony: mój walther, jego sig sauer i browning. Wszystkie kaliber 9

milimetrów. Jedziemy moim samochodem... czerwonym jaguarem. Za pięć minut będzie miał

kalifornijskie tablice. - Przeczytała numery, zanim Tice zdjął je z tamtego samochodu. - Ja prowadzę. On siedzi obok mnie. Ale jest coś jeszcze. Chart...

- Poczekaj chwilę.

Telefon umilkł. Patrzyła, jak Jay Tice okrąża biegiem samochód z Kalifornii i kuca przy tylnej tablicy. Ręce miała spocone. Potarła o spodnie, najpierw jedną, potem drugą. Pośpiesz się. Pośpiesz się. Przycisnęła telefon do ucha.

Wreszcie Litchfield był na linii.

- Kazałem wprowadzić twoje położenie do komputera. Znaleźliśmy kawałek terenu pod Manassas. Tam są pola uprawne i nie ma domów. Będziemy mogli złapać go bez podnoszenia wrzawy w mediach. To kawałek drogi, ale muszę mieć czas, żeby wysłać zespół na miejsce. -

Podał jej dane.

Zapamiętała.

- Co się stanie?

- Dobrze, że ty prowadzisz. Jeśli Tice zauważy, że nasze wozy się zbliżają, udawaj, że chcesz uciec. Ale w końcu pozwól, żeby wzięły cię między siebie. Może sobie mieć trzy pistolety, ale zostanie mu tylko jedna wolna ręka, jeśli wykorzystają cię jako tarczę. Wyślę najlepszych strzelców.

- Zawahał się. - Dasz sobie radę?

W ustach natychmiast zrobiło się jej sucho. Przełknęła.

- Oczywiście. Trzeba go odesłać do więzienia. Ale ostrzegam, jest groźny jak zawsze.

- Wierzę. Dostałem twoją pierwszą wiadomość. Dowiedziałaś się czegoś więcej?

Zobaczyła, że Tice się wyprostował. W jednej ręce trzymał dwie tablice rejestracyjne, w drugiej plecak.

- Kilku rzeczy. Tice twierdzi, że ludzie z Charta chcieli sprzątnąć jego i Palmera Westwooda... - Tice zaczął biec w stronę jaguara. - Nadchodzi.

- Wyłączyła komórkę i zamknęła ją w torbie, potem znów nachyliła się nad mapą.

Słuchała odgłosu mocowania tablic i przyglądała się mapie, idąc za wskazówkami Litchfielda. Były niezłe, teraz solidnie je przyswoiła. Spojrzała na zegarek. Przy odrobinie szczęścia Jay Tice trafi do aresztu w Langley.

# 21.

## Genewa, Szwajcaria.

Ostatnie słowa ostrzeżenia, jakie wypowiedziała Raina Manhardt, wstrząsnęły Raoulem Harmontem, a świt nad uliczkami Starego Miasta nie rozproszył jego niepokojów. Ale teraz, bezpieczny w swoim mieszkanku na szczycie wąskiego, czteropiętrowego domu, oddawał się radości. Jeszcze raz przeliczył pieniądze i rozparł się z uśmiechem, składając ręce na brzuchu.

Sprzedaż taśm wideo to był interes w jego stylu - stuprocentowy zysk.

Z zadowolenia roześmiał się na głos. Potem zmarszczył czoło. Czyżby usłyszał trzask zapadki u drzwi balkonowych?

Niemożliwe. Mimo to odwrócił się na krześle.

- Kto...? Co...?

Jakiś mężczyzna wszedł do środka, celując w niego z pistoletu z bardzo długim tłumikiem. Harmont patrzył na broń w przerażeniu, jak zahipnotyzowany.

- Co było w pudełku na czekoladki? - Francuski akcent intruza był wyśmienity, ale jednak z lekkim nalotem amerykańskiego.

Harmont oblizwał suche wargi i podniósł wzrok z szerokiej klatki i potężnych ramion na olbrzymią twarz.

- Jakie... jakie czekoladki? - zapytał.

Ale zanim zdołał się ruszyć, wysoki mężczyzna zrobił dwa szybkie kroki i rąbnął go pistoletem w głowę. Trysnęła krew. Ekspłodował ból.

- Przestań! - Krzyknął Harmont i uniósł ręce. Mężczyzna odsunął je na bok i uderzył

jeszcze raz. Trzasnął ząb. Polała się krew.

- Taśmy z holu! - wrzasnął Harmont. - Wideo nadzoru...

- Z wejścia do budynku Milieu Software?

Harmont gwałtownie pokiwał głową, rozsmarowując palcami krew po policzkach. Usta płonęły mu od bólu.

- Oryginały?

- Ko... kopie. - Prawe oko zamykało mu się od opuchlizny.

- Gdzie są oryginały?

Harmont poczuł przypływ nadziei. Zerknął zdrowym okiem i otworzył szufladę w biurku.

- Tutaj. Zapłaciła dwa tysiące. Ty dostaniesz za darmo. Amerykanin roześmiał się głośno.

- Naprawdę? - Chwycił Harmonta za kołnierz i wywlekł go z krzesła na balkon.

Przerażony Harmont zaczął się miotać.

- Co robisz? Nie! - Poczuł, że stopami nie dotyka posadzki balkonu. - Weź je sobie! -

błagał. - Są dla ciebie! Weź je... weź je...!

Za późno. Z wrzaskiem poleciał w dół.

## **Langley, Wirginia.**

Zadowolony z siebie Litchfield szedł szybko korytarzem siódmego piętra. Wszystkie jego staranne przygotowania się opłaciły. Elaine Cunningham wreszcie zadzwoniła, a zabójcy od Martina Ghrandittiego byli w drodze na krwawe spotkanie z nią i Jayem Tice'em.

Rozkoszował się triumfem, wchodząc do małej sali konferencyjnej, gdzie trzech analityków odbywało przy stole psią wachtę. Na blacie leżały teczki z aktami, przy łokciach stały puszki z dietetycznym napojem gazowanym. Byli zapatrzeni w telewizor wiszący na ścianie. Pomieszczenie wypełniała atmosfera niepokoju i koleżeństwa.

Obraz, nastawiony na kanał al-Dżaziry odbierany z Kataru, przedstawiał kobietę w chuście na głowie siedzącą za biurkiem. Czytała wstępniaka. Każde jej słowo wyrażało święte oburzenie. Na dole ekranu biegło tłumaczenie:

- ... *Celem Wielkiego Szatana jest okupacja Bliskiego Wschodu. Rozpoczęli okrutną wojnę, żeby zabrać naszą ropę naftową i rozszerzyć swoje imperium militarne, ale teraz Allah ich ukarał. Stworzyli to, co chcieli zniszczyć. Członkowie al-Kaidy i inni wojownicy Dżihadu podali sobie ręce na całym świecie. Muzułmanie, którzy w nas wątpili, teraz walczą z nami ramię w ramię...*

- Widzę, że w al-Dżazirze nic się nie zmieniło - powiedział radośnie Litchfield, siadając na pustym krześle u końca stołu. Wyciągnął nogi, skrzyżował je w kostkach i uśmiechnął się do siebie.

Reg O'Toole podniósł pilota i wyłączył telewizor. Czarną twarz miał gładko ogoloną, oczy promienne i czujne. Na całej półkuli panował dzień.

- Myślałem, że znudzi ich powtarzanie w kółko o „Wielkim Szatanie”, bo nam już się to przejadło - mruknął. - Spodobało mi się, kiedy bin Laden zaczął nazywać nas wężem.

- Przyzwyczaisz się - powiedziała Geraldine Genowicz. - Przecież „Wielki Szatan” jest jak popularny znak firmowy. To jasne, że będą tak mówić. Naciskają dzwonek i pies Pawłowa się ślini.



- Miała trochę ponad trzydzieści lat, nosiła aparat na zębach i była piegowata.

- No to co macie dla mnie? - zapytał Litchfield, przerywając pogawędkę. Langley najmowało analityków i agentów spośród najlepszych umysłów w kraju, ale to dawało też lekki posmak anarchii.

- Trochę niezłych informacji wywiadowczych - odparł David Quintano. Jako pięćdziesięciolatek był tutaj najstarszy wiekiem. Zsunął okulary do czytania z czoła na nos i zajął do teczek. - Jak pan wie, wczoraj przed Ambasadą Stanów Zjednoczonych w Londynie wybuchła bomba. Zabiła dwóch Brytyjczyków i amerykańskiego marines. Druga bomba połączona z telefonem komórkowym nie wybuchła. Namierzyliśmy kartę SIM. Okazało się, że dzwoniono z muzułmańskiej księgarni na East Endzie. Właściciel kupił całe pudełko kart SIM. Nie kazaliśmy go aresztować, więc nie wie, że go mamy. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, NSA, śledzi jego kontakty telefoniczne, podsłuchuje rozmowy.

Litchfield się wyprostował.

- Interesujące.

- Jest więcej - wtrąciła się Genowicz z poważnym wyrazem twarzy. Na tle jej różowej cery piegi wyglądały jak ziarenka pieprzu. - Wywiad pakistański aresztował dwóch mężczyzn w Peshawarze, zanim zdążyli zniszczyć kilkanaście nagranych niedawno płyt CD. Zawierały szczegóły planowanych operacji i jak zwykle instrukcje, jak robić bomby, uzyskiwać paszporty, kraść karty kredytowe i tak dalej. Ponadto kilka numerów telefonów, które naszym zdaniem są ważne.

- Moja kolej - powiedział O'Toole. - Celnicy w Toronto zatrzymali kobietę lecącą z Hongkongu z fałszywym paszportem południowoafrykańskim. Namierzamy ludzi, którzy mają takie paszporty, bo zawzięci dżihadysty coraz częściej rekrutują nie-Arabów, zgodnie z teorią, że obcy wzbudzają mniej podejrzeń. Potem zaopatrują ich w sfalszowane paszporty południowoafrykańskie, bo to daje bezwizowy wjazd do wielu krajów. W jej walizce było podwójne dno, a w nim ukryta kartka z zakodowanym tekstem. To była fotokopia... nie żartuję, prawdopodobnie wykonana w chacie z gliny na pustkowiach między Afganistanem a Pakistanem albo w Chinach. Tak czy siak, fotokopia. Narodowa Agencja Bezpieczeństwa właśnie skończyła dekodować wiadomość. To przesłanie od samego Osamy bin Laden.

Przestał korzystać z elektronicznych środków komunikacji, bo się boi, że go znajdziemy.

Dlatego używa poczty kurierskiej.

Cała trójka popatrzyła po sobie.

- Czekam - rzucił niecierpliwie Litchfield. Zrozumiał. - Majlis al-Sha'b?

- Tak jest - potwierdził z ponurą miną O'Toole. - Nareszcie.

W ciągu ostatniego roku agenci Litchfielda znaleźli dowody, że tworzy się nowa siatka o nazwie Majlis al-Sha'b. Był to rozrastający się groźnie polip - nowy sztab łączący szyickich muzułmanów z Hezbollahu i Islamską Republikę Iranu z sunnitami z Hamasu oraz palestyńskim Islamskim Dżihadem.

Sojusz szyicko-sunnicki, chociaż niełatwy i niezbyt ścisły, zasypywał głęboką przepaść historyczną i łączył arabskich nacjonalistów z dżihadystami wszelkiej maści.

Quintano przesunął okulary z powrotem na czoło.

- Udało się nam uzyskać dość jasny obraz sytuacji. Z rozmów, prowadzonych przez komórki z tymi kartami SIM, podsłuchiwanymi przez NSA wynika, że al-Kaida zrozumiała swoją porażkę: nie udało im się wywołać prawdziwego powstania politycznego w świecie islamu. Przynajmniej do tej pory. Marzenie bin Ladena o nowym kalifacie musi, ze względów praktycznych, zejść na plan dalszy, a morale al-Kaidy słabnie.

Litchfield pokiwał głową.

- Ale Stany Zjednoczone też nie osiągnęły swojego podstawowego celu. Nadal nie możemy dać gwarancji, że nie nastąpi kolejny atak. Prawdę mówiąc, nie jesteśmy w stanie sprawdzić nawet tego, czy al-Kaida ma broń masowej zagłady.

- Zgadza się. - Quintano pokiwał głową. - Ale to my jesteśmy górą, bo na Bliskim Wschodzie uważa się, że mamy obsesję na punkcie al-Kaidy. Wszystkie kraje niepokoją się, żebyśmy nie zmienili kursu zainteresowań - tak jak to było w przypadku Afganistanu i Iraku.

Właśnie dlatego muzułmańskie agencje wywiadowcze współpracują z nami przeciwko al-Kaidzie. A Syria publicznie skapitulowała, kiedy kazaliśmy jej wynosić się z Libanu.

Oczywiście, zostawili za sobą ogromne źródła wywiadowcze, po prostu głębiej zakonspirowane. Wszyscy sądzą, że nasz zły humor jest irracjonalny, ale to sprawia, że bardzo się starają, żeby nas nie zdenerwować.

- Spojrzał na drugą stronę stołu, na Genowicz.

- To już moja działka - powiedziała do Litchfielda. - Skonfiskowane przez Pakistańczyków płyty CD dowodzą, że dżihadystom coraz trudniej przychodzi zorganizowanie kolejnego ataku. Próbowali od lat, sporządzili nawet plany, ale zachodnie służby ochrony są silniejsze i osłaniają ich główne cele. NSA monitoruje aktywne numery telefonów umieszczone na liście. Wysłuchują mnóstwa zawodzeń i próśb do Allacha o pomoc.

O ile więc my zbliżamy się do naszego celu, o tyle al-Kaida oddala się od swojego. Na tę chwilę przegrywają wojnę. - Zerknęła na Quintana.

Quintano zwrócił się do Litchfielda:

- Bin Laden postanowił zatem powziąć radykalne kroki. Jak pan wie, po jedenastym września, kiedy uniemożliwiliśmy mu kontrolowanie al-Kaidy, pojawiło się nowe pokolenie wojowników świętej wojny. Według dokumentu schowanego w walizce tej kobiety, bin Laden rozejrzał się i stwierdził, że ze wszystkich ugrupowań Majlis jest najsilniejsze, największe, najlepiej kierowane i że przeniesie jego wizję na wyższy poziom. Dlatego też dokument oficjalnie przerzuca przywództwo z al-Kaidy na

Majlis. Wysłał po jednym egzemplarzu do wszystkich przywódców nowej organizacji, a to znaczy, że co najmniej jeden z nich ukrywa się gdzieś w Kanadzie albo Stanach Zjednoczonych. Szukamy go teraz.

- Majlis przerodziło się w większy ruch - przestrzegł O'Toole. - Bardziej przerażający niż al-Kaida. Lepiej rozumieją się na technologiach, są bardziej obcy w świecie, trudniejsi do namierzenia, młodszy. Zastąpili wiele zasad religijnych i ideologicznych wprowadzonych przez bin Ladena szerszą interpretacją. Wróg to każdy, kto nie jest islamskim fundamentalistą. Czyli wrogami są także bracia muzułmanie. Jednocześnie członkowie Majlis są świetnie przygotowani do prowadzenia podwójnego życia. Kiedy tylko chcą, gładko wnikają w kulturę Zachodu.

- Uczą się na błędach al-Kaidy, korzystając przy tym z jej sił - podsumowała niskim, zaniepokojonym głosem Genowicz.

W salce zapadła cisza. Litchfield popatrzył na poważne twarze.

- Jak wygląda organizacja Majlis?

- Według transkrypcji NSA nie mają zarządu w takim sensie, że budzą się rano i zbierają na naradę, żeby ustalić, których cywilów zabić jako następnych - odparł O'Toole. - To bardziej przypomina klikę. Zmierzają w tym samym kierunku, działają niezależnie albo razem, jeśli to konieczne. Prawdziwe „Zgromadzenie ludu”, ale nie demokracja. Każdy z przywódców ma swoją siatkę. Razem dyktują warunki. Chcą, żeby natura ugrupowania pozostała amorficzna, bo dzięki temu będą mogli rosnąć w siłę, a my im w tym nie przeszkodzimy.

- Gdzie mają kwaterę główną? - zapytał niecierpliwie Litchfield. - Jak często się spotykają? Ilu dokładnie jest przywódców z siatkami? Kim są?

Wokół stołu wszyscy się przygarbili. O'Toole spojrzał Litchfieldowi w oczy.

- Jeszcze nie wiemy, ale się dowiemy.

- Nastraszyli nas prawie na śmierć - przyznała Genowicz.

Litchfield pokiwał głową. Nie potrzeba wpływów politycznych ani finansów supermocarstwa, ani nawet baz wojskowych na całym świecie, żeby podkładać bomby, brać zakładników albo wbijać się samolotami pasażerskimi w drapacze chmur. Terroryzm to gra umysłowa. Drużyna al-Kaidy składająca się zaledwie z dwudziestu osób uzbrojonych w przecinacze do kartonu dokonała jedenastego września zamachów tak genialnie obmyślonych, skrupulatnie zaplanowanych i zabójczych dla trybów globalnej władzy, że na zawsze zmieniły świat. Jeśli Majlis była mądrzejsza nawet od al-Kaidy, to niech Bóg ma ludzkość w opiece.

- Panie Litchfield? - odezwał się ktoś od drzwi. Asystent dyrektora, Ron Wenceslao.

Marszczył czoło ze zmartwienia. - Dowiedzieliśmy się, że ci, którzy sprzątnęli pracowników Charta, wyłączyli prąd, więc nie mamy nagrań wideo zespołu zabójców. Ale jest i dobra wiadomość. Elaine Cunningham zamówiła profil Jaya Tice'a. - Pokazał płytę CD. - Tu mamy wszystko. Niektóre rzeczy

wyglądają interesująco.

Zanim Wenceslao dokończył zdanie, Litchfield już wstał. I tak nie dowiedziałby się tutaj niczego więcej.

- Dziękuję, Ron. - Zabrał CD i odwrócił się w stronę sali. - Szukajcie głębiej. Dajcie znać, jak tylko coś będziecie mieli. Trzymając płytę w żelaznym uścisku, pospiesznie wyszedł.

## **Paryż, Francja.**

Od powrotu do Paryża Gerhard Shoutens nie mógł przestać myśleć o strasznych chwilach, kiedy Kristoph zjechał z trasy na Chaux de Mont. Bez końca odtwarzał sobie tę scenę w pamięci. Syk śniegu pod nartami, kaśliwe, zimne powietrze, jasne jak kryształ

światło, radość zjazdu trasą narciarską obok wysokich jodeł. A potem nagłe szarpnięcie i wściekły ryk, kiedy Kristoph spadał w przepaść.

Nawiedzany tymi myślami Gerhard, ubrany w wiatrówkę, wędrował przygarbiony po ulicach, aż niebo pojaśniało i zaczął się ranek. Otwarto kawiarnie i sklepy, furgonetki wypluwały pachnące bagietki i rogaliki. Łaził bez celu, wspomnieniami oddalony o setki kilometrów, przebywał w szwajcarskich górach, ze zmarłym przyjacielem.

Kiedy głośny krzyk rozbrzmiał może tysięczny raz w jego myślach, nagle wszystko się zmieniło. Gerhard się zatrzymał. Był na Petit Pont, „małym moście”. W dole, między filarami, płynęła Sekwana. Nie pamiętał, jak tutaj dotarł.

Zastanowiło go te kilka sekund przed upadkiem Kristopha w przepaść. Gerhard koncentrował się zapatrzony w ciemną wodę. Potem zrozumiał: Kristoph krzyknął z bólu tuż przed wypadkiem - sekundę wcześniej, ale na pewno wcześniej. Jakby coś go uderzyło. A jego narty nie omijały przeszkody, tylko uniosły się nad śnieg. Na pewno były w powietrzu.

Dopiero potem rozległ się ryk zagłuszający wcześniejszy okrzyk bólu.

Gerhard zeszywniał. Śmierć Kristopha nie nastąpiła przypadkowo. Teraz był tego pewien. Coś uderzyło przyjaciela tak boleśnie, że aż krzyknął, i tak mocno, że wyrzuciło go w powietrze. Nic dziwnego, że nie mógł powstrzymać upadku w przepaść. Ale co to było? Nie działa się przecież nic nadzwyczajnego.

Musi zatelefonować do Frau Manhardt, żeby jej o tym powiedzieć. Poklepał się po kieszeniach, przeklinając swoje roztargnienie. Poszedł szybko do mieszkania po telefon komórkowy. Przepęnlony odrazą i oburzeniem dotarł do bulwaru Saint-Germain, ledwie zwracając uwagę na poranny gwar.

Kiedy szedł wzdłuż krawężnika, nagle poczuł ból w boku. Krzyknął i zboczył z chodnika. Jakby jakiś olbrzym uderzył go młotem. W jednej chwili zrozumiał - to samo przydarzyło się Kristophowi. Był równie bezbronny jak on. Z pełnym wściekłości rykiem wpadł pod koła miejskiego autobusu. Wóz nie miał miejsca na manewr ani czasu na hamowanie.

Oślepiające światło wybuchło chłopakowi w głowie. Klaksony zawyły. Hamulce zapiszczały. Za późno. Autobus wpadł na Gerharda i złamał mu kark. Młodego chłopaka otoczyła ciemność śmierci.

Wysoki mężczyzna w przepasanym trenczu stał dwadzieścia metrów dalej. Odwrócił się niedbale i odszedł, wkładając do kieszeni coś, co wyglądało jak wielka latarka.

**Na drodze, Wirginia.**

Kiedy Tice wsiadł do wozu, Elaine, opanowując nerwy, podniosła wzrok znad mapy.

Podmiejska uliczka była spokojna. Czarne cienie i jasny księżyc dawały monochromatyczny widok zaparkowanych samochodów, trawników i domów.

- Skończone. - Z browningiem w ręku zamknął drzwi i rzucił plecak na podłogę. -

Dziury po kulach w karoserii nie wyglądają źle. Może uda nam się gdzieś świsnąć kolorowy kit, żeby je zamaskować. - Oddał kluczyki.

Włączyła silnik. Zachowuj się naturalnie, nakazywała sobie w myślach.

- Świetnie prowadziłaś - odezwał się po chwili.

Odpowiedziała skinieniem.

- Miło słyszeć. - Ruszyła i skręciła na zachód.

Patrzyła, jak Tice układa się na siedzeniu, plecami do drzwi. Przyglądała się bacznie.

Jego krótkie, siwe włosy zabłyszczały w świetle reflektorów przejeżdżającego samochodu.

Musi się spotkać z zespołem wysłanym przez Litchfielda, tak żeby nie wzbudzić podejrzeń Tice'a. Nie pozwalała sobie myśleć z wyprzedzeniem o niebezpieczeństwach udawanego pościgu ani o tym, jak Tice zareaguje. Na chwilę ogarnęło ją dezorientujące uczucie wyobcowania, jakby nie była sobą, lecz nieznaną, która robi krok za skraj przepaści.

- Popraw mnie, jeśli się mylę - powiedziała spokojnie - ale wydawało mi się, że chcesz dotrzeć do jakiegoś miejsca, i zależy ci, żeby Jerry i jego banda nie śledzili cię i nie mogli tam znaleźć. - Kątem oka zobaczyła, że Tice bacznie ją obserwuje. - Pomyślałam więc, że będę jechać przez jakiś czas przed siebie, żeby mieć pewność, że ich zgubiliśmy - kontynuowała. -

Potem powiesz, dokąd cię zawieźć.

Przyglądał się jej profilowi. Fotografia, którą przesłano mu pocztą elektroniczną wraz z jej podstawowymi danymi, pochodziła zaledwie sprzed roku. Miała kucyk opadający na szyję jak teraz. Ale mocno ściągnięte do tyłu włosy na zdjęciu nadawały jej surowy, purytański wygląd. Mól książkowy bez poczucia humoru. Na żywo wyglądała młodziej i znacznie ładniej. Jednego był pewien - ona mu nie ufała, a to uniemożliwiało mu szybką i ukradkową podróż. Musi się zastanowić, co zrobić z Cunningham.

- Dobry pomysł - powiedział, żeby zyskać na czasie. -

Zatrzymała jaguara na czerwonym świetle i przyjrzała się znakom drogowym.

- Dlaczego to zrobiłeś, Jay? - zapytała cicho.

Zacisnął dłoń na rękojeści browninga. Wściekłość buchała mu z porów. Przez chwilę wydawało mu się, że chłodne powietrze pod stalową skórą samochodu ma temperaturę wrzenia.

- Nie pasujesz do standardowego profilu - kontynuowała. - Nie jesteś nieudacznikiem ani człowiekiem przegranym. Nie ma śladów, żebyś potrzebował albo chciał więcej pieniędzy, niż wynosiły twoje zarobki. Szpiegowałeś dla Rosji, a nie jesteś Rosjaninem i nigdy nie uważałeś, żeby ich system polityczny był lepszy od naszego. To jak? Sprawisz mi przyjemność? Pomożesz mi zrozumieć?

Wcześniej maskował furję rozbrajającym uśmiechem. Ale nie tym razem. Wyczuwała jego napięcie, gorącą nienawiść w spojrzeniu.

- Po aresztowaniu musiałem o tym mówić bez końca. Miałem powody, ale to moja sprawa. - Wspomnienia przemknęły mu przez pamięć, nieszczęsne kamienie milowe dwuznacznej przeszłości. - Lata temu mój mentor powiedział mi, że agenci, którzy mają za wiele żalów, kończą martwi. Musiałem więc się z tym uporać. Ale po drodze zebrałem Mount Everest żalów. Możesz to interpretować, jak chcesz. Jest takie włoskie przysłowie, które mi się podoba. Po grze król i pionek trafiają do tego samego pudła. Wszyscy umieramy, bogaci i biedni, dobrzy, zli i obojętni. Ale przedtem możemy dokonywać wyborów. Ja ich dokonałem i teraz moja przyszłość jest ograniczona. Nie patrz tak na mnie. Taka jest rzeczywistość.

Zostałem przeznaczony do odstrzału przez ludzi, którzy stoją za Jerrym. Chcę, żeby moje życie znów miało znaczenie, ale może mi nie starczyć czasu.

- Chodzi ci o to, żeby twoje życie miało znaczenie dla ciebie?

- Zgadza się.

- To inna prawda.

- Owszem. - Jego gniew przygasał. - Nie zamierzam udowadniać, że jestem lepszy, niż o mnie myślą. Szczerze mówiąc, wolałbym, żeby cię tutaj nie było, chociaż pokazałaś, że potrafisz być pożyteczna. Ale jeśli się nie dogadamy, to będę musiał cię wyrzucić. Wtedy nasz dobry Jerry cię znajdzie i wykończy. Albo pozwolę ci zostać, coś się wydarzy i oberwiesz przy okazji, bo nie mogę ci zaufać do tego stopnia, żeby w pełni wytłumaczyć ci, o co tu chodzi. W ten sposób, ogródkami, mówię ci, że wolałbym, żebyś pracowała ze mną a nie przeciwko mnie. Przynajmniej dopóki nie wyleziemy z tego zamieszania. Jeszcze jedno zawieszenie broni.

Przypomniała sobie akta Tice'a, wszystko, czego się o nim dowiedziała. Nie tylko manipulował ludzkimi słabościami, ale używał ich jako zabójczej broni. Jego „ciepło i współczucie” były „bardzo przekonujące”, „okazywał głębokie zainteresowanie” swoim celem, aż cel zaczynał wierzyć, że „Tice się o niego troszczy”. Przyjaźń, ocena, rekrutacja.

Potem miał delikwenta na własność albo robił, co w jego mocy, żeby ten myślał, że tak jest.

Gdy tylko zapaliło się zielone światło, nacisnęła pedał gazu i wóz znowu pognął w ciemność.

Czas mijał. Czekwała cierpliwie.

- Prosisz o wiele - odezwała się wreszcie neutralnym tonem.

- Do cholery, Elaine! - wybuchnął. - Jeśli nadal myślisz, że mnie przyskrzynisz albo uciekniesz, żeby złożyć meldunek, to oszalałaś! Po pierwsze, możesz liczyć na kumpla Jerry'ego, jakąś podejrzaną figurę z rządu, a podejrzewam, że z Langley, która czeka na jakikolwiek kontakt z tobą. Po drugie, teraz za żadne skarby nie pozwolą ci przeżyć, nawet jeśli mnie przy tobie nie będzie. Za dużo widziałaś. Nie ma wyboru, muszą cię sprzątnąć. Oto przykra prawda: szkoda mi czasu na zajmowanie się jeńcem. Albo się dokładasz do interesu, albo wypadasz z gry. To jest jakaś większa afera. Naprawdę duża. Ktoś musi sprawdzić, o co w tym wszystkim chodzi!

- Nie mam zbyt wielu powodów, żeby ci ufać. - Prawie wyjeżdżali już za przedmieścia Fairfax Station. Byli na drodze do miejsca spotkania.

- Mogłem zostawić cię na łasce Jerry'ego w twoim domu. Albo sam cię sprzątnąć już dawno temu.

- No dobrze. Zróbmy próbę. Opowiedz mi o swojej ucieczce. Allenwood to forteca, więcej tam zabezpieczeń niż żadeł w ulu. Ale kiedy nawiałeś, nikt tego nie zauważył. Twoje dossier dowodzi, że zazwyczaj starannie obmyślasz i planujesz akcje. Ale w więzieniu byłeś sam, nie licząc rzadkich spotkań z adwokatem. Zaczynam podejrzewać, że znalazłeś tam jakiegoś anioła... albo raczej diabła.

Uniósł brwi.

- Kiedy działa się konspiracyjnie, nigdy nie wiadomo, kiedy przyda się parasol ochronny. Pewnego dnia twoje życie może od niego zależeć. Wiele lat temu założyłem małe konto numeryczne. Całkowicie tajne. Sugeruję, żebyś zrobiła to samo.

- Dysponujemy zdjęciami satelitarnymi Allenwood. Nie widać cię poza budynkiem.

- A, tak. Ale jeśli ktoś jednym susem przemieszcza się od drzwi magazynu do drzwi furgonetki, to wystawiony jest na obserwację z kosmosu tylko przez ułamek sekundy. A jeśli ten ktoś nosi do tego szoferską czapkę, nie podnosi alarmu.

Nachmurzyła się.

- Jest jakaś przyczyna, że uciekłeś właśnie wtedy, nie tydzień albo miesiąc później.

Niemożliwe, żeby chodziło ci o zdemaskowanie jakiegoś rządowego śmierzdźla albo wielkiej, nielegalnej transakcji, bo o niczym takim nie wiedziałaś. Żadne z nas nie wiedziało.

Śmierć syna Rainy Manhardt. To był zapłon. Ale ty o tym nawet nie wspomniałaś.



Ściągnął brwi. Jak się o tym dowiedziała?

- Zabrałeś ze sobą pierwszą stronę z „Herald Tribune” - wyjaśniła. - Tylko pierwszą stronę. Był tam artykuł, który można było powiązać z tobą.

Jezu. Niewiele pominęła.

- Okay, częściowo masz rację. Poznałem ją w Berlinie i spodobał mi się jej syn.

Podejrzewam, że jego śmierć na nartach nie była przypadkowa.

- Podejrzewasz? Daj spokój, Jay. Jeśli mam wziąć udział w grze, to pierwsza reguła brzmi: gramy na równych zasadach. Nie ukrywaj niczego. Chcę wiedzieć wszystko, co ty wiesz, dedukujesz albo się domyślasz. Potrzebuję bardzo wielu naprawdę ważnych przyczyn, żeby związać swój los z losem zdrajcy. Opowiedz mi o Rainie Manhardt.

- Zaraz, oczekujesz ode mnie czystej gry? - wypalił. - Więc teraz twoja kolej. Wymiana.

Opowiedz mi o swoim mężu i dlaczego zaczęłaś sprawiać kłopoty po jego śmierci.

Zesztywniała.

- O ile pamiętam, był w wydziale specjalnym - ponaglił.

Elitarny oddział paramilitarny CIA potrafił szybciej dotrzeć na miejsce akcji niż wojskowe siły specjalne. Zaledwie w dwa tygodnie po jedenastym wrześniu wszedł

niepostrzeżenie do Afganistanu. Z baksami w sakwach i wielkimi stalowymi walizami jeździli konno i w wielkich zardzewiałych ciężarówkach po bezdrożach, szukając plemiennych watazków, a potem wymieniali stopy pieniędzy za informacje o pozycjach wrogich oddziałów, uzbrojeniu, liniach komunikacyjnych i strukturach dowodzenia. Odnieśli godny podziwu sukces. Zwilżyła wargi.

- Tak. Był funkcjonariuszem oddziału paramilitarnego. - W jednej chwili przeniosła się myślami w koniec listopada 2001 roku. Śnieg leżał na stromych stokach Tora Bora. Żyłasty i poważny Rafe siedział z gromadką afgańskich żołnierzy obok rozbitego sowieckiego czołgu T-55. Z gęstą brodą wyglądał jak jeden z nich, wełnianą czapczką - pakol - ściągnął

zawadiacko na jedno ucho tak jak oni. Ale kiedy ją zobaczył, na jego osmaganej wiatrem twarzy pojawił się uśmiech, który zmienił szary, zimny dzień w lato. Powiedział jej wszystko, co chciała wiedzieć. Przybyła dopiero co, żeby wziąć udział w polowaniu na Osamę bin Ladena. Nabrała głęboko tchu. - Tego dnia, kiedy dotarłam do Tora Bora, złapaliśmy mudzahedina, który twierdził, że był kucharzem bin Ladena. Opisał jaskinię, w której zaszył

się Osama. To, co mówił, zgadzało się z naszymi informacjami, a jaskinia znajdowała się zaledwie o pół dnia drogi, ale jeniec stwierdził, że bin Laden zamierza przenieść się o zmierzchu. Zostało nam tylko kilka godzin. Więc powiedziałam Rafe'owi i Afgańczykom, żeby ruszali. Ja postaram się o wsparcie sił specjalnych. Wtedy w pobliżu nie było dowódcy starszego stopniem od podpułkownika.

Pokiwał głową.

- Pamiętam.

- Pojechali konno. Kapitan sił specjalnych chciał wysłać wsparcie, ale nie miał

rozkazów, więc musiał zapytać podpułkownika, a ten poszedł do naczelnego dowództwa. Nikt nie kwapił się z podjęciem decyzji. Kiedy wrzeszczałam na nich, żeby pomogli Rafe'owi, od strony Pakistanu nadleciały dwa rosyjskie śmigłowce i wylądowały w pobliżu jaskini. Po kilku minutach wystartowały i wróciły tą samą drogą - załadowane ludźmi. Przez radio powiedziałam Rafe'owi, że jest już za późno; mówiłam, żeby wynosił się stamtąd do diabła, ale naskoczyło na nich stu ludzi al-Kaidy. Przez radio słyszałam ogień broni automatycznej.

To było... straszne. Potem Rafe został postrzelony. Bardzo cierpiał, ale wytrzymał

wystarczająco długo, żeby mi przekazać, co mówili mudżahedini: że torturowaliśmy kucharza, aż zaczął mówić, ale bin Laden nam uciekł, bo Allah dał mu skrzydła. - Jakby kawałek szkła utkwił jej w gardle. - Rafe cofał się, kiedy znów został postrzelony. Ta kula go zabiła.

Wszyscy nasi afgańscy sojusznicy też zginęli.

- A ty obiecałaś, że załatwisz wsparcie.

Nic nie odpowiedziała. Jechała z podniesioną głową, łzy spływały jej po policzkach.

Przypomniał sobie o pudełku z chusteczkami. Pogmerał i wyciągnął je spod fotela.

Chwyliła kilka i wytarła sobie twarz.

- Myślisz, że to któryś z żołnierzy Sojuszu Wschodniego ostrzegł al-Kaidę? - zapytał.

Wytarła nos.

- Afgańczycy często zmieniali strony, więc tak, myślę, że to możliwe. Gdyby dowództwo dało nam wsparcie, pewnie dopadlibyśmy bin Ladena. A kucharza nikt nie torturował. Daliśmy mu jeść. Odcieśliśmy im dostawę zaopatrzenia, więc był głodny.

Tice milczał. Oczy miała opuchnięte i czerwone. Wyglądała na wyczerpaną i straszliwie smutną. Popatrzyła na niego z ukosa, jakby chciała się przekonać, czy nie ma jej dosyć. Ich spojrzenia się spotkały. Niespodziewanie oboje poczuli się bezbroni. Trwało to tylko chwilę, ale obnażyli się przed sobą do bólu.

Szybko odwrócili wzrok.

Siedział bez ruchu, wytrącony z równowagi. Coś ty zrobił? - te słowa pojawiły się w jego głowie, zanim zdążył je powstrzymać. Zawsze te same oskarżenia. Marie. Mariette.

Aaron. Kristoph. Nie mógł się zmusić, żeby na nią popatrzeć.

Cisza się przedłużała. Wreszcie się odezwał.

- To była arogancja z twojej strony, wysłać ich po bin Ladena, ale ostatecznie sami się zdecydowali pójść bez wsparcia. Wykazałaś się pewnością siebie i zdolnością określenia zadania do wykonania. Zrobiłaś, co należało. A teraz przed tobą kolejna trudna decyzja.

Wiesz, że musimy nawzajem sobie zaufać.

Samochód zrobił się dla niej za mały, doznała uczucia klaustrofobii. Udaje „ciepło i współczucie”. Ale tak naprawdę jest obojętny. Zahamowała, gdy zbliżali się do świateł. Przed nimi, po jednej stronie czarnej szosy, rozciągały się pola uprawne z kępami drzew pokrytych liśćmi. Odczytała nazwę skrzyżowania i ukryła chłodny uśmiech. Znajdowali się zaledwie piętnaście kilometrów od ludzi z Langley.

\*

- To oni! - Rink rąbnął triumfalnie w kierownicę. Włączył silnik bmw. - Patrz! Widać jaguara jasno jak za dnia. Mamy ich teraz!

Jerry Angelides siedział spięty; z podniecenia czuł ciarki na skórze. Dwa kołty - swój i Billy'ego - trzymał na kolanach. Miał głupie uczucie, jakby wiosenne słońce spaliło mu skórę.

Kiedy zapalą się czerwone światła i jaguar stanie, będą mogli ostatecznie dokonać identyfikacji. Sprawy szły coraz lepiej. Jego cztery samochody czekały w pogotowiu.

Zapaliło się zielone światło, jaguar przyspieszył. Angelides rzucił polecenie:

- Nie zgub jej, ale nie podjeżdżaj za blisko!

Rink nacisnął pedał gazu. Kiedy ruszyli za jaguarem, Angelides zadzwonił z komórki.

Przełączy rozmowy z samochodami na tryb konferencyjny, żeby koordynować atak.

**Miami, Floryda.**

Odrzutowiec falcon 2000 wylądował z lekkim wstrząsem. Martin Ghranditti wyglądał

przez okno na efekciarskie, nocne Miami. Nieomal czuł woń gajów mangowców i migdałowców w słonym powietrzu. Przypominały mu zapach jego kobiety, jedynej, którą naprawdę kochał, zmarłej prawie przed dwudziestu laty. Oskarżano go, że nie ma serca, ale ją przecież tam nosił, otuloną wspomnieniami, z aureolą platynowych włosów. Kiedy odgłos silników opadł do dudnienia i samolot jechał po płycie lotniska, Ghranditti poczuł jej elektryzujący dotyk. Odpiął pas i chwiejnym krokiem ruszył do baru. Armand pojawił się znikąd.

- Jak zwykle grey goose, sir? - Miał sześćdziesiąt lat, był średniej budowy ciała, miał

skwaszony wyraz twarzy i nosił wąsiki tak gładkie, że wyglądały jak namalowane na jego ziemistej skórze. Odzywał się z szacunkiem jak lojalny służący czekający na rozkazy.

Czasem Ghranditti zastanawiał się, co Armand naprawdę myśli, co oni wszyscy myślą.

Ale tego wieczoru niewiele go to obchodziło.

- Tak. Z lodem. - Usiadł na pluszowej kanapie z przodu kabiny. Nie zapiął pasa. Toczyli się w stronę hangaru.

Wódka została przyniesiona, dłoń Armanda wyciągnęła boczny stolik, ustawiła na nim szklaneczkę i znikła. Ghranditti podniósł szkło i się napił. Lubił ten lekki, czysty zapach.

Więcej, lubił wybuchowość tego smaku. Wódka lekko rozgrzała mu wnętrze. Głęboko nabrał

powietrza. Był w nostalgicznym nastroju. Z wiekiem coraz bardziej pozwalał sobie na drobne przyjemności, których nie pochwalał.

Znów się napił, opłakując zimną wojnę. To była jego epoka. Cudowne czasy. Tęsknił za nimi. Patrząc w szklanekę, poczuł przypływ smutku. Potem wspaniały, stary Związek Radziecki zmienił się w biedną Nową Rosję - skład broni dla świata, gdzie wszystko było na sprzedaż. A co najgorsze, Rosja i Stany Zjednoczone przestały finansować wojny lokalne, co dobiło mały, ekskluzywny klub największych handlarzy bronią, do którego i on należał. W

interesach zapanował chaos. Każdy mógł pojechać do Europy Wschodniej z certyfikatem zaświadcającym, że jest ostatecznym odbiorcą, i zawierać transakcje. W rezultacie nowe pokolenie zrobiło się aroganckie i głupie. Niby łatwo zarabiali na tych swoich mizernych interesikach i umieli korzystać z najnowszych osiągnięć techniki, wysyłając pocztę elektroniczną i wchodząc na strony internetowe, ale nie potrafili odróżnić „igły” bojowej od treningowej atrapy.

Mimo to ciągle był krok za nimi. Antyk, dinozaur. Napełniało go to takim niesmakiem, że w końcu

przeszedł na emeryturę. Podobnie jak inni tytani zimnej wojny zniknął z radarów.

Zastanawiał się, czy pozostali też tak nienawidzili nowego porządku jak on.

Kiedy wyrzwał przez okno, samolot stał już w hangarze. Osuszył szklanę. Najbardziej chciał teraz pójść do domu, spotkać się z rodziną, ale najpierw musi odbyć rozmowę z klientem.

Wyszedł na schodki. Smród ropy i potu wisiał w wilgotnym powietrzu. Ghranditti wyprostował się na całą wysokość. Poczul chęć działania. Spojrzał na dół - stał tam wysoki, schludny mężczyzna z artystycznie potarganymi włosami, trzymający w prawej dłoni torbę na zakupy ze sklepu z zabawkami. Nie nosił brody, ubrany był w szyty według zachodniego stylu garnitur z marynarką zapinaną na dwa guziki. Na wielkim nosie miał modne okulary w drucianej oprawce. Okulary były punktem centralnym, który miał odwracać uwagę od płaskich policzków i ostrych, kanciastych rysów twarzy emanujących dziką siłą. Nawet Ghranditti uważał ją za niepokojącą; między innymi dlatego w kaburze naramiennej nosił ze sobą berettę kaliber 9 milimetrów. Klient nazywał się Faisal al-Hadi.

- *Salam alejkum, sajed Faisal.* - Niespiesznym krokiem Ghranditti zszedł ze schodków, nie trzymając się poręczy.

- *Alejkum assalam, sajed Martin* - odparł uprzejmie al-Hadi. - *Izzayak?*

- Dziękuję, czuję się dobrze - kontynuował Ghranditti po arabsku. Dwaj jego ochroniarze stali w odległości kilkunastu metrów, trzymając M-4 klienta i pistolet. Za nimi czekała opancerzona limuzyna Ghrandittiego z otwartymi tylnymi drzwiami. - Mam nadzieję, że pojedzie pan ze mną. Z przyjemnością podrzucę pana do hotelu. - To już było postanowione, ale taka forma grzecznościowa pomagała utrzymać pozory przyjaźni. W

biznesie, podobnie jak w polityce, nie było przyjaciół, tylko interesy.

Wsiedli do czarnego wozu. Ghranditti lubił towarzystwo islamskich terrorystów z najwyższych kręgów. Byli inteligentni, śmiertelnie groźni i protekcyjnalni ponad miarę. Ale przecież ich umysłowość przypominała obóz warowny.

Limuzyna ruszyła i klimatyzacja zaczęła nawiewać chłodne powietrze. Ghranditti skinął głową w stronę torby na zakupy ze sklepu z zabawkami.

- Widzę, że przyniosłeś zapłatę.

- Tak, Martinie. A kiedy dokładnie prześlesz towar? - Wzrok Faisala al-Hadiego był surowy jak spojrzenie imama.

- Jutro wieczorem. Telefonicznie przekażę dokładny czas i miejsce.

- Trudno nam było zdecydować się na zapłacenie kolejnej raty bez zabezpieczeń.

- I dlatego robicie interesy z Martinem Ghrandittim - powiedział swobodnie. - Moje warunki pozostały niezmienione od lat. Jeśli coś pójdzie nie tak z mojej winy, gwarantuję pełny zwrot gotówki.

Na ustach al-Hadiego zaigrał nikły uśmiech.

- Sporo czasu minęło, odkąd ostatni raz słyszałem od ciebie te słowa.

- Czasy się zmieniają. Kraje się zmieniają. I gracze się zmieniają, ale na broń zawsze jest popyt. Byłem znużony.

Al-Hadi się roześmiał. Za szklami okularów pojawił się na moment wyraz zdziwienia, jakby muzułmanina krępował ten objaw humoru.

Ghranditti też wybuchnął śmiechem.

- Ach, ten twój głód przygody - kontynuował protekcjonalnie. - Na pewno robisz to, bo postanowiłeś wrócić na drogę Allacha.

- Ja też mam misję. Wy próbujecie eksportować religię. Ja próbuję ocalić ludzkość.

Al-Hadi spoważniał.

- Sprzedając broń i skradzione towary rządowe?

- To terapia wstrząsowa, ogromna dawka realizmu. Inaczej pewnie wszyscy byście się nawzajem pozabijali. I tak nasza planeta zmierza ku zagładzie, prawda?

- A tymczasem ty się coraz bardziej bogacisz - powiedział sarkastycznie al-Hadi. - Och, wiem. Nadal działasz w szarej strefie. Pozostajesz anonimowy, posługując się zdalnymi transferami, spółkami przykrywkami i zagranicznymi rachunkami bankowymi. Nigdy nie ryzykowałeś życia na wojnie. Nigdy nie musiałeś patrzeć w oczy rodzicom muzułmanom, których dzieci zabiła twoja broń. Służący cię rozpieszczają. Rządy chronią. Kiedy dokonamy już transakcji, znikniesz jak złoty cień w luksusach.

Ghranditti się opanował. Przywódcy terrorystów, tacy jak al-Hadi, nakazują wiernym, żeby żyli jak w dawnych czasach, a sami latają jumbo jetami i korzystają ze stron internetowych, żeby łowić rekrutów i planować zamachy. Ich największym źródłem dochodów są narkotyki. Najwięcej pieniędzy wydają na broń. Ich dominującym partnerem zarówno w sferze dochodów, jak i wydatków jest Ameryka.

Ghrandittiego martwiła dwulicowość tego człowieka.

- Pieniądze utrzymują świat w ruchu - powiedział łagodnie. - Terroryzm to wielkie przedsięwzięcie, trzykrotnie przekraczające budżet Stanów Zjednoczonych. I ciągle się rozrasta. Obaj wiemy, że to pieniądze przyciągają do was uwagę, której tak pragniecie. Bo po co bralibyście na cel World Trade Center? Po co przymierzalibyście się do innych newralgicznych ośrodków światowych finansów?

Al-Hadi nic nie powiedział.

Ghranditti zrozumiał, że być może posunął się za daleko. Złagodził ton.

- Przebyliście długą drogę od naszego pierwszego spotkania. Od pierwszej broni, jaką ode mnie kupiliście. Prawie dwadzieścia lat temu. Pamiętasz?

- Nigdy nie zapomnę. - Czarne jak antracyt oczy al-Hadiego mrugały powoli. Była to jedyna oznaka, że jest wściekły. - Jay Tice nam dopieprzył. Potem „uratował” mnie, aranżując wymianę. Chyba powinienem mu być wdzięczny. W końcu żyłem, żeby zabić wielu Żydów.

Wielu niewiernych.

Ghranditti odwrócił wzrok. Żywo sobie przypominał, jak Jay Tice i jego zespół agentów odkryli szczegóły wielkiej dostawy dla al-Hadiego. Ghranditti stracił wtedy małą fortunę. To był pierwszy taki przypadek - i ostatni.

Pojawiły się oświetlone kolorowymi światłami wieżowce - zbliżali się do centrum biznesowego Miami.

- Wkrótce dotrzemy do twojego hotelu - oznajmił Ghranditti. - Czy pozwolisz, że zerknę teraz na pieniądze? Nie, żebym ci nie ufał. - Wyjął z kieszeni wydruk z listą zrealizowanych dostaw.

Al-Hadi wziął kartkę i podał mu torbę ze sklepu z zabawkami.

- Masz jakieś problemy z dostawą czegoś z listy? - zapytał niedbale.

Ghranditti poczuł ostrzegawczą szpilę.

- Wszystko idzie zgodnie z planem. Mamy miniaturowe komputery, landflyery, sondy.

- Nie wspomniałeś o oprogramowaniu.

- Po prostu zapomniałem. A co?

- Skoro wraca wielki Ghranditti, spodziewam się po nim tylko perfekcji - powiedział

neutralnym tonem.

Kiedy al-Hadi czytał, Ghranditti otworzył torbę i wyjął małe metalowe pudełko. Uniósł

wieczko. Wyraz twarzy mu się nie zmienił, ale serce zaczęło szybciej bić. We wpadającym do wnętrza świetle reflektorów przejeżdżających samochodów błyszczały, mrugały i eksplodowały srebrną i niebieską poświatą setki nieoszlifowanych diamentów. Pełen podziwu włożył w nie palec i zamieszał. Diamenty były chłodne, twarde i piękne jak życie.

- To mnie zadowala - powiedział wreszcie.

Al-Hadi zirytowany podniósł wzrok.

- Diamenty warte pół miliona dolarów zaledwie cię zadowolają?

- Ach, satysfakcja to wszystko, co można mieć, prawda?

W pobliżu Sheratona limuzyna zatrzymała się na skrzyżowaniu, blokując przecnicę.

Dwaj ochroniarze Ghrandittiego natychmiast wysiedli z bronią w ręku. Twardym wzrokiem przyjrzeni się samochodom i nielicznym przechodniom, po czym znikli w ciemnej alejce.

Kierowca wysiadł i podbiegł, żeby otworzyć al-Hadiemu drzwi.

Arab postawił stopę na betonie, ale odwrócił się do Ghrandittiego.

- Tice nadal jest w więzieniu?

- Tak, oczywiście - skłamał gładko Ghranditti. - Dlaczego pytasz?

- Już dawno powinieneś go zabić.

Ghranditti ze zrozumieniem pokiwał głową i popatrzył za odchodzącym terrorystą.

Kierowca wrócił na swoje miejsce. Dwaj ochroniarze usiedli obok niego. Limuzyna ruszyła.

Ghranditti rozparł się i uśmiechnął szeroko do siebie. Al-Hadiemu powiedział prawdę o powodach, dla których zajął się swoją profesją. Ale była jeszcze jedna przyczyna: wiadomość o ich niezwyklej transakcji w końcu wyjdzie na światło dzienne - za pół roku, za dwa lata.

Taki powrót na scenę odbuduje reputację wielkiego Martina i nawet banda młodych, chciwych amatorów będzie musiała się z nim liczyć. Odzyska chwałę najlepszego handlarza bronią. A chwała jest nieśmiertelna. Chciał jej, zasługiwał na nią, tylko ona się liczyła.

Ghranditti wiedział, że teraz pojawiły się nowe problemy. Korzystając z informacji od Laurence'a Litchfielda, wysłał Jerry'ego i jego ludzi, żeby urządzili zasadzkę na Jaya Tice'a i Elaine Cunningham.

Limuzyna przejechała przez Groblę Mac Arthura i znalazła się na Miami Beach, najdroższym na świecie skrawku ziemi. Od wschodniej strony wznosiły się nad plażą porcelanowo-złote, nowoczesne hotele, z których sływał ten kawałek oceanicznego wybrzeża.

Droga prowadziła na południe. Wkrótce pojawiły się wzdłuż niej wysokie żywoploty i pastelowe ściany. Ozdobne bramy, będące w istocie naszpikowanymi elektroniką barykadami, blokowały podjazdy. Za nimi stały pałace godne książąt.

Dojechali do śródziemnomorskiej willi Ghrandittiego. Uzbrojeni strażnicy i elektroniczne systemy bezpieczeństwa dawały mu poczucie spokoju. Za wszelką cenę bronił



żony i dzieci. Wielkie wrota otworzyły się i limuzyna wjechała do środka. Odetchnął i się odprężył. Przy ganku podbiegł Karl i otworzył drzwi. Ghranditti wysiadł i wszedł do imponującego holu. Marmurowa posadzka tworzyła półkole. Pod ścianami stały antyki, których mogło pozazdrościć każde muzeum. Tropikalne rośliny i kwiaty w donicach przydawały temu miejscu aury naturalnego piękna, łagodząc surową architekturę.

- To ty, Martinie? - zawołała żona z biblioteki. - Chodź, napijesz się ze mną. Myślałam, że wrócisz wcześniej.

- Najpierw zajrzę do dzieci.

Wszedł na górę po marmurowych schodach. Lśniąca, złota balustrada wiła się na przestronne piętro. Kupił tę willę dziesięć lat temu, kiedy się ożenił. Mieli troje dzieci -

pierwszy przyszedł na świat syn, potem córka i kolejny syn. Liczba doskonała. Kupił dla nich domy także w Rzymie, Londynie, Sun Valley i Saint Moritz. A dziś rano dobił targu o wyspę.

Nacisnął klamkę w drzwiach do sypialni Aarona i wszedł do środka. Chłopiec spał z nosem wciśniętym w poduszkę. Ghranditti uśmiechnął się pełen dumy. W wieku dziewięciu lat Aaron porzucił zabawy wypchanymi zwierzątkami na rzecz wszystkiego, co miało koła.

Tego wieczoru zaborczo obejmował czerwony wóz strażacki. Ghranditti przez chwilę myślał o tragedii świata, którą chłopak odziedziczy, jeśli nie nastąpi radykalna zmiana. Przesunął lekko palcami po zmierzwionej czuprynie Aarona. Poczował się do odpowiedzialności za niego, za nich wszystkich. I to bardzo.

Potem odwiedził Mariette. Była mała jak na swoje siedem lat. Leżała zwinięta wśród lalek. Masa kręconych czarnych włosów kłębiła się na różowej poduszce. Obok leżała otwarta książka. Nad wiek rozwinięta dziewczynka czytała już od czwartego roku życia. Dziś wieczór wzięła swoją ulubioną lekturę - *Dear Rat* Julii Cunningham. W powietrzu czuć było olejek do opalania i kwiaty pomarańczy.

Wreszcie poszedł do pokoju dwuletniego Kristopha. Chłopczyk awansował już z kołyski do łóżeczka, które bardzo mu się spodobało. Rama wystylizowana była na śmieszny samochód wyścigowy. Wokół szyi owinięty miał poszarpany kocyk. Leżał na boku, ssąc przez sen palec. Ghranditti uklęknął i ostrożnie wyprostował kocyk, okrywając nim ramiona dziecka. Ucałował ciepłe czoło Kristopha.

Wyszedł ogarnięty spokojem. Po grubym dywanie ruszył na dół.

Armand właśnie wychodził z biblioteki, wyglądał na zadowolonego z siebie. Ghranditti ściągnął brwi.

Armand zobaczył, że jego pan jest niezadowolony.

- Madame powiedziała, że mogę odejść, sir - wyjaśnił. - Czy mógłbym coś dla pana zrobić? - Zniżył głowę w służalczym ukłonie. - Co pan tylko sobie życzy.

Ghranditti odprawił go pstryknięciem palców. Poszedł na spotkanie z żoną Marie.

# 24.

## Na drodze, Wirginia.

Jaguar jechał wśród wiejskich, nocnych krajobrazów. Powietrze ciężkie od zapachów świeżo zoranej ziemi i kwitnącej roślinności wpadało do środka przez otwarty szyberdach.

Tice spojrział na Cunningham. Nie zareagowała. Musiał szybko zdecydować o jej losie.

- Teraz rozumiem, dlaczego spartaczyłaś operację w Rzymie.

Spięła się.

- Mój wielki błąd polegał na tym, że zgodziłam się pracować z idiotą. - To było jej ostatnie zadanie. Potem Langley sprowadziło ją na parking i kazało chodzić na otepiające seanse do psychoterapeutów.

- Masz rację - przyznał Tice. - Facet był głupi.

Rzuciła mu zaskoczone spojrzenie.

- Miałaś znaleźć szpiega al-Kaidy, który stracił kontakt ze swoimi ludźmi, prawda?

Razem z partnerem go zlokalizowaliście, więc zadzwoniłaś po drużynę łapaczy. Ale twój partner nie chciał czekać.

- Poświęciliśmy mnóstwo czasu, żeby znaleźć tego gościa. Zajęło to nam całe tygodnie.

- Więc kiedy chciał sam zabawić się w łapacza, stuknęłaś go i związałaś. Napisał skargę.

Uśmiechnęła się.

- Tak, ale nadal żyje.

Pokiwał głową.

- Miał szczęście, że nie zabrakło ci odwagi, żeby postąpić rozsądnie. - Obejrzał się za siebie, potem wyprostował z niepokojem, ściskając mocniej browninga. - Chyba ciągnie się za nami ogon. Podjeżdża po raz trzeci. Wygląda na duży wóz. Ma nowe niebiesko-białe reflektory.

Spojrzała w lusterko wsteczne.

- Rzeczywiście.

- Widzisz coś więcej?

Zmarszczyła brwi i znów zerknęła.

- Niestety, nie.

Energicznie skinął głową, dziwiąc się, jak też mogła coś takiego przegapić.

- Dalej jest drugi samochód. Ale coś mi się zdaje, że zaczyna doganiać ten pierwszy.

- Może to jakieś dzieciaki się zabawiają.

- Pewnie tak - powiedział neutralnym tonem.

Spojrzała przed siebie.

- Przed nami jest skrzyżowanie. Ale jeszcze dość daleko. Jak tam dojedziemy, skrećę w lewo. To ich zmusi do zrobienia szerokiego łuku, jeśli naprawdę nas śledzą. Lepiej ich sobie obejrzymy.

- Dobry pomysł.

W zasięgu wzroku nie było widać zabudowań. Otaczała ich bezkresna, otwarta przestrzeń miejscami usiana kępami czarnych drzew. Ogarnęło go uczucie samotności, jakby znalazł się gdzieś daleko, w bezludnym kraju.

Znów się obejrzał.

- Drugi samochód podjechał bliżej. Jedzie pierwszemu na zderzaku. Utrzymują tę samą szybkość, co my. Dodaj gazu. Zobaczymy, co zrobią.

Nacisnęła pedał. Nie minęły dwie minuty i dwa śledzące ich samochody nadrobiły stracony dystans i znów jechały w równej odległości za jaguarem.

- Widzisz? - zapytał.

Oczy miała szeroko otwarte.

- Jedziemy jak karawana. Niedobrze.

- Dojeżdżamy do skrzyżowania.

Pół kilometra dalej drogi się przecinały. Dwie lampy drogowe rzucały słabe światło na pofałdowane, ciemne pola. Nadal nie było domów, innych samochodów, nawet koni i krów.

Spoglądał to na auta z tyłu, to przed siebie. Szybko zbliżali się do skrzyżowania.

- Trzymaj się - powiedziała spiętym głosem.

Mocno wcisnęła hamulec i szybko skreśliła w lewo na asfaltową szosę. Droga była wąska, bez linii środkowej i poboczy. Elaine znów spojrzała w lusterko wsteczne.

- Drugi samochód objął prowadzenie; może żeby nas zmylić - powiedział Tice. Ale kiedy auto

wyjechało zza zakrętu, rozpoznał smukłe linie i lśniący, czarny kolor. - Cholera jasna! - Nie patrząc, wyciągnął się sauera. - To czarny lincoln, który ścigał nas na autostradzie. - Patrzył, jak zza zakrętu wyłania się drugi wóz. Znow głośno zaklął. - Ten z niebiesko-białymi światłami to bmw Jerry'ego!

- Co? - zapytała podniesionym głosem. - Jak nas znaleźli? Jesteś pewien, że to oni?

Popatrzył na nią i wetknął się sauera za pasek.

- Jestem pewien jak cholera. Nie rozpoznaję twarzy, ale zdaje mi się, że w każdym wozie jest po dwóch ludzi.

Przyspieszyła do stu kilometrów na godzinę, próbując zrozumieć, skąd wziął się tutaj Jerry. To niewiarygodne. Ale ludzie z CIA musieli znajdować się gdzieś blisko. To był

umówiony odcinek drogi, miejsce, gdzie mieli odegrać teatr. Patrzyła gorliwie przed siebie, ale nie zobaczyła innych wozów.

Bmw i lincoln wyrównały szybkość i znow jechały za jaguarem. Złapała kierownicę tak mocno, że zabolą ją ręce. Gdzie ludzie z Langley!?

- Chcę ich zostawić w tyle - rzuciła. - Jest na mapie jakieś miejsce, gdzie można zrobić unik i się schować?

- Sprawdź. - Wyszarpnął mapę ze schowka i włączył małe światelko nad głową.

Docisnęła pedał gazu do podłogi. Siła przyspieszenia wbiła ich w fotele. Dociągnęła do stu dwudziestu. Opony zaśpiewały.

Samochód prawie frunął. Tice podniósł mapę do oczu.

Sto czterdzieści, sto pięćdziesiąt. Kępy drzew rozmazywały się w niewyraźne plamy. W

lusterkach zobaczyła, że ścigający próbują utrzymać tempo. Sto sześćdziesiąt. Oddychała głęboko, próbując uwierzyć w niezmożoną siłę jaguara i swoje zdolności rajdowe. Zakręcająca w oddali asfaltowa droga wydawała się cienka jak igła.

- Nie widzę żadnych możliwości na odcinku co najmniej dziesięciu kilometrów -

powiedział ponuro Tice.

- Przed nami są jeszcze dwa wozy. - Nareszcie Langley! Patrzyła z nadzieją przez przednią szybę. Wozy z naprzeciwwka pędziły w ich stronę zza zakrętu, ich reflektory rzucały blask między sosnami.

Okazało się, że też tworzą tandem, utrzymując między sobą niezmienną odległość.

- Jadą blisko siebie. Chyba mają jakiś plan. - Spoglądał to w tył, to w przód, śledząc obie pary samochodów.

Ona robiła to samo.

- O, mój Boże - powiedziała suchym szeptem. - Patrz.

Odwrócił się błyskawicznie - dwa auta z przodu ustawiły się bok w bok i pędziły w ich stronę na oślepiających długich światłach. Na tej drodze nie było poboczy. Kończyła się jak nożem uciął na chwastach, trawie i krzakach. Jaskrawe światła stawały się coraz większe, coraz bardziej oślepiające. To był atak.

Tice odwrócił się i spojrzał w tył.

- Teraz kolej na bmw.

Czarny wóz elegancko zajechał z boku i ustawił się obok lincolna, tworząc drugą pędzącą ścianę metalu i szkła. Te wozy też włączyły długie światła, rozpraszając ciemność.

Oba zespoły nieubłaganie zbliżały się do jaguara.

- Teraz mamy odpowiedź - mruknął Tice. - Dlaczego przez tak długi czas śledził nas tylko jeden wóz. Dlaczego Jerry nie spróbował wcześniej. To jest ich plan. Zastawili pułapkę.

Poczuła strach, potem oburzenie. Przestań się okłamywać, wrzasnęła na siebie w duchu.

Laurence Litchfield przeprowadził z nią rozmowę, zanim zlecił jej to zadanie. Dowodził

Chartem. Chart próbował ją sprzątnąć. Chart próbował sprzątnąć Tice'a. Wrobiono ją od samego początku. Jedynymi ludźmi, którzy stawili się na umówione spotkanie, był Jerry i jego zespół od mokrej roboty.

Tice położył jej walthera na kolanach.

- Bez zobowiązań.

- Co możemy zrobić? - Z trudem kontrolowała emocje. Matowy metal pistoletu lśnił

kuszaco. Odczuła głęboką wdzięczność.

- Jerry czuje już smak zwycięstwa, więc nie jest nazbyt czujny. Wprowadził do gry wielu żołnierzy, ale to może mu utrudnić wykonanie zadania. To groźne, ale miejskie opryszki. Oto nasze atuty. Widzisz drzewa przed nami?

\*

Rink nachylił się nad kierownicą.

- Teraz ich dopadliśmy!

Jerry już miał pokiwać głową.

- Cholera! Co się dzieje, do diabła?

Jaguar z piskiem nagle się zatrzymał. Stał na drodze jak kupka rozżarzonych węgli.

- Poddają się! - stwierdził wesoło Rink.

- Akurat! Nie Tice. Coś knuje. Podjedź szybciej! - Rink nacisnął gaz, a Jerry warknął do komórki. -  
Blżej! Blżej!

Tylne światła jaguara zgasły. Angelides wyęczał wzrok, żeby zobaczyć, co tamci robią.

Nie zapaliło się światelko wewnątrz. Przednie drzwi otworzyły się i zamknęły tak szybko, że ledwie zobaczyli ruch.

- Jerry! - krzyknął Rink.

- Widzę ich!

Dwa cienie wyslizgnęły się i zbiegły z drogi między drzewa rosnące na polach. Rink skręcił kierownicą i z piskiem opon zatrzymał bmw dwadzieścia metrów od milczącego jaguara. Reflektory miał skierowane na las. Po kilku sekundach obok nich pojawił się lincoln. W oślepiającym świetle reflektorów widać było korę na pniach drzew, ale głębia lasu pozostawała nieprzenikniona, czarna.

Między drzewami nic się nie poruszało; ani śladu Tice'a i Cunningham. Ale kiedy Jerry i Rink otworzyli drzwi, kule uderzyły w karoserię ich wozu. Obaj zatrzasnęli drzwi i zostali w środku. Schylili się, a bmw zatrzęsło się i opadło.

- Cholera! - ryknął Rink. - Przestrzelili opony!

Jerry zaczął się wściekać.

- W lincolnie też przestrzelili. Kule lecą z dwóch stron. Teraz wiemy na pewno, że Cunningham potrafi strzelać.

- Jak, do cholery, stąd wyjedziemy!

- Jaguarem - rzucił niecierpliwie Jerry. - Załatwimy ich, a potem weźmiemy ich wóz. -

Po chwili krzyknął przez komórkę: - Między drzewa, już!

Ale kiedy Jerry i trzej jego ludzie wyskoczyli z wozów i pobiegli, znowu zaczął się ostrzał. Kule uderzały w metal, wgryzały się w asfalt. Ludzie szukali osłony. Tymczasem samochody, które nadjechały z naprzeciwka - oldsmobile i drugi lincoln - zatrzymały się w pobliżu, także kierując reflektory na las. Pomiedzy drzewami znów rozpętała się burza ognia.

Opony nowo przybyłych wozów poszły w strzępy.

- Niech cię cholera, Tice! - ryknął Jerry. - Dopadnę cię za to. Już ja ci dam!

Nagle zapadła cisza. Noc była spokojna, bezwietrzna. Napięcie sięgało zenitu. Jerry wyężając wzrok, patrzył w las. Nasłuchiwał. Wreszcie odgłos otwieranych drzwi wozów zakłócił ciężką ciszę.

- Chłopaki wysiadają - wyszeptał Rink. - Pewnie doszli do wniosku, że jest bezpiecznie.

Jerry kiwnął głową. Po asfalcie zadudniły kroki biegnących. Kiedy czterej mężczyźni zatrzymali się przy Jerrym i Rinku, między drzewami pojawił się ruchomy cień i zniknął w lesie.

- To oni! - Jerry dźgnął palcem. - Zapamiętajcie to miejsce. Walt, weź swoich ludzi i zajdźcie od tyłu. Odetnijcie ich. - Skinął ręką. - Reszta pójdzie na wprost. Ruszać się!

\*

Tice stał obok wielkiego orzechowca. W jednej ręce trzymał browninga, w drugiej kamień wielkości pięści. Sig sauera włożył z powrotem do kabury na ramieniu. Opływał

potem. Las był pełen cieni.

Ściszone przekleństwa świstały między drzewami. Miejscy rewolwerowcy potykali się o korzenie i nadziewali na nisko rosnące gałęzie. Mieli sporo kłopotów, ale nie zmniejszało to śmiertelnego niebezpieczeństwa, które ze sobą nieśli. Odwrócił się, śledząc grupę, która okrążała go od lewej, stosując tradycyjny manewr oskrzydający. Wykorzystywał go tutaj, w swoim rodzinnym stanie, Stonewall Jackson, odnosząc wiele zwycięstw. Druga grupa zmierzała do miejsca, skąd ostatnio do nich strzelał. Oba zespoły dzieliło kilkaset metrów.

Musiał zyskać czas dla Cunningham. Przykucnął i trzasnął kamieniem o głaz.

W ciemności rozległ się chrypliwy szept.

- Tutaj!

Nasłuchiwał, zmuszając się do zachowania cierpliwości. Kiedy był pewien, że obie grupy się zeszyły, rzucił kamień w stronę drogi. Obie grupy rzuciły się w nowym kierunku.

Przyspieszyły jak drapieźniki wyczuwające krew.

Podniósł drugi kamień, obiegnął drzewo i wślizgnął się pod krzak. Położył się na boku, przyciągnął kolana do piersi i rzucił kamień. Browninga trzymał w pogotowiu. Gałązki i ostre kamienie uwierały go przez ubranie. Ostrożnie wyjrzał. Grupa oskrzydająca przechodziła po jego lewej, spiesząc w stronę, gdzie upadł kamień. Drugi zespół zmierzał tam od prawej.

Przejdą blisko niego. Ich kroki było słychać coraz głośniejsze.

Nagle jakby zmaterializowali się z cienia. Na czele szedł Jerry. Był muskularny i poruszał się bez trudu, jak pies w dziczy, ale brakowało mu finezji. Tak, jak Tice się spodziewał, za Jerrym rządkiem szło trzech. Gdyby to była ciemna uliczka, zaglądaliby za każdy kosz na śmieci, podnosili każde wieko, naciskali klamki drzwi, niczego by nie pominęli i znaleźliby uciekiniera. Pot spływał Tice'owi z czoła i piekł go w oczy.

Ale tutaj przeszli obok krzaka jeden za drugim, rozglądając się tylko na wszystkie strony. Kiedy znów znikli w ciemności lasu, Tice wypuścił z ulgą powietrze i wyczołgał się z kryjówki. Zaczął nasłuchiwać. Kiedy tylko upewnił się, gdzie są, rzucił drugi kamień, który upadł z łomotem bliżej grupy Jerry'ego.

Któryś spośród nich rozkazał:

- Nie ruszać się!

Jeden z pistoletów wypalił jak złośliwe echo. Za nim zaczęły strzelać inne, po obu stronach. Powietrze drżało od huku.

- O cholera! - ryknął któryś.

- Walt dostał!

Poleciało więcej przekleństw.

- Wstrzymać ogień! - krzyknął Jerry. - Dość, do cholery! Dość. Strzelamy do siebie nawzajem, na litość boską!

Tice z chłodnym uśmiechem zanurzył się w las, zostawiając za sobą chaos.

Biegł lekkim krokiem między drzewami, okrążając plamy księżycowego światła. Kiedy już nie słyszał głosów zabójców, przyspieszył. Mijał krzaki, śmigał między gałkami. Zapach sosen wypełniał mu głowę aż do bólu.

Kiedy wreszcie wydostał się na zaorane pole, oddychał tak intensywnie, że aż rozboleła go klatka piersiowa. Na horyzoncie, na wzniesieniu, stał rząd samochodów jak świetliste paciorki naciągnięte na sznurek. Zwolnił i się rozejrzał. Znalazł Gwiazdę Polarną. Zaczął robić głębokie wdechy, tłocząc tlen do zmęczonych mięśni. Sprężystym krokiem ruszył na północ.



## 25.

Elaine z waltherem i torebką w rękach wpełzła spod jaguara i przykucnęła. Ubranie miała zabłocone, włosy potargane. Cztery wozy Jerry'ego blokowały jedną stronę szosy. Stały na obręczach kół przykucnięte jak żuki, ich reflektory rzucały oślepiające światło na drzewa.

Patrząc na las, podbiegła do bmw Jerry'ego. Opaska spadła jej z głowy. Elaine zaklęła, odgarnęła włosy i spięła z tyłu. Znowu pobiegła. Otworzyła drzwi bmw od strony pasażera.

Zamknęła je błyskawicznie, żeby wewnętrzne lampki świeciły się jak najkrócej. W środku wozu było ciemno, śmierdziało dymem papierosów i starymi kanapkami.

Rozejrzała się i otworzyła schowek na desce rozdzielczej. Nie było czasu na wybieranie.

Jerry i jego ludzie mogli wrócić w każdej chwili. Nagle rozległy się strzały. Upadła płasko na siedzenia, chowając głowę w ramionach. Nasłuchiwała z łomoczącym sercem. Czekwała. Znowu strzały. Zbyt wiele. Co z Jayem?

Ale gdyby ktoś wrócił, ona też znalazłaby się w poważnych kłopotach - zamknięta w samochodzie Jerry'ego. Szybciej, szybciej, nakazywała sobie w myślach. Rozległy się kolejne strzały. Zgarnęła zawartość schowka do torby. Przejechała rękami po siedzeniach, ale nic nie znalazła. Gorączkowo przeszukała dywaniki, podniosła jakiś papier, zmiętą obrączkę cygara i papierki od cukierków. Wszystko wrzuciła do torby. W końcu wyjrzała przez okno. Gęsty las był milczący, wydawał się spokojny.

Otworzyła drzwi, wytoczyła się na trawę i zamknęła drzwi za sobą. Rozejrzała się, czy ktoś nie idzie, przykucnęła i pobiegła. Każdy krok rozbrzmiewał w jej uszach jak grzmot.

Przy jaguarze znowu się rozejrzała, wskoczyła do środka i przekręciła kluczyk w stacyjce.

W płucach miała ogień. Powoli cofnęła wóz, patrząc w lusterko wsteczne.

Wcześniej schowała się w lesie, a Tice biegał tam i z powrotem z brownie w jednej ręce, sig sauerem w drugiej, strzelając do kół samochodów prześladowców z dwóch różnych punktów. Chodziło o to, żeby Jerry i jego ludzie myśleli, że oboje uciekają. Potem, kiedy bandyci siedzieli schowani w wozach, pobiegła z powrotem i wpełzła pod jaguara.

Spokojnie, powiedziała sobie. Kiedy unieruchomione samochody znalazły się poza zasięgiem jej wzroku, docisnęła pedał gazu. Wkrótce zobaczyła skrzyżowanie. Zapamiętała stan licznika i skręciła w prawo, na szosę prowadzącą na północ. Dokładnie osiem kilometrów dalej zjechała na pobocze i wyłączyła światła. Silnik dudnił. Wokół rozciągała się zaorana ziemia, szara i martwa. W oddali ciemniał las, w którym Tice postanowił zgubić zabójców.

Miała nadzieję, że mu się udało. Była tego pewna.

Kiedy rozległo się pukanie w szybę po stronie pasażera, aż podskoczyła. Tice, spocony i brudny,

patrzył na nią poważnie przez okno. Cienkie zmarszczki na jego twarzy wyglądały teraz jak bruzdy. Ale i tak był to dla niej piękny widok. Gdy otworzyła drzwi, najpierw obejrzał się podejrzliwie przez ramię, dopiero potem runął jak martwy na fotel.

- Wynośmy się stąd do wszystkich diabłów. - Chwyając łąpczywie powietrze, zamknął drzwi. Gałązki przylgnęły do jego kurtki. Ręce miał podrapane. Położył je na udach. Drżały.

Spojrzała w lusterka i dodała gazu. Popędzili naprzód.

- Nic ci nie jest?

Pokiwał głową, pierś ciężko mu falowała. Wojownik wrócił z bitwy.

- Kiedy odeszłaś, było spokojnie?

- Jak w grobie. Powiedz, co się stało.

Kiedy opisywał polowanie, swoją podstępą taktykę i reakcję ludzi Jerry'ego, na twarzy pojawił mu się triumfalny uśmiech. Patrzyła na niego zahipnotyzowana siłą, którą nagle zobaczyła z całą jasnością.

Kiedy skończył opowiadać o ucieczce przez las, wyprostował się w fotelu i zamilkł, wracając do obowiązków strażnika. Kilka razy zerknęła na niego. Był wielkim mistrzem tajemniczego świata, który chciałaby poznać. Poczwała respekt i podziw. Od chwili, kiedy się spotkali, edukował ją, pouczał. Mówił, jak dobrze ukryć się w cieniu, jakie korzyści płyną z posiadania kont numerycznych i jak wymknąć się przeważającym siłom wroga przy wykorzystaniu prostych narzędzi - pistoletów, samochodu, mapy i własnego rozumu.

Przyłapał jej wzrok.

- Dziwnie na mnie patrzysz. - Przez chwilę zdawał się zaskoczony. - Jesteś bardzo młoda - powiedział. - Musisz się jeszcze wiele nauczyć.

Zamrugła powoli i spojrzała na pustą drogę.

- Oczywiście.

- Nie chodzi mi o profesjonalne sztuczki. To, co czujesz, nie ma nic wspólnego ze mną.

To wpływ sytuacji. Oboje jesteśmy napompowani adrenaliną i przelotne odczucia albo myśli wydają się czymś doniosłym. Ale zmieniło się tylko jedno: ty musiałaś zaufać mnie, ja tobie, i to dało rezultaty. Zrobiliśmy, co do nas należało, i przy niewielkiej dozie szczęścia uratowaliśmy własną skórę, pomagając sobie wzajemnie. Eskalowanie tych emocji może doprowadzić do kłopotów.

Nie odpowiedziała.

Złagodził ton.

- Niektórzy agenci odreagowują gniewem albo nienawiścią. Niektórzy odczuwają fizyczny pociąg. Albo czują się zależni. Możliwy jest cały szereg reakcji emocjonalnych i wszystkie są silne. Słuchaj, Elaine, teraz zrobię pewną dygresję. Wszystko, co przytrafiło ci się w przeszłości, sprawiło, że poczułaś się bardzo samotna. A teraz, po wielu pełnych napięcia godzinach, kiedy byłem twoim celem, musiałaś zaakceptować mnie jako partnera. To ogromny zwrot. I wstrząs, który pokazuje, jak niewiele warte potrafią być nasze najistotniejsze przekonania. Być może twoje uczucia podpowiadają ci, że posiadam jakąś szczególną mądrość. Nieprawda. Dysponuję tylko doświadczeniem. Uważałem i uczyłem się, ale doświadczenie to nie to samo co mądrość. Powiedziałbym nawet, że nie jestem nazbyt mądry, bo nie znalazłbym się tam, gdzie jestem, na tym etapie życia.

Westchnęła. Tak - coś się w niej zmieniło, kiedy wsiadł do samochodu, brudny, wyczerpany i szczęśliwy, i opowiedział o swojej ucieczce. Coś jej wtedy mówiło, że Tice jest supermenem.

Wyprostowała się.

- Masz rację. Ale i tak uważam, że byłeś fantastyczny. Nie zmienię zdania. Okay, twoja kolej. Ubijemy interes. Pamiętasz? Opowiedziałam ci o Rafie. Teraz ty mów o Rainie.

Odezwał się dopiero po chwili.

- Niewiele tu do opowiadania. Zakochałem się w niej w Niemczech. Romans skomplikował nam obojgu życie i pracę. Potem ona się odkochała. Ale ja niczego nie żałowałem. Nigdy. Jak mówiłem, żałowałem tylko gównianych wyborów, jakich dokonałem.

Ściągnęła brwi, myśląc o Kristophie. To tłumaczyłoby wiele.

- Więc Kristoph był twoim synem?

Zamknął oczy. Przez kilka sekund jego spocona twarz wyglądała jak posiniaczona, jakby artysta za mocno uklepał miękką glinę.

- Powiedzmy. I masz rację, to artykuł w gazecie skłonił mnie do ucieczki. - Opowiedział

o sygnale, jaki wysłała mu Raina i jak mało wiedział, o co w tym wszystkim chodzi.

Zadawała pytania. On odpowiadał, aż w końcu się zniecierpliwił.

- Wystarczy. - Spojrzał na nią twardo. - Kiedy zamierzałaś powiedzieć mi o tym, co zrobiłaś?

- Co ja...? - Ogarnęło ją poczucie winy. Mówił ostrym tonem.

- Nie zdziwiło cię, że mamy ogon. Spodziewałaś się towarzystwa... ale nie Jerry'ego. I nie byłaś zaskoczona, kiedy z drugiej strony nadszedły kolejne samochody. Przeciwnie, ulżyło ci... do chwili, kiedy zdałaś sobie sprawę, że to też ludzie Jerry'ego i że zastawiają na nas pułapkę. - Przyglądał się

jej uważnie. - Co się stało?

Nie spojrzała na niego.

- Mam drugi telefon komórkowy. Prywatny. Zadzwoiłam do Laurence'a Litchfielda.

Tice drgnął niemal niepostrzeżenie. Potem uspokoił się i włożył maskę, która wyrażała skromność, ale też dużą pewność siebie. Szare oczy miał nieprzeniknione.

- Opowiedz mi wszystko - zażądał.

Powtórzyła rozmowę.

- Nie miałam okazji o tym wspomnieć, ale mnie też próbowali sprzątnąć agenci Charta. -

Opisała atak we Franklin Park i to, jak potem znalazła ciało zabójczynie na biurku w kwaterze Charta.  
- Nie łączyłam tego z Litchfieldem. Ale teraz wszystko układa się w logiczną całość.

Osobiście mnie prześwietlał, zanim przydzielił mi zadanie odszukania ciebie. Wtedy nie wydawało mi się to dziwne ze względu na szczególną sytuację. Może to nie on jest wtyką, tylko ktoś z jego biura.

Wargi zwęziły się Tice'owi w cienką linię.

- Tuż przed tym, jak zostałem aresztowany, ostrzegałem Larry'ego przed Hannah.

Widziałem kilka rzeczy, które wskazywały, że ona i jej ludzie mogą czerpać zyski ze spółek będących ich przykrywką. Zdaje się, że zamiast rozpocząć śledztwo, Larry przyłączył się do nich. Lata temu był z niego pistolet, prawdziwy kowboj. Myślałem, że mu przeszło.

- Jak to? - W oddali pojawiło się kolejne skrzyżowanie. Wokół stały ciemne domy i sklepy.

- We wczesnych latach osiemdziesiątych posłałem go do Berlina Wschodniego, żeby poszedł za tropem Carlosa Szakala i Johannesesa Weinricha, którzy coś kombinowali.

Informacja przyszła od Rainy. To był jeden z pierwszych jej meldunków. Larry był nowy, zgubił Weinricha na ulicy. Nie dostałem od niego dobrego wytłumaczenia, dlaczego tak się stało, ale doświadczonym agentom też zdarza się zgubić obiekt. Problem polega na tym, że Weinrich przekazał potem materiały wybuchowe, które zostały wykorzystane w zamachu bombowym na Maison de France w Berlinie Zachodnim.

Zmarszczyła brwi.

- Kiedy zapytałam Hannah Barculo o ciebie, opisała to samo wydarzenie, ale jej wersja była zupełnie inna. Według Hannah Litchfield mówił, że sam wpadł na trop i śledził obiekt z własnej inicjatywy. To ty podobno zepsułeś operację, nie on.

Kiedy relacjonowała wersję Barculo, Tice'a ogarnęło zimne oburzenie, Kiedyś protegował Litchfielda. To kłamstwo było dla niego zaskoczeniem. W końcu westchnął. Nic już na to nie mógł poradzić.

- A więc Larry napisał historię na nowo. Chyba wszyscy od czasu do czasu to robimy, szczególnie w młodości. Oczywiście, dałem mu reprimendę, że spieprzył operację, ale moje zadanie polegało również na wyszukiwaniu młodych talentów, a on był bardzo utalentowany.

Słyszałaś kiedyś o handlarzu informacjami Mosesie? Wypłynął na powierzchnię w ostatnich latach zimnej wojny.

- Mgliście przypominam sobie to imię. - Spojrzała, że znów na nią patrzy.

Odwrócił wzrok.

- Moses nie wychylał się i był bardzo drogi. Bez powiadamiania kogokolwiek przekazał

Larry'emu informację, że wielka postać o międzynarodowej sławie ma zostać zamordowana.

Postawił jednak dwa warunki, zanim ujawnił szczegóły: Larry ma osobiście przekazać zapłatę i musi działać sam, trzymać rzecz w tajemnicy, żeby imię Mosesa nie wyszło na jaw aż do zakończenia sprawy. Larry był ambitny, a jego rodzina miała pieniądze, więc zapłacił i trzymał gębę na kłódkę. Jak się okazało, Carlos kazał trzem irańskim muzułmanom poddać się operacji plastycznej, żeby mieli mniej perskie, a bardziej włoskie rysy twarzy, i kazał ich wytrenować tak, żeby mogli udawać katolickich księży.

Zaczerpnęła tchu.

- Powiedziałaś, że chodziło o wielką postać o międzynarodowym znaczeniu... chcieli zabić papieża?

- Tak, Jana Pawła II. Był znakiem bożym dla przeciwników komunizmu, szczególnie dla Polski. Bułgarom nie udało się go zamordować, więc Carlos obmyślił, że Moskwa mu zapłaci, żeby on tego dokonał. Papież był w Rzymie, gdzie zatrzymał się między podróżami do Liechtensteinu i Indii. Wymarzona okazja dla Carlosa. Larry ocenił sytuację, wybrał się z miniaturową kamerą do Berlina Wschodniego i przewodami wentylacyjnymi doczołgał się do miejsca, gdzie mógł podsłuchać, jak instruktorzy, krok po kroku, trenowali fałszywych księży.

Larry udowodnił, że jest śmiały i mądry. Dysponując takimi dowodami, powstrzymaliśmy spiskowców, zawiadomiliśmy Watykan, a zebrane informacje wykorzystaliśmy w kilku ważnych kwestiach. O ile wiem, Larry nigdy już nie dopuścił się niedbałości, a ta operacja zapoczątkowała jego karierę. Dostał podwyżkę i awans na numer dwa w komórce madryckiej.

- To była cholernie ważna informacja. Moses musiał być kimś wysoko postawionym.

Niedbale skinął głową i kontynuował.

- Hannah też przebywała wtedy w Berlinie. Pracowała razem z Larrym. Kiedy o tym myślę, wydaje

mi się, że bardzo go szanowała.

- To może rzucić światło na niektóre wydarzenia. Ale co z resztą? Charta rozwalił Jerry.

Teraz Jerry pracuje dla Litchfielda, a przynajmniej Litchfield przekazuje mu informacje. Czy wie, że to Jerry zabił Hannah i cały wydział? Czy on i pan G. są partnerami „wielkiej transakcji”? Ze sposobu mówienia o panu G. wynika, że Jerry jest wobec niego lojalny, więc wątpię, żeby na własną rękę pracował dla Litchfielda.

- Też tak sędzę. A wszystko to jakoś łączy się z Rainą albo z Kristophem, albo z nimi obojgiem. Inaczej nie ścigaliby mnie tak zażarcie. - Zbliżali się do skrzyżowania. - Skręć na północ. Jedziemy do jednego z najstarszych moich kontaktów. Niewielu ludziom ufam. A jeszcze mniej ufa dziś mnie. On jest jednym z tych nielicznych. Popatrzyła na drogę.

- Kto to?

- Sama się przekonasz.

W samochodzie znów zapanowała cisza.

Co jakiś czas zerkał na jej poważną twarz. Było w Elaine coś, co przypominało mu Mariette. Z zaskoczeniem pomyślał, że jego córka miałaby dziś dwadzieścia dziewięć lat, tyle samo, ile Elaine. Była ślicznym dzieckiem, smukłym i jasnym jak różyczka, niezwykle inteligentnym. Aaron miałby dwadzieścia siedem. Tice poczuł ukłucie bólu, gdy pomyślał, kim mógłby zostać jego syn, blondynek. Aaron uwielbiał książki, dinozaury i piłkę nożną.

Czasem Tice pozwalał sobie myśleć z tęsknotą o Mariette, Aaronie i Kristophie. Troje dzieci.

Wszystkie nie żyją. Serce go zabolało. I biedna Marie. Tragicznie uwikłana w jego życie.

W końcu się odezwał.

- Nie biczuj się w związku z Litchfieldem. Teraz trzeba przede wszystkim zebrać istotne informacje.

Popatrzyła na niego z uśmiechem. Ich spojrzenia spotkały się i bez słów przekazali sobie wzajemne przebaczenie. Znów spojrzała na drogę. Myślała. Po jakimś czasie podjęła decyzję.

- Musiałeś mieć nadzwyczajny powód, żeby się zwrócić przeciwko nam, Jay. Wybacz, ale muszę cię o to znów zapytać. Nie denerwuj się.

Pokiwał głową.

- Niektóre rzeczy nie dają się objaśnić. To jedna z nich.

### **Część 3**

*Wywiad kończy się wtedy, gdy sięga się po broń.*

Oleg Carew, były funkcjonariusz KGB

**Miami Beach, Floryda.**

Z małej scenki dochodziły dźwięki *So What* Milesa Davisa. Saksofonista poprowadził

combo z zamkniętymi oczami i narkotycznie słodką miną. Martin Ghranditti oglądał

przedstawienie w telewizorze plazmowym stojącym w eleganckiej bibliotece. Kamera ukazała szerszy plan. Publiczność oglądała występ z naciąganą wesołością.

Odwrócił wzrok. Marie siedziała odprężona po drugiej stronie sofy. Słuchała z zamkniętymi oczami, na ustach igrał jej uśmiech. Do tej pory nie wiedział, że lubiła jazz. Jej długie, platynowoblond włosy szesane do tyłu odsłaniały piękne rysy twarzy. Przyglądał się prostemu nosowi, delikatnym kościom policzkowym, wysokiemu czołu. Jego wzrok ześlizgiwał się niżej, po krągłościach jej ciała, dziś wieczór opiętych czarną dzianiną. Przeszył

go gorący dreszcz. Długie nogi skrzyżowane miała w kostkach. Na palcu prawej stopy kołysał

się sandał. Była hipnotyzującą pięknnością. Skoncentrował się na jej nagich, lśniących nogach.

Kiedy muzyka ustała, Marie otworzyła oczy i odwróciła się całym ciałem, jakby wiedziała, że Martin patrzy i ją podziwia.

- Dobilem targu w sprawie wyspy. - Łagodnie przełknął łyk wódki.

Spojrzała na niego. Oczy miała oszalamiające, o niezwykłym kolorze morskiej zieleni -

lśniące jak klejnoty i pełne uczucia.

- Nie chcę się przeprowadzać - oznajmiła stanowczo. - Już ci mówiłam. Będę podróżować z tobą, Martinie, kiedy i dokąd chcesz. Interesy, wakacje, wszystko jedno. Z

dziećmi albo bez nich. Ale nie chcę się przenosić na stałe. - Podniosła szklankę ze stolika. W

środku zostały tylko kostki lodu. Potrząsnęła szklanką, lód zagrzecotał. Przechyliła głowę i wypija stopioną wodę. Patrzył, jak jej wargi przywierają do szkła.

- Musimy się przeprowadzić, Marie - powiedział tonem rozsądnej perwersji.

- Dlaczego? - Znów na niego spojrzała, zaskoczona. - Dzieci są szczęśliwe. Sama mam zamiar być szczęśliwa. Znalazłam terapeutkę.

- Terapeutkę? - Poczł strach. - Jaką terapeutkę?

- Panią psycholog. Chcę się z nią dalej widywać. - W głosie Marie pojawiło się drzenie.



- Chcę się dowiedzieć, kim jestem.

Serce mało nie wyskoczyło mu z piersi.

- Jesteś Marie Ghranditti! - zagrział. - Jesteś piękna. Wspaniała! Masz wszystko, czego pragnęłyby inne kobiety. Troje zdrowych dzieci. Bogactwo i pozycję towarzyską. Jesteś bezpieczna, kochana i uwielbiana. Jesteś doskonała! - I wreszcie osiągnęłaś właściwy wiek, trzydzieści jeden lat.

- Doskonała jestem w twoich oczach - odparła spokojnie. - To był twój cel. Ale gdzieś po drodze się zagubiłam. - Wysoko uniosła podbródek.

Buntowała się już od wielu dni. Właśnie ze względu na jej upór Ghranditti przyspieszył zakup wyspy.

- Wzięłaś lekarstwa? Robisz się taka, kiedy nie zażywasz oxycontinu. Musisz go brać.

Nie potrzebna ci żadna cholerna pani psycholog!

Odwróciła wzrok, jakby nie mogła znieść jego spojrzenia.

- Wiesz, że pragnę zmiany. - Mówiła do długiej ściany z książkami, do bogatych, skórzanych opraw, do złotych liter i rokokowych wzorów. - Już nie myślę. Nawet nie przypominam sobie, jak naprawdę wyglądam. To było tak dawno. Całe lata. Pamiętasz, jak wyglądałam? O czym zwykle mówiłam? Czego chciałam? Jeśli tak, proszę, powiedz.

Przerażony popatrzył na jej odwróconą głowę.

- Ty niewdzięcznico...! - Zadzwoiła jego komórka. Wyciągnął telefon z marynarki i spojrzał na numer. To Jerry Angelides. - Zaraz wracam - powiedział do Marie. Stanął nad nią groźnie, jakby chciał, żeby się przed nim płaszczyła.

Ale ona spojrzała na męża lśnącymi, zielonymi oczami i wzruszyła ramieniem. Nie wiedziała, jaką siłę ma jej spojrzenie.

- Naprawdę za ciężko pracujesz, Martinie - wyszeptała.

Zmieszany wyszedł z biblioteki i ruszył przez hol. Trzasnął za sobą drzwiami do gabinetu i odebrał rozmowę.

- Dostałeś Tice'a i Cunningham?

- Byliśmy blisko, panie Ghranditti.

- Dzwonisz, żeby to powiedzieć!?

- Za każdym razem jesteśmy bliżej. - Angelides mówił mocnym, pewnym głosem. -

Rozstawiłem chłopców. Mieliśmy kłopoty z samochodami. Naprawiamy je teraz. Niech pan przekaże swojemu człowiekowi w Langley, że potrzebujemy lepszych informacji. Nie będziemy ścigać Tice'a po całym kraju. Myślę, że dla pańskiego źródła nadszedł dobry czas, żeby przyszpilić Tice'a, bo on i Cunningham są wykończeni. Będą musieli gdzieś się przespać. Ale chłopcy i ja jesteśmy w doskonałej formie.

Ghranditti głęboko zaczerpnął tchu, żeby się pozbierać. Ciągłe myślał o Marie. Będzie musiała wysłuchać racjonalnych argumentów, powiedział sobie. W końcu zawsze ustępowała przed nimi, a on poprosi jej lekarza, żeby zwiększył dawkę. Teraz najważniejszy był ładunek.

A Angelides może mieć rację.

- Powiadomię moje źródło - zapewnił Angelidesa. - Szukajcie dalej. Masz pan ludzi do dyspozycji. Wykorzystaj pan to!

### **Okolice Herndon, Wirginia.**

Wąska, czarna wstążka szosy wiała się wśród pofalowanego krajobrazu Wirginii. Księżyc stał nisko na niebie, rzucał coraz mniej światła. Elaine skręciła na asfaltowy podjazd z tablicą: WŁASNOŚĆ PRYWATNA. NIE WCHODZIĆ, i przejechała po kamiennym mostku wśród splątanych zarośli. Przed sobą zobaczyła kolisty podjazd otoczony starymi, dziewiętnastowiecznymi budynkami. Najdalej stał solidny i dostojny piętrowy gmach główny.

W oknach na piętrze paliło się światło. Po obu stronach wznosiły się parterowe domki, ale w obu było ciemno.

Zapaliło się światło reflektora. Elaine zajechała pod budynek główny i zaparkowała, ale zanim zdążyła wyłączyć silnik, Jay wyskoczył z samochodu.

Pobiegła za nim. Drzwi wejściowe się otworzyły. Popatrzyła zaskoczona i uśmiechnęła się ponuro do siebie. Teraz wiedziała, kto umożliwił Jayowi ucieczkę. Trzymając za obrozę wielkiego, chudego psa, w drzwiach stał David Oxley, porucznik z zarządu więziennictwa, ten sam, który oprowadzał ją po Allenwood. Był boso, nosił obcisle dzinsy i T-shirt. Już nie wyglądał szczupłe, ale sprężyste. Jego czarne oczy nie były już zmęczone - przyglądał się przybyszom ostrym, stalowym wzrokiem. Rozejrzał się i znikł w domu.

Jay poszedł za nim, a Elaine dołączyła do nich, zamykając za sobą drzwi. Wnętrze wyglądało na opuszczone. Znajdowali się w wielkim salonie. Kartonowe pudła do pakowania stały pod jedną ze ścian. Meble - kanapy, krzesła i coś, co wyglądało na pianino - stały przykryte prześcieradłami. Po lewej stronie znajdowały się zamknięte drzwi, po prawej rozpościerał się hol. Wewnętrzna klatka schodowa prowadziła na piętro, gdzie drzwi były otwarte, jakby właściciel dopiero co zbiegł na dół. Naprzeciwko schodów stał kamienny kominek.

Gospodarz się uśmiechnął.

- CIA przybyło.

- Tak. A pomocnik w zbrodni czeka. Jay spojrział na Elaine.

- Zawsze trzeba mieć dobry plan awaryjny.

- Udowodniłeś, że to prawda. - Przyjrzała się Oxleyowi. - Więc jak naprawdę się pan nazywa?

Zaśmiał się cicho.

- Ben Kuhnert, do usług. - Popatrzył wymownie na Jaya. - Wyglądasz jak gównno w trawie. W czym się tarzałeś?

- W ściółce leśnej. Ale udało się nam oderwać, nie zostawiając śladów.

- Przy okazji trochę się ubrudziliście. Oboje potrzebujecie prysznic i czystych ubrań.

Rzeczy Zahry powinny pasować na panią Cunningham. Chodź, Jay. Musisz poznać Houri. To ważny członek zespołu. Niech ci ten dobry człowiek uściśnie łapę, Houri.

Pies usiadł, machając po podłodze kosmatym ogonem. Jay wziął uniesioną łapę i potrząsnął nią kilka razy.

- Mądry pies. Czy houri to nie hurysa? Młoda, piękna kobieta w raju?

- Owszem. A *Houri* to piękny pies. I jak powiedziałeś: także mądry. Taka natura rasy.

Jej filozofia brzmi: *kul kalb yijjiyoomo*. - Przetłumaczył z arabskiego: - Każdy pies doczeka swojego dnia. Zazwyczaj rozumie się to tak, że kiedyś się kogoś doceni, ale ona przyjmuje to dosłownie.

Elaine podeszła do fotografii w ramach stojących na półce nad kominkiem i wzięła jedną do ręki. Spojrzała na Kuhnerta. Szerokie kości policzkowe, mocny podbródek, wydatny nos. Cera ani różowa, ani ciemna, ale złotawa. Zdjęcia pokazywały chyba pięć pokoleń. W tle omiatane wiatrem pustynie, meczety Bliskiego Wschodu, ale też zielone wzgórza Wirginii i Islamskiego Centrum przy Massachusetts Avenue. Berlińska Brama Brandenburska i ratusz oraz waszyngtoński Kapitol. Żadna z postaci nie nosiła szaty beduińskiej, czyli burki, ale niektóre ubrane były w narodowy strój hidżab. Z fotografii wynikało, że Kuhnert z jednej strony jest pochodzenia arabskiego, a z drugiej niemieckiego - z obu zaś muzułmaninem.

- Liczę, że masz dobre zabezpieczenia.- Jay rozejrzał się po pokoju.

- Czujniki ruchu, reflektory i kilka innych zabawek. Oraz Houri. Pośród rozlicznych talentów posiada zdolność wczesnego ostrzegania. Powiedziała mi, że tu jedzicie, zanim włączyły się światła.

- Spakowałeś już komputer?

- Jeszcze nie. Mam go w gabinecie. - Ben Kuhnert pokazał głową kierunek, a Jay poszedł pospiesznie ku zamkniętym drzwiom.

Gabinet Bena o powierzchni piętnastu metrów kwadratowych był prawie pusty - przy drzwiach piętrzyło się kilkadziesiąt spakowanych pudeł. Tice przeszedł obok nich. W pokoju stały dwa biurka. Jedno z laptopem, drugie z mocnym pecetem. Martwiąc się o Rainę, włączył

peceta, włożył okulary do czytania i postukał w klawiaturę. Minęły godziny, odkąd po raz ostatni mógł sprawdzić pocztę.

W wyszukiwarce wpisał: [www.ihf.com](http://www.ihf.com). Zaraz pojawiła się internetowa wersja

„International Herald Tribune”. Wybrał „ogłoszenia drobne” i przeszedł do

„międzynarodowego rynku nieruchomości”, a potem do „Paryża i przedmieść”. Kilkadziesiąt nieruchomości wystawionych na sprzedaż albo do wynajęcia. To dobry znak. Serce zaczęło mu szybciej bić.

Od drzwi odezwał się głos.

- Elaine wygląda na niezłą. - To Ben.

- Nie przywiózłbym jej z sobą, gdyby nie była. Zaraz wracam.

- Dołącz do nas w kuchni, jak skończysz. Chcę pokazać Elaine, gdzie może ukryć samochód. - Zniknął.

Jay nachylił się z nadzieją. Kiedy zobaczył ogłoszenie podpisane Billie B, właścicielka, serce mu niemal stanęło. Billie Burke grała Glindę w *Czarodzieju z krainy Oz*. To imię było jednym z kodów rozpoznawczych, jakie ustalił z Rainą. Następny właściciel nieruchomości -

R. Bolger. Ray Bolger grał Stracha na Wróble. Kiedy Tice znalazł kolejne ogłoszenie, opisujące willę z „girlandami” róż wyrzeźbionymi na wszystkich filarach, ogarnęło go podniecenie. Nacisnął ikonę „drukuj”. Judy Garland grała Dorotę. Przyjrzał się tym trzem ogłoszeniom. Każde przekazywało w zaszyfrowany sposób inny czas i miejsce spotkania w Waszyngtonie i okolicach.

Raina spróbuje pewnie pojawić się we wszystkich miejscach i on też tam pójdzie. Jeśli się nie spotkają, wykorzystają ten sam plan następnego dnia i kolejnego, aż do skutku. Ale jeśli transport pana G. odchodzi dzisiaj, a Raina i Kristoph mieli z tym coś wspólnego, to jutro będzie już za późno.

Oparł się, podniósł głowę i zamknął oczy. Po długich jedenastu latach zobaczy ją znowu, będzie z nią rozmawiał, patrzył, jak Raina marszczy nos, kiedy się śmieje - i nie zdarzy się to za tydzień czy za rok, ale wkrótce. Jeśli wszystko pójdzie dobrze.

Zanim zdążył się opanować, ból po Kristophie już wbijał się w niego jak sztylet. Znow znalazł się w Berlinie, w ponurych dniach, kiedy jego małżeństwo się waliło, a on zakochał się w Rainie, którą zwerbował. Trzy lata później, po śmierci Marie i dzieci, urodził się Kristoph.

Wyrósł na wspaniałego dzieciaka, zainteresowanego wszystkim, zadającego obłędnie dużo pytań. Ale on radował się każdą minutą, którą spędził z synem.

Pamiętał spacerować po Tiergarten, kiedy chłopiec był chudym pięciolatkiem, a on trzymał

go za rękę. Aż dziwne, jak wrażliwa jest taka mała rączka i jaka silna. I jak rozpaczliwie krótkie było to dzieciństwo. Lata mijały w mgnieniu oka i dzieci robiły się za stare, zbyt zajęte albo zbyt obojętne. Albo mieszkali na drugiej półkuli, tak jak Kristoph. Tamtego popołudnia patrzył na blond główkę chłopca i w oczy Rainy, błękitne i głębokie jak ocean, wypełnione po brzegi miłością. Tęsknił za przeszłością, za nimi dwojgiem.

Nie było dobrze się rozczulać. Aktem żelaznej woli odsunął smutki na bok i sprawdził

skrzynkę mailową, którą sobie założył po ucieczce z Allenwood. Zatrzymał się i popatrzył.

Raina przysłała wiadomość. Podniecony nachylił się i przeczytał.

*K. pracował dla Milieu Software. Nasza stara Spółdzielnia jest zainteresowana nabyciem firmy. Próbowałam uprawiać jogging, ale jest za gorąco.*

Ostro nabrał powietrza. A więc Kristoph pracował dla Milieu, a na Rainę urządzono polowanie. Ze ściśniętym gardłem, wzrokiem błakającym się po małym pokoiku, myślał z trudem. Wreszcie uznał, że może zrobić tylko jedno - zadzwonić do swojego kontaktu. W

domu panowała cisza. Elaine i Ben byli jeszcze na zewnątrz. Wyjął telefon komórkowy i wystukał numer.

Rozespany głos brzmiał podejrzliwie.

- Tak?

- To znowu ja. - Patrzył na drzwi od gabinetu. - Jest na rzeczy jakaś grubsza transakcja.

Odbędzie się dzisiaj. Ktoś nazywany panem G. jest jednym z uczestników. Jego ludzie wykończyli obsadę Charta, a teraz próbują zabić Elaine Cunningham. Zamieszany jest Larry Litchfield i Milieu Software. Kristoph pracował dla Milieu. Jeszcze jedno, Raina przyjeżdża.

Ma kłopoty, więc pewnie użyje legendy. Tak, do cholery, jestem pewien! Coś wiadomo o Mosesie?

- Nadal nic.

Poczuł się rozczarowany.

- Muszę kończyć.

Wyłączył komputer i wstał. Przez chwilę ani drgnął, tylko myślał. To była najważniejsza operacja jego życia i wchodziła w ostatnią, najgroźniejszą fazę. Nie może sobie pozwolić nawet na najmniejszy błąd. Ruszył do drzwi, układając plany.

**Mediolan, Włochy.**

W białej peruce i watowanym ubraniu Raina Manhardt wyszła z tunelu Alitalii z ostatnimi pasażerami z Genewy. Szła powoli pochylona nad niebiesko-zielonym dywanem.

Była teraz Melissą O'Dey. W jednej ręce niosła walizkę. Kątem oka przyglądała się, jak ludzie spieszą się, żeby odebrać bagaż albo sprawdzić na monitorach, kiedy odlatują ich samoloty.

Też sprawdziła swój lot - nie był opóźniony. Miała jeszcze godzinę.

Odeszła, zastanawiając się, czy Jay będzie na nią czekał w Waszyngtonie. Nie spodziewała się, że jeszcze kiedyś go zobaczy. Teraz była pełna nadziei, ale zarazem obaw.

Przywykła już do tych sprzecznych emocji. Pamiętała listopad 1985 roku - najpierw zabito Pavla Abendrotha, potem w wybuchu bomby podłożonej w samochodzie zginęła cała rodzina Jaya. Spotkali się wkrótce po tych wydarzeniach dwa razy, ale zawadzało im poczucie winy za śmierć doktora Abendrotha. Nie chcieli się już więcej widywać.

W końcu grudnia odwiedził ją mąż i postanowili się rozwieść. Był pułkownikiem Armii Radzieckiej. Pół roku później, w maju, on też zginął podczas potyczki z mudżahedinami pod Kabulem. Kiedy Jay o tym usłyszał, do zwyczajnego pakietu kondycyjnego dołączył osobisty list. Wymienili jeszcze kilka listów i postanowili się spotkać daleko od miejsc, w których ktoś mógłby ich rozpoznać - w Dubrowniku.

Przycupnięty na wysokich skałach nad szafirowymi wodami Dubrownik był

średniowiecznym, adriatyckim portem z bajkowymi domami, starymi murami obronnymi i brukiem wypolerowanym na gładko od wielowiekowego użytkowania. Jay wynajął dla nich mały pensjonat z pierzynami w łóżkach i kamiennym kominkiem.

Zdenerwowana, niepewna siebie spotkała go w ogrodzie różanym. Natychmiast wstał i zamarł, patrząc na jej brzemienny brzuch. Potem oczy zaszyły mu mgłą i objął ją mocnym, miazdzącym uściskiem.

Czuła na szyi jego gorący oddech.

- Jestem szczęśliwy. Ty też?

- Bardzo - wyszeptała. - Ale powinnam ci powiedzieć, że nie jesteś...

- Nie mów. - Głos miał zachrypnięty od uczucia. - Jesteś tutaj. Dziecko w drodze. Tylko to chcę wiedzieć.

Geografia miłości była tajemnicza i czarująca - aż do zdrady. Raina rozmyślała o tym na lotnisku w

Mediolanie. Zmusiła się jednak do obserwowania tłumu. Biblijne pomieszanie języków, zapowiedzi odlotów nadawane z głośników. Zatrzymała, się przy okienku kantoru, żeby wymienić euro i franki szwajcarskie na dolary.

Ale kiedy odchodziła, poczuła napięcie w ramionach. Zauważyła gwałtowny ruch za sobą, z boku. Jakiś mężczyzna nachylił się, żeby zawiązać sznurowadła. Każdy doświadczony agent zwróciłby na niego uwagę.

Kiedy się wyprostował, udawała, że patrzy na wystawę sklepu. Miał ładne, męskie rysy, ale bez charakteru. Nikt nie spojrzałby na niego drugi raz. Był około trzydziestki, nosił czarne spodnie, koszulę z dzianiny i luźną, sportową kurtkę. Pod lewym ramieniem rysowała się niewielka wypukłość.

Nie przyleciał razem z nią, nie zapamiętała go też z innych sytuacji. Weszła do kawiarni i poprosiła o stolik. Problem wydawał się poważny - jeśli za nią szli, to na lotnisku Dullesa będzie na nią czekać CIA albo BND. Kiedy odwracała się, żeby usiąść, zerknęła w stronę wejścia z nadzieją, że się pomyliła i nieznajomy poszedł dalej. Nagle zaczęły się jej pocić ręce. Ktoś jeszcze prosił o stolik - właśnie ten mężczyzna.

## **Okolice Herndon, Wirginia.**

Ostatnie samotne godziny przed świtem. Noc była jak czarna otchłań. Elaine poprowadziła jaguara zgodnie ze wskazówkami Bena, wokół wielkiego, kamiennego domu.

Reflektory miała wyłączone. Ben dezaktywował czujniki ruchu na czas, kiedy byli na zewnątrz. Samochód okrywała ciemność.

Wreszcie go zobaczyła. Czekał w napięciu obok mniejszego z dwóch kamienno-drewnianych garaży. Stał z browningiem w ręku. Jego sylwetkę oświetlały tylko gwiazdy.

Houri kręciła się obok pana, potem poszła w stronę domu z uniesionym nosem, węsząc podejrzliwie. Elaine zaparkowała wóz w garażu, chwyciła sig sauera i wysiadła. Podeszła do Bena, rozglądając się wokół. Zamknął drzwi garażu.

- Skoro tu jesteśmy, chcę ci pokazać drogę ucieczki. Przy odrobinie szczęścia nie będzie wam potrzebna. - Poprowadził ją na tył domu i opisał obmyślony przez siebie system.

- Dlaczego pomagasz Jayowi? - spytała z zaciekawieniem.

- Jest mnóstwo powodów. Choćby to, że mam wobec niego ogromny dług. - Odwrócił

nadgarstek. W słabym świetle blizna, o której w więzieniu powiedział, że pochodzi od przecinanej rury, wyglądała jeszcze okropniej. Podniósł oba ramiona. Wypukłe szramy, pozostałość po głębokich ranach, zaczynały się przy łokciach i nikły pod rękawkami T-shirta.

- Mam je wszędzie, przysługa KGB. Postanowili przetestować na mnie eksperymentalne techniki przesłuchań. Jay wyciągnął mnie z tego bagna.

- To musiało być straszne - wymamrotała przez ściśnięte gardło.

Wzruszył ramionami.

- Przez lata, choć nieregularnie, pracowałem z Jayem. Nigdy nie spotkałem człowieka, którego bardziej bym szanował. Jakiś czas temu przeszedłem na szpiegowską emeryturę, więc kiedy Jay został skazany, miałem sporo czasu, żeby zebrać odpowiednie dokumenty i zacząć pracę w więziennictwie. Potem zaaranżowałem przeniesienie do Allenwood. Oczywiście FBI w końcu dojdzie, że to ja stoję za ucieczką Jaya.

- Dlatego spakowałeś rzeczy. A Zahra? Kim ona jest?

- To moja żona. Między dyżurami mieszkałem tutaj jako Ben Kuhnert. Pod Allenwood mam mieszkanie, w którym byłem Davidem Oxleyem. Zahra znalazła nam nowe lokum daleko stąd. Może któregoś dnia tutaj wrócimy. - Popatrzył na trawniki, drzewa, stare budynki z czułością wyrażającą przywiązanie. - Przynajmniej mam nadzieję.

- Ben... dlaczego Jay zdradził Amerykę?

Spojrzał na nią zaskoczony. Potem pokiwał głową.

- Za krótko pracujesz z Jayem, żeby wiedzieć, jak zagadkowym jest człowiekiem. To facet zdolny do wszystkiego w granicach rozsądku... i poza nimi. Genialny, inteligentny, egoistyczny, niecierpliwy, a przede wszystkim... odważny. Jako mistrz szpiegostwa promieniował zaraźliwym optymizmem. W jego ludziach rodziła się duma i szczególna więź, której zazdrościli inni. Jay miał tak silne poczucie własnej wartości, że nie bardzo przejmował

się tym, co pomyślą o nim biurokraci. Ale to napędzało też jego brawurę. Jeśli nas sprzedał

Rosjanom, musiał mieć ważny powód. A przynajmniej tak mu się zdawało.

- Jeśli? - Po raz pierwszy ktoś wyraził powątpiewanie w tej sprawie.

- W naszym świecie zawsze jest jakieś „jeśli”.

- Ale ty nie znasz ewentualnej przyczyny zdrady?

- I chyba nigdy jej nie poznam. W takich chwilach odzywa się poczucie lojalności. To obnaża charakter człowieka i pokazuje, któremu z przyjaciół można zaufać, a ostatecznie...

czy można zaufać sobie. Rosjanie nie bez racji mówią: Powiedz mi, jakich masz przyjaciół, a powiem ci, kim jesteś.

Skręcili na wykładaną ceglami ścieżkę i przez trawnik poszli do kuchni. Houri biegła z przodu, powiewając kosmatymi uszami. Ledwie weszli, Ben uaktywnił czujniki lamp ostrzegawczych. Elaine trzymała straż. Miała doskonały widok na podjazd i dwa kamienne budyneczki.



Ben wyjął jajka i ser z lodówki i postawił patelnię na kuchni gazowej. Zapalił gaz i popatrzył na Elaine. Wyglądała żałośnie, gdy patrzyła przez okno, w brudnym ubraniu, z bronią w rękę i rozczochranymi włosami. Na policzku miała rozsmarowaną ziemię.

- Podoba ci się - powiedział. - Ale trudno się pogodzić z myślą, że jest zdrajcą, prawda?

- Pewnie nigdy się z tym nie pogodzę.

Pokiwał głową.

- Gdyby to pomogło, powiedziałbym, że według mnie to dobry człowiek. Uczciwy.

Przyzwoity. A przy tym cholerny łgarz. W wywiadzie kłamstwo jest niezbędne. Wiesz o tym.

Ale to do człowieka przywiera, zmienia go, szczególnie jeśli kłamie z nadzieją, że zbuduje lepszy świat. A lepszego świata nie da się oprzeć na kłamstwie. Jeśli przebywa się długo na linii ognia, zapomina się o swoim prawdziwym ja. A potem to nie ma znaczenia. Bo jeśli ktoś przywiązuje do tego znaczenie, nie może wykonywać tej roboty.

Spojrzała na niego wielkimi, niebieskimi oczami, potem odwróciła wzrok i znów popatrzyła przez okno w odstręczającą ciemność.

- Wydawało mi się, że to rozumiem. Ben uniósł głos.

- Hej, Jay. Nie zmęczyło cię stanie w drzwiach? Wchodź. - Obejrzał się za siebie.

Jay się nie poruszył. Skórę miał pociemniałą od brudu, zarost jak filc. Przyglądał się Elaine łagodnym wzrokiem. Nie ukrywał, że mu się podoba.

- Kluczem jest wiara. Musisz wierzyć w coś, o co warto walczyć. W coś dobrego. Ale najpierw trzeba ustalić, jakie to ma znaczenie dla ciebie.

Uśmiechnęła się niepewnie i kiwnęła głową.

Ben hałaśliwie postawił na drewnianym stole miskę z jajecznicą i talerz z pełnoziarnistymi tostami.

- Siadajcie i jedzcie. Oboje. - Ostry cheddar roztopiał się na jajkach. Smakowity zapach wypełnił kuchnię.

- Dziękuję, Ben. - Elaine przyciągnęła krzesło i usiadła.

Jay nic nie powiedział. Elaine i Ben odwrócili się, żeby na niego popatrzeć. Szedł w ich stronę lekkim krokiem, wyglądał nieomal groźnie. Twarz miał posępną. Biła z niej nieufność.

Zdjął kurtkę. Został w koszuli, z browningiem w odpiętej kaburze naramiennej, żeby mógł

szybko sięgnąć po broń. Rzucił kurtkę na krzesło i włożył rękę do kieszeni dzinsów i coś wyjął.

Elaine patrzyła jak urzeczona. Wstrzymała oddech - złoty trójkąt lśnił mu na dłoni.

Przypomniała sobie fotografię, którą widziała w celi. Jay rzucił trójkąt na blat. Złote cacko zakręciło się jak strzałka kompasu. Dotknęła go, zatrzymując wirowanie. Spojrzała na Bena.

Wzrok gospodarza zrobił się obojętny, zimny.

Brązowe oczy Jaya przypominały dwie ciemne dziury.

- Ben?

Gospodarz przez chwilę patrzył na Jaya. Potem pokiwał głową. Nie odwracając wzroku od Jaya, podszedł do kominka, wziął coś małego z półki i rzucił na stół - złoty gadżet, taki sam jak Jaya.

- Na wypadek gdybyś nie pamiętał - oświadczył. - Ten Palmera pasuje do jednego boku twojej części. Mój pasuje do drugiego.

Jay milczał. Ustawiał trójkąty, dopóki nie połączyły się ich zębate krawędzie. Uniósł głowę i uśmiechnął się szeroko. Ben odpowiedział uśmiechem.

- Okay, opowiedz o wszystkim.

Kiedy napięcie zelżało, Elaine zrobiła wydech: była świadkiem nieomal pierwotnego rytuału.

Ben podszedł do kuchennego okna, zamieniając ją na posterunku. Jay usiadł naprzeciwko Elaine i nałożył sobie jajecznicę na talerz. Ale nie jadł.

- Ben, zacznę od początku. Poprosiłem cię, żebyś pomógł mi wydostać się z Allenwood w związku z artykułem w „Herald Tribune” o przypadkowej śmierci Kristopha Maasa. -

Zawahał się. - Był dzieckiem Rainy Manhardt i moim.

- Ty i Raina Manhardt? Nie miałem pojęcia. Jak długo ty i ona...?

- Niezbyt długo. - Jay znów się zawahał. - Nie widziałem ich po 1994 roku. Czasem do siebie dzwoniliśmy. Na Boże Narodzenie przysłała fotografie. - Prawie się uśmiechnął. Potem przypomniał sobie, jak trudno było z nią normalnie porozmawiać. Zwłaszcza ostatnim razem, kiedy powiedział jej o swoim aresztowaniu.

- Naprawdę przykro mi z powodu śmierci chłopca, Jay - mruknął Ben. - To musi być dla ciebie straszne.

- Tak - przyznał. Opisał artykuł i zdjęcie będące sygnałem od Rainy, że potrzebuje pomocy. - Wydawało się logiczne, że cokolwiek się stało, dotyczyło Kristopha. Planowałem przycziąć się po tym, jak mnie wypuściłeś, i czekać na spotkanie z Rainą. Tymczasem Theosopholis próbował mnie

wykończyć, kiedy opuszczałem więzienie. Potem znów zostałem zaatakowany, kiedy zatrzymałem się, żeby wziąć zapasy. Kolejny zabójca czekał w domu Palmera Westwooda. Kiedy przyjechała grupa od mokrej roboty, ledwie udało się nam uciec z Palmerem. Ale wtedy miałem szczęście, rozpoznałem dwóch strzelców. Obaj byli z Charta. -

Przerwał. - To jednostka Langley.

- Langley? Nie!

- Jest jeszcze gorzej. - Jay podniósł widelec. - Elaine?

- Zlecenie na odnalezienie Jaya dostałam za pośrednictwem Charta - wyjaśniła Benowi.

- Już zaczęłam robić postępy, kiedy zaatakował mnie zabójca. Udało mi się go sprzątnąć, ale kiedy wróciłam do Charta, odkryłam, że wszyscy zostali zlikwidowani, a ciało zabójcy leży na biurku. To był agent Charta w przebraniu. Mocny dowód, że próbowali mnie załatwić.

Ben patrzył na nią, a Jay kontynuował opowieść.

- Przybyłem tam wcześniej, właśnie kiedy grupa od mokrej roboty wychodziła.

Większości z nich mogłem dobrze się przyjrzeć. Później zauważyłem dwóch pod domem Elaine. - Opisał, jak dali po głowie Billy'emu, zabrali mu komórkę i umieścili na nim pluskwę. - Z podsłuchu i mojej rozmowy z Jerryem dowiedzieliśmy się, że dzisiaj ma być zawarta jakaś wielka transakcja i że Jerry pracuje dla pana G., który stoi za tym wszystkim.

Ben nic nie mówił. Pokręcił tylko głową z ponurą miną.

- Kilka godzin temu - podjęła Elaine - znów nas zaatakowano. Dlatego, że udało mi się po kryjomu zadzwonić do Laurence'a Litchfielda. Obiecał, że wyśle zespół, który złapie Jaya.

- Skrzywiła się z niesmakiem. - Tymczasem pojawił się Jerry z grupą zabójców. Zastawili na nas pułapkę.

- Jezu Chryste. - Ben westchnął. - Larry Litchfield też?

- Spisek sięga głębiej - powiedział Jay. - Kristoph był programistą. Przed śmiercią pracował w firmie Milieu Software. To przykrywka Charta. Larry kieruje Chartem.

Ben zaklął głośno.

Jay pochylił się i spojrzał na dłonie. Potem podniósł wzrok na Bena.

- Ludzie z Charta byli w Genewie i robili tam coś, co prawdopodobnie przyczyniło się do śmierci Kristopha, więc sprawa nie ogranicza się do Stanów Zjednoczonych. Na Rainę też urządzono polowanie. Kimkolwiek jest pan G., miał kontakty, które umożliwiły mu spenetrowanie federalnego więzienia o podwyższonym bezpieczeństwie i umieszczenie tam Theosophisa. Larry Litchfield to

człowiek, który nie podejmie się niczego, jeśli nie zna szczegółów. Jakakolwiek by ta transakcja była, musi uważać ją za bezpieczną. Przekazywał

informacje na nasz temat, a więc bezpośrednio pracuje z panem G., bo nie chciałby sobie zawracać głowy kontaktami z kimś na niższym szczeblu. A pan G. to niezły twardziel, skoro kazał zmasakrować funkcjonariuszy Charta.

Ben wciągnął powietrze.

- Cholera. To musi być ogromna transakcja.

Jay pokiwał głową.

- I niebezpieczna. Trzeba sprawdzić, o co chodzi, i wkroczyć do akcji. Mogą w tym wziąć udział doświadczeni agenci. Tylko najlepsi mają szansę. Potrzebuję starego zespołu.

Ben odszedł od okna.

- Zadzwoń do nich.

- Wszyscy poza Palmerem. Chciał pomóc ze względu na Rainę, ale ma ponad siedemdziesiąt lat. Już mu powiedziałem „nie”.

Ben poszedł do korytarza.

- Jasne. Skończcie jeść i weźcie prysznic, żebyście byli gotowi, kiedy tu przybędą.

\*

Ben Kuhnert siedział przy wielkim komputerze w swoim gabinecie, a Houri trzymała głowę na jego kolanach. Głaskał ją odruchowo. Zbierał myśli i tłumił niepokój. W końcu wszedł do książki adresowej i wydał polecenie połączenia.

Frank Mesa mieszkał pięćdziesiąt kilometrów dalej. Odpowiedział szybko, ale głos miał rozespany.

- Tak?

- Tu Ben. Potrzebuję cię. Weź swój kawałek medalionu.

- Zwariowałeś? - W głosie zabrzmiało oburzenie. - Wiesz, która godzina?

- Weź swój kawałek medalionu - powtórzył Ben. - Przyjedź z bronią. Mamy problem.

Nastąpiła długa pauza. Głośne chrząkanie. Zrezygnowane westchnienie.

- Okay. Ale wybacz... najpierw wrzucę coś na grzbiet.

Ben znów wszedł do książki adresowej. Komputer wybierał numer.

Elijah Helprin zwlekał dłużej z odpowiedzią, ale nie spał.

- Tak? Halo.

- Tu Ben. Jesteś mi potrzebny. Przynieś swoją część medalionu.

Pełne wahania zaskoczenie.

- Co się stało?

- Wyjaśnię ci, jak przyjedziesz. Weź broń. Nie zapomnij złotego wisiorka.

- Daj odetchnąć, Ben. Mów teraz.

- Nie powiem, dopóki cię tu nie zobaczę. Przyjedziesz czy nie?

- Oczywiście, że przyjadę - mruknął ze złością. - Będę za pół godziny.

- Jesteś ubrany? - zapytał Ben.

- Tak, a co? Jakaś gala? - Westchnął.

\*

Kiedy Ben wyszedł z Houri, Elaine przyjrzała się uformowanym w strzałki kawałkom złota błyszczącym w świetle kuchennej lampy. Razem tworzyły dwie piąte dysku. Wliczając kawałek należący do Palmera Westwooda, brakowało dwóch.

- Ben dzwoni do dwóch osób - powiedziała Jayowi.

Skinął głową i wziął pilota ze stołu. Telewizor stał niedaleko kominka. Tice włączył

program informacyjny.

Nagle poczuła się wyczerpana. Głosy dziennikarzy brzęczały. Informacje z całego świata, coraz więcej terrorystycznych zamachów bombowych. Co jakiś czas zerknęła na Jaya.

Zwróciła uwagę na czarne podkowy pod jego oczami i zgarbione ze zmęczenia ramiona.

Kiedy skończyli jeść, prawie równocześnie, podniosła wzrok, żeby się uśmiechnąć i coś powiedzieć.

Ale on wzrok miał utkwiony w laserowym zegarze na telewizorze. Chwycił pilota i pogłośnił.

- Elaine, patrz! Odwróciła się na krześle.

- *...według rzecznika prasowego policji zabitym był Victor Malone* - czytał prowadzący.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie.

- O, nie - jęknęła. - To Billy!

- Jerry'emu udało się znaleźć dla niego dobrą legendę - mruknął Jay przez ściśnięte gardło.

- ...*był studentem college'u z Chicago* - ciągnął dziennikarz. - Do niedawna mieszkał w motelu Takoma Park pod przybranym nazwiskiem. Sądzi się, że pani Cunningham zatrudniała go do napraw...

Poczuła, że blednie, kiedy zdjęcie z archiwum CIA ukazało się na ekranie - miała poważny wyraz twarzy, włosy ściągnięte w kucyk. Łatwo było ją zidentyfikować.

- *Pistolet znaleziono w pojemniku na śmieci sąsiada. Elaine Cunningham pracuje dla CIA i uważa się ją za groźną...*

**Mediolan, Włochy.**

Kawiarnia na lotnisku była zatłoczona. Nieustanny szum przemieszczającej się masy ludzkiej docierał przez sklepione wejście do uszu Rainy, a zapachy czosnku i aromatycznego sosu pomidorowego wypełniały powietrze za każdym razem, kiedy otwierały się kuchenne drzwi z tyłu. Jadła risotto alla milanese, spoglądając od czasu do czasu na śledzącego ją mężczyznę, który pochłaniał posiłek przy stoliku niedaleko wejścia. Wołała go mieć na oku, więc nie zmieniała miejsca.

Przez chwilę poczuła się strasznie samotna. Zalały ją wspomnienia. Przestała jeść, cofnęła się myślami do dziewiątego listopada 1989 roku, do niezapomnianej nocy, kiedy w podminowanym Berlinie wybuchła nie trzecia, nuklearna wojna światowa, ale ekstrawagancka impreza. Po raz pierwszy od 1961 roku obywatele komunistycznego Wschodu mogli swobodnie przechodzić do Berlina Zachodniego. Dziesiątki tysięcy ludzi z obu stron zebrały się pod zniechęconym murem, śmiejąc się, ściskając, wspinając na szczyt, tańcząc na nim, rozłupując porysowany beton, szaleńczo obcałowując nieznanym ludzi, otwierając butelki z szampanem.

Znalazła opiekunkę dla Kristopha i korzystając z tego szaleństwa, przekradła się przez granicę, żeby spędzić kilka godzin z Jayem, w hoteliku przy stacji S-Bahn Lehrter. Minęły wtedy dwa miesiące, odkąd ostatni raz byli razem. Ledwie usłyszał ją w korytarzu, otworzył

drzwi.

Na jego widok przepełniło ją pożądanie. Rzuciła mu się w ramiona. Wciągnął ją do pokoju, całując po szyi, twarzy. Kopnięciem zamknął drzwi. Usta miał gorące, zmysłowe, elektryzujące. Chciała go pożreć, wpełznąć w niego, być nim. Nic innego się nie liczyło.

Tylko Jay. Po prostu Jay. Musiała go mieć.

Seks był wybuchowy. Po godzinie ustali. Leżeli, dysząc, pocąc się, przyciśnięci do siebie. I rozmawiali. Rozmowa z Jayem była jak seks - podniecająca; niesamowicie satysfakcjonująca.

Tamtej nocy myślała, że świat należy do nich. Wkrótce zakończą pracę. Jay będzie mógł

przejsć na emeryturę i pisać o ich historii. Ona wycofa się z CIA i BND, odkurzy sztalugi i wróci do malowania, do którego tęskniła. Zostawią za sobą nieudane małżeństwa, straszne gry szpiegowskie i niewidzialne rany. Wreszcie będą razem, będą mieli dom, będą wychowywać Kristopha i kolejne dzieci. Zaczną żyć jak inni ludzie.

Myśląc o tej wspaniałej przyszłości, wtuliła się w jego ramiona. Potem kochali się, ale już powoli, z rozmysłem.

Później życie wywróciło się do góry nogami. Dopóki ona była w BND, a on w CIA, nie mogli zamieszkać razem, a tym bardziej się pobrać, bo to zwiększyłoby niebezpieczeństwo, że jej potrójna agenturalna przeszłość wyjdzie na jaw. Zapytała, kiedy Tice poda się do dymisji.

Ale się wykręcał. Potem Erich zrobił z niej narodowy symbol, ikonę nadziei i skierowane na nią światła reflektorów podniosły poziom ryzyka. Mimo to, gdyby uwolnili się od obu agencji, mogliby spakować Kristopha, wyslizgnąć się i nikomu - ani Kristophowi, ani ich krajom, ani im samym - nie stałaby się krzywda.

Wreszcie napisała list z oficjalną rezygnacją do CIA. Załatwiła sprawę. Wyszła z tego.

Jay nadal był jej prowadzącym, więc jemu wręczyła pismo. Jak tylko Langley potwierdziło rozstanie z nią, powiedziała Tice'owi, że opuszcza też BND. Zniknął na miesiąc. Od tamtego czasu mijał teraz rok, Kristoph nie żył, a marzenia zarosły tkanką blizny. Nie było Jaya i Rainy, Rainy i Jaya. Przeszli do historii jak zimna wojna. Jak ich zmarli małżonkowie i Pavel Abendroth. Ale ona pozostała jeńcem uwięzionym w kolejnej strefie zdemilitaryzowanej, bo Jay został w Langley i odmówił przyjęcia jej rezygnacji.

Zamrugła i rozejrzała się po kawiarni. Spojrzała na zegarek, zapłaciła rachunek i podniosła walizkę. Kiedy wychodziła, szurając nogami, na karku znów poczuła gorący wzrok śledzącego ją agenta.

Idąc po hali odlotów, zmusiła się do pracy. Wróciła do zewnętrznego świata walizek, biletów lotniczych, szeleszczących wokół odgłosów stóp podróżnych. Do zagrożenia ze strony obcego. Szedł za nią, nonszalancko kończąc kawałek ciastka. Kierując się do swojej bramki, mijała sklepy i poczekalnie. Zobaczyła jego odbicie w szybie informacji lotniczej. Zwolniła, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

Włożył ostatni kawałek ciastka do ust, oblizwał palce i przeszedł obok niej, nawet nie patrząc. Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął bilet Alitalii. Potem dołączył do tłumu czekającego na komunikat o odlocie.

Zachowała spokój. Stała obok mówiącej po polsku rodziny, z pięć metrów od agenta.

Wywołano tylko klasę pierwszą i biznesową; masa czekała niespokojnie. Obrzucił ją wzrokiem i zignorował. Kiedy z głośnika padły kolejne numery miejsc, jedna trzecia kolejki ruszyła do przodu, przepływając między nimi.

Zanim zdołał znów zwrócić na nią wzrok, czmychnęła do damskiej toalety. Zamknęła się w kabinie, strząsnęła ze stóp buty, zerwała perukę, sukienkę i wyściółkę. Wszystko rzuciła na podłogę. Na desce klozetowej otworzyła torbę. Wskoczyła w męskie levisy i zapięła suwak. Nasadziła czarną perukę z włosami do ramion. Założyła sportowy stanik, który spłaszczał jej biust, na to męską, niebieską koszulę. Wilgotną chusteczką starła namalowane zmarszczki. Chwyła wielką torbę sportową, otworzyła ją jednym potrząśnięciem, potem wzięła walizkę i wepchnęła do niej przebranie starej kobiety. Upchnęła walizkę w torbie i zamknęła ją na suwak. Głęboko oddychając, włożyła swoje ulubione buty do biegania.

I zaczęła nasłuchiwać. Przy umywalkach matka z córką rozmawiały po włosku.

Usłyszała kroki, spuszczaną wodę, ale nic nie mówiło jej, że do toalety wpadła ochrona albo wtargnął oszalały szpieg, który stracił z oczu cel.



Wyszła, unikając kontaktu wzrokowego. Kilka osób korzystających z toalety spojrzało na nią obojętnie. Nie wróciła do hali. Męskim krokiem poszła prosto do znajdującej się obok toalety dla panów. Tam już nikt się nią nie interesował.

Zamknęła się w kabinie, grubą, brudną gumową opaską związała swoje nowe, czarne włosy w nierówny, męski kucyk. Patrząc w lusterko, przykleiła sobie czarne wąsy i krótką, rozczochraną bródkę. Narzuciła dzinsową kurtkę z emblematem harleya-davidsona i włożyła wąskie, nadające jej niebezpieczny wygląd okulary przeciwsłoneczne - „shadowsy”.

Było jak trzeba. Z nowym paszportem i biletem w ręku przeszła przez toaletę z bagażem w ręku. Teraz jej ekspresyjna postać przyciągnęła uwagę. Gunnar Hamsun leciał do Londynu, gdzie miał złapać połączenie z portem lotniczym Dulles International. Kupi mu kilka rekwizytów w sklepach na lotnisku.

Kiedy wyszła do hali, rozbrzmiewało ostatnie wezwanie lotu Alitalii do portu lotniczego Dulles. W oddali, przy bramce stał jej cień, przestępując z nogi na nogę. Z telefonem komórkowym przy uchu patrzył na zegarek i rozglądał się po pustych poczekalniach. Przy bramce był tylko on i personel lotniskowy.

Kiedy zamykano przejście na pokład samolotu, twarz mężczyzny poczerwieniała.

Warknął coś do komórki, wyłączył ją i poszedł sztywno wyprostowany rękawem prowadzącym do samolotu.

Raina odeszła, uśmiechając się ponuro do siebie. Spojrzenie miała uważne.

## **Okolice Herndon, Wirginia.**

Zanim na podjeździe dał się słyszeć warkot silnika samochodu, Elaine skończyła brać prysznic i włożyła na siebie dzinsy i sweter, które znalazła w gabinecie Zahry. Chwyciła pistolet i zbiegła po schodach.

- Jay, zostań w kuchni - krzyknął Ben. - Elaine ma pistolet.

Ben wyszedł z gabinetu, niosąc M16. Z kabury naramiennej zapiętej na T-shircie wystawał browning. Houri biegła przy nodze pana. Oczy miała jasne i czujne.

- Elaine, muszę cię poinstruować - zwrócił się do niej Ben. - Rób dokładnie to, co ci powiem. Nic więcej. Nic mniej. Dotarło?

Kiedy zaskoczona kiwnęła głową, zaczął wydawać przez ramię rozkazy, jednocześnie otwierając zamek u drzwi. Odsunął się, kiedy hałas silnika ucichł. Nie słychać było dźwięku zamykanych drzwi wozu.

Ben pokazał Houri, żeby przeszła na lewą stronę drzwi, gdzie szybko zobaczy ją każdy, kto wejdzie. Elaine była też po jego lewej stronie, między nim a kuchnią. Wycelował broń w zamknięte drzwi i spojrzał na Elaine, która ugięła nogi dla lepszej równowagi, uniosła oburącz walthera i też

wycelowwała w drzwi. Kiwnął z aprobatą głową.

Kiedy zadzwonił dzwonek, Ben zawołał:

- Wejść.

Klamka się obróciła. W wejściu pojawił się oświetlony od tyłu przez reflektory niski mężczyzna z gęstymi, siwymi włosami.

Zatrzymał się, a uśmiech znikł mu z twarzy. Popatrzył na M16, potem na walthera, wreszcie na Houri. Miał śniadą cerę, czarne oczy i masywne ciało. Ubrany był w sweter, kurtkę na suwak i sportowe spodnie zaprasowane w wojskowym stylu. Wyglądał o dziesięć lat młodziej niż Jay i Ben.

- Co tu, u diabła, się dzieje! - zapytał ostrym głosem.

- Wejdz dalej, powoli - rozkazał Ben. - Trzymaj ręce na widoku.

- Porąbało cię? - Mężczyzna chciał odejść.

Ben kiwnął na Houri. Natychmiast wstała i zaczęła warczeć. Wyszczrzyła ostre kły.

Warczała coraz groźniej, ostrzegając przed zbliżającym się atakiem z jej strony.

Ben zwrócił się do obcego.

- Nie próbuj. Jeśli postanowię być miły, nie będę strzelać. Poszczuję cię psem. Z drugiej strony jest wytresowana tak, żeby zabijać.

Niski mężczyzna patrzył gniewnie na Bena. Ben, z obojętnym wyrazem twarzy, nie spuszczał z niego wzroku. Coraz głośniejsze warczenie Houri sprawiało, że Elaine poczuła ciarki na plecach. Mężczyzna znów spojrzął na psa. Przygarbił się.

- Czego chcesz?

- Pokaż swój kawałek złotego medalionu. Powoli.

- Najpierw uspokój to bydlę.

Ben skinął głową na psa. Ale warczenie nie ustało. Suka poruszyła nosem, wskazując na zalany światłem podjazd.

Ben zacisnął palec na spuście.

- Kto jest z tobą?

Przez próg przeszedł w milczeniu starszy mężczyzna z gęstymi, siwymi włosami i spaloną słońcem twarzą o drapieżnych rysach. Elaine natychmiast go rozpoznała - Palmer Westwood.

Zignorował psa i broń. Patrzył płonąącym wzrokiem na Bena.

- Dawno się nie widzieliśmy, Ben. Spodziewałem się lepszego powitania.

Gospodarz nic nie powiedział. Wyglądało na to, że zastanawia się nad konsekwencjami przybycia niespodziewanego gościa. Znów kiwnął na psa. Tym razem groźne warczenie ustało.

- Masz swój kawałek złotego medalionu? - zapytał Ben.

- Mam.

- Chcę zobaczyć też twój.

Obaj mężczyźni powoli włożyli ręce do kieszeni i wyjęli podobne, złote trójkąty.

- Idźcie za Elaine - rozkazał Ben.

Cofnęła się w stronę krótkiego korytarza, trzymając ich na muszce. Ruszyli razem, ale Ben przechylił głowę. Pies wbiegł między mężczyzn. Ben zamknął drzwi wejściowe, a Elaine nadal się cofała, prowadząc przybyszów do kuchni. Aromat świeżej kawy parzącej się na blacie przesycił powietrze. Na kominku trzaskał ogień.

Obaj mężczyźni, otwierając szeroko oczy ze zdumienia, patrzyli w milczeniu na Jaya, który stał przy oknie z neutralnym wyrazem twarzy. Lufa jego browninga przesuwiała się w ślad za nimi.

- Wiecie, gdzie macie je położyć - odezwał się zza ich pleców Ben.

Rozejrzeli się, potem podeszli do stołu i położyli części medalionu.

Palmer Westwood przytknął swoją do boku kawałka należącego do Jaya, drugi mężczyzna przyłożył swój fragment do trójkąta Westwooda. Pasowały doskonale. Elaine opuściła pistolet. Jay schował browninga do kabury i z parapetu podniósł kubek z kawą. Ben obniżył lufę M16.

- Siad, Houri.

Pies otrząsnął się, dokonując metamorfozy z zabójcy w domowego pieszczołka.

Palmer Westwood przyglądał się temu z uśmiechem. Odwrócił się i uściśnął Benowi rękę.

- Jeszcze milej teraz cię widzieć, Ben.

- Ciebie też. - Ben odwzajemnił uśmiech.

Obaj górowali wzrostem nad trzecim mężczyzną, który znów dobroniusznie się uśmiechnął. Uściśnął dłoń Benowi.

- *Shalom* Elijah.

- *Salam* tobie. - Elijah nachylił się do psa. - Cześć, Houri. Łapa. - Usiadła, machając ogonem, żeby się przywitać. Elijah wyprostował się i spojrzał na Bena, potem na Jaya. -

Palmer wpadł po drodze, szukając ciebie, Jay, i powiedział mi, co wie. Zastanawialiśmy się, czy cię tutaj znajdziemy. Ben nie dał mi szansy, żeby zapytać. - Potem spojrzał na Elaine. -

Kim ona jest, Ben?

- Tropiła Jaya, Elaine Cunningham. Elaine, poznaj Palmera Westwooda i Elijaha Halprina.

Podawała im rękę i wymieniła z nimi uprzejmości.

Palmer zdjął kurtkę i poprawił broń za paskiem, na plecach.

- Miło mi, że cię widzę żywego, Jay.

Ale Jay zmarszczył brwi.

- Prosiłem, żebyś się do tego nie mieszał.

Palmer wyprostował się, twardy i władczy spojrzał mu w oczy.

- Na tyle dawno jestem w tej grze, żeby wiedzieć, w co się pcham. Czuję tu kofeinę.

Chciałbym się trochę napić.

Kiedy podszedł do ekspresu, Houri podbiegła do Bena, wystukując pazurami szybki rytm na linoleum. Trąciła go w ramię.

- Nasz ostatni gość jest już na miejscu - oznajmił gospodarz. - Zostań w kuchni, Elaine.

Dam sobie z nim radę. Chodź, Houri.

Gdy wyszli z psem, dał się słyszeć odgłos dobrze ustawionego silnika samochodu zbliżającego się do domu. Elijah dołączył do Palmera przy ekspresie i nalał sobie duży kubek kawy. Otworzyły się drzwi wejściowe. Dotarł do nich rozkazujący głos Bena i gniewna odpowiedź. Wszyscy patrzyli w łukowate przejście prowadzące do holu.

Przydreptała przez nie Houri, oglądając się z niepokojem za siebie. Potem wszedł obcy, a tuż za nim Ben. Nowo przybyły miał ponad sześćdziesiąt lat, niewiele mniej od Palmera. Był

średniej budowy ciała, miał myszowate włosy, jasną, nieciekawą twarz, której przeciętność podkreślały dwuogniskowe okulary w rogowej oprawce. Nosił kurtkę na suwak i bawełniane spodnie. Mimo braku jakiegokolwiek cechy szczególnej, coś się w nim wyczuwało.

Kiedy zobaczył Jaya, neutralna fasada się rozpadła.

- Co ty tu robisz, przeklęty zdrajco! - ryknął z niesmakiem i wściekłością.

Obrócił się na pięcie, żeby wyjść, ale natychmiast zatrzymał go uniesiony karabin Bena.

Houri obnażyła zęby, a z jej gardła dobył się groźny pomruk.

Mężczyzna zeszywniał. Zerknął na psa, potem na Bena.

- Znasz procedurę - oznajmił stanowczo Ben.

Stali tak kilka sekund dłużej, potem mężczyzna odwrócił się w stronę kuchni nadal uszywniony. Nie patrząc na Jaya, rozejrzał się i gniewnie podszedł do stołu. Rzucił złoty trójkąt i dopchnął go palcem na miejsce. Medalion był teraz kompletny. Kiedy mężczyzna podniósł wzrok, rozgniewane spojrzenie utkwiał znów w Jayu.

Zanim zdołał się odezwać, Ben powiedział:

- Daj Jayowi szansę. Tak czy inaczej, wszyscy musicie wysłuchać, co się stało. Potem, Frank, jeśli zechcesz, będziesz mógł odejść. Bez urazy. Prosimy tylko, żebyś zachował tajemnicę.

Frank oderwał wzrok od Jaya.

Tice zaczął mówić bezbarwnym, nieomal znudzonym tonem. Żargonem tajniaków zrelacjonował same fakty. Opowiadał na zmianę z Elaine. Kiedy mówił, jak Jerry zabił z zimną krwią Billy'ego, Frank przestał patrzeć na niego wilkiem. A kiedy Elaine opowiedziała, jak okrążyły ich samochody - dwa z przodu i dwa z tyłu - i dodała, że wysłał je Larry Litchfield, Frank westchnął z rezygnacją.

Jay skończył relację. Frank spojrzał na złote odłamki.

- Już bardzo dawno nie widzieliśmy tego medalionu w całości. - Podniósł głowę i zaczął

przypatrywać się wszystkim zebranym. Za szklami okularów pojawiło się najpierw uczucie, potem zaniepokojenie. - Okay, Wchodzę w to. Jay, mam tylko cholerną nadzieję, że nie jesteś tak bardzo winny, jak myślę. Ale nawet jeśli, i tak musimy sprawdzić, co zamierza Larry. Ten arogancki sukinsyn jest w stanie wpaść do wychodka i wyjść stamtąd, pachnąc fiołkami. Mam w komórce listę kontaktów z dawnych lat. Uzi zostawiłem w samochodzie. Wziąłem ze sobą browninga. - Potem obrócił się, żeby przyjrzeć się Elaine. - Ale co z nią? Możemy jej zaufać?

Co wiesz o niej naprawdę?

Mężczyźni popatrzyli na Elaine. Ukryła emocje i zaczęła się im po kolei przyglądać.

- Jay za mnie poświadczy. I możliwe, że miałabym więcej informacji dla was, ale zanim je przekażę, chciałabym wiedzieć kilka rzeczy. Kim jesteście? Co was łączy? Co znaczą kawałki złotego medalionu?

- Jakie masz informacje? - zapytał Jay.

- Posprzątałam przednie siedzenie i schowek w bmw Jerry'ego, kiedy ty odciągnąłeś ich do lasu.

Patrzyli na Jaya, czekając na decyzję. Twarze mieli pomarszczone, oczy przymglone, ale emanowała z nich energia. Wreszcie Jay skinął do Palmera.

- Ty opowiedz. Byłeś szefem.

## 29.

Atmosfera w kuchni Bena Kuhnerta była napięta. Houri krążyła bez przerwy po posadzce. Palmer odsunął krzesło i usiadł za stołem. Nawet nie tknął kawy, a profil miał

nieomal nieruchomy. Elaine pomyślała, że zaraz usłyszy o doniosłych wydarzeniach.

- To było w 1985 roku, w czasie zimnej wojny w Berlinie Zachodnim - zaczął Palmer niskim, władczym głosem. - Miasto otaczał mur. Byliśmy tak blisko Niemiec Wschodnich, że słyszeliśmy, jak komuniści się odlewają. Zrobili ze swojego państwa sanktuarium dla terrorystów, których nazywali rewolucjonistami, i ni cholery, nic nie mogliśmy na to poradzić.

Stasi trenowała ich i sprzedawała karabiny. Nawet tego rzeźnika, Carlosa, zameldowali w luksusowym hotelu wraz z innymi dewizowymi gośćmi. W lutym Jay dostał informację, że niezwykła grupa islamskich fanatyków wylądowała w Berlinie Wschodnim, żeby dokonać dużych zakupów broni.

Ben chodził po kuchni z wysoko podniesioną głową.

- „Duże”, „niezwykła”... szybko przyciągnęło to naszą uwagę. Ataków terrorystycznych przybywało. W Europie było ich nawet więcej niż teraz.

- Palmer nie marnował czasu. - Jay patrzył uważnie na swojego mentora. - Zorganizował tajną operację pod nazwą „Deadaim”. Uczestniczyło w niej nas trzech.

- Założyliśmy pluskwy w rządowych biurach dystrybucji zaopatrzenia i fabrykach broni

- odpowiedział Frank, sztywno prostując swoje grube ciało. - Temu i owemu daliśmy też po głowie.

- Działaliśmy w charakterze posłańców i handlowców. Szukaliśmy ludzi, których można by zwerbować. - Niski i masywny Elijah siedział na skraju kuchennego krzesła, jakby w każdej chwili gotów poderwać się do działania. - Pracowali dla nas katolicy, muzułmanie, żydzi i protestanci, kobiety i mężczyźni, więc mogliśmy mówić różnymi językami i wejść w mnóstwo środowisk.

- Potem, w marcu, porwano Trenta. - Palmer pokręcił siwą głową na to niedobre wspomnienie. - Poświęciliśmy cztery miesiące i pięćdziesiąt tysięcy dolarów, żeby go odzyskać.

W pokoju zapadła cisza. Unikali patrzenia sobie w oczy.

- I co dalej? - ponagliła Elaine.

Palmer westchnął.

- Wcześniej już od pięciu miesięcy prowadziliśmy śledztwo. Wiedzieliśmy, że kupcami są szefowie świeżo utworzonej siatki radykalnych grup islamistycznych, zwanej al-Ahrar.

Znaczący wolność. Chcieli dokonać wielkiego zakupu, żeby zrobić wrażenie na innych przywódcach ekstremistów i przyciągnąć ich do siebie. Było to dla nich obiecujące doświadczenie, a dla nas mogło się zamienić w cholernie groźną sprawę. Żeby sfinansować transakcję, sprowadzali haszysz z doliny Bekaa i sprzedawali go na ulicach europejskich miast.

- Jay wkradł się do Berlina Wschodniego i wreszcie zdołał zrobić zdjęcia. - Elijah, podobnie jak inni, nie tknął kawy, odkąd Palmer zaczął mówić. - Udało nam się kilku zidentyfikować. Szefem okazał się dzieciak. Syryjczyk Faisal al-Hadi. Wszyscy oni byli tak cholernie młodzi, że aż szok.

Elaine przypomniała sobie nazwisko al-Hadiego. Wymieniono go na doktora Abendrotha, którego zabójstwo zaplanował Jay.

- Al-Hadi miał zaledwie dwadzieścia lat - wyjaśnił Jay ze swojego stanowiska przy oknie. - Ale i tak był najstarszy. Tworzyli pierwszą falę komandosów pampersów, którzy teraz dowodzą komórkami terrorystycznymi.

- Wtedy okazało się, że z Jaya jest prawdziwy mądrala. - Ben zerknął na niego.

- Chodził w różne miejsca - dorzucił Frank. - Idę o zakład, że połowa naszych informacji wywiadowczych pochodziła od niego.

- Potem zniknęła Linda - wtrącił zgorzkniałym tonem Elijah. - Gliny znalazły jej ciało w trzcinach, w Haweli. Utonęła. Sally „przypadkowo” została przejechana przez pirata drogowego, który uciekł z miejsca wypadku na Kurfuerstendamm. A Carlee umarła we śnie od zatrucia ulatniającym się gazem. Co za cholerstwo. Biedne kobiety. Troje naszych ludzi zlikwidowanych w ciągu dwóch dni.

- Jednocześnie sześcioro naszych ledwie uniknęło śmierci - dodał poważnie Palmer.

- Musiał być przeciek, ale to nie miało sensu - powiedział Frank. - Zabezpieczenia były ścisłe i trzymaliśmy się blisko siebie; starannie wyselekcjonowano nas ze względu na umiejętność stosowania psychologicznego kamuflażu i doświadczenie. - Westchnął. -

Wreszcie zaczęliśmy odnosić sukcesy, ale prawie nas wykończono. Handlarz informacjami wywiadowczymi, o którym nikt wcześniej nie słyszał, zadzwonił do konsula generalnego i podał kod: Moses. Oznajmił, że jego towar tym razem jest za darmo, bo chce dowieść swojej rzetelności. Konsul wysłuchał go, potem kazał szefowi stacji zorganizować tajne spotkanie z Palmerem. Zgadza się, Palmer?

Stary szpieg odezwał się głuchym głosem:

- Moses twierdził, że Trent to nie Trent. Że Stasi porwało naszego Trenta i przeprowadziło operację plastyczną na facecie z jego karnacją i budową ciała. Nauczyli gościa, jak udawać Trenta. Później zabili Trenta i wysłali dublera, żeby infiltrował

„Deadaim”, rozwalił je, a potem przeniósł się do innej misji i zrobił to samo. Najlepsze, że przegryzł kapsułkę z trucizną, zanim zdołaliśmy cokolwiek z niego wyciągnąć.



Elaine głęboko wciągnęła powietrze.

- Skąd Stasi wiedziało o „Deadaim”? Działaliście konspiracyjnie.

Frank się skrzywił.

- Tak, to naprawdę niedobra historia. Nie widywaliśmy się z rodzinami i przyjaciółmi.

Wtajemniczeni byli tylko ludzie z berlińskiej bazy operacyjnej osiemdziesiątej dziewiątej i, oczywiście, z Langley.

- To musiał być ktoś stamtąd! - zawołała. - Dlatego pocięliście medalion. Chcieliście mieć pewność, że nie wejdzie między was żaden sobowtór.

- Palmer wpadł na ten pomysł - wyjaśnił Jay. - Kupił medalion podczas karnawału, a Frank pociął go piłką jubilerską, tak żeby kawałki różniły się między sobą. Dodaliśmy je do rzeczy noszonych w kieszeniach i jeszcze głębiej się zakonspirowaliśmy. Nie kontaktowaliśmy się już ze stacją w Berlinie ani z Langley. Potem nie mieliśmy już więcej problemów.

- Takich już nie - zgodził się Palmer. - Ale nadal nie zidentyfikowaliśmy kupca, a nastał

już wrzesień. W grę wchodziło tyle pieniędzy, że mogła to być któraś z grubych ryb: Sarkis Soghanalian albo Adnan Khashoggi, albo Islandczyk Loftur Johannesson.

- Ulica o tym nie mówiła - wtrącił się Elijah. - Ale wiedzieliśmy, że transakcja wkrótce zostanie sfinalizowana. Zaczęliśmy się niepokoić... potem zniknął Jay.

- Martwiliśmy się, że porwano go jak Trenta - zahuczał Frank. - Tymczasem on wrócił i wyciągnął królika z kapelusza. Musisz się czegoś dowiedzieć o Jayu. Nigdy nie mówił o swoich źródłach. Nie powiedziałby za cholerę. Ani Langley, ani Berlinowi. Tak się wściekli, że zagrozili mu zapuszkowaniem. Ale on i tak nie dawał cynku. Więc kiedy wrócił z zadowoloną miną, domyśliłem się, że poszedł na jedno z tych swoich tajnych spotkań. Miał

informację o czasie i miejscu.

Palmer skinął głową.

- Wróciliśmy więc do działania. Akcja była wielkim wydarzeniem medialnym, więc nasi ludzie przekazali informację o tym władzom niemieckim i międzynarodowej prasie. Kiedy bojówkarze al-Ahrar pojawili się w magazynie, czekali tam na nich w ukryciu nasi ludzie. Jak tylko dzieciaki wzięły się do ładowania ciężarówek, spróbowaliśmy je aresztować. Ale tamci durnie zaczęli strzelać. Odpowiedzieliśmy ogniem. Nie chcieli się poddać. Nagle zrobiła się jatka. Skończyło się tak, że większość ich przywódców zginęła, co skutecznie wykończyło siatkę al-Ahrar. Było to nasze wielkie zwycięstwo.

Frank błyskał oczami zza okularów.

- Przejęliśmy wszystko. Mieli trochę najnowszego uzbrojenia, o którego istnieniu jeszcze nie słyszeliśmy, prosto z radzieckich fabryk. Kiedy powiadomiliśmy Ramstein, co im przesyłamy, aż zaczęli się ślinić.

- Znaleźliśmy też worek z dziewięcioma milionami dolarów w gotówce, ostatnia rata, którą al-Ahrar miał wypłacić dilerowi. Kimkolwiek był dostawca, musiał go trafić szlag na taką stratę. - Na pomarszczonej twarzy Palmera pojawił się uśmiech. - Ten incydent przez miesiąc nie schodził z pierwszych stron gazet. Langley wpadło w ekstazę.

- Awansowali Palmera na zastępcę dyrektora do spraw operacji - powiedział Jay. -

Doszedł do wniosku, że chciałby objąć to stanowisko, a Langley, dzięki Bogu, wyszło naprzeciw jego oczekiwaniom.

- Z Jayem też postąpili fair - dodał Ben. - Jakaś gazeta zniszczyła przykrywkę Jaya, publikując zdjęcie, a to znaczyło, że jego dni w pracy operacyjnej są policzone. Więc Langley dało mu stanowisko szefa w Berlinie. Potem jeszcze awansował i został dyrektorem do spraw operacji.

- A komuchy dostały kopa. - Elijah zarechotał.

Mężczyźni roześmieli się z ulgą. Popatrzyli sobie w oczy i roześmieli się jeszcze głośniejsze. Aż huczało. Wspaniałe czasy. Zdrada zabrała im połowę ekipy, ale oni wytrwali i na koniec odnieśli całkowite zwycięstwo. Upajali się tym nieprawdopodobnym osiągnięciem.

Śmiech zamarł. Atmosfera się ochłodziła. Czekala ich najważniejsza sprawa. Zaczęli spoglądać na Elaine.

Zanim Jay zdołał powiedzieć słowo, Elaine chwyciła torebkę.

- Sprawdźmy, co znalazłam w bmw.

Palmer, Elijah i Frank nachylili się bliżej, a Jay i Ben stanęli nad nimi. Wyrzuciła przedmioty na stół - mapy Amerykańskiego Związku Motorowego, dwa pudełka zapalek z reklamą cameli, zgnieciona obrączka cygara, ostatnie wydanie „Briare’s Military and Intelligence Magazine”, lepkie papierki od cukierków, potraskane pudełko na CD bez naklejki, trzy mazaki z żelem, różne ołówki i małe zawiniątko. Nie było dowodu rejestracyjnego samochodu.

Agenci zaczęli przeglądać łupy. Jay przyjrzał się obrączce cygara, a Palmer sprawdzał zapalniczki. Frank zaczął kartkować czasopismo.

Elijah chwycił zawiniątko. Rozdarł opakowanie, wysypał małe pakieciki i otworzył jeden z nich.

- Niech mnie cholera. - Jego smagła twarz pociemniała, kiedy wypadło coś, co wyglądało jak grube ziarenko piasku. - Komputer stardust!

- Aż tak zminiaturyzowany? - zapytał natychmiast Jay. - Do czego służy?

- Submikrozminiaturyzowany! - poprawił go Elijah. - Cholera! Najnowsza technologia.

Skąd, do diabła, Jerry to wziął? Wojsko prowadzi tajne eksperymenty z tymi komputerami.

My też. Przez lata nie trafią na rynek! - Zaniepokojony spojrział na Elaine. - Jako jedyny z obecnych nie przeszedłem jeszcze w stan spoczynku. Nadal służę w wydziale operacyjnym. -

Z ponurą miną otworzył kolejny pakiecik. - Te maleństwa są zdumiewające. Napędzają je małe baterie słoneczne. Są programowane do wykonywania dwóch albo trzech prostych zadań, jak monitorowanie ruchu i temperatury. Porozumiewają się ze sobą, a potem wysyłają informację do centralnego komputera. Sieci stardustów są potężne, mogą objąć nadzorem całe pola!

- Mówisz, że korzystałeś z nich przy prowadzeniu operacji? - zapytał Jay.

- Miesiąc temu zrzuciliśmy ich trochę z samolotu w afgańskim kanionie i zdołaliśmy namierzyć konnych talibów tam, gdzie zawsze gubiliśmy trop. Znaleźliśmy tajny tunel, który doprowadził nas do komórki al-Kaidy ukrytej w kompleksie jaskiń. Psiakrew, od roku próbowaliśmy ją zniszczyć!

- Frank, ty masz „Briare’s” - powiedział ostro Jay. - Jest tam coś zaznaczone?

Frank pokręcił głową.

- Cholera, nic.

Jay chwycił czasopismo.

- Okay, słuchajcie, trafiliśmy na jakiś trop. Zobaczmy, co jeszcze znajdziemy.

Obejrzeliby dokładnie resztę przedmiotów, szukając zapisków, bazgrołów, cyfr, czegokolwiek. Po drugiej stronie stołu zgromadził się nowy stosik, na który rzucali wszystko, co już sprawdzili.

- Niech mnie cholera! - Jay odwrócił czasopismo i pokazał stronę z zagiętym rogiem. -

Zobaczcie. - Fotografia przedstawiała małą, latającą sondę. Pod spodem widniał napis: Śmiercionośny wiroptak według ocen wojskowych.

- Jak, do diabła, mogłem to przeoczyć? - Frank ściągnął brwi. - Co to wiroptak?

- Miniaturowa sonda prosto z fabryki, najnowsze osiągnięcie nauki - wyjaśnił Jay. -

Waży tylko z ćwierć kilo i ma składane skrzydła, tak że żołnierze mogą zapakować ją do plecaka albo zawiesić u pasa. Sondy robią zdjęcia i nagrania wideo w dzień i w nocy. To standard. Ale dwie rzeczy czynią je szczególnie użytecznymi: korzystają ze śmigłowego napędu strumieniowego, więc latają nie tylko jak samolot, ale unoszą się i lądują jak helikopter i każda ma silny ładunek wybuchowy, który może zerwać dach z budynku.

Ben głośno wypuścił powietrze z płuc.

- A zarówno to, jak i stardusty pochodzą z samochodu, którym jeździ człowiek pana G.!

- I nie są to rzeczy powszechnie dostępne - zauważył Jay z ponurą miną.

- Jedynym klientem w obu przypadkach jest rząd Stanów Zjednoczonych. To znaczy, że transakcja pana G. należy nie tylko do wielkich, ale i niebezpiecznych jak diabli. Nielegalny handel bronią na taką skalę może wiązać się tylko z jednym... terrorystami.

**Miami, Floryda.**

Szepecząc do siebie modlitwy, Faisal al-Hadi szedł z torbą sportową po chodniku, ale myślami był w świętym Damaszku swojego dzieciństwa. Nieomal słyszał grę cymbałów i nawoływania sprzedawców wody: *atchan taa saubi!* - jeśli jesteś spragniony, chodź do mnie!

Wyobrażał sobie, jak wchodzi do wielkiego meczetu Omajadów i klęka na zimnych, marmurowych płytach. Dzięki niech będą Allahowi.

Powoli zaczerpując tchu, al-Hadi wrócił do rzeczywistości i rozejrzał się wokół. Ludzie przechodzili, nie spoglądając na niego, ale też wyglądał jak jeden z nich, z modną fryzurą, gładko ogoloną twarzą, w zachodnim ubraniu. Ruch uliczny przepływał jak brudna rzeka.

Wszedł do Kinko. Od sztucznego oświetlenia rozbolały go oczy. Mrugając, usiadł przy komputerze i wprowadził kartę kredytową na przybrane nazwisko.

Przepisał wydruk od Martina Ghrandittiego, tłumacząc dane na arabski, potem przeszedł

online do [www.photoheat.com](http://www.photoheat.com), ohydnych fotografii dla dorosłych. W przeszłości ukrywał

teksty, zdjęcia i mapy na zachodnich stronach internetowych reklamujących książki, zabawki, samochody i sporty. Spenetrował nawet e-Bay. Ale chociaż agencje szpiegowskie przetrząsały eter programami wyszukującymi, znajdowały tylko ułamek tajnej korespondencji ukrytej wśród miliona stron i obrazów sieci.

Z mrocznym uśmiechem al-Hadi użył dysku z programem szyfrującym, żeby zamienić listę Ghrandittiego na tekst cyfrowy, który wyglądał jak śmieci - mieszanina symboli, cyfr i liter. Potem włączył z płyty program steganograficzny. Wszystkie pliki - teksty, obrazy, dźwięki - posiadały nieużywane albo nieistotne obszary danych, w których ten program potrafił ukrywać materiały.

Seria guzików z arabskimi napisami rozbłysła na ekranie. Pracował szybko, wpisał

ścieżkę dostępu do pliku i dodał lokalizację swojego zakodowanego tekstu. Program zażądał

wpisania hasła. Napisał *ihna hena* - jesteśmy tutaj - i nacisnął przycisk „zakończ”. W ciągu kilku sekund dane zostały wpisane w dziesiąte zdjęcie obscenicznej strony. Włączył

internetową niszczarkę śladów i wyszedł z programu.

Zadowolony z siebie wyjął kartę kredytową i płytę. Wrzucił je do torby sportowej obok M-4 i pistoletu. Stał wyprostowany, milczący, męski, prawy moralnie wojownik Allacha. Z

torbą w ręku wyszedł i wtopił się w bezbożne tłumy roziskrzonego Miami. Rozpamiętywał, jak ostatnim razem jeden z jego listów został odkryty przez niewiernych.

Byli tak skonsternowani, że musieli wysłać materiał do NSA - Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, gdzie matematycy potrzebowali superkomputera i roku, żeby rozkodować treść. Teraz nie będą mieli takiego luksusu - całego roku. Transport dotrze do niego za kilka godzin.

## **Okolice Herndon, Wirginia.**

W wiejskiej kuchni Bena Kuhnerta ogień na kominku wypalił się do rozmiarów nerwowych ogników. Wszyscy skupili uwagę na Jayu. Nieomal niedostrzegalnie mięśnie twarzy mu stwardniały, tak jak Elaine widziała to na wideo. Jay wyglądał arystokratycznie, biła od niego pewność siebie, która zmuszała, żeby wierzyć we wszystko, co powiedział, zaakceptować, co postanowił. Nawet Palmer wydawał się zauroczony.

Jakby udzielając namaszczenia, Jay spojrzał na każde z nich z osobna.

- Musimy dokładnie się dowiedzieć, co wchodzi w zakres transakcji, kto za nią stoi, kto jest kupującym, po co mu ten towar i kiedy oraz gdzie ma nastąpić wymiana. Trzeba działać szybko. Pamiętajcie, to już dzisiaj. - Pokiwali poważnie głowami. Spojrzał na Elijaha. - Ty słyszałeś o stardustach. Ukradziono je prawdopodobnie podczas transportu. Sprawdź to.

- Zobaczę, kto je produkuje i zacznę od niego - odparł natychmiast Elijah.

Jay przesunął „Briare’s” po stole w stronę Palmera. Ten chwycił czasopismo.

- Palmer, ty zajmiesz się sondami.

Stary agent szorstko kiwnął głową, co przypomniało Elaine, że przyzwyczajony jest do wydawania rozkazów, a nie do ich przyjmowania, nawet od Jaya.

- Współcześnie nielegalnych zakupów sprzętu dokonują głównie islamscy albo arabscy terroryści - kontynuował Tice.

Wtrącił się Ben.

- Ja się tym zajmę.

- A co ze mną? - spytał z błyskiem w oczach Frank, doświadczony, posiwiały agent z nijaką twarzą.

- Nadal masz swoje źródła wśród międzynarodowych handlarzy nielegalnym towarem? -

zapytał Jay.

- Jasne. Niektórzy utrzymują tak zażyłe kontakty w Waszyngtonie, że kupują w okolicy nieruchomości.

- Okay, znajdź pana G., który zatrudnia Jerry’ego i Rinka. Jest tak potężny, że potrafił

rozwalić Charta, wciągnąć w grę Larry’ego Litchfielda i zorganizować transport stardustów i wiroptaków. Jerry powiedział, że pan G. robi to od lat. Jest na szczycie. Najlepszy w branży. -

Przerwał. - Pamiętam kilku wielkich handlarzy, których nazwisko zaczyna się na G: Manucher Gorbanifar, Werner Glatt, Mark Allen Grady, Tim Gutterman.

- Po jedenastym września pojawił się ich nowy wysyp - dodał Elijah.

Jay kiwnął głową.

- Są jeszcze dwa szczegóły. Po pierwsze, mówiłem wam, że Milieu Software zatrudniło Kristopha i było przykrywką dla Charta. Nie wiem na pewno, dlaczego wybrali jego, ale domyślam się, że był po prostu świetnym programistą.

- Mógł stworzyć oprogramowanie, żeby śledzić transakcje pana G. - zauważył Elijah.

- Właśnie - przyznał Jay. - Raina ustaliła trzy alternatywne spotkania na dzisiaj. Jeśli coś mi się stanie, ktoś musi jej pomóc. - Podał godziny i miejsca.

- Zajmiemy się nią - zapewnił Palmer. - A drugi szczegół?

- Moses. Od czasu, kiedy wypłynął przy historii z „Deadaim”, czy któreś z was o nim słyszało? Nadal pracuje?

Palmer popatrzył na nich znad okularów do czytania.

- Minęło pięć lat, odkąd ktokolwiek wspomniał przy mnie to imię.

- To by się zgadzało - mruknął Elijah. - Pewnie odszedł w stan spoczynku. Ale ja nigdy nie miałem od niego tych słynnych telefonów z obietnicą przekazania rewelacji w zamian za grubą forszę. Dzwonił do któregoś z was?

Pokręcili głowami, a Jay zapytał.

- Czy ktoś wie, kim on jest?

I znów mężczyźni przy stole zaprzeczyli ruchem głowy. Ben wyglądał na zmieszanego.

- Co jest grane, Jay? Miałeś kontakt z Mosesem?

- Nie. To osobiste zainteresowanie. - Twarz Jaya była jak maska. Sięgnął za siebie, chwycił plecak i zmienił temat. - Ludzie, na których wyruszamy, są nieźli i być może nie tylko dlatego, że mają pomoc Larry’ego Litchfielda. Trzy razy wykołowali mnie i Elaine. - Wyjął i rozdał pięć telefonów komórkowych na karty. - Nie możemy ryzykować, że was namierzą przez wasze własne komórki. Każdy ma sto godzin na koncie i możemy rozmawiać w trybie konferencyjnym na sześć osób.

- Jakie jest moje zadanie? - zapytała Elaine.

- Zbyt wiele osób cię szuka, więc zachowasz się dyskretnie. Będziesz prowadziła mój samochód.

- I pilnowała cię - dodała.

Ben podniósł wzrok znad nowego telefonu komórkowego.

- Zostawię tu Houri, a ty i Elaine trochę się prześpijcie. Gdyby ktoś się pojawił na zewnątrz, suka da wam znać.

- Dzięki. Włączcie komórki - rozkazał Jay. - Sprawdźcie swoje numery. Będziemy musieli zapamiętać wszystkie, ale idą sekwencjami. Wiem, że nie muszę tego mówić, ale nie należy nosić ze sobą notatek... Ufam, że to, co tu zostało powiedziane, zachowacie dla siebie.

Dzwoncie, jak tylko czegoś się dowiecie.

- Jak za dawnych lat. - Oczy Bena błyszczały z podniecenia.

Jay patrzył na nich z dumą. Wstali, każdy zabrał swój kawałek medalionu. Wymienili numery telefonów. Jay włożył swój kawałek złota do kieszeni.

- Nasz ruch.

Ale ona już szła zmęczona jak pies. Przeznaczone dla nich pokoje na piętrze przylegały do siebie. Kroczył za nią długą klatką schodową, ich kroki współbrzmiały. Głosy agentów na dole cichły. Drzwi wejściowe się zamknęły. To wyszedł Ben, żeby skontaktować się ze swoim muzułmańskim źródłem.

Na szczycie schodów jednocześnie weszli w korytarz. Wydłużyła krok, żeby dorównać Jayowi. W ciszy znów usłyszała głos Billy'ego, jego łamiącą serce prośbę, żeby Jerry darował

mu życie, i stłumione pyknięcie wystrzału. Miała problem z oddychaniem. Przypomniała sobie opis śmierci Pavla Abendrotha na sporządzonej przez CIA liście przestępstw Jaya - od tego zaczęła się kariera Jaya jako wtyki.

Spojrzała z boku na niego i zmusiła się, żeby przemówić neutralnym tonem.

- Opowiedz mi o doktorze Abendrocie.

- A o co chodzi?

- Kazałeś go zabić?

Szli dalej, nie spuszczała z niego wzroku.

Profil miał granitowy.

- A jeśli tak?

- Ja... - odebrało jej mowę. Oczekiwała, że Tice zaprzeczy. Chciała krzyknąć. Dlaczego?



To pytanie odbijało się rykoszetem po jej głowie, ale przecież obiecała więcej nie pytać.

A on nie podjął tematu.

- Dobranoc. Prześpij się trochę. - Zniknął w swoim pokoju.

## **Północna Wirginia.**

W oddali huczał ruch na trasie numer 7. Rozglądając się po oświetlonym parkingu, Ben Kuhnert podbiegł do wejścia do meczetu, ściągnął buty i wszedł. Miał nadzieję, że nie przybył za późno. Błyskawicznie dokonał rytualnego obmycia rąk i twarzy, potem pospieszył do gabinetu imama na jego prywatnym tarasie.

Kiedy zobaczył imama Mustafę Nawwiego, odetchnął z ulgą - ceremonia picia kawy i herbaty jeszcze się nie zaczęła. Uspokoił się. Nie pokazał po sobie, jak bardzo niepokoi się, że nie wyciągnie z imama informacji dotyczącej tożsamości terrorystów zaangażowanych w transakcję z panem G.

Mustafa patrzył na niego zaskoczony z karafką w jednej dłoni.

- *Salam*, Binyamin. *Ahlan wa-sahlan* - Było to wyrażenie beduińskie: nasz dom otwarty jest dla ciebie jak równina. - Przyszedłeś o właściwej porze. Pozwól, że cię poczęstuję.

- *Salam*, Mustafa. Mnie też jest miło cię widzieć.

Pikantny zapach zaprawionej kardamonem kawy unosił się w chłodnym powietrzu poranka.

Jak święty z dawnych czasów, Mustafa Nawwi był wychudzony, nosił czarną brodę i zwyczajną, czarną szatę. Wyjął dwie filiżanki z kredensu nad stołem, nalał kawy i wręczył

jedną Benowi.

Ponieważ to Mustafa jako pierwszy nalewał, on powinien też jako pierwszy zabrać głos.

- Pamiętam, jak twój *khall* przyjechał z Jerozolimy i nauczył nas, wtedy jeszcze chłopców, tradycji. Byliśmy takimi Amerykanami.

- Ja nadal jestem Amerykaninem - powiedział cicho Ben. - Ale też muzułmaninem. Jeśli nie czujesz się Amerykaninem, dlaczego tu zostałeś? - Znał odpowiedź i chciał na niej zbudować swoją argumentację.

- Ach, ależ ja czuję się bardzo amerykańsko. Nie ma między nami różnicy zdań, nie licząc tego, że chcesz mnie zwrócić przeciwko niektórym z mojej trzódki. Ale oni nie odpowiadają przede mną, Ben, tylko przed Allahem. Rozumiem teraz, dlaczego nie przychodziłeś tutaj od miesięcy. Zasmuca mnie to.

Idąc za przykładem imama, Ben odchylił głowę i się napił. Kawa była gorąca jak pustynia i gorzka

jak rozczarowanie, oczyszczała podniebienie i duszę. Każdy ruch w tym rytuale miał swój cel, odzwierciedlał beduińską filozofię życia. W ten sposób uniknięto wielu krwawych starć na piaskach. Wykorzystując tradycyjną ceremonię, Ben próbował namówić starego przyjaciela, żeby przekazał mu informację na temat handlu bronią.

Nalał i podał filiżankę imamowi. Teraz Ben przemówi jako pierwszy.

- Idee to jedna sprawa. Działanie to zupełnie co innego. Pokazałem ci dowody, wszystkie z publicznych archiwów. To fanatycy, którzy używają dżihadu jako wymówki, żeby zabijać każdego, kto za nimi nie pójdzie, podczas gdy ty i ja wiemy, że w Koranie jest prawda: Twoim zadaniem jest nakłaniać; nie wolno ci zmuszać do wiary.

Na oliwkowej twarzy Mustafy pojawiło się zamyślenie.

- Ale to nie daje mi prawa do oceniania szczerości ich wiary.

- Stary przyjacielu, czy myślisz, że nie jest naszym obowiązkiem powstrzymywanie zła?

Esencją praw Allacha jest sprawiedliwość dla całej ludzkości.

Mustafa spojrział na niego ostro.

- Ben, przyszedłeś tutaj o tak wczesnej porze, żeby prowadzić dysputę? Co się stało?

- Wykonywałem pewną kontraktową robotę dla departamentu i natknąłem się na nielegalny handel bronią. - Departament Stanu był dla niego przykrywką od bardzo dawna. -

To jest gdzieś w pobliżu. Może przecznicę dalej. Albo nawet tutaj, w meczecie. Wiesz, że ich celem są teraz muzułmanie nie ekstremiści.

Twarz imama spoważniała, a Ben zwrócił się na wschód, w stronę Mekki. Imam przyłączył się do niego. Zetknęli się ramionami, co fizycznie miało im przypomnieć, że ludzkość jest wspólnotą, a jej różnorodność czymś niezbędnym i pięknym.

Dopijali resztkę mocnego naparu, a Ben zmawiał cichą modlitwę, żeby jego argumentacja trafiła do celu.

Imam odstawił na bok filiżanki od kawy i do mniejszych nalał herbaty - słodkiej, miętowej, symbolizującej samo życie. To kończyło rytuał. Pijąc, Ben niepokoił się, czekał na decyzję Mustafy. Kiedy już opróżnili naczynia, odstawili je na stół i objęli się, poklepując po plecach.

Przyszła kolej na imama, żeby nawiązać rozmowę. Ben patrzył nerwowo, jak Mustafa się cofa. Duchowny skrzyżował ramiona, zrobił poważną minę. Ale chyba coś postanowił.

- Nam, Beduinom, w żyłach płyną piaski pustyni - powiedział w zamyśleniu. -

Spędziłem sporo czasu z naszym plemieniem w Jordanii. Mają ciężkie życie, ale radosne, bo chwalą

Allacha za to, co przynosi im każda chwila. Czują się oblani deszczem miłości Allacha, a nie nienawiści. - Zawahał się, pokiwał głową. - Masz rację, pozwoliliśmy, żeby ekstremiści zredefiniowali islam nie tylko dla świata, ale i dla wielu z nas. - Wyprostował się.

- Zostań na modlitwę, Benie. Potem podam ci nazwisko osoby, która może coś wiedzieć.

**31.**

# Waszyngton.

Laurence Litchfield zbiegał po schodach swojego domu z końca XIX wieku. Panowała poranna szaruga. Włączył światło w gabinecie i usiadł za biurkiem. Za nim po cichu tykał

zegar odziedziczony po pradziadku. Na piętrze spała żona i dzieci. Lubił tę ciszę, to poczucie całkowitego panowania.

To była piekielna noc zwieńczona dramatyczną wiadomością, że ludzie Ghrandittiego zgubili Jaya Tice'a i Elaine Cunningham w wiejskich okolicach Wirginii, mimo że zasadzka powinna być jak celny rzut do kosza. Ilekroć o tym myślał, nachodziła go chęć, żeby osobiście wykończyć tych dwoje. Nieźle sobie poczynali, a do tego Cunningham musiała zdać sobie sprawę, jaką rolę odegrał w przygotowaniu nieudanej zasadzki. A jeśli Jay był w dobrej formie psychicznej, to mogła mu wszystko powiedzieć.

Ale jeszcze nie wszystko stracone. Zanim poszedł do łóżka, odbył długą rozmowę z szefem policji Silver Spring, który rozumiał znaczenie bezpieczeństwa narodowego i miał

natychmiast dać sygnał, jak tylko znajdą Cunningham.

Sytuacja z Rainą Manhardt też dobrze rokowała. W Paryżu został wyeliminowany przyjaciel jej syna, ten sam los spotkał mieszkańca Genewy, który przekazał taśmy kamer nadzoru budynku Milieu Software. Dzięki pomocy Volkera Rehwalda z BND Alec wykrył, że „Melissa O'Dey” kupiła w Genewie bilet lotniczy. Potem, kiedy przeglądali zapisy wideo wsiadających na pokład pasażerów, Rehwaldt zauważył ją w przebraniu.

Litchfield, z chłodnym uśmiechem, włączył komputer i włożył płytę o Jayu, którą nakazała sporządzić Cunningham. Opuścił plik z e-mailami i przeszedł prosto do najważniejszego - danych dotyczących superszpiega. Były pogrupowane według kategorii: ludzie, miejsca, lata, misje i tak dalej. Przeglądał zapisy, od czasu do czasu robiąc notatki.

Właśnie wszedł w operacje Jaya, kiedy usłyszał, że na podjeździe zatrzymały się samochody. Odwrócił się na krześle i wyjrzał przez obrosnięte bluszczem okno, nad zielonym trawnikiem, wykładanymi czerwoną cegłą drózkami i sadzawką ze złotymi rybkami. Z

zaciśniętymi zębami wstał błyskawicznie, wybiegł z gabinetu i otworzył drzwi wejściowe.

Nate Harroldsen z biura bezpieczeństwa Langley stał na ceglanej werandzie z rękami założonymi z tyłu.

- Dzień dobry panu - powiedział radośnie. Miał jasnoblonde włosy i szeroki, perkaty nos.

- Zobaczyłem światło w gabinecie, więc nie dzwoniłem do drzwi, żeby nikogo nie budzić.

Chcę, żeby pojechał pan z nią do Langley.

Litchfield uśmiechnął się sztucznie, chociaż w głębi duszy przeklinał. Na podjeździe stał

opancerzony, czarny sedan, a za nim wóz eskorty z migającymi niebieskimi światłami.

Litchfield uśmiechnął się szerzej i uklonił w stronę przyciemnianych szyb sedana, przyjmując do wiadomości obecność Bobbye Johnson.

- Daj mi chwilę - poprosił.

- Ona się spieszy - ostrzegł go Harroldsen.

- Zrozumiałem - odparł szorstko.

Zostawił drzwi wejściowe otwarte i pobiegł do gabinetu. Wyjął płytę z komputera i sprawdził, czy w komórce nie ma wiadomości. Była jedna od Aleca. Włożył CD do teczki i nacisnął w komórce guzik szybkiego wybierania numeru. Kiedy znajdzie się w towarzystwie Bobbye, nie będzie mógł rozmawiać ani z Alekiem, ani z Ghrandittim.

Teczkę miał już spakowaną, elektroniczny zamek włączony. Ze zdenerwowaniem czekał, aż Alec odpowie.

- Mów szybko - warknął Litchfield. - Dyrektor czeka na moim podjeździe.

Alec bezczelnie parsknął śmiechem.

- Szczęściarz z ciebie. - Potem spowaźniał. - Teraz wierzę w opowieści o eskapadach Rainy Manhardt podczas zimnej wojny. Udało się jej rozplątać na lotnisku w Mediolanie.

Litchfield zaklął na głos.

- Co się stało?

- Wysłałem jednego z naszych agentów, żeby wszedł z nią na pokład i towarzyszył jej, aż do Waszyngtonu, gdzie zostanie zgarnięta. Łatwo namierzył cel, ale kiedy stali przy bramce, w jednej chwili zniknęła. Szukał wszędzie, ale w końcu wszedł na pokład, sądząc, że się prześlizgnęła i schowała. Nic z tego. Pojechaliśmy do Mediolanu i przeszukaliśmy terminal. Przejrzeliśmy listy pasażerów. Nie wykorzystwała żadnej z tożsamości z BND. Teraz jesteśmy w powietrzu. Nie mam pojęcia, czy ona leci na lotnisko Dullesa. My lecimy.

Zanim Litchfield zdołał odpowiedzieć, rozległ się dzwonek u drzwi. Świadomość siły, która stała za drzwiami, bardziej go zirytowała niż sam hałas. Alec też usłyszał brzęczenie.

- Znów Bobbye Johnson?

Litchfield puścił pytanie mimo uszu. Przekazał nazwiska i kontakty z trzema funkcjonariuszami Charta, którzy przeżyli.

- Niech jeden jedzie na lotnisko Reagana, drugi na Dullesa, trzeci na Baltimore. Dam ci więcej ludzi, jak uda mi się ich zwolnić z innych zadań.

Nie czekając na odpowiedź, przerwał połączenie i wyszedł, znów fałszywie się uśmiechając. Przeszedł obok Harroldsena, podbiegł dróżką i usiadł obok Bobbye. Podała mu kubek z latte. Nie lubił białej kawy. Dyrektorka ubrana była w granatową spódnicę, a nie jak zazwyczaj w spodnie. Miała niezłe nogi jak na pięćdziesięciolatkę. Krótko przycięte, kasztanowe włosy były perfekcyjnie szesane z szerokiego czoła.

Już zaczynał dziękować za kawę, ale weszła mu w słowo.

- Mamy zebranie dowództwa - oznajmiła szorstko, kiedy wozy cofały się z podjazdu. -

Połączona komisja do spraw wywiadu spotka się na zamkniętej sesji, żeby omówić sprawę Jaya Tice'a. Charta i Elaine Cunningham.

Zignorował dreszcz niepokoju.

- Ano właśnie. Tak jak przewidywałaś.

Pokiwała z rezygnacją głową i napiła się kawy.

- Czy jest coś, co chciałbyś mi powiedzieć o Charcie, Larry?

W głowie zapaliło mu się ostrzegawcze światełko.

- Stało się coś jeszcze?

- Doceniam bezpośrednie odpowiedzi na moje pytania. - Wyraz twarzy miała neutralny, nijaki.

- Nic, co by mi przychodziło na myśl - odparł, nadając słowom ton szczerości.

- Interesujące. Zdażyłam już wpaść do Langley na wypadek, gdybym się nie myliła, że zbiera się komisja. Na moim biurku czekał niepokojący raport. Nasi ludzie od finansów przejrżeli aktywa Charta. Wyobraź sobie, co odkryli... - Znów napiła się kawy. Ręce jej nie drżały. Czekala na odpowiedź.

Natychmiast domyślił się, że Bobbye zarzuca sieć i ma nadzieję, że uzyska potwierdzenie swoich przypuszczeń albo wyciągnie z niego coś, czego nie wiedziała.

Postawił kubek na kolanie i zrobił zatroskaną minę.

- Wybacz, Bobbye, nawet się nie domyślałam, o co ci chodzi. Powiedz, może będę mógł ci pomóc.

Popatrzyła na niego i kiwnęła głową.

- Chart czerpał zyski z większości spółek przykrywek. Ty wzięłaś ten wydział pod swoje skrzydła, zrobiłaś z niego własny zespół do zadań specjalnych. Jak mogłaś o tym nie wiedzieć?

Udał, że jest zaszokowany.

- Jesteś pewna? Och, oczywiście, że tak, inaczej nie podjęłabyś tematu. Chcesz powiedzieć, że Hannah była w to zamieszana? Może dlatego zaatakowano... - Opadł na fotel i zapatrzył się za okno. Myślał szybko. Wiedział o tym nadużyciu od samego początku i korzystał z niego, żeby trzymać Hannah pod obcasem.

- Larry, musisz przyzwyczać się, że będę teraz blisko ciebie - powiedziała Bobbye, kiedy mijali Biały Dom. - Od dziś jesteśmy jak przykuci. Coś śmierdzi i ty pomożesz mi odkryć, co.

## **Miami Beach, Floryda.**

Marie Ghranditti stała przed lustrem rozciągającym się na całą długość jej łazienki.

Oczy miała niebieskie. Nie zielone - niebieskie. Jednym ruchem nadgarstka ściągnęła ręcznik z głowy. Powoli uśmiechnęła się do siebie. Jej wilgotne włosy były teraz ciemnobrązowe, prawie czarne. Nie będzie już miała tego samego nosa czy podbródka, jak kiedyś, ale przynajmniej farba przypominała dawny kolor włosów.

Odwróciła głowę, nasłuchując. Ogarnął ją cichy strach. Martin wrócił do ich sypialni.

Szybko owinęła głowę ręcznikiem i nałożyła szkła kontaktowe. Odwróciła wzrok od lustra.

Nie mogła znieść widoku zielonych oczu. Należały do zmarłej kobiety.

- Marie!

Jego głos rozbrzmiewał echem w przepaści wspomnień z miasteczka na Białorusi, gdzie zabił człowieka, który miał przewieźć jej siostrę i ją do Hongkongu albo Tajpej. Katia chciała jechać, chociaż obie wiedziały, co tam się dzieje z dziewczynami. Dla siostry Katii wszystko było lepsze niż głód i przemoc na Białorusi w 1990 roku. Katia miała osiemnaście lat, ona -

Emmi - siedemnaście. Od tamtego czasu Martin wspiera Katię, która mieszka w Rzymie z pięciorgiem dzieci i bez męża.

- Idę, Martinie. Poczekaj chwilę, proszę.

Poranną tabletkę oxycontinu zostawiła przy umywalce. Kiedy terapeuta przepisał jej ten środek jako potężny narkotyk, odnalazła w bibliotece informację na temat specyfiku i przestawiła się na melatoninę zażywaną wieczorem na sen, immodium na nieustanne rozwolnienie i herbaty ziołowe na żołądek. To było sześć tygodni piekła. Otworzyła pudełko z opatrunkami i wrzuciła tam pigułkę. Przyda się później.

Wślizgnęła się w gruby płaszcz kąpielowy frotte i się przepasała. Otworzyła drzwi, uśmiechając się

promiennie.

- Jaki piękny poranek. Będiesz dzisiaj w domu? - Wiedziała, że nie; Armand powiedział, że Martin wylatuje do Waszyngtonu.

Lokaj wymienił z nią ukradkowe spojrzenie, potem obszedł Martina, stanął za nim z tyłu i poprawił marynarkę, którą Ghranditti włożył na ten dzień. Miała kolor norek z rubinowym pasem dobranym do jedwabnego krawata Martina. Śniadanie - jajka w szklance, świeży grejpfrut i bagietki - czekało na balkonie wychodzącym na basen z panoramicznym widokiem kanału i Miami na drugim brzegu.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Marie. - Martin uśmiechnął się szeroko, w ciemnych oczach skrzyło się szelmstwo. - Na stole leży prezent dla ciebie.

- Naprawdę? Och, jaki ty jesteś dobry. - Musnęła wargami jego usta, klasnęła w dłonie jak dziecko i podbiegła do stołu. Zachowywała się właśnie tak, jak tego pragnął.

Przybyła do niego niedożywiona i niewykształcona, a on wychował ją jak dziecko.

Uczył, dopóki nie zaczęła odpowiadać jego potrzebom. Świetnie знаła nie tylko wielkoduszność Martina, ale też napady wściekłości i twarde pięści. Każdy prezent miał swoją cenę.

Kiedy Armand wyszedł ze spuszczonego wzrokiem, Martin promiennie uśmiechnął się do żony poprzez luksusowo urządzonej sypialnię. Jego kruczoczarne włosy ze srebrnymi nitkami okalały mu twarz. Opalenizna - odświeżona tego poranka w domowym salonie piękności - połyskiwała. Ciężkie rysy twarzy promieniowały pewnością siebie równie zmysłową, jak odpychającą.

Marie siedziała przy stole i wdychała świeże oceaniczne powietrze, próbując cieszyć się tuzinem perfekcyjnie pięknych białych róż stojących na środku blatu w bezcennej wazie z okresu Ming. Opuściła wzrok na proste, czarne, emaliowane pudełko - prezent urodzinowy od Martina. Znowu uśmiechnęła się, czekając, aż on usiądzie.

To była praca, mówiła sobie. Życie z Martinem, spełnianie jego zachcianek, robienie z siebie „Marie”, to po prostu praca, lepsza niż cokolwiek, co mogłaby sobie znaleźć na Białorusi. Ale teraz doszły dzieci. Planowała od czterech miesięcy, chowała gotówkę, którą dostała za kilka ciuchów i podarków. Zbierała siły.

- Dzieci się ubierają - oznajmił. - Opisałem im wyspę: szerokie plaże, las i słoneczny klimat. To raj, prawdziwe Shangrila. Codziennie będę zabierał dzieci na ryby i na żagle. Jest tam zoo z pawiami, żyrafami i gazelami. A nawet wioska tubylców. Mówią łamanym angielskim, ale są przyzwyczajeni do obsługi „wielkiego domu”. Na pewno ich udomowimy. Rozpakuj prezent, kochanie. - Żuchwy drżały mu z oczekiwania.

- Jesteś dla nas taki dobry. Dzieci pewnie szaleją z radości.

- Zmieniłaś zdanie? - zapytał. - Też chcesz się przeprowadzić?

- Oczywiście, Martinie. Muszę być z tobą. Jestem twoją Marie, prawda?



Jego wielka, spocona dłoń przykryła jej rękę. Marie wewnętrznie skuliła się, na zewnątrz uśmiechnęła. Patrzył na nią ze łzami w oczach, bo widział to, co chciał zobaczyć -

kobietę z dawnych lat, Marie Tice z platynowymi włosami i zielonymi oczami, uzależnioną od lekarstw, która umarła w swoje trzydzieste pierwsze urodziny, którą - jak mu się zdawało -

rozpaczliwie kochał i kocha nadal.

- To kamień milowy, najdroższa - oświadczył. - Skończyłaś trzydzieści jeden lat. Mam nadzieję, że spodoba ci się prezent urodzinowy.

Puścił jej rękę, a ona podniosła wieczko. Nie myśląc, wydała stłumiony okrzyk. Patrzyła na morze nieoszlifowanych diamentów. Każdy lśnił wewnętrznym blaskiem, prawie jakby był

żywą istotą. Efekt zapierał dech w piersiach. Więcej, zobaczyła w tym bezpieczeństwo dla dzieci.

- Martinie! - zawołała. - Jakie to piękne. Czy zdołam ci się odwdziaczyć?

Zostawiła wieczko otwarte. Jadła, zerkając na połyskujące kamienie. Zastanawiała się, ile mogłaby za nie dostać. Z tym, co już uzbierała, wystarczyłoby, żeby zniknąć z dziećmi tak skutecznie, że nikt - nawet Martin Ghranditti i jego armia zbirów - nie potrafiłaby ich znaleźć.

Ale kiedy wstała, żeby odejść, niespodziewanie podniósł emaliowane pudełko. Przeszedł ją zimny dreszcz, bo zobaczyła w ciemnych oczach podejrzenie.

Na jego ustach pojawił się sadystyczny uśmiech. Martin zamykał wieczko powolutku, patrząc na nią z nadzieją, że zareaguje.

- Te wspaniałe klejnoty będą na ciebie czekać na wyspie, kochanie - powiedział

łagodnie. - Pomyśl, z jaką przyjemnością znowu je zobaczysz.

Kiedy wyszedł, pokój jakby odetchnął z ulgą. Osłabiona strachem odepchnęła się od stołu, chwyciła za balustradę balkonu i spojrzała, ponad basenem, na bramę do posiadłości.

Dzieci i ona byli marzeniem Martina, a marzenia takich ludzi jak on nie są w stanie przetrwać w realnym świecie. Kiedy tylko przeniosą się do wyspiarskiego „raju”, nigdy im nie pozwoli stamtąd odejść. Teraz była tego pewna.

Kiedy długa, czarna limuzyna znikła, Marie usłyszała ciche stukanie do drzwi.

Wyprostowała się z trudem i wbiegła do sypialni.

- Proszę.

Armand wszedł i szybko zamknął drzwi. Oczy miał pełne troski.

- Dzisiaj? - zapytał.

- Tak, Armandzie - powiedziała stanowczo. - Dzisiaj.

**32.**

# Waszyngton.

Pokój konferencyjny w dostojnym budynku senatu był wyciszony, drzwi zostały zamknięte. Chociaż obrady połączonej komisji do spraw wywiadu były nagrywane, prasy nie dopuszczono. Członkowie komisji siedzieli na krzesłach wokół wypolerowanego mahoniowego stołu. Twarze mieli skupione. Przesłuchania zawsze były pełne treści, a tego ranka chodziło o ważną ofiarę - dyrektora centrali wywiadu.

Z honorowego miejsca przy stole rozlegał się huczący głos senatora Bradleya Wrethforda z Nevady, a jego kaprawe oczka wpatrywały się w siedzącą po drugiej stronie Bobbye Johnson.

- Więc mówi nam pani, że Langley nic nie wie. Pan Litchfield nic nie wie. I pani nic nie wie. - Nachylił się tak blisko do mikrofonu, że mógłby go ucałować. - Czy możemy zareagować inaczej niż całkowitym niedowierzaniem albo oburzeniem, że wybuchły kolejne skandale?

Laurence'owi Litchfieldowi nie spodobało się to: „Litchfield nic nie wie”. To była długa godzina, kiedy członkowie komisji po kolei krytykowali CIA. Znał reguły gry. Wiedział też, że im gorzej wypadnie Bobbye Johnson, tym szybciej zostanie zmuszona do odejścia. Jego celem było sprawić, żeby to, co się dzisiaj dzieje, umocniło w głowach senatorów przekonanie, że właśnie on jest właściwym człowiekiem na miejsce Bobbye.

Członkini Kongresu, Janet Deloitte z Alabamy, miała miękkie policzki i brązowe, sarnie oczy. Pozdrowiła obecnych uprzejmym akcentem z głębokiego Południa, który jednak nie współgrał z jej wyostrzoną umiejętnością intrygowania.

- Zatem, moi drodzy, dyrektor nie odnalazła Tice'a ani Cunningham - Trzymała na liście płac człowieka z niemal patologiczną osobowością. - Przypominam, że na Cunningham wydano nakaz aresztowania za zabicie niewinnego młodego człowieka. Ponadto pani dyrektor nie dysponuje żadnymi informacjami na temat zmasakrowania jej tajnej jednostki. Sądzę, że pan Litchfield ma rację, Tice wiedział, że Chart go szuka, więc wynajął zabójców, którzy dokonali uderzenia wyprzedzającego. To sprawia, że CIA wypadła gorzej niż głupio. Ostatnie wydarzenia to kolejne przykłady jaskrawej niekompetencji pani Johnson. - Uśmiechnęła się złośliwie.

- Dowody przeciwko Elaine Cunningham są poszlakowe - odparła spokojnie dyrektor. -

Nie ma naocznych świadków. Co do tego, jak uciekł Tice, to robota dla FBI. My mamy go tylko znaleźć, i znajdziemy. - Wargi jej zbieleły. Nie patrzyła na Litchfielda. - Nie wiadomo, czy to Tice wykonał mokrą robotę w Charcie. Musimy bez uprzedzeń zbadać wszelkie dowody, żeby zidentyfikować, zlokalizować i doprowadzić sprawcę przed oblicze wymiaru sprawiedliwości.

W jej głosie zabrzmiały tony idealistyczne. Litchfield widział, że poruszyły one niektórych członków komisji. Należało to powstrzymać.

- Jeśli wolno - wtrącił się uprzejmie. - Mam propozycję, która mogłaby rozwiązać wiele naszych problemów.

Wrethford spojrzął na zegarek.

- Śmiało, młody człowieku. Lubię rozwiązywać problemy.

Litchfield poczekał, aż wszyscy skupią na nim uwagę.

- W dzisiejszych czasach staramy się unikać tego, co mogłoby zachwiać wiarę w bezpieczeństwo Ameryki. Dlatego jesteśmy zgodni, że Tice'a należy za wszelką cenę wsadzić z powrotem za kratki, zanim o jego ucieczce dowie się opinia publiczna. Nikt nie potrafił

przewidzieć, co się stanie z Cunningham i naszą jednostką. - Uśmiechnął się słodko do dyrektora. Zmrużył podejrzliwie oczy. - Dyrektor mnie chroni. Prawda jest taka, że nasi ludzie odkryli ciemne interesy Charta z jego spółkami przykrywkami.

Gniewny pomruk rozległ się wokół stołu. Oczy wlepiły się w Bobbye Johnson.

Spodziewał się, że wywoła szok. Na pewno była wściekła, że ujawnił tę informację. Mimo to zachowała kontrolę, siedziała z dłońmi złożonymi elegancko na podołku i podniesioną głową.

Poczuł się dziwnie nieswojo.

- Fakty są takie - poprawiła go - że tuż przed naszym spotkaniem poinformowano mnie, że kradzieże datują się od czasu sprawowania urzędu przez Tice'a.

- Fakty są również takie - dodał szybko - że Tice mógł o tym wiedzieć.

Wrethford odłożył pióro i sapnął.

- Co za cholernie mętna woda! - Popatrzył złym wzrokiem na Bobbye Johnson. - Pani sama powinna nam to powiedzieć. - Uśmiechnął się do Litchfielda. - Niech pan mówi dalej.

Nie widzę wielkich nadziei na uporządkowanie tego bagna, ale chętnie posłucham.

Czas odgrywał tu ogromną rolę. Litchfield o tym wiedział.

- Za niecałą dobę pałeczkę w poszukiwaniach przejmuje FBI. To znaczy, że trzymanie ucieczki Tice'a w tajemnicy przed opinią publiczną będzie trudniejsze, bo w pościg zostanie zaangażowanych więcej ludzi. Jeśli mielibyśmy stanąć w obliczu katastrofy medialnej, lepiej to zdarzenie wyprzedzić. - Zauważył, że członkowie komisji kiwają głowami. - To znaczy, że musimy wyjść z wiadomością o ucieczce Tice'a jeszcze dzisiaj, zanim nastąpi przeciek, i tym samym skontrolować oskarżenia o nieudolność albo wprowadzanie opinii publicznej w błąd.

Nikomu nie zależy, żeby znów wyciągać sprawę Tice'a, ale ma to też pozytywne strony.

- Wątpię, panie Litchfield! - zaprotestował senator z Utah.

- Chcę wysłuchać argumentów - oświadczyła członkini Kongresu z Ohio.

- Dziękuję pani - odparł szczerze Litchfield. - Jeśli CIA i FBI przygotowują wspólne oświadczenie dla prasy, Ameryka ujrzy swoje dwie najważniejsze agencje wywiadowcze pracujące ręką w rękę, co usilnie próbujemy osiągnąć zwłaszcza po jedenastym września.

Możemy wprawić w ruch wszystkie organy ścigania, a Tice znajdzie się na językach w tysiącach kawiarni, barów i czaterii. Presja zacznie rosnać. Będzie popełniał błędy i złapiemy go szybciej. - Znów kiwanie głowami. - Ponadto, w serwisach informacyjnych w tym tygodniu było mnóstwo o atakach terrorystycznych. Ucieczkę Tice'a wykorzystamy jak zawór bezpieczeństwa, przez który upuści się trochę pary.

Wściekłość wylewała się ze wszystkich porów dyrektor Johnson. Wymanewrowano ją, ale prędzej czy później i tak by do tego doszło. Litchfield nie lubi nieudaczników. Najlepsze intencje, najszczytniejsze cele, najświętsze zaklęcia miał za nic, gdy dotyczyły zwyczajnych ludzi. A Bobbye Johnson była właśnie zwyczajna.

### **Góry Blue Ridge, Wirginia.**

Gęsty, górski las błyszczał jak zielony neon w promieniach wspinającego się na niebo słońca. Na brzegu polany pachnącej jedliną, na drewnianych kłodach leżały cztery deski, tworząc kwadratową ławę medresy - szkoły religijnej - na wolnym powietrzu. Ben Kuhnert przeszedł obok, eskortowany przez trzech mężczyzn w mundurach maskujących, celujących do niego ze starych, ale śmiertelnych karabinów M16. Z szalásów ukrytych pod gęstym okapem drzew wyszło więcej ludzi. Byli wysocy, muskularni, mieli kanciaste twarze i kamienny wzrok. Ze znanstwem obchodzili się z bronią. Mimo chłodu poranka Ben pocił się jak mysz. Nie był uzbrojony.

Strażnicy prowadzili go w stronę wielkiego szalásu, z którego wyszedł

trzydziestokilkuletni mężczyzna - typowy afgański wojownik. Nosił płaską czapkę pakol i miał ładnie przystrzyżoną czarną brodę. Z biodra zwisał mu pistolet półautomatyczny kaliber 9 milimetrów. W prawej ręce niósł niedbale kałasznikowa, a w lewej radiostację. Niebieskie oczy przypominały wąskie szczeliny w gładkiej, brązowej skórze, gdy przyglądał się przybyszowi.

Ben zatrzymał się i podniósł wzrok na Gul-szacha, szefa tego tajnego obozu szkoleniowego. Pozdrowił go po pasztuńsku i powiedział:

- Imam Nawwi w swej uprzejmości zasugerował, że Gul-szach, mój brat w Allachu, mógłby mi pomóc wydobyć informacje, których potrzebuję.

Szach uniósł czarne brwi. Po angielsku, z najlepszym bostońskim akcentem, odparł:

- Mówisz lepiej pasztuni niż ja. Ale ty nie jesteś Pasztunem.

- Lud mojej matki to Beduini. Mojego ojca to Niemcy. Jestem muzułmaninem z obu stron.

Gul-szach kiwnął głową.

- Jakich informacji szukasz?

Ben przybył tutaj, ufając, że Mustafa nie wysłałby go na pewną śmierć, a szach i jego ludzie byli prawdziwymi Pasztunami żyjącymi według liczącego pięć tysięcy lat obyczaju pasztunwali. - Nakazywał on tolerancję dla wszystkich i niemal skrajny szacunek dla obcych i gości. Ale jednocześnie Pasztuni byli znanymi wojownikami. Mówiono, że żyją spokojnie tylko wtedy, gdy prowadzą wojnę.

- Mam powód, żeby sądzić, iż gdzieś tu, w pobliżu, znajdzie się wielki transport przemycanej broni i sprzętu wojskowego - powiedział Ben. - Chciałbym się dowiedzieć, kto kupuje, dokąd transport zmierza, kiedy i gdzie nastąpi transakcja.

W tłumie odezwał się groźny pomruk. Gul-szach pozwolił, żeby ryk stał się głośniejszy.

Jego błękitne oczy znów wpatrzyły się w przybysza. Zastanawiał się. Ben oddychał równo, starając się uspokoić przyspieszone tętno.

Szach uniósł kałasznikowa wysoko nad głowę i potrząsnął nim. Hałas natychmiast ustał.

Przywódca zwrócił się do Bena:

- Czy imam Nawwi powiedział, dlaczego sądzi, że możemy mieć dostęp do tej informacji i dlaczego powinniśmy się nią z tobą podzielić, gdyby tak było.

- Wątpię, żeby coś o tym wiedział - przyznał Ben.

Pan wojny ściągnął wargi. Nie wiadomo dlaczego spodobała mu się ta odpowiedź.

- Co ci o nas mówił?

- Urodziliście się w tym kraju albo przybyliście tu jako bardzo małe dzieci. Jesteście Amerykanami. Pasztunami-Amerykanami. To wszystko. - Ich lud pochodził z dzikich i często pozbawionych prawa okolic rozpościerających się po obu stronach wysokich gór między Afganistanem a Pakistanem.

Gul-szach skinął ręką na trzech mężczyzn eskortujących Bena.

- Wprowadźcie go.

\*

Na oczach zgromadzonych pan wojny i obcy znikli w chacie. Jeden z partyzantów wszedł niepostrzeżenie w las. Miał turban koloru popiołu i brytyjski karabinek szturmowy Bullup. Zaczaił się w cieniu, a kiedy upewnił się, że nikt za nim nie idzie, z fałd szaty wyciągnął telefon komórkowy i wybrał numer.

Usłyszał głos szefa.

- Tu Matuzalem - podał swój kryptonim.

- Raportuj.

- Pojawił się Ben Kuhnert. - Przytoczył pytanie Kuhnerta o transport broni. - Nikt przy zdrowych zmysłach nie wszedłby bez broni do obozu, chyba że sytuacja byłaby krytyczna...

albo gdyby zwariował. Kuhnert zachowywał się bardzo poważnie. Nie ostrzegłeś mnie, więc pomyślałem, że nie jest na twojej liście płac.

- Zgadza się, ale to ciekawa informacja. Powiedz coś więcej.

Dalej szef mówił trochę bez sensu. Matuzalem słuchał uważnie, aż dotarły do niego stłumione odgłosy stukania w klawiaturę i warkot silnika samochodu.

- Nie możesz swobodnie rozmawiać, prawda? - zapytał.

- Abu Dabi to dobre miejsce na nocleg. Więc dokąd pojedziesz?

- Okay, zrozumiałem. Czyli Kuhnert działa na własną rękę, a my nie wiemy, co zamierza. Jeśli Gul-szach przyłapie faceta na kłamstwie, to z pewnością każe go pogrzebać pod sosnami, gdzie nikt nie znajdzie zwłok. Chcesz, żebym do tego doprowadził?

- Powiedziałbym, że zatrzymany.

- Można go sprzątnąć, szefie.

- Mimo wszystko.

- Zrozumiałem. - Matuzalem wyłączył komórkę i wyslizgnął się spomiędzy drzew.

**33.**

# Waszyngton

Wczesne, poranne chmury znikły i niebo miało kolor kruchego błękitu. Stare drzewa magnoliowe i dęby rzucały długie cienie na faliste trawniki Wzgórza Kapitońskiego.

Litchfield i Bobbye Johnson szli spieszenie w stronę opancerzonego sedana.

- Powiedz, dlaczego niby nie powinnam cię wywalić z roboty. - Usta Bobbye stały się cienką, złowieszczą linią.

Laurence Litchfield poczuł niepokój. Dyrektor centrali wywiadu była jedną z nielicznych osób w rządzie federalnym, którym prawnie przysługiwał bezwarunkowy przywilej zatrudniania i zwalniania pracowników bez podawania przyczyny, żeby chronić bezpieczeństwo agencji. Musiał przetrwać na stanowisku tylko jeszcze jeden dzień, potem będzie dysponował środkami, żeby zmusić ją do dymisji.

- Bo po tym, co się stało, nie wyjdiesz na osobę małosłowną - odparł uprzejmie, odczuwając przez moment litość. - I dlatego, że twój czas już się kończy. Do diabła, trzeba przyznać, długo wytrwałaś. Szczególnie, jeśli weźmie się pod uwagę, że Jay Tice został

aresztowany po tym, jak przejęłaś ster, a obrona odbiera Langley coraz więcej prerogatyw, szepcząc, co i komu trzeba w Gabinetach Ovalnym. Nie byłaś w stanie tego przerwać ani tych ciągłych obelg dotyczących braku umiejętności, integralności i produktywności Langley.

Naprawdę nie rozumiem, dlaczego jeszcze się trzymasz.

Szofer otworzył przed nią tylne drzwi. Litchfield szybko okrążył wóz i wszedł z drugiej strony.

Popatrzyła, jakby go oceniała.

- Zostaję, bo dobrzy obywatele, jak Aldrich Ames i Robert Hanssen, prowadzili nieprawdopodobnie oszukańcze życie. Bo ambitni politycy przywdziewają religijne szatki i używają imienia swego boga, żeby usprawiedliwić żądze władzy. I dlatego, że dopóki pokój gości na tym starym, schorowanym świecie, niezależny wywiad i analiza są niezwykle ważne.

Wóz ruszył płynnie w stronę Potomacu. Kiedy odwróciła wzrok, Litchfield wyczuł w niej głęboki smutek, a może rozczarowanie.

Mówiła do świata przepływającego za oknem.

- I ponieważ ktoś, czym jedynym interesem osobistym są cztery kąty i gorący prysznic, musi stawić czoło siłom, które patrzą na Langley jak na święteczną pieczeń, którą można pokroić na kawałki i dać chciwcom z początku kolejki. Owszem, obrona prowadzi kampanię, żeby zmilitaryzować wywiad, ale ja ich powstrzymuję lepiej niż ktokolwiek, kogo znam...

włączając w to siebie. Twoje poczucie praworządności, Larry, jest bezgraniczne. Wierz mi, losy się odwrócą i ktoś taki jak ja będzie musiał stać przy sterze Langley, żeby wyprostować kurs.



Zaskoczony nic nie powiedział. Wyjął laptopa i załadował płytę z informacjami o Jayu.

Pracował nad nią od czasu do czasu, kiedy tylko była przerwa w dochodzeniach na temat nielegalnej działalności Charta. Odpowiedź na pytanie, dokąd uda się Jay, tkwiła w jego znajomościach z agentami - czyli musiała się znajdować na tym dysku.

- Twoja kolej - powiedziała słodkim głosem.

Ale upiekło mu się, przynajmniej chwilowo, bo zadzwoniła komórka.

- Pozwolisz?

- Oczywiście. Ale jeszcze nie skończyliśmy.

Skinął głową i odebrał.

- Tu Matuzalem - rozległ się głos w słuchawce.

Matuzalem był jednym z tajnych agentów, których Litchfield osobiście wysłał, żeby infiltrowali komórki islamskich ekstremistów. Składał raporty bezpośrednio i wyłącznie Litchfieldowi, który od Jaya Tice'a nauczył się, jak istotne jest takie zabezpieczenie. I rzeczywiście, taka taktyka dawała rezultaty. Szpieczy nie tylko przeżywali, ale trzy lata temu trzech z nich przekazało informację, dzięki której odkryto Majlis al-Sha'b.

Bobbye przyglądała mu się zagadkowo.

- Raportuj - rzucił do telefonu. Odwróciła głowę, gdy zrozumiała. Głos odparł chłodno:

- Pojawił się Ben Kuhnert.

Litchfield zmarszczył czoło. Ben Kuhnert był na emeryturze - co on tam robił?

Matuzalem powtarzał, co Kuhnert powiedział Gul-szachowi o transporcie broni - to mogła być transakcja Ghrandittiego. Litchfield szybko myślał. Kuhnert - jeden ze starych agentów, pracował z Jayem w Europie. Natychmiast wpisał to nazwisko do laptopa i włączył

wyszukiwarkę. Pojawiły się dziesiątki informacji o zadaniach. Musiał zawęzić poszukiwania.

Wpisał hasło: misje z Palmerem Westwoodem. Było ich znacznie mniej.

Kiedy Matuzalem skończył raport i rozłączył się, Litchfield nadal mówił do słuchawki, żeby Bobbye nie zorientowała się, że on gra na zwłokę. - Sprawdził misje całej trójki -

zatrzymał się na „Deadaim”. Berlin Zachodni, 1985 rok. Czytał o tym w gazetach, ale nie miał dostępu do teczek.

Zwrócił uwagę na zdanie: „Cała piątka szpiegów pocięła złoty medalion w celach identyfikacyjnych”.

Oczami duszy zobaczył trójkątny wisiołek, który Jay zwykle nosił na łańcuszku pod koszulą. Uznał to za coś ważnego dla Jaya. Teraz, kiedy przeczytał o „Deadaim”, zrozumiał, dlaczego. Ale czy miało to nadal jakieś znaczenie? Bo jeśli tak, to pozostali starzy agenci też byli ważni.

Znów przepatrzył dysk, tym razem szukając adresów Elijaha Helprina, Bena Kuhnerta i Franka Mesy. Nie przejmował się Palmerem Westwoodem, bo jego szukało Langley.

Informacje o całej trójce pojawiły się natychmiast. Tak, wszyscy mieszkali w Wirginii Północnej, tam gdzie zwykle emeryci i pracownicy CIA.

Litchfield powiedział do widzenia do piszczącej słuchawki. Musi zadzwonić z nową informacją do Ghrandittiego. Powinien więc jakoś pozbyć się Bobbye.

Przyglądała mu się uważnie.

- No, dobrze, Larry. Co, na litość boską, zamierzasz?

Nadal przeglądał wyciągi, ale nie znalazł niczego interesującego.

- Właśnie pracuję nad płytą z informacjami o moim poprzedniku. Chciałbym zatrzymać się na stacji benzynowej. Do Langley zostało co najmniej pół godziny drogi, a ja muszę skorzystać z toalety. Co ty na to?

- Poproś Nate'a. On prowadzi.

Rozmawiał przez chwilę z kierowcą, potem spostrzegł jej wzrok.

- Podziwiam cię, Bobbye - ale uczciwość nie wystarcza przy pracy takiej jak twoja -

powiedział z pasją. - Dyrektor centrali wywiadu musi być też śmiałym wizjonerem chętnym do podejmowania ryzyka. Ale ty spaliłaś zbyt wiele mostów i jesteś zmęczona. Unikasz ryzyka. Radzę, żebyś odeszła, zanim ci to zaproponują.

Jej głos spadł o wiele tonów. Powtórzyła pytanie:

- Co zamierzasz, Larry?

Spojrzał prosto w jej chłodne oczy.

- Wykonywać swoją pracę. Tylko to. Teraz jestem twoim dyrektorem do spraw operacyjnych i spisuję się cholernie dobrze. Inaczej naprawdę byś mnie zwolniła. - Poczul

przyływ podniecenia, kiedy zobaczył stację benzynową. - I mylisz się co do mojego poczucia praworządności. Zawsze chciałem tylko tego, co najlepsze dla Langley. Zatrzymaj się tutaj, Nate -

zwrócił się do kierowcy. Potem do Bobbye: - Obojgu nam zależy tylko na tym, co najlepsze dla kraju.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, wysiadł z wozu i poszedł do toalety, gdzie mógł się zamknąć i zadzwonić do Ghrandittiego.

## **Góry Blue Ridge, Wirginia.**

Przestronny szałas Gul-szacha był zarówno gabinetem, jak i centrum łączności. Światło słoneczne wpadało przez dwa wielkie okna, oświetlając wyposażenie i tworząc głębokie cienie w kątach. Cztery bezprzewodowe komputery stały na biurku obok telefonów satelitarnych, naziemnych i radiostacji. Jedną ze ścian pokrywały mapy Europy i Bliskiego Wschodu. Druga ściana poświęcona była wyłącznie mapom Afganistanu - dowód, że mieszkańcem szałasów kierowała nie tylko nostalgia.

- *Naswar?*

Na słowa zaproszenia szacha Ben się odwrócił. Byłoby nieuprzejmie odmówić.

- *Manena* - wyraził wdzięczność po pasztuńsku.

Pan wojny zdjął wykładane lusterkami wieczko i wyciągnął okrągłą, stalową puszkę wypełnioną wilgotnym naswar - zielonym tytoniem do żucia, zmieszany z popiołem, indygo, kardamonem i wodą, popularnym w Pakistanie i Afganistanie. Ben zrobił kulkę z masy i wetknął ją w kąt policzka. Prawie natychmiast poczuł lekkie oszołomienie.

- Mamy takie powiedzenie... - odezwał się szach. - Może słyszałeś? „Uważaj na kroki człowieka, który mówi, że przyszedł w pokoju”.

Ben popatrzył na niego, potem odwrócił się do mapy Afganistanu. Szerokie strzały wychodziły z południowego zachodu, znacząc inwazje Persów, potem Greków, na długo przed narodzinami Chrystusa, potem Brytyjczyków w końcu XIX i na początku XX wieku.

Strzały mierzące z północy w dół oznaczały najazdy kolejnych zaborców - Mongołów i Mogołów w XIII i XVI stuleciu, potem Związku Radzieckiego, zaledwie dwadzieścia sześć lat temu. Wreszcie strzała w górę, z południowego wschodu, oznaczała atak Wielkiej Brytanii z czasów, kiedy Indie były dochodową perłą w imperialnej Koronie. Niektórzy ze zwycięzców zostali na wiele wieków; ale Pasztuni nigdy do końca nie skapitulowali.

Ben wskazał na mapę.

- Oto tragedia Afganistanu: inwazja, opór, inwazja. To nie tajemnica, że nowy rząd jest na skraju załamania, a talibowie zyskują na siłach i chcą znów zawładnąć krajem. - Wyjrzał

przez okno na polanę. Ludzie ćwiczyli parami atak nożem. Znów spojrzął na gabinet. Nie było w nim symboli religijnych. - Coś planujecie i ma to więcej wspólnego z faktem, że jesteście Pasztunami, niż z tym, że jesteście muzułmanami. Domyślam się, że wysłuchałeś mnie dlatego, że w przemyśle broni zaangażowani są nie tylko moi wrogowie, ale i wasi.

- Dżihadyści. - Szach z obrzydzeniem wydał wargi. Przeszedł po gabinecie. -

Pasztunwali to nasz starożytny spis praw. Kto nie żyje według niego, nie jest Pasztunem. Ale mój lud nadal siedzi skłócony w górach, podczas gdy inni rządzą krajem, chociaż my stanowimy większość. Tylko ludzie z plemion mogą przekonać współplemieńców.

- Zamierzasz to zrobić, używając M16? - zapytał z zaciekawieniem Ben.

- Przemoc nie jest jedyną odpowiedzią. Ale tylko Pasztun z bronią może liczyć na szacunek. To pokazuje, jak bardzo plemiona muszą się zmodernizować.

- Więc to ma sens, żebyś powiedział mi o transporcie.

- Jak cholera. - Szach przestał chodzić po gabinecie. W oczach błyszczał mu ogień. - Nie znam szczegółów dotyczących czasu operacji i tego, kto sprzedaje. Ale słyszałem pogłoski. A teraz, po tym, co mi powiedziałaś, wiem, kto jest nabywcą. Nazywają siebie Majlis al-Sha'b.

Z rok temu zbliżyli się do nas, żeby połączyć siły, ale odmówiliśmy. Prezentują się jako połączenie ONZ i NATO dla grup rewolucyjnych. Ich pomysł wypalił jak rakiet Hellfire i teraz Majlis reprezentują ze dwadzieścia wielkich organizacji. Ich skarbiec zawiera okrągłe trzy biliony dolarów.

Benowi zaschło w gardle. To więcej niż produkt krajowy brutto większości państw na świecie.

- Czy talibowie dołączyli do nich?

Szach pokiwał głową.

- Dlatego Majlis zrobią wszystko, żeby powstrzymać nas w Afganistanie. Ten transport broni ma dać im siłę ognia potrzebną do osiągnięcia dowolnego celu. - Na pobrużdżonej słońcem twarzy szacha pojawił się wyraz troski. - Więc nie tylko my, ale cały świat musi naprawdę uważać.

- Kupują łodzie podwodne? Czołgi? Pociski jądrowe?

Gul-szach wzruszył ramionami.

- Szczerze mówię, nie wiem. - Ale za kilka minut dodał inne szczegóły.

Ben słuchał uważnie, potem zapytał:

- Znasz nazwiska chociaż niektórych?

- Człowiek, który przyszedł do nas, nazywał się Faisal al-Hadi. Zdaje się, że to ich przywódca, chociaż zaprzecza temu. Nie przyjął dobrze naszej odmowy.

Ben ukrył zdumienie.

- O, na pewno. - Wyciągnął rękę. - Dziękuję. Nie ma czasu do stracenia.

Pan wojny potrząsnął dłonią Bena, potem skinął na wartownika przy drzwiach.

- Wyprowadź pana Kuhnerta z obozu.

\*

Gul-szach opadł na krzesło przy biurku i wziął do ręki raport od swojego najważniejszego szpiega w Kabulu. Ale zanim dokończył drugą stronę, na zewnątrz wybuchła jakaś hałaśliwa szamotanina i drzwi nagle się otworzyły. Do środka wpadł Noor Yusufzai.

Noor nosił turban koloru popiołu, plemienia Wazir.

- Mówi, że chce z tobą rozmawiać - wyjaśnił jeden ze strażników, którzy weszli za nim.

Nióśł brytyjskiego bullupa Noora.

Szach stłumił irytację.

- Następnym razem pukaj. - Skoncentrował się na Noorze. - Mów. Na twarzy Noora malowało się oburzenie.

- Kilka lat temu byłem na procesie Turka, który przemycał materiały wybuchowe, żeby wysadzić most Brooklyński. Człowiek, który właśnie wyszedł, był jednym ze świadków z CIA. Nie wiem, co ci o sobie powiedział, ale jest z CIA. Szpieguje nas!

Szach poczuł zimno.

- Na pewno jest z CIA?

- Niech Allah położy mnie trupem!

Gul-szach chwycił kałasznikowa i wybiegł.

\*

Ben z eskortą był w połowie drogi do szosy, kiedy usłyszał mężczyzn biegnących z obozu. Natychmiast uderzył strażnika kantem dłoni w tchawicę, a kiedy ten upadł, kopnął go w splot słoneczny. Mężczyzna łapał się za gardło i klatkę piersiową.

Ben rozejrzał się po szosie i drzewach, zabrał strażnikowi M16 i nóż afgański.

Odskoczył, kiedy ośmiu partyzantów wybiegło zza zakrętu z karabinkami szturmowymi gotowymi do strzału. Zanurkował w las.

Rozległy się strzały, kule waliły w grunt, wzbijając grzybkowate obłoczki kurzu.

Ben przebiegł obok głazów i świerków i przywarował za kłodą. Serce mu łomotało.

Światło słoneczne opadało smugami wokół, pozostawiając Bena w cieniu. Uniósł głowę.

Mężczyźni zawahali się nad powalonym strażnikiem. Kilku przykucnęło, żeby czegoś się od niego dowiedzieć i upewnić, że nic mu nie jest. To wskazywało, jak są młodzi i niedoświadczeni.

Ale nie minie wiele czasu, a ich trening zacznie przynosić rezultaty. Musiał spowolnić pościg. Otworzył ogień nad ich plecami, ale niezbyt wysoko.

Padli na płask. Wystrzelił jeszcze trzy serie, prowokując partyzantów, żeby poczłgali się między drzewa w poszukiwaniu osłony. Kiedy zobaczył, że znikli, wstał. Będą się spodziewali, że pójdzie w odwrotnym kierunku, głębiej w las, żeby uciec. Tymczasem on sprawdził położenie słońca i pobiegł na południe, równoległe do dziurawej drogi. Tylko ośmiu go ścigało. Gul-szach pewnie kazał pozostałym ludziom ruszyć innymi ścieżkami, żeby odciąć uciekinierowi drogę.

Wkrótce Ben znów usłyszał ośmiu mężczyzn. Wstali i biegli ostrożnie, niektórzy zmiierzali w jego kierunku. Rzucił się na skraj drogi, upadł na brzuch i podpełzł do miejsca, skąd mógł sprawdzić oba kierunki. Podniósł się ostry wiatr, pogwizdywał wzdłuż trasy. Cienie drzew chwiały się, droga była pusta.

Z karabinem w rękach przeszedł tyłem przez drogę i znów pobiegł, szukając miękkiej ziemi, która tłumilaby odgłos kroków. Kierował się do zakamuflowanego range rovera, którego zaparkował nie przy wejściu do obozu, ale trzy kilometry dalej. Przyjeżdżając tu, przygotował sobie ucieczkę.

Krok za krokiem pochłaniał dystans, ale coraz ciężiej było mu oddychać - lata dawały o sobie znać. Liście ocierały mu się o twarz. Wrzoście szarpały ubranie. Wreszcie, gdy zobaczył

już samochód, usłyszał za sobą niski szelest. Odgłos szybko narastał. Zbliżali się ludzie, którzy biegli szybciej od niego.

Przyspieszył kroku. Ale kiedy w końcu dotarł do przykrytego gałęzmi samochodu, po jego lewej, z lasu wypadła grupa partyzantów. Modląc się o czas, wskoczył do wozu, zapalił

silnik i wyjechał spod gałęzi, liści i kawałków drewna. Kiedy znalazł się na asfaltowej, górskiej szosie, skręcił w lewo, w stronę Waszyngtonu.

W tym samym czasie na szosę wysypała się druga grupa. Rozglądali się, oceniając sytuację. Rozległ się huk, kiedy na tył range rovera spadł grad kul. Ben nacisnął gaz do dechy.

Opony zabukowały i wóz wystrzelił do przodu jak kula armatnia. Pędzili za nim, nie przerywając ognia.

W tylnym lusterku patrzył, jak robią się coraz mniejsi. Wreszcie zatrzymali się pośrodku drogi. Byli młodzi, wyglądali na speszonych. Ben potrząsnął głową. Bał się o ich los w Afganistanie. Potem przestał myśleć o partyzantach i wyjął nową komórkę. Musiał

przeprowadzić kilka rozmów.

# 34.

## Aleksandria, Wirginia

Elijah Helprin zdenerwowany przyczesał ręką szorstką czuprynę. Wchodził po spiralnych schodach w willi. Światło było wyłączone. Całe godziny spędził na rozmowach telefonicznych, zanim przybył do tej kosztownej willi. Na piętrze znajdowała się jego największa nadzieja na uzyskanie informacji o stardustach, subminiaturowych komputerach.

Elijah wślizgnął się do sypialni. Po ostatniej nocy cuchnęło w niej alkoholem. Karel Dudek wysunął rękę spod kołdry i położył ją w poprzek olbrzymiego łóża. Oczy nadal miał

zamknięte.

- Powiedziałem, żeby sobie poszła - poinformował Elijah. - Możesz przesłać pieniądze do agencji towarzyskiej.

- Co? - Dudek usiadł, długie włosy miał potargane i spocone, oczy szeroko otwarte, nie ze strachu, ale z oburzenia. - Mój portfel jest w szufladzie biurka. Weź, co chcesz, i won!

Elijah pokiwał głową. Nie zostaje się prezesem elektronicznego giganta, takiego jak Nanometrics, za tchórzostwo.

- Co o tym wiesz? - Rzucił paczuszkę stardustów na łóżko i pokazał legitymację CIA.

Dudek chwycił stardusty i popatrzył na dowód Elijaha.

- To ściśle tajne... dla Ministerstwa Obrony. Nawet CIA ma z tym niewiele wspólnego.

Skąd je masz?

- Z samochodu zabójcy. Według kontraktu możecie przysyłać stardusty tylko do Ministerstwa Obrony, więc albo sprzedajecie je nielegalnie, albo mieliście włamanie.

Ministerstwo Obrony siądzie wam na karki w żelaznych gaciach... jeśli pisnę choć słówko.

Prezes padł na poduszki.

- Ktoś ukradł je z naszej kwatery głównej w Santa Barbara. Moi ludzie prowadzą śledztwo. - Zebrał się. - Znajdziemy sprawcę. Wierz mi, to się nie powtórzy.

- Kiedy była kradzież?

- Wczoraj. Dowiedzieliśmy się dopiero późnym popołudniem. Przesłupstwo mogło zostać popełnione w ostatniej chwili, ale Elijah nie miał wątpliwości, że zaplanowano je starannie na długo wcześniej. Popatrzył groźnie.

- Ostatniego wieczoru byłeś na wielkim obiedzie w Ministerstwie Obrony, Dudek.

Komu jeszcze ostatnio skradziono towar dla wojska?

- Myślisz, że rozmawialiśmy o czymś takim? Zwariowałeś! - Ale jego zapuchnięte oczy się zmrużyły. Odwrócił wzrok z zakłopotaniem.

- Ty i twoi kumple ostro piliście. Wszyscy balowaliście do świtu. W takich warunkach zdarza się człowiekowi chlapnąć ozorem. - Elijah podniósł telefon komórkowy. - Chcesz, żebym współpracował? Czy lepiej zadzwonić do Ministerstwa Obrony?

Dudek zagapił się na komórkę. Oblizwał suche wargi.

- Gdybyśmy nie dostawali tak cholernie dużych czeków federalnych, nic by mnie to nie obchodziło. Tak, był taki jeden. To... dziwne.

Elijah nachylił się nad balustradą w nogach łóżka.

- Słucham.

- Chodziło o materiał maskujący o nazwie mirrome. To, na co jest narzucony, wygląda jak przezroczyste, bo odbija z przodu obraz znajdujący się z tyłu. Rozumiesz, nanometryczne kamerki wideo nagrywają obraz i w czasie rzeczywistym przesyłają go do nanometrycznych projektorów, które pokazują go na materiale. Mike, szef spółki, która to wytwarza, miał kilka zdjęć w folderze. Fajna rzecz. Pentagonowi, rzecz jasna, bardzo się to podobało ze względu na potencjał wojskowy. Piloci myśliwców „widzieliby” spód samolotu, żeby bezpieczniej lądować i unikać ataków. W wojnie w mieście można takiego materiału używać na rozmaite sposoby. Na ogólnodostępnym rynku nie będzie tego przez dłuższy czas... jeśli kiedykolwiek się pojawi.

- Ile skradziono?

Dudek niechętnie podniósł wzrok.

- Mike powiedział, że stracili materiału na sto tysięcy peleryn. Nie wiadomo, po co to komu.

Elijah poczuł niepokój. Zadzwonił jego telefon. Połączenie od Bena Kuhnerta.

- Mnie tu nie było - rzucił do Dudka. - Jasne?

Karel Dudek chrząknął na zgodę, a Elijah obrócił się na pięcie i wyszedł. Kiedy był już na zewnątrz, odpowiedział na telefon.

- Masz coś?

**Reston, Wirginia.**

Palmer Westwood spędził poranek na wydzwanianiu. Umówił się w Global Motors Inc., wielkiej



międzynarodowej spółce, która wytwarzała i sprzedawała sondy wiroptak. Kiedy przybył do biura szefa ochrony regionalnej, już czekał na niego kubek parującej kawy i kawałek duńskiego sera.

- Cholera, Palmer - przywitał go Clyde Ypres. - Nigdy bym się nie spodziewał, że zadzwoni do mnie legenda wywiadu. Mogę cię podjąć jedynie twoim ulubionym serem. - Miał

końską twarz i brązowe włosy, które już straciły połysk, ale oczy błyszczały inteligencją jak zawsze.

- Mnie też miło cię widzieć - powiedział Palmer. - Kopę lat. Daruję sobie serek.

Oprowadź mnie.

Zabrali ze sobą kubki i zagłębili się w świat nowoczesnej wytwórni uzbrojenia.

Przechodzili obok gablot, przy których, nad stołami laboratoryjnymi, pracowali naukowcy w białych kitlach i goglach. Palmer zaczął mówić o misji, podczas której wykryto, że Rosjanie potajemnie sprzedają materiał rozszczepialny krajom Trzeciego Świata.

- Jesteś cholernie dobry, Clyde. Zawsze podobał mi się sposób, w jaki rozbiłeś tę siatkę.

- Po tym komplementcie Palmer zmienił tok rozmowy.

- Słyszałem, że Global dysponuje najnowszym wojskowym modelem, wiroptakiem. -

Zachęcił, żeby Clyde opisał ten produkt, potem przeszedł do rzeczy. - Jak postępujecie w przypadku kradzieży?

Clyde stanął jak wryty.

- Był tylko jeden przypadek. - Rozejrzał się.

Otworzyły się drzwi, do korytarza wdarł się odgłos przecinanego metalu. Dwie osoby w kombinezonach i rękawicach przeszły obok nich i zniknęły za drugimi drzwiami.

- Chyba mnie nie zaskoczyłeś. - Clyde poszedł za tamtymi. - Musiał być powód, dla którego tu przyjechałeś.

Kiedy szli długim betonowym chodnikiem, Palmer zapalił papierosa i podjął temat.

- Pracuję trochę na zlecenia Langley. Wiesz, mają teraz mniej pieniędzy. Jeśli mi wszystko powiesz, postaram się utrzymać ciebie i Global z dala od kłopotów.

- Tak, i na dodatek zrobię dobry uczynek. - W głosie Clyde'a nie było zgorzknienia, tylko zmęczony realizm. - Tydzień temu z doku zniknął transport. Następnego dnia jeden z naszych magazynierów został przejechany przez pirata drogowego. Oczywiście zabity stał się głównym podejrzanym. Moi ludzie nadal prowadzą śledztwo, ale w zasadzie tropy prowadzą donikąd. Ani jednego dowodu. Ten, kto namówił magazyniera, wiedział, co robi.

Przesłuchałem wdowę, ale nie miała o niczym pojęcia. Nie wiem, kto ukradł wiroptaki ani gdzie są. - Rysy jego długiej twarzy stwardniały. - Jeśli ty wiesz, powiedz. Zajmę się nimi...

oczywiście zgodnie z prawem.

Palmer zaciągnął się papierosem, przyglądając się Clyde'owi.

- Rozmawiałeś z ochroniarzami w innych spółkach?

- Tak. - Tym razem Clyde w zamyśleniu spojrzął na Palmera. - Owszem, u kilku były kradzieże. W jednym przypadku chodziło o „powietrzny miecz”. To pocisk, szybki jak cholera, trzy machy na dużej wysokości, a jeśli leci nad ziemią, zaledwie na sześćdziesięciu metrach, dwa machy. Gdy rozwija największą szybkość maksymalną, teoretyczny czas reakcji celu wynosi dwadzieścia pięć do trzydziestu sekund. To znaczy, że zakłócanie radaru i inne metody przeciwdziałania są praktycznie niemożliwe, nie mówiąc już o antyrakietach czy artylerii szybkostrzelnej. Ma system naprowadzania i potrzebny jest tylko laptop, żeby go kontrolować. Ale najlepsze, że wystrzeliwuje się go z ramienia, a wyrzutnia jest składana i można ją zapakować do pudełka. Wystarczy się zakraść i ustawić siedemdziesiąt kilometrów od celu. Taki ma zasięg. Zanim zapytasz... szacują, że zginęło pięćset sztuk.

Palmer patrzył na niego.

- Nie podoba mi się to.

- Przerazające, prawda? Druga rzecz to mały pistolet. Można go powiesić na kółku do kluczy i wygląda jak pilot do samochodu. No, trochę większy. Ale jeśli naciśnie się w odpowiedniej kolejności cztery guziki, rozdziela się na rękojeść i lufę. To cholerstwo ma zdumiewającą siłę ognia. Wystrzeliwuje dwie kule. Urządzenia zabezpieczające na lotniskach nie są w stanie tego rozpoznać. Po prostu rzucasz na tackę klucze, zegarek, długopisy i wszystko przechodzi na drugą stronę. Retaliator został opracowany dla wypraw na terytoria niezbyt nam przyjaznych krajów. Zginęło tego dwa tysiące.

- Dwa tysiące!

Clyde pokiwał poważnie głową.

- Wystarczy do zlikwidowania ogromnej liczby samolotów. Człowiek aż dostaje sraczki ze strachu na myśl, co terroryści mogliby zrobić.

- Rzeczywiście. - Palmer podziękował za rozmowę i wrócił zamyślony do samochodu.

Kiedy usiadł za kierownicą, zadzwonił telefon. Wyciągnął komórkę.

- Masz raport, Ben? - W tle słyszał głęboki pomruk wielkiego silnika samochodowego.

Ben był gdzieś na drodze.

- Poczekaj. Jest Elijah na linii. Teraz wydzwonię Franka.

# Georgetown.

W zadrzewionym kampusie uniwersytetu Georgetown panował spokój. Większość studentów i nauczycieli akademickich siedziała na zajęciach, kiedy Frank Mesa znalazł

wreszcie właściwą salę. Nadal ubrany był w zapinaną na suwak kurtkę i bawełniane, drelichowe spodnie. Usiadł z tyłu i się przygarbił. Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Między plecami studentów przyglądał się profesorowi nauk politycznych, Rudiemu Gruhnowi, który prowadził wykład, stojąc na podium. Rudi dorobił się brzucha wielkości piłki do koszykówki, miał różowe policzki i przemawiał z pasją. Był powyżej czterdziestki. Seria wykładów nosiła tytuł Kupcy śmierci.

- Nasz czas prawie już dobiegł końca - mówił - więc zamknę wykład historią legendarnego handlarza z końca XIX i początku XX wieku Basila Zaharoffa. Był to człowiek towarzyski, który twierdził, że jest Grekiem, jeśli mu to odpowiadało. Zaharoff odnosił

wielkie sukcesy, dopóki nie wziął się do łodzi podwodnych i stwierdził, że nikogo nie może namówić do zakupu ze względu na ich wysoką cenę. Wpadł w rozpacz. Pojechał więc do Grecji i dosładzał sobie, mówiąc, że po pierwsze, jest patriotą, a dopiero po drugie handlowcem. Potem zrobił coś nowego... zaproponował sprzedaż na kredyt. W rezultacie Grecy zakupili jedną łódź podwodną. O ile pamiętacie wykłady z historii, to wiecie, że Grecy i Turcy się nienawidzili. Była to historyczna wrogość, która wybuchała od czasu do czasu w postaci krwawego konfliktu. Zatem, oczywiście, Zaharoff wybrał się zaraz do Turcji.

Nastraszył Turków opowieściami o nowej, groźnej łodzi podwodnej Greków. Zanim skończył, Turcy przebili Greków, kupując dwie łodzie podwodne.

Młodzi słuchacze zachichotali.

Profesor Gruhn pozwolił, żeby śmiechy same ucichły. I znów zaczął mówić:

- Zaharoff pozostawił po sobie trwałą spuściznę. Udowodnił przemysłowi, że najlepszym sposobem na maksymalizowanie zysku jest sprzedawanie broni obu stronom, na wszelkie możliwe sposoby, ponieważ to jest zarodkiem konfliktu, konflikt prowadzi do wojny, a wojna oznacza zwiększone zapotrzebowanie na broń. - Studenci siedzieli cicho. - Kłamstwa, wzbudzanie strachu, sprzedaż na kredyt to nadal podstawowe zasady, którymi kierują się współcześni handlarze. Kto mi powie, który kraj produkuje najwięcej broni, sprzedaje najwięcej broni i ma największe dochody z handlu bronią?

Uniosły się ręce.

- No, mówcie śmiało.

Wykrzyczeli.

- Stany Zjednoczone.

Skinął krótko głową, zatrzasnął folder z materiałami do wykładu i wepchnął go do teczki. Po chwili wahania studenci zaczęli wstawać i posuwać się w kierunku drzwi. Z

początku w milczeniu, potem już się rozgadali - ale nie o wykładzie. Mieli na głowie więcej ważnych spraw - natury osobistej. Ale Frank i tak wierzył, że Gruhn zasiał intelektualne ziarno, które może wyrosnąć w postaci krytycznej myśli albo nawet dobrych uczynków.

Kiedy w przejściu zrobiło się trochę luźniej, Frank zaczął się przepychać w stronę podium. Na jego widok różowe policzki profesora pobrały. Z teczką w ręku Gruhn pospiesznie ruszył do tylnych drzwi.

- Daj sobie spokój, Rudi - powiedział Frank cichym, ale dosłyszalnym głosem. - Wiesz, że będziesz musiał ze mną porozmawiać.

Na kilka sekund przysadziste ciało profesora nabrało zwinności. Wypadł przez drzwi jak atletyczny przemytnik broni, którym kiedyś był. Frank go dogonił.

- Lepiej, żebyś tu nie przychodził. - Gruhn nie patrzył na Franka. - Zbudowałem swoje życie od nowa. Całkowicie zrezygnowałem z interesów.

- Nie mam czasu, żeby zostawiać ci wiadomość i czekać, aż łaskawie oddzwonisz.

Muszę porozmawiać z Włochem, twoim starym szefem, Tiberiusem DeLorettem.

Frank służył w wywiadzie od tak dawna, że wiedział coś, o czym nowe pokolenie handlarzy bronią nie miało pojęcia - że znany ekspert od terroryzmu z uniwersytetu w Georgetown, profesor Rudi Gruhn, był kiedyś protegowanym DeLorety, bliskim mu jak ukochany syn. Nawet wtedy Rudi wykazywał się dużą inteligencją, co podpowiadało Frankowi, że facet robi wszystko, żeby trzymać się z dala od niebezpiecznego i mściwego DeLorety.

- Jeśli ci powiem - mruknął Rudi Gruhn - nie będę cię więcej chciał widzieć.

- Zgoda. Mów. - Kiedy skończyli, Frank powiedział: - Rudi, jestem pod wrażeniem sposobu, w jaki odmieniłeś swoje życie. Ale jeśli komukolwiek o tym powiesz, znów mnie zobaczysz.

Kiedy Frank wracał przez kampus, nowy telefon zaczął mu wibrować na biodrze.

Chwycił aparat i poczuł elektryzujący przypływ podniecenia - usłyszał głos Bena.

- To rozmowa konferencyjna, Frank - oznajmił Ben. - Transport idzie do niezwykle ambitnej i niebezpiecznej siatki terrorystycznej Majlis al-Sha'b...

**Okolice Herndon, Wirginia.**

Coś mokrego i chłodnego trąciło Elaine w ramię. Odsunęła się. Znow się pojawiło, tym razem trącając mocniej. Otworzyła oczy. Jaskrawe światło słoneczne sączyło się przez szyby, po obu stronach ciężkich kotar z adamaszku przesłaniających okno. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest. Potem Houri jeszcze raz puknęła ją w ramię, podbiegła do drzwi, wróciła i jeszcze mocniej poszturczała w rękę. Elaine wyskoczyła z łóżka, była ubrana.

- Jay!

- Jezu, Elaine, ciszej. - Przez ścianę usłyszała jego ostrzeżenie.

W ciszy panującej w domu pulsowało zagrożenie. Elaine wsunęła stopy w skarpetki i tenisówki. Popatrzyła na zegar. Było południe. Chwyciła torbę i wybiegła do holu, przeczesując włosy. Zobaczyła, jak plecy Jaya znikają na dole. W jednej ręce trzymał

browninga, drugą zarzucał plecak na ramię. Wrzuciła grzebień do torby i wyjęła walthera.

Pobiegła.

Na dole schodów czekał Ben Kuhnert, patrzył w górę, złotawą skórę miał zaczerwienioną. Pokryty był kurzem.

- Właśnie przyjechałem. Mamy towarzystwo. - Jego czarne oczy błyszczały gniewnie.

Szli szeregiem: najpierw Jay, za nim Elaine, potem Ben, ciągnąc Houri za obrożę. Suka dysząc, kręciła się na wszystkie strony. Puścił ją, pobiegła przez pokój do kuchni.

- Kto to taki? - zapytał Jay.

- Jeszcze nie wiem.

- Nikt nie przyjechał? - Jay miał zwykły, obojętny wyraz twarzy, ale czuć było jego napięcie. Wyglądał na wypoczętego, jakby spał dziesięć, a nie pięć godzin. Krótkie włosy miał

zaczeseane, czarne koła pod oczami znikły, a sportowe rozkołysanie znow się pojawiło w jego chodzie.

Ben pokręcił głową.

- Zakładam, że podchodzą na piechotę, bo nie chcą nas zaalarmować. Za późno.

Zostaliśmy ostrzeżeni. Mam wam wiele do powiedzenia. Szybko się z tym uporamy. -

Podniósł pierwszą stronę „The Washington Post”.

Elaine zrobiła głęboki wdech. Było tam to samo zdjęcie z CIA, które widziała ostatniego wieczoru w telewizji. Tytuł przyprawił ją o mdłości:

AGENTKA CIA, ELAINE CUNNINGHAM, PODEJRZANA O MORDERSTWO.

Ben rzucił gazetę na pokrytą prześcieradłem kanapę.

- Ostatniego wieczoru, kiedy już poszliście spać, przełożyłem tablice rejestracyjne z mojej starej przyczepy mieszkalnej na jaguara. To nam pomoże. Dzwoniłem do innych. Robią postępy. Wychodzi na to, że zarówno wiroptaki, jak i stardusty zostały gwizdnięte. Palmer i Elijah dowiedzieli się o kradzieży trzech innych towarów.

- Jakieś powiązanie z Jerry'm i panem G.? - zapytał Jay.

- Nadal prowadzą śledztwo, ale zdobyłem ważną informację... tożsamość klientów.

Chodźmy, powiem po drodze. - Ben ruszył pospiesznie do kuchni, gdzie czekała na niego Houri. - Zamknąłem dom i włączyłem system alarmowy, ale to za mało, żeby powstrzymać naszych gości, jeśli są tymi, za których ich uważam. - Otworzył spiżarnię i wyjął szelki dla psa. - Zakupu dokonuje grupa Majlis al-Sha'b, czyli Zgromadzenie Ludu. Można to uznać za połączenie terrorystycznej ONZ i wojskowego centrum handlowego.

Elaine zakłęta.

- Wojskowe centrum handlowe?

- Równie źle wygląda, jak się nazywa. - Ben opisał ugrupowanie, przykucnął, a Houri weszła w uprząż. - Większość to biskupi terroryzmu, ale pozostali to przywódcy ekstremistów politycznych, jak na przykład Zjednoczonych Sił Samoobrony Kolumbii, które mają koneksje jak diabli. - Wstał.

- Z ich środkami i różnorodnością są w stanie stworzyć ogniska zapalne od Marrakeszu i Bangladeszu po Paryż i Nowy Jork - stwierdził Jay zatroskanym głosem. - Mam cholerną nadzieję, że transport nie przeszedł jeszcze z rąk do rąk. Co twoje źródło mówiło na ten temat?

- Nie znał dokładnego czasu przekazania towaru, ale ma to nastąpić dziś w nocy. - Ben wziął okulary przeciwsłoneczne z szuflady i przymocował je do szelek Houri. - Transport jest prawdopodobnie tak wielki, że bardzo doda im sił. - Odczepił pagera z biodra i przyczepił go po drugiej stronie szelek suki.

Houri miała czujnie podniesione uszy. Łagodnie szczeękła.

- Wiem, piesku - mruknął. - Śpieszę się. - Chwycił wielką, białą chusteczkę i samoprzylepny bandaż nasycony antybiotykiem. Popatrzył na Jaya. - Powiedział mi coś jeszcze. W tę sprawę zamieszany jest duch z przeszłości: Faisal al-Hadi.

Jakby cień przebiegł przez twarz mistrza wywiadu.

- I co z tym al-Hadim?

- Przybył do mojego źródła w ubiegłym roku, żeby nakłonić jego ugrupowanie do połączenia się z Majlis. Źródło odmówiło, ale utrzymuje kontakt.

Houri podniosła pysk i warknęła.

- Już tu są. Nie mamy więcej czasu. - Ben wyjął ze zlewu cienki nóż do filetowania.

Jay marszcząc czoło, podszedł do Bena.

- Co ty masz zamiar...? - Popatrzył na bandaż, potem na Houri i skinął głową. - Rób swoje. To dobry plan.

Chwila wahania. Gospodarz podciągnął rękaw kurtki powyżej łokcia.

- Ben! - Elaine podbiegła do niego z drugiej strony. - Nie! Jay przyciągnął ją blisko i przytrzymał.

- To konieczne.

Ben zacisnął zęby i naciął rękę. Polała się krew.

Jay puścił Elaine, chustką starł krew, potem przycisnął ją do rany, żeby zahamować krwotok.

- Bandażuj, Elaine. Szybko.

Nacięcie było wąskie i pulsujące. Kiedy przyklepała elastyczną opaskę, Ben wręczył jej klucze do garażu. Jay przyklęknął i przywiązał zakrwawioną chustę do upręży Houri. Suka polizała go w policzek. Krew kapała na linoleum.

- Teraz najważniejsze jest odnalezienie Rainy. - Ben nasunął rękaw na bandaż. - Houri i ja odciągniemy przeciwnika. No, zmykajcie.

- Ben, jesteśmy ci wdzięczni - powiedziała miękko Elaine. - Do widzenia.

Starszy mężczyzna skinął głową, a Jay powiedział tylko:

- Dziękuję.

Wymienili długie spojrzenie, które przecinało kontynenty i dziesięciolecia. Wiek obu mężczyzn widać było jasno po pobrużdżonych twarzach i przerzedzonych włosach. Urok prysnął.

Jay wyciągnął dłoń.

Ben zignorował ją, przyciągnął Jaya i poklepał po plecach.



- Życzę szczęścia. Jeśli nigdy nie dziękowałem, to tylko dlatego, że jestem nieśmiały. -

Houri podbiegła do drzwi, a jej pan zdjął z haka lekką psią kamizelkę. Była bursztynowego koloru jak sierść psa. - Damy im dużo roboty tak długo, jak to możliwe, żebyście mieli dobry początek. - Ukrył szelki pod kamizelką. Wstał i założył okulary przeciwsłoneczne, identyczne jak te, które przywiązał do psiej uprzęży. - Dalej! *Bismillah!* - Wyjął browninga.

- Elaine, którądy? - spytał Tice.

Miała ściśnięte gardło.

- Tędy - wychrypiała.

Przebiegli razem przez krótki korytarz. Kiedy przemierzali salonik i gabinet Bena na drugą stronę domu, opisała ukrytą drogę ewakuacyjną i powiedziała, co oboje muszą zrobić.

- Zrozumiałem. - Minął ją i otworzył oszklone drzwi prowadzące na kamienny chodnik wijący się jak szara wstęga po zalanym słońcem trawniku. Dróżka prowadziła od głównego budynku do dwóch chat. Dalej był las pełen paproci i dzikich kwiatów. Rozejrzał się ostrożnie i wyszedł z domu.

Poszła za Tice'em z pistoletem w dłoni. Nagle od podjazdu dobiegł ich odgłos wystrzału. Odpowiedział mu drugi.

- Nie myśl o tym - rzucił przez ramię. - Uciekajmy stąd do wszystkich diabłów, żeby Ben i Houri też mogli się wycofać.

Skinęła głową. Pobiegli w stronę garaży.

## 36.

Południowe słońce pulsowało nad posiadłością Bena Kuhnerta. Powietrze pachniało mieszaniną pyłu i gorąca. Jedna za drugą, dwie kolejne kule uderzyły w kamienny narożnik chaty, gdzie krył się Ben. Za nim leżała Houri. Przykucnął niżej, kiedy rozprysły się odłamki kruszywa. Pozwolił napastnikom myśleć, że go przygwoździli. Dzięki temu wiedział, gdzie są i ilu ich jest - sześciu.

Jeden był za rogiem głównego domu, przy kuchni. Drugi skrył się między dwoma sykomorami przy podjeździe, tuż pod lasem, żeby blokować wyjazd. Trzeci biegł za niskim żywopłotem wzdłuż drogi, próbując podejść jak najbliżej pod róg chaty, gdzie krył się Ben.

Dwóch znajdowało się po drugiej stronie podjazdu, prawie naprzeciwko niego. Skakali od drzewa do drzewa w stronę głównego budynku.

- Powinno się udać - mruknął do siebie Ben.

Sięgnął do tyłu i poklepał psa. Potem zacisnął dłoń w pięść i przekręcił nadgarstek, dając znak, że przechodzą na komendy wydawane ręką. Trąciła pięść nosem, że zrozumiała. Zagiął

kciuk i palec wskazujący, chociaż wiedział, że suka i tak domyślała się, co będą robić, już po tym, co uwiązał jej do uprzęży.

Rzucił się na płask i przeturlał za chatę. Podniósł się o kilkanaście centymetrów.

Wystrzelił szybko dwie kule do człowieka, który stanowił największe zagrożenie dla Jaya i Elaine.

Mężczyzna zatrzymał się i zgiął wpół.

- Dostałem! - ryknął i padł do przodu.

- Trzymaj się, Hank! - zahuczał rozkazujący głos. - Podchodźcie bliżej, chłopcy!

Serią kul z broni automatycznej zasypali dom Bena. Hałas był ogłuszający. Po chwili pociski znów zaczęły padać. Tym razem niżej. Wyrzucały wysoko w górę kępki trawy. Ben skoczył, mobilizując wszystkie siły, i pobiegł, kpiąc sobie ze śmierci, w stronę lasu. Houri dysząc, biegła obok niego.

\*

- To był głos Jerry'ego! - wysapała Elaine, biegnąc razem z Jayem w stronę dwóch kamiennych garaży. Jaguar stał w bliższym.

Rozległo się więcej strzałów, potem na podjeździe podniósł się krzyk. Znow strzelanina

- tym razem był to ogień z broni automatycznej.

Elaine i Jay nie spoglądali na siebie. Pędzili na łeb na szyję w stronę garażu. Tylne ściany, obramowane kamieniem, wykonane były z drewna i stała nad trawiastą pochyłością prowadzącą do

palisady drzew otaczającej wzgórze.

Śmiercionośny ogień nie ustawał. Jay zanurkował w dół zbocza.

Czując wiatr na rozpalonej twarzy, Elaine wepchnęła klucz, który dostała od Bena, w dziurę w ścianie i otworzyła drzwiczki wielkości książki. W środku znajdowała się klawiatura.

Wystukała kod Bena i rozejrzała się za Jayem. Biegł wzdłuż linii drzew, przyglądając im się uważnie. Ben ostrzegł, że bramę trudno znaleźć - była osłonięta gęstym poszyciem leśnym.

Rozglądając się na wszystkie strony, Elaine czekała niecierpliwie. Wreszcie dwa skrzydła bramy garażu otworzyły się ze zgrzytem. Wskoczyła do jaguara i włożyła kluczyk do stacyjki.

\*

Ben zatrzymał się tuż za linią drzew. Grad kul ustał. Chatka, która służyła za ochronę, stała pod kątem i bliżej lasu niż inne budynki. Zaslaniała go przed wzrokiem strzelców. Zdjął

z Houri kamizelkę i krótkim gestem nakazał jej działanie. Poruszyła nerwowo ogonem.

Opuściła łeb i pognała wąską ścieżką w głąb lasu.

Kiedy drzewa ją przesłoniły, Ben odwrócił się i przykucnął. Nie minęło kilka sekund, a obok niego świsnęła kula. Opadło trochę liści. Skoczył.

- Tam jest!

Zrobił, jak zaplanował: niech wiedzą, dokąd biegnie.

- Dobierzcie mu się do skóry! - ryknął jakiś głos.

Uśmiechając się ponuro do siebie, Ben wbiegł na ścieżkę. Przedtem pomknęła tędy Houri. Nacięcie na ramieniu nie bolało. Wiek się nie liczył. Wszystko działało doskonale.

Nagle poczuł ból w barku. Rzucił się naprzód, złapał za ramię. Krew ciekła mu między palcami, po ramieniu i klatce. Dostał. Kolejna seria wbiła się w drewno.

Z cichym przekleństwem na ustach zmusił się do dalszego biegu. Nie myślał. Tylko biegł. Dudniły za nim kroki. Zbliżały się. Minał znajomy, zwisający głaz. Potem dwa młode klony. Zauważył okulary słoneczne dokładnie w tym miejscu, gdzie powinny być - Houri zostawiła je, przegryzając węzeł. Kroki za nim dudniły coraz głośniejsze.

Jeszcze kilka metrów i zaczyna się granitowa płyta ciągnąca się aż do drzew. Wbiegł na nią, uważając, żeby się nie poślizgnąć. Był coraz bardziej oszołomiony. Jeszcze trzy susy i...

poślizgnął się, upadł. Płytko oddychając, przekościółkował i wczołgał się pod krzak. Tego nie było w planie.

\*

Elaine siedziała za kierownicą jaguara i uderzała w nią pięścią. Jay nadal nie znalazł bramy. Szedł teraz powoli, znów sprawdzał linię drzew.

Wreszcie szeroko machnął ramieniem.

Nacisnęła sprzęgło. Wóz stoczył się po pochyłej podłodze na zielone zbocze. Opony wydawały przytłumiony dźwięk na gęstej trawie. Jaguar nie miał automatycznej skrzyni biegów, a silnik nie był na chodzie, więc trudno się nim kierowało. Ale to był najmniejszy jej problem. W razie czego uruchomi silnik w ostatniej chwili - ale wtedy hałas powiadomi zabójców o ich ucieczce, którą osłaniał Ben, narażając życie.

Znów strzały. Każdy jakby ją przeszywał. Elaine spojrzała w lusterko wsteczne w samą porę - drzwi garażu zaczęły się automatycznie zamykać. Z przodu Jay otwierał ręcznie czarną bramę. Z żelaznych prętów opadała sieć pnączy i płozących chwastów.

Wzgórze było wypoziomowane. Wykopano w nim płytki rów z płaskim dnem wyprofilowanym tak, żeby koła od razu mogły trafić na bruzdy i poprowadzić samochód przez bramę, prosto w las. Ale w bujnej i wysokiej trawie trudno było zobaczyć zagłębienia. Co gorsza, Elaine nie mogła kontrolować kierunku jazdy.

\*

Jerry Angelides otarł dłonią spocone czoło i spojrzał na okulary słoneczne leżące na zacienionej ścieżce. Jego trzej ludzie zatrzymali się przy nim. Dwóch zostawił z tyłu. Rannego tam, gdzie podjazd wychodził na polanę, a drugiego wysłał na penetrację domu.

- Cholera! - Podniósł okulary. - Gdzie on się podział?

- Postrzeliłem go - powiedział Rink. - Wiem, że trafiłem!

- No dobra, ale go tu nie ma, a ja nie widzę śladów krwi.

- Powinniśmy się rozejrzeć. - Derek przeszukiwał wzrokiem teren. - To jego lasy. Mógł zboczyć na jakąś tajną ścieżkę.

- Masz rację - stwierdził Jerry. - Derek, ty pójdziesz tędy...

Nagle z przodu rozległ się hałaśliwy sygnał pagera. Jerry rzucił się przed siebie, jego ludzie za nim. Dźwięki ustały w chwili, kiedy zobaczyli pager leżący na ziemi. Podniósł go szybko i obejrzał.

- Ktoś dzwonił do Kuhnerta - powiedział. - Nie zostawił wiadomości. Nie ma numeru telefonu, tylko napis „połączenie bezprzewodowe”.

- Chyba facet nadal jest na tej ścieżce - zauważył Rink.

Nikt się nie odezwał. Znow pobiegli. Gałęzie szarpały im ubrania.

- Patrzcie! - krzyknął Rink. - Patrzcie! Zatrzymali się nad zakrwawioną chustką. Rink podniósł ją za suchy koniec.

- Widzicie! Mówiłem wam. To krew! Na pewno go trafiłem.

- Wygląda na to, że masz rację - stwierdził Jerry. Oddychał ciężko.

Wszyscy ledwie dyszeli.

- Okay, chodźmy. Jeśli traci krew, to nie zajdzie daleko. Znow pobiegli, zagłębiając się w ciemny las.

\*

Gałęzie nad głową Bena chwiały się na lekkim wietrze, wydając lekko skrzypiący, denerwujący dźwięk. Włożył telefon komórkowy z powrotem do kieszeni i pokuśtykał dalej.

Zadzwonił na swój pager. Wiedział, że sygnały będą wystarczająco donośne, żeby usłyszeli je prześladowcy. Jeśli dopisze mu szczęście, pobiegną dalej przed siebie.

W miejscu gdzie stał, nie było ścieżki, ale znał ten las jak własną kieszeń. Tu dorastał.

Był zlany potem. Szczypały go oczy. Zdawało mu się, że świat uległ jakiejś awarii. Ben z trudem utrzymywał równowagę, a ból w barku palił jak wulkan. Nie miał pojęcia, ile czasu minęło. Ta część planu powinna zająć mu kilka minut.

Wreszcie znalazł wysoki głaz, który czas i erozja uformowały na kształt głowy ptaka z ostrym dziobem. Wczołgał się pod płaski występ chroniący go od góry. Nigdy nie uważał się za wybitnego agenta, dlatego był ponadprzeciętnie ostrożny. Zawsze dysponował kilkoma drogami ucieczki. Zamknął oczy i już zaczął zapadać w czarny, pozbawiony snów świat, kiedy nagle ocknął się, czując na policzku mokry język. Spojrzał. Houri.

- Dobra suczka. - Uśmiechnął się i zasnął.

\*

Elaine wstrzymała oddech i szarpnęła kierownicą w prawo. Nie mogła trafić w bramę.

Rozpędziła się i zobaczyła, jak Jay unosi brwi. Cofnął się z drogi.

Krople potu zrosiły jej czoło. Nie zmniejszyła nacisku na kierownicę. Wreszcie, jak wielki żaglowiec, samochód zbczył. Z ulgą poczuła, że koła trafiły na bruzdy. Wóz skorygował swoją trasę, zjechał po szmaragdowym dywanie, przez bramę w gęstą, ciemną ciszę lasu.

Zahamowała, kiedy Jay zamknął żelazne skrzydła. W kilka sekund znalazł się w wozie.

Rzucił plecak.

- Jedziemy.

Znów pozwoliła, żeby samochód potoczył się w dół, po leśnej drodze, miażdżąc kwiaty, trawę i paprocie. Kiedy dotarł do końca wzgórza, z kilometr od domu, Elaine uruchomiła silnik. Jego gardłowy pomruk zabrzmiał jak muzyka. Nacisnęła pedał gazu i wóz pomknął pod górę. Wierzchołki drzew schodziły się nad nimi.

Milczeli zatopieni we własnych, niewesołych myślach. Kiedy zbliżali się do końca leśnej drogi, Jay wyskoczył i otworzył kolejną bramę z rur ukrytą pod poszyciem. Przejechała.

Zobaczyła autostradę.

Jay wrócił do wozu.

- Jedźmy odszukać Rainę.

#### **Część 4**

*W tajemnicy jest coś takiego, co uzależnia.*

J. Edgar Hoover, były dyrektor FBI

*Naprawdę istniejemy po to, żeby wykradać tajemnice.*

R, James Woolsey, były dyrektor CIA

**Hrabstwo Montgomery, Maryland.**

Długa prywatna droga porośnięta po obu stronach krzakami wiodła przez myśliwskie ostępy, zielone pastwiska i zagajniki. Po obu stronach rozciągała się wielka farma Tiberiusa DeLoreta. Frank Mesa przyjrzał się okolicy i zaparkował na trawiastym poboczu.

Naprzeciwko niego, w obie strony aż po horyzont rozciągał się biały, tynkowany mur, broniący dostępu do wielkiego, nowoczesnego domu handlarza śmiercią.

Frank schował broń do bagażnika. Był przygotowany, sięgnął do pamięci i sporo naszukał się w dokumentach na temat DeLoreta. Podniósł brązową torbę na zakupy i poszedł

zdecydowanym krokiem do budki przy wejściu.

Samotny wartownik wyszedł na zewnątrz i przyglądał się przybyszowi. Miał trochę ponad trzydzieści lat, nosił jasnobrązowe sztruksowe spodnie i brązową koszulę. Z kabury naramiennej wystawał pistolet Heckler & Koch. Wartownik nic nie mówił, patrzył chłodnym, oceniającym wzrokiem.

- Przyjechałem zobaczyć się z panem DeLoretą. Nazywam się Jonathan Smith.

Znajomy z dawnych lat. - Pokazał na torbę. - Niech mu pan powie, że przyniosłem świeże *orecchiette*.

Strażnik wszedł do środka i powtórzył informację przez intercom.

Po długiej przerwie bezosobowy głos oświadczył:

- Chcę wiedzieć, skąd Smith ma *orecchiette*.

- Niech pan mu powie, że żona brata zrobiła je dziś rano. Też jest z Puglii.

Wartownik znów przekazał informację.

Kolejna przerwa.

- Przeszukaj go i przyślij - rozkazał głos.

Po przeszukaniu Franka strażnik wrócił do budki. W białej ścianie otworzyła się furtka dla pieszych. Frank wszedł do drogiego świata Tiberiusa DeLoreta. Po zielonych pastwiskach chodziły konie arabskie, machając ogonami. Grzywy miały wyczesane i przystrzyżone.

Uzbrojeni ludzie trzymali straż na całej przestrzeni i w lesie.

Kiedy Frank dotarł do ganku ekskluzywnego domu, wyszedł zza niego jakiś mężczyzna.

Sam DeLoreto. Miał mniej więcej tyle lat, ile Frank, ponad sześćdziesiąt. Nosił słomkowy kapelusz, wytarte dżinsy i koszulę od Pendeltona.

- Mówił pan, że się znamy? - DeLoreto poruszał się powoli, nie ukrywając artretyzmu.

Miał guzowate ręce i martwe, niebieskie oczy.

- *Bon giorno, don Tiberius*. Spotkaliśmy się dawno temu. Pracowałem w CIA.

Szare brwi handlarza bronią się uniosły.

- To jest to ciasto? - DeLoreto zajrzał do torby. - Nie jadłem dobrych *orecchiette* od 1994 roku.

DeLoreto poprowadził go za dom, do wielkiej kuchni pełnej sprzętów z nierdzewnej stali. Kucharz w białej czapce stawiał miedziany kociołek na piecu. Odwrócił się i uklonił.

DeLoreto spojrzał na niego.

- Zostaw nas.

Kucharz zniknął, a zaniepokojony strażnik z M-4 zajrzał z zewnątrz przez okno. Potem poszedł. Frank rozejrzał się po pomieszczeniu. Na szerokim stole pokrytym ciężkim, lnianym obrusem, leżał „Washington Post”. Przy jednym ze zlewów czekało kilka nie wypłukanych kieliszków do wina. Obok stała wielka zamrażarka, do której można było wejść.

DeLoreto zapalił gaz pod kociołkiem.

- *Żeby zrobić orechiette*, trzeba mieć dużo wody i soli. Tak mnie uczyła matka, niech Bóg ją błogosławi i zachowa w niebie. - Nasypał sobie soli na dłoń i dodał ją do wody. -

Niewiele mówisz. Podoba mi się to. A może już wiesz?

- Wiem. - Frank otworzył torbę i wyjął zakryty plastikowy pojemnik. Postawił go na blacie i zdjął wieczko. Były w nim kawałki ciasta ukształtowane jak ludzkie uszy. Stanowiły symbol Puglii, ale mało były znane poza Włochami.

DeLoreto popatrzył na nie, potem na Franka.

- Za stary jesteś, żeby być w CIA.

- Przeszedłem na emeryturę.

- Widzę, że masz też wino. Salice salentino.

Frank wyjął butelkę dobrego, czerwonego wina, oliwę z pierwszego tłoczenia, puszek z anchois i dwa dzbanuszki słodkich, czarnych oliwek.



- Niesamowite - powiedział DeLoreto. - Wszystko z Puglii.

Frank pokiwał głową. Na koniec wyciągnął drugi zamknięty plastikowy pojemnik, trzy razy wyższy od pierwszego. Podważył wieczko i zajrzał do środka, potem odrzucił

przykrywkę.

- Tu jest więcej *orecchiette* na inny raz. Powiedziała, że powinien je pan ugotować, zanim się zestarzeją. Chce pan, żebym zrobił sos? Dlatego przyniosłem wino, oliwę i anchois.

DeLoreto spojrział na sufit i się uśmiechnął.

- Jeszcze do tego gotuje. - Potem uśmiech zniknął i martwe oczy spojrzały przenikliwie na Franka. - Przyszedł pan nieuzbrojony. Okazał szacunek, przynosząc prezenty, które mają dla mnie znaczenie. Przywitał się ze mną uprzejmie, po włosku. Pozwolił pan, żebym mówił

albo milczał. A teraz proponuje, że ugotuje mi sos. W porządku, były szpiegu. Czego chcesz?

Frank oparł się biodrem o blat i skrzyżował ręce tak, że lewą miał pod prawym łokciem, bliżej głębszego pojemnika z *orecchiette*. Zauważył, że przez okno znów zagląda strażnik.

- Dzisiaj ma nastąpić przekazanie dużej partii towaru, gdzieś w okolicy - zaczął. - Jeden z kupujących jest terrorystą. Nazywa się Faisal al-Hadi. Diler znany jest jako pan G. Prowadzi interesy od dawna. Chciałbym, żebyś powiedział mi wszystko, co wiesz o nim i o sprawie.

- Za trochę domowego ciasta? Zaraz pokażę ci drzwi. - DeLoreto mówił głosem twardym jak marmur karraryjski. - Wygląda na to, że dużo o mnie wiesz. Więc powinieneś wiedzieć i to, że nie wydaję kolegów po fachu.

- Wiem. - Frank błyskawicznie zagłębił dłoń w pojemniku z ciastem i wyciągnął małego kolta. Wycelował go w serce handlarza bronią. - Podejdz do zamrażarki.

DeLoreto popatrzył na broń i zmarszczył brwi. Nie bał się, był zirytowany.

Frank nie miał czasu na argumenty.

- Ruszaj się. - Patrząc w okno, popchnął DeLoreta mocno w stronę wielkiej zamrażarki.

Mężczyzna potknął się i otworzył usta, żeby krzyknąć, ale wtedy Frank go kopnął. Kiedy DeLoreto upadł, Frank podbiegł do zamrażarki. Złapał handlarza bronią za plecy i wrzucił do środka. W lodowatym zimnie ich oddechy wyglądały jak białe chmurki. Głośno przeklinając, DeLoreto wstał. Twarz miał obrzmiałą z gniewu.

- Wiem też, że pierwszym przykazaniem w waszym biznesie jest „pieprz bliźniego swego” - warknął Frank. - Teraz masz szansę.

- Chrzań się, ty zawszony intrygancie z CIA, *animale*! Nie wyjdiesz stąd żywy! -

Potrząsnął uniesioną pięścią.

Frank wycelował i nacisnął spust. Rozległ się huk wystrzału. Kula strzaskała prawe kolano DeLoreta. Było tak zimno, że kawałki ciała i kości poleciały jakby w zwolnionym tempie. DeLoreto krzyknął i upadł. Krew zamarzła w purpurowo-czerwonej plamie na jego dżinsach i na wołównie wiszącej obok niego.

- Mogę przekazać telefonicznie raport bezpośrednio stąd - wyjaśnił łagodnie Frank. - To znaczy, że gównu mnie obchodzi, czy wyjdę stąd żywy. Opowiedz mi o panu G.

Po raz pierwszy na pomarszczonej twarzy DeLoreta pojawił się strach. Mężczyzna rozejrzał się z przerażeniem.

- A jeśli powiem?

- Odejdę. Ty będziesz żyć. To twoja ostatnia szansa.

Kiedy DeLoreto zastanawiał się, Frank parsknął.

- Teraz kolej na drugie kolano. Potem łokcie. Potem cię załatwię.

- To transakcja Martina Ghrandittiego. - Handlarz mówił tak szybko, że słowa zlewały się w jedno. - Ten oślizły robak, Ghranditti, zawiesił emeryturę. Ty chcesz dostać tego popaprańca Ghrandittiego. - Zadrżała mu dolna warga. - Co ty...?

Frank wycofał się z zamrażarki i zamknął drzwi. Podbiegł do pieca, odsunął kociołek i przekręcił wszystkie palniki na „średni”. Położył gazetę na piecu, a na wierzch zarzucił obrus -

dym zaczął sączyć się spod brzegów. Podbiegł do blatu i rąbnął w niego butelką wina.

Poleciało potłuczone szkło. Chwycił kieliszek ze zlewu i nalał do niego wina, biegnąc do drzwi. Z tyłu zaczął już trzaskać ogień.

Frank nabrał głęboko tchu, zrobił zadowoloną, uśmiechniętą minę, postawił butelkę na podłodze i wyszedł. Niedbale się rozejrzał i zobaczył dwóch strażników oddalonych ze sto metrów. Uniósł kieliszek i skinął głową. Odkłonili mu się.

Obszedł dom tą samą drogą, którą przyszedł. Układał plan. Rzucił kieliszek w krzaki przy ganku i za niecałe pięć minut znajdzie się przy bramie. Uznał, że mniej więcej za tyle czasu strażnik zajrzy do kuchni przez okno. Dym będzie gęsty, ale Frank dotrze już do samochodu.

## **Na drodze, północna Wirginia.**

Jaguar mknął autostradą, mijając faliste wzgórza. W dolinach gromadziła się mgła. Ruch był umiarkowany, co pozwalało Elaine przyspieszyć. Przy pewnej dozie szczęścia dotrą na czas na spotkanie z Rainą.

Patrzyła, jak Jay podnosi komórkę.

- Próbujesz znowu dodzwonić się do Bena? - Za pierwszym razem nie było odpowiedzi.

Jay zacisnął szczęki.

- Tak. - Wystukał numer i czekał. - To moja druga wiadomość, Ben. Mam nadzieję, że z tobą wszystko w porządku. Zadzwoń, jak tylko będziesz mógł. - Nie patrząc, dodał: - Elaine, muszę jeszcze zadzwonić do kogoś po pomoc. O nic nie pytaj. - Wystukał numer i znów przyłożył komórkę do ucha. Zaklął. - Nie ma odpowiedzi. - Zostawił wiadomość.

- Wiesz, kto dzwoni. Są problemy. Wyślij szybko ludzi do Bena Kuhnerta. - Podał adres.

- Powiedz, żeby odszukali psa. Wabi się Houri. Jeśli im zaufa, zaprowadzi do Bena.

Elaine patrzyła na drogę.

- Co jeszcze możemy zrobić?

- Tylko czekać.

Prawdopodobna śmierć Bena zaległa między nimi jak otwarty grób. Zapadli w pełne poczucia winy milczenie. Światło słońca zalewało wnętrze. Pyłki tańczyły w nim jak szalone.

Jay popatrzył na autostradę i zbliżające się skrzyżowanie.

- Ta sprawa z Benem przypomina mi historię, którą dawno temu opowiadał mi Palmer.

Dotyczy słynnego angielskiego aktora Lesliego Howarda. Prawdopodobnie słyszałaś o kilku jego filmach: *Przeminęło z wiatrem* i *Kamienny las*.

- Znam te filmy.

Kiwnął głową.

- Howard był za stary, żeby walczyć w II wojnie światowej, ale i tak zgłosił się na ochotnika. Brytyjczycy wzięli go, bo dużo podróżował, zabawiał żołnierzy i robił audycje radiowe. Doskonała przykrywka do pracy wywiadowczej. I oto pewnego dnia, w 1943 roku, premier Winston Churchill siedział w samochodzie na lotnisku w Lizbonie. Kiedy opuścił

szybę, żeby wziąć bilet lotniczy od asystenta, zobaczył go hitlerowski szpieg. Hitlerowcy przeprowadzili śledztwo i dowiedzieli się, że Churchill zamierza wrócić do Londynu jeszcze tego samego wieczoru. Nie wiedzieli jednak, że ich szpieg się mylił... człowiek w samochodzie był jednym z dublerów Churchilla. Ale my wiedzieliśmy wszystko, bo szyfry Enigmy zostały złamane. I tu pojawia się Leslie Howard. Też był w Lizbonie i miał lecieć razem z Churchillem. Był to zwyczajny, nieuzbrojony samolot pasażerski. Rozwiązanie wyglądało prosto: znaleźć wymówkę i odwołać lot. Ale wtedy musielibyśmy skorzystać ze zbyt wielkiej liczby rozszyfrowanych informacji

i hitlerowcy domyśliliby się, że kod Enigmy został rozszyfrowany. Gdyby skonstruowali inną maszynę szyfrującą, nasza rzeka wiadomości wywiadowczych wyschłaby, a nam informacje były potrzebne, żeby jak najszybciej wygrać wojnę. Więc postanowiliśmy, że samolot jednak polecie. Załoga i dubler zgłosili się na ochotnika, byli niezbędni do dokonania tej szarady. Ale Leslie Howard nie musiał lecieć.

Mimo to, jeśli tak wielka gwiazda filmowa jak on poleciałaby razem z premierem, a Brytyjczycy zasugerowaliby, że ma jakąś tajną misję do wykonania, hitlerowcy nadal byłiby przekonani, że Enigma jest bezpieczna. Howard powiedział, że nie wolno ryzykować. Wszedł

na pokład wraz z innymi, a hitlerowskie nocne myśliwce, zgodnie z planem, zaatakowały samolot nad Zatoką Biskajską. - Zawahał się, jakby zbierał myśli. - Samolot nie miał szans.

Został strącony. Nikt nie przeżył. Poczula ukłucie strachu, po którym nastąpił przyływ dumy.

- Zginął, żeby zachować tajemnicę.

- Tak. Oni wszyscy to zrobili. - Z wyrazem troski na twarzy zaczął stukać palcami o tapicerkę pod szybą w drzwiach. - Czy było to warte ich ofiary? Dla celu wyższego, prawdopodobnie tak. Ale gdyby Howard mógł powtórnie wybierać, czy postąpiłby tak samo?

Czy pomyślałby, że wystarczy, że inni oddadzą życie? Nie wiem. Czy Benowi warto narażać życie dla nas? Czy znów by to zrobił? Nie wiem. Ale jeśli zważyć, kim jest Ben, wątpię, żeby naprawdę miał wybór.

Jaguar mknął naprzód, a Elaine wspominała. Każda myśl wracała do Rafe'a, do tego, jak odjeżdżał konno przez pustkowia Tora Bora. Znacznie lepiej niż ona rozumiał, wsparcie może nie przybyć na czas. Ale co to znaczyło? Że jeszcze bardziej odpowiada za jego śmierć, bo też powinna o tym wiedzieć?

Zadzwonił telefon Jaya. Dzwonek był jak seria małych wybuchów. Jay chwycił aparat.

- Tak?

- Tu Frank. Dowiedziałem się, kto to pan G.

Elijah i Palmer też złapali za telefony. Elaine, kierując, przysłuchiwała się rozmowie w trybie konferencyjnym.

- Handlarzem bronią jest Martin Ghranditti - oznajmił Frank.

- Ghranditti? - powtórzył zaskoczony Jay. - A któż to jest, do diabła? Powinienem go znać?

- Niekoniecznie - odparł Palmer. - Ghranditti był za słaby, żeby wejść na najwyższy poziom interesów. Ale miał koneksje i w końcu się wzbogacił. Prowadziłem w jego sprawie śledztwa w kilku przekrętach na Białorusi i Ukrainie, ale nie znalazłem niczego istotnego. Był

cholernie śliski, zgłodniały uznania... i mądry. Ukrywał spółki swojego holdingu pod górą kryptonimów i trzymał się z dala od reflektorów, więc mógł działać w sposób pozornie zgodny z prawem. Bazę miał w Berlinie Zachodnim i tam był prawdziwym zawiadaczającym imponującym pieniędzmi. Podczas operacji „Deadaim” podejrzewałem go, że był

kontrahentem Faisala al-Hadiego. A teraz mamy do czynienia z kolejnym interesem z al-Hadim.

- Okay, zaczyna mi coś świtać - powiedział Jay. - Za każdym razem, kiedy człowiek myśli, że któryś z handlarzy bronią wycofał się z interesów albo umarł, on wypływa gdzieś indziej i nadal handluje bronią. - Jay przerwał, zamyślił się. - Frank, zrobiłeś cholernie dobrą robotę. Podłub głębiej w sprawie Ghrandittiego. Nadal nie wiemy dokładnie, kiedy i gdzie towar zostanie przekazany. A co u ciebie, Elijah? Masz coś nowego?

- Nic konkretnego.

Włączył się Palmer.

- Czy jest jakieś biuro informacyjne na temat kradzieży i rabunków produktów związanych z bezpieczeństwem narodowym?

- To nie moje poletko - odparł natychmiast Elijah. - Ale mogę się dowiedzieć.

- Nie ma potrzeby. - Jay bębnił palcami o swoje udo. - Idź do Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Zaczęli centralizować napływające informacje, zanim opuściłem Langley. Palmer i Elijah, obaj macie po kawałku układanki, sprawdźcie to razem.

Coś jeszcze? - Chwila ciszy. - Okay. Skończyliśmy. Zostańcie w kontakcie.

## **Langley, Wirginia.**

Przez kilka minut Laurence Litchfield był wolny. Bobbye Johnson wypuściła go z morderczego uścisku, żeby mógł przeprowadzić bezpieczną, zdalną konferencję z szefami amerykańskiego i irackiego wywiadu w Bagdadzie. Zdenerwowany popędził do swojego gabinetu, żeby sprawdzić, czy ma wiadomość od Martina Ghrandittiego. Nie było nic. Ludzie Ghrandittiego powinni już znaleźć Jaya Tice'a i Elaine Cunningham, idąc tropem starych szpiegów z „Deadaim”. Poirytowany wykrcił numer handlarza bronią i zostawił wiadomość z żądaniem odpowiedzi.

Zaniepokojony i zdegustowany, że musi czekać, popatrzył na zegarek. Już czas. Włączył

telewizję, przeszedł na kanał CNN i się uśmiechnął. Dziennikarz John King stał przed obrzydliwą, betonową fasadą Gmachu Hoovera, gdzie miała się odbyć wspólna konferencja prasowa CIA i FBI.

- *To nie jest jeszcze wiadomość oficjalna - mówił King - ale mamy informację od zazwyczaj godnego zaufania źródła, że wczoraj, wcześniej rano, Jay Tice uciekł z więzienia...*

Na ekranie pojawiło się audytorium FBI. Litchfield uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Rzecznicy prasowi Agencji i Biura stali na podium z odpowiednio poważnymi minami i na przemian czytali oświadczenie dla mediów. Litchfield miał nadzieję, że Jay to widzi. Zapadł

się w kosztowny, dyrektorski fotel - mebel tego oszusta. Rozparł się, rozkoszując tą myślą. I jeszcze tym, że show rozwija się dokładnie według rady, której udzielił połączonej komisji do spraw wywiadu. Bobbye Johnson przegrała. On wygrał - kolejny raz.

Kiedy zawibrował telefon, Litchfield szybko podniósł go do ucha. Wreszcie Ghranditti.

- Halo, Litchfield - zabrzmiał pusty głos, zde gustowany jak zwykle. Litchfield był zaskoczony. To głos z przeszłości. Nie miał nadziei, że jeszcze kiedykolwiek go usłyszy.

- Moses? Nie wierzę własnym uszom. Po tylu latach... to naprawdę ty?

- Twój błyskawicznie działający intelekt jak zwykle robi na mnie wrażenie - powiedział

Moses swoim niezwykłym, odczłowieczonym tonem.

- Gdzie, do cholery, się podziewałeś? Kilka razy bardzo byś się przydał.

Moses był anonimowym handlarzem tajnymi informacjami cieszącym się wysoką reputacją podczas ostatnich lat zimnej wojny. Jego *modus operandi* był prosty - obsługiwał

klientów po obu stronach żelaznej kurtyny, zarówno państwowych, jak i prywatnych w zamian za wielkie pieniądze. Niektórzy zaklinali się, że to Wenezuelczyk i dawny uczeń Abu Nidala. Inni sądzili, że to Sycylijczyk powiązany z Cosa Nostrą. Ale i tak, kiedy chciało się pomocy od Mosesa, nieistotne było, kim jest.

- Bywałem tu i tam. Chyba się cieszysz, że znów się odezwałem.

- Zależy, co sprzedajesz i ile mnie to będzie kosztować.

Litchfield żywił mieszane uczucia do tego handlarza. Chociaż informacje od Mosesa pomogły zrobić mu karierę, nie znosił za nie płacić i to człowiekowi nielojalnemu wobec nikogo. Poza tym nie podobało mu się, że nie jest w stanie odkryć tożsamości Mosesa, mimo że wyznaczył najlepszych techników do analizowania połączeń telefonicznych. Zawsze się okazywało, że telefony są z Bali albo Cabo San Lucas lub innego morskiego rajy, ale numery nadawały się na śmietnik.

- Kosztować? - powtórzył Moses. - Tanio, w porównaniu z tym, jak wysoko cenisz swoją karierę i wolność. Wiem, że szukasz Jaya Tice'a i Elaine Cunningham.

- Oczywiście. Jest o tym w telewizji.

- Jak również Rainy Manhardt.

Litchfield się spał.

- Skąd, do diabła, o tym wiesz?!

- Nie byłoby dobrze dla ciebie i innych moich klientów, gdybym nie chronił źródeł. A teraz prawdziwa nowina. Tice i Cunningham uciekli opryszkom, których wysłałeś do domu Bena Kuhnerta. Właśnie jadą na spotkanie z Manhardt. Mogę podać lokalizację, a ty, o ile się pospieszysz, położysz łapę na całej trójce jednocześnie. Ładna wydajność, prawda? Tak ładna, że moja zapłata poszła w górę o dziesięć procent.

Litchfield zaklął. Skoro Moses wie, że ludzie Ghrandittiego byli u Kuhnerta, to musi mówić prawdę, że Tice i Cunningham uciekli. Moses roześmiał się, jakby czytał Litchfieldowi w myślach.

- Wszyscy żyją, Litchfield. No to chcesz ich złapać czy nie?

**Lotnisko Dulles International Sterling, Wirginia.**

Ukryta w grupce pasażerów wysiadających z samolotu, Raina Manhardt wyszła z rękawa nadal przebrana za Gunnara Hamsuna. W jednej ręce niosła torbę sportową, w drugiej futerał na gitarę, który kupiła na lotnisku w Mediolanie.

Natychmiast zauważyła potężnego agenta CIA z Genewy Aleca. Stał w miejscu, z którego miał dobry widok. Przymrużonymi oczami przyglądał się twarzom w tłumie jak maszyna biometryczna. W jednym ręku trzymał radiostację, w drugiej ulotkę. Musiało być w niej ukryte przynajmniej jedno jej zdjęcie ze zbiorów BND. Była jednak pewna, że nie ma tam jej prawdziwego nazwiska. Zarówno CIA, jak i BND chciały zachować tę tajemnicę.

Ze ściśniętym sercem uniosła głowę i założyła okulary przeciwsłoneczne. Jakby słyszała głos Jaya: „Pamiętaj o sile szaleństwa”. Zirytowana machnęła futerałem na gitarę. Przygarbiła się i zaczęła podśpiewywać gunnarowe melodyjki. Potężnie zbudowany agent skupił uwagę na jej twarzy, potem przeniósł wzrok na torbę sportową i futerał. Ale skrzywił usta i przeniósł

wzrok na kobietę w eleganckim turbanie.

Powtarzała sobie, żeby równomiernie oddychać, kiedy szła razem z tłumem, ale jej niepokój wzrastał - agentów było coraz więcej i wszyscy trzymali ulotki. Stali przy bramkach, przez które przechodzili ludzie z samolotów przybywających z Europy. Tam właśnie zobaczyła starego kolegę z BND Volkera Rehwalda. Ręce miał założone na piersi, z wściekłości zaciskał wargi. Przyglądał się pasażerom spod przymrużonych powiek. Też miał

radiostację. Będzie musiała przejść za blisko niego, w odległości zaledwie kilku metrów.

Volker ją zobaczył. Zmarszczył brwi i się przyglądał. Oboje byli tego samego wzrostu.

Dokładnie tego samego. Zawsze mogli spojrzeć sobie w oczy na równym poziomie, co wywoływało między nimi dziwnie silną więź. Ruszył w jej kierunku.

Rainie zabrakło tchu. Skręciła, rozpaczliwie rozważając różne możliwości ucieczki. Ale Volker podniósł radiostację - nie żeby coś powiedzieć, tylko żeby czegoś wysłuchać.

Rozejrzała się. Inni agenci też słuchali z radiostacji. Znów spojrzała na Volkera, ale on właśnie odchodził. Inni też. Coś musiało się stać.



# Waszyngton.

Brązowy, ceglany budynek pochodził z czasów II wojny światowej i wyglądał

przeciętnie. Stał przy ruchliwej śródmiejskiej ulicy. Na matowej szybie w drzwiach wypisany był tylko numer. Przechodnie nie zwracali uwagi na Elijaha Helprina i Palmera Westwooda, którzy przytknęli legitymacje CIA do szkła i czekali.

Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego tak się rozrósł - zatrudniał ponad sto osiemdziesiąt tysięcy osób - że musiał się rozmieścić w wielu podobnych budynkach rozsianych po całym waszyngtońskim dystrykcie. Zajmował się niezliczoną liczbą spraw: wywiadem, ostrzeżeniami, zabezpieczaniem transportu, krajowym antyterroryzmem i obroną wewnętrzną.

Strażnik otworzył drzwi i sprawdził identyfikatory. Wpuścił ich z uprzejmym skinieniem głowy. Elijah i Palmer przeszli sześć metrów po starym parkiecie i zatrzymali się przy wysokim, mahoniowym kontuarze.

Elijah znów podniósł identyfikator i powiedział swoje nazwisko.

- Mamy spotkanie w pokoju 222 a. George Popescu.

Palmer wolniej sięgnął po identyfikator, zdradzając oznaki zniecierpliwienia.

- Proszę się wpisać - polecił urzędnik w mundurze. Porównał podpisy z tymi z legitymacji i wręczył identyfikatory dla gości. - Proszę iść prosto do pokoju 222 a.

Elijah oschle skinął głową i zaprowadził Palmera przez wykrywacz metalu do windy, która wwiozła ich na drugie piętro. George Popescu podniósł wzrok, kiedy doszli do jego boksu. Był emerytowanym analitykiem CIA powołanym z powrotem do pracy, kiedy departament gwałtownie się rozrósł.

- Eli! Kopę lat. - Wstał i podał Elijahowi rękę. Palmer nie marnował czasu na uprzejmości.

- Masz to dla nas, Popescu?

George uniósł brew.

- Cześć, Palmer. Zrobiliśmy się trochę nerwowi, co?

- To ważna sprawa, George - usprawiedliwił kolegę Elijah.

- Przepraszam. - Palmer uśmiechnął się swoim opatentowanym przyjacielskim uśmiechem. - Nerwy mam w strzępach.

George kiwnął głową.

- Jak my wszyscy. Okay, oto wydruk kompletnej bazy danych zaginionych materiałów związanych z

bezpieczeństwem narodowym. Wszystko, poczynając od potwierdzonych kradzieży do zaginionych komputerów, które wcale nie musiały istnieć. Sprawdzone, zweryfikowane, potwierdzone, według wszelkich odnośników poczynionych przez wszystkich, którzy prowadzili w tych sprawach śledztwa. Jak tylko dostałem od was telefon, przepuściłem to przez ForeTell i kazałem dodać nowe sprawy, które wypłynęły w ciągu ostatniej doby. Zajęło to tylko pięć minut. - Podniósł z pudła gruby plik dokumentów. -

Ostrożnie. Ciężkie. Dostaniecie przepukliny.

Palmer chwycił wydruki.

- Jak to posegregowałeś?

- Według wspólnych cech. Mówiłeś, że o to ci chodzi.

Palmer bez słowa poszedł do jednej z dźwiękoszczelnych czytelni pod ścianą.

- Wspaniała robota, George. Dziękuję. - Elijah podbiegł, żeby zdążyć za Palmerem.

Kiedy znaleźli się w środku, zajął się pierwszą połową alfabetu, a Palmer drugą. Słysząc było tylko przewracanie kartek. Elijah trafił pierwszy.

- Tu jest kategoria: „Jerry”. Bez nazwiska. - Przekartkował odnośniki. - Dziesięć przedmiotów i za każdym razem ktoś zamieszany w ich zniknięcie wspominał o jakimś Jerry. Wśród nich są nasze stardusty i wiropłoty.

- Tu jest jeszcze coś... kategoria oznaczona jako: „Głosy Los Angeles”. Patrz, retaliator, pistolet na kółku od kluczy. Poszukaj kategorii Ghranditti. Ja sprawdzę pana G.

Elijah szybko przebiegał palcem po kartach.

- Nie ma „Ghranditti”.

- Ale trzynastu „panów G.” I tylko czterech przy naszej drugiej kategorii. Nowe zguby to: powietrzny miecz i nanometryczne materiały mirrome.

Zaczęli szukać „al-Hadiego” i „Majlis al-Sha’b”. „Bmw” i „limuzyna”. „Łapówka” i

„szantaż”. W końcu skompletowali listę dwudziestu dwóch przypadków.

Palmer zapatrzył się na spis i zaklął.

- Do diabła, jest gorzej, niż myśleliśmy!

\*

Elaine zaparkowała przy Nabrzeżu Rybackim Maine Avenue w południowo-zachodnim

Waszyngtonie. Patrzyła, jak Jay sprawdza broń. Ruchy miał opanowane, precyzyjne. W

lusterku umieszczonym pod osłoną przeciwsłoneczną poprawił okulary i nisko nasunął

baseballówkę. Jego skóra miała teraz kolor kawy z mlekiem. Ciemny makijaż nadał mu trochę latynoamerykański wygląd, może mieszkańca Karaibów, z pewnością kogoś egzotycznego.

Nie był już białym mężczyzną z kaukaskiego świata, z którego pochodziła większość szpiegów i mistrzów szpiegostwa CIA.

- Jesteś podminowany - zauważyła. Ona też zmieniła wygląd, zakładając ogromne okulary słoneczne i słomkowy kapelusz, pod który upchnęła włosy.

Nie spojrzał na Elaine.

- Chyba tak.

- Och, Jay, na litość boską, uśmiechnij się. Tak bardzo chcesz się zobaczyć z Rainą, że jesteś jak dziecko ze studolarowym banknotem, które o trzy kroki widzi samochód lodziarza.

Wyskakuj. Spóźnisz się.

Rzucił jej gorący uśmiech.

- Możliwe, że już jest.

Jak tylko wysiedli z wozu, rzuciła się na niego i objęła ramionami. Przez chwilę niezdecydowany machał rękami, potem mocno i gorąco odwzajemnił uścisk.

- Wiem, że tego nie zrobiłeś, Jay - powiedziała. Z każdym słowem coraz bardziej się usztywniał. - Nic nie mów. Jest w porządku. Chciałam tylko, żebyś wiedział... naprawdę... że ja wiem i zawsze będę twoim przyjacielem. - Odsunęła się i pocałowała go w policzek.

Zawahał się, potem odgarnął z jej oczu pasemko włosów.

- Uważaj na siebie, Elaine. - Jego uśmiech wywołał w niej delikatne i rozkoszne odczucie. Potem Jay nachylił się i pocałował ją w czoło.

Odszedł szybko. Jego szerokie plecy robiły się coraz mniejsze. Ruszył krokiem drapieżnika.

\*

Rozlegało się niesamowite dudnienie stali o drewno, kiedy zacumowane przy Maine Avenue kutry rybackie uderzały o nabrzeże. Brązowe wody Potomacu wzbierały, mewy krążyły nisko, patrząc na świeże kraby, ostrygi i ryby rozłożone na pokruszonym lodzie na targu. Promienie zbliżającego się ku zachodowi słońca oblewały scenę niesamowitym, lawendowym światłem.

Jay Tice, z zabarwioną skórą, w czapce baseballowej i okularach słonecznych, szedł obok płaskodennych łodzi ociążalym krokiem, żeby wyglądać starzej. Ręce trzymał luźno. Był świadom broni, którą na sobie dźwiga. Nigdzie nie widział Rainy. Stłumił rozczarowanie i niepokój. Nagle rozległ się śpiewny okrzyk handlarza:

- Kraby! Kupujcie kraby!

Jay oparł się impulsowi, żeby się odwrócić. To był prawdziwy akcent człowieka z rybackiej wioski znad zatoki Chesapeake.

Gdzie Raina? Zawrócił. Szedł, udając, że uważnie przygląda się nowoczesnym restauracjom stojącym nad rzeką na południe od kutrów. Obserwował zacumowane łodzie mieszkalne, kutry i trawlerzy. Przepatrywał moło - z lekka tylko zatłoczone - zaniepokojony, że coś się stało Rainie.

Jej obraz nosił w sercu od tamtej wymiany o świcie na moście Glienicke. W zimowym świetle wyglądała jak pruska księżniczka. Uśmiechnął się do siebie, wspominając jej zaróżowione policzki i różowy nos. Pod futrzaną czapą, nasadzoną głęboko na głowę niebieskie oczy wydawały się jeszcze większe. Dłonie w rękawiczkach trzymała przy bokach.

Zacisnęła je tylko raz, zdradzając zdenerwowanie. Był to ludzki gest, lodowa księżniczka ożyła. Odślaniało to kobietę, prawdziwą i uczciwą, pod doskonałym stalowym pancerzem. Tę Rainę kochał.

Lufa pistoletu wbiła mu się ostro w plecy.

- No, stary, powiedz, dlaczego nie miałbym cię sprzątnąć? - Zza prawego ucha dobiegał go gorący, gniewny kobiecy głos.

Serce mu zamarło. Opanował odruch, żeby odwrócić się i wbić łokieć w jej gardło.

- Do cholery, Raina. - Mówił ściszym głosem. - Co ty, do diabła, wyprawiasz?

- Ty draniu. To przez ciebie on nie żyje. Gdzie masz samochód?

Nie tak to zaplanował.

- Jest o przecnicę stąd. Odłóż tę spluwę. Zwrócisz na nas czyjaś uwagę.

- Nie martw się, wiem, co robię. Nie próbuj żadnych sztuczek. Sprzątnę cię, jeśli będziesz się stawiał. Jest mi wszystko jedno. Możliwe, że jesteśmy spaleni, więc uważaj. A teraz: idź.

\*

Elaine, zgodnie z umową, śledziła ich z oddali, prawie na dystans jednej przecznicy. Ale młody

opryszek w lewisach i kurtce Harley-Davidson właśnie stanął za Jayem i był teraz tak blisko niego, że szli prawie noga w nogę. Język ciała Jaya wskazywał, że tam w akcji jest broń palna. Nagle Jay odprężył się, a punk odsunął się troszeczkę. Odwrócili się, a Jay uniósł głowę i nieomal niepostrzeżenie skinął do niej głową. Zrozumiała - to Raina w przebraniu. Ale spotkanie po latach wcale nie było romantyczne.

Elaine zatrzymała się i rozejrzała po nabrzeżu. Klienci stawali przy szklanych gablotach z rybami, pary przechadzały się, nianie wiozły dzieci w spacerówkach. Nigdzie żadnego niebezpieczeństwa. Też zmieniła kierunek, wróciła do Maine Avenue. Co jakiś czas oglądała się przez ramię, sprawdzając, gdzie są Jay i Raina.

Ale kiedy zbliżała się do ulicy, zobaczyła trzech mężczyzn w garniturach. Przechadzali się po nabrzeżu. Jeden był wysoki i gruby. Chodzili za szybko jak na zwyczajnych kupujących, którzy przybyli potargować się o świeże owoce morza. Nie zachowywali się też jak znudzeni inspektorzy sanitarni. Nie zobaczyła broni, ale mieli luźne marynarki.

Zaniepokojona spojrzała poza nich, na furgonetkę, która właśnie zatrzymywała się pod zakazem postoj. Pierwszy mężczyzna, który wysiadł z wozu, wyglądał na znajomego. Aż drgnęła, kiedy sobie przypomniała. To on wyszedł za nią z czytelnicy, kiedy wyczuła, że ma ogon. Musiał być z agentem, który próbował ją sprzątnąć zatrutymi strzałkami. Chart.

Serce biło jej jak młotem. Obejrzała się na Jaya i Rainę. Byli nadal za daleko, żeby nowo przybyli mogli ich dostrzec, ale to już niedługo.

Elaine gwałtownie poluźniła kapelusz i przyspieszyła kroku, przyciągając uwagę trójki.

Odwrócili za nią głowy. Zaczęli się przyglądać. Popatrzyła na nich zza okularów przeciwsłonecznych, a potem jeszcze na sześciu, którzy wysiedli z furgonetki i podchodzili do pierwszej trójki.

Otworzyła usta z przerażenia. Ruszyła biegiem, potrząsając głową, żeby pozbyć się kapelusza. Spadł, a włosy rozwiały się na wietrze. Teraz ją rozpoznają.

- To Cunningham! - powiedział jeden z nich podniesionym głosem.

- Jeśli ona tu jest, tamci też muszą być - stwierdził drugi. - Moses miał rację.

- Rozproszyc się. Szukać ich. My bierzemy Cunningham!

Elaine się obejrzała. Pierwsza trójka pobiegła za nią, pozostali rozeszli się, żeby poszukać na nabrzeżu Jaya i Rainy. Cholera! Spieprzyła sprawę! Wszyscy mieli się rzucić w pogoń za poszukiwaną agentką. Nagle zatrzymała się, wyciągnęła walthera i obróciła się na pięcie.

## 39.

Głosy mężczyzn niosły się nad klientami i rybakami. W uszy Jaya wpadło jedno palące zdanie: „Moses miał rację”. Był wściekły - ale szczer wreszcie wyszedł z nory.

- Kim jest ta kobieta? - zapytała Raina

- Łowca. Wysłany za mną przez Langley. Elaine Cunningham. - Patrzył w przerażeniu, jak Elaine przykuca i otwiera ogień. - Muszę jej pomóc!

Pod nagłym deszczem kul mężczyźni rzucili się na ziemię, szukając osłony. Kupujący krzyczeli, przepychali się i biegli we wszystkie strony. Hałas odstraszył mewy, które z piskiem wzbiły się w niebo. Panika opanowała nabrzeże.

Raina chwyciła go za ramię i pociągnęła.

- Chodź, Jay! Musimy stąd odejść, póki czas. Ona tego chce. No, chodź!

Nagle ogień zamarł i Elaine ruszyła sprintem. Tym razem ścigali ją wszyscy napastnicy.

Odciągała ich daleko od Tice'a i Rainy.

Jay wpadł między dwa sklepy, słysząc za sobą kroki Rainy. Poprowadził ją szybko wzdłuż brzegu przystani, za kramami i składami. Biegli obok stoisk z rybami, krabami i targującymi się rybakami. Odgłos kutrów uderzających o nabrzeże brzmiał w uszach Jaya jak stuk młotka wbijającego gwoździe w trumnę.

Na ulicy rozejrzał się za Elaine, potem odwrócił się, żeby poczekać na Rainę. Patrzył z niedowierzaniem, Raina wyglądała jak mężczyzna: cienki kucyk i wąskie okulary przeciwsłoneczne, wąsy, krótka bródka i sprężysty krok. Ledwie ją rozpoznał.

- Na lewo - rzuciła.

Przyspieszyli. Rozglądał się ciągle po zatłoczonej ulicy, aż wreszcie, w oddali, dostrzegł

Elaine i bezlitośnie ścigającą ją grupę mężczyzn.

\*

Spotkania online z Majlis al-Sha'b nie można było przeprowadzić w Kinko, więc Faisal al-Hadi wynajął luksusowy pokój hotelowy w północno-wschodnim Waszyngtonie, żeby spokojnie i bezpiecznie skorzystać z komputera. Stał przed lustrem i pedantycznie szczywał

resztki pianki z wilgotnych włosów. Miał niezwykłą zdolność łatwego wtapiania się w tło.

Przeciągnął ręką po szczęce, wyczuwając zarost pozostały po czarnej brodzie. Tęsknił do chwili, gdy znów zacznie ją zapuszczać. Wkrótce to się stanie. To jego ostatnia misja; rada nalegała, żeby

przestał się narażać.

Rozprostował nakrochmalony, biały uniform, swoje nowe przebranie. Wtedy zobaczył

nową wiadomość na ekranie laptopa. Głosiła, że bracia się zgromadzili. W Malezji była siódma rano, tuż po modlitwie. Pospieszenie zajął miejsce przed komputerem, wyobrażając ich sobie, jak siedzą wokół prostego stołu obrad. Pod przewodnictwem Allacha Majlis zbudowało nowe kwatery tam, gdzie nikt ich nie znajdzie - na gorącym, bujnym wybrzeżu Cieśniny Molukańskiej.

Z łatwym dostępem do Bliskiego Wschodu, Pakistanu i Filipin, otoczone bagnem gęsto porośniętym namorzynami, bronione wielusetletnimi podejrzeniami wobec każdego niemuzułmanina, ich ukryta zatoka dawała bezpieczeństwo. Było tam też więcej miejsca, niż trzeba, żeby rozwinąć centrum dowodzenia. Ze względu na rafy olbrzymie okręty niewiernych nie zdołałyby podpłynąć. Nie było też pasów startowych dla potwornych odrzutowców. Ani dróg przez dżunglę.

Wpisał hasło i wszedł w oprogramowanie. Na ekranie natychmiast zobaczył braci. Jak zwykle postawili laptopa na końcu stołu - na miejscu dowódcy - i odwrócili urządzenie tak, żeby al-Hadi mógł wszystkich widzieć. Jednocześnie każdy z nich miał otwartego swojego laptopa, żeby lepiej widzieć al-Hadiego. Chudzi jak bice Afgańczycy, przysadziści Turcy, wysocy Sudańczycy, brązowi Pakistańczycy, Irakijczycy, Irańczycy, Kurdowie - było ich trzydziestu, a będzie więcej. Sieć wszystkich sieci szybko się rozprzestrzeniała. Po zwyczajowych powitaniach przeszedł do rzeczy.

- Zapoznaliście się z listą towarów? - Mówił po arabsku. Wszystkie spotkania prowadzono w języku, w którym spisany został Koran.

Salim Mahfooz, z twarzą niespotykanie poważną i surową jak na trzydziestolatka, był

nowym członkiem rady.

- Znam się na kałasznikowach, miotaczach granatów i SAM-ach. Partnerstwo między nami w zakupie i przemyśle broni krótkiej ma sens, ale nie widzę przyszłości dla zachodnich gadżetów. - Był z Libii, gdzie oburzenie na „pokój” zawarty przez Muammara Kaddafiego z Wielkim Szatanem po amerykańskiej inwazji na Irak zaowocowało ogromną liczbą nowych członków organizacji.

- Też jestem zaniepokojony, bracia - powiedział Ibrahim Allahmar. - Pamiętajcie o naszych pierwotnych celach. Chodzi o zbudowanie międzynarodowej sieci służącej współpracy gospodarczej i finansowej, wymianie informacji wywiadowczych, zakładanie bezpiecznych domów i tworzenie wspólnych programów treningowych oraz zakupy broni. To pochłania wszystkie nasze zasoby. Obecny transport kosztuje znacznie więcej, niż się spodziewaliśmy. Teraz, kiedy widzę ostateczną listę towarów, czuję niepokój. - Mały, zażarty i twardy był Ujgurem z Kaszgaru. Przyłączył się do nich przed rokiem.

Al-Hadi zirytował się, ale odpowiedź na zarzuty była małą ceną za sprawę.

- Nasz brat, szejik bin Laden, jest najmądrzejszy. - Poczekał, aż wszyscy wydali pomruk zgody. - Na dwa dni przed świętymi atakami z jedenastego września zatelefonował do matki, żeby jej

powiedzieć, że wkrótce nastąpi wielkie wydarzenie, a ona na dłuższy czas straci z nim kontakt. Sądźcie, że był nieostrożny?

- *Laa* - rozbrzmiały głosy. - Nie.

- Macie rację. Zadzwoił, bo wiedział, że niewierni z narodowej agencji bezpieczeństwa przechwycą rozmowę, a cykl: przechwycenie, tłumaczenie, analiza trwa trzy doby. Zanim zrozumieją, co powiedział, będzie już po ataku. Dlatego mógł zadzwonić do matki, a jednocześnie wytknąć im arogancję i niekompetencję. Skąd szejk wiedział o tym cyklu? Bo spędził lata na zbieraniu informacji o amerykańskim systemie wywiadowczym.

Głowy w turbanach wokół stołu zaczęły potakiwać. Niektórzy gładzili brody na znak zgody. Dwaj, którzy się sprzeciwiali, siedzieli cicho i bez ruchu.

- Jeśli Związek Radziecki i wszelkie inne wrogie państwa nie zdołały pokonać amerykańskiej obrony strategicznej, bylibyśmy głupi, gdybyśmy tego spróbowali - wyjaśniał

logicznie al-Hadi. - Islam może być ponadpaństwowy, jeśli skorzystamy z broni czwartej generacji. Po pierwsze, zaakceptujmy, że machina militarna Zachodu jest potężna i ją zignorujemy. Po drugie, nie będziemy przestrzegać żadnych reguł prowadzenia wojny. Dla nas nie ma różnicy między żołnierzem a cywilem. Cywile też walczą, wspierając ich wojnę.

Po trzecie, niewierni myślą, że wczesne ostrzeżenie, uderzenia wyprzedzające i taktyka zniechęcania pokonają nas. Błąd. To działa tylko wtedy, kiedy obie strony chcą przetrwać. Nie ma to znaczenia podczas wojny z nami, bo my dbamy tylko o wieczne życie duszy.

- Nasi męczennicy są święci - zgodził się imam Burra Tilkrit z Jemenu. - *Man maat al-*

*yaum salim min dhanb bukra* - przytoczył przysłowie. - Kto umiera dziś, zabezpiecza się przed jutrzejszymi grzechami.

Al-Hadi poczekał, aż obaj jego przeciwnicy też pokiwiają głowami. Ibrahim Allachmar znów się odezwał.

- Wy tłumacz, dlaczego uważasz, że ten transport jest tak ważny dla naszej świętej wojny, szejku al-Hadi.

Al-Hadi zacytował werset z Koranu:

- Odpowiedź brzmi: bo to „wzbudzi strach w sercach niewiernych”. Każdy z tych produktów odgrywa swoją rolę. Na przykład będziemy mieli tysiąc zintegrowanych pakietów land battle. To są ich najnowsze mundury dla żołnierzy. Mają wbudowany sprzęt radiokomunikacyjny, osobistą elektronikę, globalną nawigację i są z nowej, wzmocnionej tkaniny odpornej na ogień karabinów. Zamiast podkładać bomby, które nieuchronnie niszczą ich placówki, nasi ludzie w tych mundurach mogą napadać niewiernych we śnie, porywać i zabierać całą elektronikę i broń. Jeśli nas zauważą, będziemy w pełni wyekwipowani, żeby się bronić, atakować i ująć z łupem. Nie sądźcie, że to dobre?



- Bardzo dobre! - potwierdził entuzjastycznie oporny wcześniej Salim Mahfooz.

- Wy też lubicie chipy RadioTech. Umieszczone są w podstawie anteny i bezzwłocznie konwertują przychodzący sygnał analogowy na dane cyfrowe. Mając to, możemy konwertować wszystkie lokalne sygnały radiowe na własny użytek. Jest tam też vibrajekt, nowe urządzenie do wstrzykiwania lekarstw pod skórę bez użycia igły, samymi tylko wibracjami ultradźwiękowymi. To szczególnie użyteczne, bo działa nawet do trzydziestu metrów. Możemy na odległość wstrzykiwać niewiernym truciznę, czekać, aż zejda, potem wchodzić do budynków, żeby podkładać bomby albo kraść informację, nie ryzykując, że nasi wojownicy zostaną zatrzymani. Kolejny produkt to hiwave, fala radiowa o wysokiej energii.

Zakłóca pracę chipów komputerowych, cyfrowych mózgow, kontrolujących pracę urządzeń w autobusie, samolocie, wieży kontrolnej, wszędzie, gdzie byśmy sobie życzyli.

Al-Hadi patrzył, jak członkowie rady zaczynają w podnieceniu ze sobą rozmawiać, tłumaczyć jego wyjaśnienia na praktyczny język świętej wojny. Kiedy zamilkli, znów się odezwał:

- Mógłbym tak długo wyliczać, ale w domu będę z transportem za miesiąc. Wtedy dłużej porozmawiamy. Czy mam na to waszą zgodę?

- Po co nam to oprogramowanie ForeTell? - zapytał Kilim Dekat. Urodzony w Niemczech był przedstawicielem Hezbollahu.

Al-Hadi się uśmiechnął.

- ForeTell integruje całą naszą siatkę w stopniu, o jakim mogliśmy tylko marzyć.

Będziemy wiedzieć, gdzie znajduje się każdy człowiek, każda broń, każde narzędzie z naszego arsenału i jak zaawansowane są wszystkie plany. Za pomocą ForeTell możemy zaprogramować i koordynować zabezpieczenia naszych celów... - Kiedy skończył wykład, zaczął przyglądać się zgromadzonym. Ich twarze rozświetlone były dumą i wiarą jak latarnie morskie w długą, pustą noc. Skinął głową i zaczął mówić podniesionym głosem, pełnym emocji i prawdy: - Nie jesteśmy lojalni wobec żadnego narodu, tylko wobec islamu.

Uderzymy w serca niewiernych. Tam, gdzie mieszkają, pracują i się bawią. Zniszczymy ich najbardziej wielbione symbole i instytucje. Ciągłe będą płacić wysoką cenę gospodarczą i psychologiczną, zaczną winić swoich przywódców za to, że tak się dzieje. Nasze uderzenia nie ustaną, a oni skruszą się jeszcze bardziej. Zniszczymy ich od środka. A wtedy Allah znów obejmie królestwo na tej ziemi!

Stare drzewa magnoliowe okalały dzielnicę małych drewnianych domków w południowo-wschodnim Waszyngtonie. Choć grupki ludzi wracały z pracy, cieniasta uliczka wyglądała na opustoszałą. Z przodu stał samochód wynajęty przez Rainę, beżowy ford mustang z wielkim silnikiem V8 - neutralny kolor i dużo koni mechanicznych. Razem z Rainą szli do samochodu. Jay rozglądał się po okolicy.

- Skąd wzięłaś tę rurkę, którą wbiłaś mi w plecy?

- Wiedziałaś. - Wściekłość na Tice'a zelżała.

- Nie od razu.

Oboje szybko się rozejrzeli i wsiedli do wozu. Włączyła silnik i ostrożnie pojechała ulicą, nie robiąc niczego, co mogłoby przyciągnąć do nich uwagę w tej spokojnej okolicy.

- Cud, że mi się udało. Ale przecież miałam najlepszego nauczyciela - powiedziała zgorzkniałym tonem. Wyciągnęła krótką rurkę z kurtki harleyowca i rzuciła ją na tylne siedzenie. - Nie mogłabym wnieść broni do samolotu i nie chciałam ryzykować, szukając czegoś tu, na miejscu. Użycie rurki było najprostszym rozwiązaniem.

Chłonał jej widok. W wyobraźni usunął wąsy i perukę. Studiował zapadnięte policzki, gładką cerę, spokojne promieniowanie jej osobowości, łagodność, która pulsowała pod skórą.

Patrzył na jej dłonie z długimi palcami i krótkimi paznokciami. Trzymała kierownicę nonszalancko, ale pewnie. Jej szczupłe ciało spoczywało w fotelu, jakby się tym rozkoszowało. Ale i tak, w jednej chwili potrafiła zdobyć się na czujność i stać się zabójczo niebezpieczna. Bezgranicznie fascynowała go pięknem i złożonym charakterem.

- Dowiedziałeś się czegoś o Kristophie? - zapytała.

- Niczego, co dotyczyłoby go bezpośrednio. Miałem nadzieję, że ty pierwsza mi coś powiesz. Ale najpierw porozmawiajmy o Mosesie.

- Słyszałam, jak nasi prześladowcy wykrzykiwali to imię. Informacja, gdzie można nas znaleźć, przyszła od Mosesa.

Pokiwał ponuro głową.

- Drań! Od lat był gdzieś blisko, ale poza polem widzenia. Lalkarz, który pociągał za sznurki. Raz dla nas, raz przeciwko nam. Musieliśmy tańczyć, jak zagrał. Nie mieliśmy wyboru. Próbowałem go znaleźć, ale zawsze wyprzedzał mnie o krok. Kiedy w końcu lat dziewięćdziesiątych zamilknął, miałem nadzieję, że zniknął na zawsze.

- Ktoś wie, gdzie on jest, i przekazuje mu informacje.

- Wspomniałaś komukolwiek o naszym spotkaniu?

- Absolutnie nikomu.

- Tego się obawiałem. - Z odrazą na myśl o konsekwencjach wyznał: - Powiedziałem o tym czterem zaufanym agentom z zespołu, z którym pracowałem w Berlinie Zachodnim. Nie mogę uwierzyć, że jeden z nich mógł nas wydać. Ale to jedyna odpowiedź. Poznasz ich później: Frank Mesa, Elijah Helprin, Palmer Westwood i Ben Kuhnert. Ben jest poza podejrzeniem, być może nie żyje. Więc w grę wchodzi: Frank, Palmer albo Elijah.

- Dobry Boże! I to jeden z nich nas wydał? - Skończyła się cicha uliczka. Raina dodała gazu. - Domyślasz się, który?

Rozglądał się, czy nikt ich nie śledzi. I myślał.

- Można było sprzątnąć mnie i Elaine, kiedy spaliśmy, a oni byli na zadaniach. Dom stał daleko od sąsiedztwa. Żadnych świadków. Więc potem coś musiało się zmienić. -

Przypomniawszy sobie wydarzenia. - Jedyna nowa informacja, jaką uzyskaliśmy, to nazwisko handlarza bronią, który organizuje transport: Martin Ghranditti.

- Ghranditti? Pamiętam go. Nie był małym handlarzem, ale ledwie trzymał się w wyższych sferach swojej branży. Mocny w gębie. Do tego kobieciarz. - Zamilkła.

- Mniejsza o to, potem mi o nim opowiesz. Zakończ analizę.

- To Frank zdobył nazwisko handlarza, więc nie on nas wydał. - Zaciśnął pięści, tłumiąc głębokie uczucie zdrady. - To musi być Elijah albo Palmer. - Z Elijahem nigdy nie był tak blisko jak z Palmerem, ale bardzo go lubił i szanował. Po tak długiej współpracy z obydwojema, po latach zaufania i poczucia wzajemnego obowiązku, po tym, jak wzajemnie się osłaniali, wydawało się niemożliwe, żeby któryś z nich świadomie chciał wykończyć Rainę, Elaine albo jego.

Raina rzuciła mu współczujące spojrzenie.

- Wiesz, że obaj mają dobre źródła informacji, a przynajmniej mieli. Możliwe, że Elijah albo Palmer są Mosesem.

Na próżno szukał w myślach argumentu przeciwko temu pomysłowi. Wreszcie, pokonany, pokiwał głową.

- Och, do diabła, masz rację. Musimy być bardzo ostrożni. Prowadziłem zespół tak jak zawsze. Oni przedstawiali raporty, a od czasu do czasu urządzaliśmy konferencję przez nasze komórki. To znaczy, że Elijah i Palmer mogą zadzwonić w każdej chwili. Nie chcemy, żeby dowiedzieli się, gdzie jesteśmy ani co robimy. I niczego o Elaine. Zgoda?

- Oczywiście. Ale musimy też wypłoszyć zdrajcę, żeby się ujawnił.

- Później. Teraz naszym priorytetem jest zebranie wszystkiego, co wiemy, żeby nie dopuścić do transakcji bronią. - Wyjechali poza obszar mieszkalny. Ruch gęstniał. - Skręć na północ na najbliższym skrzyżowaniu. Oddalimy się od nabrzeża rybackiego. Powiedz, czego się dowiedziałas, potem ja przekażę informacje tobie.

- Zacznę od Kristopha. - Raina zacisnęła ręce na kierownicy. - Kilka miesięcy temu podjął krótkoterminową pracę, żeby dokonać ostatecznych poprawek przy nowym oprogramowaniu. Rankiem dnia, w którym zginął, zadzwonił do mnie z Genewy. Powiedział, że program nazywa się die Sehergabe i jest robiony dla Ministerstwa Sprawiedliwości, żeby podnieść zdolność wyszukiwania danych sądowych, pozwów, adwokatów, oskarżonych, organizowania i analizowania danych. Projekt trzymano w ścisłej tajemnicy, dlatego ministerstwo wysłało zespół za granicę pod przykrywką prywatnej niemieckiej spółki Milieu Software.

- Raino, Milieu to przykrywka Charta, jednostki specjalnej CIA.

Otworzyła szeroko oczy. Oderwała wzrok od jezdni i głośno zaklęła po niemiecku.

- To wiele wyjaśnia. Kristoph prosił o przysługę. Chciał, żebym sprawdziła, czy ten program pisany jest naprawdę dla ministerstwa. To mnie wystraszyło. Próbowałam przekonać Kristopha, żeby stamtąd wyjechał. Ale on miał inne zdanie. Potrafił być bardzo uparty. -

Zawahała się, jakby musiała pozbierać myśli. - Nie chciał nawet wyjaśnić, dlaczego zadaje to pytanie. Zadzwoniłam do przyjaciela, który zajmuje wysokie stanowisko w ministerstwie.

Jego odpowiedź brzmiała tak, jak się obawiałam: nikt nie słyszał o die Sehergabe. -

Przełknęła. - Kristoph zginął, zanim zdołałam mu przekazać tę informację.

Skręciła mustangiem w Siódmą i przyspieszając, włączyła się do ruchu. Ze ściągniętą twarzą opowiedziała wstrząsającą historię o telefonie z wieścią o śmiertelnym wypadku Kristopha, o pospiesznym locie do Genewy i śledztwie, jakie przeprowadziła w sprawie Milieu. Opisała, jak Volker Rehwaldt wystawał nocą pod mieszkaniem Kristopha, a potem uściśnął ją zdradziecko.

- Wystawił mnie dla człowieka z CIA, który przedstawił się jako Alec. - Podała rysopis Aleca.

- To Alec St. Ann, agent Charta. Jest bardzo dobry. Przez lata stacjonował w Europie. -

Obserwował podejrzliwie ulicę, myśląc o Alecu, który potrafił być nieznużony.

- Alec wiedział, że jestem w uśpieniu. Próbował mnie reaktywować, żeby wy badać, co odkryłam na temat Milieu. Oczywiście, niczego mu nie powiedziałam, ale też niewiele wiedziałam. Miałam jednak coś, czego chciał: dwie taśmy z kamer ochrony znad przedniego i tylnego wejścia do budynku Milieu na siedem dni przed śmiercią Kristopha.

Popatrzył na Rainę.

- Przejrzałaś?

- Nie miałam gdzie.

- Musimy je zobaczyć. Pomyślę o jakimś bezpiecznym miejscu. Nie podoba mi się, że CIA i BND razem pracują przeciwko tobie.

- Ja też nie szaleję z radości z tego powodu. Chcieli wydostać taśmy, a potem sprzątnąć mnie tak, żeby wyglądało to na samobójstwo.

- Dranie. Alec chronił Charta. Jestem gotów założyć się, że oprogramowanie Kristopha ma coś wspólnego z transakcją Ghrandittiego. - Przerwał i nagle zrozumiał. - Die Sehergabe można przetłumaczyć jako dar jasnowidzenia, tak? - Kiedy pokiwała głową, poczuł chłód.

- Jakie to ma znaczenie?

- Jasnowidz przepowiada przyszłość. Die Sehergabe to nasz ściśle tajny program ForeTell2. To bardzo niedobrze. Byliśmy zasypani danymi, sześćset pięćdziesiąt milionów wydarzeń każdego dnia, więcej informacji niż zawiera Biblioteka Kongresu; transmisje radiowe i cyfrowe, sygnały radarów, faksy, informacje z satelitów, komórek, telefony stacjonarne, wiadomości przesyłane w dziesiątkach języków, często zaszyfrowane. Nie było sposobu, żeby opracować materiał na czas, dopóki nie powstał ForeTell. Dostaliśmy to na kilka miesięcy przed moim aresztowaniem. Pozwala nam trzymać rękę na pulsie, wyrzuca ostrzeżenia, określał potencjalne cele rosnących w siłę przywódców wroga i organizacji terrorystycznych, pokazuje nasze słabe strony, scenariusze, które powinniśmy obmyślić i tak dalej. Szuka wzorów i związków, identyfikuje ukryte centrale, ludzi o istotnych 2 *foretell* (ang.) - przepowiadać.

umiejętnościach.

Wymienili długie, pełne niepokoju spojrzenia.

Odwróciła gwałtownie głowę i zapytała niedbale. Zbyt niedbale:

- Więc kto naprawdę rozdaje karty w Chartcie?

Wiedział, że ta chwila nadejdzie.

- Przepraszam, Raino, to na pewno Larry Litchfield. On prowadzi ten oddział. On przekazał Ghrandittiemu informacje, które nieomal kosztowały nas życie. Tylko on miał

dostęp do ForeTell i mógł przekazać kopie Kristophowi. Wiedział, że jesteś w uśpieniu. I wszelkie zlecenia na mokrą robotę dla Charta mogły być wydawane wyłącznie przez Larry'ego.

Raina zeszywniała, jakby ją ktoś uderzył.

Odezwał się łagodnie.

- Domyślam się, że śmierć dziecka jest największym dramatem. Nie może być gorzej.

Raina płonęła strasznym gniewem. Zaciśnęła usta.

- Oni zabili Kristopha. To Chart go zlikwidował. Twój protegowany, Larry Litchfield, kazał zlikwidować mojego syna!

Odwrócił wzrok.

- Tak, do cholery! - Czuł się spięty, naładowany wściekłością i żalem. Zmusił się, żeby znów na nią spojrzeć. Wreszcie i ona odwróciła do niego wzrok.

Oczy miała pełne smutku.

- W Genewie spakowałam rzeczy Kristopha i wysłałam je do Berlina. Załedwie kilkanaście pudeł. - Zdjęła rękę z kierownicy, żeby otrzeć jedno oko, potem drugie. - Mało, jak na tak wspaniałe życie. Dziwne, prawda? - Przełknęła. - Mam wrażenie, jakby serce popękało mi na setki kawałków. - Łzy spływały jej po policzkach.

Jay szukał niespokojnie wokół siebie, chciał wyjąć chusteczkę. Oczywiście, żadnych nie było w wynajętym samochodzie.

Sięgnęła za siebie, rozpięła sportową torbę, wyjęła pudełko z chusteczkami, otarła oczy i wydmuchała nos.

- Chyba już nigdy nie zobaczę tych rzeczy - wymamrotała. - Ani jego pokoju. Ani zdjęć w naszym domu...

Jay patrzył na nią bezradnie.

- Ja też chciałbym to wszystko zobaczyć. I to bardzo.

Pokiwała bez słowa głową. Jeszcze jedna łza spłynęła jej po policzku. Wziął chusteczkę i otarł ją delikatnie. Cierpiał za Rainę i za siebie. Z wahaniem opuścił dłoń. Pozwoliła mu położyć ją na swojej spoczywającej na udzie. Miała zimną rękę. Powoli przekręcił ją tak, że stykały się wnętrzami. Splotła palce z jego palcami.

Bał się odezwać. Nie chciał, żeby cokolwiek zakłóciło tę chwilę. Było tak, jakby między ich dłońmi znalazł się cały świat. Słuchał, jak Raina oddycha. Wiedział, że to musi się skończyć, ale kiedy ścisnęła jego dłoń i wysunęła swoją, żeby znowu położyć ją na kierownicy, czuł, jakby czegoś go pozbawiono.

# 41.

## Miami Beach, Floryda.

Lodziarnia iskrzyła się od deserów lodowych, koktajli mlecznych i rożków z lodami namalowanymi na lśniących, białych ścianach. Okrągłe stoliki stały blisko siebie, wokół nich upchnięte były krzesła z drucianymi ramami. Marie Ghranditti uśmiechnęła się z wysiłkiem, kiedy dzieci pomknęły do lady, żeby złożyć zamówienia.

- Poproszę czekoladowe - oznajmił Aaron, popiskującym z podniecenia głosem dziewięciolatka, opierając brodę na staroświeckim, szklanym kontuarze. - Dwie kulki.

- A co chce moja Mariette? - Marie pogłaskała córkę po czarnych loczkach.

- Marzenie lodowe! - Chociaż miała już siedem lat, nadal była ostrzyżona na chłopaka.

Czubkiem głowy ledwie sięgała starszemu bratu do ramienia. Pod pachą niosła książkę Williama Ardena *Trzej detektywi*.

- A Kristoph? - zapytała Marie. - Co ty byś chciał, kochanie?

Z promiennym uśmiechem na pomarszczonej twarzy Armand podniósł chłopczyka.

Dwulatek pochylił się i spojrzał przez szybę, marszcząc brewki. W buzi trzymał kciuk. Wyjął go i wyszczebiotał:

- Czekoladowe.

- Armand? - zapytała Marie.

Mrugając, oświadczył:

- Pójdę za wyborem Kristopha. Zwykle, czekoladowe.

- Dante, ty też musisz sobie coś wybrać.

- Nie wiem, proszę pani. - Ochroniarz wyglądał na skrępowanego. Barki miał spięte, nerwowo spoglądał na boki. Zachowywał się dziwnie. Na szczęście jego pistolet wyglądał

tylko jak małe wybrzuszenie pod lewą pachą.

- Proponuję więc deser lodowy na gorąco. Ja też taki proszę. - Uśmiech miała przyklejony do twarzy.  
- Wszyscy lubią lody z bitą śmietaną.

- Co pani tylko sobie życzy, proszę pani.

Kiedy nastolatek za ladą zrealizował zamówienie, Marie wysłała dzieci, żeby wybrały stolik. Armand i Dante czekali na różki. Kiedy Armand dostał swoją porcję, Marie wysłała go, żeby dotrzymał dzieciom towarzystwa.

Czy to gra wyobraźni, czy Dante obserwował ją uważniej niż zazwyczaj? Marie wydawało się, że tak. Czarne oczy miał mniej podejrzliwe niż Martin, ale ostrożniejsze.

Ubrana była zwyczajnie, w sweter i spódniczkę, ale nosiła chustkę, żeby ukryć czarne włosy.

Oparła się impulsowi, żeby je poprawić. Nie chciała, żeby spod przykrycia wypadł choć jeden ciemny kosmyk.

Kiedy na kontuarze pojawiły się dwa desery lodowe, wyjęła portmonetkę. Stoisz plecami do Dantego. Po prostu zrób to, nakazywała sobie w myślach. Wręczyła nastolatkowi dwudziestodolarowy banknot. Kiedy odwrócił się do kasy, wyjęła z portfela płaskie pudełko na lekarstwa i posypała deser proszkiem. Patrzyła, czekając, aż drobiny wsiąkną.

Potem zaniosiła pucharki do stołu i postawiła jeden przed Dantem.

- Nie jadłeś lodów z gorącą bitą śmietaną, kiedy byłeś mały, Dante?

Pokiwał głową.

- Jadłem, proszę pani.

Kristoph wspiął się Armandowi na kolana i zaczął trącać go czołem w biały, pomarszczony policzek. Potem znów zabrał się do lizania ociekającego różka. Armand objął

chłopca ramieniem i lekko przytulił. Zorganizował wszystko na dzisiejsze popołudnie.

Marie z trudem przełykała. Dante nawet nie spróbował deseru. Chciała go zachęcić, ale to nie byłoby mądre. Jadła swój z nadzieją, że ochroniarz pójdzie w jej ślady. Dante nadal nie ruszał lodów. Dzieci paplały i zajadały różki.

Wreszcie powiedziała:

- Dante, chcesz zranić moje uczucia? Pamiętaj, to specjalna okazja. Moje urodziny.

Proszę, rozerwij się. Zjedz deser.

Spojrzał na nią zaskoczony. Jakby się zawstydził. Wstrzymała oddech. W końcu wziął

łyżeczkę i zaczął jeść.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Dobrze, prawda?



Przez chwilę poczuła dumę - potem wstyd. Proszek pochodził z dwóch pokruszonych pigułek oxycontin. Jedna pigułka miała siłę szesnastu tabletek percocetu. Wkrótce Dante straci przytomność.

Przyjęcie trwało, a Dante kończył porcję bez widocznych objawów. Dzieci szturchały się i chichotały.

Wymieniła zaniepokojone spojrzenia z Armandem.

- Chodźmy - powiedziała. - Już czas na ostatnią godzinę w czytelni dla dzieci.

Poszli do jej białej limuzyny. Nad nimi, w wieczornym świetle błyszcząły lampy.

Razem z dziećmi usiadła z tyłu, Armand zajął miejsce za kierownicą. Dante się potknął.

Uderzył dłonią o dach wozu, chroniąc się przed upadkiem. Zrobił się bezwładny jak szmaciana lalka. Szczeka mu opadła, a język wyszedł na wierzch i ślina zaczęła ściekać z kącika ust. Sproszkowany oxycontin zaczął wreszcie działać.

- Co się stało? - zapytał podniesionym głosem Aaron.

- To coś złego? - zaniepokoiła się Mariette i upuściła książkę na kolana.

Marie spojrzała na dzieci i powiedziała nerwowo:

- Kochane, wybieramy się na małą wycieczkę. Tylko nas czworo. Będziemy...

- A tatuś jedzie z nami? - spytała Mariette roztrzęsionym głosem.

- Tatuś musi najpierw załatwić pilne interesy - odparła łagodnie Marie.

- Czy już teraz pojedziemy na wyspę?

Marie poczuła przyływ paniki. Martin zrobił dzieciom pranie mózgu. Musiała temu zaradzić, ale najpierw trzeba je zawieźć w bezpieczne miejsce.

- Nie na wyspę, kochanie. Ale i tak będziemy mieli mnóstwo zabawy. Przyrzekam.

Aaron ustąpił, ale spoglądał na nią podejrzliwie. Zmieszana Mariette podniosła książeczkę i ukryła się za nią, jak to często robiła. Kristoph wiał się na kolanach matki nieświadom niczego.

Armand skręcił w boczną uliczkę i zatrzymał wóz za wynajętym taurusem. Chwycił uzi Dantego i sięgnął obok Mariette do bocznych drzwi. Nagle z piskiem opon przy ich tylnym zderzaku zatrzymał się samochód. Jego silnik pulsował, jaskrawe światło zalewało wnętrze taurusa. Serce Marie zamarło. Natychmiast pojawił się drugi wóz, hamując obok Armanda.

Wyskoczyło czterech uzbrojonych mężczyzn.

- Zostawcie ją! - krzyknął Armand, podnosząc uzi.

Rozległ się jeden stłumiony strzał i Armand runął tyłem na maskę, skręcając głowę pod nienaturalnym kątem. Marie wydała cichy okrzyk. Dzieci zaczęły wrzeszczeć. Uzi upadło na ziemię.

Kristoph krzyknął.

- Armand! - Wyciągnął małe ramiona.

Marie zaszlochała i przycisnęła dziecko do siebie, kiedy ukraiński ochroniarz Martina, Karl, usiadł za kierownicą, a drugi ze zbirów opadł na fotel obok. Przyciągnęła starsze dzieci, a Kristoph wtulił buzię w jej ramię. Aaron i Mariette spoglądali na matkę z przerażeniem.

Trzęśli się, kiedy Karl odwrócił się i niedbale skierował uzi w jej stronę. Uśmiechnął się, ukazując brązowe zęby.

- W samą porę, co, pani G.? Dobrze, że pan G. dokładnie się dziś pani przyjrzał.

Podłożył nadajnik GPS do limuzyny. Mądre, co?

**42.**

# Waszyngton.

- Twoja kolej, Jay - powiedziała Raina, kiedy jechali przez pociemniałe ulice. To już rondo Thomasa. - Mów, co się działo.

Głęboko nabrał tchu. Zaczął od swojej wczorajszej, porannej ucieczki z więzienia i opisał, co potem się stało i czego się dowiedział. Na koniec podsumował:

- Teraz wiemy, że Ghranditti zawiera transakcję z organizacją, która przejęła schedę po al-Kaidzie.

- Nigdy nie słyszałam o Majlis - stwierdziła Raina. - Już sam ten fakt jest niepokojący, bo zajmuję się antyterroryzmem... raczej zajmowałam. - W jej głosie pojawił się smutek.

- Rozumiem. - Spojrzał na nią i w tej chwili zadzwonił telefon. Otworzył aparat i sprawdził. - Elijah - rzucił.

Wyprostowała się. Jay odebrał.

- Frank i Palmer są na linii - odezwał się Elijah. - Próbowałem osiągnąć Elaine, ale nie odpowiada. Jeszcze spróbuję. - Jeśli nawet Elijah był źródłem Mosesa, to nie dał po sobie poznać, że jest zdziwiony, słysząc głos Jaya.

- Nie martw się - powiedział spokojnie Tice. - Zostawiliśmy ją w domu przyjaciela.

Wreszcie przyznała, że ma tego po dziurki w nosie.

- Naprawdę? - Elijah wydawał się rozczarowany. - Myślałem, że jest twardsza. Cholera.

Szkoda, że ją straciliśmy. Palmer, chcesz przekazać raport Jayowi?

- Oczywiście. - Przepęlniony troską głos starego też nie zdradzał obłudy. - To mało powiedziane, że wpadliśmy w śmierdzące bagno, Jay. Dobrze, że siedzisz. Odetchnij głęboko.

Okazuje się, że transport Ghrandittiego zawiera zaawansowaną technikę wojskową. Ale to pół

biedy. Cała bieda w tym, że to nie byle jaka technika, choćby i nowoczesna. Mowa o najnowszych wynalazkach w tej dziedzinie. Wszystko, absolutnie wszystko, jest ostatnim krzykiem mody. Najnowsze, najlepsze, najbardziej tajne, najwymyślniejsze zabawki rządu Stanów Zjednoczonych... i najbardziej śmiertelne. Służą rozmaitym celom. Znajdują się tam bronie, urządzenia do zbierania danych wywiadowczych, wykrywania, łączności.

- Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałem - przyznał Elijah. - Odczytam ci listę.

Jay włączył głośnik, żeby Raina też mogła usłyszeć. W miarę, jak Elijah mówił, unosiła coraz wyżej brwi i bladła.

Kiedy skończył, podsumował z zaniepokojeniem:

- Nikt nie zgromadził czegoś takiego nawet dla zaprzyjaźnionych rządów.

Jay odetchnął głęboko.

- Jeśli Majlis dostaną tę przesyłkę, to Boże zbaw świat!

\*

Elaine przepychała się przez tłum turystów, pędziła w stronę Enfant Plaza i podziemnego centrum handlowego, nasłuchując odgłosów pościgu.

Spocona, z ogniem w płucach, wsunęła walthera do torby i zwolniła do szybkiego marszu, ignorując spojrzenia klientów i przechodniów idących do metra. Skręciła do Harper's, małego sklepu z odzieżą dla kobiet i szła między towarami, aż dotarła do przeciwległej ściany, gdzie były drzwi. Jeśli dopisze jej szczęście, prześladowcy przebiegną obok, a ona wyslizgnie się i ucieknie.

Wreszcie zobaczyła ich przez okno - prowadził wielki mężczyzna z szeroką klatką.

Twarz miał poczerwieniałą, naznaczoną mordem. Zatrzymał się, żeby porozmawiać z pozostałymi. Rozesłał bandę w różne strony. Odwrócił się, żeby wejść do sklepu. Ze ściśniętym gardłem upadła na podłogę i popęzła pod wieszakami, zmierzając ku drzwiom.

Patrzyła na buty olbrzyma i dwóch innych mężczyzn, jak wchodziły ciężko do środka. Co jakiś czas się zatrzymywali. Wreszcie kolana się im ugięły. Klękali, żeby zajrzeć pod ubrania.

Chwyciła za ramę metalowego stojaka i podciągnęła się między długimi sukienkami. Pot spływał jej po twarzy. Ramiona zaczęły boleć. Wreszcie usłyszała kroki zmierzające do drzwi.

Znów się zatrzymali. Z ulgą opuściła się powoli na dół.

- Ty zostań tutaj - rozkazał po cichu basowy głos. - Uważaj, musi być gdzieś w pobliżu.

\*

Raina jechała na wschód. Słońce już zaszło i zmrok pochłonął złote światło zachodu.

Elijah i Palmer dzwonili jeszcze kilka razy. Pytali, czy wszystko w porządku. Jay gładko unikał odpowiedzi.

Raina zatrzymała samochód na czerwonym świetle i dokładnie przyjrzała się Tice'owi, odczuwając dziwne zaciekawienie. Rysy mu złagodniały, a zmarszczki poorwały skórę.

Brązowe oczy jak zwykle przypominały kostki lodu w szklance z bourbonem. Spojrzenie miało zimne i twarde. Ale wyczuwała, że potajemnie pragnął, żeby ogrzała go właściwa ludzka ręka.

Nadal był bardzo przystojny, a rozwinięte ostatnio mięśnie podkreślały jego posturę.

Przelotnie pomyślała o nim tak, jak kiedyś, kiedy uważała go za człowieka zasad.

Znów próbował dodzwonić się do Elijaha. Potem Raina poczuła, że uważnie się jej przygląda, chociaż nie patrzył na nią wprost. Jak dobrze znała jego zwyczaje.

- Próbujesz coś wymyślić, prawda?

Pokiwał głową.

- Zwykle robiliśmy to razem. Pomożesz mi? Teraz, kiedy wiemy, jak cholernie niebezpieczny jest transport Ghrandittiego, staram się zrozumieć, co, u diabła, dzieje się z Larrym Litchfieldem. Informacja daje władzę, a ForeTell to najbardziej efektywna na kuli ziemskiej machina do przekazywania wiadomości. Najwyraźniej Litchfield chce ją sprzedać Majlis al-Sha'b, mimo że doskonale wie, jak niebezpieczna jest ta organizacja. Zwariował?

- Może odpowiedź jest bardziej skomplikowana niż szaleństwo albo chciwość. - Światła zmieniły się na zielone i ruszyła.

Nagle Jay wyprostował się w fotelu.

- Masz rację. - Popatrzył na ruch uliczny, potem na Rainę. - Wtedy, w latach osiemdziesiątych, Biały Dom rozkazał Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, żeby

„spenetrowała system bankowy w celu zwalczania prania pieniędzy i innych działań przestępczych oraz nielegalnej sprzedaży wysoko rozwiniętej technologii Związкови Sowieckiemu”. Pamiętam, że jednym z rozwiązań, jakie zastosowała agencja, było zainstalowanie „tylnych drzwi” do programu poprzedzającego ForeTell. Chodziło o kilka linii kodu ukrytego w setkach tysięcy wersów instrukcji programowych. I wtedy, bez względu na to, gdzie używano oprogramowania: w Bagdadzie, Paryżu czy Timbuktu, wystarczyło uderzyć we właściwe klawisze i można było śledzić pracowników, wybierać pieniądze z kont bankowych, fabrykować zapisy... nawet zmieniać trajektorie pocisków albo ładować, co się chciało, do ich bazy danych. A wszystko bez zostawiania śladów. W tamtych czasach było to najpotężniejsze oprogramowanie na świecie. Więc Langley założyło spółki przykrywki, żeby sprzedawać wersję z „tylnymi drzwiami”. Mnóstwo państw nabrało się na to: Francja, Kanada, Niemcy, Bułgaria, Związek Radziecki, żeby wymienić chociaż kilka. Podobnie, jak wiele międzynarodowych kompanii, włączając w to wszystkie wielkie izby rachunkowe, w Ameryce i Europie, zajmujące się elektronicznym przesyłem pieniędzy. Do gry włączył się Mossad ze swoimi własnymi „tylnymi drzwiami”. Dostaliśmy tak fenomenalne informacje wywiadowcze, że udało nam się powstrzymać mordy polityczne i masakry. Potem nastąpił

przeciek, jak to w końcu zawsze się zdarza, na temat tego, co robimy. Wieść rozeszła się jak zaraza wśród informatyków. Kiedy nikomu nie udało się znaleźć „tylnych drzwi”, wszyscy postanowili zniszczyć oprogramowanie. I nagle nasz ocean danych wywiadowczych wysechł.

- Jay klasnął dłońmi o kolana i splótł palce tak mocno, że pobieleły mu kostki. - Ludzie bin Ladena wiedzieli o tej pierwszej pułapce, bo mieli jedną z wersji oprogramowania. To znaczy, że al-Hadi i Majlis będą podejrzewać każdego, kto zechce im sprzedać ForeTell. Ich przesąd, że wszyscy

jesteśmy tylko chciwymi, bezbożnymi niewiernymi, będzie działać na korzyść Litchfielda, jeśli chce im sprzedać oprogramowanie za wielkie pieniądze. Ale to nie wystarczy, żeby podjęli ryzyko. Dlatego, myślę, Litchfield pracuje z Ghrandittim. Transport Ghrandittiego stanowi dla nas takie zagrożenie, że Majlis muszą uwierzyć w dobre intencje Litchfielda... to znaczy, że chodzi mu tylko o gotówkę.

- Dobry Boże. Litchfield jest szalony. Ludzie z Majlis mogą już jutro odkryć, że oprogramowanie ma robaka i do niczego się nie nadaje, ale zostaną z bronią najnowszej generacji!

Skrzywił się.

- Będą w stanie zabić dziesiątki tysięcy, jeśli nie miliony.

Zaszokowani zapadli w milczenie. Światła innego wozu zalały wnętrze ich samochodu.

Oboje próbowali znaleźć rozwiązanie: Nagle Jay zmrużył oczy.

- Musimy podjąć walkę z Ghrandittim. - Wystukał numer na komórce.

\*

Frank Mesa siedział samotnie na ławce w parku pod wielkim klonem i bębnił palcami w klawiaturę swojego laptopa. Znajdował się na Lafayette Square, naprzeciwko Białego Domu.

Siedział tuż poza kręgiem światła rzucanego przez jedną z parkowych latarni. Osłonięty cieniem. Telefonował, zbierał informacje o Ghrandittim.

Jego komórka się rozświeciła. Zauważył numer i odpowiedział na wezwanie.

- Tak, Jay?

Jay mówił spiętym głosem.

- Co nowego o Ghrandittim? Jesteś już bliżej informacji o miejscu wymiany transportu na gotówkę?

Frank zmarszczył czoło. Nie udało mu się zająć tak daleko, jak planował.

- Ghranditti świetnie się schował. Nie wiem niczego nowego o transporcie. Przez jakiś czas myślałem, że zbliżam się przynajmniej do jednej z tych spółek przykrywek, które według Palmera ma Ghranditti. Ale okazało się, że to po prostu firma obracająca nieruchomościami w Wirginii Północnej, z którą nasz przyjaciel robił interesy. Ale za jej pośrednictwem udało mi się namierzyć dwie rezydencje. Jedną ma w Miami Beach chronioną lepiej niż sejf w banku.

Drugą w Waszyngtonie. Sprzedaje się takie ludziom, którzy zadzierają nosa i nawet nie wieszają tabliczki z nazwiskiem na drzwiach. Osoba zainteresowana kupnem musi udowodnić, że ma na koncie milion baksów, zanim nawet pozwolą obejrzeć apartament.

- Wygląda na to, że Ghranditti chce zniknąć po ubiciu interesu. Jeśli nie dostaniemy faceta teraz, możemy go stracić na zawsze.

- Też tak myślę, Jay.

Zapadła cisza. Frank nieomal słyszał, jak w umyśle Jaya obracają się tryby, napędzając pomysły.

- Masz jakieś sugestie? - zapytał z nadzieją.

- Zdobądź klucz do tego apartamentu. Może tam znajdę coś na temat transportu.

Frank uśmiechnął się do siebie.

- Zadzwoń, jak tylko to zorganizuję. Omówimy sposób przekazania. Cześć, Jay.

- Poczekaj. - Kolejna przerwa i w tonie Jaya pojawiła się twarda, ostrzegawcza nuta. -

Frank, musisz mi zaufać. Coś niedobrego się dzieje i Palmer albo Elijah mogą maczać w tym palce. Nie piśnij im ani słowa o naszej rozmowie.

\*

Minuty mijały powoli. Zdenerwowana Elaine kryła się pod sukienkami w sklepie odzieżowym Harper's. Pot już wysechł i skóra ją swędziała. Mężczyzna nadal czał się w drzwiach. Coraz częściej przestępował z nogi na nogę. Robił się niecierpliwy. Kiedy podziękował sprzedawcy i wyszedł, Elaine odetchnęła z ulgą.

Po pięciu minutach popęzła pod ubraniami w kierunku drzwi. Wieczorni klienci szli nieprzerwanym sznurem po korytarzu. Ale widać też było cień mężczyzny oświetlonego lampami podziemnego centrum. Nadal stał na straży, ale ustawił się przy oknie wystawowym po drugiej stronie drzwi.

Przeklinając cicho, potruchtała do drugiego wieszaka. Tam chwyciła brązowe spodnie, marynarkę pod kolor i czarny T-shirt. W ukryciu zmieniła ubranie, potem poszła na czworakach wzdłuż przejścia między wieszakami. Ściągnęła z pręta czarny, miękki kapelusz i upchnęła pod niego włosy. Wyjęła papierowy rulon z kieszonki w torbie i ostrożnie rozwinęła go na podłodze, uważając na ostrza strzałek, które były w środku. Zaledwie wczoraj wieczorem, w parku Franklina, agent Charta strzelał nimi, chcąc ją sprzątnąć.

Trzymając jedną ze strzałek za stateczniki, powoli zaczęła się podnosić do chwili, kiedy jej oczy znalazły się nad poziomem ubrań. Sprzedawca przeniósł się w inne miejsce, żeby pomóc matce z córką.

Elaine popatrzyła, potem poczołgała się w stronę drzwi. Cień ciągle tam stał. Wyszła zza ubrań. Mężczyzna średniego wzrostu, z prawie bezkostną twarzą, wyglądał na bardzo znudzonego, ale widoczne w nim napięcie mówiło też, że jest bardzo czujny. Nagle ją zobaczył.

Kiedy spojrzał wprost na Elaine, wbiła mu strzałkę w łydkę. Jęknął i natychmiast rozłożył ręce.

Skierował na nią pistolet z długim tłumikiem. Kiedy rzuciła się do drzwi, pociągnął za spust. Trzask rozległ się głośno w cichym sklepie i odbił się echem od wykładanych kafelkami ścian i betonowego sufitu.

- Padnij! - ryknęła Elaine do kobiet w sklepie.

Potoczyła się pod ubrania i wyszarpnęła walthera z torebki. Potem znów przetoczyła się w stronę wyjścia. Zobaczyła, że mężczyzna potyka się i wpada do środka. W oczach miał

szaleństwo, trucizna już zaczęła działać. Skóra mu poszarzała. Ale kiedy znów ją zobaczył, raz jeszcze wycelował. Skoczyła naprzód i rąbnęła go ramieniem w kolana. Usłyszała trzaśnięcie.

Jęknął i przewrócił się jak wieża z klocków, odruchowo pociągając za spust. Kula przeorała podłogę tuż obok Elaine. W kilka sekund agentka wstała i wyszła ze sklepu. Rozejrzała się na obie strony. Pobiegnęła.



## 43.

W okolicy Mali, Jay Tice szedł jak starzec, lekko utykając, przez żółte kałuże światła lamp. Ramiona miał pochylone, kąciki ust wygięte w dół. Przechodnie go mijali, gdy stał

oparty o betonową ściankę żardyniery. Rozejrzał się ostrożnie, włożył rękę pod dekoracyjny kamień opisany przez Franka. Pomacał palcami. Wreszcie znalazł świeżo dorobiony klucz do windy do luksusowego apartamentu Ghrandittiego. Nie wychodząc z roli, pokuśtykał z powrotem. Mustang stał przy krawężniku. Jay wsiadł.

- Był? - zapytała z niepokojem Raina, włączając się do ruchu.

- Dokładnie tam, gdzie powiedział Frank. - Wyjął sig sauera i wręczył go Rainie. - Może ci się przydać. Załadowany.

Spojrzała na broń i wetknęła ją za pasek. Jej twarz nie zdradzała żadnych emocji, tak jak jego.

Skręcili za róg i pojechali do mieszkania Ghrandittiego. Przyglądał się Rainie. Oczy miała chłodne i inteligentne, z mrocznym wnętrzem i spojrzeniem zawodowca. Ale wyczuwało się też podziemny prąd wielkiego smutku i wściekłości.

Może nie będzie miał drugiej okazji.

- Nadal jesteś na mnie bardzo zła.

Uniosła wysoko brwi. Jej szeroko osadzone oczy miały kolor lapis-lazuli - teraz płonęła w nich furia. Ale Raina odezwała się opanowanym głosem:

- Oczywiście. Złamałeś umowę. Zostałeś w CIA i nie tylko nie pozwoliłeś mi odejść, ale zrobiłeś ze mnie uśpionego agenta. Wpadłam w pułapkę. Kristoph wpadł w pułapkę.

- Langley zwróciło się do mnie...

- Nie chcę tego słuchać. To już nie ma znaczenia.

- Owszem, ma, bo nie byłabyś taka wściekła. Po prostu wykonywałem swoje obowiązki...

- Kristoph nie żyje. W rezultacie, ty go zabiłeś! Czy to był ten twój obowiązek?

Poczuł ukłucie bólu. W pewnym sensie miała rację. Zebrał się w sobie.

- Oboje wiemy, że jesteś tu ze względu na Kristopha, a nie ze względu na mnie lub siebie, chociaż żałuję, że tak nie jest. Sprawa z Ghrandittim i Litchfieldem przerasta nas, jeśli podejmiemy do niej z osobna, ale razem mamy szansę. - Kiedy zaczęła protestować, pokręcił

stanowczo głową. - Musimy się dogadać.

Zamilkł. Czekał. Czuł, że przez chwilę mu się przyglądała. Zerknął w porę, żeby zrozumieć, że nie patrzy na niego, tylko za niego, poza samochód, poza szum silnika, zatłoczoną ulicę i wielkie budowle Waszyngtonu, w dal, jakby szukała innego czasu, lepszego świata, kolejnej szansy.

- Przeszłość nie jest uświęcona - powiedział. - Nie pozwól, żeby rządziła przyszłością.

Jej wzrok, jak pistolet, skierował się na niego.

- Znowu to robisz. Słowa. Wielki mistrz szpiegostwa. Człowiek o tysiącu twarzy, oczu, z tysiącem sztuczek. Ufa się mu, czci go i uwielbia. Ale ty złamałeś umowę. Postawiłeś Kristopha i mnie w sytuacji, której żadne z nas nie chciało!

Przez chwilę czuł mdłości.

- Namówiłeś mnie, żebym została twoją wtyką - kontynuowała łagodniejszym głosem. -

Potem, żebym została wtyką BND, ale nie w imię demokracji, dla przyszłości Niemiec.

Przestudiowałeś dane wywiadowcze dotyczące gospodarki Związku Radzieckiego i zdałeś sobie sprawę, że tam wszystko się wali. Więc się przygotowałeś. Manewrowałeś mną i manipulowałeś, jak tylko potrafiłeś najlepiej. Miałam być użyteczna później, na wypadek gdybyś ty nie mógł działać. To był twój prawdziwy cel.

- Nie rozumiem, dlaczego jesteś taka zirytowana...

- Siedź cicho i słuchaj! No, tak. Kiedy upadł mur, ja znalazłam pracę, miejsce w nowych Niemczech, podczas gdy nikt ze Stasi nie ma co liczyć na przyzwoite zajęcie. Erich Eisner zrobił ze mnie narodowy symbol. Nienawidziłam tego, bo to było kłamstwo. Kristoph nienawidził tego, bo blask mojej świetności tak go oślepił, że nie widział, kim jest. Musiał

przybrać nazwisko mojej matki, żeby pójść swoją drogą. Odebrałeś mu nawet jego prawdziwe nazwisko! A teraz nie żyje. A ja nie mogę wrócić do domu, jeśli chcę żyć.

Zaczął mówić.

Machnęła ręką, żeby się uciszył.

- A wystarczyłoby, gdybyś dotrzymał naszej umowy. - W jej głosie brzmiało obrzydzenie. - Wystarczyłoby, gdybyś zrezygnował. To było takie proste. Przejsz do stanu spoczynku.

- Nie mogłem. - Z całej siły ścisnął podłokietnik. Spojrzał w dół. Pozostało mu tylko wyznanie prawdy, a tego nie chciał zrobić. - Langley mnie potrzebowało - powiedział w końcu. - Nie, poczekaj. Daj mi wyjaśnić. Sam koniec zimnej wojny nie oznaczał końca mojej pracy. Świat wpływał na nieoznaczone obszary polityki, a ja dysponowałem pamięcią instytucjonalną. Miałem doświadczenie, umiejętności i reputację, która przypominała w Gabinetie Ovalnym, jak niezwykle ważne jest Langley. Więc ludzie z siódmego piętra przyszli do mnie. Wtedy dyrektor centrali i zastępca do spraw operacyjnych wiedzieli już o tobie. Powiedziałem, że chcesz skończyć

działalność. Kiedy nie odpowiadali, poleciałem do Langley. Zamierzałem ich przekonać, żeby zwolnili nas oboje. Wtedy odkryłem, że planują zrobić z ciebie wtykę w Niemczech. A gdybyś się opierała, ujawniliby twoją zimnowojenną pracę dla nas.

Uniosła brwi.

- Chcieli mnie szantażować? Po tym, co dla nich zrobiłam... po tym strasznym niebezpieczeństwie, na jakie się narażałam...

Nie miał odwagi na nią spojrzeć.

- Nadanie ci statusu agenta w uśpieniu było jedynym sposobem, żeby ochronić was oboje. Więcej nie mogłem zrobić. I dlatego promovano mnie na stanowisko dyrektorskie.

Musiałem być tam, w Langley, żeby ciebie nie budzili z uśpienia.

- O Boże. Nie miałam pojęcia.

Cisza wypełniała przez chwilę samochód i ocean smutku.

- A Moskwa? - zapytała. - Dlaczego zdradziłeś? Jak mogłeś zwrócić się przeciwko wszystkiemu, w co wierzyliśmy!

Zawahał się. Przycisnął pięść do piersi. Wyczuł bicie serca. Usta miał suche, kiedy wypowiedział te słowa:

- Nie zdradziłem. - Popatrzył na Rainę.

Była zaskoczona.

- Co się stało? - zapytała łagodnie.

- Bobbye Johnson dostała telefon od Mosesa. Jakiś facet chciał cię wydać. Zamierzał

powiedzieć mediom, że podczas zimnej wojny pracowałaś dla nas, a teraz jesteś naszym śpiochem w BND. I że to ty stałaś za zabójstwem Pavla Abendrotha. I jeszcze planował

przekazać szczegóły Mossadowi. - Jako znany żydowski dysydent Pavel Abendroth cieszył się szczególną sławą w Izraelu.

- Mossad nigdy nie zapomina i nie wybacza. - Oddychała płytko. - To byłby dla mnie wyrok śmierci.

Pokiwał głową.

- Dlatego musiałem dać to, czego chciał klient Mosesa. - Musnął ostrożnie wspomnieniem tę chwilę, kiedy Bobbye przyniosła informację od Mosesa. - Propozycja brzmiała tak: mogę kupić jego milczenie, jeśli przedstawię się jako zdrajca i pójdę do więzienia na całe życie. Klient nie chciał,

żeby mnie stracono, ale żebym żył w otchłani zapomnienia, z zatartą przeszłością i bez przyszłości. - Mówił rzeczowym tonem. - Zrobiłem więc, co zrobiłem. Podrobiłem dowody, żeby uzasadnić aresztowanie i skazanie. Kreml najwyraźniej wiedział, że to kłamstwo, ale podobało im się to, więc nie podważali wyroku.

Bobbye zrobiła wszystko, co w jej mocy, żebym miał wygodnie w więzieniu. Cieszyłem się kilkoma przywilejami więcej niż pozostali osadzeni.

Raina zapatrzyła się w niego.

- Nie wierzę, żebyś się na to zgodził - mruknęła z kipiącą odrazą.

Wstrząsnął nim szok.

- Musiałem zająć się tobą i Kristophem. To był mój obowiązek. Narażeni byliście na takie ryzyko, że...

- Twój cholerny obowiązek! - parsknęła. - Wszystko było dla ciebie, wszystko kręciło się wokół ciebie. Twój obowiązek. Twoje wybory. Twoje szlachetne sprawy. Obowiązek jest ślepy, Jay. Jest lojalny tylko wobec pojęcia obowiązku. Każdy głupiec potrafi być obowiązkowy. Gdyby ktoś zapytał, dlaczego robisz to lub tamto, ty odpowiadasz: „To mój obowiązek”. Nie przemyślałeś tego, prawda? Jesteś leniwy! Wypełniasz oczekiwania innych!

Robisz, co ci kazano. Teraz dam ci coś do przemyślenia: naprawdę sądzisz, że jestem tak głupia, że nie byłam w stanie uczestniczyć we wszystkich istotnych decyzjach, które zmieniły życie nie tylko twoje, ale i moje?

- Nie, oczywiście, że nie. Chroniłem...

- Chroniłeś? Bzdura. Oboje doskonale wiemy, na ile to się zdało. Mów lepiej o pornografii władzy. Posiadałeś władzę, więc myślałeś, że to daje ci prawo używania jej, jak chciałeś. Ty i twoje głupie pomysły, gierki. Miałeś zobowiązania wobec Kristopha i mnie, bo nas kochałeś. A my kochaliśmy ciebie. Miałeś zobowiązania wobec siebie. To był twój prawdziwy obowiązek!

Odczuł przyływ tęsknoty, a potem wielkiej straty. Zastanawiał się, jak wyglądałoby ich życie, gdyby zniknął z nimi tak, jak tego chciała. Rzadko pozwalał sobie na takie myśli po tym, jak Langley go przekonało, że jest niezastąpiony i musi zostać. Potem Langley uznało, że jest do zastąpienia... przez Rainę.

- Masz rację - powiedział zwyczajnie. - Myliłem się. Bardzo się myliłem. Po prostu tego nie rozumiałem. - Pozwolił, żeby to wyznanie zawisło między nimi, nagie, nie upiękzone.

Kiedy nadal nic nie mówiła, pokiwał głową. - Wiem, że to bez znaczenia, ale chcę, żebyś wiedziała, jak bardzo mi przykro.

- Pierwszy raz słyszę, żebyś za cokolwiek przeproszała.

Ciężko westchnął.

- Dawne czasy.

Dziwna cisza wypełniła samochód. Raina nagle uniosła głowę i ostro popatrzyła w lusterko wsteczne. Zanim się odezwała, wyprostował się gwałtownie.

- Widzę.

Za nimi jechał radiowóz policji okręgowej. Światła z przodu zmieniły się na czerwone.

- Cholera! - Zwolniła i zatrzymała się za jakimś wozem.

Żadne z nich nie drgnęło. Patrzył w lusterko boczne, jak wóz policyjny podjeżdża bliżej.

Stanął na równoległym pasie. Czekał na jakiś znak.

Kiedy światła zmieniły się na zielone, Raina zawahała się i ruszyła gładko do przodu.

Samochód policyjny skręcił i znikł z pola widzenia, kiedy przejechali skrzyżowanie.

Jay odetchnął.

- To znak, jak bardzo jesteśmy wystawieni na niebezpieczeństwo. Chyba właśnie o tym myślała.

- Masz rację, Jay. Przepraszam, że tak ostro na ciebie najeżdżałam. - W końcu zapytała:

- Udało ci się dowiedzieć, kim był ten klient, który żądał, żebyś sprokurował własną zradę?

Poczuł się zmęczony. Pokręcił głową.

- Naszym jedynym śladem był Moses. Bobbye i ja robiliśmy wszystko, żeby go zidentyfikować. Nadal próbujemy. Ale ani ona, ani ja od lat nie mieliśmy z nim kontaktu i nikt więcej o nim nie słyszał.

- Klient Mosesa mógł być kimkolwiek. Ale skąd dowiedział się o mnie i CIA? Nigdy nikomu o tym nie mówiłam. A ty?

- Jasne, że tak. Kilka osób w Langley musiało o tym wiedzieć: dyrektor centrali Arlene Debo, dyrektor do spraw operacyjnych Greg Stephens, jego zastępca Palmer Westwood i ja.

Arlene, Greg i Palmer przeszli na emeryturę, zanim Moses zadzwonił, żeby mnie szantażować. I szczerze mówiąc, nie potrafię sobie wyobrazić, żeby którekolwiek z nich puściło parę. Ale personel pomocniczy miewa czasem dostęp do informacji... jeśli wie, jak się do tego zabrać. Więc to mógł być też ktoś inny w Langley. Wierz mi, Bobbye i ja przeprowadziliśmy drobiazgowe śledztwo. Nie udało nam się przyszpilić informatora.

- Nie sądzisz, że to mógł być Larry Litchfield?

Pokręcił głową.

- Nie wiedział o tobie, zanim nie objął stanowiska zastępcy do spraw operacyjnych.

Dopiero wtedy wszedł do kręgu wtajemniczonych. Nadal uważa mnie za zdrajcę. Bobbye i ja, a teraz też ty, jesteśmy jedynymi osobami, które znają wszystkie fakty.

- Ten klient musi dobrze cię znać - nalegała. - „Propozycja” była zemstą. Bardzo osobistą.

## 44.

Elaine szła szybko do swojego samochodu, rozglądając się po zatłoczonej ulicy opodal nabrzeża Maine Avenue. Zgubiła pościg i czuła się w miarę bezpiecznie. Głęboko oddychając, wyjęła telefon komórkowy.

Kolejna wiadomość od Jaya. Trzy od Elijaha Helprina i trzy od Palmera Westwooda.

Musiało się stać coś ważnego. Ponieważ Elijah zadzwonił do niej pierwszy, wystukała jego numer i wsiadła do jaguara. Kiedy zapalała silnik, Elijah odpowiedział:

- Miałaś wieści od Jaya? - zapytał niespokojnie. - Nie dostajemy od niego informacji.

Odciał się.

Jedną ręką zakręciła kierownicą i wyjechała na jezdnię.

- Jest z Rainą. Mają sobie dużo do powiedzenia.

- Fakt. Gdzie byłaś?

Streściła mu ostatnie wydarzenia, a potem zapytała, czego on i Palmer się dowiedzieli.

- Mieliśmy szczęście z tym transportem Ghrandittiiego.

Wysłuchiwała szczegółów przerażona wynikającymi z nich konsekwencjami.

Elijah wydawał się bardzo znużony, kiedy skończył wyliczankę.

- Palmer, Frank i ja jesteśmy wreszcie razem. Czekamy na rozkazy Jaya. Nadal nie wiemy, gdzie znajduje się towar ani kiedy zostanie sprzedany. Dołącz do nas. Będziemy gotowi, kiedy Jay da sygnał, albo obmyślimy coś na własną rękę.

- Dobry pomysł. Gdzie jesteście?

Podał adres motelu w południowo-wschodnim Waszyngtonie. Zawróciła samochód i pojechała. Zadzwoiła do Jaya. Ulżyło jej, kiedy usłyszała jego głos.

- Dzięki Bogu - wydyszał Jay. - Żyjesz. Mów, co się stało.

Elaine opisała długi pościg i akcję w sklepie z odzieżą.

- Spodobała mi się ta ostateczna sprawiedliwość w wykorzystaniu strzałki. Właśnie rozmawiałam z Elijahem. Wszyscy się martwią o ciebie. Chcieliby z tobą porozmawiać. Są w motelu, czekają na mnie.

Usłyszała, jak Jay szybko nabiera powietrza.

- Nie jedź tam.

Wysłuchiwała jego wyjaśnień. Zaczęła się bać.

- Nie wierzę, żeby Elijah albo Palmer byli Mosesem.

- Nie jedź do motelu - nalegał Jay. - Nie mogę cię osłaniać, bo musiałbym porzucić ciekawy trop. Przywaruj gdzieś, ale nie mów mi, gdzie. Ja też nie powiem, dokąd teraz jedziemy, ale zadzwonię, jak tylko będziemy mieli coś, co da się wykorzystać. Nie wyłączam cię z akcji, Elaine, ale teraz zrób, o co cię proszę.

Zastanawiała się.

- Ale jeśli Elijah albo Palmer naprawdę są Mosesem, to stracimy możliwość, żeby odkryć, który to jest. A jeśli obaj są czysti, będę z nimi, kiedy zadzwonisz, i przyjdziemy ci z pomocą.

- Do cholery, Elaine. - Zaległo milczenie. Kiedy znów się odezwał, w jego głosie brzmiała rezygnacja. - Dobra, jedź tam, jeśli musisz, ale raportuj co godzinę.

\*

Drzwi windy do apartamentu Martina Ghrandittiego otworzyły się, ukazując elegancki korytarz wypełniony polerowanym brązem i rzeźbionym drewnem. W tym momencie zadzwonił telefon.

- Tak? - Przeszedł obok grupki innych mieszkańców.

- Mamy problem, szefie. - To był Karl, ukraiński dowódca ochrony rezydencji Ghrandittiego.

Ghranditti domyślił się natychmiast.

- Z Marie? Z dziećmi? Co się stało? Gdzie Dante?

- Jest nieprzytomny - raportował ponuro Karl. - W szpitalu powiedzieli, że przedawkował oxycontin. Dojdzie do siebie. Szefie... Pani G. chciała porwać dzieci.

Ghranditti niemal wbił sobie komórke w ucho.

- Opowiadaj.

Odźwierny w liberii otworzył przed nim jedno skrzydło drzwi z monolitycznego kawałka szkła.

- Za wszystkim stał Armand - odezwał się Ukrainiec. - Wyrobił im paszporty i kupił

bilety lotnicze, wynajął samochód, a do bagażnika zapakował mnóstwo walizek z ubraniami i zabawkami dzieci, z jej biżuterią i strojami. Na pewno chcieli odjechać.

Ghranditti wyszedł na hałaśliwą waszyngtońską ulicę i wybuchnął, wypełniając okolicę



przekleństwami. Staromodna koncepcja lojalności była martwa. Nawet jego własna żona jej nie przestrzegała. Kiedy przy krawężniku pojawiła się limuzyna, zapytał:

- Armand ci to powiedział?

- Och, szefie. To bardzo smutne. Armand znalazł się na linii strzału. Nie żyje. I jeszcze jedno. Pani G. ufarbowała sobie włosy na ciemno. Ukryła je pod szalem.

Ghranditti znów zaklął. Przez chwilę chciał ją zamordować. Jak śmiała, po tym wszystkim, co dla niej zrobił. Zaczął głęboko oddychać.

Kiedy szofer obiegnął samochód, żeby otworzyć drzwi, Ghranditti wydał polecenie:

- Przez cały czas miej panią G. na oku. Zawieź ją z dziećmi na lotnisko. Powiedz Jockowi, żeby zabrał tam nianię. Niech przylecą do Waszyngtonu jednym z odrzutowców spółki. Pani G. musi tu się zobaczyć z pewnym lekarzem. - Najwyraźniej jedynym rozwiązaniem była nowa kuracja. Wtedy Marie odzyska nad sobą kontrolę. - Jeszcze dziś wieczór ma z powrotem przefarbować sobie włosy na blond. Ktoś do ciebie zadzwoni i poda szczegóły obu spotkań. Nie chcę jej widzieć, dopóki to wszystko nie zostanie załatwione.

Potem, jak tylko zakończę sprawę, zabiorę ich na wyspę.

Z godnością dźwigając swój krzyż, Ghranditti rozłączył się i zniknął w luksusowym wnętrzu limuzyny. Wyjął cygaro, drzwi zamknęły się ze szmerem, odcinając go od zgiełku metropolii. Martwiła go niestabilność Marie. Miała szczęście, że zajął się nią, kiedy była prawie dzieckiem. Biedna kobieta. No cóż, przy odpowiedniej kuracji znów wróci do siebie.

Próbował zrobić to samo dla swojej pierwszej Marie...

Zanim smutek zdołał złapać go za gardło, powstrzymał się od wspomnienia tamtej kobiety. Odłożył komórkę, ale znów zadzwoniła. Tym razem to był Jerry Angelides.

Limuzyna włączyła się do ruchu, a on słuchał rzeczowego raportu Angelidesa.

- Cunningham i Tice nadal są na wolności, proszę pana. Przykro mi to mówić. Ale jest i jaśniejsza strona: nie udało im się sknocić kontraktu.

- Wszystko przybyło do terminalu? - Uspokoi się dopiero, kiedy statek wypłynie z Baltimore i znajdzie się na pełnym morzu, na kursie do portu Muhammad bin Qasim w Karaczi, w Pakistanie.

Od pół roku wysyłał meble i inne wielkie ładunki do hurtownika w Karaczi, żeby ustalić wzorzec. Baltimore było strefą handlu międzynarodowego, z której towary odpływały bez opłat, ale służby celne Stanów Zjednoczonych miały prawo sprawdzać wszystkie ładunki.

Kontenerów było jednak za dużo, a czasu za mało, więc celnicy korzystali z wzorców. Z

początku sprawdzali dokładnie każdy jego towar i przekonali się, że to, co przewozi, precyzyjnie

pasuje do deklaracji. Tym razem Angelides znów wysłał deklarację pocztą elektroniczną. Urząd celny, tak jak to robił od czterech miesięcy, zatwierdził ją, nie zaglądając do kontenerów.

- Tak jest - powiedział stanowczo Angelides. - Wszystko jest tam, co do sztuki. Dokerzy prawie już kończą załadunek. Pański towar odpłynie bez przeszkód.

Wściekłość Ghrandittiego na Tice'a była bezgraniczna, ale nie przeszkadzała mu cieszyć się przyszłością. Był to winien Marie i dzieciom. Ostrzegł Angelidesa stalowym głosem:

- To nie zwalnia pana z obowiązków. Nadal musi pan odszukać Tice'a i Cunningham. -

Przekazał Angelidesowi najnowsze informacje na temat Rainy Manhardt. - Mój kontakt twierdzi, że przybyła do Waszyngtonu.

- Rozesłałem patrole w różne miejsca - zapewnił Angelides. - Powiem chłopakom, żeby jej też szukali. Potem odświeżę wszystkie moje kontakty i źródła. Jak tylko coś się pokaże, natychmiast mnie powiadomią. Do diabła, gliny mogły już teraz aresztować Tice'a albo Cunningham, albo oboje naraz.

- Próbują wystawić pana do wiatru, Angelides - powiedział Ghranditti.

- Nie uda im się. Dopadnę ich i zniszczę!

\*

Ukrywając skrępowanie, Jay i Raina przeszli przez hol pod podejrzliwymi spojrzeniami portiera i kilkorga mieszkańców, którzy siedzieli na eleganckich krzesłach i sączyli herbatę.

Ale gdy tylko Jay włożył kopię klucza w szczelinę i winda Ghrandittiego łagodnie zadzwoniła, spojrzenia z podejrzliwych zamieniły się w akceptujące, podszyte ciekawością.

Weszli do windy i popatrzyli na siebie.

- Jak do tej pory idzie dobrze - powiedziała Raina, gdy drzwi się zamknęły.

Winda pojechała do góry. Drzwi otworzyły się na ogromny westybul. Kolumny łagodnego, białego światła spływały z sufitu. Wyszli z bronią w rękę. Światła pojaśniały, ukazując wystawne meble i biały jak śnieg dywan, w którym stopy zapadały się po kostki.

Odezwał się melodyjny, sztuczny głos:

- Witam w rezydencji Martina Ghrandittiego. Trochę muzyki na wieczór?

Raina popatrzyła na Jaya.

- Ciekawe, czy pyta o to samo pokojówkę, która przychodzi posprzątać.

- Idę o zakład, że tu jest cały tabun pokojówek. - Podniósł głos. - Bez muzyki.

Rozdzielili się i przeszukali pokoje. Światło szło za nimi. Głosy pytały o temperaturę, jakość oświetlenia i muzykę. Kiedy Jay zbliżył się do ściany, otworzył się w pełni wyposażony barek. W długiej szklanej ścianie rozsunęły się szklane drzwi, wpuszczając podmuch wiatru. Wyszedł na zewnątrz i przeszedł po tarasie przyozdobionym starannie przystrzyżoną dżunglą kwiatów i drzewek.

Potem znalazł gabinet Ghrandittiego. Mijając ogromne biurko oraz skupisko krzesel

przy kanapie, podszedł prosto do komputera. Włączył go i ruszył do kuchni. Był to wykonany ze stali nierdzewnej pomnik na cześć przygotowywania potraw: lodówki, piece, piecyki mikrofalowe, piecyki na gaz, zamrażarki, lady, szafki. Przejrzał zawartość lodówki. Wyjął

kawior z białugi, siekane jajka na twardo, kwaśną śmietanę i jabłka. W jednej szafce znalazł

wielkie pudło krakersów, w drugiej butelki z wodą.

Postawił wszystko na wypolerowanej tacy i poszedł poszukać Rainy. Znalazł ją w pokoju rekreacyjnym wyposażonym w gry wideo, stół do bilardu, dobrze zaopatrzony barek i ogromny, ciekłokrystaliczny telewizor zwisający ze ściany jak arcydzieło malarstwa.

- Popatrz, co znalazłam. - Raina wskazała ręką na kolosalny kompleks rozrywkowy godny Centrum Kennedy'ego. - Chodź, sprawdzimy taśmy wideo, które przywiozłam z Genewy. Już je włożyłam. - Podniosła pilota.

Usiedli na kanapie. Westchnęła ze znużeniem i zdjęła perukę, brodę i wąsy. Kilka razy przejechała palcami obu dłoni po zmatowiałych włosach, aż kruczoczarne loki rozleciały się na wszystkie strony. Jay uśmiechnął się, patrząc na twarz, którą pamiętał tak dobrze: na delikatne kości czaszki, jasną skórę. Postarzała się, ale to jakoś sprawiało, że była jeszcze piękniejsza.

Postawił tacę na stoliku koktajlowym.

- Musimy coś zjeść.

Milcząco skinęła głową. Kiedy ekran telewizora zajaśniał, powiedziała:

- Widzimy frontowy hol budynku. Milieu mieściło się w pięciopiętrowym domu. Każdy, kto wchodził albo wychodził z windy, może być dla nas interesujący. - Przewinęła taśmę do przodu.

Patrzyli na przemieszczających się ludzi. Większość wsiadała do windy, niektórzy szli po schodach. Potem pojawił się Kristoph. Zamarli. Zegar w prawym, dolnym rogu wskazywał

siódmą trzydzieści osiem rano.

Cofnęła i zwolniła taśmę, żeby mogli widzieć każdą chwilę, kiedy Kristoph był na filmie. Patrzyli w milczeniu, z uczuciem niedosytu, chłonąc jego zawadiacki krok, potargane złote włosy, piegi na twarzy, szerokie ramiona, wąską talię i biodra. Twarz miał skupioną.

Uśmiechał się lekko.

- Wygląda świetnie - powiedział łagodnie Jay. Przetarł oczy.

- Tak. Jest mi... bardzo przykro, że nie było cię przy nim. To okropny błąd.

Przejrzeli całą taśmę, zwalniając za każdym razem, kiedy Kristoph wchodził albo wychodził z budynku. Nie zobaczyli niczego, co stanowiłoby wskazówkę w kwestii transakcji Ghrandittiego. Skończyli jeść, kiedy włączyła drugą taśmę, z obrazem tylnego wejścia.

Znów przyspieszyła do przodu. Nie pojawił się Kristoph, ale Laurence Litchfield - na cztery dni przed tragedią. Wyglądał tak, jak go Jay zapamiętał: schludny i żyłasty, z głęboko osadzonymi oczami, prostymi, czarnymi brwiami, orlim nosem, kwadratową szczęką. Patrzyli, jak wkłada fajkę do kieszeni na piersi sportowej kurtki, a z tyłu podbiega Alec i zatrzymuje się przy nim. Czekał na windę, rozmawiali poufnie, pochylając się ku sobie głowami.

Rozglądali się przy tym, czy nikt ich nie podsłuchuje. Na pewno mówili o czymś ważnym i tajnym.

Raina pochyliła się do przodu.

- Szkoda, że nic nie słychać.

Znów przewinęła taśmę do przodu. Litchfield i Alec wyszli razem tego samego dnia.

Litchfield już się nie pojawił. Wreszcie nagranie się skończyło.

- Mam pomysł, jak moglibyśmy posłuchać, o czym rozmawiał Litchfield z Alekiem.

Podaj mi pilota. - Przyjrzał się urządzeniu i podszedł do centrum rozrywki. - Zamierzam wypalić na CD kopię z tą częścią, gdzie jest Litchfield i Alec. Potem spróbujemy zrobić coś z fonią, korzystając z komputera Ghrandittiego.

## 45.

W cieszącym się złą sławą południowo-wschodnim Waszyngtonie narkotyki i przemoc władają nocą. Motel, w którym czekali Elijah, Frank i Palmer, znajdował się niedaleko Anacostia River w mniej zaniebanej, ale też niebezpiecznej okolicy. Elaine przejeżdżając, zobaczyła neon Melodie Motel, ale światła w „M” i w „I” były zepsute. Jasno świecił napis: WOLNE MIEJSCA.

Okrzyżyła kwartał domów i zaparkowała przed motelem, obok czterech innych wozów.

Rozpoznała dwa, z posiadłości Bena Kuhnerta; samochodu Palmera nie było wśród nich.

Wszystkie cztery wydawały się puste.

Ściskając kierownicę, przyjrzała się jednopiętrowemu motelowi zbudowanemu na planie litery L. Pokój zajęty przez agentów - 1D - znajdował się w długim skrzydle, przy rogu, gdzie spotykały się obie części motelu. Lamy świeciły nad większością drzwi, chociaż mizernie.

Pokój 1D nie był oświetlony - albo żarówka się przepaliła, albo ktoś ją wykręcił. Wszystkie okna miały zasłonięte story.

Nasłuchiwała, wybierając numer Elijaha. Nikt nie odbierał. Wybrała numery Franka i Palmera. Znowu brak odpowiedzi. Wreszcie zostawiła wiadomość Palmerowi, że jest przy motelu. Z pokoju nie dochodził dźwięk dzwonek telefonów. Może mieli wyłączone komórki albo ściany były bardzo grube. Żadna z tych możliwości nie spodobała się Elaine.

Ostrożnie wysiadła z samochodu, ale nie zamknęła drzwi. Z kluczykiem w lewej ręce, przyciskając łokciem torebkę, z waltherem w prawej, podeszła do rogu budynku. Pokój 1D był

po prawej stronie. Ruch uliczny grzmiał za jej plecami. Nastawiony na pełną moc głośnik przesycił noc heavymetalową muzyką.

Jej zmysły płonęły z wyczerpania. Zapukała i usłyszała szmer po lewej.

- Stój, Elaine! - To głos Palmera Westwooda.

Tłumiąc dreszcz, spojrzała przez ramię. Ogarnęło ją przerażenie. Palmer celował do niej z browninga z tłumikiem. Stał w drzwiach ustawionych pod kątem prostym do 1D - doskonała pozycja, żeby zastawić pułapkę.

Cicho zamknął za sobą drzwi.

- Miałem rację. Jay nie ostrzegł cię, że ładujesz się w kłopoty. Wiem, że się domyślił.

Opuść broń. Nie ma sensu robić dziury w drzwiach. Możesz sprzątnąć Elijaha albo Franka.

Przestań kombinować! Nie masz wyboru. Po prostu rób, co każę. Dobra dziewczyna. Opuść rękę grzecznie i powoli.

\*

Jay siedział przy komputerze w wielkim gabinecie luksusowego apartamentu. Założył okulary i próbował odczytać pocztę elektroniczną Ghrandittiego. Była chroniona hasłem. Do przewidzenia.

Raina przyciągnęła krzesło.

- Co zamierzasz zrobić?

Załadował taśmę z rozmową Litchfielda i Aleca, skopiował ją, potem przeniósł nagranie do pliku.

- Skontaktuję się z kimś, kto może nam powiedzieć, o czym rozmawiali.

Stworzył nowy adres hotmail i wpisał adres elektroniczny do innego konta hotmail: SundayRedBurma@hotmail.com. Dołączył wideo z Litchfieldem i Alekiem. Wystukał

wiadomość:

*Interesuje mnie miejsce i czas przesyłu uzbrojenia. Na wczoraj. Sprawdź załączoną rozmowę pod tym kątem. Spróbuję tutaj poczekać. Telefonuj, gdybym nie odpowiadał na maile. Może być już za późno.*

Wysłał, wystukał numer w komórce i powiedział do Rainy:

- Nie pytaj, do kogo dzwonię. Ktoś może na tym ucierpieć.

- Jay, proszę. Kontaktujesz się z Bobbye Johnson. - Kiedy popatrzył na nią zaskoczony, dodała: - Ona jedna zna całą historię.

Krótko kiwnął głową i zaczął mówić, jak tylko Bobbye odebrała.

- Wiesz, kto dzwoni. Zdarzyło się wiele spraw. - Opisał pokrótce kwestie transportu uzbrojenia i to, czego się dowiedzieli. - Raina jest tutaj ze mną - poinformował. - Masz już coś na Larry'ego Litchfielda?

- To śliski sukinsyn - odparła Bobbye najwyraźniej rozgniewana. - Kopie pode mną dołki, bo chce zająć moje miejsce. Jak do tej pory, doskonale mu idzie. Widziałeś się dzisiaj po południu w wiadomościach? Nie oglądaj telewizji, wpadniesz w depresję. Larry zmusił

mnie, żebym powiadomiła opinię publiczną o twojej ucieczce.

Zaklął, tłumiąc dżgnięcie bólu.

- Przemailowałem ci wideo, które Raina przywiozła z Genewy. Bez dźwięku. Jest na nim rozmowa Larry'ego z Alekiem St. Ann, agentem Charta. Mam nadzieję, że powiedzieli coś, co zamienisz w

złoto. Nie muszę ci przypominać, żebyś wszystkim zajęła się osobiście.

- Nie musisz, Jay. Tym razem możesz sobie darować. Nadal jestem twoim szefem.

- Chciałabyś. Bez względu na to, co się stanie, moja kariera w administracji już się skończyła. - Ale i tak uśmiechnął się na ten szorstki komplement.

- Jeśli coś z tego wycisnę, wyznaczę zespół - powiedziała.

- Nie! Jeszcze nie. Musimy najpierw upewnić się, czy wiemy, z czym mamy do czynienia. Na razie wygląda na to, że siedzi w tym tylko Larry i Chart, ale kto wie... Chcemy, żeby Ghranditti przeprowadził transakcję, bo wtedy zgarniemy wszystkich.

\*

Opanowując strach, Elaine spojrzała w twarz Palmera. Drapieżne rysy pozbawione były emocji, ale wyblakłe oczy błyszczały. Gęsta czupryna siwych włosów, zawsze nienagannie przyczesana, teraz była rozczochrana.

- Tęsknisz za robotą, prawda, Palmer?

- Bardziej niż zwykle. Zamknij samochód.

Szybko przekręciła nadgarstek i nacisnęła guzik. Błysk reflektorów jaguara odbił się od szyb w oknie motelu.

- Podaj mi komórkę. Ostrożnie. Wyciągnęła ją z torby i wręczyła Palmerowi.

- Chcesz zadzwonić do Jaya? I powiedziec mu, że jesteś Mosesem?

Roześmiał się i włożył komórkę do kieszeni.

- Otwieraj i wchodź.

Spojrzała na drzwi, potem na niego.

- Dalej! - warknął.

Nacisnęła klamkę i pchnęła drzwi. Sparaliżował ją strach. Jakby z oddali znów dotarł do niej śmiech Palmera. Elijah leżał w kałuży krwi, na tanim linoleum w łazience, światło padało na niego jak na wystawie w sklepie grozy. Przełknęła z trudem. Krwi było tyle, że musiała uwierzyć, że Elijah nie żyje.

Przesunęła wzrok. Frank siedział na prostym drewnianym krześle obok dwóch łóżek.

Przywiązany był taśmą izolacyjną biegnącą przez pierś, biodra i nogi. Kawałkiem taśmy miał

zaklejone usta. Oczy płonęły mu z wściekłości. Potrząsał głową i próbował coś powiedzieć, ale wydobywał się tylko bełkot.

- Wejdz - powtórzył Palmer. - Ruszaj się!

Potknęła się o próg.

Palmer wprowadził ją w głąb pokoju i szybko zamknął drzwi.

- Widzisz? Miałem rację - zwrócił się do Franka. - Powiedziałem ci, że przyjdzie. Nie byłaby w stanie się oprzeć. Mówiłaś Jayowi, gdzie jesteśmy, Elaine? No, dalej, gadaj.

- Oczywiście, że tak. Wkrótce tu przyjedzie.

Przechylił głowę. Zastanawiał się.

- Trochę czasu mu to zajmie. Siadaj na łóżku! Nie na tym. Nie możesz być za blisko Franka. Gdzie Jay?

- Nie powiedział mi. To prawda, Palmer. Wiesz, jaki jest. Ale ja mu powiedziałam, gdzie mam się z wami spotkać!

Palmer znów zaczął się zastanawiać.

- Zadzwoń do Jaya. Już! - Rzucił jej komórkę.

- Nie.

Wycelował pistolet w serce Franka.

- Dobry ze mnie strzelec. Zrób coś nie tak i Frank dołączy do Elijaha na podłodze w łazience. Przekaż Jayowi, że nie mogłaś znaleźć motelu. Że pewnie źle zapamiętałaś adres.

Zapytaj, gdzie on jest i co masz dla niego zrobić. Jeśli nie będzie odpowiadać, zostaw wiadomość.

Patrzyła na Franka, na jego bezradność. Jakby na zwolnionym filmie, z trudem wystukała numer Jaya.

- Zajęty - poinformowała Palmera.

- Zostaw wiadomość, do cholery!

Zrobiła to:

- Jay, nie mogłam znaleźć motelu. Oddzwoń, proszę. Gdzie jesteś? Co mam teraz zrobić? Ciągle myślę o tej historii z Leslieem Howardem, którą opowiadał Palmer. Wiesz, Palmer...

W jednej chwili znalazł się przy Elaine, wyrwał jej telefon z ręki, nie spuszczając z muszki Franka. Wyłączył komórkę.



- Może jestem stary, ale mój mózg pracuje doskonale. Głupio zrobiłaś, że próbowałaś dać Jayowi wskazówkę. A historia o Howardzie też była idiotyczna. Opowiedziałem ją Jayowi, żeby wiedział, że wielkie gesty kosztują życie. Howard swoje zmarnował. - Podszedł

do Franka i zerwał mu taśmę z ust.

- Niech cię cholera, Palmer! Niech cię diabli wezmą! - ryknął Frank.

Palmer uderzył go pistoletem w usta. Trysnęła krew.

- Zamknij się! - Kiedy Elaine skoczyła z łóżka, gwałtownie się odwrócił i wycelował w nią browninga. - Nie licz, że zabije mnie zawał. Serce mam mocne jak wół, nawet mocniejsze.

A teraz ty, Frank... - Popatrzył na kipiącego z wściekłości agenta. - Możesz uratować Elaine życie. Zmusiłeś mnie do sprzątnięcia Elijaha. Chcesz, żebym i ją sprzątnął? - Zerknął na Elaine. - Według zapisu na komórce Frank był z Jayem wystarczająco długo na linii, żeby uciąć sobie pogawędkę. Dzwonił też do ochrony apartamentowca, a potem do ślusarza. Musiał

więc zrobić klucz dla Jaya. - Tylko trochę podniósł głos, ale w małym pomieszczeniu zabrzmiało to jak strzał z armaty. - Frank, gdzie Jay i Raina!?

- Nie mów mu! - powiedziała szybko Elaine. - Może uda im się zatrzymać transport!

Palmer westchnął.

- Brakuje mi do tego cierpliwości. - Strzelił.

Elaine trzymała dłoń na łóżku. Koniec jej małego palca eksplodował. Kawałki ciała i kości opryskały jej twarz i ubranie. Krzyknęła i przycisnęła rękę do piersi. Ból wezbrał. Nie miała koniuszka palca. Gorąca krew płynęła jej po ramieniu, wsiąkając w rękaw.

Palmer rzucił chusteczkę.

- Ostrzegałem, że dobrze strzelam. I nie myśl, że krzyk kogokolwiek tu sprowadzi.

Myślą, że ktoś uprawia tu ostry seks.

Frank miał pobladłą twarz. Milczał, ale w oczach nie płonął mu już ogień.

Elaine przycisnęła chusteczkę do rany. Ból pulsował niemal w całym ciele. Przełknęła łzy.

- Wykończę, cię, Palmer, pieprzony draniu. Przy pierwszej okazji! Osobiście cię wykończę! - Łzy bólu popłynęły jej z oczu, gdy owijała dłoń chusteczką, żeby powstrzymać krwawienie.

Palmer odezwał się łagodnie.

- Jeśli Frank zdradzi mi, gdzie jest Jay i Raina, pozwolę ci wziąć sznurowadło i zrobić z niego

opaskę uciskową. Chociaż wątpię, żebyś wykrwawiła się na śmierć. - Jego lodowate spojrzenie spoczęło na Franku, ale pistolet pozostał wycelowany w Elaine. - Dobra, Frank.

Szkoda czasu. Ile trupów zostawić w tym pokoju? Odpowiedz! Gdzie Jay i Raina?

Frank wyglądał jak potępieniec.

- Wiem tylko tyle, że zrobiłem dla nich klucz do mieszkania Martina Ghrandittiego. -

Spojrzał w oczy Elaine, prosząc o zrozumienie, kiedy przekazywał Palmerowi adres. - No, dalej, strzelaj. - Kiwnął głową.

- Dziękuję, Frank, ale nie potrzebuję twojego pozwolenia. - Palmer strzelił staremu agentowi prosto w serce.

Znów buchnęła krew. Pierś Franka pokryła się czerwienią, podskoczył, uniósł głowę i runął razem z krzesłem na cienki dywan. Wierzgnął nogami i zmarł.

- Boże, co za bałagan - mruknął Palmer. - No, dobrze, Elaine, rzuć mi swoją torebkę, potem weź sznurowadło. Muszę zadzwonić.

## 46.

W apartamencie Ghrandittiego było teraz cicho, nie licząc odgłosu kroków Rainy, która chodziła po gabinecie. Jay kończył rozmowę z Bobbye Johnson. Popatrzyła przez szklaną ścianę, potem spojrzała na biurko. Nie mogła się uspokoić. Zatrzymała się za fotelem Ghrandittiego. Coś przyciągnęło jej uwagę. Rzuciła Tice'owi wystraszone spojrzenie.

- Widziałeś to, Jay?

Natychmiast znalazł się obok Rainy. Patrzyła na fotografię obramowaną srebrem, która stała na biurku Ghrandittiego. Rękę miała wyciągniętą, ale najwyraźniej nie mogła zmusić się, żeby dotknąć zdjęcia. Tylko to jedno stało na biurku. Ukazywało kobietę tak zadziwiająco podobną do żony Tice'a, Marie, że Jay poczuł niepokojące *déjà vu*. Ale Marie nie żyła już prawie od dwudziestu lat. Dzieci wyglądały nieznajomo. Mężczyzna miał około pięćdziesiątki, mocną budowę ciała i lśniąca, oleista cerę.

Jay stał głęboko wstrząśnięty.

- Upozowani są tak jak ja z Marie i dziećmi do ostatniego naszego portretu. -

Dziewczynka opierała się o kolana matki i z zachwytem podnosiła wzrok na ojca. Między rodzicami, tuż za nimi, stał syn. Trzecie dziecko, dwuletni chłopczyk, bawił się kocykiem u stóp ojca i spoglądał w aparat ze słodkim uśmiechem.

Tice nie potrafił oderwać wzroku od tej kobiety. Rysy miała niemal identyczne jak Marie. Ten sam wzrost, wiek, nawet budowa ciała i oczy - zielone. Lekko zezowate, ale bez wątpienia zielone jak morze. Im dłużej się jej przyglądał, tym więcej znajdował podobieństw.

Kobieta stała sztywno. Przypominała mebel. Tak jak Marie przez kilka ostatnich miesięcy życia. Obie były na prochach.

Jay opadł ciężko na fotel i odwrócił zdjęcie. Raina ze współczuciem położyła mu rękę na ramieniu i nachyliła się blisko, żeby też zobaczyć. Z tyłu widniała data sprzed pół roku i nazwiska ładnie wydrukowane jedno pod drugim.

Martin Ghranditti

Marie Ghranditti

Aaron Ghranditti

Mariette Ghranditti

Kristoph Ghranditti

Jaya ogarnęła wściekłość. Ręce zaczęły mu się trząść, jakby dostał ataku. Odwrócił

zdjęcie i znów się na nie zapatrzył. Jego rodzina. Ale nie jego rodzina. Szarada, farsa, żart z żywych i umarłych. Poczucie profanacji było ostre i głębokie jak cios brzytwą w stos pacierzowy. Chciał zabić Martina Ghrandittiego. Gdyby facet tu był, już by nie żył.

Raina chwyciła zdjęcie, odwróciła je i jeszcze raz popatrzyła na listę nazwisk, jakby nie mogła uwierzyć własnym oczom.

- Kristoph! Na jego liście jest Kristoph. Ghranditti nadał swojemu dziecku imię po Kristophie!

- Drań chciał ukraść nam życie.

- Co to znaczy? - zapytała. - Po co on to robił?

Popatrzyli na siebie. Jasnoczerwone plamy wściekłości pojawiły się na jej policzkach.

Zacisnęła powieki. Wykrzywiła usta. On też źle się poczuł.

- Chodź. - Jay wstał i objął Rainę.

Wybuchła płaczem w jego ramionach. Drżąc, przytulił twarz do jej miękkich włosów.

Stali tak przez dłuższą chwilę. Smutek po tym, co stracili, i wściekłość z powodu tego, co podstępnie, przemocą im zabrano, były jak przepaść bez dna, nie do złagodzenia.

\*

Elaine w obskurnym motelu zaciskała zęby, żeby nie krzyczeć z bólu i żalu po Elijahu i Franku. Siedząc na podłodze w łazience, wyplątywała zdrową ręką sznurowadło z buta Elijaha.

Po wykonaniu anonimowego telefonu na policję, że Jay Tice włamał się do apartamentu Martina Ghrandittiego i tam się ukrywa, Palmer zadzwonił do Laurence'a Litchfielda z komórki z przenośnym modyfikatorem głosu.

Chodził w tę i z powrotem, zaciągając się papierosem.

- Pogódź się z tym, Litchfield. Twoi ludzie są niekompetentni. Nie poradzili sobie z tak prostym zadaniem jak schwywanie starego faceta i dwóch kobiet. Tice nie pracuje od trzech lat, Cunningham nie jest agentką. A Raina Manhardt większość czasu spędza teraz za biurkiem.

Twoja porażka nie zwalnia cię z obowiązku wypłacenia mi pierwszej połowy zapłaty!

Wreszcie wyjęła sznurowadło. Zębami i ręką owinęła je wokół pulsującego palca i próbowała zacisnąć z nadzieją, że stłumi ból.

- Co? Nie zapłacisz, dopóki ci się nie uda? - Jego słowa były jak chłodna stal. -

Powinieneś być mądrzejszy. Chyba nie chcesz, żeby ktoś się dowiedział, że nie dotrzymałeś umowy

ze mną. Oto, co masz zrobić. Najpierw wyślij ludzi, żeby upozowali kilka trupów tak, żeby wyszło, że zginęli, kłócąc się o narkotyki. - Podał mu nazwę i adres motelu. - To Elijah Helprin i Frank Mesa. I możesz mi podziękować, że już nie próbują przerobić cię na żarcie dla kotów. Po drugie, jest ze mną Cunningham, więc jeśli chcesz ją złapać, musisz przesłać pierwszą płatność na numer, który podałem. I masz to zrobić jeszcze podczas naszej rozmowy.

Inaczej pozwolę jej odejść.

Zawiązała już sznurowadło i podniosła wzrok na czas, żeby zobaczyć triumfalny uśmiech na twarzy Palmera. Dostał, czego chciał.

- W porządku. Sprawdź. Nie odkładaj słuchawki. - Odstawił komórkę od ucha, nacisnął

kilka guzików, popatrzył na wyświetlacz i uśmiechnął się jeszcze szerzej. Zaciągnął się papierosem. - Już jestem - powiedział do Litchfielda. - Po trzecie, wysłałem policję, żeby zatrzymała Tice'a i Manhardt. Są w mieszkaniu Ghrandittiego. Wiem, ale będzie zabawniej, jeśli uda się to policji. Wtedy prześlesz resztę moich pieniędzy. Ponieważ wiąże się to z ryzykiem, powiedz, gdzie jest transport i kiedy nastąpi przeniesienie własności. Zamierzam wyświadczyć ci wielką przysługę i dostarczyć Cunningham, żebyś mógł się jej pozbyć według własnego życzenia. Nie chcemy przecież, żeby znaleziono ją tutaj martwą, prawda? To wywołałoby podejrzenia, które doprowadziłyby do ciebie. Silna sugestia: jeśli Tice'owi uda się uciec glinom, możesz być pewien, że ten drań jakoś się dowie, skąd odchodzi transport i będzie tam czekać. Mając Cunningham, trzymasz Tice'a na smyczy. Ma bzika na punkcie tej babki. Traktuje ją jak własne dziecko. Zazdrosny, Litchfield? - Zarechotał.

Wstała z trudem, oceniając odległość do swojej torebki.

- Dlaczego ją dostarczę? Bo nie mogę sobie pozwolić na pozostawienie Jaya Tice'a przy życiu. Ale i ty nie możesz sobie na to pozwolić. Zadzwoń tuż przed przyjazdem. Każ kilku osobom, żeby na nas czekały. Wyrzucę ją. Nie będzie robiła wiele kłopotów, jest ranna. Kiedy już cała trójka znajdzie się pod strażą, chcę resztę pieniędzy. Zgoda?

Niezdarnie podeszła. Z bólu czuła zawroty głowy.

Na widok Elaine zmarszczył brwi, rzucił papierosa, zdusił go na dywanie i znów wycelował do niej z browninga.

Zatrzymała się. Pokazała na swój zakrwawiony palec, potem na torebkę.

- Noszę ze sobą zestaw pierwszej pomocy. Potrzebny mi krem z antybiotykiem. - Miała tam też zatrute strzałki.

Gwałtownie pokręcił głową.

- Dobrze, Litchfield. Zrozumiałem. I nie próbuj mi się przyglądać, kiedy przyjadę. To gorsze niż niedotrzymywanie umowy. Potem już żaden z najważniejszych handlarzy informacjami nie ubije z tobą interesu. Gwarantuję. Twoje źródła wyschną jak jesienne liście.

Patrząc na Cunningham, zamknął komórkę i ukucnął nad jej torbą. Otworzył kieszonki i wysypał zawartość.

- Hm. Nie ma zestawu medycznego. Dlaczego nie jestem zdziwiony? Więc czego naprawdę potrzebowałaś? - Zaczął przeglądać stosik. Jego palce zatrzymały się na papierowym rulonie. - Wszystko wygląda zwyczajnie... poza tym. - Szybko podniósł wzrok, zauważył jej minę. - Ach, więc to ci było potrzebne.

Modliła się po cichu, żeby zranił się ostrzem. Ale on ostrożnie rozwinął papier. Kiedy zobaczył strzałki, spojrzał na nią spod zmrużonych powiek. - Dziwka.

- Nosisz browninga tak jak Jay. Próbujesz go naśladować, Palmer? Twój protegowany stał się twoim konkurentem, prawda? Ale Jay jest lepszy niż ty kiedykolwiek byłeś.

Prawdopodobnie najlepszy ze swojego pokolenia. Elijah i Frank wiedzieli o tym. Dwaj agenci weterani - nie tylko mu ufali, ale też go uwielbiali. Rozkazy przyjmowali od Tice'a, nie od ciebie.

Roześmiał się głośno, z powrotem zawinął strzałki w papier i ostrożnie włożył je do kieszeni sportowej kurtki. Resztę rzeczy wsypał do torby.

- Nie, moja droga. To ja pierwszy nosiłem browninga. To Jay mnie naśladował. Czas ruszać. Na spotkanie z przeznaczeniem, jak to mówią. Weźmiemy twój samochód. Zawsze lubiłem jaguary.

47.

Cisza w apartamencie Martina Ghrandittiego zdawała się naładowana napięciem jak gorące, duszne powietrze przed burzą. Jay nie pokazywał po sobie niepokoju, przeglądając papiery w wielkim biurku handlarza śmiercią. Raina siedziała przy komputerze i próbowała złamać hasło zabezpieczające pocztę elektroniczną. Jej czarne loki błyszczały jak sobole w świetle lamp sufitowych.

- Nie odwiedza wielu stron internetowych - powiedziała. - Głównie nieruchomości.

Hasło na pewno nie ma nic wspólnego z nazwiskiem. Próbowałam też: „pieniądze”, „broń”,

„technika” i mnóstwo innych. - Odwróciła się na krześle i popatrzyła na Tice'a. - Nie sądzisz, że Bobbye Johnson powinna już zadzwonić albo przesłać pocztę?

- Też się martwię. A to całe biurko stoi tu głównie na pokaz. Ghranditti prawie wcale przy nim nie pracuje. Znalazłam rachunki domowe, zamówienia na catering i do kwaciarni.

Takie rzeczy. - Rozparł się w krześle, założył dłonie za głowę i ziewnął.

Przeszła się po dywanie, nieufna i niespokojna. Znów podniosła fotografię rodzinną Ghrandittiego.

- Drań. Chyba należałoby go żałować.

- Może. Nadal chciałbym mu wyrwać tchawicę. Osobiście.

- Ja też. Dlaczego to zrobił?

- Po każdym z tych imion jest starannie wydrukowane nazwisko Ghranditti. Zrobił to, bo chciał oznaczyć ich jak swoją własność. Jak ziemię, samochód, ręcznik w łazience. Odpłaca mi.

- Tak? Za co?

Nagle poczuł się staro.

- Podejrzewałem, że Marie ma romans. Potem doszedłem do wniosku, że chyba się mylę. Że jestem przewrażliwiony, bo mam piękną żonę. Mimo to czasami, kiedy wracałem wieczorem do domu, zastawałem dzieci z opiekunką. Albo co gorsza same. Chociaż były jeszcze małe, Marie bardzo się zmieniła. - Zamilkł. - Zaczęliśmy żyć osobno. Oboje wiedzieliśmy, że nasze małżeństwo się rozpadło. Potem poznałem ciebie.

Zdjęła płócienną kurtkę, rzuciła ją na krzesło i usiadła na biurku naprzeciwko Jaya.

- Może tego nie wiesz, ale jest jeszcze jedno ogniwo łączące Ghrandittiego z Marie.

Sprzedawał farmaceutyki na czarnym rynku, więc prawdopodobnie mógł być jej dostawcą.

Zacisnął szczęki.

- To ma sens. Mógł ją w ten sposób uzależnić od siebie.

- Jest też prawdopodobne, że dowiedział się o jej zamiarze poddania się kuracji odwykowej. Mówiłeś, że Palmer uważał go za handlarza nielegalnym towarem w operacji

„Deadaim”. Zdarzyły się więc dwa bardzo niefortunne dla Ghrandittiego przypadki: stracił

fortunę i groziło mu rozstanie z dziewczyną, gdyby się wyleczyła. Z drugiej strony, gdyby cię sprzątnął, zemściłby się za porażkę w interesach i mógłby zatrzymać twoją żonę. Idę o zakład, że to Ghranditti kazał podłożyć ci bombę w samochodzie. Kiedy mokra robota poszła źle, musiał szaleć na myśl, że zlikwidował Marie. Od tamtego czasu zaczął cię prześladować.

Wystarczy popatrzeć na ten portret rodzinny, żeby zrozumieć, jak bardzo pragnął Marie, a ciebie nienawidził. To on chciał, żebyś poszedł do więzienia!

Tłumiąc dreszcz, Jay schylił głowę i popatrzył na swoje ręce.

- To logiczne. - Podniósł wzrok. - Między drugim dzieckiem Ghrandittiego a najmłodszym, Kristophem, jest różnica co najmniej pięciu lat. To duża przerwa jak na człowieka, który wszystko planuje. Przypuszczam więc, że gdyby wiedział o nas wcześniej, szantażowałby mnie już wtedy... i wtedy urodziłoby się to dziecko. Jego Kristoph ma teraz ze dwa lata. To znaczy, że został poczęty około dwóch miesięcy po moim aresztowaniu... kiedy ktoś powiedział o tym Ghrandittiemu.

Raina pochyliła się do Tice'a.

- Jednym z nielicznych, którzy o nas wiedzieli, był Palmer. Powiedział o tym Ghrandittiemu jako Moses. Potem szantażem zostałeś zmuszony, żeby pójść do więzienia.

Ledwie czuł bicie swojego serca. We wszystkim naśladował Palmera - jego bystrość, mądre zwyczaje, zdrowy rozsądek. Przez dziesięciolecia miał do niego zaufanie. W młodości żałował, że Palmer nie jest jego ojcem. Nie, to nie do pomyślenia, żeby ten starszy mężczyzna zdradził jego lub kogokolwiek.

Westchnął ciężko i zamknął oczy. Potem je otworzył i zaczął mówić:

- Jak tylko się dowiedzieliśmy, że Ghranditti handluje z Majlis, Palmer musiał zrobić się nerwowy jak słoń z bólem brzucha. Bo gdybyśmy złapali Ghrandittiego, moglibyśmy odkryć tożsamość Mosesa.

- To znaczy, że Palmer był zdrajcą podczas operacji „Deadaim”.

Gniewnie poruszył szczęką.

- Tak, to na pewno on jest Mosesem. Od kilku lat nie odniósł większego sukcesu operacyjnego, więc kiedy wpadł na pomysł pocięcia złotego medalionu, nie tylko wyglądał jak bohater, ale też umożliwił



nam dalsze działanie i triumf tak bardzo potrzebny Langley.

- Sukinsyn zdradził obie strony, żeby uzyskać to, czego chciał: prestiż i stanowisko dyrektora.

- I mógł dalej być Mosesem. Ma doświadczenie, kontakty i głowę na karku. Poza tym bardzo lubi pieniądze.

- Tak mi przykro, Jay. To straszne. Zależało ci na Palmerze.

- Już mi na nim nie zależy. - Odwrócił wzrok.

Wzięła jego twarz w obie ręce i zaczęła głaskać policzki kciukami, aż wreszcie na nią spojrział. I znalazł w oczach Rainy dziwne pocieszenie, a może nawet miłość.

- Nigdy mi nie mówiłeś, co robiłeś, kiedy znikłeś na trzy dni po śmierci swojej rodziny.

Westchnął i ucałował jej dłonie.

- Masz piękne ręce. - Patrzył na nie, zapamiętywał. Podniósł wzrok. - Nadal cię kocham.

Pokiwała głową.

- Wiem. Powiedz. - Czekala.

- Semtex podłożyło dwóch Libijczyków. Dopadłem ich w Trypolisie i przyznali się. Ale nie chcieli wydać zleceniodawcy i zaprzeczali, że ma to cokolwiek wspólnego z transportem.

Do diabła, prawdopodobnie rzeczywiście się nie orientowali w tej sprawie. Byli terrorystami do wynajęcia i znacznie bardziej bali się swojego pracodawcy niż mnie. - Przerwał, próbując pogodzić się z czymś niewybaczalnym. - Gdybym wstał wcześniej tamtego ranka i sam przestawił samochód, dzieci i Marie nadal by żyły.

- Ale ty byłbyś martwy. Nienawidzę tej myśli.

Otrząsnął się z otępienia. Przypomniawszy sobie, jak wkradł się do Trypolisu. Znalazł

zabójców. Jak ich przesłuchiwał. Nagły przebłysk samoświadomości sprawił, że zobaczył to wszystko: kim był, co zrobił i dlaczego. Należał do elity. Tak się czuł. Tak musiał się czuć.

Tajne służby przyciągały ludzi z najwyższymi walorami, bo spodziewano się, że będą gotowi zapłacić najwyższą cenę. Człowiek zaczynał się czuć tak ważny dla Ameryki, że widział

siebie ponad prawem, etyką, a czasem zwyczajną przyzwoitością. Stare wartości blakły.

Zakorzeniały się podejrzane myśli. Ku swojej hańbie dał im się uwieść. W końcu zobaczył to wszystko. W ustach miał kwaśny smak.

- Zabiłem ich - wyznał ściszym głosem.

Pokiwała głową ze zdziwieniem, ale zarazem ze zrozumieniem. Usiadła mu na kolanach i przytuliła się. Powoli objął Rainę i położył głowę na jej piersi.

- Życie szpiega niszczy człowieka - wymruczała. - Żadne z nas od tego nie ucieknie. -

Zawahała się. - Chcesz porozmawiać o wymianie na moście Glienicke? O doktorze Abendrocie?

Wysłuchał bólu w jej głosie i nic nie powiedział. Likwidacja Abendrotha zawsze stała między nimi, mocna jak ściana egzekucji. Była prawdziwą przyczyną ich pierwszego rozejścia się. W końcu, kiedy dowiedział się, że Raina jest ciężarna, zrozumiał, że nie może żyć z dala od niej, bez względu na cenę.

- Jeszcze nie - powiedział.

Objęli się mocniej, przywarli do siebie w niesamowitej ciszy. Nie bardzo wiedział, co zrobić. Głowa dziwnie mu ciążyła. Nogi były jak nie jego. Zmieszany wsłuchiwał się w równe bicie jej serca z nadzieją, że znajdzie linię ratunkową prowadzącą do lepszego świata.

Melodyjny głos apartamentu wyrwał go z transu.

- *Ma pan gości. Żeby ich zobaczyć, proszę włączyć dowolny telewizor na kanale setnym.*

Zadrżała i zeskoczyła. Chwycił pilota z biurka i włączył telewizor. Kanał pokazał

wnętrze prywatnej windy Ghrandittiego. Sześciu policjantów w kamizelkach kuloodpornych i hełmach patrzyło martwym wzrokiem przed siebie. Trzymali M-4, a przy pasach mieli pistolety i granaty.

- O Boże - wymruczała głosem przesiąkniętym strachem. - To jednostka antyterrorystyczna. Winda zatrzymuje się dopiero na naszym piętrze!

Zamrugał. Myślał.

- Szybko. Łap piloty. Wszystko, co ma baterie. Potrzebne nam baterie!

## **Langley, Wirginia.**

Laurence Litchfield czuł się szczęśliwy. Bobbye Johnson zwolniła go na dłuższy czas, bo miała coś ważnego do załatwienia. Mógł spokojnie odpowiedzieć na telefon Mosesa. A nowiny nie były najgorsze. Tak czy inaczej, wreszcie będzie miał tę Cunningham.

Chwycił teczkę i wyszedł z biura. Sprawdził, czy drzwi same się zamknęły, i pospieszył

do gabinetu Bobbye. Musiał dostarczyć kopię ForeTell Ghrandittiemu. W korytarzu panowała cisza. Większość personelu już wyszła, nie licząc Connie, sekretarki numer jeden. Doskonale.

Przekáže jej swoje wymówki i uniknie pytań Bobbye.

Nachylił się nad progiem, udając zmęczenie.

- Cześć, Connie. Albo raczej dobranoc. Wychodzę. Powiedz pani dyrektor, dobrze?

- Oczywiście, proszę pana.

Nagle wzięła go ciekawość. Postanowił podpytać sekretarkę.

- Trzyma cię tutaj do późna. Powinnaś dostawać dodatek bojowy.

Sekretarka była dużą, krągłą blondynką z kokieterijnym spojrzeniem.

- Niech pan jej to powie. - Zachichotała.

Kiedy zostanie dyrektorem centrali, zatrzyma ją na stanowisku. Dziewczyna wydawała się niezastąpiona; dobrze orientowała się w różnych układach.

- À propos, dlaczego pani dyrektor jeszcze nie poszła do domu? Znow pojawiło się coś pilnego?

- Nic takiego. Dostała e-mail i chce, żeby zajęli się tym technicy. To chyba jakaś rozmowa, którą trzeba odczytać z ruchu warg. Prosiła, żeby łączyć rozmowy na dół, gdyby ktoś dzwonił do niej tutaj.

- Dobrze, że to nic ważnego. Mieliśmy więcej rozrywki niż trzeba na jeden dzień.

Jeszcze raz dobranoc, Connie.

Ze złym przeczuciem odszedł od drzwi. Pojechał windą na dół, do działu dekodowania.

Pokój jak zwykle tonął w opakowaniach fast foodów i puszkach po napojach. Bobbye siedziała obok Hiram Kukkahameniego, w jego boksie. Oboje mieli na uszach słuchawki.

Była nachylona i pisała coś na kartce leżącej na kolanach. Litchfield stanął jak wryty. Na komputerze Hiram zobaczył Aleca St. Ann i siebie przed windą w budynku Milieu w Genewie. Zrozumiał natychmiast - nagranie musiało pochodzić z kopii taśm nadzoru, które miała Raina Manhardt, a to wskazywało, że Bobbye jest w kontakcie z Jayem Tice'em.

Pot spłynął mu po skroni, kiedy się wycofywał. Gdy znalazł się już poza zasięgiem wzroku szefowej, odetchnął i jeszcze raz przeszedł między boksami.

Zbliżając się do Bobbye po raz drugi, krzyknął:

- Czy ktoś widział panią dyrektor?

Bobbye pokazała się w wejściu do boksu.

- Tak, Larry? O co chodzi? - Zdawała się niespeszona.

- Chciałem cię tylko poinformować, że wychodzę. Pomyślałem, że mogłabyś pójść ze mną do samochodu. Coś nadeszło. - Rozejrzył się. - Chyba powinniśmy porozmawiać o tym na osobności.

- O, naprawdę? - Wzięła go niedbale za ramię i podprowadziła z powrotem do wejścia. -

A co to takiego?

- Pojedziemy windą do piwnicy. Jestem zmęczony jak pies.

Nie wyglądała na zachwyconą.

- Dobra, ale streszczaj się. Mam pilny projekt do skończenia.

Nacisnął guzik windy.

- Jaki?

- Wkrótce ci powiem. - W oczach pojawiły się niebezpieczne iskry. Potem znikły i znów była zwyczajną nudziarą. - No, słucham, Larry. - Winda zatrzymała się w garażu.

Przytrzymał drzwi, żeby Bobbye wyszła pierwsza.

- Chodzi o Moseesa. Wieczorem dostałem od niego telefon.

Odwróciła się szybko.

- Opowiadaj!

Przeszedł obok Bobbye, starannie rozejrzył się po spokojnym, oświetlonym parkingu.

Słyszał, jak szła trochę z tyłu. Kiedy zrównała się z nim, był już w połowie drogi do samochodu. Nikogo nie zauważył w pobliżu. Ale zostały jeszcze kamery.

- Zwykle jego sztuczki. - Wyjął kluczyki i pilotem otworzył drzwi do wozu. -

Oczywiście, będzie to nas kosztować fortunę. Twierdzi, że wie, gdzie jest Jay i Raina Manhardt.

- Jedziesz do domu? - Zmarszczyła czoło. - To do ciebie niepodobne, Larry.

Otworzył drzwi od strony kierowcy.

- Wsiadaj, Bobbye. Będziesz prowadzić.

- Żeby się z kimś zobaczyć? Z Mosesem? Z Jayem? - Postawiła nogę w wozie i zmrużyła oczy. - Co, do cholery, się dzieje? Co ty zamierzasz zrobić?

Nie miała ze sobą niczego: ani torebki, ani broni. Ubrana była w bluzkę i spódnicę.

Wsunął rękę pod marynarkę.

- Wsiadaj, Bobbye. Chciałaś dostać Jaya. Chyba go znalazłem. No, ruszaj się.

Oczy nadal miała zmrużone; skrzywiła się lekko, jakby nagle przysła jej do głowy nieprzyjemna myśl. Utkwiła wzrok w jego schowanej ręce.

- Wsiadaj, do cholery. Nie wpakuję ci kuli tutaj, gdzie twoją śmierć zarejestrują kamery.

Pamiętaj, co mówił Jay: musimy robić to, co mamy do zrobienia, a sprzątnięciem martwić się potem. Widzisz, jak go szanuję? Nadal cytuję jego słowa. - Rzucił jej kluczyki.

Z wściekłą miną złapała je i wsiadła do samochodu.

**48.**

# Waszyngton.

Jay biegł pędem przez jasno oświetloną kuchnię, Raina wrzuciła do mikrofalni baterie z pilotów, dwóch kamer cyfrowych i czterech telefonów komórkowych.

- Ustaw na pięć minut - polecił. - Zrób wysoką temperaturę. Włącz palniki gazowe na maksa. Jedna iskra i nasi goście będą mieli coś pilniejszego do roboty niż łapanie nas.

Spotkamy się w pokoju rekreacyjnym.

Popędził korytarzem do dużego pokoju. Przebiegł obok centrum rozrywki, wyjął baterie z laptopa i włożył je do mikrofalni na barku. Nastawił kuchenkę na wysoką temperaturę. Raina przybyła w chwili, gdy miał już po nią iść. Nacisnął „start” i razem pobiegli do wielkich, szklanych drzwi. W holu lekko zabrzączała winda.

Raina biegnąc obok Jaya, klęła po niemiecku. Obejrzała się za siebie, kiedy usłyszała nagrane powitanie.

- Może nam się uda. Zawsze trzeba mieć plan awaryjny - mruknął do siebie.

Szklane drzwi się otworzyły. Wpadli na taras, gdy ostry głos zaczął wydawać rozkazy w głębi apartamentu.

Taras otoczony był masywnym, niskim murkiem. Wierzchołki drzew i światła miasta rozciągały się po horyzont. Jay skinął ręką i popędzili wokół apartamentu. Policja przeszukiwała mieszkanie. Światło włączało się w kolejnych pokojach. Przy wielkim pokoju przełożył nogę przez murek. Rozległ się cichy zgrzyt metalu trącego o metal. Jay zmienił

kierunek, chwycił Rainę za ramię i szarpnął za fikusa w donicy.

Kiedy przykucnęli, w drzwiach sypialni pokazała się lufa M-4, a za nią głowa w hełmie i ciało policjanta w kamizelce kuloodpornej. M-4 przesuwiał się z boku na bok, gdy antyterrorysta przeszukiwał taras. Jay oddychał powoli, czekał.

Ktoś w środku wyryczał ostrzeżenie. Błysnęło pomarańczowe światło. Rozległ się grzmot wybuchu. Budynek się zatrząsł. Niebieska i pomarańczowa jasność buchnęła z pokoju rekreacyjnego. Kwaśny odór dymu wydostał się z wielkiego pokoju. Rozległa się seria głośnych detonacji.

Policjant na tarasie cofnął się szybko do pokoju. Jay dotknął ramienia Rainy i podbiegli razem do muru. Do budynku przytwierdzona była drabina przeciwpożarowa. Na szczeblach mieściły się tylko palce stóp. Drabina była równie stara jak budynek i nie wyglądała na bezpieczną.

Jay zszedł już ze trzy metry, kiedy spojrzał w górę.

- Dalej, Raino!

- To sześć piętér! - Błyszczące, nocne niebo otaczało jej spiętą twarz.

- Wiem. Ale mogło być dwadzieścia. Chodźże! Jej twarz znikła, a nad murem ukazała się noga.

- Do cholery, Raino! - zawołał półgłosem po niemiecku. - Wolisz zginąć od serii z automatów czy elegancko się roztrzaskać na ceglany podjeździe? Nie masz wyboru, do diabła! Pospiesz się!

Skinęła głową i zaczęła schodzić.

- Trzymaj stopy po bokach - dodał ciszej. - Patrz tylko na ścianę. Skup się na tym i będzie dobrze.

- Jasne.

- Masz otwarte oczy? - Poruszał się powoli i modlił w duszy, żeby nie stanęła w drodze.

- *Nein*. Wolę tak.

- Tracisz wspaniały widok.

- Zamknij się, Jay!

Dwa piętra niżej wylądował na starych schodach przeciwpożarowych.

- O, co za miła niespodzianka. - Patrzył, jak wymacywała stopą szczebel po szczeblu. -

Tu są schody. Spodobają ci się.

- Spodoba mi się cokolwiek, byle nie to. Czuję się tak, jakbym wisiała na ogonie latawca.

- Mówisz jak Rosjanin. Pamiętasz, kto to był „kaputnik”?

- Pesymista. Ktoś, kto strzela sobie w głowę, a odpadają mu nogi.

- Teraz możesz zacząć być optymistką.

Z jękiem wylądowała obok niego. Uściskał ją mocno.

- Wyjdiesz za mnie za mąż?

- Już za późno.

- Biorę to za „być może”. Tym razem ty idziesz pierwsza.

Zaczęła zbiegać jak gazela.

Kiedy dotarli do podjazdu, cofnęli się i spojrzeli w górę. Szare i czarne kłęby dymu wydobywały się ze szczytu starego budynku, gdzie Ghranditti urządził sobie nowoczesny apartament. Uśmiechnęli się do siebie oczami przeszli na chodnik, wygładzając ubrania i włosy. Przed domem stała policyjna

furgonetka. Zebrali się ludzie, żeby patrzeć na chmury dymu.

- Sprawdź komórkę - powiedziała Raina, gdy szybko opuszczali miejsce zdarzenia. -

Może Bobbye Johnson zadzwoniła.

Wystukał numer i słuchał. Potem przyspieszył.

- Tylko jedna wiadomość. Od Elaine. Ma kłopoty. Zaczęła mówić o historii Lesliego Howarda i dwa razy wymieniła imię Palmera. To było ostatnie jej słowo, zanim ktoś przerwał połączenie.

\*

Na obskurnym, motelowym parkingu Palmer trzymał Elaine na muszce i rozglądał się po okolicy. Stała obok jaguara, okaleczony palec trzymała w górze i uparcie odmawiała wejścia do wozu. Chusteczka zawinięta wokół dłoni była czerwona od krwi.

- Muszę opatrzyć palec, żeby prowadzić. Boli tak, że nie mogę nawet myśleć. -

Przygryzła dolną wargę. Przesadzała, ale nie za bardzo.

Zerkała na swojego walthera, który Palmer miał za paskiem. Tymczasem stary agent przyglądał się trzem nastolatkom idącym ramię w ramię po chodniku. Z chromowanego odbiornika, który jeden z nich niósł na ramieniu, dobywał się głośny rap. Razem obejrżeli się i zeszywnieli, kiedy zobaczyli pistolet Palmera i zakrwawioną dłoń Elaine. Odwrócili oczy i pospiesznie się oddalili.

Palmer podejrzliwie przyglądał się ich plecom.

- Otwórz bagażnik. Szybko.

Nacisnęła guzik przy pilocie i czerwone wieko skoczyło do góry.

- Odsuń się! - Otworzył apteczkę, sprawdził zawartość i wyciągnął małe, ostre nożyczki.

- W porządku, weź coś sobie.

Chwyciła butelkę vicodinu i połknęła tabletkę. Wycisnęła na otwartą ranę krem z antybiotykiem i opanowała falę mdłości. Sam ciężar kremu wywołał jeszcze ostrzejszy ból.

Wyjęła kawałek sterylnej gazy i zębami otworzyła pakiecik. Jedną ręką złożyła gazę w gruby kwadrat. Znów zagryzła wargi, jęknęła i przez gazę nałożyła zwisający kawałek skóry na ranę.

Głęboko odetchnęła i położyła opatrunek na wierzchu.

Łzy bólu spływały jej po policzkach.



- Pomóż mi!

Zirytowany oddał kawałek plastra.

- I tak ci został duży kawał palca. Nie ma co narzekać.

- Ty sukinsynu. - Wzięła od niego plaster i mocno przykleiła gazę. Rozluźniła sznurowadło. Materiał szybko nasiąknął krwią, wtedy przykleiła więcej plastra na ranę.

Kiedy skończyła, wzięła pakieciki z gazą, plaster i pudełko ze środkiem przeciwbólowym - włożyła wszystko do kieszeni kurtki.

- Zamknij bagażnik i przynieś apteczkę.

Podeszła do drzwi od strony kierowcy. Na pewno zabije drania, jak tylko się dowie, gdzie jest towar. Musi być sposób, żeby sprzątnąć Palmera, a ona, do cholery, na pewno go znajdzie.

Wsiadła, uruchomiła silnik. Lewą rękę oparła wysoko na kierownicy, żeby palec znalazł

się w górze. Palmer usiadł obok na fotelu pasażera. Rozparł się niedbale. Elaine zaczął świtać pewien pomysł. Wrzuciła bieg i ostrożnie cofnęła. Chciała, żeby poczuł się bezpiecznie.

- Dokąd? - zapytała łagodnie.

- Wjedź na autostradę Anacostia i skręć na północ.

- To raczej nie adres. Dokąd jedziemy? - Zatrzymała samochód na ulicy.

Lufa pistoletu wbiła się jej w szyję. Chłodna stal przesłała ostrzeżenie do mózgu.

- Nie twoja sprawa - powiedział gładko Palmer. - Rób, co ci mówię. Wiesz, że nie zawaham się znów strzelić. Będę ci dawał wskazówki w drodze.

Włączyła się do ruchu. Okna budynków były ciemne. Słabe światło lamp ulicznych spływało na chodniki.

- Rozpiera cię duma, że jesteś Mosesem, co? Dlaczego, na litość boską, nas zdradziłeś?

Wzruszył ramionami.

- Nic nie niszczy stosunków tak jak wspólna klęska. W Langley zrobiło się nudno.

Zlecenia się powtarzały, cele były śmiechu warte. Najlepsze, na co mogliśmy liczyć, to pat w walce z komunistami. Nie widziałem w tym sensu. Mieliśmy więcej pieniędzy, więc oczywiście wygraliśmy.

Zrozumiała.

- Byłeś znudzony. A teraz jesteś w wielkich opałach. Zdekonspirowałeś się i dałeś zagonić w kozioróg. Jay znów cię dopadł. - Skrzyła w Pennsylvania Avenue i pojechała w stronę mostu Johna Philipa Sousy'ego.

- Ja stworzyłem Jaya - powiedział swobodnie. - Wynalazłem go. Beze mnie byłby niczym.

Spojrzała na niego - miał zgorzkniałą minę.

- Nie wykorzystałeś możliwości w domu Bena Kuhnerta. Włączyłeś się do gry, żeby udowodnić, że nadal jesteś szarą eminencją. Jay obsypywał cię komplementami, ale ty nawet nie zająknąłeś się o jego umiejętnościach lub osiągnięciach. Musiałeś być siny z zazdrości, kiedy awansował na zastępcę szefa operacji. Nawet w oficjalnej hierarchii cię wyprzedził. Aż ociekasz zawiścią.

- Elaine, dziecko, za wiele czasu spędziłaś, napawając się swoimi talentami, a za mało szukając własnych ograniczeń.

- Uwielbiam, kiedy traktujesz mnie protekcyjnie. „Dziecko”. „Moja droga”.

Niesamowicie.

Zmęczył się nią, lekko odwrócił się i spojrzał w bok. Przyglądała się szerokiemu bulwarowi, czując przyływ podniecenia. Nareszcie rozciągał się przed nią długi, równy odcinek drogi. Jechała powoli, pozwalając samochodom, żeby ją mijaly. Z tyłu zbliżało się sporo par reflektorów. Została minuta, zanim ją wyprzedzą. Odpędziła wątpliwości. Jeśli ma zrobić jakiś ruch, to teraz.

- Z drugiej strony pewnie masz rację co do moich ograniczeń - kontynuowała. - Ale bardziej prawdopodobne, że powiedziałaś to, żeby przestała mówić o tobie. Och, nie, Palmer. Patrz! Palec znów mi krwawi!

Tak, jak się spodziewała, odwrócił głowę i spojrzał z niesmakiem. Ramiona nadal miał

zwrócone w stronę okna. Lekki skręt ciała sprawiał, że pod pasem bezpieczeństwa było dużo luznego miejsca.

Zanim zdążył się odezwać, nacisnęła gaz do dechy. Jaguar skoczył do przodu z piskiem opon. Palmer, przeklinając, wygiął się w łuk na fotelu, potem oparł o napięty pas, nadaremnie próbując wyprostować się i zrównoważyć siłę przyspieszenia.

Nacisnęła hamulec. Wytrzymałe koła jaguara zatrzymały się prawie natychmiast. Palmer runął do przodu. Kiedy uderzył głową o tablicę rozdzielczą, chwyciła jednocześnie browninga i walthera. Rąbnął czaszką w okno po swojej stronie. Zajęczał.

Zrobiła długi wydech. Trzymając lewą rękę na kierownicy, wycelowała browninga w Palmera i nacisnęła pedał gazu, przyspieszając do skromnych pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Klaksony zawyły, kiedy stado samochodów przemknęło obok jaguara.

Palmer w milczeniu gapił się w lufę swojego pistoletu. Zdawało się, że blednie pod opalenizną.

Potem opuścił powieki i rozejrzał się, szukając drogi ucieczki. Nadal był zły i niebezpieczny.

Skręciła w Potomac Avenue.

- Wystrzelę w ciebie cały magazynek, Palmer, zdrajco... dupku. - Wymawiała wyraźnie każde słowo.
- Ale dam ci szansę, żebyś odkupił swoje winy. Gdzie transport?!

## 49.

Raina prowadziła w jaskrawym świetle waszyngtońskiego ruchu. Jechali do motelu, gdzie Elaine miała się spotkać z agentami. Jay dzwonił do nich na komórki. Żadne nie odpowiadało. Zostawił wiadomość Elaine i natychmiast wystukał numer do Bobby Johnson.

Znów brak odpowiedzi. Zostawił kolejną wiadomość.

Zmartwieni jechali w milczeniu. Ruch był gęsty, a nieustanny szum silników i opon irytujący. Wreszcie zadzwonił telefon Jaya. Raina rzuciła mu pełne nadziei spojrzenie. To Elaine.

- Gdzie jesteś? - zapytał Jay. - Co z tobą?!

- Potłuczona, ale żyję. Musisz mi pomóc. Mam na muszce Palmera. Gwarantuję ci, że to Moses. - Nie czekała na odpowiedź. - Nie potrafię go nakłonić, żeby mi zdradził, gdzie jest transport. A on wie! Zaparkowałam przy wjeździe na cmentarz kongresowy.

- Uważaj - ostrzegł Jay. - Palmer jest przebieglejszy od kojota. Będziemy za dziesięć minut. - Powiedział Rainie, jak jechać, potem zwrócił się do Elaine: - Włączam głośne mówienie, żeby Raina mogła słuchać. Mów po kolei, co się stało. Potem my powiemy tobie.

Zostań na linii, aż przyjedziemy. - Odsunął telefon od ucha.

Elaine odchrząknęła i się zawahała. Potem zaczęła szybko zdawać relację. Głos miała przepełniony gniewem i smutkiem. Kiedy słuchali tych przerażających wieści, Raina mocno ścisnęła dłoń Jaya. W tle słychać było Palmera, który co jakiś czas mamrotał słowa sprzeciwu.

Raport był obrazowy, obejmował zdarzenia od chwili znalezienia zwłok Elijaha do brutalnego przesłuchania, któremu Palmer poddał ją i Franka. Potem opowiedziała o egzekucji wykonanej na Franku.

- Palmer zadzwonił do Litchfielda - ciągnęła. - I tak dowiedział się, gdzie jest transport.

Jay opanował gniew i zapytał spokojnie:

- Jak twój palec?

- Opatrzony. Wzięłam vicodin. Ale rana boli jak cholera.

- Weź więcej vicodinu. Właśnie wyjechaliśmy z mieszkania Martina Ghrandittiego. -

Opisał taśmy nadzoru i sfilmowaną rozmowę, którą wysłał, żeby odczytano ją z ruchu warg.

Kiedy Raina skręciła na północ, w Siedemnastą, powiedział: - Jesteśmy prawie na miejscu, Elaine. Jeszcze dwie minuty.

Gdy opisywał ucieczkę z apartamentu, Raina dodała gazu. Jechali wzdłuż starego, ceglanego muru

cmentarza. Potem skręcili na północny wschód w Potomac Avenue, gdzie kończył się mur i zaczynał staromodny parkan z kutego żelaza. Tereny cmentarne rozpościerały się daleko. Z czarnego morza sterczały kamienie nagrobne z XIX i XX wieku, jak szare, potrzaskane maszty oblane światłem księżyca.

- Jest jaguar - zawołała z ulgą Raina. - Siedzą w środku.

- Widzimy cię - powiedział do Elaine.

Raina zatrzymała się na podjeździe obok drugiego wozu. Brama z kutego żelaza osadzona w ceglanych kolumnach blokowała drogę na cmentarz. Zanim samochód całkiem zahamował, Jay szybko otworzył drzwi i schował browninga do kabury naramiennej. Szedł

długimi, gniewnymi krokami. Jednym szarpnięciem otworzył drzwi jaguara po stronie fotela dla pasażera.

Palmer spojrzał na niego z uśmiechem.

- Miło cię widzieć, Jay. Muszę przyznać, że wątpiłem, czy jeszcze kiedykolwiek będę miał tę przyjemność.

Jay wyciągnął starego szpiega za klapy i rzucił go na ziemię pod drzewem.

- Ty śmieciu. Wstawaj! - Wyciągnął browninga i wycelował.

Palmer oparł się na łokciach i pozornie niedbale zaczął się podnosić. Jego śnieżne włosy znajdowały się w cieniu. Obwisła twarz była ciemna, jakby naszkicowana. Nie objawiał

żadnych znaków skruchy.

- Bądź rozsądny. Przebacz i zapomnij. Pamiętaj, że wygraliśmy zimną wojnę. Ja po prostu dorobiłem sobie kilka szekli po drodze.

- Zgadza się. Porozmawiajmy o twojej pierwszej mokrej robocie. O Trencie. Naszym koledze i przyjacielu. I pogadajmy o ostatniej - o Franku. Dobrym człowieku, który cię szanował i dobrze służył krajowi. I o wszystkich pozostałych.

- Nieszczęśliwe przypadki, takie jak te, zdarzały się rzadko. Cieszę się, że mogę to powiedzieć. Niestety, były niezbędne.

- Niezbędne? Ty bezduszny draniu!

- Wręcz przeciwnie. - Palmer wstał i otrzepał spodnie. Nie licząc bladej skóry, siwych włosów i guzowatych palców, niewiele wskazywało, że jest stary. Ruchy miał sprężyste, twarz ożywioną.

Nawet nie spojrzał na Elaine i Rainę, które pilnowały go z pistoletami w dłoni.

Przyglądał się Jayowi.

- Jako Moses miałem etykę kapłana. Dbałem o swoją trzódkę, zbierałem dziesięcinę i chroniłem jednych przed drugimi. I nigdy nie ujawniałem swoich źródeł. Nie zapominaj, jak często Langley uznawało mnie za wyjątkowo pożytecznego. Rzeczywiście zawsze traktowałem Langley preferencyjnie. Chciałbym zapalić ostatniego papierosa, Jay. - Rozłożył

puste ręce. - Widzisz, żadnych sztuczek. Papierosy i zapalniczkę mam w kieszeni. Pozwolisz?

Jay oschle skinął głową.

- Dalej. Tylko powoli.

Palmer wyjął paczkę, potem zapalniczkę. Z westchnieniem wziął pall malla i rzucił paczkę na ziemię. Zapalniczka trzasnęła. Zaciągnął się.

- Rzuć zapalniczkę - rozkazał Jay. Wypadła spomiędzy palców Palmera.

Stali naprzeciwko siebie. Obaj mieli prawie po metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Jay był

krępy, z krótką, więzienną fryzurą, trzymał wycelowany pistolet. Palmer chudy, tyczkowaty, z rozwichrzoną białą czupryną, nonszalancko skrzyżowanymi ramionami unosił dłoń z papierosem, żeby zapalić.

- Nie jesteś żadnym kapłanem, Palmer. - Patrzył, jakby nie rozpoznawał tego człowieka.

- Jak mogłem pozwolić, żebyś robił ze mnie durnia przez tyle lat.

- Miłość jest ślepa. - Palmer uśmiechnął się szeroko, pokazując wielkie, białe zęby. - A ja od samego początku doskonale wiedziałem, co robię. Na pewno pamiętasz, kim był

Mojżesz. Założycielem Izraela. To nie przypadek, że także mistrzem szpiegostwa. „Odezwał

się znowu Pan do Mojżesza tymi słowami: Poślij ludzi, aby zbadali kraj Kanaan<sup>3</sup>”. Zatem Mojżesz wybrał dwunastu, po jednym z każdego plemienia i rozkazał im wejść do Ziemi Obiecanej z tajną misją zbierania wiadomości wywiadowczych o tym, czy Kananejczyków można podbić. To najwcześniejszy zapis o zleceniu wywiadowczym. Adekwatne; prawda?

Jay odparł z niesmakiem.

- Dziesięciu szpiegów powiedziało, że Kananejczycy są za silni, a dwaj pozostali, że ziemia mlekiem i miodem płynąca uczyniła tamtejszych mieszkańców tłustymi i leniwymi.

Mojżesz nie sprawdzał, który z jego szpiegów kłamie i nie wysłał kolejnych ludzi na dokładniejszy zwiad. Przyjął opinię krótkowzrocznej większości i podjął decyzję: Izraelici nie dokonali inwazji. Dlatego spędzili kolejne czterdzieści lat na pustyni... kara boska. Prawda jest taka, że z Mojżesza był

kiepski szpieg. - Wycelował browninga w czoło Palmera. - Ale ja dam ci szansę na odkupienie win. Mów, gdzie jest transport. Jesteś nam winien chociaż to.

Palmer uśmiechnął się zwycięsko.

- Właśnie zamierzam to zrobić. Elaine ma swoje zalety jako rozrywkowa dziewczyna, ale ja chciałem zobaczyć się z tobą.

Jay zmarszczył brwi.

- Nie mówisz poważnie.

- Ależ tak, mój chłopcze. - Przez chwilę Palmer niemal jaśniał prawdziwą szczerością. -

I powiem wszystko, co wiem, żeby to udowodnić. Ghranditti jest właścicielem międzynarodowej spółki transportowej Cross-Global, chociaż wątpię, czy uda ci się to udokumentować. Ma doki na całym świecie, włączając w to Baltimore. I tam właśnie powinieneś się udać. Szukaj „Mango Blossom”... delikatne imię jak dla takiej ciężkiej laski.

To kontenerowiec, bardzo duży i nowoczesny. Według słów Larry’ego jest już prawie załadowany. Transakcja zostanie zawarta o dziesiątej, a potem holowniki odciągną statek do zatoki Chesapeake. Będziecie musieli się pospieszyć. Nie chcecie się przecież spóźnić na uroczystość.

Jay patrzył zdumiony. Spodziewał się, że stary drań będzie sprawiał trudności, że nie puści pary z ust.

- Dobra, Palmer. Jedziesz z nami. - Machnął pistoletem.

- Nawet nie podziękuje. No, cóż. Powiedziałaś mi kiedyś, że są trzy rodzaje korupcji, Jay. Nie masz racji, to są kompensacje. O ile pamiętam, pierwsze dwa to ambicja i miłość własna. Trzeci dotyczy mnie: pieniądze. Osobiście stwierdziłem, że są jedynym skutecznym 3 Biblia Tysiąclecia, Poznań 2003, Księga Liczb 13,1-2 (przyp. red.).

środkiem na rozczarowanie. Oto masz odpowiedź: nie. Będziesz musiał sprostać tej przygodzie sam. Nigdy mnie ten Martin Ghranditti specjalnie nie obchodził ani Larry Litchfield. Nigdy nie dbałem szczególnie o nikogo, a z pewnością nie tak, żeby skończyć od kuli jakiegoś głupca, albo, nie daj Boże, w celi w Allenwood. Może ci się to nie spodobać, ale to gra szpiegowska. Naprawdę chciałem cię zobaczyć. Ty potrafisz zająć człowiekowi za skórę.

Zanim Jay zdołał odpowiedzieć, Palmer chytrze się uśmiechnął i zacisnął szczęki.

Jay skoczył do przodu.

- Palmer, nie!

Raina i Elaine natychmiast znalazły się przy Jayu. Patrzyli na Palmera.

- Za późno, synu. - Palmer potknął się i znów zmusił do przyjęcia wyprostowanej pozycji. Chciał zachować godność. Nadal trzymał w palcach papierosa.

- Nauczyłem cię wszystkiego. Tylko dzięki mnie zaszedłeś tak daleko. Beze mnie byłbyś nikim. Nigdy nie dostałem tego, na co zasługiwałem. Ale patrzyłem, jak świat przypina medale do twojej piersi. To było niesmaczne.

- Co się stało? - zapytała Elaine.

Raina oddychała płytko.

- Przegryzł ampulkę z trucizną.

- Cyjanek. - Palmer znów się chytrze uśmiechnął. - W zębie trzonowym. Duża dawka.

Nie znoszę emerytury. Włożyłem go tam kilka lat temu. Pamiętasz, Jay? To ja nauczyłem cię, że trzeba mieć plan awaryjny.

- Tak, wiele mnie nauczyłeś. - Jay popatrzył na broń, potem na Palmera.

- Ale to ja zawsze miałem dobry plan awaryjny.

Kolana ugięły się pod Palmerem. Papieros wypadł mu z palców. Stary upadł na bok i zarzęził. Klatka gwałtownie mu falowała. Płuca walczyły o oddech. Jay stał obok, próbując odgadnąć, co przeoczył. Jak mógł tak bardzo pomylić się w ocenie Palmera - i siebie samego.

Kiedy Palmer zaczął się jakby kurczyć, Jay sięgnął, żeby sprawdzić puls.

- Nie żyje. - Podniósł wzrok na obie kobiety.

Wziął zapalniczkę Palmera, wstał i położył im ręce na ramionach. Przycisnął je do siebie, a wzrokiem błędził po falistej równinie cmentarza. Potem popatrzył na skromne osiedle mieszkalne po drugiej stronie ulicy, gdzie wszędzie widać było ślady dzieci: huśtawki, rowery, foteliki dla maluchów widoczne przez szyby samochodów.

Raina dotknęła jego policzka.

- Przykro mi, Jay. Nie był tym, za kogo go brałeś.

- Ja też się pomyliłam - powiedziała łagodnie Elaine. - Bardzo mi przykro. Ale to był naprawdę niezwykły człowiek.

Jay się wyprostował.

- Tak. Ale teraz musimy ruszać. Zostawimy go tutaj. Chcesz jechać z nami, Elaine? -



Przyjrzał się jej z troską. - Możesz zostać. Jesteś ranna.

- Nie możecie mnie teraz wykluczyć. - Popatrzyła na Jaya ostro.

Skinął głową i zerknął na zegarek.

- Rozumiem. Ich będzie znacznie więcej, więc musimy obmyślić plan i zabrać ze sobą zapasy. Jedź za nami jaguarem.

**Baltimore, Maryland.**

Za portem w Baltimore rozpościerała się rzeka Pepesco. Jej wody były czarne jak atrament z falami chromowanymi światłem księżyca. W zatoczce długie nabrzeża. Cross-Global Sea Center wbijały się w połyskliwą taflę wody. Tego wieczoru na kotwicy stał tylko

„Mango Blossom”. I tylko Jerry Angelides ze swoimi zbrojnymi - ubranymi w ładne niebieskie uniformy Cross-Global - pełnili straż przy terminalu.

Z cygarem zaciśniętym między zębami Ghranditti przechadzał się w górze, wzdłuż relingu statku. Kadłub, obrzeżony jaskrawym błękitem i złotem, pomalowany był kremową bielą kwiecica mango, którego zapach uwielbiała pierwsza Marie. W środku, w kontenerach znajdowały się towary warte fortunę, w tym ładunek przeznaczony dla Majlis al-Sha'b. Obok, uszykowane jak wysoka, stalowa flotylla, od rufy po dziób stały inne kontenery. Patrząc na swoje królestwo, przeżywał rzadką chwilę przyjemności. Pewnego dnia świat dowie się o jego triumfie. To była jego spuścizna, która pozostanie na zawsze.

Odwrócił się na pięcie i spojrzął na molo. Do trapu szedł Laurence Litchfield, za nim kroczyła jakaś kobieta. Tworzyli dziwną parę. Litchfield był szczupły jak chart, kobieta niska i krągła. Kiedy weszli na rampę, Ghranditti głośno zaklął. Rozpoznał Bobbye Johnson.

W oddali zagwizdał holownik. Ghranditti wyjął cygaro z ust i popatrzył na Litchfielda.

- Co to ma znaczyć?

- Sam chciałbym wiedzieć - burknął zgrzyliwie Litchfield. - Statek załadowany? -

Razem z Bobbye Johnson weszli na pokład.

- Właśnie zakończono załadunek. Za godzinę zjawi się tu pilot i holowniki. Masz DVD?

- Oczywiście. Ale najpierw musisz rozwiązać nasz problem.

- Nasz?

- Jej. - Litchfield skinął szorstko na dyrektor centrali.

Zamrugła.

- Naprawdę myślisz, że jesteś bezpieczny? Kiedy Majlis położą łapę na tak nowoczesnej technologii, zabiją cię jak wszystkich innych. Dziś wieczór jesteś ich przyjacielem. Jutro będziesz ofiarą.

Litchfield zignorował Bobbye.

- Musi zniknąć, kiedy statek wyjdzie w morze.

- Kamery zarejestrowały, jak mnie porwałś, sukinsynu. - Podniosła głowę. - Jeśli zniknę, Langley rzuci się na ciebie!

Litchfield zwrócił się do niej spokojnie:

- Porwałem? Wsiadłaś do samochodu z własnej woli.

Ghranditti palił i oceniał sytuację. Oficerowie na statku byli Amerykanami, załoga składała się w większości z Filipińczyków. Wszyscy cywile. Żaden nie miał broni; w przypadku ataku piratów zwiększało to szansę na przetrwanie, bo lepiej nie stawiać oporu.

Zatrzymał załogę na ten rejs, ponieważ „Blossom” musiał wyglądać jak inne statki, bez czegoś nadzwyczajnego, co przyciągnęłoby uwagę władz portowych.

Ale i tak znalazło się rozwiązanie.

- Owszem, mam kogoś. Z miłą chęcią ją sprzątnę.

\*

Jayowi pot spływał z czoła, kiedy wiosłował w ciemną noc do czubka doku Ghrandittiego. Płynął łodzią z plastikowym kadłubem wzmocnianym szkłem. Wyposażona była w mocny silnik dieslowski, ale teraz zależało im na zachowaniu ciszy. Więc wiosłował.

Po lewej wisiał nad nimi „Mango Blossom”, wielka machina dłuższa od trzech boisk do piłki nożnej. Licząc od linii wody, burta statku i nadbudówki wznosiły się na czternaście pięter aż do mostku i bocianiego gniazda.

Raina siedziała na dziobie łodzi z sig sauerem gotowym do strzału. Uniesiona twarz wyrażała czujność. Kiedy Jay złożył wiosła i pozwolił, żeby łódź sama popłynęła po cichu do przodu, schowała broń do kabury i chwyciła za linę. Kiedy zbliżali się do drewnianego polera, zarzuciła linę. Pociągnęła i holowała łódź, aż znalazła się w głębokim cieniu nabrzeża.

Tice popatrzył na Rainę. Oboje ubrani byli na czarno, od specjalnych spodni z mikrofazy i wodoodpornych kurtek poczynając, po plecaki wypełnione zapasami. Jak za dawnych dni przepłynęło między nimi ciepło. Muszą zatrzymać cargo Ghrandittiego.

Łódź kołysała się mocno, więc Raina przytrzymała się burty. Jay sięgnął ręką do góry.

Mięśnie protestowały, kiedy podciągał się na nabrzeże.

Wyciągnął broń, położył się na płask na deskach i przyjrzał dokładnie mężczyznom, którzy pełnili straż pod jaskrawo świecącymi reflektorami na wieżach. Jerry i Rink jak zwykle nosili sportowe kurtki, a pod spodem ukrywali broń. Inni ubrani byli w uniformy i trzymali uzi na wierzchu.

Jay poszedł wzdłuż trapu. Zszokowany zobaczył, jak Bobbye Johnson próbuje się wyrwać z chwytu Litchfielda, a potem z Martinem Ghrandittim i Larrym idzie w stronę sterówki.

Znów podszedł do brzegu i popatrzył na pytającą minę Rainy.

- Chodź. - Podał jej rękę.

Potrząsnęła głową, wstała i skoczyła. Łódź zachwiała się i uderzyła w pale nabrzeża.

Z pistoletami w dłoniach położyli się na brzuchach, żeby niepostrzeżenie zorientować się w sytuacji. Po prawej mieli budynek terminalu - trójkondygnacyjny magazyn otwarty na molo. Przez gigantyczne drzwi widać było ciemne wnętrze. Po prawej stał statek, a przy nim wznosiły się dwa żurawie towarowe jak kolosalne czworonożne pająki. Na żurawiach wyłączono światło, co potwierdzało, że załadunek został już zakończony. Za molo rozpościerał się parking, a jeszcze dalej stała podwójnej szerokości brama dla ciężarówek z budką pośrodku.

Szeptem opowiedział Rainie o Ghrandittim, Litchfieldzie i Bobbye Johnson.

- Jak ją oswobodzimy, wezwie strzelców.

- Jeśli nadal żyje.

Też o tym pomyślał. Sytuacja obracała się na gorsze.

- Ani śladu al-Hadiego? - zapytała.

- Jeszcze nie.

Nadal obserwowali. Strażnicy snuli się po molo, gawędzili, palili papierosy. Jay zadzwonił z komórki.

- Elaine, jesteśmy na miejscu. Gdzie ty?

- Przyjechałam jakiś czas temu. Teraz siedzę w samochodzie. W budce dla strażników znajduje się dwóch facetów, obaj mają uzi. Doskonale widzę statek, nabrzeże i magazyn.

Kompleks ogrodzony jest płotem: ciężka druciana siatka, zwinięta spirala drutu kolczastego na szczycie.

Raina dotknęła ramienia Jaya.

- Ghranditti wrócił.

- Nie rozłączaj się, Elaine.

Pałac cygaro, Ghranditti przechadzał się po pokładzie, jakby należał do niego nie tylko statek, ale cały świat. Tego wieczoru był imponującą postacią. Biła od niego pewność siebie.

Zatrzymał się, oparł o reling i pochylił, z uwagą obserwując limuzynę podjeżdżającą do trapu.

- Sukinsyn - mruknął Jay. Ale limuzyna dawała pewne nowe możliwości. - Elaine, mamy lepszy dostęp.

- Jay! Obiecałeś, że mnie nie zostawisz!

- Nie zostawię. - Z komórką przy uchu, tak żeby Elaine słyszała, zwrócił się do Rainy: -

Jak tylko zdarzy się coś, co odciągnie jego uwagę, biegniemy do magazynu i czekamy na dwóch strażników. Obezwładnimy ich i zabierzemy uniformy. - Potem do Elaine: - To bezpieczniejszy sposób, żeby osiągnąć cel. Mają Bobbye. Próbujemy jej pomóc.

\*

Siedząc w wytwornej limuzynie, Marie Ghranditti patrzyła wprost przed siebie. Źle się czuła.

- Nie martw się, mamusiu. - Aaron poklepał ją po ręce, jakby to on był dorosłym, a ona dzieckiem. - Tatuś obiecał, że będzie tu na nas czekał.

Marie pokiwała w milczeniu głową. Poczowała się niedobrze, gdy dostała zastrzyk. Nie miała pojęcia, co to za nowe lekarstwo. Spojrzała na nianię, Bebe, młodą i śliczną, która tuliła śpiącego na jej kolanach Kristopha. Mała Mariette drzemała, trzymając rączkę na ramieniu Bebe. Marie chciała powiedzieć Bebe, że sama zajmie się dziećmi, ale dopiero za jakiś czas.

Dopiero jak obmyśli sposób, żeby je zabrać Martinowi.

Odwracając głowę, zobaczyła przez okno Jerry'ego. Otworzył drzwi i wyciągnął rękę.

Chwyła ją i wyszła z wozu. Wokół zaczęło się zamieszanie. Otwarto bagażnik. Wyjęto walizki. I kolejne, z przedniego siedzenia. Dzieci obudziły się i zaczęły ziewać.

Z trapu rozległo się wołanie:

- Marie! Kochanie, nareszcie jesteś! - To Martin.

Wyprostowała się. Nie może denerwować Martina. Rozciągnęła suche usta w uśmiechu.

Jerry podtrzymał ją pod ramię. Przeszli dookoła wozu.

\*

Opanowując emocje, Jay przyglądał się Marie Ghranditti. Patrzył na jej sztywne ruchy.

Opadła na tylny błotnik, kiedy Jerry ją puścił, żeby pomóc wyjmować walizki.

Pod innymi względami scena była wzruszająca. Ghranditti, ledwie zszedł z trapu, ukucnął i objął dzieci, obcałowując małe policzki. Wziął Kristopha i Mariette za ręce i poprowadził po trapie na pokład. Aaron z entuzjazmem zaczął skakać za nimi. Jerry wrócił do Marie. Oparła się ciężko o jego

ramię, a on poprowadził ją za mężem i dziećmi. Z tyłu szedł

szofer, popychając wózek wyładowany walizkami. Pochód zamykała młoda kobieta, prawdopodobnie pracownica Ghrandittiego.

- Cóż za szczęśliwa parada - wyszeptała gniewnie Raina.

Żołdacy handlarza bronią zebrali się w luźnym kręgu zauroczeni piękną rodziną pracodawcy. Jay skinął głową.

- Teraz.

Nisko pochyleni przebiegli kawałek otwartej przestrzeni dzielącej ich od magazynu.

Oświetlenie z lamp za drzwiami lekko pulsowało. Tice wbiegł za Rainą i sprawdził tyły.

- Jay! - W głosie Rainy brzmiało ostrzeżenie.

Odwrócił się błyskawicznie. Stała bez ruchu otoczona z trzech stron wysokimi stosami skrzyń. Alec wyszedł szybko spomiędzy kolumn, z pistoletem w ręku. Szeroką twarz miał

spokojną, patrzył przenikliwie.

- Witaj, Glindo. - Zdawało się, że ogromem swojego ciała wypełnia magazyn. - Znów się widzimy. Niestety, zostałem tutaj, żeby obserwować Ghrandittiego. Romantyczne spotkania po latach mnie nie interesują.

Raina, jakby była z gumy, obróciła się na pięcie prawej stopy i mocno uderzyła lewą nogą do tyłu. Kopnięciem yoko kekomi trafiła ogromnego agenta w splot słoneczny.

Jay już był obok Rainy. Kiedy Alec zachwiał się, Tice wyrwał mu broń. Ale w bok wbiła mu się lufa innego pistoletu.

- Jay Tice. Nareszcie. Ty i Raina narobiliście nam dużo kłopotów. Lepiej to zabiorę. -

Volker Rehwaldt wyszarpnął Jayowi browninga, a Alec zabrał swój pistolet i chwycił sig sauera Rainy.

Ledwie oddychając, Raina patrzyła na Volkera. Jego ospowata twarz była surowa.

- Na statek - zakomenderował. - Jazda.

Jay się rozejrzał.

- Daj spokój - parsknął Alec. - Tym razem ci się nie uda. Ruszaj się!

Jay i Raina wymienili spojrzenia, potem wyszli powoli na jasno oświetloną przestrzeń z dwoma

swoimi strażnikami za plecami. Rodzina Ghrandittiego znikła już na pokładzie, a limuzyna wracała do bramy terminalu.

- Mamy ich! - ryknął Alec do mężczyzn na nabrzeżu. - Do cholery, wreszcie ich dostaliśmy!

\*

Jaguar zaparkowany był przy krawężniku, który biegł łukiem w stronę terminalu.

Zbliżająca się limuzyna na kilka sekund przesłoniła widok. Kiedy Elaine znów mogła zobaczyć, co się tam dzieje, pulsujący ból w palcu zniknął. Zaniepokojona pochyliła się do przodu.

Jay i Raina szli w stronę kontenerowca poganiani przez dwóch mężczyzn z pistoletami.

Rozpoznała ich - to oni biegli na czele zgrai na rybackim nabrzeżu. Musiała coś szybko zrobić.

Oceniła odległość od limuzyny, wyłączyła reflektory. Uruchomiła silnik, jednocześnie otwierając szybę w dachu. Do środka napłynęło wilgotne powietrze.

Zachowując spokój, patrzyła, jak rozsuwają się wrota. Będzie miała tylko kilka sekund, żeby się przez nie prześlizgnąć, zanim się zamkną. Patrzyła, jak reflektory limuzyny robią się coraz większe. Strażnicy w budce też obserwowali samochód. Kiedy elegancki wóz wjechał w światło bramy, Elaine wrzuciła bieg i nacisnęła gaz.

Jaguar wystartował z piskiem opon. Ozdobne krzaki przy wjeździe przemknęły obok okien. Wpiła się w kierownicę i okrążyła wyjeżdżający wóz. Metal zazgrzytał, kiedy bokiem zawadziła o limuzynę. Pojechała dalej. Strażnicy wyskoczyli z budki o ułamek sekundy za późno. Otarła się o stalowy słupek bramy. Chybcząc się, jaguar przemknął przez terminal, pędząc po chodniku w stronę drewnianego pomostu.

# 51.

Mostek na szczycie nadbudówek „Mango Blossom” tętnił życiem. Przez krótkofalówki dochodziły trzeszczące głosy, oficerowie wyznaczali kurs statku, sprawdzali mapy morskie i pogodowe.

Martin Ghranditti wszedł pierwszy, za nim podążał Faisal al-Hadi w tanich okularach i białym mundurze stewarda. Niósł dwa kieliszki martini na srebrnej tacy. Z śródziemnomorską cerą i gładkimi, czarnymi włosami wyglądał, jakby na morzu służył od lat. Ghranditti ukrył

zdenerwowanie. Al-Hadi zażądał, żeby przy transakcji był obecny Laurence Litchfield jako gwarancja, że nie będzie żadnych oszustw.

Ghranditti uklonił się kapitanowi, potem Litchfieldowi, który czekał sam we wnęce z rękami założonymi z tyłu, najwyraźniej podziwiając otoczenie. Na półce obok niego stał

laptop.

- Pomyślałem, że może zechcesz się napić, zanim pójdziesz. - Z nutką podniecenia w głosie Ghranditti mówił do Litchfielda, tak żeby usłyszała go załoga i pilot, potem zniknął we wnęce z al-Hadim.

Litchfield zmierzył „stewarda” beznamiętnym wzrokiem od stóp do głów.

- Wszystko przygotowane do przeglądu. - Odsunął się o krok.

Al-Hadi odstawił tacę.

- Ma pan też dysk dekodujący?

- Przy sobie.

Al-Hadi stukał w klawiaturę, a handlarz bronią i funkcjonariusz CIA popijali i patrzyli, jak na ekranie pojawiają się informacje i programy integrujące dane. W końcu al-Hadi wyjął

DVD i się odsunął. Bez słowa wystukał w komórce numery, dając znak, że się zgadza.

Ghranditti i Litchfield też wzięli do rąk telefony.

W ciągu kilku minut al-Hadi przetransferował sześć milionów dolarów na konto Ghrandittiego, a ten przesłał połowę sumy na konto Litchfielda. Kiedy Larry dostał

potwierdzenie, że pieniądze nadeszły, wręczył al-Hadiemu DVD z programem dekodującym.

Prosty gest zakończył transakcję.

Ghranditti poczuł przyływ dumy. Nigdy nie czuł się tak świeżo.



- Właśnie stworzyliśmy historię! - Stuknął brzeżkiem kieliszka z martini o kieliszek Litchfielda.

Szpieg zaśmiał się głośno.

- Za lepszą przyszłość. Wypili i się uśmiechnęli.

Al-Hadi zignorował toasty, wsunął ForeTell i DVD z programem dekodującym pod koszulę, podniósł na koniuszkach palców srebrną tacę i wyszedł. Plecy w wykrochmalonym mundurze trzymał prosto, głowę podniósł wysoko w poczuciu triumfu i pewności siebie.

\*

Zwabieni słowami Aleca St. Ann strażnicy na molo uśmiechnęli się i zaczęli radośnie krzyczeć. Jak myśliwi polujący na grubego zwierza zgromadzili się wokół Jaya i Rainy.

- Złapałeś ich! - Jeden z mężczyzn poklepał Aleca po plecach.

- Cholera, już najwyższy czas - dodał drugi.

Alec i Volker w milczeniu przyjmowali pochwały, a Jay kątem oka obserwował wejście do kompleksu. Raina lekko przekręciła głowę w tamtą stronę.

- Przygotuj się na bieg - szepnęła.

- Zamknąć się! - Ze szczytu trapu zahuczał głos Jerry'ego Angelidesa. - Wy oboje, stulcie gęby, do cholery! - Spod kurtki wyciągnął kolta i zbiegł z trapu. Nie spuszczał

kamiennego wzroku z Jaya.

Rink krzyknął.

- Wiedziałem, że ich dopadniesz, Jerry!

Angelides pokiwał głową.

- Ja też wiedziałem, Rink. To była tylko kwestia czasu. - Stał na molo. Jego szczeciniasta czupryna lśniła w sztucznym świetle. Podeszedł do Jaya.

- Ani słowa więcej. - Uniósł kolta, tak że lufa znalazła się o kilka centymetrów od ust Jaya.

- Volker! - Raina odwróciła się do niemieckiego szpiega. - Chyba nie pozwolisz...

- Cisza! - rozkazał Niemiec. - To nie twój interes.

Jay patrzył w śmiercionośną lufę i miał cholerną nadzieję, że to nie jest osobista broń Jerry'ego.

Jay myślał szybko. Pozwolił, żeby było po nim widać strach i oburzenie.

- To nie jest kolt Billy'ego, co? - zapytał. - Niedobrze, że chcesz mnie sprzątnąć, ale jeszcze gorzej, że zamierzasz wykonać egzekucję bronią tego biednego dzieciaka!

- Dobrze wytrenowałem Billy'ego, tylko wy go złapaliście na swoje sztuczki - sapnął

Jerry. Wsadził kolta z powrotem do kabury i wyjął innego zza paska. - Tak, to Billy powinien cię położyć!

- Uwaga! - Wrzasnął ktoś.

Ryk mknącego samochodu rozdarł ciszę. Głowy odwróciły się jak na komendę. Za skąpaną w świetle reflektorów przednią szybą widać było małą twarz Elaine, złą i spiętą. Wóz jechał prosto na mężczyzn.

Alec i Volker wystrzelili. Kule huknęły w samochód. Obaj zaczęli cofać się biegiem, od czasu do czasu strzelając. Reszta się rozproszyła. Chaotyczna strzelanina rozdarła spokój.

Jerry głośno zaklął.

- Muszę cię szybko kropnąć, facet. - Nacisnął spust kolta. Ale rewolwer nie strzelił. Nie było dźwięku, kuli. Nic.

Silnik ryczał coraz głośniej. Nabrzeże się trzęsło. Jay opanował chęć, żeby rzucić się na Jerry'ego.

- Co ty, do cholery, zrobiłeś z koltem Billy'ego?! - wrzasnął Jerry, rzucił broń i sięgnął po własną. Samochód był już prawie przy nich.

Molo zadygotało, Jay rąbnął ręką w klatkę zabójcy i odrzucił go w tył. Raina pobiegła sprintem do trapu, a jaguar wyrzucił w powietrze fontannę pyłu i żwiru, osłaniając ich przed zabójcami. Wóz pojechał dalej, w stronę końca molo.

Jerry upadł twardo. Jay potknął się, ale chwycił kolta i ruszył pędem. Wbiegł po rampie i rzucił się na brzuch obok Rainy. Leżał przy niej otwarty plecak. Rozwinęła cienki, giętki lont.

Razem podnieśli wzrok na czas, żeby zobaczyć, jak jaguar leci w powietrzu na końcu nabrzeża, jak czerwona strzała. Zapanowała cisza, strażnicy patrzyli w ślad za wozem. Potem rozległ się ogromny plusk. Czarna woda rzeki wystrzeliła jak gejzer. Światło księżyca sprawiło, że pofalowana powierzchnia przybrała kolor rtęci. Nie było śladu po Elaine. Jay zmówił w duszy krótką modlitwę.

\*

Ghranditti i Litchfield kończyli na mostku martini, kiedy rozpętała się strzelanina.

Wypadli z wnęki. Pierwszy oficer, który pracował przy stanowisku nawigacyjnym, odwrócił się i zmarł. Dwóch przerażonych młodszych oficerów błyskawicznie wstało. Kapitan sięgnął

po telefon satelitarny.

- Nie wzywaj pan straży przybrzeżnej! - nakazał Ghranditti. - Moi ludzie się tym zajmą!

Kapitan skinął głową, a Ghranditti i Litchfield pospieszyli na skrzydło od strony nabrzeża. Pod nimi ludzie biegli w stronę trapu. Ghranditti patrzył szeroko otwartymi oczami.

- Tam jest Tice i Manhardt! Co oni, u diabła, robią?

\*

Jay i Raina wymienili zaniepokojone spojrzenia. Raina wróciła do wpychania lontu w szczelinę między platformą a obrotnicą. Lont miał rdzeń z materiału wybuchowego, a obrotnica wysuwała rampę z nabrzeża na statek. Gdyby została przecięta, stalowy trap odpadłby, izolując ich na statku, aż do chwili, kiedy Jerry znalazłby inny sposób, żeby dostać się na pokład.

Kiedy Jay przymocowywał spłonkę do końca lontu, grad pocisków z uzi zalał pokład wokół nich. Wreszcie ogień ustał. Jay usłyszał trzeszczenie rampy. Szybko się wychylił.

Alec z determinacją na grubo ciosanej twarzy był już w połowie drogi. Za nim szybkim krokiem podążał Volker z grupą strażników. Jay strzelił i znów padł na płask. Wokół

zadudniły kule, wyrzucając w powietrze poszarpane kawałki stali.

Jay ustawił mechanizm zegarowy spłonki, a Raina odcięła część lontu. Kula odbiła się rykoszetem od słupka i wbiła o kilka centymetrów od czaszki Rainy. Ciągnąc za sobą plecaki, odczołgali się do tyłu. Grzmiący odgłos stóp na trapie nagle ucichł.

Kucając za osłoną z kontenerów, Jay i Raina założyli plecaki i czekali. Sekundy wlokły się jak godziny.

Nagle rozległa się głośnie eksplozja. Mewy wrzasnęły i odleciały z relingu. Dał się słyszeć straszny łomot, kiedy trap opadł i rąbnął o burtę. Statek się zatrzęsł. Ludzie zaczęli krzyczeć. Słysząc było donośny chlupot.

Jay i Raina wyjrzeni. Smród roztopionej stali był trudny do wytrzymania. Klębił się brązowy dym. Uśmiechając się ponuro, wstali i pobiegli.

\*

Na zewnętrznym pokładzie obserwacyjnym, wysoko nad miejscem akcji stał Litchfield.

Wściekły odszedł od relingu. Alec St. Ann i Volker wpadli do wody razem z dwoma ochroniarzami Ghrandittiego, a Tice i Manhardt przedostali się na statek. Co gorsza, Tice był

uzbrojony. Teraz Ghranditti, al-Hadi i on sam będą musieli go powstrzymać.

- Wezwij al-Hadiego. Powiedz, że potrzebuję jego pomocy! - Litchfield szedł pierwszy; rozsunął szklane drzwi i wbiegł na mostek.

Słyszał, jak za nim Ghranditti zwraca się do kapitana:

- Rampa spadła. Na pokład dostało się dwoje terrorystów. Moi ludzie uporają się z nimi, ale muszą najpierw wejść na statek. Niech pan szybko wymyśli jakiś sposób.

Litchfield wyciągnął browninga, wskoczył do windy i nacisnął guzik. Zjeżdżał, przeklinając. Przeciągnął się i odetchnął, próbując zmniejszyć zdenerwowanie. Chwytał

browninga oburącz i schował się za ścianą przy drzwiach. Kiedy się otworzyły, wyszedł na pokładówkę.

Obracając się z pistoletem w obie strony, ocenił sytuację. Zwoje liny leżały w stosach.

Obok klatki schodowej znajdował się ładnie poukładany sprzęt. W pomieszczeniu słychać było pogłos. Cuchnęło solą i metalem.

Znów ostrożnie okręcił się wokół osi, obserwował. Ale kiedy w końcu pobiegł wokół

windy, w stronę drzwi, zimna stal wbiła mu się w kark.

- To koniec, Larry.

- Jay! - Tego głosu nie chciał już nigdy więcej usłyszeć.

Jaguar opadał w chłodnej wodzie. Ciężka cisza otulała wszystko jak całun pogrzebowy.

Elaine sięgnęła nad głowę i chwyciła brzegi otwartego okna w dachu. Podciągnęła się, celując w błyszczącą nad nią księżycową poświatę. Płynęła w górę, machając ramionami. Zwalczała pokusę, żeby nabrać powietrza. Wreszcie wpłynęła w srebrzyste światło rzeki, ale powierzchnia jakby się od niej oddalała.

Uderzyła mocniej ramionami. Wystrzeliła nad linię wody i rżąc, zaczerpnęła tchu.

Zaczęła płynąć, głęboko oddychając. Rozglądała się na boki, aż zauważyła łódź w miejscu, w którym Jay ją zostawił. Podpłynęła i wspięła się na burtę. Leżała na dnie w dziwnym stanie przytłumionej ostrożności - do chwili, gdy na deskach nad głową usłyszała kroki.

Ze ściśniętym gardłem stanęła na kolanach i zaczęła wiosłować rękami. Łódź powoli wpłynęła pod molo i stała się niewidoczna z góry. Elaine opanowała nerwy i czekała.

Kiedy kroki zaczęły się oddalać, obejrzała zraniony palec. Pokryty był specjalnym, twardniejącym żelem antybiotycznym, na którym była warstwa lateksu - na szczęście bez dziur ani pęknięć. Odepchnęła od siebie ból, zdjęła mokre ubranie, otworzyła czekający na nią wodoodporny pakiet i włożyła na siebie czarny golf z mikrofazy, spodnie, skarpety i trampki.

Przypięła kaburę na pasku z tyłu, sprawdziła walthera i włożyła go do środka. Założyła plecak.

Opanowała nerwy, odwiązała linę i popłynęła do odległej burty „Mango Blossom”.

Kiedy się zbliżała, czuła, jak rzeka wibruje od silników statku pracujących na jałowym biegu.

Mocniej chwyciła wiosła i pociągnęła, żeby pokonać prąd. Na pokład mogła się dostać na dwa sposoby - wspiąć się po łańcuchu kotwicznym i wślizgnąć przez otwór w burcie albo - jeśli miała szczęście i kapitan rozpoczął przygotowania do przyjęcia łodzi pilota - na burcie znajdzie drabinę.

Podpłynęła do statku i spojrzała w górę. Biały kadłub był jak ściana, od drżącej linii wodnej do pokładu miał z sześć metrów wysokości. Z ulgą zobaczyła drabinę sznurową.

Podpłynęła do niej. Kiedy znów spojrzała w górę, wyrzuciła z siebie potok cichych przekleństw. Jej łódź stała niżej na wodzie niż łódź pilota, a to znaczyło, że odległość między nią a pierwszym szczeblem była za duża, żeby można pokonać ją skokiem. Nagle, w głowie rozbrzmiały jej słowa Jaya: „Wykorzystaj to, co masz”.

Przymocowała magnetyczny uchwyt, który miała z sobą, do stalowego kadłuba i przywiązała łańcuch kotwiczny do grumotu. Skrzyżowała wiosła nad dziobem i związała w miejscu, gdzie się przecinały. Popchnęła łódź tak, że napięła linę, oparła wiosła łopatkami o ławkę przy dziobie i przystawiła je do statku. Rozejrzała się, wspięła na wiosła, chwyciła drabinę i się podciągnęła. Na szczycie wyjęła pistolet. Część planu polegała na tym, że Jay i Raina mieli wysadzić w powietrze trap. Jak do

tej pory, plan działał - w zasięgu wzroku nie było ani jednego z opryszków Jerry'ego.

Otworzyła wrota i pobiegła wzdłuż górskiego grzbietu kontenerów na drugą stronę statku. Zatrzymała się tylko po to, żeby zajrzeć do trzech łodzi ratunkowych, które wyglądały jak małe kapsuły kosmiczne. Wszystkie stały puste.

Wyprostowała się i popatrzyła w kolejny stalowy jar między kontenerami. Po drugiej stronie jeden z wielopiętrowych żurawi, które ładowały statek, płonął od świateł, a jego klatka z windą jechała do góry. Elaine przyjrzała się oszklonej ścianie i aż zaschło jej w gardle.

Rozpoznała te twarze: to ludzie Ghrandittiego. Rzuciła się do ucieczki.

\*

Jay stał między szarymi grodziami. Zabrał Litchfieldowi pistolet, odsunął się i włożył

broń za pasek. Próbował odpędzić ten obraz, ale przez chwilę wyobraził sobie Kristopha, jak leży połamany i samotny na dnie szwajcarskiej przepaści. Ten łajdak, Litchfield, kazał

zamordować Kristopha. Mięśnie napięły się Jayowi. Ogarnęła go fala wściekłości.

- On jest mój! Mój! - Łomocąc nogami, Raina wybiegła z klatki schodowej. Kiedy się zbliżyła, usłyszał jej gniewny oddech.

Litchfield zeszywniał.

- Nie rozumiecie...

- No, jasne! - ryknął Jay.

Ale Raina była jak dziki kot. Jednym skokiem dopadła ofiarę. Jay opanował emocje i patrzył: włożyła pistolet do kabury i waliła Litchfieldem o stalową grodz.

- Ty pieprzony potworze! - Zaciśniętymi pięściami okładała Litchfielda po nerkach. -

Chcę widzieć twoją twarz, zanim cię wykończę. Odwrócić się. Zabiłeś, draniu, Kristopha!

Litchfield jęknął z bólu, gdy Raina roztrzaskała mu piętą kolano. Zachwiał się, odzyskał

równowagę i odpowiedział ciosem łokcia w żebra. Zarzęziła, ale w sekundę, między jej palcami zmaterializował się krótki, łatwy do ukrycia i śmiertelny nóż.

Litchfield zamarł w połowie ruchu. Patrzył na lśniące ostrze.

Jay krzyknął.

- Stój, Raina. Nie!

- Jeszcze nie skończyłam!

Ale kiedy na niego zerknęła, Jay zrozumiał, że część furii już z niej uleciała. Przyglądał się ze złością Litchfieldowi.

- Mów, gdzie Bobbye Johnson, Ghranditti i al-Hadi, albo pozwolę jej, żeby cię pokroiła.

Raina nagle zaczęła mówić łagodnym, prawie czułym głosem.

- Pomyśl o indyku na Święto Dziękczynienia, Larry. Skóra, mięso, kości. To jesteś ty.

Będę odcinać kawałek po kawałku. Ale tak, żebyś żył do końca. Cała przyjemność po mojej stronie.

Twarz Litchfielda wygładziła się; doświadczony agent przybrał obojętną minę.

Ignorując Rainę, zwrócił się do Jaya:

- Majlis al-Sha'b są twoimi wrogami, nie moimi. Śmierć Kristopha była tragiczna, ale nie do uniknięcia. Nie wiedziałem, że to wasz syn.

Raina uniosła głos.

- Myślisz, że to cię usprawiedliwia?

Jay patrzył uważnie na Litchfielda.

- Dowiedzieliśmy się o „tylnych drzwiach” w programie. To do tego potrzebowałeś Kristopha.

Przez chwilę Litchfield wydawał się zaskoczony.

- Powinienem się domyślić, że się dowiecie. Tego potrzebuje Ameryka. Najlepiej ujął to Sun-Tzu: „Jeśli znasz wroga i siebie, nie musisz obawiać się stu bitew”. Dzięki temu programowi dowiemy się o nich wszystkiego: kim są, co planują.

Jay zmusił się do mówienia rozsądnym tonem.

- Reszta transportu jest zbyt niebezpieczna. Musisz nam pomóc ich powstrzymać.

Litchfield wzruszył ramionami.

- W naszym biznesie podejmowanie ryzyka nie ma końca. Sam mnie tego uczyłeś, Jay. -

Zgorzknienie naznaczyło jego orle rysy twarzy. - Poza tym jesteś przeklętym, pieprzonym zdrajcą. Jak mogłeś nas sprzedać? Byłeś gigantem. Patrzyliśmy na ciebie, podnosząc wzrok.

Chcieliśmy być tacy jak ty. Ale teraz się nie liczysz, bo cię pokonałem!

Jay odczuł ból porażki. Destrukcyjne siły szpiegostwa zmieniają człowieka tak, że sam tego nie widzi, a potem nie może na to patrzeć. Jemu się to przytrafiło, ale nie sądził, że Palmer Westwood i Larry Litchfield upadną tak nisko. Teraz Litchfield był prawdziwym zdrajcą.

- Gdzie Bobbye, Ghranditti i al-Hadi? - zapytał ponownie.

Litchfield popatrzył na ostrze w ręku Rainy, potem skupił się na Jayu.

- Kapitan znalazł sposób, żeby ludzie Ghrandittiiego opanowali statek. Mądrze byś zrobił, gdybyś skoczył do rzeki i odpłynął stąd, Jay. Zwykle przyjmowałeś moje rady, zrób to i teraz. Zostaw operację w spokoju. Dla dobra Langley.

Jay tylko patrzył. Litchfield już niczego nie rozumiał.

- Gdzie oni są!?

Na ustach Litchfielda pojawił się triumfujący uśmiezek, w oczach błyszcząły iskry sukcesu.

- Na mostku - odparł po prostu i złożył ręce za plecami.

Jay zmarszczył brwi. Czuł, że coś jest nie tak. Przyjrzał się Litchfieldowi. Zobaczył, że ramiona Larry'ego zmieniają położenie. Wtedy zrozumiał...

Litchfield wyprostował rękę. W dłoni miał kieszonkowy pistolet. Celował w Jaya.

- Uważaj! - krzyknęła Raina i skoczyła.

Kiedy Litchfield pociągnął za spust, Jay zanurkował na stalowy pokład.

Raina przejechała głęboko wbitym nożem po gardle Litchfielda. Buchnęła krew.

Litchfield się zachwiał. Jego czarne brwi uniosły się w wyrazie zaskoczenia. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale chlusnęła z nich krew, a on opadł na grodzie. Nie żył.

Ból tętnił w głowie Jaya. Kula drasnęła go w skroń. Próbował otrząsnąć się z tego piekącego pulsowania. Gorąca krew wlewała mu się do ucha i skapywała na szyję.

W szoku obserwował, jak Raina rzuca się obok niego i otwiera plecak. Czarne loki miała zmierzwiłone, błękitne oczy wyglądały jak studnie pełne obaw.

Zebrał się.

- Ze mną wszystko w porządku. Widziałem, jak chowa ręce za plecami, ale on tak robił

tysiące razy. Głupio, że nie rozumiałem, co chce zrobić. W końcu chyba się czegoś ode mnie nauczył. Dobra robota.



- Wystraszyłeś mnie na śmierć. - Oglądając się przez ramię, odkręciła tubkę żelu antybiotykowego i wycisnęła trochę. - Masz bruzdę długą na kilometr. Będzie szczypało.

Potem zakrzepnie i zahamuje krwawienie, tak jak było z palcem Elaine.

Drzwi do pokładówki otworzyły się z hukiem i do środka wpadł powiew świeżego powietrza. Elaine wskoczyła zwinnie przez próg jak szalony cyklon obleczony w czerń.

Przykucnęła, rozglądając się bystro. Oburącz trzymała pistolet i sprawdzała teren.

- Udało ci się! - powiedział Jay.

Raina uśmiechnęła się do niej ciepło.

- Wiedziałam, że da radę.

Elaine zignorowała przywitanie.

- Ludzie Jerry'ego wchodzą na pokład! - ostrzegła.

Jay skinął głową

- Zaraz wstanę. Zamknij drzwi, Elaine. Idziemy na mostek.

- Beze mnie. - Okręciła się na pięcie i wypadła.

\*

Marie Ghranditti obudziła się przestraszona. W całym ciele czuła strach. Skupiła wzrok na świetle księżycy wpadającym przez bulaje prywatnej kabiny, potem spojrzała na dzieci i nianię śpiące w cieniu na kanapach i drugim łóżku.

Teraz sobie przypominała - Martin sprowadził ich tutaj, kiedy skończył interesy. Jak zwykle ułożył wszystko co do sekundy. Zastanawiała się, czy wszyscy mężczyźni, którzy lubują się w niebezpieczeństwach, są tacy sami, czy chcą panować nad innymi, bo nie potrafią opanować siebie. Wrócił do gry, prowadząc nowy interes, przez który stał się nerwowym.

Powiedziała sobie, że dziś wieczór musi szczególnie uważać.

Usiadła z trudem, niepewnie testując swoje ciało. Czuła się lepiej, była silniejsza.

Spuściła nogi z łóżka, a po chwili podeszła cicho do drzwi. Uchyliła je lekko. Słyszała tylko stłumione odgłosy statku. Pospiesznie przeszła korytarzem, odczytując numery. Wreszcie znalazła właściwe drzwi. Ktoś założył na nie kłódkę.

- Halo - wyszeptała. - Jest pani tam?

- Kto to? - odpowiedział głos.

- Marie Ghranditti. Jeśli panią uwolnię, pomoże mi pani zabrać dzieci od męża?

- Nigdy już nie będzie wam przeszkadzał.

Marie pobiegła po siekierę i gaśnicę, ale szklana gablota ze sprzętem przeciwpożarowym była zamknięta. Nie mogła pociągnąć za awaryjny uchwyt, bo uruchomiłaby alarm na statku. Rozejrzała się rozpaczliwie. Na tym pokładzie były kajuty oficerów, tuż pod mostkiem. Nasłuchiwała przy jednych drzwiach. Usłyszała chrapanie.

Przesunęła się do drugich i znów zaczęła nasłuchiwać. Otworzyła drzwi. W kabinie było ciemno i cicho. Modląc się, zapaliła światło. Koja była pusta.

Marie podbiegła do szafki, przejrzała ubrania, potem dwie półki z wyposażeniem alpinistycznym. Przerzuciła wszystko, buty do wspinaczki, liny i bloki, karabińczyki, czekany... zdenerwowana się zatrzymała. Potem spojrzała na młotek. Chwyciła go razem z ostro zakończonym karabińczykiem i wybiegła.

- Wróciłam - wyszeptała przez drzwi z kłódką. - Wylamię zamek.

- Pospiesz się.

Marie rozejrzała się nerwowo, włożyła karabińczyk w otwór i zaczęła walić młotkiem, aż kłódka trzasnęła. W kabinie stała kobieta. Mała, wściekła, z pięściami opartymi o biodra.

- Potrzebuję telefonu komórkowego - warknęła. - Szybko!

Marie zaprowadziła ją biegiem do prywatnej kabiny. Sama weszła do środka, przejrzała torebkę niani i wyniosła komórkę na korytarz. Kobieta chwyciła telefon, wystukała numer i zaczęła szybko mówić.

- Czy oddział uderzeniowy ma dyżur w Warrenton? - Słuchała. - Celem jest kontenerowiec „Mango Blossom”. - Opisała położenie i problem. - Trzeba natychmiast interweniować! - Zamknęła komórkę i popatrzyła z zadowoleniem na Marie. - Gdzie znalazłaś młotek i karabińczyk? Może jest tam jeszcze coś, co mi się przyda.

Znów pobiegły, ale kiedy mijaly kabinę, gdzie kobieta była uwięziona, usłyszały kocie stąpanie. Obejrzały się. Marie z przerażeniem zobaczyła M-4, a nad nim zimną twarz stewarda, który do nich celował.

Jay i Raina przycisnęli się plecami do grodzi. Stała o stopień pod nim. Oboje nie byli widoczni z korytarza. Kiedy podjechali windą z pokładu, Jay zdjął pokrywę z programatora i podłączył do przewodów urządzenie opóźniające. Raina włożyła do środka kawał lontu.

Opuścili pokład oficerski i podeszli po schodach, zajmując pozycję tuż pod poziomem mostka.

Na mostku panowała groźna cisza. Nie słyszeli ani jednego głosu, nawet krótkofalówek, tylko mechaniczne tykanie i trzaski urządzeń technicznych i nawigacyjnych. Niesamowicie - na mostku zawsze kręcili się ludzie. Ghranditti albo al-Hadi, albo obaj, kazali wszystkim się wynieść i pewnie czekali w pobliżu, coś planując. Za minutę miała nadjechać winda.

Raina przechyliła głowę, wsłuchując się w wymianę ognia na głównym pokładzie. Hałas tłumiły grodzie.

- Elaine próbuje ich tam zatrzymać - mówił ściszym głosem.

Raina spojrzała ze współczuciem.

- Ma szansę. Jest młoda, ale jeszcze trochę i będzie bardzo dobra.

Kiwnął głową.

- Mam nadzieję, że Elaine się uda. Jak tobie, Raino.

- Oboje popełniliśmy też wiele błędów. I zapłaciliśmy wysoką cenę.

- Wiem. Ale Elaine dopiero weszła w świat agenta polowego. Jeszcze nie zdążyła go poznać. - Patrzył na nią, rozkoszując się łagodnymi rysami twarzy, kształtem podbródka, blaskiem oczu. Jeśli nawet nie przeżyje, to ostatnie chwile spędzi z ukochaną kobietą.

- Ale teraz żadne z nas nie może się wycofać - przypomniiała.

- Masz coś przeciwko temu?

- Wcale nie. - Uśmiechnęła się, nie ukrywając miłości do Jaya. Rozległ się dzwonek -

przyjechała winda. Urok przysł. Jednym ruchem unieśli trzymane oburącz pistolety. Byli gotowi do akcji. Odetchnęli, odliczyli do czterech, wstrzymali oddechy i zrobili wydech, też na cztery.

Kiedy powtarzali to ćwiczenie, Jay poczuł, że serce bije mu wolniej, nerwy uspokajają się, chociaż zmysły bardziej się wyostrzyły. Usłyszał odgłos stóp biegnących z przeciwnego kierunku, z centrum nawigacyjnego w stronę windy. Obejrzał się - w dali mignęły kwadratowe, masywne plecy.

- Ghranditti - wyszeptał do Rainy.

Drzwi windy otworzyły się z brzękiem, a ze środka dobiegł odgłos donośnej eksplozji.

Ghranditti ryknął zaskoczony. Dym podrażnił nozdrza Jaya. Kolejna para nóg pobiegła w stronę windy, tym razem wprost z centrum nawigacyjnego. To musiał być al-Hadi. Minęło kilka sekund, zanim obaj przyjęli do wiadomości, że winda jest pusta.

Jay i Raina wybiegli z klatki schodowej, strzelając. Zasypali gradem kul pokład, grodzie i windę, ale specjalnie nie celowali do al-Hadiego i Ghrandittiego. Obaj rzucili się na podłogę.

Nawała ognia nie ustawała. Ghranditti zakrył głowę rękami, ale al-Hadi uniósł się na łokciach, żeby przyjąć pozycję strzelecką.

Jay kopnął M-4 muzułmanina i wycelował do niego z browninga, a Raina chwyciła beretę Ghrandittiego i wymierzyła z sig sauera.

Jay podniósł M-4.

- Gdzie oprogramowanie?

Czarne spojrzenie al-Hadiego było pełne nienawiści.

- *Khaibar, Khaibar, Ya Yahud, laish Muhammad Safayood !* - Khaibar, Khaibar, o Żydzi, armia Mahometa idzie po was!

Jay podniósł głowę, znów nasłuchując. Pod spodem od nowa rozgorzała strzelanina.

- Puste groźby, al-Hadi. Nie masz broni. Gdzie jest to cholerne oprogramowanie!?

Al-Hadi zdawał się myśleć o żądaniu Jaya.

- W porządku, pokażę. - Powoli, żeby było widać każdy jego ruch, terrorysta się podniósł. Młodzieniec z Berlina wyrósł na przystojnego mężczyznę z tym samym orlim nosem i oliwkową cerą, tylko teraz miał bardziej umięśnione ciało. Przeszywający wzrok zdradzał

inteligencję i przerażającą pewność siebie.

Ghranditti też wstał ostrożnie. Klatkę miał szeroką, srebrno-czarne włosy perfekcyjnie ułożone. Kwadratową twarz czerwoną z wściekłości. Gniewnie spoglądał na Jaya.

Al-Hadi pokazał dłonie. Kciukiem przyciskał do ich wnętrza jakieś elektryczne urządzenie.

- Bobbye Johnson obwiązana jest plastikiem. Jeśli zwolnię kciuk, umrze.

\*

Elaine zatrzymała się tam, gdzie miała dobry widok na żurawia. Z uczuciem mdłości zobaczyła, że klatka podniosła się do wysokości pokładu, a bom opuszcza rampę ze stalowej siatki łączącą żurawia

ze statkiem. W kilka minut ludzie Ghrandittiego znajdą się na pokładzie.

Szybko przejrzała zapasy w plecaku, nisko się przygarbiła i popędziła wzdłuż relingu.

Patrzyła na przemian na listy zawartości wiszące na kontenerach i na pokład. Szukała przykryw włączów, które umożliwiają załodze sprawdzanie zawartości chłodzonych pudeł

zmagazynowanych pod pokładem. Kiedy jej umysł w końcu zarejestrował słowo „propan”, odwróciła się na pięcie i odszukała kontener stojący z dala od innych. W środku znajdował się łatwopalny gaz.

Rękojeścią walthera rozbiła plomby i otworzyła drzwi. W środku, po sam sufit leżały kilkukilogramowe cylindry z propanem opakowane w materiał zabezpieczający. Ostrożnie wyjęła jeden z nich, postawiła na pokładzie i pobiegła dalej. Wreszcie zauważyła włącz do chłodni. Otworzyła go, przelazła na bok i upadła obok następnego. Ten drugi też otworzyła.

- Tam jest Cunningham!

Podniosła wzrok. W oddali biegli ku niej mężczyźni w uniformach strażników.

Pośrodku grupy znajdował się Jerry. Powiewały poły jego rozpiętej kurtki sportowej. Kiedy unieśli broń. Elaine rzuciła się na brzuch. Kule uderzały wokół niej w stalowy pokład.

Przeturlała się, wyjęła z plecaka granat rozbłyskowo-hukowy, wyrwała zawleczkę i rzuciła go kilkanaście metrów za otwarte włazy, dokładnie w miejsce, które sobie upatrzyła.

Wycofując się szybkim zygzakiem, znikła z pola widzenia w stalowej szczelinie.

Powietrzem wstrząsnął głośny huk. Gęsty dym koloru ochry zakłębił się wokół jej kryjówek.

Wstrzymała oddech i rzuciła się w dym, biegnąc w stronę pokładówki.

- To tylko bomba dymna! - wrzasnął ktoś.

Prześladowcy podjęli pościg. Chwyciła cylinder z propanem i rzuciła się do przodu, zrywając materiał izolujący. Kiedy była w bezpiecznej odległości od kontenera z resztą propanu, zwolniła i spojrzała w tył. Dym przerzedził się i poszarzał.

Wybiegło z niego czterech mężczyzn. Dwóch znikło z pola widzenia, bo wpadli do włączów, szeroko otwierając ze zdumienia oczy. Rozbrzmiały gniewne przekleństwa. Pojawili się kolejni mężczyźni. Zwolnili, starannie sprawdzali pokład. Elaine uśmiechnęła się do siebie.

- Dalej! - rozkazał Jerry. - Musimy ją dostać. Tam jest!

Elaine postawiła butlę z propanem w cieniu kontenera i pobiegła sprintem. Kiedy mężczyźni zaczęli biec, wślizgnęła się w kolejny stalowy kanion i wyjrzała za róg. Zbliżali się. Liczyła oddechy, żeby się uspokoić. Jerry, przysadzisty i pełen determinacji, z oczami przepelnionymi złością biegł na

przedzie. Kiedy był prawie przy cylindrze i widziała już błyszczący pot na jego twarzy, nacisnęła spust.

Propan wybuchł jak ogniowa burza, pochłaniając Jerry'ego Angelidesa. Rękaw sportowej kurtki płonął jak pochodnia, dłoń zaciśnięta była w pięść. Ludzie zaczęli wrzeszczeć. Pokład zadrżał. Reling stopniał i obwisł.

Elaine poważnie pokiwała głową. „Rozproszyc. Zdemoralizować. Odeprzeć”. Obok przetoczyła się fala gorąca. Elaine wstała i pobiegła dalej. Niektórzy przeżyją i rzucą się za nią w pościg.

\*

W pokładówce na poziomie mostka Jay i Raina szli za al-Hadim i Ghrandittim korytarzem. Nagle z dołu doleciał ich hałaśliwy wybuch. Raina się skrzywiła.

- To Elaine - powiedziała, poruszając tylko ustami.

Jay zmarszczył brwi i skinął głową. Weszli na mostek z długim szeregiem okien wychodzących na rozświetlony nocą port. Żarzyły się dwa ekrany radarów. Dane płynęły przez monitory. Bobbye Johnson siedziała unieruchomiona - przywiązana taśmą izolacyjną do kapitańskiego krzesła z ładunkami plastiku na brzuchu. Widać było detonator. Usta też miała zaklejone taśmą, tylko wzrokiem mogła piorunować al-Hadiego i Ghrandittiego.

Al-Hadi stanął przy Bobbye. Wygiął usta w uśmiechu. Wolną ręką rozpiął koszulę, potem czarną kamizelkę z kevlaru. Pod spodem miał czarny T-shirt z dwiema kieszeniami z przodu. W każdej było DVD.

- Jak obiecałem... oto wasz wspaniały program ForeTell. - Al-Hadi zapiął marynarkę i koszulę.

Ghranditti przeszedł przez pomieszczenie i odsunął kotarę, która zasłaniała małą wnękę.

Marie Ghranditti przywiązana była do krzesła biurowego, platynowe włosy opadały jej na ramiona. Zielone oczy otworzyła szeroko ze strachu, patrząc na męża.

- Marie, kochanie, wybacz, ale musiałem zadbać o twoje bezpieczeństwo. - Ghranditti zerwał jej taśmę z ust. - Tak lepiej, prawda? - Wyprostował się. - Widzisz, Jay? Ona jest moja.

- Potem zwrócił się do Marie: - To Jay Tice, skarbie. Pomyślałem, że chętnie go poznasz.

Marie zrozumiała. Popatrzyła na Jaya.

- Przepraszam.

- Przepraszam?! - ryknął na nią Ghranditti. - On miał wszystko! Pochodzi z bogatej rodziny. Odebrał najlepsze wykształcenie. Rząd zapewnił mu karierę. A ja zacząłem od niczego! Musiałem wywalczyć sobie drogę wzwyż od rynsztoka. Harować jak wół na każdego pensa. Dla niego wyrazy szacunku były czymś oczywistym. Ja musiałem je kupić! - Odwrócił

się do Jaya. - Pożądałem Marie, więc przemyślałem wszystko i ją zabrałem. Opowiedziała mi o tobie, o tym, skąd pochodzisz, kim byłeś. Czym byłeś. W końcu i tak by cię rzuciła. Ale ty spieprzyłeś jedną z moich wielkich transakcji... i wykończyłeś Marie!

- Zabiłeś Marie i nasze dzieci! - Jay zrobił krok w stronę handlarza śmiercią.

Raina dotknęła Jaya, żeby się opanował. Na widok takiej zażyłości, zawiść błysnęła w oczach Ghrandittiego. Jay dwa razy zaczerpnął powietrza i kiwnął sztywno głową w stronę Rainy, że zrozumiał jej ostrzeżenie. Ale kiedy uściśnęła jego ramię, żeby dodać mu ducha i opuściła dłoń, furia Ghrandittiego tylko się wzmogła.

Al-Hadi patrzył na nich, jakby rozbawiony.

Ghranditti spojrział na al-Hadiego. Przeklinając Jaya, nagle ruszył na niego biegiem przez mostek z wyciągniętymi rękami. Twarz miał wykrzywioną od gniewu.

- Stój! - ostrzegł go Jay. Szybko uniósł browninga i wycelował w głowę Ghrandittiego.

Jednocześnie nie opuszczał M-4, którym mierzył do al-Hadiego.

- Jeśli chcesz żyć, weź DVD od al-Hadiego!

Ghranditti popatrzył na pistolet. Zwolnił, zamarł. Przeniósł wzrok na terrorystę. Al-Hadi się roześmiał.

- Zapominasz, Ghranditti, że mam zapalnik do plastiku. Jeśli go puszczę, wszyscy zginiemy. Pragniesz śmierci męczennika? Czy wreszcie dołączysz do mnie, bracie?

Ciężko ciosana twarz Ghrandittiego spoważniała. Jedna jego ręka powędrowała w dół, drugą wziął cygaro.

- Tak lepiej. - Al-Hadi popatrzył na Jaya. - Co za głupi melodramat. Odłóż broń, bo wysadzę plastik.

- Rozbrój detonator - odparł Jay. - Jeśli to zrobisz, zagwarantuję ci sprawiedliwy proces.

Będziesz mógł pluć swoją fundamentalistyczną retoryką z fotela dla świadka. Pomyśl o relacjach prasowych. - Zobaczył, że Raina się szykuje. Niedbale zbliżała się do terrorysty, podczas gdy Jay rozpraszał jego uwagę. Al-Hadi pokręcił głową.

- Oprogramowanie i transport to znacznie większa nagroda. Bądź rozsądny, Tice.

Mogłem nakazać cię uśmiercić już dawno temu, ale zawsze chciałem to zrobić osobiście. Cóż, może innym razem. Teraz po prostu oddajcie pistolety, statek odpłynie, a wy możecie wziąć sobie szalupę ratunkową, kiedy tylko znajdziemy się na wodach zatoki.

Jay miał twarz bez wyrazu. Bez względu na obietnicę al-Hadi załatwi ich wszystkich, jak tylko opuszczą broń. Ich jedyną szansą było wykorzystanie wyrachowanych poglądów tego człowieka

przeciwko niemu samemu - gdyby tylko Rainie udało się szybko do niego zbliżyć. Kątem oka zobaczył, że Raina podchodzi coraz bliżej, wolną rękę włożyła do kieszeni. Miał cholerną nadzieję, że znalazła się w zasięgu ataku.

- Pamiętasz imama Husajna? - zapytał obojętnie Jay. - Dobrze to ujął: „Godna śmierć jest lepsza niż życie pełne upokorzeń”. - Husajn zginął bohaterską śmiercią z mieczem w dłoni, a Koranem w drugiej, kiedy wpadł w zasadzkę na pustyni. - Antracytowe spojrzenie al-Hadiego wwiercało się coraz mocniej w Jaya.

Mistrz szpiegostwa zaczął mówić z lekką nutką drwiny.

- Jeśli jesteś prawdziwym wiernym, szejku al-Hadi, jak mogłeś żyć dwadzieścia lat w takim upokorzeniu, skoro tam, na moście w Glienicke wybrałeś wolność, zamiast zabić słynnego na cały świat Żyda? Jesteś zwykłym tchórzem i zdrajcą swojego ludu!

W oczach al-Hadiego pojawiła się burza uczuć. Ciało mu drżało. Uniósł dłoń i zaczął powoli rozginać palce, ukazując kciuk trzymający guzik.

- Śmierć wam! - krzyknął.

W tej samej chwili Raina śmignęła cienkim sznurkiem z przylepną końcówką, łapiąc jak w laso palce al-Hadiego i wiążąc je mocno wokół guzika detonatora.

Al-Hadi próbował się uwolnić. Raina podbiegła do niego, a Jay rzucił się na Bobbye Johnson. Wyrwał zapalnik z ładunku plastiku.

Al-Hadi odwrócił się, żeby uciec, ale Raina kopnęła go w prawą nogę. Potknął się, łapiąc za krzesło Bobbye Johnson. Al-Hadi upadł. Jay runął na niego. Walczył, żeby przytrzymać wściekłego muzułmanina i jednocześnie próbował rozerwać mu białą koszulę.

Raina zerwała taśmę izolacyjną z Bobbye Johnson. Al-Hadi rąbnął Jaya pięścią w policzek i potoczył się w bok. Jay potrząsnął głową, zwalczając zamroczenie. Kiedy rzucił się na terrorystę, al-Hadi już wstał i biegł w stronę szklanych drzwi prowadzących na sterburkę.

Ghranditti był tuż za nim.

Bobbye nachyliła się i odkleiła taśmę z nóg. Marie zaczęła krzyczeć:

- Uciekają!

Terrorysta jednym ruchem otworzył szufladę, wyciągnął M-4 i wypadł przez drzwi.

Ghranditti chwycił uzi i okręcił się, żeby stanąć twarzą do pomieszczenia.

Chłodny namysł widoczny na twarzy Ghrandittiego mroził krew w żyłach. Handlarz wycelował uzi w Jaya.



- Zrujnowałeś mnie!

Jay zrobił unik. Obaj strzelili.

Kule Ghrandittiego ze świstem poleciały w stronę kuchni, o kilka centymetrów nad głową Marie. Jednocześnie między jego oczami pojawiła się czarna dziura. Trysnęła krew.

Potknął się do tyłu. Uzi z klekotem upadło na pokład. Ghranditti osunął się na kolana. Uniósł

wzrok i popatrzył oskarżycielsko na Jaya. Nagle światło znikło z jego oczu, runął do przodu i znieruchomiał.

- Łapcie tego drania, al-Hadiego! - rozkazała Bobbye Johnson, zerwała się z krzesła i pobięła ratować Marie. Przez otwarte drzwi dobiegały donośne odgłosy strzelaniny na dole. -

Zatrzymam tych cholernych oprychów. Już ja się z nimi zabawię.

- Wezwij najpierw naszą jednostkę paramilitarną! - Jay zostawił jej M-4 na krześle.

- Wezwałam - rzuciła Bobbye.

Jay i Raina wypadli na balkon i zbiegli po zewnętrznych schodach, goniąc al-Hadiego, który jakby dostał skrzydeł.

## 54.

Elaine została osaczona w rogu wysokiego stosu kontenerów stojącego najbliżej pokładówki. Krew kapłała jej z ran na głowie. Jeszcze więcej spływało z płonącej od bólu ręki.

Kiedy wychyliła się, żeby strzelić, spostrzegła, że z windy żurawia, po mostku ze stalowej siatki, wypada następna grupa mężczyzn.

Cofnęła się, bo coraz więcej kul uderzało o stalowy kontener i pokład. Słyszała, jak ludzie biegną po cichu kanionami między kolumnami kontenerów, okrążają ją, są coraz bliżej.

Wolną ręką niepewnie otarła pot z twarzy.

Płomienista eksplozja butli z propanem zabiła albo wykluczyła z akcji ośmiu z pierwszej dwunastoosobowej grupy napastników. Dwaj, którzy wpadli do luków, wyleźli stamtąd, ale nie dołączyli do strzelaniny. Była pewna, że raniła jeszcze dwóch, potem prawdopodobnie kolejnego. Ale nie unieszkodliwiła na dobre nikogo, odkąd zdetonowała propan. Z posiłkami, które teraz nadeszły, miała przeciwko sobie czternastu mężczyzn.

Wystawiła głowę i trzy razy szybko wystrzeliła. Nagle kule nadleciały z nieosłoniętej strony. Jako schronienie została już tylko sterówka odległa o długie osiem metrów.

Rzuciła się na brzuch i otworzyła ogień w poprzek statku do dwóch nowych napastników - strażników w uniformach, którzy kucali na sterburcie obok relingu. Potem przetoczyła się i strzeliła wzdłuż relingu po swojej stronie statku. Ale kiedy znów wykonała obrót, żeby zaatakować drugą stronę, usłyszała słaby terkot potężnych łopat śmigłowca nadlatującego z oddali.

Gardło nabrzmiało jej od nadziei. Był to charakterystyczny gang silników black hawka.

Nadlatywały co najmniej dwa.

Rozległy się ostrzegawcze okrzyki. Nagle załomotał tupot wielu biegnących stóp.

Popatrzyła na lewo. Dwóch nowych strzelców znikło. Spojrzała wzdłuż relingu. Stado strażników w uniformach gnało na łeb na szyję w stronę rampy prowadzącej do żurawia, oglądając się za siebie na niebo. Helikoptery zmusiły szczury Ghrandittiego do opuszczenia statku.

Poczuła przyływ wdzięczności. Wszystko ją bolało. Podniosła się, ruszyła w stronę sterówki... i stanęła. Z zewnętrznych schodów mostka od sterburty śmignęła biała smuga.

Elaine замуrowało. To był mężczyzna w mundurze stewarda. Al-Hadi!

Podniosła wzrok. Za nim biegły dwa czarne cienie.

Terrorysta skoczył na kontenery, potknął się i pobiegł dalej, między stosami. Zniknął z pola widzenia. Dwa cienie - Jay i Raina - gnały za nim, strzelając.

Elaine poczuła przyływ adrenaliny. Pobiegnęła w stronę schodów od bakburty. Wspięła się na nie, wyciskając ostatnie krople energii ze zmęczonego ciała. Kiedy jej oczy znalazły się powyżej szczytów kontenerów, znów zobaczyła trzy postacie na tle gwiazd. Muzułmanin miał

spora przewagę. Trwała wymiana ognia.

\*

Raina biegła po lewej stronie Jaya, z dwanaście metrów od niego. Wymierzył z oddali w al-Hadięgo, szybko oddał kilka strzałów i chybił. Biała postać odwróciła się i przykucnęła.

Ciemna twarz płonęła gniewem.

Nasłuchując z nadzieją hałasu nadlatujących śmigłowców, Jay padł na brzuch. Tak samo zrobiła Raina. Popatrzyli na siebie i przycisnęli policzki do zimnych, stalowych dachów kontenerów. Al-Hadi obsypywał ich seriami z M-4. W ciemnych ubraniach stanowili słabe cele. Kule z wizgiem dziurawiły metal.

Gdy gwałtowny ogień ustał, skoczyli na nogi i pobiegli dalej, strzelając do terrorysty podczas pogoni po płaskich dachach ogromnych pudeł. Kontenery piętrzyły się w szeregach po dwanaście. Razem szeregów było z dwadzieścia. Morze stali rozpościerało się aż do dziobu. Szczeliny między kolumnami miały niewiele ponad metr.

Al-Hadi biegł zygzakiem i strzelał. Nagle znalazł się w powietrzu. Przeskakiwał przez jedną ze szczelin. Wylądował, obrócił się i zaczął szukać celów. Raina i Jay natychmiast znów rzucili się na płask - al-Hadi miał broń półautomatyczną, ich pistolety nie stanowiły konkurencji. Serie wbijały się w kontenery. Kiedy zapadła cisza, podnieśli głowy. Al-Hadi zdarł z siebie białą kurtkę. Odrzucił ją daleko, wzrok miał skierowany w górę, ku helikopterom. Pochylił się. Jego czarny podkoszulek nikał na tle nocy. Ale widać było, jak postać w białych spodniach przebiera nogami.

Znów zaczęli go ścigać, biegli, przeskakiwali przez kaniony, biegli, strzelali. Wyrzucili puste magazynki z pistoletów i po raz kolejny otworzyli ogień. Musieli zbliżyć się do al-Hadięgo. Na szczęście nie był szybkobiegaczem. Dystans się zmniejszał.

Jay czuł ogień w płucach. Popatrzył na Rainę. Gruba warstwa potu błyszczała na jej twarzy. Po obojgu widać było zmęczenie.

Pokazał, że al-Hadi zmienia kierunek i biegnie od sterburty. Kiwnęła głową. Była bliżej tej strony statku. Strzelając rzadziej, pobiegła, żeby przeciąć terrorystę drogę ucieczki.

Z całej trójki Jay był najlepszym biegaczem. Przeskoczył nad przepaścią, złapał

równowagę i rzucił się naprzód, goniąc al-Hadięgo.

Terrorysta odwracał się coraz częściej. Wiedział, że jego prześladowcy są coraz bardziej zmęczeni: całą dobę byli w akcji. Wiek też nie działał na ich korzyść. Al-Hadi wystrzelił serię.

Niemal równocześnie wszyscy troje skoczyli nad szczeliną. Jay i Raina brali go w kleszcze. Zbliżyli się już prawie na właściwą odległość...

Raina oddychała głośno, oczy miała szkliste. Jay z trudem łapał powietrze. Ale al-Hadi nadal biegł lekkim krokiem.

\*

Elaine rzuciła się pędem po kontenerach, próbując zrównać się z Jayem i Rainą. Zdała sobie sprawę, że ich strzały są coraz bardziej przypadkowe. Strzeliła w stewarda z nadzieją, że będzie miała szczęście.

Na dźwięk wystrzału Jay się odwrócił. Oddychał z trudem.

Raina też spojrzała w tył.

Al-Hadi w tempie zdrowego, doskonale wyćwiczonego mężczyzny, zrobił obrót, rzucił się na brzuch i uniósł M-4.

- Jay! - krzyknęła Elaine i skoczyła. - Raina!

Stali blisko siebie. Stanowili doskonały cel dla ognia z półautomatu. Al-Hadi wystrzelił serię. Jay spojrzał na Elaine zmęczonym wzrokiem. Wygiął się do tyłu, ramiona poleciały w górę. Z pleców trysnęła krew. Chlusnęła też z pleców Rainy, która zatoczyła się i upadła.

- Nie! - krzyknęła Elaine.

Biegła szybko jak nigdy w życiu i naciskała spust. Strzelała raz za razem w rozpostartego na kontenerze al-Hadięgo. Jay i Raina znikli jej z pola widzenia między stosami.

Al-Hadi śmiejąc się, popęzł do brzegu kontenera, ześlizgnął się i przepadł.

Trzy śmigłowce przeleciały w górze. Smukłe, rybie kadłuby przysłoniły gwiazdy. W

drzwiach ze spuszczonej nogami siedzieli członkowie paramilitarnego zespołu CIA w mundurach, czarnych butach, hełmach i grubych rękawicach. Najeżeni byli ekwipunkiem i bronią.

Elaine stanęła nad przepaścią, w której znikli Jay i Raina. Śmigłowce wdzięcznie zniżyły lot nad nabrzeżem. Ich nosy uniosły się o trzydzieści stopni i maszyny zawisły na wysokości dziesięciu metrów. Wyrzucono grube liny. W ciągu czterech sekund siedmioosobowe zespoły zjechały na ziemię i się rozproszyły. Krzyki strachu rozbrzmiały w dokach.

Gorące łzy spływały Elaine po policzkach. Uklękała i nachyliła się nad brzegiem kontenera. W rozpaczę otarła oczy, żeby widzieć: Jay i Raina leżeli w cieniu twarzami do góry. Nie ruszali się. Elaine przeszył ból. Otrząsnęła się jak z porażenia.

Z trudem doszła do siebie i włożyła pistolet do kabury. Potem ześlizgnęła się po ścianie i skoczyła twardo na stopy. W okolicy relingu rozległ się warkot silnika. Chyłkiem poszła w tamtą stronę, modląc się, żeby to był al-Hadi, wtedy wystrzela w niego cały magazynek z walthera. A nawet jeśli go nie dopadnie, na pewno zrobi to oddział paramilitarny.

Nad burtą wznosił się motorowy podnośnik jednej z tratw ratunkowych. Samej tratwy nie było. Al-Hadi uciekł. Zaklęła głośno i stanęła wyprostowana. Kiedy wracała do obramowanego stałą przejścia, wyciągnęła komórkę, żeby powiedzieć zbrojnym, gdzie jest al-Hadi.

Nie rozumiała tego. Jay złamał wszelkie zasady, których ją uczył. Raina też, bo na pewno dobrze je znała. Zachowali się nieracjonalnie - nie wykorzystali zawartości swoich plecaków, nie zastosowali żadnych podstępów. Nawet odwrócili się do al-Hadiego plecami.

Tak, jakby chcieli umrzeć.

Ścisnęło ją za gardło, kiedy znów spojrzała na zwłoki. Zmarszczyła czoło, gorączkowo się zastanawiając - żadnych podstępów? Szarpnęła nią gniew, gdy nagle zrozumiała.

Podeszła do ciała.

- Niech cię cholera, Jay. Ty nie jesteś martwy. Wstawaj. - Wściekle wytarła sobie twarz rękawem, osuszając łzy. Podniosła pistolet. - Do cholery, powiedziałam, wstawaj!

Jay usiadł, śmiejąc się pod nosem.

- Jestem łowcą, pamiętasz? - parsknęła. - Zabieram cię. Wiem, że nie zdradziłeś.

Wyjaśnimy to. Jak śmiałeś zrobić ze mnie durnia!?

Kiedy Elaine podeszła do Rainy, zobaczyła „krew” wypływającą spod ciała.

- Wybuchające woreczki z czerwonym barwnikiem! - powiedziała oskarżycielsko, patrząc spode łba na Rainę. Wycelowwała w nią walthera. - Nie wiedziałam, że macie kamizelki z kevlaru. Wasze kurtki są tak cienkie jak moja!

- Mądrała z ciebie! - pochwaliła Raina. Wstała i zdjęła plecak. - To połączenie kevlaru i najnowszego materiału ochronnego, który nasi żołnierze będą używać od przyszłego roku.

Kiedy cię zostawiliśmy, zrobiliśmy z Jayem jeszcze jeden przystanek, żeby zabrać kamizelki i woreczki.

Elaine rzuciła Rainie palące spojrzenie. Potem podniosła z pokładu jej sig sauera, wsadziła broń za pasek i zbliżyła się do Jaya.

- Al-Hadi ma oprogramowanie, prawda? Teraz Langley będzie mogło śledzić Majlis, korzystając z „tylnych drzwi”. O to chodziło?

Jay nadal siedząc, uśmiechnął się do Elaine.

- Można powiedzieć, że to była operacja last minute. - Odwrócił browninga rękojeścią do przodu i podał agentce. - Cieszę się, że przeżyłaś strzelaninę na pokładzie, Elaine.

Odwaliłaś kawał dobrej roboty, chroniąc nas. Zmieniasz się w tajnego agenta pierwszej klasy.

Jak ci się w końcu udało wejść na pokład?

- Znalazłam drabinkę dla pilota na sterburcie. - Chwyliła broń Tice'a. Przez chwilę czuła się niezręcznie.

- Zostawiłaś łódź przy drabince? - Wstał.

Coś było nie tak.

- Owszem.

Poczuła ukłucie bólu w okolicach barku. Próbowwała spojrzeć w tył, ale ciało reagowało słabo. Skończyła się odwracać, kiedy Raina wkładała pustą strzykawkę do plecaka. Elaine spojrzała w uśmiechnięte oczy niemieckiej agentki i zaczęła przeklinać, ale nie mogła znaleźć właściwego słowa.

- W polu będziesz doskonała, kochanie - zapewniła ją Raina. - Nigdy nie pozwolisz, żeby coś takiego zdarzyło się po raz drugi. - Wyciągnęła swoją broń zza paska agentki-łowcy.

Jay obszedł Elaine, uśmiechnął się do niej i gorąco uściskał. Potem pomógł jej wyciągnąć się na pokładzie.

- Raina wstrzyknęła ci lekki środek uspokajający. Wkrótce wrócisz do siebie. Za dziesięć minut... góra piętnaście. Powiedz Bobbye o al-Hadim, żeby mogła go śledzić, dobrze?

Ale nie mów o tym nikomu innemu. - Oczy mu zaszczyły mgiełką. - Będę za tobą tęsknił, Elaine.

- Wziął swojego browninga.

Powieki zrobiły się jej ciężkie. Jay przyciągnął do siebie Rainę. Zdawało się, że ona wtapia się w niego. Kiedy byli przy sobie, pogłaskał ją po policzku i głęboko zajrzał w oczy.

Przez dłuższy czas się całowali. Palce zaplotła mu na karku. W końcu odeszli. Mocno objęci.

Jeszcze z oddali usłyszała głos Jaya:

- Pamiętaj, zawsze trzeba mieć dobry plan awaryjny.

# Epilog

## Trzy lata później Aitutaki, Wyspy Cooka

Kiedy Jay Tice wracał do domu z zakupami, słońce zachodziło z typową dla tropików ślamazarnością, którą uwielbiał. Horyzont Mórz Południowych nabrał łagodnej szarości, potem koloru pomarańczowego i brylantowo-złotego. Tętniące życiem barwy odbijały się od pociemniałego oceanu jak od zwierciadła i malowały na różowo plażę białą jak puder.

W szortach i koszulce bez rękawów Jay mijał duże i małe domy zbudowane z różowego koralu albo wysuszonego drewna otoczone ogródkami warzywnymi, zagrodami dla świń, z biegającymi swobodnie kurczakami. Palmy falowały w pachnącym migdałami powietrzu.

Jedna z ich przyjaciółek, Brytyjka, Denise Cumberland, opierała rower o buk rosnący przed jej bungalowem. Kiedy zobaczyła sąsiada, uśmiechnęła się.

- *Kia orana*. - Jay pozdrowił ją po maorysku. Obyś żyła długo.

- *Kia orana*, Phil. Dokąd się dzisiaj tak spieszysz? - Oczy jej zamigotały.

Podniósł kopertę z pakowego papieru.

- Poczta!

- Cuda nigdy się nie kończą. Jak się miewa Kitty?

- Zajęta jak zwykle. Ja też. Mamy więcej zabawy, niż myśleliśmy. Wpadnij na drinka, dobra?

- Naprawdę powinieneś nosić buty, Phil. Zrobi się z ciebie tubylec.

Jay roześmiał się i poszedł dalej, jeszcze bardziej przyspieszając. Popatrzył na pomarszczony ocean i wrócił myślami do ich ucieczki z kontenerowca Martina Ghrandittiego.

Powiosłowali do lądu, gdzie czekał na nich schowany pakiet, i zaczęli podróż przez Meksyk, Australię, aż dotarli tutaj - do odległego rajy na południu łańcucha Wysp Cooka, gdzie nikt ich nie znał i mogli zacząć wszystko od nowa.

Bobbye Johnson zapewniła im przykrywkę, alarmując straż przybrzeżną, żeby szukała trupa Tice'a w nurtach rzeki Baltimore. Kiedy nie znaleziono topielca, oświadczyła, że Jay Tice nie żyje i dała mu krzyżyk na drogę. W Niemczech BND wydało oficjalne oświadczenie: że Raina Manhardt żyje w odosobnieniu i przeszła na emeryturę - co świadczyło, że Bobbye musiała mocno nacisnąć na prezesa agencji Ericha Eisnera.

W nagrodę za wybitną służbę Elaine otrzymała rekomendację i bilet in blanco na dowolne stanowisko w Langley. Wybrała, oczywiście, pracę agenta i dostała błogosławieństwo od Bobbye. Jay miał złe przeczucia, ale nikt go nie pytał o zdanie. W

podziękowaniu za pomoc i wytrwałość kazał dostarczyć jej anonimowo nowiutkiego, czerwonego jaguara prosto przed dom. Żałował, że nie mógł zobaczyć wyrazu jej twarzy.

Tak nieszczęśliwie toczy się ten świat, że dzisiejsze sensacje jutro stają się papierem toaletowym. Najczęściej lekcje wyciągane z przeszłości są ignorowane. Gorzej - są zapominane. Wydarzenia tamtych trudnych dni nie stanowiły wyjątku. Śmierć Ghrandittiego i jego niebezpieczny ładunek przez kilka tygodni przykuwały uwagę ludzi na całym świecie, a potem przestało to kogokolwiek interesować. Niebezpieczeństwa wynikające ze zbyt małej liczby celników w portach i doskonale prosperujące podziemie handlarzy śmiercią pozostały bez zmian.

Langley zebrało jednak zniwo informacji wywiadowczych dzięki oprogramowaniu stworzonemu przez Kristopha. W niecałe pół roku Elaine i zespół szybkiego reagowania we współpracy z rządem południowokoreańskim aresztowali Faisala al-Hadięgo przed Narodowym Bankiem Pakistanu w Seulu. Al-Hadi nie próbował walczyć, natomiast gniewnie wypierał się swojej tożsamości. W tym samym czasie na całej kuli ziemskiej zespoły CIA próbowały schwytać żywcem trzydziestu dwóch pozostałych przywódców Majlis al-Sha'b.

Niektórzy z terrorystów przeżyli i zostali aresztowani. Inni otworzyli ogień i zginęli.

Po zdziśnięciu przywództwa Majlis wypadł z gry. Ludzie al-Kaidy rzucili się na tajną kwaterę ugrupowania w nawiedzanej przez piratów Cieśninie Molukańskiej, żeby skonfiskować zapisy i technologie. Dało to Jayowi powód do uśmiechu. Miał nadzieję, że dranie zabrali oprogramowanie Kristopha i zaczną z niego korzystać.

Jay zapatrzył się przed siebie. Raina stała na ganku w zwiewnej białej sukience z dwojgiem dzieci. Zachodzące słońce oświetlało jej zmęczoną, ale szczęśliwą twarz i gęstwinę ciemnych loków, które otaczały ją jedwabistą chmurą. Zdawało się, że błyszczy i jarzy się zwodniczą kobiecością.

- Cześć, kochanie - zawołała. - Dzwoniła Denise, żeby przekazać, że wracasz do domu.

Mamy pocztę?

Rzucił torby na ganek i objął Rainę, wdychając jej naturalny zapach, czując jędrność i ciepło ciała. Poczł przyplw gorąca.

- Później - mruknęła, owijając gołą nogę wokół jego łydki i jednocześnie trzymając w rękach kokosy.

- Kochanie, uwierz mi, warto na ciebie poczekać.

Śmiejąc się, usiadła na huśtawce na ganku i podała mu kokosa. Otwarty album z fotografiami leżał na stole obok. Zauważyła, że Jay patrzy na niego.

- Lepiej się czuję, gdy je oglądam - wyjaśniła.

- Ja też.

Podniósł album i przewrócił kartki. Zebrali zdjęcia z jej berlińskiego domu i te, które przechował w



swoim magazynku w Waszyngtonie. Opowiadały o Aaronie, Mariette i Kristophie, bo chociaż były martwe, to nadal bardzo kochane. W końcu zamknął i odłożył

album. Pijąc mleczko z kokosa, chwycił torbę z gazetami, magazynami i kopertą z papieru pakowego, którą odebrał w wiosce.

Patrzyła zaniepokojona, jak Jay ją otwiera.

- To od Bena - powiedział niepotrzebnie.

Tylko Ben wiedział, gdzie osiedli. Dzięki Houri przeżył, a Bobbye uprzątnęła ślady po

„Davidzie Oxleyu”, więc Ben i Zahra nie musieli szukać sobie kryjówki. Kilka miesięcy później Ben i Jay obmyślili sposób, żeby pozostawać w kontakcie.

Wyjął list i drugą kopertę.

- Przeczytaj, kochanie - poprosiła Raina. Pokiwał głową, włożył okulary i zaczął: *Droga Kitty i Philipie, sprawy układają się tutaj pomyślnie. Ucieszy Was, że al-Hadi stanie wreszcie przed sądem. Jego cholernym prawnikom nie udało się więcej odciągać sprawy za pomocą adwokackich wykrętów, dzięki niech będą Allahowi.*

*W ubiegłym tygodniu dostałem e-mail od Marie Ghranditti. Nazywa się teraz Emmi Ghranditti. Razem z dziećmi nadal mieszka w Miami Beach i ma się dobrze. A nawet zamierza ponownie wyjść za mąż, tym razem za prawdziwego finansistę. Zdaje się, że to dobry człowiek.*

*Co do załączonej koperty, to odpowiedź na list, który na Twoją prośbę wysłałem kilka miesięcy temu. Przepraszam, że tak długo to trwało. W końcu musiałem pójść do Bobbye, żeby dowiedzieć się, gdzie mieszka ta rodzina - okazało się, że w Tel Awiwie. Bobbye powiedziała, że wdowa po Pavle Abendrocie już nie żyje. Oczywiście nie przeczytałem ani Twojego listu, ani odpowiedzi.*

*Pozostańmy w kontakcie!*

*Ben.*

Raina siedziała czujna jak kot przy jamie węża.

- Nie zrobiłeś tego.

Dziwne, ale ręce mu drżały, kiedy otwierał kopertę z welinu. Papier był też z niebieskiego welinu, co sprawiało, że przesyłka wydawała się bardziej osobista, uczuciowa.

Słowa zostały napisane kobiecą, silną ręką:

*Nie użyję Pańskiego nazwiska, bo rozumiem, że zależy Panu na bezpieczeństwie, ale chcę, żeby Pan wiedział, że zwracam się z całym szacunkiem. Moi bracia i ja zawsze uważaliśmy, że ojciec został zamordowany, i odczuwaliśmy z tego powodu gniew. Kochaliśmy go i potrzebowaliśmy. Ale*

*ważniejsze, że był bohaterem, a świat potrzebuje, żeby jego bohaterowie żyli jak najdłużej.*

*W ubiegłym roku, kiedy umierała matka, zwołała nas wszystkich i powiedziała, co naprawdę wtedy się stało. Kazała przyrzec, że nic nie powiemy, dopóki nie będziemy mieli Pańskiej zgody. Ponieważ Pan jej nie udzielił, zachowamy rzecz w tajemnicy.*

*Podziwiała Pana za to, jak ryzykował Pan życie, przekradając się do Berlina Wschodniego, żeby z nim porozmawiać - dowiedział się Pan tego, co wiedzieli nieliczni - że umiera na raka.*

*Ponieważ poświęcił się, żeby powstrzymać totalitaryzm, uważał, że słuszne będzie poświęcenie siebie dla zachowania anonimowości Pańskiego agenta - jak Pan twierdzi, obecnie Pańskiej żony - żeby dalej mógł przekazywać informacje na Zachód. Oboje kontynuowaliście walkę, której on już nie mógł prowadzić.*

*To było uprzejme, że napisał Pan list z przeprosinami i wyraził żal z powodu tego*

*„morderstwa”. Ale matka powiedziała nam, że nigdy nie żywiła do Pana żalu. Razem z żoną zrobiliście wiele i bez wątplenia poświęciliście wiele dla sprawy.*

*Matka chętnie cytowała słowa historyka Johna Shedd, bo odzwierciedlały filozofię mojego ojca: „Statek w porcie jest bezpieczny, ale nie po to buduje się statki”.*

*Z wyrazami szacunku, jego córka.*

Jay w milczeniu złożył list i z powrotem wsadził go do koperty. Spojrzał na Rainę i przyznał:

- Nigdy nie zrobię tyle, żeby zaskarbić sobie prawo do szczęścia. Doktor Abendroth zapłacił życiem, żebym mógł ciebie mieć.

Wzięła jego rękę i przycisnęła do policzka.

- Wiem, kochanie.

Huśtawka zatrzeszczała. Wypili mleczko kokosowe. Słońce zachodziło, rozsnuwając gorące światło, a zmierzch zarzucał fioletowy płaszcz na palmy i kwiaty.

Jay kilka razy spojrzął na dom.

- Zobacz, co u nich, kochanie. - Raina się uśmiechnęła. - Wiem, że chcesz.

Kiwnął głową i wszedł do środka. Jednopiętrowy bungalow był przeszklony i zazwyczaj pełen światła, ale teraz miękkie cienie ogarnęły proste meble i drewniane podłogi, dodając im czaru.

Poszedł do pokoju Michaela, ukucnął przy jego łóżku i delikatnie pogładził czarne włosy lśniące jak włosy matki. Michael właśnie skończył dwa lata. Było to pełne energii dziecko, które biegało bez przerwy, a na koniec dnia szybko zapadało w głęboki sen. Leżał na boku wtulony w poduszkę, długie rzęsy rzucały cień na policzki.

Nagle otworzył oczy:

- Tatuś!

Jay się uśmiechnął.

- Ćśś. Nie mów mamie, że cię obudziłem. Będę miał kłopoty.

Michael odwzajemnił uśmiech.

- To nasza tajemnica. - Wydał wargi.

Jay pocałował synka. Powieki dziecka się zamknęły. Jay został jeszcze chwilę, patrząc na cud życia, który stworzyli razem z Rainą.

Wreszcie przeszedł do pokoju Jennifer. Miała dwa miesiące. Po bezsennych nocach na zmiany wreszcie trochę odetchnęli, bo sześć dni wcześniej Jennifer zaczęła przesypiać solidne sześć godzin każdej nocy. Teraz dostała już nawet własny pokój. Cudownie pachniała dziecięcym pudrem i wilgotnym snem.

Przysiadł na piętach przy kołysce, napawając się jej słodką buzią, mleczną skórą i ognistymi loczkami. Uśmiechnął się na myśl, jaką córeczka będzie piękną, kiedy dorośnie.

Dotknął malutkiej rączki, a ona zawinęła ją wokół jego palca. Jaya przepełniła radość.

Kiedy wrócił na werandę, Raina huśtała się powoli. Album znów trzymała na kolanach.

Był otwarty na zdjęciu z Kristophem. Popatrzyła na Jaya z poczuciem winy.

- Jeśli chodzi o Kristopha... próbowałam ci to powiedzieć dawno temu, w Dubrowniku, kiedy spotkaliśmy się po śmierci mojego męża... Potem też chciałam...

- Już dobrze, kochanie. Zawsze wiedziałem, że był biologicznym ojcem Kristopha.

- Jay! Ale dlaczego nie...

Usiadł obok Rainy, znów odczuwając radość i miłość do Kristopha.

- Bo nie miało to dla mnie znaczenia. Bo cię kochałem, a Kristoph potrzebował ojca. Bo bardzo... - Zawahał się. - Bardzo go potrzebowałem. Rozpaczliwie pragnąłem dobra, żeby żyć.

A Kristoph i ty dawaliście mi to... i znacznie więcej.

Łza stoczyła się jej po policzku. Przyciągnął Rainę bliżej.

- Już śpią - wyszeptał.

- Mówiłam. - Pocałowała go w ucho i przytuliła się. Potem zapytała: - Co zrobimy, jak dorosną i

zorientują się, że tam gdzieś jest ogromny świat? Będą zadawać pytania. Poczują niepokój. Nasza bezpieczna przystań to może być dla nich za mało.

Zamyślił się przez chwilę.

- O jutro będziemy się martwić jutro.

## **Podziękowania**

*Jestem głęboko zobowiązana wspaniałemu zespołowi ekspertów, który dzielił się ze mną pomysłami, anegdotami i różnymi doświadczeniami tajnego świata. Przede wszystkim wymienię Roberta Kresge'a, kolegę pisarza i byłego agenta, jednego z założycieli Wydziału Antyterrorystycznego CIA. Niezmordowaną pomocą przy zbieraniu materiałów służyli: Julia Stone, doktor praw Paul Stone, doktor Karina Baum, Deirdre Lynds, Katie Lynds, Philip Shelton, Theil Shelton, Kathleen Sharp, doktor Lucy Jo Palladino, Katherine Neville, Melodie Johnson Howe, Bones Howe, doktor Raelynn Hillhouse, Walter Davies, Julia Cunningham, Liz Bush, Mathias Bogucki, Ray Briare, Vicki Allen i doktor praw Joe Allen.*

*Pod koniec prac nad Ostatnim superszpiegiem, po długiej chorobie, zmarł mój mąż Dennis*

*Lynds.*

*Był*

*przyjacielem,*

*powiernikiem,*

*moim*

*prywatnym*

*wydawcą,*

*współpracownikiem i moją miłością. Jego rękę widać na każdej stronie. Dziękuję mu za wspólnie spędzone lata.*

*Moje uznanie dla St. Martin Press jest coraz większe. Redaktor Keith Kahla czytał, wydawał i urządził ze mną burzę mózgow nad każdym szkicem. Zawsze pozostaną wdzięczna nie tylko za jego umiejętności wydawnicze i ciepło, ale też za to, co zrobili Sally Richardson, Mathew Shear, Matthew Baldacci, Joan Higgins, John Murphy, Christina Harcar, Ronni Stolzenberg, Brian Heller, John Karle, Harriet Seltzer i Gregory Gestner. Dzięki nim jestem bardzo szczęśliwą pisarką.*

*Mój agent literacki, Henry Morrison, jest kotwicą w burzliwym morzu zmian. Mój agent literacki, Danny Baror, który sprzedaje moje książki za granicą, mówi wieloma językami, włącznie z językiem serca. Osobisty guru od promocji, Deirdre Lynds, jest pomysłodawczynią, siłą twórczą i*

*ukochaną pasierbicą. Mój webmaster, Greg Stephens, łączy grafikę z technologią, tak jak potrafią tylko artyści wielkiego kalibru. Osobista specjalistka od reklamy, Sarie Morrell-Sanchez, jest geniuszem przedsiębiorczości. Osobista asystentka, Barbara Toohey, jest tak bystra i mądra, że organizowanie zamienia w przyjemność - umie zmobilizować.*

*Tak się stało, że znalazłam się wśród współzałożycieli International Thriller Writers Inc.*

*(ITW) wraz z wielkim mistrzem Davidem Morrellem. Dyrektorzy i szefowie komisji tworzą ściśle współpracujący zespół. Zastępujemy się nawzajem, kiedy gonią nas terminy, mamy objazdy albo niespodziewane przeszkody. Z dumą nazywam tych ludzi przyjaciółmi. Obok Davida i mnie (współprezesów) w zarządzie ITW są wiceprezesi: David Dun, Lee Child, Tess Gerritsen i M.J. Rose. Członkowie komisji to: Steve Berry, Lincoln Child, Gregg Hurwitz, Douglas Preston, James Rollins i M. Diane Vogt.*

*Dziękuję wam wszystkim i każdemu z osobna. Wzbogaciliście moje życie.*

# Table of Contents

[Rozpoczni](#)